LAMUS



ZIMA 1909-1910

ZESZYT PIĄTY TOMU II. Z. 1.

D. Chodowiecki pinx. & fecit. Berolini 1767.

TREŚĆ ZESZYTU PIĄTEGO.

Lamus wychodzi cztery razy do roku w zeszytach objętości łącznej około 40 arkuszy druku. Każdy zeszyt zawiera kilka plansz jedno- lub wielobarwnych. Prenumerata wynosi rocznie: w Galicyi K. 12·—, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem M. 10·50, w Królestwie Polskiem R. 5·—. Cena każdego zeszytu oddzielnie K. 4·—, M. 3·40, R. 1·60.

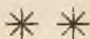
Redaktor: Michał Pawlikowski, (Lwów, Trzeciego Maja 5); * Nakładem A. Altenberga i J. Mortkowicza. Składy główne w księgarniach: H. Altenberga we Lwowie i G. Centnerszwera w Warszawie. * Własność Redakcyi.

* Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

TREŚĆ PIERWSZEGO ROCZNIKA (1909):

TREŚĆ ZESZYTU PIERWSZEGO.

LAMUS



REDAKTOR: MICHAŁ PAWLIKOWSKI



MCMX

NAKŁADEM A. ALTENBERGA LWÓW.

Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie.


BIBLIOTHECA
VNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS

Część pierwsza — Dzisiaj.

Carmina tristia.

NIECH SIĘ NIE SILĄ.

Niech się nie silą patrzeć ludzkie oczy
W bezgwiezdnej nocy grobie, w mrok ponury!
Niczem jest człowiek! Choć się pnie pod chmury,
W ciemności powstał — i w ciemności kroczy.

Nic... Pustka wkoło, pustka w stropu szczycie —
Znikąd przychodzę i choć wiem gdzie dążę
Ślepym... W mogile nieskończonej krążę
Czarnej jak rozpacz i pustej... jak życie.

Ani mi świecą te czyste sklepienia
Których promiennem tchnieniem młodość dyszy,
Ani mi grają tryumfy, ni ciszy
Znajść duch nie może, ani zapomnienia...

Przestwór i nic. I tylko ciągle słyszę
Szum monotonny jak deszczów powodzi,
Siekący szum co zwolna w huk przechodzi,
Co nieustanną groźbą wkoło dysze...

I czekam darmo czyli się z zorzami
Dzień nie podniesie, choć dżdżysty, w mgłę zwity,
Wzrok bodaj wróci i da w blade świty
Roztopionemi pójść dalej drogami...

WIDZIAŁEM RAZ SZCZĘŚCIE WE ŚNIE.

Widziałem raz szczęście we śnie...
Przyszło i białe mi dłonie
na skroń złożyło tętniącą... I cicho wkoło tak było...
Ku rozpalonym mym wargom usta kojące schyliło
I w oczy jego jam spojrzał:
Ujrzałem oczu twych tonie...

A potem, potem się zdało że widzę razem nas dwoje
w kraju cudownym, gdzie słońce jaśniejszy blask szle w przestworza,
kędy się w piasek gorący fale kłaść idą od morza,
kędybym z tobą żyć pragnął, kędy oczęta szły twoje...

Gdzie się zielenią winnice, gaje po wzgórzach piniowe...
Jasna królewno ty moja! U stóp ci klęczę a oczy
w oczach twych toną...
Wokoło, w słońca strumieniach świat broczy.
Włosy twe splotły mi szyję i pachną... Skłoniłaś głowę,

oddech twój czuję na ustach...
Jestżeś ty moja?... Jedyna...
Cicha kampania wkoło nas, zdala lśni ogrom sinawy,
jałowce pachną w powietrzu, świerszcz skrzypi lekko z pod trawy,
ciche dumają cyprysy i rzymskiej willi ruina...
. . . .

Sen złoty...
Nigdy się boska nie dowiesz o czem tu nucę,
nigdy ze mną ni śmiać się ni płakać nie będziesz!
O jawo!!!
Szczęście w marzeniu minęło i poszło...
Śmiało się łzawo,
tak, jakby chciało powiedzieć:
„Żegnaj!... Już nigdy nie wrócę...“

* * *

PIOTR SZARZYŃSKI.

Tropy.

GNIAZDO NIEPOKOJU.

Ztąd się rozsnuwa pochód w różne strony
I świat żałobną pieśnią napełniony.

Pozatracały się proste linie żywopłotów, zgarbiły, jak ciała wygodnie leżące na ziemi. Tam, gdzie dawniej cięły nożyce, smuga jeno została, a ponad nią strzeliła młódź trwożna zrazu, potem śmielsza, coraz żwawsza, bezkarnością rozswawolona, tem wyżej rosnąc, im dalej od wjazdu, dostając nowych kształtów, strzelając nowemi wierzchy i czuby, jakby upewniona niedbalstwem ludzkiem, które dba jeszcze o bramy wjazdowe, nie usiłując dalej sięgać rękami ni wzrokiem nawet. Dawno nie przynaglany człowiek zdrzymnął się, zasnął... a graby rosły, rosły, z roku na rok, dostając coraz to nowe pokłady roślin przyziemnych, co po śmiałkach lubią się wdzierać w górę. Zasnute powojami, bluszczem, parły się tem wyżej, w gonitwie jakiejś przekornej, na złość temu, co śpi, to też co było ponad niemi, zakryły, wyzierać dając jeno czubom lip starych, w których czarnych koronach łopotały kawki, wybierając gałęzie co lepiej okryte na nocleg.

Spokój tu miały i ciszę wielką i dlatego obrały sobie za osiedle gęstwę okalającą niby jakiś zapomniany grobowiec, gdzie ślady ludzkiej ręki z roku na rok ginęły, a jeśli co żyło jeszcze, cofnęło się w głąb, nie przeszkadzając, nie mieszając się w sprawy zwierząt i roślin, nie kierując kapryśnym ich tokiem, wolą swoją nie przecząc ich woli rośnienia, bujania, wkorzeniania się w głąb, śmigania w górę, rozpościerania się po wierzchu i w głębi ziemi, gazdowania dowolnego a niezaprzeczonego.

Z góry spuszczała się droga wysadzana topolami.

Sękate były choć śmigłe, krzywe, w obręcze pogięte, guzami ob-

siędzione i grzybami. Sieć pęknięć pokryła namarszczoną korę, na której białe plisze blizn świeciły. Z rzadka wznosiły się, szukając po powietrzu drogi, węźlaste konary, górą dopiero zlewając się z sobą w jedną zieloną plamę listowia... ale ponad nią sterczał dalej pień u wierzchu szczerbą zakończony. Co młodsze tylko wierzchołki zachowały. Stare otaczał las odrośli po garbie góry kępkami rozsypanych. Widać wzmogły się, gdy znużona opadła ręka, co je ongiś pleniła, stały oporne, nie dały się pługom, prującym ziemię, i co ambitniejsze sięgały teraz czół rodzicieli pooranych śladami życia.

Z góry, od szczytu alei widok był rozległy. Bliżej, na samem zboczu góry słały się nisko po ziemi szeregiem długie szopy, o dachach krytych papą, ginąc w gęstwie drzew, z pośród których wyglądał mały domek o zawilgoconych ścianach, a dalej, już na równi, obumarłe, opuszczone zabudowania fabryczne z wysokiemi murowanemi nasadami kominów zawalonych, czy rozebranych.

Na prawo lśniły prostokąty stawów ujętych w groble, ślady jakiegoś celowego działania, jakichś usiłowań, po których pozostały na świadectwo smutkowi.

Potem były już jeno pola. Rozlały się daleko, jednobarwne jak woda, szarozielone, unosząc na toni, niby biały płatek żagla samotnej łodzi, srebrną plamę dachu kościoła, przypartego niby do wyspy do kępy drzew, w których się wieś sąsiednia kryła.

Dopiero kędyś w dali, gdzie wzrokiem trudno było kształty rozeznać, widniał na niebie szczerbatą linią wał gór, by wstęga siwa, roztoczona kręgiem po ziemi, coraz szersza ku zachodowi, na której występywały wyraźniejsze zarysy stromych zboczy, miejscami łysych, świecących pustaciami wyrębów.

Człowiek patrzący z góry, jakby nie mógł się nasycić wielką ciszą i opuszczeniem, które się tu panoszyły, usiadł pod żywopłotem i wodził oczyma dokoła.

Oparty plecami o sprężystą tkankę grabiny chciwie patrzył, poczynając od widocznych na dali przedmiotów, jakby je liczył.

Równia poczęła mętnieć, jakgdyby ją kurz szary przysłonił, a po krajach czernieć się zdawały góry. Kontur grzbietu odcinał się silniej na niebie i skryte za nim w parowie przez dzień cienie poczęły wypełzywać, ogarniając wszystko. W fali tej utonęły po chwili rzeczy dalsze, został jeno biały dach kościoła. Dobiegłszy do zabudowań stojących pod górą, fala rozbiła się i kędyś przepadła. Ale zaraz małe strumyki czarne poczęły płynąć w górę rowami, zaklęsłościami gruntu, wciskały się w zakamarki, skradały chytrze coraz to

wyżej. Co dnia tak noc, mogąc zwyciężyć odrazu podrętwiałe jej najściem rzeczy, brała podstępem, a zgoła niepotrzebnie osiedle smutku, co jak opuszczone gniazdo bocianie na spadzistym dachu, tkwiło na szczycie góry.

Człowiek siedzący pod żywopłotem wstał, i począł iść wzdłuż żywej palisady. Sieć grabowych pręci gęsta była niezmiernie. Powrastały w siebie niemal, snadź długą sprzyjaźnione drużbą, zwarte ku obronie czegoś, co im warte było ukochania.

Próbował ręką sprężystej ściany, rad, że krze kłują i rozchylić się nie dają i smutny zarazem, że to jego, właśnie jego, już zapomniawszy widać, odpychają... może nawet praw mu przecząc dawnych, które tymczasem kto inny posiadł.

Na lewo od drogi topolowej, o kilkanaście kroków od wejścia przypierał do żywopłotu mur. Dawniej pomiędzy mur a krzaki, można się było przecisnąć, ale teraz ktoś przybił na poprzek dwie szerokie deski, przygważdżając je, z jednej strony do muru, a z drugiej do kołka mocno zabitego w ziemię.

— Nie wejdę! — mruknął do siebie rozradowany i śmignęło mu przez myśl jednocześnie: Nikt nie tknął... nikt nie tknął!

Spojrzał na mur. Wysoki był i na grzbiecie okryty skorupami dachówek.

Zawrócił. Naprost drogi, na dwu dębowych, czarnych palach wisiały skrzydliska żelaznej, rudej od rdzy bramy.

Popróbował. Zamknięta była. Począł wodzić rękami jak po strunach harfy po sztabach dość gęsto osadzonych w poprzecznicach.

A gdybyż — myślał — ozwały się struny pieśnią jakąś pod znajomemi palcami... gdybyż tego jeno trzeba by zagrzmiało: Wstawajcie kształty przeminione!

Nie! Nie! Nie!... nic nie zagrało... nic.

Tylko uczuł, że jedna ze sztab się poddaje. Nit dolny puścił, można ją było skręcić na bok na górnym niby na osi obracając... Druga pęknięta była w połowie, przeżarta rdzą, czy przepiłowana.

— Ktoś tu zachodził... przemknęło mu przez myśl i posmutniał, chociaż przecież inaczej być nie mogło.

Odeszła go chęć wszelaka. Patrzył bez myśli.

Droga topolami sadzona nie urywała się tu, ale rozgałęzieniem jednem szła naprzestrzał przez park, drugiem go obiegała i szła spuścisto ku wsi samym grzbietem góry.

Człowiek zawrócił już na drugą, gdy nagle z za zakrętu wychynęła postać jakaś i nerwowo szybko przesunęła się koło niego.

Dziwny to był twór, czy się jeno takim wydawał po mroku. Ręce długie, jakby czegoś po ziemi szukały, głowa się chwiała niepewna w którą zwrócić się stronę, całe ciało chłostane niby biczem niepokoju, ustać nie mogło a iść nie miało siły.

Stwora postrzegła wędrownika, stanęła i poczęła się jakby z wielkiego ukontentowania cicho śmiać i w tył przeginać.

— Achaaaa! Achaaaa! Taaak! Taaak!... To doskonale. Uradujemy się... Uradujemy... Uradujemy... Uradujemy...

Nagle obejrzała się wtył, przykuliła i jakby smagnięta biczem, pomknęła w dół aleją topolową.

Wędrownik patrzył przez chwilę zdrętwiały za zniknionem w mroku stworzeniem... i nagle, ruchem, jakby się przed czemś groźnem, a nieznanem chronił do własnego doskonale zabezpieczonego domu, rozsunął pręty bramy i wszedł szybko do środka.

Ciemność go ogarnęła nagle. Niebo granatowe zasłoniły mu korony drzew, zapadł po pas w wysoką trawę. Dopiero po długiej chwili trafił na drogę żwirowaną, po której twardo mógł stąpać, bo kamienie poprzerastane zielem nie rozsuwały się pod stopą.

Nagle tknęła go chęć niezmożona. Zawrócił na miejscu i począł szukać za czemś po pniu wysokiej akacyi. Było tu niegdyś, bardzo nisko gniazdo... tu, tak blisko drogi. Drobne jakieś ptaszęta skuszone gęstwą gałęzi osiedliły się na próbę, a przekonawszy się, że im bezpiecznie, pozostały.

Szukał.

Nagle rozległ się pisk, trzepot skrzydeł i samica strwożona uleciała w górę.

Wstrzymał oddech... czekał.

W ciszy głębokiej słyszał, jak mu krążyła nad głową.

Po chwili zaszumiało w liściach... siadła.

Odszedł, skradając się, próbując przed sobą nogą.

Położył się w trawie pod lipą, w kępie lip starych, otaczających kaplicę tak białą, że ją i teraz nawet po blasku rozpoznał.

Wyciągnął obie ręce w czerń, a myśl mu objęło:

Bierz mnie! Otom jest! Otom wrócił z drogi złej, po rozpoznaniu gdzie wiedzie, wróciłem do źródeł z wielkim, wielkim trudem... cóż tu prócz żalu i płaczu znajdę?

Bierz mnie! Bierz! Może obmyją oczy te łzy, co je płaczę za utraconem...

Tum legł i nie odejdę... nie... bierz mnie bierz!

Bardzo był zmęczony, wprost znękany drogą. Przywarł plecami do

miękkiej podściółki... oczy mu się kleiły, a coś, jakaś myśl niedosnuta spać nie dawała.

Ach i cóż... ktoś pijany poprostu... no pijany...

Sformułował to sobie, czuł, dla pośpiechu, byle jak, nie starając się wcale o dokładność.

Przymknął oczy... tak... teraz... jak dawniej... tam.... kilka kroków ztąd, w różowym pokoju.....

Uczuł rękę, miekką rękę, która go okrywa ciepłą, leciuchną kołdrą i leżał bez ruchu jak wówczas... w pełnym szacunku i miłości bezwładzie... nie chcąc stracić ni odrobiny z tego, co mu dawano.

Ponad głową miał... jak wtedy... ciemną, fałdzistą kotarę...

Tylko gdzieś znikły długie, złociste pasma światła padającego od lampy... co wówczas tyle, ach tyle dawało do myślenia... A nigdy dokończona nie była myśl taka, bo... Tak, w krótkiej chwili przed zaśnięciem... Tam, pod szafą znika złoty tren płaszcza królewskiego... Tu jest rzeka... przez nią ma się przeprawić on... bohater, Herkules, co dnia dokonujący dwunastu prac... ach, gdzie tam dwunastu... Ale nie zjawia się on, bo oto złocisty pas spina się po ścianie, przylegając do niej, płaszcząc się... pełza... o... przegiął się... wlazł na sufit... Ciemno... Ona zgasiła lampę... Jakto? Więc już nie pisze listów? To niemożliwe!... a jednak ciemno jak wówczas nie było nigdy... Ale szczury po dawnemu... du... du... du... du... po strychu.

— Auhoo! — zawrzasło coś przeraźliwie i przebiegło drogą poza parkiem, o kilka kroków od śpiącego.

Zerwał się, siadł. Od razu wiedział, że tak nie piszczą szczury, że to coś całkiem innego.

Słuchał. Było znowu cicho.

Nie czuł się wypoczętym, spał widać parę minut ledwo.

Ale wrzask go zdenerwował, postanowił przejść się po ogrodzie, wyszukać lepsze legowisko.

Schodząc po dość znacznej pochyłości, po której się staczał park ku polom uprawnym... nagle począł obliczać...

Tak... tak... to było w jesieni... aha... tak... może być, że to dziś właśnie... muszę napisać do nich, tych jeszcze żyjących... zda mi się... rocznica... hm... zresztą... czyż to nie wszystko jedno?

Ujrzał, jak się graby rozchylają, by dać przejście wielkiemu, czarnemu karawanowi...

Szedł wśród ciemności zupełnej, domyślając się klombów, krzewów i drzew. Wróciła mu jakby cudem pamięć tych miejsc tak dokładna, że przeskakiwał rowy regulacyjne, o których istnieniu przekonać się

nie mógł inaczej, jak tylko próbując potem nogą... uchylał ręką gałęzie, zanim go po twarzy musnąć zdołały.

Czasem zaszła omyłka... ale nie on się mylił... brakło czegoś... kamień się znalazł pod nogą z muru stoczony...

I pośród tej ciemni i żałoby chciało mu się śpiewać. Tak dobrze... tak u siebie...

Zadumał się o dawno niewidzianych rzeczach... drobiazgach... o cieniu jakiejś kanapy na ścianie... połyskliwej bieli kominka... szparach w podłodze, z których o pewnej tajemnej godzinie wychodził on w koronie na głowie, prowadząc pod rękę małżonkę poślubioną w nagrodę prac nadludzkich... koniecznie musiały być nadludzkie... koniecznie...

Ocknął się, trąciwszy nogą w pierwszy schód kamienny terasy... spostrzegł gdzie jest i machinalnie, jakby wracając z włóczęgi nocnej po parku do łóżka... począł wstępywać na górę.

Ręce jego kładły się na poręczach kamiennych, jakby przywrzeć chciały do ciosu, witać długo, serdecznie... Ale je odrywał, broniąc się... zażenowany czegoś... Wszak miał tylko: zobaczyć... i pójść sobie.

Nagle stanął zdziwiony.

Drzwi salonu, wychodzące na taras, otwarte były, a na błyszczącej posadzce stała świeca zapalona w mosiężnym lichtarzu.

Zaparł oddech. Czekał.

Ale po chwili, gdy nic nie przerywało ciszy, poszedł na palcach dalej i stanął u drzwi, bacząc, by nie wstąpić w krąg światła.

Cicho było ciągle.

Po posadzce pełzało światło, wybiegało na taras, na poręcz i toczone słupy, dźwigające ją, rudą plamą drżało na krzewach i gubiło się w dali, wsiąkając w ciemń bezkształtną.

Odbite od kamieni, padało na zewnętrzną ścianę domu, okrywając ją półblaskiem, niby pyłem różowym, na którym odcinały się długie, czarne cyprysy, stojące w wazonach na tarasie między oknami.

Spojrzał w głąb łakomie. Raczej oczy się wśliznęły cichaczem, nim otrzymały przyzwolenie... wpiły w to coś, co już nie miało prawa dlań być niczem nad wspomnienie, a nagle wbrew wszystkim: Tak być ma!... wypełzło z głuchej nicości... narodziło się po raz wtóry wedle wzoru w sercu głęboko przechowywanego.

Niskie fotele szarzały na ścianach olbrzymiemi plamami, drzwi w ścianie tylnej pałały kwadratami szyb, a palenisko kominka czarne, głębokie, wyglądało jak grota w skale srebrnolitej.

Poplamiony cieniami, wisiał w głębi ogromny obraz, w poczerniałych, gdzieniegdzie połyskujących migotliwie ramach:

— W celi więziennej wsparty na łokciu leżał na barłogu „polityczny“. Oczy wbił w przestrzeń, a słuch wytężył na szmery dobiegające z kurytarza... Ach... byle nie przeszkodzili... byle nie zaczęli ratować... W ręku trzymał koniuszek palącej się świecy, drugą z trudem osłaniał światło. Gest wskazywał, że strzeże go, by miał czem podpalić słomę barłogu, gdy nadejdzie sposobny, cichy moment. Czyn był postanowiony... czekano nań może w wielu, wielu celach... gdzie zbrakło nadziei... a może nie... może właśnie to był... Nie myślał o śmierci... rzeczą wiele ważniejszą było, by nie spostrzeżono... by nie... uratowano...

Naraz zaszemrało, jakby tłum jakiś gdzieś za ścianą odmawiał nowennę i głosy ucichły nagle.

Przybyły cofnął się i uczynił już zwrot, by odejść, gdy naraz doszło jego uszu jakby sapanie jakieś, oddech kogoś śpiącego.

Nasłuchiwał przez chwilę, a gdy nie ustawało, po cichu na palcach wszedł do salonu i ujrzał na lewo przez szeroko otworzone drzwi salę sąsiednią, zatopioną w różowej łunie.

W ścianie wielkiej sali był głęboki wnęk o sklepieniu żebrowanem, mieszczący kaplicę domową. Nad ołtarzem połyskiwał w połowie płaskorzeźbą będący obraz Matki Boskiej. Tło srebrne zarzucone było gałązkami akantu, a po środku widniała czerwona sukienka i niebieski napierśnik Madonny, pokryte siatką złotych haftów. Jezusek na jej rękach miał sukienkę białą, ledwo widną z bramowań. Obojga twarze ciemne były, a na głowach dźwigali ciężkie, baniaste korony.

U spodu na białej wstędze widniało wypisane wypukłemi literami:

„*O Mater Dei electa esto nobis via recta*“.

. . . .

Od stropu zwisała srebrna lampa w kształcie serca z czerwonem wewnątrz naczyńkiem.

Oliwa dopalała się, wszystko zalewało purpurowe światło, od którego pałały wysokie, kilkuskrzydlne drzwi szeroko otwarte, przedłużające kaplicę aż na samą salę.

Naprzeciw ołtarza stał klęcznik, na którego oparciu spoczywała głowa śpiącego starca. Widać przyszedł zagasić lampę i zdrzemnął się na modlitwie.

Patrzący uczuł na policzkach łzy i cofnął się cicho do pierwszego salonu.

W przechodzie spojrzał w zwierciadło i mało że nie krzyknął. Wyglądał w tej ciszy, w tem otoczeniu jak złodziej, co skrada się po cudze dobro. Omal, że nie wyrwało mu się z ust: Łapać! Łapać!

Zmierzał ku wyjściu. Szedł z trudem po śliskiej posadzce, a jego ogromny cień sunął po ścianach, pochylony, w olbrzymim kapeluchu na głowie, o nastrzępionych włosach, na załamanych, długich nogach, by pająk potworny.

Gdy był o krok od wyjścia, zaszemrały znów tłumnie głosy jakieś, jakby za grubą ścianą, czy pod podłogą, i naraz zawyło coś przeraźliwie, choć jakby z pewnej odległości:

— Ahuuohooo!

Przybysz wzdrygnął się, kocim skokiem dostał się na taras, potem zsunął się po schodach i za chwilę stał już skryty w cień nieprzenikniony na dole w kłąbie roślin jakichś kolących go po twarzy.

Widział teraz przez witraże okien kaplicznych czerwone światło lampy, którego dostrzedz nie mógł, wchodząc po schodach przeciwległych. Naraz zachwiało się i zgasło.

Rozległy się kroki posuwiste, powolne.

Jasność z posadzki poderwała się w górę. Starzec ze świecą w ręku stanął w progu i rozejrzał się po tarasie.

Niski był, szczupły, białowłosy.

Stał, mrucząc modlitwę.

— A światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków... Amen... Niech spoczywają w pokoju wieczystym...

Kończył głośnym szeptem starców.

— Amen! — jękło w piersi patrzącego, jakby uderzył dzwon potężny.

Uczuł, że z trzaskiem zapadają ciężkie drzwi grobowca.

Legły mu na piersiach, aż zabolało.

Drzwi wchodowe skrzypnęły, zadźwięczały w oprawie szyby, zgrzytnął zamek...

Światło jęło się posuwać na lewo, muskając meble, ściany, sufity, ukazując na mgnienie oka, wydobywając z omroki kształty jakieś dziwne, oddalą czasu choć tak dobrze znane, zjawy, które znów ginęły na wieczność może... na zawsze... przez chwilę z pozwoleń tajemnych skorzystawszy.

Przybysz patrzył, patrzył łapczywie... Mruczał do siebie:

— Jedno okno, drugie, trzecie... salon... dobrze... ach... to serwantka... portyera... tak... gzyms kominka... Ciemno. Nie... znów jasno... to różowy... sufit... tak, wieniec... widziało się pierwsze... wprost oczu... Minął taras. Teraz... co to... aha... dobrze... zielone kotary... pająk mosiężny... Cóż to? coś nowego? Nie, nie: cienie od arkad... Koniec. Ciemno. Wyszedł do garderoby... Tak, przez drzwi tapetowe na drugą stronę, na front... ciemno... koniec.

— Czy tylko okna pozamykane na froncie!

Gdzieś, z dna duszy, z pod rumowiska tylu, tylu dni wyrwało się to pytanie słyszane ongiś... wiele, wiele razy. Wypowiedział je głośno, z zaniepokojeniem, jakby dużo można jeszcze stracić przez zapomnienie, jakby samo zamykanie nie było już tylko nawyczką starca...

Nagle, gdy nie miał na co patrzyć, spostrzegł ciemń, w której był pogrążony.

Uczuł się daleko... Między tem, a nim leżał szeroki, ogromny ugór smutku.

To... nie istniało już, choć było jak dawniej rzeczywistością... nie miał potrzeby stroskać się o okna.

I oto jak ostatnia fala złudy, wzdęta przemknięciem łodzi wspomnień, rozpływająca się w pomroce jawy tępej i ciemnej choć oświetlonej, odchodził ten starzec... zanikał na zawsze... tak... pewnie na zawsze... bo... bo... czemu?...

Rzucił się, by go przytrzymać, jak dziecko chce zatrzymać, złapać błyskawicę.

Ten starzec stał mu się bliższym od wszystkiego... reszta to znikomość... pomyłka. To jest to ostatnie ogniwo łańcucha szczęścia. Gdy je pochwyci... szarpnięciem ku sobie cofnie wszystko... albo porwany pędem tego właśnie pójdzie, gdzie tamto poszło.

Nie bacząc już na łoskot, popędził wokoło domu, by mu przeciąć drogę.

Biegł z wyciągniętemi rękami... i nagle uderzył w coś... Tak... to był człowiek... człowiek czający się w mroku, zrozumiał to w pierwszej zaraz sekundzie...

Spotkany mruknął coś i niechętnie usunął się na bok.

Nie uciekał. Mimo ciemności czuło się, że stoi, na coś czeka, czy waha się, gdzie iść.

Jednocześnie zamajaczyła pod nogami ścieżka i ukazał się kawałek nieba trochę jaśniejszego od drzew.

Poszukiwacz wspomnień spostrzegł pod ścianą pałacu masę ludz-

kich postaci. Kłębiły się na czerni, wypełniały całe, wązkie w tem miejscu przejście między ścianą a linią wysokich jaworów.

Postępowali naprzód, to się cofali, a podczas tych ruchów raz rozstąpił się tłum i nagle błysło światło.

Zamigotały szyby obszernej werandy... tak, tak... dziwny jakiś tłum opanował częścią pałacu, zwróconą ku drodze, przez wieś wiodącej naokoło parku.

Sabat się tu tajemny odbywał, czy narady, niedosłyszalne dla tych, co po drugiej stronie, przez drzwi, trwali w kulcie rzeczy dawnych.

Falował tłum niespokojny... ilu się tłoczyło ludzi, po ciemku rozpoznać było nie sposób, ale parło to wszystko ku wielkiej jadalnej sali frontowej.

Zepchnięte popod ściany kuliły się tam, niby przerażone, wysokie gotyckie krzesła, wzajem wypierając, następując na siebie.

Na wielkim kominku otwartym płonął skąpy ogień, rzucając łyski niepewne po sali i wielkim, niezdarnie zbitym z desek szynkwasie, nad którym chyliła się jakaś czarna, trudna do określenia postać.

Wiatr wstrząsał wybitemi szybami, grał na nich cicho, niesforną jakąś przygrywkę.

Gospodarzyły tu nędza, niedola, szaleństwo... chyliło się do upadku, co tam... tam... jeszcze wieki stać obiecywało.

Po kątach kryły się grupy dziwne, rozmawiające półgłosem, na środku, wcale dobrze widoczny, dziad jakiś przewijał obolałe snadź w długiej podróży nogi i stękał.

To ten, to ów przystępywał do szynkwasu i mruczał, jakby napitku żądając, a wszystko to odbywało się na tle jakiegoś szmeru nie będącego głosem rozmów zmieszanych, bo zdało się za ciche, podobne do poszumu wiatru, jęczenia w kominie wichury jesiennej.

Właśnie teraz ponad szmer monotonny wzbił się głos jakiś.

— Kto... idzie?... Kto idzie? Już czas!

Odpowiedział mu przeciągły skowyt:

— Aauhoooo!

Postać jakaś ciemna rzuciła się ku drzwiom, stanęła w nich na moment i zmagając się widocznie z sobą, ruszyła naprzód.

Działo się tu coś ważnego, wszyscy byli zafrasowani, a choć pozornie zajęci każdy sobą, wszyscy słuchali jednak głosu czyjegoś, co przypominał, że już czas iść.

Dziad przewijający nogę, jakby odpowiadając komuś skrytemu w cieniu, czy tylko tak, ze starczej gadatliwości począł mruczeć pod nosem:

— Moiściewy to tak... Przychodzi czas... bierz swój tobołek i marsz... marsz... raz, dwa, trzy... marsz! Naturalnie... naturalnie moiściewy, naturalnie...

— Dobrze wam gadać, — burknął ktoś z kąta — dopieroście przylazł... ale ja... to może jeszcze i dziś... cicho... sza...

— Każdemu... każdemu co jego... każdemu... każdemu... takie jest przykazanie... każdemu... każdemu co jego...

— A to was nogi bolą?...

— Ha, moiściewy... jak i was... może i nogi, może i co innego... wszystko jest znak... wiadomo... wszystko.

Szemrali cicho, iż wydawało się, że wiatr dmuchnie i zmiecie tę wizyę niedoli, że to nieprawda, bo się rozpadnie, byle energiczniejszy gest... ale wiatr taki nie jawił się... i znów czułeś, że może się nie zjawić długo, długo... wcale nawet może się nie pojawić... i to znowu tak zostać może wieki... wieki...

Moc ich na drogę rzucała jakaś, przykazanie tułactwa... czy w nowy etap szli tego życia... czy w nowe... inne... któż powiedzieć zdoła?

Spostrzeżono snadź, że przybył gość nowy, choć go nie witano. Ciemna się doń jakaś przysunęła postać i rzekła:

— Idź do szafarza... idź do szafarza!... idź do niego!

— Któż ty jesteś! — zawołał i zdziwił się, że własny głos taki cichy, szmerliwy, jak głosy innych. — Któż ty jesteś i co znaczy to wszystko?

— Co znaczy?... On się pyta, co znaczy... Ja bo jestem w urzędowaniu... rozumiesz... więc ci radzę... idź do szafarza — idź! Jakto? Nie wiesz, co to znaczy? Więc nagle stałeś się tak ciemny? Ależ to zwyczajne, najprostsze, codzienne... jakto... czy kpisz? Idźno do szafarza!

Popychał go przed sobą i nie puścił, aż napotrącawszy po ciemku przeróżnych ludzi, dostał się do szynkwasu, przed ciemną ogromną postać.

Podobną była do niedźwiedzia, ale głos, którym przemówiła do świeżego gościa miękki był, kobiecy, cichy, nadzwyczajnie cichy, ledwo dosłyszalny.

— Co to znaczy, pytasz? Dziwne, że pytasz, choć tam, po drugiej stronie, przed momentem wiedziałeś: Co to znaczy.

— Tamto było całkiem co innego! — odparł zdumiony. — Tamto było moje własne... moje... rozumiesz... a tu tylu ludzi... to, co tu, to jest wspólne... wszystkim wspólne...

— Masz... pij! Pij!... Oszczędnie nalałem, żal mi cię!

— Co to jest?!

— Także tosamo... ot życie poprostu... życie... jakto... czyż aż tak stałeś się nagle ciemny? A to trunek ten to jest zwyczajny... środek oryentacyjny... nie trafiłbyś, bez długiego, bolesnego szukania nie trafiłbyś na trop... na swój trop... dlatego pij... ale nie myśl, że w tem wszystko... o... nie!

— Nie rozumiem ni słowa! — rzucił się nagle z determinacyą.

— Radzę... wypij... bo... zaraz... za sekundę... może się ozwać głos... a biada ci bez...

Pędzony jakimś strachem wychylił kieliszek ciemnego płynu, od chwili przed nim stojący.

Biada ci bez tego jedynego, co my możemy dać... świadomości... podniesionej skali czucia... biada ci... Tak, wziąłeś od ludzi teraz wszystko, co ci dać byli wstanie... Teraz czekaj... czekaj, aż usłyszysz głos i poczujesz w duszy swej: To Ja! Odejdź! Inni czekają ostatniego posiłku ciała... odejdź w spokoju... a wiesz co bracie... płacz cicho... cicho... to lepiej... lepiej...

Potwór dziwny zakończył jakiemś jakby łkaniem, a przybysza odepchnęli cisnący się do szynkwasu po czarny płyn.

Smaku prawie nie miał, zimny jeno był niezmiernie, jak długo zapomniany w lodzie szampan, ziębił piersi i dreszcz wydobywał w całem ciele niemiły.

Odsuwany przez innych, znalazł się wreszcie w pobliżu kominka, teraz czarnego już prawie, bo ogień wygasł, i padł tam na krzesło.

Czuł, stało się z nim coś... wpadł w spelunkę łotrów, którzy sobie karczmę uczynili z tego, co jemu jest tak bardzo drogie... tak... jutro, dziś zaraz będzie temu koniec... sprowadzi się oczywiście żandarmów... no naturalnie... tak, teraz spać... spać... Ale nie! To nie prawda... to nie może być... Co to ona, ta stwora mówiła...

...O, co za niezmierne pola śnieżne... jakto, więc nie dość... tego wszystkiego... jeszcze śnieg... śnieg... teraz?... Co za ogromne śniegi... rozłogi bieli, dal, dal... O, jakże mówić... śnieg... śnieg... nic... nic... Idę już, nie wołaj... idę... dość tego... trafię jak i ci... ci... ci... ten dziad, co go nogi... Mówię, że... widzę mój... widzę doskonale mój trop... który przed wiekami, dla mnie na tym bezkształtnym śniegu wycisnął On... ten, którego nazwać imieniem nie śmieją narody ziemi...

WOLNOŚĆ.

Niewysłowiona go ogarnęła radość.

Powód? Równie nieznany, jak w gruncie rzeczy nieznane jest wszystko.

Tylko nie roztrząsały tego dzienniki.... nie zastrzelił się bowiem wcale.

Przecież to takie proste. Budzisz się pewnego ranka.... i wyciągasz ręce do świata, by go objąć, by go ucałować.

Zazwyczaj w sekundę potem dostajesz psztyczka w nos.

Na przykład... zresztą i nacóż przykładów...

Ale są takie dni, kiedy psztyczków owych wcale nie czujesz . . . . . poprostu rozśmieszą cię one tylko.... ot całkiem jakby celem ich był nos twego n. p. krawca.

I cóż dziwnego, że się w dniu takim radujesz?

Pomieszana tu, jak państwo widzicie, przyczyna ze skutkiem i niewiadomo już.... co było na początku.

Dość, że rozpierała go poprostu radość. Chciał pocałować świat.

Dyagnoza: Dementio vernalis acuta.

Tak, tak, o niedowiarki, była wiosna dnia onego.

I jeszcze nie koniec.

Zbudził się tego ranka w bajecznym kraju swobody.

Znaszli ten kraj? gdzie... wprawdzie cytryna nie dojrzewa, ale... poprostu, wszystko co go otaczało było nowe.

Pokój wielki, widny, świeżo malowany, wokoło ogrody.... Tak niedowiarki....

„Ignoruję was!“

Tak napisał na lamusie wczorajszych trosk pełnym i o dziwo.... troski one, wspomnienia, żale i niemiłe obrazki z dni minionych.... przepadły.

A było ich dużo i misterne też były niektóre, dziwne, krętośliskie, pełne zaułków, zakamarków, progów wysokich, zapadających się podłóg... Ot zwyczajnie. Olbrzymie jedne, jak pałace w krainie snu, maleńkie inne...

Ale mniejsza z tem, przepadły!

I może to dlatego... nie wiem... dość, że była wiosna.

Wstyd wyznać, ale tak było istotnie.

Przyszła fala radości i zmyła wszystko do żywej skały. Nie zostało nic... prócz miejsca na rzeczy nowe.

To były jakieś miodowe... sekundy, sit venia verbo, jakieś chwile współżycia tajemniczego z nową formą zewnętrzną w jakiej się ukazał

świat... ten stary, a tak wyśmienicie zawsze ucharakteryzowany komedyant.

Szukał formy wypowiedzenia się i latał po pokoju.

Nie biegał — ...nie. Latał. Dotykał jeno ziemi, ale tak sobie, z grzeczności, niepotrzebnie... Właściwie, latał... nie chciało mu się tylko tak znów całkiem dokładnie machać skrzydłami....

— Oczywiście, oczywiście! — przytakiwał każdej zgłaszającej się do życia formie. Ale nie uznał żadnej.

Zdawało się, że wreszcie uwieńczy najstarszą z nich.

Kołysały nim rytmy, bajecznie tesame, a cudne jakieś, nieznane.... i znów.... oklepane.... ach.... jakże oklepane!....

Złapawszy się za głowę, omal, że nie począł śpiewać:

....No ....ale nie, nie, nie. Powstrzymał się. Tymczasem obeszło się bez blamażu.

Ale wracało ciągle. Ile razy wyjrzał przez okno, ile razy zachwycił w oczy tego słonecznego, złotego blasku, którym tam na świecie przepojone było wszystko, tyle razy czuł, że na nowo poczynają nim kołysać rytmy cudne jakieś, a znane dobrze, choć znowu pełne nowej, przedziwnie niewypitej treści, choć tęsamą czarę miał tyle, tyle razy przy wargach.

Stanął na chwilę. Potem, jakby się namyślił, usiadł przy stole i na ćwiartce listowego papieru począł pisać:

„Moja Jedyna!...“

Ale tyle tylko był w stanie nakreślić. Powinien zaś był nierównie więcej i to od dawna już...

Cała ta ogromna radość miała być.... tak się wydawało przez chwilę, powierzona tej ćwiartce papieru tant bien que mal... i iść kędyś daleko cieszyć drugą duszę.

Ale.... o ileż łatwiej byłoby list taki namalować, niż pisać.

Pokój jasny, czysty, ściany pięknym kryte deseniem, a pod oknami czuby kwitnących czeremch.

To przedewszystkiem.

Dalej zaś po obu stronach niedawno dopiero wyciętej ulicy.... ogrody, — wielkie, zapuszczone od niepamiętnych widno czasów ogrody.

Pozłocone były kopuły widnych w dali kościołów, a także i kołki w rozwalonym do połowy płocie, co koślawo, niezdarnie biegł pomiędzy parcelami. Wypolerowane były wszystkie klamki u drzwi, wyczyszczone szyby domów, obmyte tramwaje skrzypliwe, rozklekotane dorożki, konie, psy, ludzie, a wszystko przysłaniała przecudna, nie do określenia przeźroczysta mgła.

Czułeś czystość samej nawet błota kałuży.... krystaliczną dostojność brylantowej powierzchni z odbiciem cudów nieba i ziemi. Co tam.... gdzieś, w głębi.... o tem dziś i mowy nie ma. Owo „Dziś“ takie wydało rozporządzenie, takie hasło.

Idzie dziad kościelny. Szara, czerwonym krzyżem znaczona opończa błyszczy na słońcu, podobnie jak i brudne koszulki dwojga dzieci, co czerpią skorupkami wodę rynsztoka, starając się napełnić nią stary słomiany kapelusz.

Szkoda, że nie widać karawanu.

Jaki byłby dzisiaj?

Zapewne purpurowy, ognisty, słońcem na kolor radości malowany.... A posuwałby się szybko, raźnie, niefrasobliwie.

Oto oddaję, znaczyłoby, ziemi cząstkę wczoraj, poto, by się zjawić mogło dziś...

I jakże to wszystko napisać?

Więc tylko chyba zaśpiewać, czy zagrać na skrzypkach.... A może najlepiej otworzyć jeno okno i powiedzieć:

Patrz!

Opisywać, znaczy podawać powody, tłómaczyć, objaśniać, często też zaciemniać, by ukryć, ale zawsze powody... powody....

No, a jakże tu podać powody, czemu się weszło do drugiego pokoju, jasno oświeconego słońcem...

Stało się!

Począł szybko pisać:

„Moja jedyna...“

„Nie wiem co się stało, ale choć ciebie tu niema, choć losy nasze nie najjaśniejsze, rad jestem z czegoś strasznie...“

Nagle zrozumiał, że jestto niemożliwe.

O, jakże się trudno porozumieć ludziom. Za każdem słowem, tylekroć sprofanowanem, utarzanem po błocie podejrzeń uzasadnionych.... tyle się mieści stwor skrytych, pokracznych, drwin pełnych....

Oto ona pomyśleć może:

„Spotkał pewnie dawno niewidzianą kochankę“.

Albo:

„Nie jestem mu widać niczem, kiedy wiedząc jak jestem smutna, jak samotna...“

Albo w najlepszym razie nie zrozumie wcale.

I słusznie, bo skądżeby....

Rzucił pióro i podszedł do okna.

Powiódł okiem z wysoka po świecie wkrąg i pomyślał: Wszystko to jest królestwo moje!

Uczuł się władnym mocarzem, który by orzeł siedzi na wysokiej turni-zamczysku i mruży oczy, wie bowiem, że oto dziś nikt nie ruszy jego włości.

Nadchodziły zwolna różne myśli, ale jednej nadewszystko rad był: To jest W o l n o ś ć!

Tak mu się przedstawiła wolność, a dusza radosna, uciekła niby z ciała, siadła, by ptak na kwitnącej czeremsze i dziwiła się osłupiałemu: Cóż to za gamoń tam stoi w oknie z otwartą gębą?

...Nieprawdopodobnie dobrze!...

I dlatego... dlatego ani listu, ani...

W odległej, ledwo co wyznaczonej ulicy przechodnie nie bywali częstem zjawiskiem, to też zwrócił zaraz uwagę stojącego w oknie człowiek wlokący się kędyś widocznie bez celu.

Modny płaszcz wisiał luźno na wyschłem jego ciele, pomięty kapelusz chwiał się na głowie tak nizko na piersi opuszczonej, że twarzy wcale widać nie było.

Szedł człowiek ów, a patrzącemu wydało się, że suną za nim wielkim korowodem zjawy rozliczne.

Skradały się popod parkany chytre pomysły nizkich wybiegów, posuwiste, a przygięte do ziemi, jakby zawsze gotowe do skoku, ambicye szły zaś środkiem ulicy, zataczając się zlekka i nie zlekka, — toczyły się krągłe, tuczne jak wieprze uciechy towarzyskie i inne.

Wyprzedzał jednak wszystkich, o czem wspomnieć się przez chwilę wahałem, wsparty na krzywym parasolu powagi stary, w połamany cylinder przybrany orangutan z wielką, ciężką księgą pod pachą.

A z dziur w chodniku, z otworów suteren wypełzły różne inne gady i węże i z sykiem roiły się pod nogami idącego, lub wiły spiralnemi skręty w powietrzu.

Od czasu do czasu smutny człek przystawał, jakby niepewny drogi i ruszał po chwili dalej, na oślep, byle ujść napastowania potworów, obskakujących go, ledwo się zatrzymał.

Patrzący z okna poznał znajomego i głośno niemal zawołał: Tak wygląda szczęśliwiec!

Więc tak wygląda „Pożeracz serc“, gdy nań nikt nie patrzy.... w odległej ulicy?

Nie zastanawiając się co robi, wychylił się całem ciałem za okno, osłonił usta dłonią i już miał zawołać, gdy nagle przypomniał sobie

swą turń-zamczysko, tę samotnię swoją, tę ciszę, to ogarnianie z wysoka królestwa . . . . .

Ach! W cóżby się zmieniły i słoneczna radość i pustka po zapomnianych grzechach wczorajszych . . . . .

Skrył się.

Ogarniony strachem, wspomniawszy, iż tamten może rozgląda się za pomocą, że mógł go dojrzeć w chwili owego nierozsądnego wychylenia... przywarł z boku do ramy okiennej i czekał, modląc się, by bez skutku pozostał jego poprzedni, nierozważny uczynek.

Wszystko musi mieć jakiś skutek i wszystko jest skutkiem.

Dobrze, dobrze, byle nie to... byle nie to...

No i jakoś... jakoś minęło.

Znajomy poszedł dalej, zabierając swoją menażerię. Ostrożnie wychyliwszy głowę, obserwował to król zamczyska i błogosławił... tak... błogosławił... temu poczciwemu... Ypsylonowi... a błogosławieństwo jego przyniosło, jak mi mówiono, ogromną ulgę biedakowi... jaką... nie pomnę.

No i jakoś minęło. Dziwny, dziwny dzień!

Zawsze miał „pecha"... zawsze.

Uczucie wdzięczności nim owładło, uczucie, które zwykle pożąda się przejawić w czynie.

Jakiś piękny tedy... ale to piękny czyn!

— Do pracy! Do pracy!

Tak. Trzeba się okazać godnym łaski otrzymanej, niespodziewanie uzyskanego nowego życia.

A praca ta, musi to być coś całkiem nowego, przepojona być winna uczuciem, z którego wzięła życie.

Ewangelia radości musi to być. Tak. Nie inaczej!

I znowu zakołysały nim rytmy dawne, odwieczne, nowe, nieznane, nie do poznania zgoła.

Jednym ruchem skrzydeł wzbił się wysoko i z tych wyżni spoglądając na opuszczone ciało, pytała dusza jego zdumiona: Cóżto za gamoń tam stoi przy oknie z otwartą gębą?

Od chwili już odzywało się coś na ulicy monotonnie: — Iihuuu! Iihuuu!

Nie słyszał naturalnie.

Było to, jakby skrzypiały taczki, nienasmarowany wózek, czy coś podobnego.

Cały balast doświadczeń... precz... naturalnie! Z wszystkiego, samo jeno uczucie wyzwolenia... Tak.... ileż tedy... ha... dwa... trzy akty... Nie... Wyzwolenie... nie... nie, to... A cóż tam u licha?

Wyjrzał przez okno roztargniony, nie widząc nic. — Więc... powiedzmy... cześć dla radości... nie... uznanie... uznanie... to dosyć... gdzieżby w naszych, skłonnych do pessymizmu czasach... toby zaraz padło... po pierwszym spektaklu... Cóż do stu tysięcy?

Drażniło go ustawiczne:

— Iihuuu! Iihuuu! — dochodzące z ulicy.

Rozkosz tedy... tak, nie mylę się... kult rozkoszy... tak... tak... ołtarz postawiony rozkoszy...

— Iihuuu!... Iihuuu! — skrzypiało teraz dużo bliżej i wprost nieznośnie już.

Poskoczył do okna groźny, z zaciśniętemi pięściami, gotów na wszystko.

Ulica pusta, otoczona parkanami, z poza których wychylały się śnieżyste czuby rozkwitłych czeremch, szedł z trudem człek jakiś i ciągnął za sobą na konopnej szlei spory wózek.

Na wózku onym rzeczy było niemało, a w miarę zbliżania się widać je było coraz to wyraźniej.

Przeważały skorupy z potłuczonych, cudnych niegdyś amfor. Ale truciznę snać mieściły w sobie, bo zielone na nich i sine widniały osady, z innych zaś dotąd mętna ściekała ciecz na bruk uliczny. Dalej czerniły się przekisłe, popękane garnki, w których królowa Nędza wczoraj jeszcze pewnie gotowała strawę codzienną. Z boku wychylały się na świat niepewnie trzewiki podarte na drogach cnoty, z błotem po krętych ścieżynach życia uzbieranem mozolnie. Nad tym drobiazgiem, przygniatając go wprost swą ważką personą trzęsła się wielka komoda fałszowanych dokumentów szlachetności, a obok niej widniała miednica ku myciu w czystości rąk służąca i jako żywo w tej służbie obrzydliwemi plamami okryta.

Ale wszystko to byłoby niczem, gdybym zapomniał o niewielkim, sterczącym nogami w górę stole. Przy nim... zresztą mniejsza o dokładność... Dość, że był on przykrą, nader przykrą pamiątką dni minionych. Coś o uczcie się zaplątało w pamięci niechętnej reminiscencyom, o uczcie braterskiej, kartach, cykutowem winie, gościu spodziewanym, a niespodziewanym tym i owym... ot smutne, smutne rzeczy...

Wszystko, a nie wyliczyłem ni części małej rupieci, mieściło się to tu, to tam, a przewiązane było troskliwie, z widocznem nawet staraniem o elegancyę, porządnym sznurem. Ten kto to uczynił, w całej pełni zasługiwał na miano zdolnego i o dobro klientów dbałego fachowca.

Człek to był zresztą dziwny jakiś.

Teraz, gdy przystanął dla spocznienia i ocierał pot z czoła rękawem, widać go było wyraźnie.

Rysy miał ostre, nos haczykowaty i czarny, kędzierzawy zarost.

Uśmiechnął się jowialnie, szeroko otwierając usta.

Na głowie jego widniała czerwona czapka z przypiętą z przodu blachą. Słońce grało na niej barwami tęczy jak na szybie katedry i zdala jaśniał wyraźnie napis:

Posługacz publiczny.

Czapka siedziała na głowie krzywo jakoś, a z pod niej wyzierał mały, krzywy, kosmaty, rożek dyabelski.

Ogon biesi dla większej wygody okręcony był wokoło biódr i zastępował sznur, jakim się opasują zazwyczaj tragarze.

Postał chwilę, zapiął na piersiach rozwartą niebieską bluzę, a znalazłszy oczyma stojącego u okna w osłupieniu człowieka, zdjął uprzejmie czapkę z głowy, skłonił się i zawołał:

— Całuję tysz pokornie rącki pana dobrodzieja. Zmarudziło się... Ale nimem się tam na policyi o adrys dopytał... Straśna ciżba!

DOLA.

Wysoko, bardzo wysoko gdzieś, przewracał się po powietrzu, kąpał w blaskach słońca, nurkował w światłości.

Poddawał ciepłu to plecy, to puszczał promienie po piersiach, to po bokach ku stopom.

Jakże piecze! Jak zatapia! Jak mocni!

Chciałoby się jedną ręką chwycić kędyś w tej jaśni utajoną gwiazdę, drugą ręką drugą i tak wydźwignąć się na wyże niezmierne, jak gimnastyk wywija się na drążek.

Albo znów jak orzeł złożyć skrzydła, po ciele je położyć i spaść w dół... piorunem spaść... ale dobiegając ziemi skręcić w bok, minąć ją i wpaść w pokryte jej cieniem otchłanie.

Szeroko, jest gdzie latać, nie zawadzi tu o nic, chyba tam niżej chmurę przetnie i znowu wynurzy się człek z oparu jak księżyc.

Przegiął się grzbietem do słońca i spojrzał w dół.

Zobaczył chmurę, a na niej Dolę zadumaną.

Płynęła, ku zachodowi, by zastąpić od tamtej strony promieniowi słońca, żeby przed zbytnim żarem zasłonić łan pszenicy.

Miała ciemną, siwą szatę. Siedziała ponura, z łokciami na kolanach, głową w dłoni złożoną. Z czoła jej czarne spadały włosy. Palce rąk włożyła w zęby.

Cicha, spokojna na biegącej, ciągle zmiennej chmurze twardym obry-

sowana konturem, jakaś stała, nieprzemijająca pośród rozpływań i skupiań, kształtów zatracań i tworzenia bezustannego, dziwne czyniła wrażenie. W swej realności na tle złudy, zdawała się lotną mgłą pośród skał rzeczywistości. Obcą się tu wydała, paradoksalną na własnym tronie. Nie na miejscu tu, zkąd rządzić światem nawykła.

Roześmiał się aż, na myśl ile ma ona dziś do roboty i nagle w poczuciu swego królewskiego nadmiaru czasu, rozpostarł skrzydła, zamknął oczy i całą siłą rzucił się prosto przed siebie.

Leciał bez pamięci i kierunku. Wicher mu gwizdał zrazu wielki koło uszu, ale potem i on ustał, nie szarpał go teraz pęd za włosy, zrobiło się cicho, dreszcz nim tylko wstrząsał zimny i czuł, że skrzydłom niema się na czem oprzeć.

Mniejsza! Nie odmykał oczu, myślał tylko:

To jest chwila upojenia. Ach tak, to jest upojenie, to jest sen o wolności . . . . .

Ach, jakże się to robi... zapamiętać... zapamiętać... A więc: wnętrzna wola, rozmach członków sam się wyzwala w ruch. Ledwo, że się uświadomiło, już wichry przegania, wichry lecące w służbie.

To inny lot, to inny!

Rozkosz, to bezkierunkowość.

Im zbaczać z drogi nie wolno, chyba, że się roztrzaskają o przeszkodę.

To zaś nazywa się: latać... Bez przynagleń, co późnią, bez brzemienia spełnień, ...to jest: latać... być wichrem włóczęgą pośród wichrów żołnierzy, godzinami nie widzieć ziemi, nie czuć jej pod nogami nawet w wielkiej, ogromnej dali... a wysoko... wysoko, gdzie już całkiem niema nic do roboty nawet najprawowierniejszy promień słońca... to jest: latać....

Strasznie jakoś zimno!

Czuł pod zamkniętemi powiekami, że tonie w ciemni, pod bijącemi szybko skrzydłami nie miał powietrza...

Otworzył oczy.

Tkwił w czerni niezmiernej. Niby knoty jarzące się świec pogaszonych błyszczały czerwono gwiazdy w oddali przestrasznej.

Przewrócił się na wznak odrętwiały niemal, a jednocześnie rozkoszą zamrozu objęty w tej bezdennej, bezgłosej ciszy.

Chciał nabrać tchu w piersi, a westchnął pustką jeno. Krzyknął ...i ledwo zaszemrało...

Był gdzieś, na krańcach atmosfery, gdzie życie ustające już niemal form żadnych niema.

...I nagle, z czarnej postaci wyjrzała ona... Dola.

— I czegóż chcesz? — spytał szeptem. — Czegóż się we mnie wpatrujesz, ty czarnowłosa, na nicościach pilnująca nicości?

Znowu mu była onej chwili tak wyraźna, tak materyalna wśród bezmateryalności otoczenia, że się zdumiał.

Zbliżała się, szła na niego, ...szła ...szła... jak idą czasem różne rzeczy gdy się mocno, mocno wpatrywać... Wyłoniła się jakby ot z tamtej mgławicy błyszczącej, i pędziła, pędziła... Widać było coraz to lepiej owal twarzy na dłoniach opartej, i oczy ...ach te oczy... parły go, spychały w dół, ku ziemi, jak obce, wrogie ciała niebieskie.

Szła przed nią fala wielkiej energii, wiał prąd niewidzialny, zmiatający wszystko z drogi.

— Precz! Precz!

Próbował walczyć, wbił się skrzydłami w rzadkie, niemocne powietrze, i choć się rzucały konwulsyjnie stanął jej wbrew.

Chwila i cofnął się, uśliznął, przegrał i pchnięty potężnie spadł.

Uczuł znów pod skrzydłami ciepłe, gęste powietrze kręgów przyziemnych.

. . . .

Obciosywał siekierą kawałek drzewa na orczyk i słuchał starych.

„I mówię — prawił jeden z nich, że tylko wielka determinacya z nóg ją powalić zdoli... choć znowu... pamiętam... ha moiściewy, któż ta odgadnie co lepiej... jemu to ta niebożykowi nie na najlepsze wyszło...“

Ale nie wiedział o co im idzie. Myślał, że wszystko, wszystko co się rusza na świecie, rusza się za pomału.

Prędzej! Prędzej! Jak wówczas!

Sama wola... czuł, że samo to jeno: Chcę!... samo to tylko miało moc pochłaniania przestrzeni, zbliżania odległych, niknięcia blizkich.

Chcę!... i gwizdał koło uszu wiatr...

Chcę!... i ziemia stawała się małą połyskliwą kulką gdzieś pod nogami, czerniały niebiosy i czerwieniały gwiazdy najzłotsze.

Ale nie zawsze ...nie!

Zachciałeś, i darmo... pragnąc, leciałeś na dół coraz to bardziej zdziwiony... i tajało ci to chcenie i w strach się mieniło... co rósł... rósł... coraz większy czarniejszy, jakbyś w chmurę się gradową zapadał.

A czemu?

Pomyślał. Raz chciało mu się zajrzeć w komin fabryczny, raz znowu ściągnąć kota za ogon z topoli.

I nic.

Naturalnie! — oburzył się sam na siebie. — To głupstwa!

„O, nie na dobre to wyszło biedakowi... nie! Więc mówię, Bóg sam jeden raczy wiedzieć co lepiej... Zresztą, myślę sobie... jak ma być tak... to cię korci... zrobię to a to... a nie... to znów ciągnie w inną rzecz... tylko jakie to są rzeczy, tego przedtem nie wiesz... i temu obrony myślę niema. Oj niema obrony, niema. Ale zwalić ją też można. Wtedy ci się zdaje... „mocnym jest“... „młodym jest“... spluwasz w garść i dalejże!... Ale pono i to tak być miało... żeś się w sile czuł, żeś w garść splunął, że ci się taka, a taka rzecz do obalenia pokazała“...

Mrok zapadł. Wstał, spostrzegłszy teraz dopiero, że ciesze na pamięć i wszystko na nic.

Hej! Na świat! Na świat!

Nagle otworzył drzwi i okroczyć chciał próg. Ale zdążył się jeszcze rozpędzić, dać sobie rozmach. Temu, nie przewalił się przez coś, co siedziało w drzwiach, szare, w pierwszem spojrzeniu nie do poznania.

Skoczył i zdziwiony obejrzał się zaraz nie bez trwogi.

Siedziało ich dwoje. Stary wskazywał nań palcem i opowiadał coś kobiecie, ...kobiecie o czarnych włosach, siedzącej z głową w dłoniach, z palcami w ustach... tak... tak... to znowu ona... Dola... a on...

Strach mu zjeżył włosy na głowie, uciekać począł i stanął dopiero zmiarkowawszy, że go od nich bodaj sto kroków dzieli.

Obejrzał się w sam czas, by widzieć, że wstają i idą w jego stronę.

Kroczą powoli, a przestrzeni tak szybko ubywa... zauważył zdrętwiały...

Wokół niby pusto, nic tylko krzaki, ale naraz wydało mu się, że za każdym skryty stwór jakiś, co go będzie łapał, przytrzymywał... jeśli tak być ma... doszeptało coś końca myśli...

Kroczą powoli, a coraz są bliżej, coraz bliżej... już jeno sięgnąć ręką... świecą, by wilcze oczy Doli... a on?... Ach, cóż się stanie, gdy spojrzeć trzeba będzie... pomyślał, jakby miał myśleć: ...gdy umierać trzeba będzie... i pchnięty by nożem, nagłą rozpaczą, spojrzał.

Starzec litośnie włosy długie, płowe na twarz narzucił... tak litośnie... oczywista... twarzy nie miał żadnej, wydało się... szedł tyłem...

Ale nawet taki straszny był, czuło się, że życie się urwie, jak nić pajęcza, skoro tylko... on... zechce...

Szedł. Szli. Prosto na niego... prosto... śmierć!

Serce mu bić przestało. Już nie myślał nic... tylko coś, jakby obce, wrogie, a dobroczynne, bo skracające mękę czekania, wołało ku zbliżającym się: Prędzej! Prędzej!

Ale nie umarł, bo oto oni ulitowali się w ostatniej chwili, skinęli sobie na pożegnanie i naraz rozeszli się w prawo i lewo, skręcając znagła w pola objęte zmrokiem.

Dawno ich nie było nim się odetchnąć poważył.

. . . .

Szedł z wysiłkiem, prąd był wartki.

Minęły czasy górnych jazd, szczęśliwej bezkierunkowości. O nogi biły fale, każdy krok to zmaganie się bolesne, walka o niewiadome.

Pustać. Roztoką płaskobrzegą płynie potok, a zadanie?: jakiś... niewyraźny nakaz:

„Tę oto łódź bez wioseł, dla kogoś... pocoś... hen... aż do lodowca górnego, zkąd płynę, dociągnij!"

Dorosły jestem, czuł tak. To się zwie: Pełnia sił!

Łzy do ócz napłynęły. Wiedział: Ten nakaz, ten postanowiony stan rzeczy, to straszne, od wieków trwające niepotrzebne a okrutne niweczenie radości życia.

Ktoś w młodości prędko, w sekundzie z wartkim spłynie prądem... może prześpi chwilę małą... i kara? Nie tworzenie, ale kara?

Na płaczu, na łzach płynąć w Jutro? Poco?

Rzeką szedł, co rwała z gór nienazwanych, mówi się: z nakazu Boga.

Rzeką szedł i cierpiał, biorąc na siebie cały przeciwny prąd i całą świadomość, że to daremne, że kiedyś zostanie spostrzeżone i ustanie.

Rzeką szedł w górę i czuł cały żal, że go niema wysoko, wysoko w niebie.

Dorosły jestem, czuł tak. To się zwie: Pełnia sił!

I ledwo tak pomyślał, osłabł rozkosznie i nie mógł walczyć z prądem przeciwnym, i nie mógł podnieść nogi.

Czyżby nadszedł czas?

Czyżby woli słuchał On... wielki a obojętny?...

Zdziwiony był i osłabły, prąd go znosił.

O jakże prędko! Dwa dni temu mijałem ten zakręt... a tu...

Niosła go woda, tonął i dziwnie mu było:

Zwyciężam! — myślał — ...Ginę! — myślał jednocześnie.

O ty niebo! Któż tam jest na tobie?...

Podniósł oczy.

...Brzegiem rzeki, pod prąd, szła kobieta.

Szła obojętna, cicha, szata za nią siwa wiała i włosy czarne płynęły w przeciwnym wietrze. Głowę na piersi zwiesiła, złożyła ją w obu dłoniach.

Szła pewnie, równo po płaskim brzegu, nie oglądając się wcale.

Ale gdy ją ujrzał tonący, nabrał sił.

Wbił nogi w grzązki grunt, rękami czepił się umykających wodorostów i ruszył naprzód... naprzód... naprzód... z zaciśniętemi zębami... łkaniem przyczajonem w piersi... naprzód... naprzód... naprzód...

. . . .

Był gzyms kamienny stary, ścieżka skalna, niewiadomemi rękami ułożona, dla stóp nieznanych.

Stał w ręku dzierżąc koniec łańcucha, długiego i ciężkiego.

Dorobek... mówili, wieków...

I podać go trzeba tam naprzeciwko o kroków sto... włożyć w dłoń, co się wyciągnie...

A jeśli nie? A jeśli tam niema nikogo?

Domki w dole nizkie, jakby rozpłaszczone... i przez kominby zajrzał niemal prosto w garnek...

Pod nogą się głazy chwieją. Powypierały je z oprawy zielska przerozmaite, poruszyły stopy czyjeś...

Ostrożnie... Ostrożnie!

Z dołu, z pod nóg dolata głos dzwonu.

Świat do snu kołyszą liliowy te dzwony. Jakże nizko... Jak nizko zlatać muszą z nieba anioły z wiatykiem do mrących tam w dole...

Na niczem nie możesz oprzeć dłoni. Skała odbiegła daleko za dziesiątym krokiem... łańcuch ciężki... nie, spocznę!

Ale w spoczynku jeszcze trudniej... nie... Ten gzyms, ten kawał drogi trzeba wziąć rozmachem...

Przeklęty kamień... Śliski gzyms łuku, którego filary niezmierne wkopane gdzieś na dnie przepaści...

Ach jakże daleko... a mówili: Nie dalej jak od jednej myśli do drugiej... tak mówili w Świątyni...

W drogę! W drogę!...

Świat na dole teraz czerwony, słońce... mówią... ogląda się... Na mnie patrzy... Czuję... żal mu, że nie zobaczy, jak się to skończy... Widowisko nie codzienne...

Hej staruchu! A co się tam stało z ostatnim... z ostat......

Jezus! Marya! Nie! Nie! Nie! Nie sposób... Spocznę!

Drżą tak nogi. Mówili... wytęż moc chcenia... nie spoglądaj na prawo, nie spoglądaj w lewo... Niema cieni... nie daj się złudzić cieniom, co zastępują drogę... Ach... jest... jest cień... Wychylił się z za skały, gdzie... to ręka się wychyla... ręka... Masz! Bierz!... Bierz!...

Idzie ktoś śmiało po śliskich głazach z wyciągniętą dłonią.

— Pokaż stygmat!...

Idzie, nie słucha.

— Pokaż znak!

Wyciąga dłoń... Niema znaku... Aaaaaaa! O n a!

— Czego chcesz? Nie dam!... nie... nie! Precz! Z drogi!

Z poza pleców Doli wychylił się człek z włosami płowemi na twarzy. Śledził tok walki... krótkotrwałej walki.

Pielgrzym pchnął pięścią Dolę w pierś... zachwiała się.

— Precz! — krzyknął i wymierzył cios drugi między oczy.

Wtedy człek ów podniósł rękę do twarzy powoluteńku, drugą podtrzymując padającą od uderzenia.

I wpatrzony w wysłańca Świątyni, rozchylił na czole włosy.

Ciężki łańcuch uderzył o kamienie i stoczył się w bezdeń przepaści wraz z zmartwiałem ciałem pielgrzyma, wysłanego ze Świątyni, pracownika Jutra... którego poraził Zamroz Strach.

. . . .

Otworzył oczy. W szafirowej jakby mgle ujrzał śmigłe, wysokie filary mostu. Leżał na wznak na łące kwietnej, bezsilny, jakby po ciężkiej chorobie.

Nie bolało go nic. Tylko przy każdym ruchu, przy każdym niemal oddechu szeptało mu coś: I na cóż! I na cóż!

Wszystko już skończone, załatwione, wyczerpana treść zadania... ot wspomnienie jedno, drugie i koniec.

Dawne czasy... Loty dalekie na wszystkie strony, bezobowiązkowe nadzorowanie wszechświata... walki ze smutkiem życia, łódź daremnie ciągniona w górę rzeki do lodowców górnych... trud łańcucha... Porażenie Strachem...

Od jakichże drobnych rzeczy, pomyślał, zależy Jutro... Od jakichże nikłych ocznych złud zależą rozkazy Świątyni, sama ona nawet... sama ona.

Widziałem... więc mówię: Jest... ale cóż to: Jest, znaczy? Wszak tylu mówi: Niema... A owa złuda złud, co mnie prześladuje...

Nie chciało mu się myśleć. Wodził oczyma wokoło, po łące, na każdym kwiatku napotkanym dając wypoczywać oczom.

Podniósł wzrok.

Był łuk potężny od skały do skały, górą gzymsem obrzeżony. Jakieś współzatarte na nim widniały rzeźby, końskie nogi wzniesione do skoku, ostrza dzid w rękach wojowników...

Zamykał widać jar głęboki, był jakby bramą doń... tak bramą był.
Potężne skrzydła bramy zawarte były, świeciły ponuro pociemniałymi okuciami spiżu.

Dźwigały się poważnie ku górze.

Wiódł oczyma po wstępującej linii potężnych gwoździ.

Nagle zerwał się. Siadł, przerażone oczy wbijając w półkolistą przestrzeń najwyższą.

Tkwiła tam twarz olbrzymia, ciemna, o wielkich połyskujących oczach.

Dola złożyła głowę na splecionych rękach, palce włożyła w usta i wpatrywała się cicha, niema w siedzącego.

Teraz dopiero zobaczył, że ona to sama była skrzydliskami bramy do jaru wiodącej... suknia jej ciemna opadała w szerokich płaskich fałdach, suknia siwa, usiana gwiazdami poczerniałego złota.

I nagle mu śmigło przez głowę, by stoczyć z nią bój. Pamiętał, że się zachwiała pod jego ciosem wówczas... czuł moc teraz... czuł w sobie nakaz...

Zerwał się i rzucił na zapatrzoną.

Wymierzył cios potężny w jej kolano... i padł na ziemię. Pięść jego nie trafiła na ciało.

Wstał.

U stóp jego leżała siwa suknia Doli... na trawie zaś poczwarne jakieś błyszczały kwiaty, czy oczy.

Wpatrzył się w nie.

Rozpływały się widocznie, zachodziły mgłą, wsiąkały w ziemię...

Gdy tak stał zapatrzony, uczuł nagle, że go ramię czyjeś obejmuje.

Podniósł oczy i ujrzał nad sobą pochyloną twarz anioła ciszy wieczornej.

Podparł silnem ramieniem chwiejącego się z wysiłku walki i przerażenia i rzekł cichym, śpiewnym głosem:

— Oto nadszedł czas odpocznienia... chodź pracowniku wierny pożywać wieczerzę po dniu znojnym, otwarte są ogrody pańskie dla spracowanych na polu Jego.

Uczuł, że na oczy mgła mu spada jakaś przejrzysta, a przez mgłę tę ujrzał w zamkniętej łukiem przestrzeni długie, nieskończenie długie aleje cyprysowe, ginące gdzieś w pomroce dali.

— Chodź! — powtórzył anioł, i poszli.

* * *

FR. MIRANDOLA.

Z Antologii francuzkiej.

JULIUSZ LAFORGUE (z cyklu Łkanie ziemi).

CIEKAWOŚĆ.

Chciałbym wiedzieć zkąd zjawy przyszły tego świata,
Gdzie szukać dla tych przemian prawdomownych świadków...
Gdzie źródło tych wieczystych zdarzeń i przypadków?
Ze skraju naszej puszczy wzrok tam nie dolata.

Skraj puszczy, a w przestrzeni gdzie wzroku nie staje
Istnieć mogą ogromne bratnich serc gromady...
Czyliż gdy znijdą kiedy zwiedzać nasze kraje
Dochowa ziemia tęsknot i wysiłków ślady?

Pytam przejęty strachem i czekam wśród głuszy...
Zagadki czyż się nigdy rąbek nie odchyli?
Czas bieży niewstrzymany, chwila mknie po chwili,
Umrę, a me pytanie niebiosów nie wzruszy.

Umrę, stanę się niczem, wejdę w ciemń bez końca,
Ja, com chciał świat ogarnąć, jego cel wyśledzić...
O strasznie jest umierać, niknąć i nie wiedzieć,
Kto świat z przepaści nocy wydarł na blask słońca...

TWARZE ZMARŁYCH.

Porzućmy marzeń złudy, światła, co są cieniem,
Rozumu zdawna znane, nikłe argumenta,
Wspomnijmy drogich zmarłych jak serce pamięta.
Sam na sam małą chwilę żyjmy z Przeznaczeniem.

Pamiętasz, jakiem smutnem żegnał nas obliczem?
W kosmiczne sięgał głębie — miał przeżarte płuca...
Gdzież jest teraz? Co cieszy i co go zasmuca?
Wiem, ciało leży w grobie, ale duch czyż niczem?

Gdzie duch, którego zdawna znudził Bóg wszelaki,
Ten duch, który nie pragnął wypoczynku w niebie
Ale tęsknił i roił sny przyszłości ziemi...

Czyż z tej piersi wyleciał kędyś w Jutra szlaki?
O, patrząc na te kości warto spytać siebie:
Z czego się czaszka śmieje usty bezzębnemi.

BEZUSTANNIE.

I pomyśleć, że w głębi niebios już nie władnie
Stary marzyciel... Myśleć, że przestrzeń wskróś złotą
Pełnią atomy... z wielką wołając tęsknotą
Za sercem wśród lazurów, a głos ten przepadnie...

Pomyśleć: Nic nie wiemy! Choć w tysiączne tony
Łamie się krzyk o światło i w przestrzeń ulata!
Czas idzie wlokąc z sobą chwile, wieki, lata,
Pracownik Nieznanego, straszny, niewzruszony.

Idzie, porywa z sobą dla wiecznej zatraty
Popioły męczenników, stolice i światy,
Czas cichy i spokojny jak orzeł podchmurny...

Czas, co nie zna ni źródeł swych, ni swego końca,
Napotykane w biegu porywając słońca,
Toczy się bezustannie z niebios modrej urny.

* * *

Przełożył F. Mirandola.

ÉMILE VERHAEREN.

LUTY.

Są takie serca biedne, marne,
całego morza łez siedziby,
a takie blade, zimne, niby
głazy cmentarne.

Są grzbiety, które troska życia
i nędza silniej wciąż przygniata,
niżli od dachu się poszycia
ugina chata.

Są takie ręce biedne, drżące,
jak liście zwiędłe z drzew strącone,
jak zżółkłych liści tych tysiące
wiatrem pędzone.

Są oczy takie trwożne, skromne,
co patrzeć umią smutniej jeszcze,
niż zwierzę patrzy się bezdomne
na grom i deszcze.

Są ludzie o obliczu bladem,
co szczęścia nie zaznali wcale,
za nimi nędza idzie śladem
zapamiętale.

MŁYN.

Na tle niebios pełnych ciszy, smutku,
stary wiatrak kręci się wieczorem —
rzuca w górę, bez przerwy, z uporem,
skrzydła zmięte, słabe, — pomalutku.

Ciężkie skrzydła, od wczesnego ranku
wciąż te same wykonują ruchy —
a i teraz, choć wieczór już głuchy,
wciąż się kręcą, zwolna, bez ustanku.

Szare chmury po niebie się wleką...
ciche wioski sen wieczorny chwyta —
droga polna, kołami poryta,
w martwej dali ginie gdzieś daleko.

Do stromego tuląc się urwiska
kilka chat się nędznych pochowało. —
Mała lampka, wisząc pod powałą,
na ich wnętrze mdłe odblaski ciska.

I w tej ciszy i pustce bez miary
okna chatek błyszczą oświetlone
niby oczy — uparcie wlepione
w spracowany, ciężki wiatrak stary.

ULICE.

Od świateł, które w oddali migocą
wzdłuż ulic, które zmrok szary ogarnia,
w mieście spowitem martwotą i nocą
jedna po drugiej rozbłyska latarnia.

Wzdłuż drogi domki rozsiadły się nizko,
wszystkie jednakie, wciąż brama po bramie,
droga za miastem wiedzie na bagnisko
i skręca nazad, jak złamane ramię.

Mgła coraz gęstsza wciąż niżej opada
na dachy — niby całun, ciężki, duży, —
czasem przebłyśnie księżyca twarz blada,
odbita w czarnej, cuchnącej kałuży.

Czasem żałośnie zaskrzypią furgony
piskliwym zgrzytem na zakręcie drogi,
i ciężkich koni spracowane nogi
o bruk zadzwonią stary, obtłuczony.

I jeszcze w dali samotna witryna
w płomykach gazu rozbłyska wśród cieni, —

szyld z świetlnych liter żywo się odcina,
okno — jak serce krwawe się czerwieni.

Od świateł które w oddali migocą
wzdłuż ulic, które zmrok szary ogarnia,
w mieście spowitem martwotą i nocą
jedna po drugiej rozbłyska latarnia.

*
* *

Przełożył Kazimierz Rychłowski.

Bogu Nieznanemu.

Piszę ten krótki sen, gdy radość głucha
Rozkwieca w zorzach biały cud wiośniany;
Tobie go piszę, o Boże nieznany,
Tobie, zakryty mrokom mego ducha...

Więc piszę, piszę w tym jasnym ogrodzie:
O śnie, co duszę upaja i nuży,
O łzach błękitu, o wczorajszej burzy,
I o słonecznej, dziewczęcej pogodzie.

Gdzie jesteś!?... W złotej zieleni pagórka?
W kwieciu, chłonącem blask złotego puchu?
Gdzie? — Na błękicie, co wisi bez ruchu?
W słońcu — gdzie, płonąc, skrzy łabędzia chmurka?...

Gromem spaliłeś struny mej tęsknoty,
Lecz słońce splotło nowe, złote struny!
I w mrok cofnęły się Twoje pioruny,
W zdumieniu kryjąc swe stępione groty.

W błękitnej ciszy drgał ostatni lament,
Gdy wbiegłem w ogród, efeb złotowłosy —
Na kwiat kryształem padła kropla rosy
I w łunach słońca iskrzy, jak dyament!

Wszedłem bezkreśny i padłem w objęcia
Dziewce, co drżała w płonieniu gorącem —
I zapłakała różami i słońcem,
A wiatr rozrzucił warkocze dziewczęcia...

Wiatr porozplatał pomięte warkocze,
W pachnące włosy wmieszał żywe kwiecie —
I wielkim jękiem rozniósł się po świecie,
Dzwoniąc przez łąki i puste ubocze.

*

Zorzą barwione w niedosięgłe farby,
Spływają całe łany świetlnych pędów!
Bezsenny stwórca tęsknic i obłędów,
Błękit, roztęcza swe wieczyste skarby!

Z dalekiej wieży białego kościółka
Przez morze świateł zajęczały dzwony
I sączą w błękit srebrne antyfony...
Z gzymsu zerwała się czarna jaskółka. — —

Ach, wczora jeszcze, wczora — łoskot burzy
Wstrząsnął mi duszę przeraźliwym dreszczem!
Ach, wczora jeszcze łkała czarnym deszczem
Ta trupia głusza mgieł, co smutki wróży...

I coś skonało w sercu, coś z oddali — —
Twojeż to blaski dzwonią w moje serce!?
Twojeż to blaski, tych mroków szyderce!?
Zjawy wydartych ciemnościom opali?...

W bladych prześwitach, o zmierzchu, w ogrodzie,
Na niemych liściach stały ciężkie krople —
W polach żałobne ćmy. — Jak rude sople,
Wisiały krwawe blaski na zachodzie.

Ach, wczora jeszcze! — — I w czasu orbicie
Znów wieczne koło Przemian się obróci —
I my, Iksyony, do koła przykuci,
Znów czynim obrót w znaku: „Zgon i życie"...

*

Piszę do Ciebie z drżeniem tajemniczem
O deszczu, kwiatach, słońcu i dziewczynie —
Piszę te słowa, ach, słowa jedynie —
Słowa o Wszystkiem w świecie i o Niczem...

W niezmiernych dalach żywego ogromu
Wytryska dziwo! poemat bez ceny:
Wiosna i młodość — dwójgłos pierwszej sceny —
Koniec w pomrokach, nieznany nikomu...

Lub zorzy! — Mgieł porannych śnieżne kłęby
Ubrałeś w tysiąc błękitnych widziadeł —
I łąkę w milion tęczowych zwierciadeł,
Bór w niezliczone, świetliste obręby.

W licach dziewczyny krew gorąca tętni, —
Miękkie ramiona cisną tak miłośnie:
Krew, co nam śpiewa o wiośnie, o wiośnie,
O wargach naszych coraz przenamiętniej...

Tak dziwno! — — Duch już marzy, snem oniemion —
W kwietnych uboczach złote brzmią piosenki,
Rzewne, jak ballad dziecięcych rozjęki,
O bólach dawno już umarłych plemion —

I bogach, dawno w mroki już strąconych — —
To wiosna nowych złud, co w świtu żarze
Śpiewa, że zmarłe już nie wstaną twarze,
Śpiewa tak dziwnie o rzeczach minionych...

Ach, słodko w słońcu płacze cisza modra;
Śmiechem zieleni nucą złote liście —
Nucą tak bosko i tak rzeczywiście —
I w śniegach bieli drżą niewieście biodra —

I łono całe drży i pierś i szyja,
Gdy w mrocznej piersi dreszcz rozpaczny pełza —
Ach, ciała duma żądzy nie ochełza,
Gdy w krąg mdlejących ramion się obwija!...

W bezmiernej ciszy skrzą palące oczy;
Drżącym poblaskiem ranią ironicznie —
Po chłodnych trawach szumy mkną krynicznie,
Szumy tak słodkie, iż w oczach się mroczy...

I wstaje głusza głusz majestatyczna
I w głębiach nikną koronki i róża —
W przepastnej ciszy zapadają wzgórza,
Zieleń i niebios gędźba seraficzna — —
. . . .

*

Piszę te zwrotki, gdy dzień się uśmiecha,
Piszę, zdumiony jasnością ogromu,
Piszę w majakach snu — już nie wiem, komu —
Słowa się plączą i giną bez echa...

*

Och, gdyby duszą przebić się aż na dno
Tych szumów, w głąb najgłębszą, aż do jądra,
Zkąd płynie, ton po tonie, gędźba mądra
Wszechtraw i wszechzieleni, nim opadną...

Och, gdyby, zgon minąwszy, poprzez szumy
Spłynąć po nurcie żądzy i uczynku
W dna onej ciszy, do granic spoczynku,
Zkąd biją wieczne źródła tej zadumy...

I gdyby zmysłów krwią i myślą biedną
Przedrzeć tę gąszcz, gdzie czyha mrok i trwoga,
I tam miłośnie w głębiach objąć Boga
I z wnętrzem ciszy poślubić się w Jedno...
. . . .

A złota głusza powiewa nad nami — —
Nucę — a w blasku majaczy pytanie,
Jak cień, co z góry pada niespodzianie,
Szepcące w świetle mojemi ustami — —
. . . .

Lecz wiem! — Sam jestem i sondą i falą
Sam jestem uchem i nutą tułaczą!
I tem me oczy zachwycone płaczą —
I tem wieczyście oddale się żalą — —

I sam ja jestem Bogiem w swojem niebie:
Że ze mnie On się dobywa i stwarza;
Sam jestem iskrą, co w blask się rozżarza,
Sam okiem dziwu, co nie widzi siebie...

I sam ja jestem niezmożoną siłą,
Która do buntu rwie się tryumfalnie
I sam słabością win, co drży fatalnie,
Sam gniazdem mściwych jędz i sam mogiłą...

I to jest ona przepaść niezgłębiona,
Skalnej pomroki, zjeżona rozpaczą!...
I tem me oczy truchleją i płaczą —
I tem me serce martwieje i kona...
. . . .

O szumy złotej ciszy nieuchwytne!
O nieme, wieszcze, głębokie zadumy!
O blaski słońca, o kwiaty, o szumy!
Oczy kobiece!... o cicho-błękitne — —

Piszę ten złoty sen, gdy świateł góry
Skaczą po kwiatach w pląsach światowładnych;
Piszę i gubię się w słowach bezładnych
I nie wiem: duch mój kłamie, czy lazury!...

Pomnę — grajkowie śmierci do mnie przyszli
Zawodzić treny o mrokach i grobie:
— Och, litość w sercu miej i zabij w sobie
Wszystko, co kocha, co cierpi i myśli...

Lecz ja odszedłem, gwiżdżąc złote scherzo:
Jakom się przeląkł smutno, patrząc w słońce,
Że snem mym własnym są ci czarni gońce,
Że, sen zabiwszy, będę ich mordercą — —

I otom w dali ujrzał czarne trumny!
Zrąb trumien, spiętrzon w jaśni widnokręga,
Mroków taranem srebrnych gwiazd już sięga:
Babel żałobnych skarg, sterczący, dumny...

Oczarowany zgonem, jak lotofag,
Boski, szalony taniec rozpoczynam!
Skaczę ku gwiazdom, na truny się wspinam,
Na czarnych trumien potworny sarkofag...

Pnę się po trumnach, zrywam srebrne kiście,
Z senną fantazyą strącam w mrok głęboki
I skaczę aż ku gwiazdom, w sen pomroki,
Złud obłąkany czarem wiekuiście...

W górę! ku gwiazdom! — Szaleńczo i hucznie
Sieczmy wichurą żądz te mroczne noce!
Niech życie złotym szumem załopoce
W nieprzeczuwanych widnokręgów jutrznie!...

Ognistem sercem krzeszmy złote zorze!
Niech ginie w dni bezmiarze mrok i trwoga!

Aż stworzym w bezkres potężnego Boga,
Co nas swą mocą przerazi i zmoże!...

I oto znowu — jak cherub zbudzony —
Całuję słońce i płaczę, i kocham —
W błędnym zachwycie omdlewam i szlocham
O, oczy moje, księżycowe oczy — —

Oto dwa ciała, niby fal przegięcia,
Dwie nagie, srebrne, szalejące fale,
Niby dwie gwiazdy, płonące wspaniale,
Dwa dreszcze „stań się!“, dwa twórcze zaklęcia...
. . . .

W jedwabne ciało białej, smutnej róży,
W słodką wstydliwość karminowych żyłek,
Wsączyłem złoty, tajemniczy pyłek,
A róża, drżąc rozkosznie, listki mruży...

I cud promienny gaśnie bladem śniciem:
Minęło! — — smutkiem już się pustka żali;
Lecz wzwyż, jak widmo, mknie ta nagość fali
I modry odmęt tętni gwarnem życiem —

I bosko kłamie w tem mistycznem echu,
Co hen, po gwiazdach, tłucze się ze drżeniem,
Kłamie, że smutek jest jedynie cieniem
Niedościgłego w świtach twórcy-śmiechu! — —

Ach! — wczora jeszcze — i w czasu orbicie
Znów wieczne koło Przemian się obróci
I my, Iksyony, do koła przykuci,
Znów czynim obrót w znaku: „Zgon i życie“.

Do Ciebie piszę z drżeniem tajemniczem,
Piszę w powietrzu, ciszą zbłękitniałem —

I już nie pomnę, o czem pisać chciałem,
Gdy, drżąc, spostrzegam, żem pisał o Niczem...

*

O, święte Zorze! wasz uścisk nie ziębi!
Na ugór życia skrzycie pasma złota,
W których, spętana słodko, mre tęsknota
I własną karmi krwią swój głód jastrzębi!

Ha! własną karmi krwią, a nie rozpacza
I nie przeklina okrutnych tajemnic —
I złoty dom buduje w grodzie ciemnic
I kwiatom, niebu i mrokom przebacza.

O, święte Zorze! wasz uścisk nie ziębi!
I wasza, wasza Moc to dziwne życie
Otula w słodkich obłąkań spowicie,
Że pragnie jeno snu — i nie chce głębi...

* * *

JÓZEF JEDLICZ.

Nieznany obraz przypisywany Rembrandtowi.

W ubiegłym roku zyskała galerya hr. Dzieduszyckich we Lwowie w formie depozytu obraz, przedstawiający dla historyka sztuki, pomimo swego obecnego stanu, niekłamany interes ze względu na imię autora, z niem się wiążące. Dzieło to, znane mi jeszcze z przed lat dziesięciu dzięki informacyom prof. J. Bołoza Antoniewicza, miałem obecnie sposobność poddać bliższemu zbadaniu. Poszukiwania historyczne, łączące się z przestudyowaniem obrazu, doprowadziły mię do przekonania, że wspomniane dzieło nie może pozostać nieuwzględnione w studyach nad Rembrandtem tem bardziej, że badacze tego mistrza wiedzą o istnieniu takiej kompozycyi, lecz ani oryginału, ani kopii dotychczas żaden z nich się nie doszukał.

Obraz (ilustr. II i III) przedstawia scenę rodzajową, trudną do określenia. Obecny stan malowidła pozwala nam rozpoznać dokładnie tylko postać zgrzybiałego starca, zwróconego profilem w prawo i opartego w pozycyi stojącej o wysoki stół. Starzec ten nieco pochylony wpisuje coś do książki przy świetle świec. Reszta szczegółów znajdujących się w ciemnej głębi nie odrazu narzuca się oku, przy dokładniejszem jednak przyjrzeniu się obrazowi zauważymy, że tło stanowi wnętrze obszernej, posępnej komnaty, której górną i prawą stronę wypełnia ciężka opona, bramowana frendzlami. Pod podpiętemi jej fałdami widać fotel wybity wiśniową materyą, kształtu, jaki zwykle spotyka się na Rembrandtowskich obrazach. Stół jest nakryty dywanem barwy żółto-zielonawej, w deseń, z frendzlami. Wysokość stołu, jakoteż ciemna, tajemnicza głąb, nadają mu wygląd ołtarza. Na stole rozrzucone książki i obrazki religijne, z których jeden — mogący być zarówno dobrze końcem szerokiej stuły — zwiesza się z brzegu. Z przodu stoją dwa lichtarze z płonącemi świecami, które jednak dla

całości oświetlenia nie mają znaczenia, ponieważ światło rzucone na środek obrazu i oblewające postać starca i róg stołu pochodzi z niewidocznego źródła na przodzie. Od ściany ponad stołem sterczy wygięta łukowato gałąź liściasta, której już tylko ślady dadzą się odgadnąć, wyglądająca jakby ozdoba stołu. Tuż przy ramie obrazu po lewej stronie dają się zauważyć kontury wysoko umieszczonego krucyfiksu. Prócz tego na pierwszym planie po lewej stronie można wyróżnić dwa folianty leżące przed stołem na ziemi. Starzec jest odziany w szeroką złotawo-żółtą szatę z rozciętemi rękawami, spadającemi wolno; na łysej głowie ma czapeczkę w formie krymki. Twarz ogolona i pokryta zmarszczkami wyraziście odcina się od tła. W tym dostojnym stroju, przypominającym cokolwiek duchownego, w tej akcyi i w kole wyliczonych akcesoryów wygląda on jakby któryś z Ojców Kościoła.

Tony kolorytu są złamane, tak, że się odbiera wrażenie prawie monochromii. Obraz jest malowany na płótnie już dublowanem. Wymiary: 57 × 49 cm. Sygnatury niema. Strona materyalna, jak: pęknięcia farby, tkanka płótna i cały wygląd zewnętrzny znamionują wiek XVII-ty i wykluczają nowoczesne fałszerstwo, tem bardziej, że oprócz tych wewnętrznych znamion obraz ma poważną i wiarygodną tradycyę, sięgającą daleko w XVIII wiek.

W rodzinie, której jest obecnie własnością, znajduje się on bez przerwy 70 lat z górą. Przechowywano go aż do ostatnich czasów w ustronnym staroświeckim dworku w Horodyszczu pod Założcami u p. Modesty z Cieńskich Czosnowskiej, wdowy po pułkowniku Napoleońskich wojsk (zmarłej w grudniu z. r. w 90 roku życia), która w bardzo młodym wieku zaślubiwszy Jakóba Czosnowskiego, już ten obraz zastała w jego domu. Wedle jej opowiadania obraz wszedł w posiadanie Czosnowskiego jako podarek przyjacielski z rąk Franciszka Potockiego, pana na Brodach. Skąd się obraz wziął u Potockich, trudno wyśledzić, są jednak ślady, że w ich rodzinie znajdował się w r. 1778. Gdy bowiem w tym czasie autor „Podróży po Brandenburgii, Prusach, Rosyi i Polsce“, J. Bernoulli, zwiedzał artystyczne zbiory ojca Franciszka, Wincentego Potockiego, podkomorzego wiel. kor., w pałacu w Warszawie, wśród obrazów, które zwróciły jego wytrawne oko na siebie, znalazł się jeden identyczny z naszą kompozycyą. Bernoulli nie opisał go bliżej, ale zanotował sobie krótko a treściwie: „Ein Priester die Messe lesend, von Rembrand, sehr schön“ *).

---

*) Johann Bernoulli: Reisen. VI. 266.

Jestto najdawniejsza wzmianka o obrazie, którym nie mógł być naturalnie żaden inny jak tylko ten przez nas omawiany. Ale to jeszcze nie jedyne świadectwo, że w XVIII w. w Polsce łączono z nim imię Rembrandta. Współcześnie reprodukował go w wspaniałej akwaforcie francuzki malarz i rytownik J. P. Norblin, przebywający wówczas w Warszawie, zapalony czciciel Rembrandta. (Ilustr. I). Jednę z akwafort przemalował Norblin własnoręcznie farbami białą i brunatną (en grisaille) i umieścił u dołu po lewej stronie, na owalnie zakreślonem miejscu następujące oznaczenie pędzelkiem:

Rembrandt p. 1644.
Norblin d. 1781.

podczas gdy zwykłe odbitki opatrzone są tylko napisem: *Norblin fecit 1781. Warsovie.* Ta zretuszowana i obcięta po brzeg płyty odbitka należała do zbioru Norblinowskich akwafort, skatalogowanych przez W. Frankego, i wydała się autorowi katalogu niesłusznie rysunkiem przygotowawczym do rytowania*). Obecnie znajduje się wraz z całym zbiorem akwafort opisanych w pracy Frankego w posiadaniu JE. Andrzejowej hr. Potockiej w Krzeszowicach.

Rycina Norblina ma zasadnicze znaczenie dla naszego obrazu, gdyż dopiero przy jej pomocy można zrozumieć kompozycyę w partyach pociemniałych i zepsutych. Zgadza się ona zupełnie z obrazem, rytownik pozwolił sobie tylko na małe uproszczenie, opuszczając krucyfiks i sznurek pereł na czapeczce starca; nawet zagadkowa plama, zdaje się przypadkowy dodatek obcej ręki, powtarza się u Norblina jako kreseczkami wypełniony owal, a ten szczegół dostarcza niezbitego dowodu, że wedle tego a nie innego egzemplarza obrazu wykonał Norblin swą akwafortę.

Okoliczność, że akwaforta oddaje kompozycyę odwrotnie, wyklucza z góry możliwość, żeby obraz był wedle niej, t. j. po r. 1781, malowany. Odwrotność ryciny wobec obrazu tłómaczy się tem, że Norblin dla uproszczenia sobie pracy nie sporządził negatywnej kopii, lecz rytował wprost z oryginału, zaczem sztych po odbiciu musiał wypaść odwrotnie.

Również trudno nawet na chwilę przypuścić, gdy się zna rękę Norblina, ażeby obraz mógł wyjść z pod jego pędzla, który co prawda nieraz prowadził artystę do naśladowania stylu Rembrandta, ale już samem pociągnięciem się zdradzał.

---

*) Willibald Franke: Das radirte Werk des Jean-Pierre Norblin de la Gourdaine. Leipzig 1895. Nr. 17c.

Podobne przypuszczenie usuwa pozatem już sama materyalna strona obrazu, mająca cechy XVII stulecia.

Jest jednak inna sprawa, którą należy bliżej wyjaśnić, a to przypuszczalny rok powstania utworu. Sygnatura na akwaforcie Krzeszowickiej, jakoteż uwaga odnosząca się do „Piszącego Starca" w dawniejszym przez Fr. Hillemachera sporządzonym katalogu Norblinowskiego „Oeuvre gravé", brzmiąca: „Cette estampe est gravée d'après un tableau de Rembrandt, peint en 1644" *) wprawić musi w pewne zakłopotanie, ponieważ odnosząc kompozycyę do ręki Rembrandta nie można roku 1644 uważać za czas powstania dzieła. W tym wypadku obraz musiałby stać odosobniony w szeregu dzieł z dziesiątka 1640—50. Natomiast mógłby należeć do okresu młodości i tam raczej znalazłoby się dla niego miejsce.

Uduchowiony i zamyślony starzec, który mimowoli przywołuje na pamięć postacie pustelników i apostołów z wczesnych lat mistrza; obszerna nad jego małą figurą zamknięta ponura przestrzeń, co powtarza się u Rembrandta częściej w początkowych niż w dojrzalszych okresach twórczości; światło rozlewające się stosunkowo miękko po całej postaci i po stole i nie rozpraszające się już pozatem, czem się odznaczają Rembrandtowskie obrazy powstałe około r. 1630; — wreszcie model, który rzekomo jako ojciec Rembrandta pojawia się w utworach mistrza z epoki Lejdeńskiej (i u jego uczniów z tego czasu) — wszystkie te cechy każą włączyć obraz raczej w szereg dzieł młodzieńczych artysty niż odnosić go do daty 1644 r., niewiarygodnej, mogącej być zresztą przypadkową omyłką Norblina.

Co do techniki malarskiej, po której możnaby się spodziewać rozstrzygającego wyjaśnienia w kwestyi autorstwa, to nieda się nic stanowczego powiedzieć. Niefortunne przemalowanie przy odnawianiu, które musiało się odbyć wkrótce po powstaniu Norblinowskiej ryciny, a przedtem jeszcze zbyt radykalne wymycie płótna, przemieniły pierwotne malowidło w niepowrotną niestety ruinę. W każdym razie całość pomimo wszystko wskazuje swem prostem, ale pełnem nastroju ujęciem na pomysł, który mógł powstać w wyobraźni tylko wybitniejszego artysty.

Czy obraz wyszedł z pod ręki kopisty i daje nam powtórzenie zaginionego później malowidła Rembrandta, czy jest własnem dziełem któregoś z jego uczniów, wykonanem pod okiem mistrza, albo też, czy

*) Fréd. Hillemacher: Catalogue des estampes qui composent l'oeuvre de Jean Pierre Norblin, Paris 1. éd. 1848, 2. éd. 1877. Nr. 14.

jest on w ogólności utworem jakiegoś z współcześnie żyjących Holendrów, naśladujących zazwyczaj tak zręcznie styl Rembrandta, że dzieła te później w XVIII w. swoim wyglądem a nierzadko i sfałszowanym podpisem łudziły zbieraczy i artystów, wreszcie, czy należy autora szukać w osobie J. Lievensa, który z najbliższego otoczenia mistrza winien tu być najbardziej może wzięty pod uwagę, lub w osobie Salomona Konincka, jak to doświadczony zbieracz i znawca tej miary co JE. L. hr. Piniński przypuszcza — może pozostać tymczasem kwestyą otwartą.

Nie należy przemilczeć, że obraz nasz jest malowany na płótnie a nie na drzewie, jak to było zwyczajem u Rembrandta we wcześniejszych latach, o ile wchodził w grę utwór niewielkich rozmiarów. Nie można jednak z drugiej strony przeoczyć tego, że obraz nasz nie powtarza się nigdzie w żadnej replice, a przynajmniej badacze Rembrandta takiej repliki dotychczas nie zarejestrowali.

Jakikolwiek sąd można sobie urobić o tym zniszczonym obrazie, w każdym razie pozostaje niezbitym fakt, że znamy pierwowzór akwaforty Norblinowskiej, który ukryty przed okiem naukowego świata uważany był za zaginiony*).

ZYGMUNT BATOWSKI.

*) Dr. A. v. Wurzbach: Niederländisches Künstler-Lexikon II. 446.

O prochy Słowackiego.

Dawniej, zanim jeszcze pomyślano o przewiezieniu prochów Mickiewicza do Polski, stawała często przed oczyma wyobraźni mojej chwila „dziwnie osobliwa“. Jakiś dzień uroczysty i cichy, owiany tchnieniem świętości, niby wieczór Rezurekcyi. Jakieś niezliczone gromady ludu, na twarzach wesoła powaga, w postaciach siła i duma. A gdzieś w górze, popod wiejącemi sztandary, otoczenie królewskiego majestatu... Może dzień koronacyjny... Wtem rozstępują się gromady ludu, jak łan żyta, który wiatr przewieje. Nad falą głów pochylonych unosi się i płynie szkarłatem okryta trumna. Powstaje król z majestatu, idzie naprzeciw niej, wita ją pokłonem i prowadzi pod sklepienia grobowe, gdzie spoczywają królowie. Bo powrócił jeden z tych, którzy w czasie bezkrólewia duchem dzierżyli berło narodu, wygnaniec protestujący na obczyźnie przeciwko wyzuciu narodu z praw majestatu, wiążący nieprzerwaną nić tradycyi między tymi co śpią w grobach, a tymi którzy przyjdą i tron zasiędą... A za tą jedną trumną, widzę cały niby klucz bocianów wracających z wiosną do ojczyzny; trumna za trumną... Zlatują do gniazd opuszczonych, rozchodzą się po cmentarzach miast i sioł.

Wizya prysła. Nie przyjdzie już taka chwila nieporównanego dziejowego patosu. Prochy Mickiewicza sprowadzono przedwcześnie, zanim wiosna nadeszła. Złożono je w pohańbionych grobach królewskich między królmi bez ziemi. Złamano ową zasadę emigracyi, którą ona sama o sobie głosiła, a która otaczała ją nimbem poetyckim, iż jest Aniołem Veto, stojącym pośród ludów Europy, o głowie promiennej — z usty otwartemi, krzyczącemi: nie pozwalam! — chociaż szaty na nim od nędzy spróchniały, połowa ciała w smętarzy obcych glinę się zapadła (Słowacki). ...Toż kiedy trumna Mickiewicza wśród

huku dzwonów szła rynkiem krakowskim, nie było tam nastroju dumnej pogody i powitalnego wesela, ale gardła patrzących dławiło pytanie: na co wracasz i do czego?...

Życie nie jest sztuką, boć sztuka jest właśnie dlatego, aby wydobyć z jego zgiełku ton czysty; życie nie dotrzymuje tragicznego patosu. Jest to aktor fuszer. Trudno się skarżyć; leży to już w naturze rzeczy.

Kiedy więc już raz złamano zasadę emigracyjnego veta, sprowadzając prochy Mickiewicza do kraju, szły za tem dalsze konsekwencye. Za tym jednym, dlaczegóż nie mieli powrócić i inni „protestanci"... Rok jubileuszowy Słowackiego uznano za odpowiedni do sprowadzenia jego prochów.

Powstało pytanie: gdzie je złożyć? Znalazły się różne pomysły. Zrazu w pięknem i rzewnem drgnieniu serca chciano je darować Warszawie, ogołoconej z pamiątek, a dla której zdawała się przez chwilę świtać godzina dnia lepszego. Ale ten świt nie nadszedł. — Zwróciły się więc myśli ogółu tam, gdzie już spoczywała trumna wielkiego współzawodnika Juliusza, ku górze wawelskiej. Zjazd odbyty w Krakowie powziął wreszcie w tym duchu ostateczną uchwałę.

O tem, czy wybór ten był trafnym, można być różnego zdania; a zdanie przeciwne nie musi wynikać z uprzedzeń społecznych czy religijnych, albo z nieznajomości rzeczy. Takie zdanie odosobnione zresztą, ale argumentami rzeczowemi należycie podparte, słyszeliśmy od p. Zygmunta Wasilewskiego (w „Słowie Polskiem"). Wychodzi on z tego założenia, że Wawel nie jest polskim Westminsterem, którego zadaniem byłoby pomieścić w grobach swoich wszystkie chluby narodu. Wawel jest grobowcem królewskim, a jeśli na nim znajdują pomieszczenie także trumny wielkich wodzów i trumna Mickiewicza, to ma to znaczenie symboliczne, którego przez nadużycie osłabiać nie należy. Wawel jest symbolem dziejowym państwowości polskiej, której reprezentantami są królowie, a w czasie bezkrólewia ci, którzy byli łańcuchem między jednym a drugim brzegiem, bądźto walcząc orężnie o tę państwowość, bądźto utrzymując nieprzerwanie jej ideę w duszy narodu. Reprezentantem takiego duchowego ogniwa jest Mickiewicz; Słowacki, gdyby nawet był odeń większym, byłby nim zawsze tylko jako artysta. — Przesłanki tego rozumowania, wedle mojego widzenia rzeczy, są zupełnie trafne, a jednak wniosek z rozumowania wynikający jest błędny. Bo sprawa ta należy do spraw tego rodzaju, których się logiką nie rozstrzyga. „Wawel nie jest polskim Westminsterem"; bardzo słusznie, — tak było dotąd. I to słusznie, że zatarcie jego

właściwego, dotychczasowego charakteru, zaciera niestety ów wspaniały patos symbolu trumny Mickiewicza w grobach królewskich. Ale ta cała koncepcya jak jest wzniosła, tak jest i subtelna, a tam gdzie chodzi o uczucia mas, nie można ważyć argumentów na aptekarskiej wadze. Nawet kiedy masy składają się z osobników bardzo subtelnych, w całości swojej mogą się zgodzić na to tylko, co tym osobnikom jest wspólne, — a tem nie jest to, co subtelne, ale to co grube. Subtelność każda bowiem ma cechę indywidualną, różnicującą. W uczuciu mas Wawel stał się poprostu skarbcem wielkich pamiątek; co wielkie i co drogie, to chcemy w skarbcu tym przechować. — A zresztą i druga przesłanka rozumowania jest tylko względnie prawdziwą; Słowacki z wielkiego artysty staje się z biegiem czasu w uczuciu ogółu coraz to wyraźniej „wieszczem“, jednym z zesłanych narodowi „Królów Duchów“. Już i do niego stosowane są słowa: milion jestem. Stało się to odkąd wagę jego twórczości przenosić zaczęto z wcześniejszej epoki na epokę mistycyzmu. Czy ta ewolucya pojęć o społecznem znaczeniu Słowackiego jest logicznie słuszną? — nie wiem — a nawet wątpię. Ale trzeba pamiętać, że to znowu taki fakt, który się „dzieje“, a nie taki, który się wyrozumowuje. Pomyślmy na chwilę, czy tę treść, która się mieści w symbolu trumny Mickiewicza na Wawelu, można było całą od początku logicznie wyrozumować? Czy sprawa gdyby była podległą że tak powiem kanonicznemu procesowi chłodnej krytyki, byłaby rozstrzygniętą tak samo? Ale tu działały inne czynniki. To co się stało — „stało się“ poprostu, — stało się samo, bez rozumowania, niemal poza progiem świadomości... Tak się robią nastroje mas, tak się robi w wielkiej mierze historya. Otóż znowu „dzieje się“ przed naszemi oczyma jedna z tych świeckich kanonizacyj, jakich dokonuje naród na swoich ulubieńcach; jak wogóle kanonizacyom, towarzyszy temu proces tworzenia się legendy... A któż wie, może ta legenda jest właśnie prawdą, jakąś prawdą pneumatyczną, którą śmierć i oddal odsłania?... Bądź jak bądź, Słowacki dorasta w oczach naszych do symbolu, a jako taki dorasta i do Wawelu, może i do tego Wawelu, który „nie jest — tylko polskim Westminsterem“. — Niema więc żadnego powodu uważać pomieszczenia prochów Słowackiego na Wawelu za rzecz z jakichkolwiekbądź względów niewłaściwą. Owszem, przeciwnie: jest to jedyne miejsce, które obecnemu uczuciu ogółu odpowiada, a zatem jedynie odpowiednie; — boć jakież może być tutaj inne kryteryum? Sam fakt tej ewolucyi uczuć, czy pojęć, już opanować się nie da, — może być tylko przedmiotem obserwacyi i refleksyi, a na to zaiste

zasługuje. Bo uwidamia się w nim bądź jak bądź ten charakterystyczny dla narodu naszego od czasów romantycznych stosunek do poetów, stosunek niewątpliwie nienormalny. Jest to jednak temat wychodzący poza ramy niniejszych uwag. Ale komu to wydaje się opacznem, niech pomyśli, jakiego rodzaju odruch odczułby w duszy, gdyby oto nagle wyłonił się zkądś projekt pomieszczenia prochów np. Kopernika w grobach królewskich... Nieprawdaż że ten odruch byłby przeczący?... Otóż to właśnie!...

Zamiar pogrzebania Słowackiego na Wawelu nie dał się — jak wiadomo — urzeczywistnić z powodu przeszkód zewnętrznych. Przeszkody te są w każdym razie tylko czasowe. Ale opinia zaczęła być niecierpliwą; wydało się jakby sprowadzenie zwłok Słowackiego stało się rzeczą tak nieodzowną i naglącą iż na wszelki sposób musi być zaraz dokonanem. Co dziwniejsza, to zniecierpliwienie nie ustało jeszcze i wtedy, kiedy już minął rok jubileuszowy i kiedy dla owej nagłości żadnego już, choćby pozornego, nie można przytoczyć powodu. Skoro Słowackiego nie możemy pochować na Wawelu, powiedziano, wynajdziemy mu inny, jeszcze godniejszy grobowiec. Toż był on zawsze duszą samotną, wylatującą jak orzeł w pustkowia wyżyn, zasłuchującą się na niedostępnych szczytach w ciszę błękitu... Złożymy więc trumnę jego pod wolnem powietrzem gór, wysoko w turniach tatrzańskich..

Ojcami pomysłu tego są podobno Henryk Sienkiewicz i Stanisław Witkiewicz, jedni z najlepszych ludzi w dzisiejszej Polsce. Nazwiska te onieśmielają. Lecz czytam w odezwie komitetu zawiązanego niedawno, taki piękny zwrot: „Skoro daliśmy wygnańcowi, wielkiemu poecie, to najdroższe dlań na co nas stać — dostojny grób w Ojczyźnie — nasza godność a jego zasługa nie pozwala na to, ażebyśmy gnuśnie mu tę łaskę dziś odebrali dlatego, że jeden z nas na to się nie zgodził“. Otóż i ja jestem „jednym z nas“, a ten mój drogi klejnot i godność uprawnia mnie i zobowiązuje, jeśli już niemam prawa i mocy przeciwstawić zamiarowi skutecznie odmowy zgody mojej, to przecież dać głos przeciw temu, co mi się nie zda.

Najznamienniejszą cechą pomysłu pogrzebania Słowackiego w Tatrach jest jego „literackość“. (Tem dziwniejsze że oświadczył się za nim tak niepospolity malarz jak Witkiewicz!) Literackiej natury są wszystkie przytaczane za nim motywy. Wszystkie one dadzą się bardzo ładnie napisać i powiedzieć.

Słowa: orły, wyżyny, wolność, samotnia — mają właściwy sobie ton uczuciowy, co prawda z tą wadą, że blednie w miarę częstego użycia. Cały pomysł samotnego na szczytach grobowca da się bardzo

poetycznie opisać, ale tu pono chodzi o to czy da on się dobrze wcielić w kamień. Kamienie są oporniejsze, ale i uczciwsze od słów. One będą stać nieodmiennie i pozostaną same sobą, kiedy obrzękujący je rój słów rozpłynie się i zczeźnie, a cała literacka koncepcya obleci jak przegniły łach teatralny. Wskaźnikiem mogą tu być nie względy retoryczno-literackie, ale wyłącznie architektoniczno-plastyczne. Na nic się bowiem nie zda najpiękniejsze opiewanie pomnika, jeśli on sam będzie wyglądał jak guzik przyszyty niedorzecznie na kołnierzu. Mojem zdaniem zaś tak właśnie będzie wyglądał. Przemawiają za tem już względy proporcyi; nisza wykuta w ścianie Kościelca (bo tę turnię wskazali ostatecznie „znawcy Tatr" — nie mający tu zresztą żadnej kompetencyi — jako najodpowiedniejszą), nisza wykuta na wysokości dwustu metrów nad poziomem miejsca, z którego ją najbliżej można oglądać, a oddalona od tego miejsca bez mała może na tysiąc metrów, będzie się przedstawiać tak okazale jak dziupla puhacza. O wrażeniu monumentalności nie może być mowy. A tę monumentalność wykluczają inne jeszcze względy. Niemasz monumentalności bez wrażenia siły, a niemasz wrażenia siły, bez wrażenia architektonicznej celowości monumentu. Tutaj to wrażenie celowości wykluczy samo położenie; monument w połowie Kościelca będzie robił wrażenie miejskiego panoczka, co się wygramolił najniedorzeczniej na turnię, a nie mogąc zleźć woła o pomoc. „Hej, panoczku, a cóż was też ta wyniosło!" Będzie on nawet duchowo do tego panoczka podobny, — będzie wyglądał jak „dólski ceper", co włazi na każdą wantę, kiedy ma perć pod nosem. Co go tam wyniesie? Literatura. — A przytem sztuka ze swą cechą i wymogiem celowości stoi w pewnem przeciwieństwie do natury, której kształty z tego wymogu nie wynikły. Dlatego wszelkie bliskie kojarzenie kształtów architektonicznych z naturalnemi daje wynik ujemny. Można to zauważyć na każdym kroku. Ścieżki ogrodowe wijące się niby przypadkowo i nierozmyślnie są ohydne przez brak uwidocznionej celowości, która jest niezbędnym warunkiem piękna każdego ludzkiego dzieła; — sztuczne skały, jako podstawa pomników, robią wrażenie teatralne i t. d. Z tego samego powodu najodpowiedniejszem otoczeniem dla wszelkich monumentów jest otoczenie architektoniczne, bo ono tylko wykazuje w liniach swoich tę samą zasadę celowości, którą musi mieć wszelkie dzieło ręki ludzkiej. A jeśli otoczenie skał uwłacza charakterowi monumentalności ludzkiego dzieła, to z drugiej strony dzieło to uwłacza pięknności skał. Celowa dążność konstrukcyjna człowieka i ślepa dążność niszczycielska natury zdają się sobie wrogo patrzeć w oczy. „Znawcy Tatr" jeśli mieli tu

co do powiedzenia, to powinni byli to jedno tylko powiedzieć, że Tatr psuć sztuką nie wolno, bo sztuka należy do innej kategoryi piękna. Czy tą sztuką będą „monumentalne schody“, czy nisza o kracie bronzowej, czy posąg, czy sarkofag, czy choćby tylko pływająca nad szczytem w nazwaniu jego literackość, wszystko to jedno. Człowiek kochający Tatry powinien przechodząc zacierać za sobą ślady stóp.

Ale wyznaję, że mam jeszcze inną kategoryę argumentów, które może wynikają z czysto osobistych właściwości duchowych. Osobistych, o ile znajduję się w środowisku „kulturalnem“, ażeby nie użyć mniej sympatycznego określenia; natomiast czuję się w tych właściwościach zupełnie zestrojonym z każdym tatrzańskim góralem, który nie uległ jeszcze cywilizatorskim wpływom „dólskiego gościa“. Kiedym rozmawiał o tem z jednym z moich góralskich przyjaciół, człekiem mądrym i poważnym, spotkaliśmy się w myślach zupełnie. „E, bójcie się Boga, zacóż go też chcom tele światy jako psa od dziedziny odegnać? Kieby go już tu mieli przyprowadzić, to najdzie się na Pęksowym brzyzku*) ziemia święcona“. I ja tak myślę, że w Tatrach jest dla żywych samotników „strzeleckie posłanie“. Ale umarłych miłość w pustaci nie zostawia; nie zostawia ich na fujawicy śnieżnej, na zmiękach wiosennych ze skał ciekących, gdzie przez większą część roku oko tkliwe nie popatrzy, stopa przyjazna nie zachrzęści. Dziwna to miłość, samotnym za życia ludziom samotne dawać groby. Z ojcem rodzonym nie uczynilibyśmy chyba tego za cenę literackiego efektu. Czyż nie stać nas na tę zwyczajną miłość dla nadzwyczajnego człowieka...? Tak, i ja wybrałbym raczej Pęksów brzeżek...

Ale rozumiem że ludzie mają różny sposób odczuwania. Mówiąc o swoim, nie chcę zajrzeć nikomu. Staram się wyrozumieć to, co w uczuciu mnie samemu jest obcem — i do tego punktu, do którego wyżej doszedłem, wyrozumieć to mogę. W ostatnich czasach pojawił się jednak projekt, podpisany zresztą przez ludzi bardzo szanownych, który wszelką granicę mego wyrozumienia przekracza, tak wydaje mi się karykaturalnym i niemal świętokradzkim.

Tok zawartej w nim myśli jest następujący: złożyć prochy Słowackiego na Wawelu jest pięknie i przystojnie, bo należy mu się grobowiec królewski, — ale złożyć prochy Słowackiego w turni Kościelca jest pięknie i poetycznie; szkoda byłoby zaniedbać sposobności zrobienia czegoś tak pięknego, a w dodatku czegoś, czego jeszcze nie było... Zróbmy więc jedno i drugie!... Chwila ku temu nastę-

*) Pęksów brzeżek — tak nazywa się cmentarz w Zakopanem — P. R.

cza się jedyna; „jeden z nas“ odmówił pomieszczenia prochów na Wawelu; jest to liberum veto przeciwko woli narodu, które z czasem przełamanem być musi; na razie jednak z drogi usunąć się nie da. Nim więc chwila sposobna nastąpi, pomieśćmy prochy Słowackiego w Tatrach; — koncepcyę „królestwa z ducha“ poety zamieńmy na razie na równie poetyczną koncepcyę duszy samotnej, uciekającej od ludzi na wyżyny samotne...

Cały ten kapitalny pomysł jest niewątpliwie w stylu Słowackiego, a to Słowackiego wedle modły prof. Tretiaka... Słyszę jak mówi ten Słowacki: „Należą mi się honory królewskie, lecz skoro mi ich zaprzeczają, odejdę w góry i uczynię z siebie samotnika pogardzającego wszystkiem co ludzkie. Gotów jestem jednakże w każdej chwili porzucić moją samotnię, skoro mi ludzie oddadzą to, do czego się w prawie poczuwam“. Szczery typ wolnodumca, gotowego zawsze do pogodzenia się z porządkiem tego świata za przyzwoitą posadę! Koncepcya ta dlatego tylko nie jest dość śmieszną, że jest tak tragicznie ohydną, a dlatego nie jest dość ohydną, że jest tak śmieszną. Czyż projektodawca nie uczuł tak prostej rzeczy, że takie połączenie tych dwóch projektów w jeden, znosi zupełnie to, co każden z nich ma w sobie pięknego — lub choćby tylko dorzecznego? Tu bo już nawet i literatura zawiodła! Efekt natury literackiej jaki charakteryzuje ową koncepcyę pogrzebania Słowackiego w Tatrach, został zupełnie zniesiony przez zły gust okazany w nieorganicznem zlepieniu go z innym. Tak się przedstawia „estetyczna“ strona sprawy. Z logiczną jest nie lepiej. Prawdziwych bo koziołków logicznych potrzeba aby uzasadnić taki projekt. Oto co pisze odezwa: „Odwlekanie załatwienia tej sprawy byłoby zniewagą wyrządzoną dostojeństwu poety (?). Na taki akt woli (?!), jak sprowadzenie do kraju zwłok Juliusza Słowackiego, społeczeństwo nasze, aczkolwiek przyciśnięte ogromem nieszczęść, rozszarpane i przebite nowemi ciosami, może się zdobyć i powinno. Proch głosiciela nieśmiertelnej woli narodu, miłości Ojczyzny, apostoła idei ofiary — przyniesiony dziś na naszą ziemię, może się stać cementem, który spoi rozszarpane dzielnice (!!), złączy rozdarte zawsze warstwy i w przeciwne strony biegnące stronnictwa, tchnie w nas przynajmniej na ten dzień (!) jedność i miłość — ku wiecznemu celowi (?!) skieruje umęczone oczy żyjących“. — Co za słowa! Co za słowa! — Szkoda że one rumienić się nie umieją... Słowa jako miedź brzęcząca i cymbał brzmiący. Co wyraz to paradoks, co zdanie to frazes. Argumentacya najpospolitszej demagogii. Bo czyż można brać na seryo choćby jeden z tych powodów, uzasadniających rzekomą nieodzowność

niezwłocznego sprowadzenia prochów poety na to, aby im dać grób tymczasowy i to nawet nie gdzieś tuż przy Wawelu gdzie mają ostatecznie spocząć, ale właśnie aż pod szczytem Kościelca?! Którenże z tych powodów choćby pozornie usprawiedliwić może taką poniewierkę tej cichej garstki kości, wystrajanie trupa w papierowe łachy teatralne na jarmark dla uciechy gawiedzi!... A jakby nie dosyć jeszcze było tego pomnika histeryi literackiej, projektowi temu przydano jeszcze różne ornamenta; dla „baśniowego bogactwa“ pomysłów współczesnej literatury dwa grzyby w barszczu jest oczywiście za mało. Projekt zawiera jeszcze następujące „numera“: „Zwłoki Juliusza Słowackiego mogłyby być przywiezione do Krakowa i na przeciąg 24 godzin wystawione ku uczczeniu narodowemu na wysokim artystycznie wykończonym katafalku, w Barbakanie przed bramą Floryańską, w tej naszej bramie tryumfalnej. Poczem zwłoki poety winnyby być — nie przewiezione — lecz przeniesione (sic) z Krakowa w Tatry przez czcicieli ze wszystkich warstw społeczeństwa i złożone w tym tymczasowym, czy wiecznym grobowcu“. Nie chcę już popuszczać cugli wyobraźni i szukać tanich efektów w pastwieniu się nad tym projektem. Każden kto nie jest pozbawiony zmysłu rzeczywistości może sobie dośpiewać jakby wyglądał na prawdę taki pochód — przez mil czternaście — trwający najmniej tydzień — z noclegami po karczemnych zajazdach, z „szubienicznym humorem“ znudzonych pątników... Danse macabre, czy kulig! Ale za to napisać dałoby się to tak pięknie! Dla „napisanych“ ludzi o „napisanych“ sercach to jest przecież jądrem rzeczy. Dość tego! Chciałoby się powtórzyć za poetą: „chociaż mi serce pęka, śmiech mię bierze“!

Ludzie wybitni, ludzie szlachetni są między tymi, którzy na ten fatalny projekt wyrazili swą zgodę, nazwiska niektóre o doskonałem brzmieniu. Czyżby czerw dekadencyi literackiej dotarł już tak głęboko, aż do tych serc? Nie wierzę. Ale jest to znak czasu, groźne, prawie straszliwe memento. Odsunięci od tylu dziedzin czynu, źle wychowywani, przejedliśmy się literaturą. Zaczynamy robić literaturę z najświętszych uczuć. Patrzymy na świat przez literę. Czujemy go nie swojem ale pożyczanem sercem. A gdzie jeszcze tak nie jest, to przecież zgadzamy się milcząco na ten typ myślenia, uważamy go za uprawniony i normalny. Oddajemy mu rządy; pozwalamy mówić za siebie. Nie wątpię, że wielu z tych ludzi, którzy ów projekt podpisali, uczyniło to odruchowo, z nałogu, przez kwietyzm. Ale dość już źle, że treść jego nie uderzyła ich odrazu obuchem w głowę, że mógł on wydać się im czemś — wedle normy.

Czyby tak nie pomyśleć o innym — najpiękniejszym bez wątpienia pomniku dla Słowackiego: o tem — aby z okazyi jego jubileuszowego roku, który właśnie minął — podjąć walkę przeciw chorobie, która była tragedyą i jego także życia — przeciwko chorobie wewnętrznej nieprawdy i pozy. Słowacki zwyciężył ją — wiarą mistyczną. Nam innym oby dano ją rozwiązać wiarą w wyższość czynu nad słowem, zwycięztwem życia nad literą. Możeby w Tatrach zamiast grobowca Słowackiego założyć pustelnie, w którychby przychodziły do siebie i rozprostowywały się dusze skrzywione...

A przed rozmyślaniem na pustelni — pokuta. Początek od tego z pomiędzy nas, kto ówże sławetny projekt sprawienia Słowackiemu podwójnego pogrzebu z kuligiem i figurami pierwszy wymyślił. Kto nim jest — niech się przyzna. Bez fałszywego wstydu. Na skrzywienia duchowe lekarstwem jest natura; na pokutę recepta człowieka natury, chłopska recepta. Oto w Barbakanie odczytać nad nim orędzie do narodu, które spłodził, przeżegnać, wrzepić obitelnie*) dwadzieścia pięć kijów gdzie potrza — za swawolę — i puścić z przebaczeniem.

Bo złości i ja niemam nijakiej; nie o satyrę mi chodziło ale o spowiedź... Duszo wrzeszcząca i skręcana histeryczną konwulsyą — idź w pokoju...

A co do prochów Słowackiego, jedynem hasłem odpowiadającem czci naszej dla niego i naszej własnej godności jest: pamiętać i — czekać.

JAN GW. PAWLIKOWSKI.

---

*) Obitelnie — w gwarze góralskiej: jak obyczaj lub przyzwoitość każe. P. R.

Polonica.

PORTRETY MINIATUROWE W NIEMCZECH.

Dawne miniatury portretowe, owe cacka malarskie na słoniowej kości, porcelanie, pergaminie lub innych jeszcze cenniejszych materyałach, w których na przestrzeni kilku zaledwie cali nieraz tęgi się objawia talent, stanowią obecnie, jak wiadomo, przedmiot wielce poszukiwany na rynkach artystycznych. Liczba zbieraczów portretów miniaturowych coraz bardziej się zwiększa, a snobizm europejski i amerykański, jak zwykle, gdy zamiłowanie do pewnej gałęzi sztuk pięknych modą się staje, już harce swe na tem polu wyprawia. To też ceny za autentyczne miniatury portretowe wciąż idą w górę i często do niebywałej dochodzą wysokości. Jednocześnie ze wzrostem zamiłowania do tej specyalnej sztuki i ogólnem zainteresowaniem się jej dziełami, naturalnym biegiem rzeczy, daje się zauważyć i bardziej wyczerpujące badanie historyi malarstwa miniaturowego. W przeciągu ostatniego dziesięciolecia w różnych krajach pojawiła się znaczna liczba mniej lub bardziej obszernych monografii w tym zakresie, między innemi doskonała praca prof. Leisching'a o historyi portretów miniaturowych w Austryi. Świeżo ukazała się analogiczna publikacya, poświęcona Niemcom, p. t. „Die Bildniss-Miniatur in Deutschland von 1550 bis 1850". (Monachium, F. Bruckmann), w opracowaniu p. Ernesta Lemberger'a.

Wspaniałe to wydawnictwo, zalecające się szczególnie arcybogatym materyałem ilustracyjnym i pięknemi barwnemi planszami, zawiera pewną liczbę portretów polskich, wyszczególnienie których zbytecznym może nie będzie.

Pośrednio, t. j. jedynie przez wzgląd na autorów, zastanawiają nas w dziele Lembergera portrety miniaturowe, w wielkiej liczbie przez rodzinę Chodowieckich w Berlinie wykonane. Malarstwo miniaturowe uprawiał bowiem nie tylko sam znakomity Daniel Chodowiecki, lecz zarazem i brat jego, Gottfried, syn Wilhelm, oraz żona ostatniego Henrietta, pochodząca z osiadłej w Berlinie rodziny hugenotów Le Coq. W dalszym ciągu nie są pozbawione dla nas ciekawości dwie miniatury pędzla znakomitego

Antona Rafaela Mengs'a, przedstawiające Augusta III, króla polskiego i elektora saskiego, wraz z jego małżonką Maryą Józefą. Podobizny te przechowywane są w drezdeńskiej galeryi obrazów. Wartość ikonograficzną posiadają dla nas jeszcze miniatury dwuch księżniczek polskich — Radziwiłłówien. Pierwsza, roboty Samuela Blesendorf'a, stanowi portret księżny Luisy Charlotty, primo voto żony Ludwika, margrabiego brandenburskiego, a po jego śmierci w r. 1695 poślubionej przez Karola Filipa, palatyna neuburgskiego. Druga miniatura nosi podpis „Radziwil fecit 1714" i według mniemania p. Lembergera, jest autoportretem księżny Maryi Eleonory Radziwiłłówny.

Najcenniejszem jednak Polonicum w dziele Lembergera, tak pod względem historycznym jak i artystycznym, to niewątpliwie miniatura ks. Józefa Poniatowskiego, pędzla Augusta Grahla, bodaj czy nie najbardziej wybitnego miniaturzysty niemieckiego zeszłego stulecia. Piękny ten portrecik, będący własnością profesorowej Adolfowej Stengel w Heidelbergu, co prawda, określony jest tylko jako podobizna „eines Mitglieds der Familie Poniatowski", ale wobec zupełnie wyraźnego podobieństwa, wątpliwości nie ulega, że mamy przed sobą konterfekt księcia Józefa. Ponieważ Grahl brał udział w wojnie r. 1813, więc i powstanie portretu dość jasno się tłómaczy.

August Grahl wykonał jeszcze jeden portret polski w r. 1836 — hrabiny Potockiej, imienia której autor niestety nie podaje. Szkic z natury do tej miniatury na deszczułce ze słoniowej kości niezwykle dużych rozmiarów znajduje się w drezdeńskiej galeryi obrazów.

PAWEŁ ETTINGER.

Nowe książki.

KWIATKI ŚWIĘTEGO FRANCISZKA Z ASSYŻU,
w przekładzie i ze wstępem Leopolda Staffa. Lwów, Nakładem Księg. Polskiej B. Połonieckiego, Warszawa, E. Wende i Ska. 1910.

...nacque al mondo un sole.
Dante Alighieri. Paradiso XI. w. 50.

Kwiatki św. Franciszka należą do tych nielicznych bardzo książek, co nie giną. Poprzez wszystkie zamieszki i zawieruchy dziejowe spogląda ku nam z kart tych legend prostych i szczerych jak dusza dziecięca, jedna wielka prawda, której na imię prostota i szczerość. Dlatego mimo zasadniczy przewrót w warunkach, pojęciu i ukształtowaniu życia i wszelakich wyobrażeń, uczuć i myśli — nie zaginęło w niepamięci ani to krótkie stosunkowo życie mnicha z Umbryi, na przełomie dwóch stuleci, ani ten zbiór opowieści, najdokładniej odzwierciedlających życie Franciszka i jego braci.

Jeśli wmyślimy się w minione dzieje, to poprzez wszystek tragizm średnich wieków i epok późniejszych, spojrzy ku nam zawsze jednako pogodne i uśmiechnione oblicze biedaczyny bożego, wzywające stworzenie i żywioł wszelki do czynienia zbożnej chwały Panu nad Pany. Do postaci onej nie można zbliżyć się inaczej, jak z umiłowaniem, boć przecie w niej tkwią w zarodzie wszystkie drogie nam pierwiastki, zestrzelające się w duszy ludzkiej w swej najtajniejszej istocie po wsze czasy niezmiennej. Tam bowiem trwa niespożycie przez stulecia — niezależna od zmian wszelkich — radość i prostota życia i duszy ludzkiej.

Rzecz dziwna. Uczniowie, oraz ich bezpośredni następcy uczuwali istotę życia Poverella jedynie w radości i pogodzie. Ztąd wszyscy jego biografowie i kronikarze przyrównują Franciszka do słońca lub do radości, jaka weszła nad światem w dni te pełne smutku i bojaźliwego zamyślenia o rzeczach ostatecznych. Treścią bowiem życia i nauki Franciszkowej była wesołość ducha, w czem najdokładniej ujawnił się cały jego pogląd na życie ludzkie, jak w miłowaniu wszystkiego stworzenia i wszelkiego żywiołu — istota

stosunku człowieka do świata i jego Stwórcy. Najdokładniej więc wypowiedział się św. Franciszek w słonecznej pieśni (Cantico del Sole), sławiącej Stwórcę, stworzenia i żywioły. —

*

Szybko przeminęło życie Franciszka (1182—1226) na pracy, głoszeniu słowa bożego i zamyśleniu o rzeczach boskich. Dziecinny mnich był zupełnie nieświadom tego, co stworzył w ciągu żywota swego. W najśmielszych nawet marzeniach i nadziejach nie mógłby był śnić tej wielkości, jaką mu potomność przysądziła. A przecież niezależnie od tej nieświadomości, życie i słowa biedaczyny bożego padły na urodzajną glebę, plon wydając stokrotny.

Życie minęło chyżo, zostawiając jednak na duszy i świadomości ówczesnej piętno niezatarte. Prawie że współcześnie, jeszcze za życia Franciszka, bezprzykładne jego kazania, czyny i wędrówki zaczęły stawać się w pojęciu ogółu legendą. Jestto proces zwyczajny — każde wielkie zdarzenie historyczne, czy jakaś postać historyczna na tle jego wyrosła, zawsze prawie staje się baśnią, legendą. Tak było zawsze w średniowieczu — na dowód dość wspomnieć Karola Wielkiego, Króla Artusa, Rolanda, Vergilego, Walgierza i cały długi szereg wyolbrzymiałych królów i rycerzy, których życie i czyny są treścią epiki średniowiecznej.

Życie Franciszka było tak poetyckie, legendarne rzec można, iż nie trzeba było długiego czasokresu, iżby stało się legendą. Ono samo w swej istocie już posiadało wszystkie legendarne pierwiastki. Kryło w sobie wszystko to, co potem nazwano kwiatkami św. Franciszka — więc nic dziwnego, że prawie równocześnie stawało się legendą. Tak też powstawały kwiatki, spisane dopiero na początku wieku XIV.

Lud spokojny, rozsiany po Umbryi, widywał tę radosną a ubogą brać Franciszkową, zaczem opowiadał sobie prawdziwe dziwy o ich życiu i czynach. Więc opowiadano sobie, jak to święty Franciszek kazał do ryb, do ptasząt, jak nawrócił straszliwego wilka z Agobbio, jak oswoił turkawki, ku pokucie a skrusze przywiódł zbójców okrutnych, jako prawił bratu Leonowi o doskonałej radości, w czasie wędrówki do Sieny. Podobne opowieści krążyły o życiu brata Idziego, Jałowca (Ginepra), a potem dopiero, po spisaniu tych legend dodano rozdziały, usiłujące zamknąć w pewniejszych i stalszych granicach nauki św. Franciszka lub brata Idziego, oraz wiadomości o cudownych stygmatach Franciszkowych. Są to już późniejsze dodatki mnichów, usiłujących spisać z kronikarską dokładnością i wiedzą początki Franciszkanów i ich założyciela. Z tej przyczyny jasno biją w oczy te dwa pierwiastki w kwiatkach zawarte. Jednak mimo wszelkie usiłowania kwiatki zachowały cały swój powab świeżości oraz tej bezpośredniej prawdy, jaka cechowała żywot św. Franciszka. Wszystkie usiłowania przystosowania życia Franciszkowego do potrzeb kościoła — na szczęście — zawarły się w żywotach świętego oraz kronikach zakonnych, a zwłaszcza w życiorysach, skreślonych trzykrotnie przez Tomasza z Celano.

*

Przez badaczy lekceważone i pomijane dla swej naiwnej i dziecięcej prostoty kwiatki, zdobyły należne im pierwszorzędne stanowisko, głównie dzięki P. Sabatier'owi. ...„Zjawiskom tym i wizyom przeczyć — byłoby większym błędem niż wierzyć w ich rzeczywistość"... — mówi P. Sabatier na jednej z kart swej znakomitej biografii Poverella.

I tak jest w istocie.

W opowiadaniach zawarło się i najdokładniej przechowało życie Franciszka. Nieskończony urok tych kart — mówi Sabatier — leży w tem, co możnaby nazwać ich atmosferą. Niewątpliwie, są legendarne, przekształcone, przesadne, nawet fałszywe, a jednak umieją jaśniej i żywiej, niż jakiekolwiek inne dzieło, przedstawić krąg życia św. Franciszka. Mimo wszystkie niedokładności szczegółów — istota przekazanych rysów pełna prawdy, a ton doskonale trafiony.

Jakim sposobem się to stać mogło? Parę słów rozjaśni cały ten proces.

Po za naszą świadomością dokonywa się jakaś tajemna praca, która jedne rysy w pamięci zaciera, gasi pewne blaski, a inne znowu rozświetla lub rozczepia na całe szeregi składników. Ta codziennie widywana rzeczywistość przekształca się w jakąś nową prawdę, na nowych oparta wartościach, prawdę poetycką i psychologiczną, zupełnie częstokroć niezależną od prawdy historycznej.

Pamięć ludzka posiada jakąś nieznaną nam jeszcze logikę — ztąd częstokroć niepojętą i niezrozumiałą. Nie wchodzę bliżej w analizę tego pojęcia, gdyż wystarczy, mniemam, stwierdzenie jej wyników bez roztrząsania pytania czy to jest logiką czy też pracą celową, samorzutnie spełniającą się po za granicami naszej świadomości, w zakresie naszego myślenia. Dość, iż na każdym niemal kroku przekonywamy się o spełnianiu się jakiegoś sądu nad myślami naszemi, skutkiem którego jedne rysy olbrzymieją, inne zasuwają się w mrok i zapomnienie. Wniknąwszy bliżej w to zjawisko, dostrzeżemy pewną nieraz niezgodność, a może i nawet sprzeczność, z utartemi pojęciami o ważności zjawisk. Niezawsze bowiem wydarzy się tak w tym procesie myślowym, że rysy i cechy uważane przez nas za najważniejsze, zostaną wyłącznie utrwalone, a z drugiej strony cechy i rysy drugorzędne pamięć wykreśli, jako bezpotrzebny ciężar. Bardzo jednakże często dzieje się inaczej.

Pamięć zanotuje nieraz zdarzenia na pozór małoważne na niekorzyść rzeczy uchodzących za wielkiej wagi — i rzecz dziwna — że w tych zapoznanych rysach przejawi się nowa jakaś treść, poprzednio zupełnie niedostrzeżona, a w owych rysach ważnych nagle niekiedy objawi się taka bezdenna, przerażająca pustka.

Zatem przyjąć należy, iż niema właściwie żadnego kryteryum ważności wydarzeń w życiu umysłowem. Wszystko jest jednakowo ważne i uprawnione do bytu, tem, że istnieje.

Skutkiem tego duch ludzki niezawsze wyjawia się w zdarzeniach ważnych i wielkich, częstokroć tajemne oblicze jego spojrzy ku nam zamyślonych oczu głębią — z poza rzeczy tak niepozornej lub małej, że chyba nikt w niej podejrzewać nie śmiał istnienia, ani odrobiny tej otchłannej głębi i prawdy, jaka do nas właśnie przemówiła.

Wiedza ścisła usiłuje wprowadzić stałe kryteryum rozgraniczające rzecz

ważną od mniej ważnej, prawdę od nieprawdy... Czy taka skala wielkości i doskonałości wszelakich wydarzeń ma istotną prawdziwą i niezbitą podstawę istnienia? Mnie się zdaje, że nie, jako że do największych złudzeń należą wszystkie granice i prawa w jakie ujmujemy zjawiska życia.

Stwarzamy te granice jako chwilowo potrzebne wytwory pracy i myślenia — mury ochronne, drogowskazy, chroniące myśl od zboczenia na szlaki nieskończoności.

A zatem fantazya, a raczej zbiorowa świadomość prawdy poetyckiej i psychologicznej czyni dobrze.

Istota ducha ludzkiego jest zniekształcona, okryta szeregiem najrozmaitszych złud, narzuconych bądź przez życie, bądź przez jakieś z głębi płynące nakazy, konieczności. Chcąc przeto wyrazić ducha w jego istocie i treści, trzeba go uwolnić od wszelkich kłamliwych pozorów, od wszelkich cech przypadkowych — a to jest trudem podjętym przez sztukę.

Zbiorowa fantazya pokoleń również dokonywa tego zadania. Ztąd nieraz legenda trafniej wyrazi owo nieuchwytne poczucie prawdy, niż całe szeregi prac naukowych. To zadanie podejmują kwiatki św. Franciszka i przyznać trzeba, iż spełniają je znakomicie.

Przekład, dokonany kunsztem niepoślednim, tchnie tą prostotą, jaka mi staje przed oczyma, ilekroć pomyślę o św. Franciszku, lub ilekroć wczytuję się w niezapomniane „Kwiatki".

ST. MACHNIEWICZ.

NADESŁANE DO REDAKCYI:

Katalog ilustrowany wystawy mistrzów dawnych we Lwowie urządzonej staraniem Andrzejowej X. Lubomirskiej na dochód Tow. im. Dzieciątka Jezus MCMIX — zestawił Mieczysław Treter (z 50 reprod.).

Tekst polski i francuzki, wydanie wytworne. Jedno z tych rzadkich wydawnictw, które przynajmniej część polskiego skarbca ukazują. Skarby te należy cenić. Rabunkowej gospodarce naszych przyjaciół zawdzięczamy, że wszystkiem, czem szczycić mogłyby się nasze publiczne galerye, wzbogaciło się Drezno i Eremitaż. Ocalało to, co schowano gdzieś głębiej, po dworach ustronnych, co było uciechą samotnych miłośników piękna, dla niewielu tylko przeznaczone oczu. Wobec wywożenia, zbywania i bogacenia zagranicy wieloma z tych ocalonych rzeczy, dziś jeszcze przez ludzi o zmarniałem poczuciu obywatelskiem, tem więcej cenić powinniśmy sobie to, co zostaje.

Z niewielką stosunkowo częścią tych cennych rzeczy poznajamia nas katalog wystawy mistrzów dawnych; to jednak co nam daje, zasługuje na baczną uwagę historyka sztuki i tych, którzy do dobytku polskiego przywiązują pewną ambicyę, pewien serdeczny niepokój. — Najpocześniejszą część wystawy zajęły zbiory: Andrzejów X. Lubomirskich i Leona hr. Pinińskiego, który małą zaledwie część cennej kolekcyi swojej wystawił, Jerzego X. Czartoryskiego, prof. W. Łukasiewicza i p. St. Oleksińskiego. — Z reprodukowanych w katalogu na szczególną uwagę zasługują: znany, może najpiękniejszy autoportret Rembrandta z lat wczesnych, mający już bardzo obszerną literaturę, Sofonisby Anguisciola portret damy, M. Berchema: gloryfikacya pokoju westfalskiego, Brekelenkama pustelnik, Basaitiego znany z litografii portret Kopernika (ze względu na temat), Greuze'a: akt dziewczyny, Vigée Le Brun: X. Izabella Lubomirska, szkoły Rubensa: męczeństwo św. Jerzego, R. Mengsa: portret Winckelmanna, szkoły niderlandzkiej XV w.: pożegnanie Chrystusa z Maryą, wreszcie nieznanego malarza XVII w.: portret Karola Chodkiewicza.— Prócz tego katalog reprodukuje Madonnę Sassoferrata, Steena, kilka ciekawych Ruijs-

daelów, Lampich i Grassich, Kupetzky'ego, Verneta bardzo piękną burzę morską, Angelik Kaufmann bardzo ładny portret Henryka X. Lubomirskiego jako Kupidyna i w. i. — Katalog spisuje ogółem 134 obrazy i zawiera prócz tego odczyty i przemówienia Leona Pinińskiego, prof. Jerzego Mycielskiego, prof. J. B. Antoniewicza i dra Wł. Witwickiego.

Wartość katalogu i cena jego jak na tak piękne wydanie (98 stron tekstu i 50 ilustracyi na osobnych kartach, wykonanych starannie w zakładzie „Zorzy") wcale nie wygórowana (7 K) — jeśli już nie mówimy o celu na jaki fundusz z rozprzedaży przeznaczono — zjednają mu zapewne poważniejsze zainteresowanie.

Rychłowski Kazimierz (przełożył): Współcześni poeci francuscy — wybór poezyi.

Króliński Kazimierz: I mówi do mnie wieś. (Poezye serya druga, nakł. księg. Maniszewskiego i Meinharta — Lwów 1908).

Mossoczowa M. (M. Koliskówna): Arcydzieło Juliusza Słowackiego Król-Duch (Kraków. Gebethner i Sp. 1910).

Zegadłowicz Emil: Nad rzeką (*Poezye* Kraków 1910, skł. gł. w księg. Friedleina).

Juliuszowi Słowackiemu Grono nauczycielskie gimnazyum II we Lwowie (1909 — treść: Dr. Bernard Hausner: Słowacki a biblia, dr. Adolf Bednarowski: Słowacki jako tłómacz Homera, J. W. Rollauer: Słowackiego „Fantazy" a „Tasso" Goethego, Zygmunt Bromberg Bytkowski: Słowacki jako dramaturg, dr. Wasyl Szczurat: J. Słowackij w ukraińskim pyśmenstwi i perekładii, dr. Stanisław Kossowski: Kwestya genezy wiersza: „Testament mój".

Nora Walicka (Bolesławowa Wręby-Bucewiczowa): Prometeya (Wybór poezyi).

Lipińska Jadwiga: Źródło *(Poezye).*

Ottonówna: Podlaskie „Hospody pomyłuj" — 1872-1905. Kronika 33 lat prześladowania Unii, przez naocznego świadka (Kraków 1908).

To samo w przekładzie ruskim w skróceniu (alfabetem ruskim): „Wyimki z pamiatnika Ottoniwny o pereslidowaniu Unii" (czast perwsza). (Nakładom komitetu wydawnictwa knižoczok lidowych — Lwiw 1909. Redaktor Br. Sokalskij) *dołączona reprodukcya ze znanego obrazu Eljasza: Prześladowanie Unitów.*

Feldman Wilhelm: My artyści... Sztuka w 4 aktach — Lwów księg. H. Altenberga).

Żuławski Jerzy: Bajka o człowieku szczęśliwym (nowe opowiadania).

Brzozowski Wincenty Korab: Dusza mówiąca.

Brzozowski Stanisław Korab: Nim serce ucichło. *Obydwie książeczki Brzozowskich wydane bardzo starannie* (nakł. J. Mortkowicza Warszawa 1910). *Należy się wdzięczność wydawcom że poezye zmarłego Stanisława Brzozowskiego przyszły wreszcie do wytwornego wydania.*

Wize Kasimir Filip: Die Definition des Schönen in Kants Kritik der Urteilskraft. (Sonderabdruck aus den Verhandlungen des III internationalen Kongresses für Philosophie. Heidelberg 1908).

Lutosławski Wincenty: Darwin i Słowacki (Warszawa 1909).

Lament chłopski na pany (wydał Józef Kallenbach). *Pierwszy zeszyt wydawnictwa „Białe kruki" wydawanego przez Karola Badeckiego. Niezwykłą staranność widać w tem przedsięwzięciu pożytecznem. Dawno potrzebowaliśmy takiego wydawnictwa, któreby dawało przedruki najrzadszych starych druków i z taką gorliwością uprzystępniało je szerszemu ogółowi. Na zeszyt (liczący około 40-u stron, papier czerpany, okładka stylowa) składają się: słowo wstępne prof. Kallenbacha, wstęp do „Lamentu", „Lamentu" prze-*

druk homograficzny wykonany przez p. Badeckiego z taką starannością, jakiej od czasu sławnych reprodukcyi Pilińskiego nie pamiętamy, przedruk w pisowni dzisiejszej, słowniczek wyrazów przestarzałych, wskazówki bibliograficzne. Wydawnictwo powinno zająć nietylko bibliofilów. (Lwów, nakł. księg. Zienkowicza i Chęcińskiego 1910, druk Józefa Chęcińskiego).

Badecki Karol: Pierwsze wydanie „Pamiątki Janowi z Tęczyna“, Jana Kochanowskiego — studyum historyczno-literackie. (Odbicie z „Pamiętnika literackiego“).

Sinko Tadeusz: Hellenizm Juliusza Słowackiego (nakł. Akademii Umiejętności, Kraków 1909). *Obszerna praca jednego z najlepszych znawców języka i kultury greckiej.*

Arystofanes: Gromiwoja — przetłómaczył, wstępem i objaśnieniami opatrzył Edmund Żegota Cięglewicz. *Język bogaty, styl jędrny i jasny tłómacza, wyborne władanie formą, a przytem znajomość i odczucie ducha greckiego, daje tłómaczeniom jego szczególną wartość. Przypominamy inne tłómaczenia jego n. p. „Żaby“ i „Chmury“, których pierwsze wydania rozeszły się w tak krótkim czasie. — Do „Gromiwoi“ dołączył tłómacz bardzo interesującą przedmowę.*

*

Sfinks. Miesięcznik artyst. literacki i naukowy pod red. Wład. Bukowińskiego.

Przegląd Narodowy. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym i naukowym, społecznym, literackim i artystycznym; pod kierownictwem Zygmunta Balickiego. (Red. Jerzy Gościcki).

Przegląd polski. *Miesięcznik artyst. literacki i naukowy wychodzący w Krakowie pod red. prof. Jerzego hr. Mycielskiego.*

La Nouvelle Revue Française. Revue mensuelle de littérature et de critique. (Comité de direction J. Copeau, A. Ruyters, J. Schlumberger).

TYGODNIKOWI ILLUSTROWANEMU na rozpoczęcie drugiego półwiecza jego zasłużonego istnienia wyraża Lamus serdeczne: „Szczęść Wam Boże!“

*

Część druga — Wczoraj.

Mikołaj Kopernik a Zakon krzyżacki.

WŁASNORĘCZNY LIST KOPERNIKA.

Najjaśniejszy i najmiłościwszy władco,
Królu i Panie najłaskawszy!

Po zapewnieniu o naszem przywiązaniu i gotowości do kornych usług.

Często już chcieliśmy użalić się przed Tobą, najmiłościwszy Panie, na krzywdy nasze, lecz wstrzymywała nas jakaś nieśmiałość nasza i majestat dostojnego imienia Twojego, do któregośmy powinni zawsze zwracać się raczej z czcią aniżeli ze sprawami. Teraz jednak i trudne położenie nasze i niegodziwość zaszłych wydarzeń, a także i sam honor Waszej Królewskiej Mości zmuszają nas naprzykrzać się naszemi żalami i błaganiem Waszej Miłości, zajętej już zkądinąd bardzo ważnemi sprawy. Nie jest to bowiem tajnem, jakich obelg doznajemy już przez pełnych lat siedm ze strony zbrodniczych i bezczelnych ludzi, przez to, że zarówno my jak i nasi poddani nękani jesteśmy ogniem i mieczem, napadami i rozbojami od coraz to wzrastającej liczby wrogów; że dalej sami jesteśmy jakby uprowadzeni w niewolę tak, iż nawet godziny bezpiecznie nie mieszkamy w domach naszych, które leżąc wśród otwartego pola, wystawione są na łaskę i niełaskę zbrodniarzy, a nawet przybytek Boży i świętości ledwo od zbezczeszczenia chronimy, że wreszcie prawie nie wolno nam bezkarnie wymierzyć samym sobie sprawiedliwości, której od innych rzadko tylko doświadczamy. Z czyjej zaś pobudki te przykrości nasze tak się wzmogły, to już skądinąd, sądzimy, Waszej Królewskiej Mości jest znane. Jest bowiem także dobrze wiadomem, gdzie się owi rozbójnicy aż dotąd wylęgają, gdzie się na nas zbroją, dokąd się ze zdobyczą chronią. Myśmy to dotąd znosili w cierpliwości ponieważ poświęciwszy się stanowi duchownemu mniej mamy doświadczenia w rzemiośle wojennem. Jednak, ponieważ na walnym sejmie w Elblągu świeżo zapadła była uchwała, że wszyscy mają chwycić za oręż przeciwko tej pladze, ażeby ją wyplenić i ponieważ rozumieliśmy, że jest to także postanowione edyktem Waszej Królewskiej Mości, nie uchyliliśmy się od obowiązku, lecz owszem pierwsi staliśmy się mścicielami tak wielkich zbro-

dni. Albowiem, gdy na początku tego miesiąca na naszej ziemi ośmiu rozbójników napadło na publicznej drodze pewnego poddanego Waszej Królewskiej Mości, obywatela miasta Elbląga i odciąwszy mu obiedwie ręce, obrabowali go ze wszelkiej majętności: burgrabia nasz, zebrawszy wkrótce małą garstkę naszych poddanych, wkroczył bezustannym marszem prawie sześć mil w głąb terytoryów Zakonu za śladami owych okrutnych rozbójników, napadł na nich, wpierw niżby się po domach rozprószyli, zajętych podziałem łupu w pewnym bagnistym lesie; schwytawszy zaś jednego z nich, szlachcica rodem z Marchii (inni ucieczką się ratowali), odwiózł go z powrotem do domu wraz z całą zdobyczą, oraz z końmi i z uzbrojeniem samych rozbójników, wpierw uprosiwszy i uzyskawszy pozwolenie owego rycerza, któremu podlega owa okolica, jakkolwiek pozwolenie w tym razie nie było potrzebne.

Lecz teraz już nietylko ów rycerz użala się, że doznał krzywdy (bo widzi może, że ta sprawa także i jemu niebezpieczeństwem zagraża), lecz i komtur w Baldze, a nawet sam dostojny w. mistrz, niedość że żąda, lecz także usilnie się stara, by owego schwytanego rozbójnika, z całą uprowadzoną zdobyczą, powrócić do Balgi, którą to sprawę Najprzewielebniejszy nasz biskup Waszej Królewskiej Mości szerzej przedstawił. Z tego powodu rabusie już zuchwalej niż przedtem podnoszą przeciwko nam głowy i jak przedtem zagrażali miastom, teraz wszyscy przeciwko nam się zwróciwszy, wszelaką prowokacyą, różnemi obelgami i częstemi pogróżkami nas napastują; następnie widzimy także, iż ze strony w. mistrza grozi nam już prawie niebezpieczeństwo i przemoc, której niemamy sposobu odeprzeć, ponieważ zajęciem naszem jest modlić się a nie walczyć; chyba, że przyjdzie nam z pomocą Wasza Królewska Mość z wrodzoną Swą łaskawością, do której z tem większą ufnością zwrócić się nakłania nas z jednej strony niewinność naszej sprawy, a z drugiej niebezpieczeństwo naszego Kościoła, który w Waszej Królewskiej Mości ma i zawsze miał najszlachetniejszego opiekuna. To też uniżenie Wasz Majestat zaklinamy i błagamy, racz Królewską Swą mądrością i stanowczością zapobiedz tym zbrodniczym usiłowaniom, Kościół nasz i nas samych, w oczywistem niebezpieczeństwie pogrążonych, otoczyć opieką Swą i obroną, abyśmy mogli i służbę Bożą i nas samych, którzy nie ustajemy w modlitwach o pomyślny stan dostojnego królestwa Twojego, lepiej zachować w cieniu wzniosłych cnót Twoich, ofiarując wierne usługi nasze i samo życie nasze Waszej Królewskiej Mości, którego czcimy jako najłaskawszego Pana naszego, kornie Mu się polecając.

Waszego najmiłościwszego Królewskiego Majestatu

uniżeni i oddani kapelani
Kapituła Warmińska.

Z Warmii dnia 22 miesiąca lipca, roku 1516.

INNY LIST KOPERNIKA.

Rme in Chro pr et dne Dne clementissime Heri bone memorie felix
Custus et Canonicus ex humanis factus traditus est sepulture Canonicatum
et pbendā vacan pro d Raphaele Canopatzkij procuratorio nomine
acceptam et de ea providen ipamq illi conferri seu scdm formam litrarum
apticarum vigore nominationis Serme Regine polonie etc Quod
superest Rma d vra dignetur consensum suu pbere eunq Capto suo
significare vt detur illi per vel mihi procuratori possessio Vacantis
pbende pro quo R d vra ad rem literarum apticarum faciet Domino
vero palatino Pomeranie eiusq filio et mihi gratiam singularem
quam erga R d vram studebimus promereri Ex Frauenburg
xij Martij Anno M D xxxix

E R d vre

Servitor Nicolaus
Copernic

WSPOMNIENIA I REFLEKSYE, WYWOŁANE ŚWIEŻO WYKRYTYM AUTOGRAFEM KOPERNIKA W ARCHIWUM SZTOKHOLMSKIEM.

„...Et vivens quidem Theutonicorum Cruciferorum Magistrum Copernicus inimicum sensit...“ „....Jakoż i za życia miał Kopernik nieprzyjaciela w mistrzu Krzyżaków teutońskich...“, mówi w r. 1627 najwcześniejszy Kopernika biograf, zacny nasz X. Szymon Starowolski w swej Setni (Hekatontas) uczonych polskich, na świadectwo prawdy tych słów powołując się na oryginalne dokumenty, jakie miał wówczas w swych rękach. A były to pisma pierwszorzędnej w tej mierze wagi: własnoręczne listy zaprzyjaźnionego z Kopernikiem warmińskiego kanonika, Gizego, następnie (od r. 1537) biskupa chełmińskiego, a wreszcie (od r. 1549) następcy Dantyszka na stolicy warmińskiej. Listy te — było ich przeszło dwadzieścia — istniały napewne jeszcze w połowie XVII. stulecia, a podobno nawet jeszcze z początkiem następnego, później jednakże zaginęły — niestety! — bez śladu. Podzieliły owe smutny los tylu innych po wielkim astronomie pamiątek: pism, listów, ksiąg i aktów, bądź jego własnością niegdyś będących, bądź też w ten lub w ów sposób z życiem jego związek mających. Skutkiem politycznych nieszczęść narodu, rozprószyły się one na wszystkie strony, częścią zmarniały, a w znacznej części — jak się zdaje — na zawsze przepadły...

Ta to u Starowolskiego przechowana wiadomość spotkała się, swojego czasu, z niechęcią i z niedowierzaniem w pewnym obozie nowszych biografów Kopernika, a także i u niektórych dziejopisów ziemi pruskiej, jakoteż chełmińskiej. Znacznej mianowicie większości historyków niemieckich wiadomość owa wydawała się mało prawdopodobną, w każdym zaś razie wielce niedogodną, a u niektórych z pośród nich, tych, którzy się zowią pruskimi, sprawiła złą krew i wywołała oburzenie pomięszane z konsternacyą.

Był czas, wkrótce potem, kiedy podkopując systematycznie znaczenie Setni Starowolskiego, jako źródła historycznego, usiłowano z owej to strony osłabić jej wiarygodność. Zamiar się nie udał, nie mógł się udać. Wydobyto mianowicie tymczasem na jaw, nieznane wpierw, własnoręczne zapiski innego znów uczonego polskiego, profesora szkoły Jagiellońskiej, Jana Brożka, Brosciusem zwanego († 1652), który — jak o tem z nich się dowiadujemy — te same listy Gizego nietylko że miał w swych rękach, ale co więcej, niektóre z nich streścił

a wreszcie dwa, nawet — w niezmiernie dziś rzadkiem pisemku — drukiem w r. 1618 ogłosił.

Po tem wszystkiem stawało się już, dla tamtej strony, niepodobieństwem prawdziwości owej tradycyi jeszcze dłużej zaprzeczać. Ustaliło się jednak zdanie, że coś przecie należałoby w tej mierze przedsięwziąć... Wówczas to chwycono się zwykłej, wielorako przez się wypróbowanej, metody, ażeby, wszelakiem krętactwem historycznem, znaczenie i doniosłość owej wiadomości osłabiać, zacierać i — jeśliby się to dało — z czasem doszczętnie zatrzeć...

Ale veritas temporis filia nie mogła na zawsze niemą pozostać. Z biegiem czasu, dzięki intenzywnym poszukiwaniom po archiwach i bibliotekach, poczęły, w kilku ostatnich dziesięcioleciach, wychodzić na jaw liczne, nieznane wpierw wiadomości, odnoszące się do dziejów życia i myśli mędrca warmińskiego, oświetlające jego postać nietylko jako myśliciela, lecz także jako obywatela, człowieka. Pomiędzy niemi znalazły się również i takie, które posiadały przyczynowy związek z ową — daremnie przez tamtych zrazu zaprzeczaną! — historyczną u Starowolskiego tradycyą i niedość, że w pełni prawdziwość jej potwierdziły, obydwóch polskich uczonych zrehabilitowały, ale przydawszy nowe szczegóły do jej zbytniej zwięzłości, odkryły nam zarazem źródło owej nienawiści wielkiego mistrza... I zaiste, jak gdyby na zadośćuczynienie wielokroć pogwałcanej prawdy historycznej, musiało się zdarzyć, że najpierwszy, biorąc chronologicznie, z pośród owych cennych dokumentów, wykryty został — lat temu przeszło pięćdziesiąt — właśnie przez główno dowodzącego hyperkrytyką Starowolskiego, a zarazem przez najżarliwszego szermierza za niemiecką rzekomo narodowością Kopernika*). Dokument ów, to dłuższa i energiczna skarga, Querela, kapituły warmińskiej, przeciwko gwałtom, grabieżom, rozbojom i spustoszeniom, jakich podczas rozejmu w r. 1521, dopuszczali się „ogniem i mieczem“ rycerze Zakonu krzyżackiego na podległej berłu króla polskiego ziemi warmińskiej, skarga, będąca pod względem zarówno rzeczowym, jak i stylistycznym, duchową wielkiego astronoma własnością, dochowana po dziś dzień w sztokholmskiem archiwum państwowem, jako własnoręczny brulion Kopernika, wielorako przez niego samego poprawiany i wygładzany.

Za tym najpierwszym poczęły z biegiem lat wychylać się na światło dzienne inne jeszcze tego rodzaju, również jak tamten wymowne, akta i dokumenta.. Jednym z ostatnich, z pomiędzy dotychczas wykrytych,

---

*) Profesor toruńskiego gimnazyum Dr. Leopold Prawe.

na razie ostatnim, jest ten, którego podobiznę fotograficzną i wierny polski przekład dziś tu podajemy.*)

Ale o tem więcej dopiero za chwilę. Jako drobny fragment znacznie obszerniejszej sceny dziejowej, dokument ten posiada w swej osnowie tło szersze, którego niepodobna nam tutaj, chociażby pokrótce nie dotknąć. Jest to ów długoletni spór o narodowość wielkiego astronoma niejako proces w obliczu historyi, który swojego czasu obydwom stronom spornym dał był właśnie popęd do pilnych poszukiwań archiwalnych za potrzebnym tu i tam materyałem dowodowym.

Nie tutaj jest miejsce i pora roztaczać, a choćby tylko streszczać obszerny w tej mierze aparat krytyczny i dowodowy, zawarty w znacznie już potąd narosłej literaturze kopernikańskiej. Musi nam na dziś wystarczyć, jeżeli w szybkim przeglądzie uprzytomnimy sobie najgłówniejsze tylko tu należące momenta, odnoszące się do genealogii i życia wielbionego męża, jakoteż i najbliższej jego rodziny. Luźna to będzie wiązanka faktów i bez pretensyi do jakiejkolwiek spoistszej konstrukcyi historycznej, materyał niemal surowy, opatrzony co najwyżej w niezbędny do zrozumienia komentarz. Lecz może tak będzie i lepiej dla sprawy. Wydaje się nam bowiem, że wówczas to, wolny od przymieszki osobistych mniemań piszącego, jego wyobrażeń, myśli i uczuć, tem wyraziściej da się usłyszeć niczem nie zamącony głos prawdy dziejowej...

Z góry należy nam jednak zaznaczyć, że owa kwestya sporna, postawiona została swojego czasu nie najfortunniej: z obydwóch mianowicie stron popełniono bezsprzecznie rodzaj anachronizmu, wyobrażając sobie pojęcie narodowości w średniowieczu... prawie po dzisiejszemu i na podstawie takiego to mylnego założenia gorące debaty prowadząc...

Dalecy od mniemania, jakoby pojęcie to miało być w całości wytworem nowszych dopiero czasów, to wszakże uważamy za pewne, że w społeczeństwach średniowiecznych — i później jeszcze — podmiotowe w tej mierze poczucia nie doszły były jeszcze do ich dzisiejszej wyrazistości i że nawet w takiej to niewykończonej ich

---

*) Wykryty przez autora niniejszych wspomnień w archiwum państwowem (Riks-Arkivet) w Sztokholmie d. 12 sierpnia 1908 r. — Archiwa i biblioteki warmińskie złupione zostały głównie w r. 1626 przez wojska Gustawa Adolfa i wywiezione do Szwecyi. Ztąd to poszło, że cała niemal dawna biblioteka frauenburskiej katedry, a z nią także i niewielki księgozbiór, będący niegdyś prywatną Kopernika własnością, testamentem przez niego kapitule legowany, zawędrowały do Szwecyi, a mianowicie w części największej do uniwersyteckiej biblioteki w Upsali, gdzie dotąd dotrwały. Gorszy los spotkał obydwa archiwa warmińskie, biskupie w Heilsbergu i kapitulne w Frauenburgu: z obydwóch tylko resztki ocalały.

formie, zdołały zdobyć dla siebie słabe tylko uświadomienie. Przyczyn tego zjawiska nie trudno się dopatrzeć. Jedność religijna, jeszcze przed jej rozłamem, zwanym reformacyą, wszystko niwelująca łacina w kościele, w urzędach, w nauce, w piśmiennictwie i w szkole, a nawet i w życiu prywatnem wykształceńszych jednostek, dalej instytucye niemal że międzynarodowe, takie jak związki hanzeatyckie krajów i miast, wszelakie cechy, bractwa i zbożne stowarzyszenia, samo nawet ustawodawstwo owoczesne, wszystko to razem składało się niezawodnie na zacieranie, w podmiotowem poczuciu i rozumieniu średniowiecznego człowieka, różnic pomiędzy różnojęzycznymi mieszkańcami Europy chrześcijańskiej. Nie pokrywające się nawzajem jeszcze dotychczas obszary etnograficzne i polityczne, przedstawiały, jak wiadomo, w średniowieczu nieporównanie większą od dzisiejszej mieszaninę i rozmaitość, za czem też iść musiało, że nawet światlejszemu człowiekowi owoczesnemu wystarczała najczęściej świadomość, że należy do tego, albo do tamtego organizmu państwowego. Mimo to obcem było pod ten czas nowoczesne pojęcie kosmopolityzmu. Od popadnięcia w drugą tę skrajność chroniło bowiem jednostkę dostatecznie wyrobione i żywe poczucie miejscowego patryotyzmu, przywiązane co prawda najczęściej do terytoryów szczuplejszych, a oparte raczej na geograficznej wspólności, aniżeli etnicznej.

Tak więc za decydujące kryterya przynależności pewnej uważanej jednostki, w średniowieczu żyjącej, do tego albo do tamtego narodu, niepodobna uważać wyłącznie, zwykle w takich razach przytaczanych: nazwiska, pochodzenia, a nawet języka, jakim ta osobistość posługiwała się w życiu codziennem. Za kogóż to uważali się, gdyby ich wszystkich można było dziś o to zapytać, tacy Betmani, Bonerzy, Elgoty, Wierzynki, Hozyusze... albo z pomiędzy późniejszych, a wreszcie dzisiejszych, tacy Kalksteiny, Mosbachy, Bedermany, Trauguty, Helclowie, Manteufle i tylu, tylu innych, pomimo swych nazwisk niepolskich? Kimże to byli kardynał Zbigniew, arcybiskup Jan Łaski, biskupi Piotr Tomicki, Erazm Ciołek, Maciej Drzewicki, historyk Bernard Wapowski i znowu tylu innych, którzy władali, w mowie a nawet w piśmie, obok rodowitego także niemieckim językiem, a których listy niemieckie do dziś dnia jeszcze dotrwały? Za kogóż to, zapytajmy wreszcie, za Polaków, czy też za Niemców, uważały się „pruskie“ rodziny szlacheckie takich Bayzenów, Czemów, Działyńskich, Kostków, Jordanów, Orłowskich i Konopackich...*) gdzie w całym XV. i jeszcze

*) Rodzina Koperników była spowinowaconą z zasłużonym rodem Konopackich, o czem już Niesiecki dobrze wiedział (Herbarz, wyd. Bobrowicza, V., str. 207—208). Istnienie drugiej jesz-

daleko w głąb XVI. stulecia, obok polskiego języka, także niemiecki w codziennem pozostawał użyciu?... Zaiste, zawodne to częstokroć owe rzekome kryterya narodowości, zwodne aż nazbyt często oznaki zewnętrzne, mało co o wewnętrznym nastroju myśli i uczuć człowieka informujące. O ileż to bezpieczniej takie rozeznawania i sądy oprzeć na przebiegu życia uważanej osobistości, w jej czynach, w nich przedewszystkiem szukać odpowiedzi na postawione pytanie! One dopiero zdołają odsłonić przed nami uczucia, poruszające sercem owego człowieka i pozwolą dosłuchać się w nim tego głosu wewnętrznego, który każe mu do tej, umiłowanej przez się, społeczności ludzkiej przyznawać się raczej, aniżeli do tamtej... Wszak nie naprożno zostało powiedziane, że „z owoców ich, poznacie ich“.

Niechaj jednakże przemówią najpierw głos krwi, pochodzenie, miejsce urodzenia, brzmienie nazwiska...

Mikołaj Kopernik był najmłodszem dzieckiem Mikołaja Kopernika starszego i Barbary z Watzelrodów. Przyszedł na świat w Toruniu w r. 1473, w siedm lat po znanym pokoju toruńskim, którym, oderwane niegdyś przez Zakon niemiecki podstępem i przemocą od dziedzin piastowskich ziemie chełmińska i michałowska, jakoteż Prusy zachodnie, z Polską napowrót połączone zostały.

Pokój r. 1466 był zakończeniem 13-stoletniej uporczywej walki o niepodległość „ziem i miast“ pruskich przeciwko ciemięztwu tych krain przez Zakon krzyżacki. Przygotowywana przez dłuższy czas tajemnemi organizacyami mieszczaństwa i ziemian, takiemi jak „Związek jaszczurczy“ i inne, wybuchła ta walka na „śmierć lub życie“ zaraz po odprawieniu — w lutym 1454 r. — uroczystego do króla Kazimierza poselstwa z tą prośbą gorącą, aby te to „oderwane niegdyś przez Zakon od Polski“ dzielnice raczył pod swoje berło napowrót przyjąć i zbrojnie wystąpić, razem z mieszkańcami tych ziem, przeciwko wspólnemu wrogowi. Po dłuższych naradach króla z panami nastąpiło wreszcie przyzwalające na to słowo monarchy...

Ludność Torunia — tego w najstarszych dyplomatach Tarnowa mazowieckiego — składała się o te czasy, według wiarygodnych świadectw historycznych, z obywateli, mówiących mniej więcej w połowie

---

cze tych samych rodzin kolligacyi — przez Annę Pękowę (Peckaw) i Watzelrodów — wynika z aktów, jakie niedawno wykrył Boniecki (Herbarz, t. XI., Warszawa 1907, str. 89). Dochował się szczegół, świadczący, że Kopernik młodym Rafałem Konopackim (syn Jerzego, 1516 kasztelana gdańskiego, 1519 wojewody pomorskiego i starosty świeckiego — Świecie, niem. Schwetz — zmarłego przed r. 1544) zajmował się niemal jakgdyby własnym synem. Rodzona po ojcu babka Rafała i matka naszego astronoma, obie były Watzelrodówne. Także pomiędzy Czapskimi i Działyńskimi z jednej, a Kopernikami i Watzelrodami z drugiej strony, istniało powinowactwo, ale już dalsze.

po polsku, w połowie zaś po niemiecku, tych i tamtych, pomimo różnicy języka, jednako lojalnych poddanych królestwa, wszystkich zarówno wiernych królowi i przywiązanych do Jagiellońskiej dynastyi.

Ojciec naszego przyszłego astronoma, zamożny kupiec i mieszczanin najpierw krakowski, przesiedlił się, w r. 1454 — raczej aniżeli dopiero w następnym — z Krakowa do Torunia i tutaj niebawem pojął za żonę Barbarę, córkę bogatego patrycyusza toruńskiego Łukasza Watzelrode i Katarzyny z domu Modlibożanki, po pierwszym małżonku Pękowej (Peckaw, Peckawynne).

Zkąd wyprowadzały swój początek rodziny Koperników i Watzelrodów zanim osiadły w metropolii ziemi chełmińskiej? wiemy, przynajmniej co do pierwszej z nich, już oddawna, a świeżo powiodło się nam ustalić to samo także i co do rodziny naszego astronoma po matce. Obiedwie rodziny pochodziły ze Ślązka, obadwa nazwiska były pierwotnie nazwami miejscowości, z których rody te swój początek wywiodły. Zaznaczamy podkreślając, że fałszywemi były, nieśmiałe ale chętliwe domysły — na niczem nieoparte — kilku nowszych historyków t. zw. pruskich, jakoby Watzelrody mieli pochodzić z Westfalii, czy nawet z Meklemburgii.

Najtroskliwsze poszukiwania archiwalne, wykazały, że przodkowie naszego astronoma po ojcu wyszli z istniejącej do dziś dnia wsi kościelnej Kopernik, leżącej na górnym Ślązku w pobliżu Nissy i Odmuchowa*). Istnienie jej, a do pewnego stopnia nawet jej losy, dają się śledzić wstecz przynajmniej aż do trzeciej ćwierci XIII-go stulecia. Nazwa tej miejscowości, jak niemniej — na co zamało dotychczas uwagi zwracano — mnóstwa innych w najbliższem sąsiedztwie leżących, jest niewątpliwie słowiańska, polska.

Na nic się nie przydadzą, prowadzone gorliwie z pewnej strony ckliwe, etymologiczne rzekomo wywody, oparte na dobrze nam znanej, starej metodzie, na powolnem przekręcaniu pisowni nazwiska i naginaniu jej stopniowem do brzmienia nibyto niemieckiego. Ani reduplikacyą litery *p* w nazwie miejsca, ani zmianą pierwszej samogłoski *o* na *ö*, ani podwojeniem końcowego brzmienia gardłowego *k* na *gk*, czy nawet — jak z pewnej strony usiłowano — aż potwornem potrojeniem na *gck*, fakt ów nie da się przeinaczyć, a wyrazy Koppernik, Köppernik, Köppernigk itp., pozostaną na zawsze monstrami językowemi, w rodzaju n. p. owego dzikiego przekręcenia nazwy wsi ślązkiej Jemielnicy — w dawnej pisowni Gemelnitz, od jemioły —

*) Zob. m. i. Fr. Hipler Spicilegium Copernicanum, Braunsberg 1873, pag. 293—6. Także Ign. Polkowski, żywot Mikołaja Kopernika, Gniezno 1873, str. 51 i nast.

na pozbawione sensu i śmieszne Himmelwitz, oraz innych jeszcze takich dziwolągów. Nie może ulegać dziś wątpliwości, że nazwa owej wsi kościelnej urobiona została niegdyś tym samym trybem jak i mnóstwa podobnych na Ślązku i ziemiach polskich, takich jak n. p. Prądnik, Jodłownik, Kurnik, Rybnik, Rzepiennik i tylu innych, a warto zaakcentować, że każda z tych nazw posiada rozsądne znaczenie, czego niepodobna powiedzieć o tamtych. Najdawniejsze dyplomata z XIII-go stulecia piszą zresztą tę naszą miejscowość: Coprnik (1272), Copirnik (1284), Copirnich (1284), Copernic (1290), Copernik (1291), Kopernic (1298), stale z pierwszą samogłoską *o* bez żadnego pochylenia i bez reduplikacyi którejkolwiek spółgłoski. Zbytecznem nawet będzie przypominać, że cały Ślązk, a zwłaszcza ów jego zakątek, był w stuleciu XIII-tem rdzennie polskim. „In nostra terra scilicet Polonia, quae est sub 50 gradu latitudinis......“, mówi w ogólności o Ślązku, a w szczególności o okolicach Wrocławia i Lignicy, uczony nasz Witelo, autor niezmiernie ciekawego traktatu Optyki, około 1275 r. powstałego. Że stan ten, nieosłabiony zwłaszcza po wsiach, trwał jeszcze po koniec XIV-go wieku, świadczą o tem mnogie wskazówki i fakta. Z nich dwa chociażby niechaj znajdą tu miejsce. W dokumencie z r. 1383 spotyka nas Stanislaus de Copernik, mansyonaryusz kościoła św. Krzyża w Wrocławiu, dalej w r. 1417 może ten sam, raczej jednak już inny, znów Stanislaus de Copernik, także jak tamten mansyonarz przy tym samym kościele, obydwaj zarówno chrzestnem imieniem, jak i nazwiskiem legitymujący się przed nami dostatecznie ze swojej narodowości. O prastarem zasiedleniu się w całej tej okolicy polskiej wyłącznie ludności, jak niemniej i o niezwykłej jej odporności przeciwko postępom kolonizacyi niemieckiej, świadczy fakt, na ówczesne stosunki niezmiernej rzadkości, a przy tem wielce znamienny, że tuż sąsiednie, a po Nissie najgłówniejsze w okolicy tej miasto, że Odmuchów (Ottmuchau), niegdyś kasztelania, rządził się polskiem prawem aż po ostatnią ćwierć XIV-go stulecia. Warto w tej chwili przywołać to do pamięci, że nawet stolica Małopolski, że Kraków o wiele wcześniej, już bowiem w r. 1257 przyjmuje lokacyę na prawie niemieckiem.

Z różnymi Kopernikami: Piotrami, Janami i Mikołajami spotykamy się na górnym Ślązku w przeciągu XIV-go i XV-go jeszcze stulecia, a jedną ich gałąź, o tych samych chrzestnych imionach, znajdujemy w Krakowie, wcześnie, bo już przed rokiem 1370 osiadłą.*) Z archiwal-

*) Najwcześniejsza, dotychczas znana wiadomość o Kopernikach już w Krakowie osiadłych, jest z roku 1367, na trzy lata przed śmiercią Kazimierza Wielkiego. Zob. oryginalny

nych wiadomości jakie dotychczas na jaw wydobyto, nie daje się wprawdzie jeszcze zbudować genealogiczne ich drzewo, wszelako tyle przynajmniej jest pewnem, że z nich to pochodził ojciec naszego astronoma, że z Krakowa był rodem, że tutaj przez szereg lat mieszkał i że nawet po przesiedleniu się w wieku dojrzałym do Torunia, z rodzinnem swem miastem utrzymywał zażyłe i ścisłe stosunki.

Ze Ślązka również, jak rzekliśmy, wiedzie początek rodzina naszego astronoma po matce. Nazwisko jej, o pisowni niedostatecznie dotychczas jeszcze ustalonej, występuje w dyplomatach i kronikach ślązkich, aż w dwudziestukilku rozmaitych odmiankach, takich jak Watzenrode, Waiczenrode, Waczelrode, Waczenrode, Wazzelrode, Wazenrode itd. itd. Wobec tego kłopotliwego bogactwa stanęło rodzajem milczącej konwencyi pomiędzy biografami Kopernika na tem, ażeby a d i n t e r i m używać odmianki Watzelrode, przyjętej nie dlatego, iżby od innych miała być podobniejszą do prawdy, a chociażby tylko częstotliwszą w dokumentach, ale jedynie w celu uniknięcia nieporozumień i zamieszania. W takiej samej obfitości i rozmaitości pojawia się w ślązkich źródłach dziejowych nazwa wsi, blisko Świdnicy leżącej: Weyczenrode, Weyzenrode (1307), Wazenrode itd., raz nawet Wazengrode — dzisiaj Waizenrode, lub Waizenrodau pisana, — a równocześnie, w ciągu XIV-go stulecia występują tam dość liczne osobistości z różnemi imionami chrzestnemi, noszące stale predykat „d e Weyzenrode“ i t. d., odgrywające poczestniejszą rolę w lokalnej historyi Świdnicy, a nieco później także Wrocławia.

Nie myślimy zaprzeczać, że na przełomie wieków XIII-go i XIV-go okolica Świdnicy, acz jeszcze na wskróś polska, była może nieco gęściej niż Odmuchowsko-Nissańskie obszary, także niemieckiem zasiana osadnictwem, wszelako należy pamiętać, że i tutaj, jak tam, żywioł niemiecki gromadził się niemal wyłącznie po miastach, wsi prawie nie dotykając. I nie wzruszy nas w tem przekonaniu także i nazwa owej miejscowości, rzekomo niemiecka. Przeczą bowiem temu twierdzeniu nierzadkie na Ślązku i w Prusiech nazwy miejscowości, z końcówką na *rod,* albo na *rode,* z których zła wola i wieki przecie nie całkiem zdołały zetrzeć słowiańskie pochodzenie, skoro przynajmniej niektóre z pośród nich, jak Schmiegrode (Zmigród), Vissegrode (Wyszogród) itp. zdradzają aż nazbyt wyraźnie genezę swoją, a tem samem i pozostałych, językowo z niemi powinowatych.

---

akt z tego roku ogłoszony w publikacyi: Libri antiquissimi Civitatis Cracoviae, wyd. w Monumenta medii aevi historica res gestas Poloniae illustrantia, T. IV, Cracoviae 1877—8, Partis posterioris pag. 12.

W trzeciej ćwierci XIV-go stulecia giną w ślązkich źródłach historycznych wzmianki o Waczenrodach..., natomiast zjawiają się one, prawie że równocześnie, w pruskich, gdzie wpierw wypatrywałbyś ich napróżno. Trudno żądać lepszego dowodu przesiedlenia się całego tego rodu do Prus, a raczej do ziemi chełmińskiej. Zdaje się, że istniały dwie tego rodu gałęzie, jednych bowiem — ci wkrótce wygaśli — spotykamy na ziemskiem dziedzictwie Sławkowo (niem. Fredau!), drugich widzimy niebawem osiadłych w Toruniu i tam, dobrze jeszcze przed upływem XIV-go wieku piastujących zaszczytne i ważne miejskie urzędy, a później także i ziemskie.

Z pośród nich musi historyka najwięcej interesować wspomniany już raz tutaj Łukasz Watzelrode, dziadek po matce wielkiego astronoma. Bogaty patrycyusz toruński, kupiec na wielką skalę, właściciel kilku domów w mieście i ziemskich posiadłości okolicznych, zrazu ławnik (od r. 1432), a wkrótce potem przewodniczący tej ławy sędziowskiej, na stanowisko to przez niemal ćwierć wieku — aż po koniec życia († 1462) — zaufaniem współobywateli stale powoływany, był Łukasz Watzelrode osobistością podówczas wiele znaczącą i wpływową, zresztą nie w samym tylko Toruniu*). Znaczenie jego i wpływ wzrosły zwłaszcza w latach bezpośrednio poprzedzających wybuch wojny „ziem i miast“ pruskich przeciwko Zakonowi niemieckiemu. Jakoż i nie mogło być inaczej, skoro on właśnie należał do najprzedniejszych i najgorliwszych zwolenników tajnego zamiaru wyzwolenia się z pod jarzma krzyżackiego, do najczynniejszych przywódców spisku, a wreszcie otwartego „rokoszu“ przeciwko ciemięzcy. Czytamy, że kiedy to Rada miejska toruńska, grozą położenia zniewolona w krytycznej chwili równoczesnego na kilku punktach wybuchu wojny, postanowiła się wzmocnić radą przyboczną z dwunastu mężów złożoną, na pierwszem zaraz miejscu tej nadzwyczajnej rady stanął nie kto inny, jeno właśnie nasz Łukasz. Znajdujemy go dalej pomiędzy owymi szesnastu mężami zaufania, których gmina wojowniczo usposobiona i zdecydowana orężem rozprawić się „na śmierć lub życie“ z Zakonem, wysłała była jako swoich rzeczników do chwiejącej się w swych postanowieniach Rady miejskiej, znajdujemy go walczącego mężnie pod Malborgiem i pod Łaszynem, wespół z hufcami polskiemi, przeciwko wspólnemu wrogowi. Znajdujemy wreszcie jego nazwisko w rachunkowych z tego czasu zapiskach miejskich toruńskich, świadczących, że dzielny ten mąż i obywatel, prócz kontrybucyi nałożonej

*) Obszerne wskazówki źródłowe podają Hipler w swem Spicilegium, pag. 297 i 299—300, tudzież Polkowski, Żywot itd., str. 71 i nast.

przez Radę na wszystkich, łożył wiele, bardzo wiele, zarówno w naturaliach jak i w gotówce, nietylko tytułem pożyczki, (której tylko drobną część spadkobiercom jego później miasto zwróciło), ale i wprost darowizną, na znaczne koszta połączone z wywalczeniem wolności swej ziemi rodzinnej.

Takim był, mówiący po niemiecku, a po polsku myślący i czujący Łukasz Watzelrode starszy, ojciec Barbary Kopernikowej, takim był duch w domu dziadka naszego astronoma po matce. Bo że także i małżonka Łukasza, pani Katarzyna z Modlibogów, pierwszemi ślubami Pękowa, dobrą swą w tem cząstkę posiadła, wiemy dziś doskonale, pomimo aż nazbyt szczupłych, dochowanych o niej wiadomości, a to jak gdyby na potwierdzenie tej maksymy starodawnej, że te kobiety bywają zazwyczaj czci najgodniejsze, o których mówi się najmniej. Znalazła się przecie dla miejscowego kronikarza sposobność w latach późniejszych, już po jej śmierci, ażeby, wspomniawszy przygodnie jej imię, nazwać ją „cnotliwą matroną, a swego czasu koroną wszystkich niewiast toruńskich".

Z takiego to gniazda wyszła matka naszego astronoma Barbara i młodsza jej siostra Katarzyna, wydana za krakowianina Bartłomieja Gertnera, wyszedł wreszcie najmłodszy z rodzeństwa, imiennik swego ojca, także Łukasz, późniejszy biskup i pan udzielny warmiński, z takim to domem połączył się swem małżeństwem Mikołaj Kopernik starszy.

Liczne wiadomości, acz wogóle drobne, jakie się dochowały o tym ostatnim, przedstawiają go nam w świetle równie sympatycznem jak i teścia jego Łukasza. Nie jest on wprawdzie w tym stopniu jak tamten „vir robustus", niemniej jednak przedstawia się nam jako człowiek głęboko religijny, ofiarny, humanitarny, zapobiegliwy, a zawsze gotów do posługi bliźniemu, jak i do szerzej pojętej służby publicznej. On to, Mikołaj Kopernik starszy, siedząc jeszcze w Krakowie, wespół z dwoma innymi mieszczaninami tamtejszymi, przychodzi, w chwili krytycznej, z pomocą pieniężną — bardzo na owe czasy znaczną — poselstwu „ziem i miast pruskich" do króla, w lutym 1454 r., niemalże w przeddzień wybuchu wojny z Zakonem, w krytycznej powiadam, kiedy to król, z obawy uwikłania się w wojnę niepewną, zwlekał z daniem odpowiedzi — ostatecznie przychylnej — poselstwu, idąc w tem za radą kardynała Zbigniewa, wysuwającego na pierwszy plan trudności pieniężne... Ważny i ciekawy ten szczegół, jak z jednej strony świadczy o znacznej zamożności ówczesnego mieszczaństwa krakowskiego, tak z drugiej znów o wielkiej solidarności,

jaka — zresztą nietylko podówczas — istniała pomiędzy obydwoma emporyami nadwiślańskiemi. Złożenie przez mieszczan krakowskich znacznej sumy pieniężnej na cele sprawy ich współbraci toruńskich było bowiem natychmiastową odpowiedzią na ostatni, przez Oleśnickiego podniesiony, rzekomo najsilniejszy argument przeciwko wmieszaniu się Polski w zatarg „ziem i miast“ pruskich z Zakonem. Jego to, ojca naszego astronoma, widzimy, właśnie że w chwili wybuchu wojny, rzucającego Kraków spokojny i przenoszącego się do Torunia, właśnie w sam centr teatru wojny. A chociaż nazwisko jego nie zostało wymienione pomiędzy tymi, którzy w ciągu owych trzynastoletnich z Zakonem zapasów, walcząc pospołu z polskiem rycerstwem, pełnili powinność żołnierską, to niepodobna ani na chwilę przypuścić, iżby młody małżonek Barbary Watzelrodówny, w poważnych tych chwilach dziejowych miał siedzieć w domu z założonemi rękami i to podówczas, kiedy tyle od niego starszy wiekiem teść jego Łukasz nadstawiał własną pierś przeciwko grotom krzyżackim. Gdy wraz z zawarciem pokoju w Toruniu nastały w r. 1466 czasy spokojniejsze, widzimy Mikołaja Kopernika, ojca, zajętego przeróżnemi sprawami obywatelskiemi, pomiędzy któremi zabiegi około powiększenia własnego majątku oczywista że nie najmniejszą odgrywały rolę. Widzimy go zajętego wielkim handlem, kupującego, sprzedającego nieruchomości i ruchomości, pośredniczącego w najrozmaitszych umowach, sprzedażach i kupnach, składającego porękę sądową za innych, łożącego grosz własny na cele publiczne, zajętego opiekuństwem sierót małoletnich... Dotykamy pospiesznie rysów jedynie najgłówniejszych, nie wdając się w liczne tu należące szczegóły, lubo częstokroć znamienne i zajmujące.

O jednym z nich jednakowoż niepodobna teraz nie wspomnieć, tem więcej, że historykom naszym wydaje się być, z jednej przynajmniej strony, nieznanym. Nieobcy dziejopisom Kościoła w Polsce, dominikanin Jakób Godziemba z Bydgoszczy († 1478), wieloletni prowincyał Zakonu kaznodziejskiego prowincyi polskiej, niepospolity teolog i kaznodzieja, ten sam, który doprowadził do skutku inkorporacyę dominikańskiego kleru krakowskiego do głównej Szkoły Jagiellońskiej i wzajemną pomiędzy jednem i drugiem Zgromadzeniem filadelfię zawiązał, ten mąż dzielny, sam jako mistrz i profesor czynny czas dłuższy na katedrze teologicznego wydziału, pozostawał — jak to nie wszystkim może wiadomo — z domem Koperników w ścisłych i przyjacielskich stosunkach. Dochował się po dziś dzień pergaminowy oryginał attestu, wystawionego w Krakowie dnia 10-go marca 1469 r., podpisanego przez rzeczonego Jakóba Godziembę i jego pieczęcią

opatrzonego, mocą którego małżonkowie Mikołaj i Barbara Kopernikowie, wraz z własnemi ich dziećmi, zostają przyjęci do współuczestnictwa w modlitwach, postach i wszelkich zbożnych uczynkach t. zw. trzeciego (świeckiego) Zakonu św. Dominika*). Szczegół to wielce charakterystyczny, acz nie jedyny, świadczący zarówno o głęboko religijnym duchu, jaki panował w domu rodziców naszego przyszłego astronoma, jak niemniej i o tem trwałem przywiązaniu jego rodzica do Krakowa, nieosłabłem nawet po kilkunastoletniej już rozłące jego z tem miastem. Wszakże nie tylko w Krakowie byli Dominikanie, lecz także na miejscu, w Toruniu, gdzie przecież o wiele dogodniej byłoby tym bogobojnym małżonkom spełnić zbożny ich zamiar. — Rzecz omawiana tu, znana zresztą już dawniej, ma jednak drugie jeszcze oblicze. Że nasz uczony dominikanin, że Godziemba był Polakiem i nim się uczuwał, wiadomem było oddawna; wynika to z różnych okoliczności, z pośród których czysto polskie, bodaj czy nie szlacheckie nazwisko, najmniejszym zaiste jest rzeczy tej argumentem. Mniej natomiast jest znanem, a przez historyków naszych jak gdyby niespostrzeżonem, że ten to, niezwykły bądź co bądź mąż, poza swem prowincyalstwem, amboną i egzegezą teologiczną, poza nauczycielską działalnością na uniwersyteckiej katedrze, że mnich ten w poważnej dobie dziejów Prus i Polski, odegrał prócz tego także rolę polityczną, odprawił misyę niebłahą, wysoce patryotyczną, a osobiście dla siebie niezupełnie bezpieczną. Z krzyżackiego źródła historycznego dowiadujemy się mianowicie,**) że w październiku 1452 r. — a później to samo powtórnie — kanclerz w. koronny Jan Koniecpolski, w towarzystwie dwóch osób: nieznanego nam bliżej prepozyta krakowskiego i prowincyała polskiej prowincyi Dominikanów, przybył incognito „w nieznanym celu“ do Torunia, o czem komtur tamtejszy, węsząc w tem coś dla Zakonu niebezpiecznego, w. mistrzowi niezwłocznie donosi. Musiało zaniepokojenie owego komtura być znaczne, skoro po pierwszym liście sekretnym wysyła zaraz nazajutrz list drugi, a w dwa dni później jeszcze trzeci, z uzupełnieniem poprzednich relacyj wiadomością alarmującą, że w mieście i w kraju zanosi się na jakieś większe przewroty, że kanclerz polski, tudzież ów prepozyt, jakoteż przybyły wraz z nimi do miasta prowincyał Dominikanów polskich, konferują potajemnie z przywódcami oppozycyi i cichej roboty przeciwko władzy Zakonu, z Winterem,

*) Dosłowny tenor owego attestu, tudzież należące tu szczegóły podaję m. i. Hipler l. c. pag. 298, R***, Beiträge etc., p. 124, Polkowski, l. c. str. 95.

**) Toeppen, Acten der Ständetage Preussens, III. Nr. 247, 248 i 249; regest u Anatola Lewickiego, Index actorum etc., Nr. 2764, 2765 i 2766.

tudzież z obydwoma Bayzenami, z Gabryelem i z Mikołajem. Na tle ówczesnych wydarzeń politycznych wiadomości te są dziś dla nas doskonale zrozumiałe bez komentarza. Czyż bowiem potrzeba dowodzić, że przybycie — sekretne — kanclerza polskiego do już już rewoltującego się miasta pozostawało w najściślejszym związku z politycznemi wypadkami, zaszłemi w kilkanaście miesięcy później: z uroczystem — błagalnem — poselstwem Stanów pruskich do króla polskiego o przyłączenie napowrót „oderwanych niegdyś przemocą i zdradą" ziem pruskich pod swoje berło, z pisemnem wypowiedzeniem posłuszeństwa w. mistrzowi Ludwikowi von Erlichshausen, wysłanem w imieniu wszystkich „ziem i miast" pruskich, właśnie przez wspomnianych co dopiero Bayzenów, z rozpoczętemi wraz potem krokami wojennemi?... Jaka część w tej trudnej missyi toruńskiej przypadła w udziale naszemu Godziembie, to zapewne nigdy nie da się już rozświetlić z taką jaką pragnęlibyśmy dokładnością; lecz mniejsza o to. Wystarczy bowiem tutaj dla nas ta pewność, że w chwili tak jak owa następstwami brzemiennej, ten Polak w dominikańskim habicie, a przyjaciel rodziny Koperników, znajdował się na trudnym posterunku narodowym, tuż przy boku kanclerza polskiego, że w celu tym samym co i ten najpierwszy urzędnik królestwa, nie wahał się dobrowolnie leźć w paszczękę krzyżackiego tygrysa... Wspomnijmy, że z pośród miast pruskich i ziemi chełmińskiej, Elbląga, Gdańska, Tczewa, Malborga, Grudziądza... T o r u ń p i e r w s z y chwycił wówczas za broń przeciwko znienawidzonemu ciemięzcy.

Takim był ów zakonnik, z którego rąk rodzice wielkiego astronoma przyjmowali niegdyś, dla siebie i d l a s w e j d z i a t w y pasek św. Dominika jakoteż szkaplerz tercyarski. Porówno z innymi jeszcze wielkimi mężami ludzkości, z Dantem, Kolumbem, Raffaelem..., którzy należeli byli do trzeciego Zakonu św. Dominika, albo św. Franciszka, także i Mikołaj Kopernik, zaraz od najmłodszych swych lat, był więc tercyarzem i to kaznodziejskiego Zakonu: szczegół niedostatecznie uwydatniany przez świeższych nawet biografów mędrca frauenburskiego, a przez niektórych z nich zacierany rozmyślnie. Stygmatem tym, niemal sakramentalnym, naznaczył go mąż boży a patryota polski... I któż z nas może się dziwić sercom wierzącym, gdy znajdą to podobnem do prawdy, że wówczas to na dziecięciu tem spoczął ów, który jest „s e p t i f o r m i s m u n e r e", że z takich to rąk spłynęły nań, utwierdzone jakoby bierzmowaniem, najszlachetniejsze ludzkie uczucia: wierności, miłości i przywiązania do ziemi ojczystej.

Kiedy nasz przyszły astronom, w roku 1482, licząc niespełna dzie-

sięć lat życia, utracił ojca, nad wdową i sierotami objął opiekę rodzony brat jego matki, Łukasz Watzelrode młodszy, podówczas kanonik kujawski, gnieźnieński i frauenburski, a w siedm lat później biskup i pan udzielny warmiński. Niepospolita to i niemal posągowa postać w dziejach Kościoła, a bardziej jeszcze w politycznych sprawach wewnętrznych królestwa polskiego na przełomie dwóch wieków, mąż godny zaiste ze wszech miar, aby jemu samemu, bez związku nawet z wielkim jego siostrzeńcem, powołany historyk pióro swoje poświęcił. Nie myślimy bynajmniej kusić się tutaj o szkic takiego rysunku chociażby najpobieżniejszy, a poprzestaniemy na krótkiem zestawieniu ważniejszych wydarzeń w życiu tego księcia kościoła, tych zwłaszcza, które jakkolwiek zaważyły na wychowaniu i wpłynęły na przebieg życia genialnego jego siostrzeńca.*)

Uczeń uniwersytetów, nasamprzód krakowskiego, następnie kolońskiego, a wreszcie bolońskiego, opuszcza on tę starodawną uczelnię ze stopniem doktora dekretów, t. j. prawa kanonicznego, wykłada tam przez dwa półrocza, bawi czas jakiś w Rzymie zajęty w kuryi papiezkiej, a z końcem 1474 r. powraca do swej północnej ojczyzny. W latach bezpośrednio następnych przebywa krótkotrwale bądź w Chełmży, w Toruniu, bądź też w Łęczycy, gdzie obejmuje kanonię kollegiaty tamtejszej; niebawem, nie później jak pod koniec 1477 r., zostaje kanonikiem katedry kujawskiej w Włocławku. Z kanonii tej nie zrezygnował nawet już po swej późniejszej promocyi na stolicę warmińską. Z dochowanych o nim, z tych lat i później, licznych wiadomości wynika, iż w osobie Zbigniewa Oleśnickiego (młodszego), podówczas jeszcze biskupa kujawskiego i podkanclerzego koronnego (od 1472 r.), a wkrótce potem Kallimachowego socyusza, miał kanonik Łukasz protektora wielce życzliwego, że m. i. znajdował się on razem z nim na sejmie pruskim w Grudządzu, zwołanym na koniec marca 1478 r. przez Zbigniewa, jako przez królewskiego namiestnika Prus, celem odebrania przysięgi na wierność królowi od nowych jego poddanych itp. Blizkie pomiędzy nimi stosunki zacieśniły się jeszcze bardziej, gdy Oleśnicki (młodszy) z biskupa kujawskiego posunął się był (w 1482 r.) na arcybiskupstwo gnieznieńskie. Odtąd — jak to z aktów kapitulnych wykazał nieodżałowany X. Korytkowski — jest nasz Łukasz

*) Wskazówki źródłowe do obszernej już dziś literatury historycznej o biskupie Łukaszu znaleźć można m. i. u Hiplera l. c., 315—319, u Polkowskiego l. c., str. 76 i nast., a wreszcie w wydawnictwach histor. Towarzystwa warmińskiego, wyd. przez Eichhorna i jego następców. — Autor niniejszego artykułu zebrał i ogłosił dość liczne, nieznane wpierw wiadomości odnoszące się do tej samej osobistości. Zob. naszą książkę p. t. Mikołaj Kopernik, Część pierwsza, Studya i materyały biograficzne, Kraków 1900, na kilku miejscach.

jako prawny doradca i t. zw. iudex surrogatus prawie że nieodstępnym towarzyszem prymasa, w Gnieźnie, Żninie, w Opatówku, w Skierniewicach i wszędzie indziej. Z aktów kapituły kujawskiej wiemy, że przynajmniej w latach 1478—1485 i 1488 miał on stałą rezydencyę przy katedrze we Włocławku. Szczegół ten, acz drobny, nie jest mimoto dla nas błahym, skoro wespół z kilku innymi zaświadcza, że kanonik Łukasz zaraz po śmierci swego szwagra Mikołaja Kopernika starszego († 1482) zabrał był obydwóch osierociałych siostrzanów swych, a równocześnie pupilów, 10-cio letniego Mikołaja i małoco starszego odeń Andrzeja, do siebie, do Włocławka, że więc najlepszą reputacyą, i przedtem i potem, ciesząca się katedralna Szkoła kujawska była tą, w której nasz przyszły astronom przysposabiał się do wstąpienia (w 1491 r.) na uniwersytet krakowski.

Przebiegnijmy szybko inne jeszcze, chronologicznie najbliższe szczegóły, odnoszące się do Łukasza. W 1479 r. zostaje on kanonikiem warmińskim, w lipcu tego to roku jest obecny, jako doktor praw i delegat jednej z kapituł, na sejmie w Piotrkowie, gdzie widzi, jak biskup warmiński Mikołaj Tungen, podżegany wpierw przeciw królowi naraz z dwóch stron — przez w. mistrza Marcina Truchsesa i przez króla węgierskiego Macieja — ostatecznie się upokarza i zyskuje przebaczenie królewskie. W 1485 r. bierze Łukasz, jako pełnomocny wysłannik kapituły kujawskiej, czynny udział w prowincyonalnym synodzie również w Piotrkowie, a tego samego roku, d. 28 kwietnia, zostaje kanonikiem przy archikatedrze gnieźnieńskiej i jako patrimonium otrzymuje wieś Braciszewo w pobliżu Gniezna leżącą. Następnego zaraz dnia przedstawia on zgromadzonej kapitule kosztowne dary króla Kazimierza dla archikatedry gnieźnieńskiej, co samo, chociażby nawet innych wskazówek nie było, byłoby dostatecznem świadectwem, że kanonik Łukasz już o te czasy nie był obcym dworowi polskiemu. W Gnieźnie bywał dość rzadko, przesiadując bądź to w Włocławku, bądź też w Wolborzu i w Frauenburgu; ostatni raz jest w Gnieźnie d. 17 marca 1487 r., a w cztery tygodnie później, w samą W. Sobotę d. 14 kwietnia 1487 r., przyjmuje, z rąk prymasa Zbigniewa, święcenia kapłańskie w skierniewickiej kaplicy pałacowej. Z kanonii gnieźnieńskiej zrezygnował w 1490 r., już po konsekracyi swej na biskupa warmińskiego. Jako agent kapituły frauenburskiej bawi Łukasz Watzelrode, wraz z drugim jeszcze jej kanonikiem, od jesieni 1488 roku w Rzymie: tutaj dochodzi go wiadomość o śmierci biskupa Mikołaja Tungena i o tem, że — w pięć dni później, d. 19 lutego 1489 r. — kapituła wybrała go swoim biskupem. Prekonizowany przez Inno-

centego VIII brewem z d. 18 maja t. r., przyjął Łukasz w Rzymie sakrę biskupią, pospieszył zaraz do ojczyzny i już d. 22 lipca t. r. mógł odprawić uroczysty ingres do swojej katedry.

Że zatrzymaliśmy się, może nazbyt długo, przy tych to szczegółach z pierwszej połowy życia biskupa, — niech nam czytelnik wybaczyć raczy. Nie mogliśmy się jednak odważyć pójść śladem niektórych nowszych Kopernika biografów, którzy o całym tym okresie życia Łukasza Watzelrode młodszego, a w szczególności o rezydencyi jego w stolicy Kujaw Włocławku, o sprowadzeniu tam obydwóch siostrzeńców, o jego tak ścisłych z arcybiskupem Zbigniewem stosunkach itp. niedogodnych dla swej tendencyi faktach, głębokie zachowali milczenie. Nie widzimy przyczyny, dla której szczegóły takie np. jak ten, że rodzony wuj, opiekun i dobrodziej Mikołaja Kopernika utrzymywał ścisłe stosunki przyjaźni z polskim prymasem itp., należałoby przed światem wstydliwie ukrywać...

Po za tem ograniczmy się jednak już tylko do najogólniejszej charakterystyki biskupa Łukasza. Był to człowiek posiadający niezwykłe zdolności polityczne, zręczny i przewidujący kierownik spraw zarówno świeckich jak i duchownych, znawca ludzi i bystry spostrzegacz. Nienawistne mu pióro kronikarza Zakonu krzyżackiego przedstawia go jako postać surową, na której ustach rzekomo nigdy uśmiech nie spoczął. Była w tem może i jakaś drobna część prawdy. Małomowny i w sobie zamknięty, co bywa zresztą jedną z zalet polityków przezornych, niemiał on ponoś daru pozyskiwania ludzi, łatwego jednania sobie ich przychylności. Zarówno jednak jako biskup i jako pan udzielny warmiński, jako senator królestwa polskiego i najzaufańszy doradca trzech po kolei królów: Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta, spoił on Warmię ściślejszym węzłem z Polską, podniósł wysoko znaczenie tego księztwa, zaprowadził w niem ład przez dzielną administracyę i przez wytrwałe przeprowadzanie swoich zamiarów. Że w nich także i jego własna ambicya, a może także i chęć rozszerzenia świeckiej władzy książąt-biskupów, nie najmniejszą odgrywała rolę, wydaje się podobnem do prawdy.

Działalność jego w ciągu ćwierćwiekowych niemal rządów, była skierowaną głównie do wprowadzenia ładu w rozluźnionych stosunkach duchowieństwa swej dyecezyi, tudzież do wyjaśnienia stanowiska prawnopaństwowego Warmii, będącej oddawna kością niezgody pomiędzy Polską a Krzyżakami. Jasno widział to biskup, iż w dyecezyi swej tak długo nie przywróci spokoju, dopóki będzie miał pod bokiem zaborczy i chytry Zakon niemiecki. Rola tego dziwotwora średnio-

wiecznego była już dawno skończona: w końcu XV-go wieku nie było już kogo w tamtych stronach „nawracać“ na chrystyanizm, czy ewangelią, czy nawet — po krzyżacku — orężem. Był więc już wielki czas, ażeby ta osobliwsza kongregacya zakonna, spełniając resztę swych ślubów, przybrała regułę innych zakonów duchownych, ażeby w. mistrz, komtury i bracia zakonni pozostali nadal już tylko przy brewiarzach i przy różańcu, jeżeli miała wogóle istnieć jakaś racya dalszej ich egzystencyi na ziemi pruskiej, oddawna już chrześcijańskiej. W przeciwnym razie należałoby pomyśleć o tem, aby Zakon ten przenieść na jakieś inne terytoryum, gdzie mógłby znaleźć właściwe sobie pole działania, czy to znów „nawracania“ mieczem niewiernych, czy też wogóle odpierania wrogów Kościoła. Tych zaś nie brakło pod ten czas i to nieporównanie groźniejszych, aniżeli mogli nimi być pogańscy Prusacy XIII-go stulecia: Osmanie, będący natenczas postrachem całej chrześcijańskiej Europy. Przewodnia myśl wszystkich niemal papieżów drugiej połowy XV-go wieku, Kaliksta III-go, Piusa II, Sykstusa IV, Innocentego VIII, to wielka krucyata przeciwko Turkom, zagrażającym zalewem swym wszystkim chrześcijańskim monarchiom, wciskającym się, po zdobyciu Bizancyum, już w dzierżawy węgierskie i w sąsiednią Podolu Mołdawię, a niepokojącym — za Aleksandra VI-go — już nawet Illiryę, Friul i posiadłości weneckie.

W tej porze groźnego niebezpieczeństwa, w pierwszych latach panowania Jana Olbrachta, wystąpił biskup Łukasz z projektem, ażeby Zakon krzyżacki przenieść na sąsiadujące z Mołdawią Podole, gdzie jako przedmurze chrześcijaństwa przeciwko Turczynowi, mógłby w ten sposób spełniać właściwe swe posłannictwo. Wśród aktualnego, a wzbudzającego poważne obawy położenia państw środkowej Europy, był to projekt wielce rozumny, świadczący zarazem o bystrym i przewidującym zmyśle politycznym warmińskiego biskupa. Ileż to klęsk i nieszczęść byłoby oszczędzonych chrześcijaństwu, ziemiom węgierskiej, polskiej i pruskiej, gdyby ten projekt wówczas wykonano!...

Bezskuteczne były jednak te zamysły biskupa, daleko sięgającego wzrokiem politycznym. Pomimo, że już stolica Apostolska była dla myśli tej pozyskaną przez śmiałego w planach króla polskiego, a była również nadzieja zjednania dla niej także i cesarza za pośrednictwem szwagra Olbrachtowego, margrabiego brandenburskiego, projekt ten został udaremniony zabiegami Krzyżaków. Widziano w nim z oburzeniem jedynie środek użyty przez nienawistnego sobie biskupa, do pozbycia się ich sąsiedztwa z ziemi, którą uważali za swoją własność

wpierw, zanim nawet ją jeszcze ujrzeli... Wszak 270 lat temu wielki mistrz Herman Salza, choć zrazu zdumiony naiwnością zaprosin ich przez Konrada Mazowieckiego na ziemię chełmińską, rychło ochłonął z zadziwienia, skoro wysełając tam, wiosną 1228 r., „brata“ Hermana Balka na tamtych ziem mistrza, przemówił do niego słowami Jehowy do Jozuego zwróconemi: „Zbierz męstwo twoje i bądź obrotnym, ty bowiem wprowadzisz Izraela, to jest brać twoją, do ziemi, którą Pan im przyobiecał, a Bóg będzie z tobą“. I z tej to ziemi, którą posiedli w swem rozumieniu na własność prawem zdobywcy, a gdzie tak dobrze im było, mieliby się wynosić! cała ta suma więcej niż dwuwiekowych zabiegów, podstępnych knowań miałażby pójść na marne! Usuwanie się stopniowe z pod ich nóg ziemi pruskiej, począwszy od klęski grunwaldzkiej aż do pokoju toruńskiego w 1466 r., miałożby znaleźć teraz epilog w wydaleniu Zakonu i to gdzie?... gdzieś tam aż na Podole i to za sprawą bezpośredniego następcy Tungena na stolicy warmińskiej, następcy tego najwierniejszego ich sprzymierzeńca?... Tego już było za wiele. Dawniejsza podejrzliwość i niechęć, żywione samemi już wspomnieniami na Watzelrodów nie tak dawnej przeszłości, świeżo zaś tem, że energiczny biskup nie ścierpiał, aby w. mistrz miał mu się wtrącać w sprawy warmińskie, że wpływ jego i znaczenie wzrastały na dworze krakowskim..., zamieniły się w otwartą przeciw niemu nienawiść, odkąd wszem wobec jawnem się stało, k t o jest autorem projektu, kwestyonującego najoczywiściej dalszą egzystencyę Zakonu.

Nie wiemy dzisiaj, czy to pod wpływem wynikłych ztąd złości bezsilnej i przerażenia, czyli też może przy innej sposobności, dostały się wujowi Kopernika te słowa zelżywe od „braci“ Zakonu teutońskiego, mianujące go „wielkim zdrajcą, pochodzącym z rodu najbardziej zawziętego na Zakon i wcielonym djabłem, gotowym do wszelkich czynów najniegodziwszych“, które kronikarz krzyżacki zanotował skwapliwie i zaraz dodał, że brać zakonna modli się „codziennie“ o to do Pana Boga, ażeby tego wcielonego szatana raczył z tego świata zabrać co prędzej“, ... „Vellet Deus, ut hic carneus diabolus, quod in dies a Deo postulamus, e medio sublatus esset, ne si diutius viveret, plura mala adiuveniret“.

Nie wiemy..., gdyż także i później nie zabrakło było wielorakich sposobności do wylewu potoków jadu i nienawiści, przynajmniej słowami, na tego mężnego księcia Kościoła. I tak, że pominiemy inne, zanosiło się później na wypuszczenie Prus Zachodnich i Warmii w dzierżawę Zakonowi i to za pokaźnym, obiecywanym — teore-

tycznie — przez w. mistrza czynszem dzierżawnym, na co się już już miano zgodzić na dworze krakowskim. Wymowne i energiczne wystąpienie biskupa Łukasza, na zjeździe poznańskim w 1510 r., przeciwko podstępnym tym propozycyom, odwiodły króla Zygmunta i Stany od tego zamiaru, a tak pokrzyżowawszy znów plany krzyżackie, ściągnęło nowe „braci zakonnej“ gromy na nieustraszonego biskupa.

Takim był nieodrodny syn tych Watzelrodów, co pod Malborgiem i pod Łaszynem, za swoją i polską sprawę niegdyś walczyli, rodzony wuj Kopernika, jego opiekun i dobroczyńca, żywy przykład i mentor. „Tribus successive regibus Poloniae, Alberto, Alexandro et Sigismundo totique Regno Poloniae acceptissimus...“, mówi o nim, w niewiele tygodni po jego śmierci, Paweł Deusterwald, pierwszy jego biograf. Nie dziwno nam to usłyszeć o mężu, którego ci trzej po kolei Jagiellonowie, w dochowanych do dziś dnia swych listach, zowią „najdzielniejszą podporą swojej dynastyi, najwierniejszym obywatelem królestwa....“*)

*

Na tem moglibyśmy już niemal te nasze wspomnienia zakończyć. Kopernik, a Zakon krzyżacki!... Najszlachetniejsza — ostatnia — latorośl tych samych Koperników i Watzelrodów, wielki astronom był i pozostał całe swe życie wiernym, tych samych co u nich myśli i zasad, tych samych uczuć i pragnień, wyznawcą i spadkobiercą. Rozumiemy teraz dobrze, zkąd to się wzięło owe upamiętnione najpierw u Starowolskiego „...Et vivens quidem Theutonicorum Cruciferorum Magistrum Copernicus inimicum sensit...“ Nienawiść w. mistrzów i całego Zakonu krzyżackiego do ojców, przodków, spadała więc, spaść musiała, jakoby prawem dziedzictwa, także na syny, siostrzany, wnuki... Rozdmuchiwały żar jej jeszcze bardziej śmiałe wielkiego męża czyny, już nie naukowe, ale społeczne, obywatelskie, wszystkie nacechowane wielką miłością prawdy, odwagą cywilną i przywiązaniem do Polski niemniej gorącem, jak i do szczuplejszej swej ziemi rodzinnej.

Wychylają się przed nami w tej chwili różne wspomnienia z pomrocza wieków ubiegłych. Widzimy oto najpierw kilkunastoletnie pacholę, na którem już wcześnie spoczął duch boży, w katedralnej szkole „kanoników włocławskich“, potem czteroletnie studya genial-

*) Zob. Acta Tomiciana, wyd. staraniem Tytusa hr. Działyńskiego, tom I-szy. Listy o których tu mowa wydane zostały z oryginałów.

nego młodzieńca w krakowskiej Jagiellonów uczelni, patrzymy na te ścisłe i długotrwałe związki przyjaźni, jakie tu zawarł z rówieśnikiem swym Bernardem Wapowskim. Nastąpiły wędrówki po dalekiej obczyźnie, studya prawnicze w Bolonii, pobyt w Rzymie w jubileuszowym roku 1500, wpis do matrykuły nacyi polskiej w Padwie i kilkuletnie tam studya lekarskie, doktorat w Ferrarze, powrót przez Alpy na północ do Warmii, a w przelocie powtórny pobyt w Krakowie 30-to letniego już tymczasem mężczyzny. Odtąd powiernik najtajniejszych zamiarów wuja-biskupa, jego sekretarz i lekarz przyboczny, towarzysz częstych jego podróży na różne sejmiki i zjazdy, w Malborgu, Sztumie, Elblągu, w Poznaniu... Tak, w Poznaniu, na św. Jan 1510 r., na ów zjazd, który jak wiemy miał rozpętać całą nienawiść Zakonu do biskupa i do stojącego przy nim „jako Achates wiernie przy Eneaszu", *) jego siostrzeńca.

Nadszedł jednak wiek męzki... wiek klęski. Niecierpliwie z tamtej strony wyczekiwana, niemal tragiczna śmierć biskupa Łukasza († 1512) wyrwała nagle zaporę wzniesioną patryotyzmem, rozumem i energią zmarłego, przeciwko naporowi lutrzącego się już niebawem krzyżactwa, na Warmię, wierną Polsce i katolicką. Ten, o którego śmierć jak najrychlejszą modliła się „codziennie" pobożna brać krzyżacka, biskup Łukasz Watzelrode już nie żył.

Ciężkie nastały czasy dla nieszczęśliwej krainy. Rozsypały się najpierw po Warmii liczne bandy rozbójnicze zorganizowane przez Zakon i całkiem otwarcie przezeń wspierane: bierze w nich udział także „brać zakonna", częstokroć właśnie im przewodnicząc. Przez siedm lat z górą grasują one bezkarnie znacząc swoje wyprawy mordami, pożogą i łupieztwami. W tych niewesołych czasach (1516—1520) wyprzedzających kilku latami wybuch samejże wojny i później jeszcze, jest Kopernik administratorem dóbr kapitulnych i rezyduje stale w inkastellowanym Olsztynku. Z tych to lat, z października 1518 r. datuje się ów wielce znamienny jego list do kapituły warmińskiej, w którym jej doradza przezorną odpowiedź na list w. mistrza pisany w imieniu całego Zakonu, aby uniknąć przewrotnej i obłudnej z ich strony interpretacyi „...domino Magistro Ordini responsum... quo magis perversa illorum interpretatio et cavillosa precludatur", a donosząc pod koniec nowinę polityczną, że toczone w tajemnicy układy w. mistrza z Moskwą schizmatycką o alians przeciwko Polsce, rozbiły się ostatecznie

*) Temi kilku wyrazami określił był wzajemny stosunek biskupa Łukasza i Kopernika bawiący r. 1508 w Warmii Wawrzyniec Korwin, znany humanista z Środy na Ślązku, niegdyś uczeń uniwersytetu w Krakowie i tam, nieco starszy naszego astronoma kolega.

wskutek przymierza króla z w. księciem moskiewskim, dodaje z nietajonem zadowoleniem: „Tak więc runęła wszystka nadzieja naszych sąsiadów“. *) Bez jakiegokolwiek wypowiedzenia wojny zostaje Braniewo (Brunsberga) przez w. mistrza zdradą zajęte i zrabowane, w sam Nowy Rok 1520, a zanim jeszcze zdołano ochłonąć z przerażenia, Frauenburg, serce Warmii, dobyty, złupiony, spalony, a kanonicy porozpędzani. Niektórzy z nich w Elblągu, inni aż w Gdańsku szukali schronienia, poczem całą już Warmię zalało krzyżactwo. Jedynie obronny zamek w Olsztynku (Allenstein) oparł się wówczas przemocy i podstępowi drapieżcy, a komendantem — w pełnem znaczeniu tego wyrazu — tej jedynej twierdzy warmińskiej, był — należy to wiedzieć — kanonik Mikołaj Kopernik.**)

Po roku wojny prowadzonej z obydwóch stron zacięcie choć opieszale, znaczącej się zgliszczami, łupieztwy i pospolitymi mordami, a zresztą drobnemi tylko utarczkami, zawarto rozejm z końcem lutego 1521 r. Jak tyle razy przedtem, tak i tym razem, wiarołomny Zakon nie dotrzymał swych zobowiązań, lecz owszem, jakgdyby żadnej zaprzysiężonej umowy nigdy nie było, siał w ciągu dalszym spustoszenia na zajętem przez się terytoryum warmińskiem. Wówczas to, wiosną 1521 r., z dorady Kopernika, wystąpiła kapituła na sejmie w Grudziądzu, wobec delegatów króla, z uroczystą skargą na w. mistrza i jego Zakon, przeciwko tak oczywistemu pogwałceniu praw wiary i uczciwości rycerskiej, a ciężkie swe krzywdy w dziesięciu punktach skargi szczegółowo uzasadniła. Jest to owa słynna, tutaj już raz wspomniana: Querela Capituli Warmiensis contra Magistrum Albertum et eius Ordinem super iniuriis irrogatis a. 1521 sub induciis belli, której oryginał własnoręcznie przez wielkiego astronoma napisany, po dziś dzień dotrwał. A kiedy znowu w rok potem, na pruskim sejmiku r. 1522 także w Grudziądzu, debatowano nad sposobami poprawy monety pruskiej, spodlonej do ostateczności wielką mnogością falsyfikatów, wybijanych z najlichszego aliażu — zamiast srebra — w królewieckiej mennicy w. mistrza, wystąpił obecny na tym sejmiku Kopernik z tym swoim arcyciekawym traktatem, czy memoryałem o środkach do jej poprawy niezbędnych, który, z uwagi na bystrość znajdujących się tam spostrzeżeń i pomysłów, oraz na odległą, w jakiej powstał, epokę, wzbudza podziw dzi-

---

*) „Sic corruitur tota nostrorum vicinorum fiducia“.

**) Zob. w tej mierze regesta u Hiplera l. c. pag. 272 i nast., zwłaszcza w 30, 48, 51, dalej dwa listy Jana Skulteta do Kopernika (z r. 1520) tamże, pag. 334—343, także u Polkowskiego, Żywot itd., str. 180 i nast.

siejszych jeszcze ekonomistów... Podówczas jednak, co prawda, u jednej, dobrze nam znanej, części obecnych na owym sejmiku, traktat ten wcale odmienne, od naszych dziś, wzbudził uczucia i myśli. W projekcie swym, pomiędzy środkami zamierzonej poprawy żąda Kopernik bezzwłocznego zamknięcia królewieckiej mennicy, tej kuźni monety oszukańczej... Zaprawdę nie można się dziwić, iż tak trudno było w. mistrzowi, chociażby nawet był tego chciał, zapomnieć, że biegły w sztuce gwiaździarskiej kanonik warmiński jest rodzonym siostrzeńcem biskupa Łukasza, tego „najzaciętszego wroga Zakonu krzyżackiego". Zanadto bo też często przypominał mu o tem sam kanonik Mikołaj!...

Ale dość już tych szczegółów, dosyć, może aż nazbyt...

*

Oryginalny akt z r. 1516, którego podobiznę obok widzimy, jest autografem Kopernika i jako „koncept" duchową jego własnością. Jest to w brulionie list do króla Zygmunta, skomponowany przez wielkiego astronoma, gdzieniegdzie przezeń własnoręcznie poprawiany, a zwrócony do monarchy w imieniu całej kapituły warmińskiej. Był bowiem Kopernik, zresztą nietylko w owym to roku, lecz także czas dłuższy i przedtem i potem, kanclerzem („Cancellarius") kapituły, jak na to mnogie mamy dowody: ta okoliczność, wspólnie z treścią aktu, a wreszcie z duktem jego ręki i z jakością wiązania liter, znanemi dziś doskonale w szczegółach najdrobniejszych, wyklucza możność jakiejkolwiek w tej mierze pomyłki.

Osnowa tego dłuższego listu pozostaje w ścisłym związku z owoczesnemi wydarzeniami, jak je powyżej naszkicowaliśmy w rysach najpobieżniejszych. Jest to ciężka żałoba na sprawców tych nieustannych napadów rozbójniczych, dokonywanych przez złoczyńców, naprowadzanych od siedmiu lat przez Zakon na Warmię, a siejących dokoła „igne et ferro" śmierć, zgliszcza i spustoszenie. Z godnością, a zarazem w wyrazach pełnych przywiązania i czci dla majestatu królewskiego roztacza kapituła przed monarchą swe skargi, bóle i żale na owych „praedones, latrones et homines scelerati" — łupieżców, zbójców i zbrodniarzy — wyraża obawę, że wkrótce może oni sami „bezbronni, których zajęciem ma być modlitwa, nie oręż", wydani zostaną na pastwę owych złoczyńców, skargi swe illustruje świeżo zaszłymi faktami, komtura z Balgi i samego nawet „dostojnego" w. mistrza („illustris dominus magister") przytem nie oszczędzając, a wreszcie gorąco i kornie uprasza o wzięcie w obronę zawsze wier-

nych królowi tamtejszych poddanych i o wydobycie nieszczęsnej krainy z ciężkiej niedoli. Co nas w tem piśmie także uderza, to śmiałość niezwykła, z jaką list, na dwóch miejscach, opowiada o moralnym sprawcy owych rozbojów, o w. mistrzu Albercie. Kompozytor tego pisma, kanonik Mikołaj, miał przed sobą, to pewna, niełatwe zadanie. Z jednej strony miał obowiązek prawdę napisać, zanieść przed tron energiczną żałobę i protest, z drugiej zaś, majestatu królewskiego nie mógł i nie chciał urazić. Wszak w. mistrz Albert, był, bądź co bądź, rodzonym Zygmunta siostrzeńcem!...

*

Drobny to rozmiarami i niepokaźny ten półarkusz pożółkłego papieru w archiwum sztokholmskiem, pokryty pismem jednego z największych geniuszów ludzkości. A jednak, ileż to wspomnień wzbudza on w nas, ile refleksyj, jakże dziś dla nas wymowny! Prawda..., zapominamy, że nawet kamienie umieją czasem przemówić.

Wywołane nim, stają przed nami różne widziadła... obrazy dawno minionej przeszłości. Siedmiowiekowy niemal dramat dziejowy, którego pierwszy akt sięga czasów wyłudzenia ziemi chełmińskiej przez Zakon na mazowieckiem książęciu; następne rozgrywają się na pełnych chwały polach Grunwaldu, opowiadają o błagalnem tych Bayzenów, Jordanów i Watzelrodów...... poselstwie, o dobrowolnej inkorporacyi „ziem i miast“ pruskich do Polski, w ślad za tem tyloletnia walka z krzyżactwem, pokój toruński, hołd r. 1525 na rynku krakowskim i jeszcze dalej, dalej..., aż po te narodu w ostatnich wiekach nieszczęścia, co dramat ów zamieniły w tragedyę, aż po te otwarte jego rany i bóle w dobie dzisiejszej. Znojna i udręczona tem widowiskiem posępnem: tylowiekowych zapasów cnoty z występkiem, prawdy z nieprawdą, światła z ciemnością... myśl nasza szuka dla się jakiejś ostoi i pokrzepienia, a zapatrzona w przeszłość, z omdlewającą już niemal wiarą, zapytuje trwożliwie geniusza przyszłości: Czyż... podobna, aby to co dziś, miało być już ostatnim aktem owej sceneryi dziejowej?...

Wywołane zaklęciem serc naszych stają przed nami i przemawiają cienie wielkich mężów i niewiast narodowej przeszłości... Usłyszy, kto się uważnie w jej szepty wsłucha, więcej niźli jeden głos... Chór dawno zmarłych a nieśmiertelnych geniuszem i cnotą tych bożych wybrańców, którzy, jak ten oto! genialny myśliciel warmiński, syn wierny Kościoła i Polski, wielki jej obywatel Mikołaj Kopernik, żyli „w duchu i w prawdzie“, usłyszy zbawczą odpowiedź: „Et veritas liberabit vos“.

LUDWIK BIRKENMAJER

Historya medalami zaświadczona.

(Odbitka z Dziennika Poznańskiego Nr. 209 z dnia 13 września 1872 r.).

W dniu, w którym tryumfujące Niemcy obchodzą uroczyście czyn napiętnowany przez uczonych mężów, z ich nawet narodu, „mianem zbrodni" — godzi się stawić przed oczy historyę medalami zaświadczoną, tryumfu pruskiego narodu, z powodu zgniecenia jarzma Niemieckiego Zakonu.

Działo się to roku 1454, a w dwa wieki potem miasto Gdańsk i w trzecie stulecie, to samo miasto i miasto Toruń biły jubileuszowe medale, przypominające męztwo Prusaków, wypędzenie Niemców z ziem pruskich, i wdzięczność narodu, za błogosławione rządy polskie.

Historyi medali nie będziemy powtarzać (tylekroć przypominaliśmy ją w piśmie naszem), bo powody dla których miasta: Gdańsk i Toruń z własnego poczucia biły medale owe, już znane są wszystkim dokładnie.

Te cztery medale — to spiżowa pamiątka zrzucenia z siebie żelaznego jarzma Krzyżaków, uwolnienia się z pod panowania Niemieckiego Zakonu w pamiętnej nocy 6 lutego 1454 roku, monumentalne nakoniec wyznanie dobrodziejstw, jakich naród ziem pruskich wogóle, a miasta Gdańsk i Toruń w szczególe doznawały obficie pod błogosławionemi rządami polskiemi.

Oto przyczyny dobrowolnych oświadczeń, przekazanych potomności w wiecznotrwałych pamiątkach.

Pierwszy medal biło miasto Gdańsk w roku 1654. Dwa drugie biło miasto Toruń na pamiątkę trzechsetnego jubileuszu wydobycia się z pod tyrańskich rządów Teutonów. Średni największy medal miasto Gdańsk wybić rozkazało na tęż pamiątkę 1754 roku.

Opis medalu pierwszego:

Strona główna. Orzeł polski w koronie z rozpostartemi skrzydłami unosi się w obłokach, trzymając w szponie lewym berło, nad orłem w promieniach po hebrajsku imię Jechowy יהוה, pod orłem napis PRUSSIA. Poniżej

tego napisu drugi orzeł jako herb ziem pruskich, stojący na podstawie, z koroną na szyi i mieczem w górę wzniesionym *), w dali za orłem rozległa równina z miastami, zamkami, rzekami, pod podstawą orła krzyż rycerski, na podstawie głoski I. H. oznaczające ksylografa Jana Höhn, który rył ten medal. W otoku napis:

TEUTONICOS - PEPULIT - VIRTUS - PRUTENICA: PULCHRUM NUMINIS
ET REGIS CURA TUETUR OPUS †

Męztwo Prussów wypędziło Krzyżaków, Boga i Króla staraniem to piękne dzieło wzięte pod opiekę. Strona odwrotna: Herb miasta Gdańska, potem w dwunastu wierszach napis:

GEDANI
ANNOS - ANTE - DUCENTOS
SUB - AUGUSTIS D[omini] CASIMIRI
AUSPICIIS - UNIVERSA - PROPE
CUM - PRUSSIA - AB - INFANDA
CRUCIGEROR[um] TYRANNIDE - LIBE
RATAE. TERTIUM LIBERTATIS
SUAE - SECULUM - REGNANTE
JOANNE CASIMIRO
FELICITER INCHOANTIS
MEMORIA
AN. CIↃIↃCLIV.

Znaczy po polsku: Pamiątka miasta Gdańska. Pod błogiem panowaniem króla Kazimierza [Jagiellończyka] całe Prusy od niegodziwego Krzyżaków tyraństwa oswobodzone, pod panowaniem Jana Kazimierza, trzeci wiek zaczynającej się wolności swojej, szczęśliwie roku 1654 [obchodzą].

Medal ten dnia 6 marca 1654 roku po uroczystej mowie Jana Piotra Titiusa, profesora gimnazyum gdańskiego, rozdany był pomiędzy senatorów i znakomitych obywateli miasta Gdańska przez burmistrza gdańskiego Gerarda Bartsz, a wspomniany wyżej Titius, w mowie swej powiedzianej w dwóchsetletnią uroczystość zniesienia tyranii Zakonu krzyżackiego z ziemi pruskiej — i zaczęcia trzeciego wolności wieku, pod szczęśliwem królów panowaniem **), tak się wyraża:

„I otóż dzień, którego uroczystość radośnie dzisiaj obchodzimy, dziękując Bogu Wszechmocnemu za łaskę Jego niezmierzoną i żadnym nie wypowiedzianą językiem. Oto dzień, który po dwóch wieków upływie wróciwszy

*) Korona na szyi oznaczała hołdownictwo Prus Polsce, miecz w górę wzniesiony przypominał powstanie ziem pruskich przeciwko jarzmu Krzyżaków,

**) Excerpta ex Io. Petr. Titi oratione seculari de Prussia seculum sublata Cruciferorum Tyrannide, Libertatis, sub Augustissimis Polonorum Regibus tertium ordiente Gedani in folio 1654, także Acta Borussica II pap 147—202.

znowu, w szczęściu zastaje przesławną koronę Polską, w szczęściu którego jej zawziętość nieprzyjaciół tak mocno zazdrościła. Otóż dzień, który nam dał wszelkie prawa, wolności i przywileje mieszkańców królestwa polskiego, w którym nam porówno z Polakami pozwolono królów obierać i koronować, który nam zachował, zatwierdził, pomnożył swobody, prawa i przywileje i nadania od książąt duchownych, świeckich królów i panów uzyskane. Otóż dzień, w którym uwolniono nas od ceł hańbiących i podatków, i niezliczonemi innemi uszczęśliwiono dobrodziejstwy...

O szczęśliwy Monarcho Kazimierzu Jagiellończyku, wyryłeś na zawsze na wieki wdzięczną pamięć w sercach potomnych — Twoim orężem zgaszono płomień niszczących wojen — a cudem wszechmocnego Boga stworzone niejako znowu Prusy, pod skrzydłami orlemi wśród ciągłego pokoju mile wypoczywając i odradzając się, rany swe goić zaczęły".

Dalszych objaśnień medal ten nie potrzebuje, rylcem bowiem wyryta na nim nienawiść miasta Gdańska do minionych przed dwustu laty tyrańskich rządów Niemców Krzyżaków — sumiennie tu wyznana szczęśliwość mieszkańców pod rządem polskim *).

Drugi medal przedstawia na stronie głównej: Widok zamku Malborskiego, z którego wyjeżdża sześciu rycerzy na koniach, tym zastępuje drogę herold, który zsiadłszy z konia, wręcza pierwszemu z jeźdźców pismo — napis w otoku taki: PRUSSICI FOEDERIS EXECUTIO PER FECIALEM DENUNCIATA MARIEBURGI AC. 1454 D. 6 FEBR. Pruskiego związku manifest doręczony przez herolda w Malborgu 6 lutego 1454.

Na stronie odwrotnej: Widok miasta Torunia z palącym się zamkiem, w otoku napis: TER CENTUM ANTE ANNOS CRUCIATA THORUNIA NOCTE EXCUSSO EXULTAT LIBERA FACTA IUGO. Przed trzystu laty udręczony Toruń w nocy zrzuciwszy jarzmo oswobodzony cieszy się wolnością.

Trzeci medal odmiennego stempla, ale z temi samemi napisami, widok Malborga różny od poprzedniego. Wyjeżdżający rycerze pędzą na koniach, przy których biegną charty, herold zastępuje im drogę i wręcza pisma Wielkiemu Mistrzowi. Strona odwrotna ten sam napis jak na poprzednim medalu. Widok tylko palącego się Torunia odmienny **).

Objaśnień do tych obu medali nie dajemy, same się one dokładnie objaśniają, a miasto Toruń wybijając one w trzechsetną rocznicę zniesienia ja-

---

*) Oryginał tego medalu w złocie wagi gr. 15 średnicy 55 millim. znajduje się w zbiorze numizmatycznym gimnazyum gdańskiego, w srebrze i bronzie jest w zbiorze hr. Skórzewskiego. Opisany przez Vossberga: Danziger Münzen No. 933. Sztychowany i opisany w medalach Raczyńskiego No. 136.

**) Medal ten srebrny wagi łótów $2^{7}/_{10}$ średnicy 53 millim. znajduje się w zbiorze numizmatycznym hr. Czarneckiego. Opisany u Vossberga No. 429, u Raczyńskiego No. 410.

rzma Krzyżaków, temi samemi powodowało się uczuciami, co miasto Gdańsk, bijąc jednocześnie następujący, który opiszemy, medal.

Ten największy i ostatni medal przedstawia na stronie głównej widok miasta Gdańska w dali, na pierwszym zaś planie orzeł polski i orzeł ziem pruskich, dwa te orły łamią szponami krzyż Kawalerów niemieckich, w otoku napis: CRUX EQUITUM EXCRUCIAT PRUSSOS. PRUTENA POLONA HANC AQUILAE EXCUCIUNT REXQUE SALUSQUE REGANT. Krzyżacki krzyż dręczy Prusaków. Pruski i Polski orły takowy (krzyżacki krzyż) wyrzucają, Król i szczęście publiczne panują. W napisie tym większe głoski dodane do siebie dają rok 1754. Była to moda ówczesna tak ukrywać w napisie lata, naciągając niekiedy wyrażenia.

Strona odwrotna: w jedenastu wierszach napis, pod którym herb miasta Gdańska.

Napis tak brzmi:

DEO AUSPICE
AUGUSTO TERTIO
POLONIARUM REGE POPULORVM PATRE
FELICITER REGNANTE
JUBILAEUM GEDANENSE
UNIONIS PRVTENO POLONAE MEMORIA
SACRVM.
RELUCE INCORPORATIONIS DIE
FERIA QUARTA CINERUM SECULI QUARTI
NATALI
ANNO CIϽIϽCCLIV.

„Pod opieką Bożą za Augusta trzeciego króla polskiego, ojca ludów szczęśliwie panującego Jubileusz Gdański poświęcony pamiątce połączenia się Prus z Polską za nadejściem dnia wcielenia [Prus do Polski] w środę popielcową zaczynającą czwarte stulecie roku 1754". W otoku zaś następujący: PRUSSIACO LECHICI CASIMIRUS FOEDERIS AUTOR. TUTOREM AUGUSTUM SECLA TER ACTA COLUNT. Prusko-polskiego związku twórca Kazimierz trzy wieki upłynione opiekunem czczą Augusta*).

Na tem kończymy opis medali bitych w Gdańsku i Toroniu na pamiątkę zniesienia jarzma Krzyżaków, na pamiątkę poddania się dobrowolnego ziemi pruskich Polsce, pod której rządem nie musiało być tak źle mieszkańcom miast Torunia i Gdańska, skoro tak kosztowne i z takiemi pochwałami dla Polski bili medale.

---

*) Ten drugi medal odmienny od pierwszego rysunku, milej przedstawiający się oku, wykonany był nie na samą jubileuszową uroczystość, ale nieco później z tego powodu, że pierwszy nie podobał się Torunianom.

Z listów Artysty.

(Wiosna 1867).

23 stycznia.

Już ciemno, robić nic nie mogę a na obiad jeszcze zawcześnie. Trzy obrazki do Wojny są już wypoprawiane, nad czwartym właśnie dziś siedziałem i wszystko już z grubsza podłożyłem. Przez jutro i pojutrze zrobi się reszta, a tak do 1-go nie wątpię, że z pierwszą częścią Wojny będę zupełnie gotów. O, dużo i dużo jest lepiej. Przekonałem się że głównym grzechem była moja nieśmiałość. Teraz mam więcej odwagi i dlatego też rysunek mój dziś będzie wyrazistszy i gorętszy w pojęciu. Cieszę się nadzwyczajnie na część drugą, w którą o wiele więcej siły i fantazyi będę mógł włożyć.

Miałem znowu kilku gości. — Bronisława Zaleskiego rysownika, niegdyś sołdata w Orenburgu, kolegę Szewczeńki, człowieka nadzwyczajnie zacnego i przyjemnego... W tych dniach będę miał Bohdana Zaleskiego u siebie, który mnie dziś zapytać kazał, kiedy mnie odwiedzić może. Ucieszyłem się bardzo, że będę miał sposobność osobiście poznać poczciwego naszego Ukraińca...

Mój Boże cóżbym dał za to, jaki byłbym szczęśliwy, gdyby owe dwa miesiące już były ubiegłe a moja Wojna już ...na wystawie! Ach długo jeszcze, bardzo długo trzeba na to czekać i jeszcze więcej pracować!...

24 stycznia.

...Był u mnie dziś zrana Skrochowski*). Cieszę się bardzo ze znajomości z tym człowiekiem. Jest to bowiem jeden z młodzieńców, do którego nie tylko przylgnie się już w pierwszej chwili, ale poweźmie także wielki szacunek. Z tego cośmy ze sobą mówili pozna-

*) Ś. p. ks. Eustachy.

em w nim chłopaka z czystem, pięknem sercem i zdrowym rozsądkiem, podniesionym wiadomościami i nauką. Spodziewam się, że znaomość naszą kiedyś w przyjaźń będziemy mogli zamienić.

...Był dziś znowu Żel i Mickiewicz. Przyjdzie w tych dniach z siostrą swoją oglądać obrazy.

Zacząłem czytać Alkadara Chojeckiego ...i książka ta bardzo przypada mi do gustu. Szkoda że to dzieło dla braku funduszów niezupełnie wyszło z druku. Połowa w manuskrypcie.

Dziś miesiąc jak przyjechałem do Paryża. Brr! Zdaje mi się, że rok tu już jestem, tak mi wszystko nudne, obojętne a nawet nieznośne, oprócz Louwru i Luxemburga. Jeszcze dwa takich będę musiał tu przebiedować.

25 stycznia piątek w południe.

Tak ciemno i zamglono na świecie, że rysować nie mogąc, poszedłem po interesach zaległych. Byłem w kilku miejscach a skutkiem dzisiejszej exkursyi jest to, że moja Lituanika pojedzie jutro zapewne zaprezentować się Panu Branickiemu a w poniedziałek do Hotelu Lambert, do Xcia Wład. Czartoryskiego. Co poniedziałek zbiera się tu cała créma niby polskiego i francuskiego towarzystwa. Co się dalej stanie doniosę zaraz. Ale mnie się zdaje, że skończy się wszystko na kilku, z uśmieszkiem perfumowanym, wyrzeczonych frazach a moją Lituanikę może kiedy znowu jakie poczciwe Angliczysko albo Węgrzysko zechce nabyć. Byłem i u Edmunda Chojeckiego, i z godzinę u niego bawiłem. Postać nadzwyczajnie zajmująca...

26 stycznia sobota wieczorem.

...Coraz bardziej się przekonuję, że moja robota w Porębie niekoniecznie na dobre mi poszła. Bo pomimo wszelkiego wysilenia z jakiem pracowałem, dziś we wszystkiem prawie odkrywam tyle bojaźliwości i nieśmiałości, że się sam przed sobą wstydzę... Ach, ja to przeczuwałem że się stać może, — ale czyż można było inaczej? Ograniczony tylko na własne zdanie, ogołocony ze wszystkich artystycznych zasiłków i podsyceń, — czyż mogło być inaczej? Ale niema nic złego coby na dobre nie wyszło, wielkie bowiem szczęście dla mnie jest już to samo, że wiem z pewnością gdzie pobłądziłem i jak ma się złemu zaradzić.

...„Pożegnanie“ teraz ledwie że byś poznała. Taki nędzny obrazek wprzódy, dziś mówi do serca głośniej jak wszystkie inne. Wszystkich zmian szczegółowo opisać Ci nie mogę, powiem tylko, że się niebo bardziej zasępiło, kwiecia i krzewia więcej porosło, drzewo w głębi obrazu bardziej pochyliło a potężnemi konarami swojemi tak jakby cały obraz w ramy ujęło. Natura żyzna bujna i rozkoszna, tem smutniejsza jeszcze biedna opuszczona.

Chciałem w obrazku oddać to samo, czego nieraz w życiu sam doświadczałem: że właśnie w chwilach kiedy ja się nieszczęśliwym czułem, ludzie, a nawet sama natura, jakby urągając zdawała się cieszyć i radować... O ileż biedniejszym czułem się w takiej chwili! — Ten kontrast będzie tu widoczny a obrazek o dużo zyskał na poetyczności, której przedtem nie miał. —

Popołudniu byli u mnie obaj Zalescy, Bronisław o którym Ci już pisałem i stary Bohdan. Ucieszyłem się bardzo, pokazałem im wszystko co miałem, z czego oni znów bardzo byli kontenci. Ale Bohdanisko biedne bardzo stary. Co do lat nie tak bardzo, więcej może jako człowiek, na którego czole „palec Boży“ spoczywa. Głowa jego niekoniecznie mi się podobała, a z całej jego postaci, obejścia i nawet ze sposobu rozmawiania o dziełach sztuki, podobny prędzej do kogokolwiek, jak do poety. Takie było pierwsze moje wrażenie i wiernie Ci je zapisuję. Ale nie wątpię, że bliżej go poznawszy, przekonam się o złudzeniu. Bo cóżby się stać miało z autorem tylu pięknych, pełnych życia i fantazyi utworów!

Wczorajszy wieczór spędziłem u Władka. Nie wiem jak dla kogo, ale dla mnie jest on tak miłą bestyą, że Ci tego wypowiedzieć nie mogę. Jeden z takich ludzi, w którego towarzystwie wydaje mi się nieraz że jestem lepszy jak rzeczywiście, taki którego towarzystwo robi na mnie wrażenie to samo, które odnoszę rozmawiając ze zacną, niewinną a rozumną kobietą. Nie mówię już o jego nieposzlakowanej poczciwości, o prawości, już dziś nie bardzo praktykowanej. Jest to chłopak na duszy taki czysty, jeszcze żadną światową złością niezarażony, że może posłużyć za ideał prawdziwego kochanka cudownej swojej Muzy. Grał mi dużo swoich prześlicznych rzeczy a potem do późnej nocy Cherubiniego Requiem i kilka boskich sonat Beethovena.

Moich Sybiraków dałem do introligatora aby to nalepił naprzód na papier, bo dzisiaj to nafiksowałem a ta bestya przynosi mi wszystko najokropniej pomarszczone a już suche! Myślałem że go zjem ze złości, bo teraz przynajmniej na cal około rysunku trzeba będzie obciąć i na nowo nalepić. Przecież to gałgany — a drą ledwie że

nie do krwi, bo za nalepienie — tylko nalepienie rysunku, jak się zwykle papier na deskę naciąga, kazał sobie 2 franki zapłacić. Nie są to złodzieje?!

...Długo ...tak sam jeden przechadzałem się zamyślony. Od niechcenia patrzyłem przed siebie i nic więcej nie widziałem, tylko moją własną postać, która w cieniu raz malała, raz rosła i olbrzymiała, stosownie do tego jak się zbliżałem, albo oddalałem od światła. I przyszło mi na myśl, jak to dziwnie zgodne z pojęciem, które mamy o stosunku ducha naszego do najwyższej jego doskonałości — do wszechświatła. Tak jak ja zbliżając się do mojej świecy stawałem się coraz większy, — a byłem mniejszy im bardziej się oddalałem, tak i duchy nasze im bliższe tej doskonałości swojej tem potężniejsze i kolosalniejsze — a małe i coraz więcej skarlałe, im dalsze od nich. — I głęboko się zadumałem, bo między dwoma rzeczami tak do siebie podobnemi, przecież nigdy większego przedziału nie znalazłem a nawet wyobrazić bym sobie nie potrafił. I smutno mi bardzo bo do tego światła mnie biedakowi trochę dalej, jak memu cieniowi do świecy! — Ach, ja pomimo tego pójdę... pójdę chociaż nie wiem, czy stanę u celu, — ale ciężka to będzie droga. — Już stary jestem a jak drzewo starsze, już niełatwe do nagięcia. A już nawet i słaby, — może i za słaby do takiej uciążliwej podróży...

...Gniewam [się] na siebie i wstydzę przed sobą samym, ale się pocieszam, bo mi przychodzi ten pewnik: że krzyż dany nam do zniesienia tu w życiu naszem, nigdy nie jest za ciężkim, bo i największy udźwigniemy, a tak i ja możebym taki uniósł, chociaż dziś siłom własnym nie dowierzam. — Ale właściwie takie pocieszenie byłoby bardzo małe; ja idę dalej i sądzę, że w stworzeniu całem, gdzie na każdem miejscu dostrzegamy nieskończoną doskonałość organiczną, gdzie w najmizerniejszej kreaturze przekonujemy się o nieskończonej mądrości Stwórcy, żadna mierność postać by nie mogła, a tak jak stosunkowo ptaszkowi dane większe i silniejsze płuca jak nam ludziom, motylkowi lżejszy tułubek jak ptaszkowi, tak i nam nie więcej przeciwności ile ich znieść możemy — a tak artyście więcej skrzydeł do latania pod obłoki, aniżeli nóg do chodzenia po ziemi.

27go stycznia, niedziela w południe.

...Czytam od dni kilku do poduszki „Alkadara“, o którym Ci nadmieniałem i przyznać muszę, że jeszcze żadna powieść nie zajęła mnie

do tego stopnia! O ile się już teraz dorozumiewam, jest to obraz stosunków towarzyskich u nas w Galicyi, przed laty 30tu. Nie wyobrazisz sobie, jak mnie ta książka zainteresowała, na każdej bowiem stronnicy przekonuję się coraz więcej o niezrównanych literackich i krytykarskich zdolnościach autora. Jego bystrość i trafność w nakreśleniu charakterów, potoczystość i gibkość w wysławianiu, lekkość z jaką własne rozumowania swoje czytelnikowi podaje, rozwiązując w nich kwestye najpoważniejsze a czasem bardzo suchej treści, dowcip i humor, chociaż się nieraz bez ironii nie obejdzie, to wszystko, a nareszcie rzutkość i polot genialny co do myśli, która całemu utworowi nadaje cechę prawdziwie artystycznej pracy — coraz bardziej mnie zadziwia i pociąga. Cieszę się z tej nowej akwizycyi dla nieszczęśliwej a zawsze zawodnej pamięci mojej, bo tą razą jest to przedmiot zbyt szacowny, aby go tak jak wszystko znowu zapomnieć.

10ta wieczór.

Po obiedzie miałem dużo gości, a raczej moja Lituanika. Był Mickiewicz i jakiś pan Buszczyński, pan Lange, pani Gorecka z domu Mickiewiczówna, jakaś pani francuzka, później pan Januszkiewicz, pan Gałęzowski i generał Władysław Zamoyski. Pierwsi sama młodzież a trzej ostatni sami staruszkowie. ...Jeden z nich w przyszłą sobotę zaprowadzi mnie do Księżnej Giedroyć, — pani, jak mówią wszyscy, nadzwyczaj szanownej. Gałęzowski doktor i jakiś profesor, człowiek którego może znasz ze słuchu ...a generał Zamoyski, to figura jeszcze bardziej znajoma. Stary dosyć mi się podobał, bo, mimo wieku, z rozmowy bardzo obszernej a głównie kwestye artystyczno-polityczne traktującej, zauważałem w nim dużo i serca i rozumu... Jutro w południe przedstawię się Władysławowi Czartoryskiemu a potem będę tam na wieczorze, gdzie się wystawa Lituaniki urządzi.

...Pytasz o Rafaela. Tu niema Madonny Sykstyńskiej i dlatego tu się jego nie widzi. Ja go wielbię w jego Loggiach rzymskich i w Madonnie Drezdeńskiej tylko; na inne rzeczy patrzę, ale go tam nie poznaję. Jest w Luwrze kilka obrazów, do których się wszyscy garną, naturalnie konwojowani przez Cicerona albo uzbrojeni w czerwono oprawnego Guida; ale myślę że podobnie jak ja niebardzo go pojmują, z tą tylko różnicą, że ja z całą pokorą przyznaję się do mojego nieuctwa, a oni rozdziawiają gęby i chwalą, syczą i wykrzykują. W swoich Madonnach jest albo mniej serdeczny jak Giovanni Bellini, Tycyan, Palma i inni, bo jest za wiele mistrzostwa a mniej tego prawdziwego

uwielbienia dla Matki Bożej — albo tak wielki i niedościgniony w pojęciu najwyższej świętości, jak żaden, np. w Madonnie Drezdeńskiej. Bo to jest obraz od którego każdy patrzący odchodzi nie z uczuciem najżywszej miłości dla tej prześlicznej a takiej świętej w cierpieniach swoich Matki Jezusowej, ale zdjęty jakąś dziwną skruchą i pokorą wobec Najświętszej Matki Boga Samego.

...Za godzinkę idę do Czartoryskiego na wieczór. Byłem tam już popołudniu, zapoznałem się z nimi wszystkimi a ich z Lituaniką i z Syberyą... Znalazłem wszystkich bardzo uprzejmych a mniej ceremonialnych jak się spodziewałem. W kilku twarzach nawet udało mi się dostrzedz dużo prawdziwego uczucia. Szczególniej się mną zajął pan Jan Działyński, szwagier X. Władysława ...ów na śmierć w Poznańskiem za powstanie ostatnie skazany... Żona artystka — maluje i rysuje i nadspodziewanie dobrze. Zaprowadził mnie mąż do jej pracowni bardzo pięknej, gdzie się bardzo ucieszyłem, widząc tu wszystko z prawdziwym artystycznym smakiem urządzone. Potem przewędrowaliśmy inne kąty pałacu, dla opatrzenia niektórych bardzo pięknych a tu bardzo licznie nagromadzonych historycznych pamiątek. Hotel Lambert przypomniał mi bardzo owe średniowieczne i do dziś dnia zupełnie co do urządzenia prześlicznie zachowane weneckie pałace; jak tam i tu dużo przepychu, takiej herbowej wspaniałości a mało światła — wszystko w jakimś mistycznym półcieniu, a jeżeli gdzieś jaśniej, to chyba od aureoli otaczającej głowę jakiegoś niegdyś wielkiego przodka. Nie widziałem małej galeryjki X. Władysława, która ma być nadzwyczaj szacownym zbiorem wszystkich najcenniejszych mistrzów starej szkoły malarstwa, a gdzie się ma nawet jakiś przecudny, oryginalny Rafael znajdować.

...Powracając do domu przypadkiem zaszedłem na Morgue. Domek nieduży położony nad Sekwaną a przeznaczony na kilkudniowe przechowanie, przypadkowo w Sekwanie, albo i gdzie indziej, znalezionych umarłych. Smutny przybytek zkąd biedni umarli czasem nie doczekawszy żalu i smutku krewnych i przyjaciół, wędrują do grobu. Leżą te ciała na tapczanach, wystawione na widok przechodnia, a to dlatego aby je w danym razie, albo krewni albo przyjaciele, nie wiedzący co się z nimi stało, rozpoznać mogli. Dziś tam leżał piękny kilkunastoletni chłopczyk i jakaś dosyć młoda kobieta. Suknie tych biednych wieszają zwykle każdemu z nich nad głową. Ale przychodzi mi na myśl, jak wielką jest siła oswajania się z wrażeniami... Ja np. wyszedłem ztamtąd smutny i zamyślony, podczas gdy wszyscy Francuzi tłocząc się ciekawie, najobojętniej na to patrzyli, a wielu ...nawet zabawne remarki albo śmieszne dowcipy robiło.

29go stycznia, wtorek z rana.

...Jestem cały olśniony świetnością wczorajszego wieczora a uszczęśliwiony dlatego, żem się przekonał, że moja praca umie przecie, chociaż tak skromną suknią przyodziana, tak silnie do serc, nawet w płaszcze książęce zatulonych, przemawiać, jak najwspanialej malowane obrazy. Bardzo się głównie unoszono nad uczuciem głębokiem i serdecznem, które w każdej z głów moich wyczytali. Kapliński malarz i Rodakowski (którzy obaj byli ze swojemi mało pięknemi połowicami) a szczególniej ten pierwszy nadzwyczajnie uradował się, że mnie poznał i te roboty widzieć może i nakoniec prosił do siebie dla przeczytania mi jakiejś rozprawy którą o wczorajszej wystawie napisać zamyślił. Tam także jakiegoś zfrancuziałego Polaka, Norblina czy Norwida poznałem, człowieka który mnie bardzo ściskał i winszował. Było z 80 osób, między tem z jakie 50 pań, postrojonych że mnie aż oczy bolały na widok tylu kamieni drogich, koronek, aksamitu i jedwabiu... Ale bez przesady był to widok bajecznie piękny, salon prześlicznie, wspaniale a bardzo poważnie, bo tylko rzeźbą w drzewie ciemnem, marmurze i obrazami starych Włochów przyozdobiony, a ożywiony grupami miękkich w kolorach i kształtach postaci kobiecych. Szkoda że tak tego odmalować nie można! Siedemdziesięciu siedmiu paniom umitrowanym i ukoronowanym zostałem przedstawiony, — od każdej słyszałem, a raczej przy każdej wytrzymałem, salwę rzęsistych pochwał a nawet nieraz białe ząbki albo jakieś blaski w oczach dały się dostrzedz. Prawie z całem męzkiem towarzystwem także się zapoznałem. Tyle było na nich orderów albo wstążeczek na klapach frakowych, że ja mimowoli patrzyłem, czy w tym natłoku gwiazdek i krzyżów, jakiś mimochodem nie przyczepił się do mojej czamary... Pani Molton, Angielka, śpiewała dwie piosenki narodowe, ale powiadam Ci tak pięknie, że byłem oczarowany, może nietyle głosem ile szkołą! Będę rysował jakąś jej siostrzenicę. Z Polek bardzo mi się podobały Panny Zamoyskie, zdaje się bardzo uczuciowych i serdecznych dwoje dziewcząt. Oprócz śpiewu słyszałem fortepian, pod mistrzowskiemi paluszkami X. Marceliny Czartoryskiej, Władek nic nie grał a żałowałem tego bardzo.

31go stycznia.

...Jakże mnie to ucieszyło, gdy zaszczycony odwiedzinami Chojeckiego Edmunda, usłyszałem od niego z uniesieniem wypowiedziane

zdanie o Wojnie!.. Siedział z półtorę godziny, zobaczył wszystko oprócz Syberyi i Litwy, a potem dużo i dużo mówiliśmy o „Alkadarze“... Cieszę się bardzo z jego tak łaskawej przyjaźni, bo to jest w samej rzeczy osoba, tu w literackim i nawet dyplomatycznym świecie, bardzo ceniona i szanowana...

[Piszący] bardzo zakłopotany: Jego Wojna a raczej obrazy jej jak na skrzydłach kolosalnego młynu wietrznego rozpostarte, poruszane całą burzą moich fantazyi, kołują w mojej głowie i jak Don Quichota czasem ze sobą porywają, aby go, przeniósłszy przez chmury i wichry, porzucić na drugiej stronie... Dziś, jutro już raz do roboty usiadłszy, nie da się więcej tak porwać.

Przy wczorajszej wizycie w Hotelu Lambert zrobiono mi nadzieję, że mi Syberyi zapewne już nie oddadzą, a więc ja wejdę w posiadanie szanownych Luidorów, a przeto [będę] w możności najęcia sobie tańszej i stosowniejszej dla mnie kwatery... Pan Branicki ma być w tych dniach u mnie aby zobaczyć Lituanikę. Jutro zapewne wezmę ją z Hotelu Lambert, a pokazawszy Panu Branickiemu, znowu w poniedziałek przyszły tamże ją wystawię... I Wojnę zanim pójdzie na wystawę, także do widzenia przez jeden wieczór ofiaruję, bliższe bowiem stosunki z naszymi Tuillerjami polskiemi, być może, że mi jakoweś przyniosą korzyści.

31go stycznia, czwartek.

...Zapomniałem Ci napisać, że wczoraj byłem u Kaplińskiego. Widziałem kilka rzeczy na sztalugach, ale niestety mało ładne. W jego robocie czasem rzeczy podrzędne doskonale zrobione, a to co ważniejsze mało dobrze. Zaprowadził mnie ze sobą także do obrazu sławnego tu w Paryżu młodego Fleury... „Massacre de Varsovie“. Niestety oprócz kilku figur które mi się bardzo podobały i kilku rąk i głów z reszty zupełnie nie byłem zadowolony. Przy tych dobrych rzeczach są takie fuszerady, że aż przykro patrzeć. I owszem, pomyślałem, wrażenie na publice nic przez to nie osłabnie a Matejko tem bardziej pójdzie w górę. — Ach Boże — niechby choć w tym zawodzie Polonia stanęła na równi z tym mądrym, zarozumiałym zachodem i pokazała mu, że i pod naszem mglistem, smętnem i chmurnem niebem bije serce pełne życia i miłości a głowy tam także tak otwarte i zdolne jak na zachodzie! O [piszącego] bądź spokojna, on swojemi... tylko prostą czarną kredką rysowanemi obrazkami nie powstydzi się przed Panami Francuzami. On im w tych rysunkach może cichym

głosem jakby tylko na ucho powie na co nas właśnie Bozia tu posłała: czy na to, abyśmy hołdowali smakowi głupiego, pieniądzmi brzęczącego motłochu, abyśmy schlebiali mu i łechtali przyjemnie w jego mizernych zachciankach, abyśmy byli kupcami, — podobnie jak aktor przedmieściowy, niezgrabnie okrywającymi się w draperye poważne i piękne, — boskiego artyzmu, czy na to, abyśmy w pracy naszej, nie suchem słowem, ale jakby łagodnym śpiewem, pełnym miłości i rzewności, ludziom powiadali, że mają wiele grzechu niecnoty, ale mają serce i poczucie prawdy w sobie, choćby nawet głęboko ukryte, a więc prawo i do Bóstwa nawet! — Mój Boże, gdyby mi ręka zawsze tak poszła, jakby ją serce moje poprowadziło, ach prawdziwie że byłbym wielkim malarzem! — Niestety o tem wielu z nas wiedzą, a jeżeli nie, to przeczuwają — a jednak dają się czasem uwodzić czy to jakimś zyskom, czy goniąc za próżną sławą i rozgłosem i odchodząc z tej pięknej drogi. I biada temu który ją raz opuścił bo na nią już prawie nigdy nie wraca, bo ona więcej ma ostów i ciernistsza jak wszystkie! I bardzo naturalne, taki człowiek w tej chwili przestaje kochać ludzkość, dla swojej własnej miłości... Raz tej zakosztowawszy, już tamta nie smakuje. A czyż można pracować szczerze i pięknie dla ludzkości jeżeli się jej już nie kocha? — Jeżeli u takiego człowieka zobaczę prawdziwie piękne dzieło na sztaludze to wówczas powiem, że to Bóg a n i e o n s a m malował, bo się to stało tak jak z niejednym wielkim wynalazkiem, gdzie ten mądry zarozumiały człowiek był tylko mizernym wówczas narządkiem przypadku, od Boga pokierowanego...

2go lutego, sobota popołudniu.

...Ale musisz wiedzieć... że się wyprowadziłem i mieszkam od wczorajszego wieczora na Rue du Four St. Germain 73 na drugiem piętrze, gdzie nie tyle płacę a mam więcej miejsca i dosyć dobre światło. Do wieczora siedziałem kołkiem w domu miałem kilka wizyt między temi P. Jana Działyńskiego (który mi oznajmił że Sybir zakupiony); dla Władysława Mickiewicza zrobiłem kopię podług fotografii P. Adama a po zwykłym obiedzie porobiwszy w domu rachunki i zapakowawszy wszystko, przeniosłem do nowego mieszkania... Ale jakie to dziwne że ja się tak łatwo do jakiegoś kąta przyzwyczaić mogę! — Np. teraz pomimo że moja teraźniejsza kwatera daleko lepsza i wygodniejsza — było mi już żal, że na nowej jestem, że nie tam gdzie tych długich,

smutnych pięć tygodni przemieszkałem... Długo, długo nie mogłem usnąć, czytałem bez końca i ciągle rozglądałem się w koło siebie i przykro mi było że wszystko nowe i takie obce.

3go lutego, niedziela przed wieczorem.

Byłem u Mickiewicza na obiedzie, gdzie kilku jegomościów Polaków, literatów, poznałem i gdzie mi czas bardzo mile zeszedł. Dużo pamiątek po P. Adamie widziałem, między temi maskę zdjętą z niego po śmierci... — Gospodarz był nam bardzo rad, bardzo rozmowny i zabawny...

21go lutego, czwartek wieczór.

...Poznałem się wczoraj z Duchińskim (ona jest Pani Pruszakowa) i innemi literackiemi wielkościami. Zdaje mi się, żem się im nie bardzo spodobał, bo w dysputacyi politycznej a zarazem narodowej która się między nami wywiązała, prawie we wszystkiem oponowałem... Są to panowie wszyscy że tak powiem przeszłowieczni... Powiedziałem wszystko co myślałem bez ogródki — ale czy mnie zrozumieli to nie wiem...

22go lutego, piątek.

...Wojna idzie naprzód, chociaż przy poprawkach samych i dokończeniu ostatniego z pierwszej części, jeszcze zawsze kilka dni posiedzę. Dzięki Bogu obrazki coraz lepsze. Od trzech dni wieczorem siedzę teraz nad pendentem do Sybiraków, — nie Nocy nad Amurem, jak chciałem, ale „Pochodu na wygnanie“. Może Bóg da, że to szczęśliwie skończę, t. j. że i ten obrazek równie tyle wzbudzi współczucia dla naszych biedaków... Myślę w tych dniach przez Mickiewicza zapoznać się z P. Micheletem i zrobić jego głowę. Jest to człowiek wielkiej zasługi a podobnie jak Beranger u swoich rodaków bardzo popularny.
...Dzień mi teraz mija tak prędko, że nie wiem kiedy się skończył — a tu w duszy wszystko się we mnie gotuje, radbym robić wszystko w trójnasób — radbym pracować za dziesięciu, bo za dziesięciu garnie

się myśli do serca i głowy. — Poczciwy Żel codzień jest u mnie i zawsze mi coś zagra, prócz niego zwykle jeszcze kilku biedaków, z którymi wieczór przepędzam rysując, podczas gdy z nich jeden, na zakupionym przedwczoraj, na gospodarstwo samowarze i czajniku, przyrządza coś na kształt herbaty. Pijemy i delektujemy się nad tem, chociaż w duszy niejednemu przypomną się nasze rodzinne piękne sianożęci!..

...U nas w Paryżu na piękne zabiera się na wiosnę. Już się w paletotach nie chodzi i w domu na kominku nie pali — już wszystko zaczyna się powoli przygotowywać, do wiosennego rychłego zmartwychwstania. Na wystawę już się zjeżdżać powoli zaczynają i robić przygotowania kolosalne. Będzie to coś niewidzianego i niesłyszanego.

...Dziś kilka kursów omnibusami odbywając dużo miałem czasu do rozpamiętywania... Kto się pragnie odosobnić, być zupełnie samemu sobie oddanym, niech jedzie do Paryża a potem pójdzie na najludniejsze jego ulice. Tam znajdzie właśnie to co szuka, bo tam tak go nikt nie zauważy, tak się nim nikt a nikt nie potroszczy, każdy tak tylko swego patrzy, że wszystko to razem powoli stanie się dla niego jednym chaosem a tak ciągle jednakim, tak wiecznie tym samym, jak tykot monotonny zegara. I w samej rzeczy patrząc na ów ścisk i tłoczenie się na bulwarach — słysząc ciągłe a zawsze jednako powtarzające się turkotania i hałasy, można się tak zadumać, a nawet daleko swobodniej, jak gdzieś w cichym zakącie na wsi, za całe towarzystwo tylko tykotający, a czasem tylko syczący i warczący zegar mając. Ale też tylko w Paryżu i tylko w Paryżu, można się nauczyć tęsknić prawdziwie. Tęsknić z całej duszy — już bez miary! Ja tego nigdzie nie doświadczyłem w takim stopniu jak tu w Paryżu, bo nieraz mi się zdawało, że mi wówczas głowa bieleje, a serce całkiem kurczy się i wysycha... Ale dosyć o tem. Ot wolę Ci powiedzieć że za dni czternaście spodziewamy się już najoczywistszej wiosny. Wystaw sobie, że w ogrodzie Luxemburskim będąc dziś z rana, widziałem już wszystkie krzewy i drzewa zazielenione, nietylko pączkami ale rozpękniętemi listkami. Zamiast się ucieszyć, jak to zwykle bywa kiedy pierwszy raz rozkoszna wiosna całą naturą do człowieka przemówi, ja zasmuciłem się bo przypomniałem moją biedną ojczyznę, jeszcze długo w białych śniegach uśpioną i Lwów ze swoim tysiącem dzwonków i sanek i nareszcie swoją smutną a jak w dyabelski taniec porwaną, gwiżdżącą i śniegiem smagającą zawieruchę. Ach niema jej tu, niema! Tu już tak ciepło, że przy otwartem oknie dziś kilka godzin rysować mogłem.

25go lutego.

...Na Kraków tak się już gniewam, jak nigdy dotąd. Nie będę nic pisał, chyba o interesie Jarka*) i niełatwo dam się przebłagać. Jedno mnie smuci czasem, że nie wiem co się dzieje z moim siostrzeńcem. Do tego dziecka tak się przywiązałem, że nawet tęsknię za niem, a wreszcie wyśniwa mi się czasem, jak mnie całuje i rączętami swojemi malusiemi obejmuje... Nie wiem jak przebywa i wytrzymuje ząbki swoje, a że nie bardzo silny, więc o jego zdrowie dosyć niespokojny jestem.

...Wojna postępuje tylko niestety ślimaczym krokiem, bo od dni kilku jak uważam, jestem w peryodzie pewnego niedowierzania, co moją radyrkę przyprawia o zgubę. Od przedwczoraj połowę tabliczki wytarłem... Zapomniałem Ci napisać, że zrobiłem nową znajomość, a to z młodymi Żulińskimi, chłopakami bardzo zacnymi i pełnymi wiadomości, Warszawiakami...

...W tych dniach umarł na suchoty jeden z synów Zygmunta Krasińskiego (młodszy) — jeden z tych, do których nieraz przemawia ojciec w „Listach" swoich. Byłem zaproszony na egzekwie ale nie poszedłem, aby czasu nie tracić.

26go lutego, wtorek.

...Władek dziś siedzi w domu i czyta Walter Skotta, o którym mi nie może dosyć nagadać, naturalnie wprzód nagadawszy się do syta o swoim kontrapunkcie, harmonii i fudze. Reszta wiary, zwykli goście moi, gdzieś się porozchodzili tak, że sam jestem w domu i szczęśliwy, że choć raz przecie moje zaległe korespondencye popiszę. Cicho w około mnie, tylko w ulicach jeszcze turkot i tartas — a ze mną tylko rzewna i przeciągła myśl o wszystkiem co mnie czeka w przyszłości...

...[W Hotel Lambert] mnóstwo kobiet wczoraj widziałem, najmniej osiemdziesiąt.., tylko jedna była ładna a nawet bardzo ładna. Była to jakaś Pani Buolhoos, Angielka, kobieta tak ze 27 do 8 lat mająca, płci tak białej jak marmur, budowy ciała posągowej, blondyna, z oczami niebieskiemi — o ile mi się zdaje i z włosami naturalnemi — ubrana przepięknie, a przytem kobieta mająca zupełne przeświadczenie o swoich nadzwyczajnych wdziękach... była jakby ożywioną jakąś figurą z obrazu Rubensa. Patrzałem też na nią zupełnie nie jak na kobietę, tylko ja-

---

*) Brata Jarosława.

kieś arcydzieło tego wielkiego Holendra... — X. Marcelina i mąż jej obsypują mnie względami swojemi. Nie wiem czy ci pisałem, że przeszłego poniedziałku dużo o muzyce ze mną rozmawiała, a nakoniec zaprosiła do siebie, aby mi zagrać jeden polonez Chopina, (z którą to wizytą [piszący] po zwyczaju nie bardzo się spieszył, bo jeszcze u niej nie był) — co jest nadzwyczajnie zaszczycającym mnie dowodem wielkiej łaski, zważywszy, że księżna jest jedną z najlepszych uczennic Chopina, wielce cenioną nawet w najwyższych sferach muzykalnych — a wczoraj prosiła mnie — a i on także — na czwartek na obiad... Wczoraj także grała, jak za każdą razą, jeden z jego koncertów na dwa fortepiany, z jakimś polskim muzykiem, którego wczoraj widziałem po raz pierwszy, a za leniwy byłem popytać o jego nazwisko.

28go lutego, czwartek o 11tej wieczór.

...Do południa rysowałem jak zwykle i dzięki Bogu porządnie i prędko, — bez radyrki! Po śniadaniu musiałem się wybrać do Goupila... Tymczasem nie było go, więc ztamtąd poszedłem na chwilkę do Zienkowicza... Jeszcze chwilę dobrą przed zmierzchem porysowawszy, ubrałem się potem w galę i poszedłem do X. Marceliny na obiad. Tylko oni sami byli w domu, więc byliśmy tylko we trójkę. Po obiedzie zaprezentowawszy im książkę (album z rysunkami) i oglądnąwszy kilka pięknych rzeczy w salonie i sypialni Xiężnej, dopiero zacząłem prawdziwie rozkoszować. Jak mi przyobiecała, usiadła Gospodyni domu do fortepianu i odegrała kilka kawałków Chopina po mistrzowsku! ...Ach to prawdziwa artystka! ...Szczególnie, że z jej twarzy sądząc niktby się tego nie domyślił, mało młoda, mało ładna i mało sympatyczna, dopiero grając nabiera prawdziwie pięknego wyrazu. Nie potrzebuję mówić, że dzisiejszy wieczór na długo w pamięci mi zostanie. Serdecznie jej podziękowałem, tembardziej że mi niezmiernie pochlebiła, zaręczając, że tą razą mając mnie za jedynego słuchacza, z prawdziwą grała przyjemnością... Ja też z mojej strony okażę jej szczerą wdzięczność, bo przy pierwszej wizycie ofiaruję rysunek zrobiony na pamiątkę dzisiejszego wieczoru.

3go marca.

...Ani wczoraj, ani onegdaj nie znalazłem sposobności pisania... z przyczyny, że nietylko dnie całe prawie, ale i oba wieczory zajęty

byłem przyjmowaniem gości. Wczorajszego wieczora nawet, jakby na zakończenie karnawału, wyprawiłem moim znajomym mały wieczorek, na którym się wszyscy dobrze bawili... Zeszli się najbliżsi znajomi moi, kilku Francuzów i ich znajome kobiety. Z początku zabawa była bardzo poważna, bo słuchano muzyki Władka Żeleńskiego, który grał jak zwykle prześlicznie, ...tak, że ja zbudowany byłem prawdziwie, gdy naraz filut Pan Muzyk, ni ztąd ni z owąd, jakąś swoją nocturnę zakończa prawdziwie paryskim kadrylem. Naraz, jakby wszyscy nagle ze snu obudzeni, porywają się ze siedzeń, odsuwają stoły i stołki, przewracają kilka gipsów i wazonów z kwiatami, kilka lichtarzów i filiżanek i w mgnieniu oka ustawiwszy się w pary, puszczają się w tany. Naturalnie na jednym się nie skończyło, przyszedł drugi, trzeci i dziesiąty... że aniśmy się nie opatrzyli kiedy piąta na zegarze uderzyła i przypomniała wszystkim że dosyć tego dobrego.

...Studya do wszystkich figur pierwszej części Wojny już porobione. Oprócz dwóch małych dzieci... następne obrazy nierównie prędzej a nawet bardzo prędko będą zrobione, bo odrazu podług modela będą figury wyrastały a więc poprawki, te nieznośne, odpadną.

10go marca.

...Odwiedził mnie dziś poczciwy Duchiński. Byłem sam w domu a więc i on zupełnie swobodny. W samej rzeczy dziś się przekonałem, że na nim towarzystwo wogóle a szczególniej jego Pani dziwnie upokarzające robi wrażenie, t. j. o ile z jednej wizyty sądzić mogę, w towarzystwie jest skromny, cichy i tak potulny, że wrażenie które znowu on robi na spostrzegaczu, jest jakby niekorzystne... Sam tylko ze mną, był jakby inny, pełen życia, werwy, siły i pewności. Podobał mi się nadzwyczajnie, ma bowiem oprócz miłej powierzchowności i rzadki dar nietylko obalenia zdania przeciwnego, ale przekonania o jego bezzasadności i postawienia natomiast innego, a ugruntowanego na dowodach i faktach. Tak już po godzinie rozmowy, przekonał mnie najzupełniej, że Moskale są najoczywistsi Tatarzy a nasi Rusini najmniejszego z nimi pokrewieństwa nie mają.

Ku wieczorowi, jak zwykle, naszło się dużo wiary. Między innymi jeden z najzacieklejszych apostołów Mirosławskiego — i dziś po raz pierwszy skruszyłem kopię w gorącej walce z szalonym a dla mnie nieznośnym żywiołem Pana Ludwika... Pojedynek wypadł szczęśliwie dla mnie, bo też miałem czterech do pomocy, podczas gdy mój prze-

ciwnik był tylko sam jeden. Ale... nie myśl, że się wskutek tego może zapuszczę w ten labirynt intryg i skandalów stronnictw nieprzyjaznych, o nie, zanadto mnie to wszystko oburza a wreszcie tak mi się wydaje kramarskie i niepiękne, że do niczego mieszać się nie mogę i nie chcę. Niech się gryzą kiedy im się to podoba, ja sobie swoje myślić i swoje robić będę. Ale to przecie smutne, że tak jest a nie inaczej. Tu z Paryża sądząc, to nie byłoby na kuli ziemskiej narodu więcej fałszywego, intryganckiego, zjadliwszego i więcej zaciekłego w namiętności, jak są Polacy, a co gorsze że oni sami z całego gardła krzycząc nie inaczej się przezywają.

11go marca.

...Jak Ci wczoraj zapewne powiedziałem byłem na śniadaniu u Duchińskich — gdzie kilka godzin prawdziwie pięknej zabawy, minęły mi jako jedna chwila. I ją i jego serdecznie pokochałem, poznałem bowiem w obojgu nietylko ludzi pełnych zasługi i nauki, ale i ludzi z sercem i pełnych uczucia... Mówiliśmy o wielu rzeczach a głównie o kwestyi naszej i moskiewskiej, poczem ze strony gospodarza zachęcony zostałem do pewnego przedsiębiorstwa artystycznego, będącego z tem w ścisłym związku. Czy co z tego będzie jeszcze nie wiem — po czasie i bliższem przypatrzeniu się tej rzeczy, będę mógł coś więcej o tem powiedzieć.

26go marca, środa.

...Pracuję — pracuję — i pracuję! ...z całem możebnem wytężeniem... ...Jeden dzień tak za drugim przechodzi i nie wiem, gdzie w nich miejsca [na] dwadzieścia cztery godzin... a na obrazkach zawsze coś przyrasta, staje się wyraźniejszem, wymowniejszem, aż nareszcie skończonem! Możebym się zżymał, wyrzekał, może nieraz Boga obraził, może rozpaczał — może się zmarnował — gdyby nie praca, przy której przynajmniej losowi wszystko darować mogę, podczas gdy w innych stosunkach możebym go przeklinał...

...Mój obrazek jutro zapewne skończę i z tym już siódmy przybędzie. Ach jak sobie swobodnie odetchnę.

30go marca, sobota.

...Już mi znacznie lepiej. ...Dziś a zwłaszcza w tej chwili jestem zdrowy, to jest spokojny i nawet zadowolony, bo obrazek jeden szczę-

śliwie skończony a drugi również tak rozpoczęty. Nie uwierzysz jak te obrazki wszystkie zmieniają się na korzyść kiedy są w ramy oprawne! Nabierają ogromnie wiele powagi i niekiedy wdzięku. Ach, doczekać się nie mogę chwili, w której będę miał ich wszystkich dwanaście, w jednym nieprzerwanym szeregu — wyraźnych w myśli i wymowniejszych jak to, co o Wojnie napisać by można! Na tym, który teraz na sztaludze a na którym przychodzi scena schwytania szpiega wśród obozu, wszyscy moi najbliżsi znajomi będą mi pozowali, tam bowiem same męzkie przychodzą postacie... Głowę szpiega już zrobiłem i mogę sobie przyznać że dobra.

...„Trochę mnie teraz oczy zaczynają nie pobolewać, ale męczyć się. Zapewne wskutek wieczornego rysowania nie na białym, tylko zawsze tonowym papierze, ale niedługo jeszcze będę ich tak gwałtownie nadużywał, więc się nie obawiam niczego gorszego...

31go marca, niedziela.

...Okropnie smutną mieliśmy dziś w małem a serdecznem gronku naszem niespodziankę! W południe przyszedł do mnie młody Gostkowski szwagier mojego kochanego Władka Żel. i powiedział mi że listownie o śmierci jego siostry, jedynaczki, a w rodzinie nadzwyczajnie kochanej, młodej jeszcze osoby, zawiadomionym został. Mnie proszono o to, abym ja jako najbliżej z nim żyjący przyjaciel, przygotował go do zniesienia tej okropnej wiadomości. Wyobrazisz sobie jak mi bardzo ciężko w tej chwili... Wyprowadziłem go też z domu... trochę po świeżem powietrzu, a tak powoli, wśród mijania tysiąca powozów i tysiąca ludzi — mój Boże takich wesołych i tak zupełnie obojętnych! — wśród turkotu i krzyku ulicznego, w kilku słowach zawiadomiłem o grożącem niebezpieczeństwie dla życia jego siostry a potem zalecałem, z całą odwagą mężczyzny, przygotować się i na najgorsze. Tak biedakowi nie dałem zanadto gwałtownie oddać się smutkowi... i do wieczora przytrzymawszy w ciągłem roztargnieniu, przed chwilą puściłem [go] do domu. Teraz mój biedak zacznie dopiero rozpamiętywać nad wszystkiem co mu powiedziałem... I jutro i pojutrze jeszcze nic mu nie powiemy... znam go zanadto dobrze z tej strony, że mu odrazu wszystkiego nie można wypowiedzieć bez obawy, że to na jego nadzwyczajnie delikatnem i wrażliwem i ogromnie uczuciowem usposobieniu mogłoby wywrzeć najfatalniejsze skutki. Biedak! Biedak mój kochany! — I to dziwne, wyobraź sobie: od dwóch miesięcy

dzień w dzień schodzimy się razem we czwórkę, nas dwóch, Krajewski i Konwicki, który chodzi z krepą na kapeluszu. Proszę Cię, nigdy sobie kapeluszy przypadkiem nie pomieniali, aż dopiero wczoraj i to dwa razy w jednym dniu, co nam się wszystkim niepodobało, tem bardziej że przez resztę dnia [Żel.] chodzić w nim musiał, bo Konwickiego odszukać nie mógł. Nie jest że to dziwne i niepojęte? On sam, jakby przeczuwając, zmartwił się trochę już wczoraj i kilka razy mówił że boi się czy to nie jest złą jakąś przepowiednią — co my znów jemu staraliśmy się wyperswadować. — Boże daj, aby to jakoś szczęśliwie przeszło i jakichś smutnych po sobie śladów nie chciało pozostawić. On tak bardzo kochał tę siostrę!

1go kwietnia, poniedziałek.

...Otóż Wystawa Świata otwarta. Miało się owo otwarcie odbyć nadzwyczaj uroczyście. Ja prócz kilku kolumn w paradzie przeciągającego wojska nic nie widziałem i przyznam się że zupełnie ciekawy nie byłem.

...Mój biedny Władek smutny jak wczoraj, ale dzięki Bogu więcej zrezygnowany. Ale jakżeż mnie nieraz serce zabolało, słysząc go mówiącego o chorobie swojej siostry i zawsze przecież przypuszczającego ocalenie jej życia. A ona biedna już nawet pochowana.

2go kwietnia, wtorek, bardzo późno.

...Biednemu Władkowi powiedzieliśmy już prawdę — więc już wie że stracił jedyną ukochaną siostrę! — jak to przyjął tego niema co opowiadać. Dodam tylko że znowu po długim, długim czasie widziałem mężczyznę płaczącego i muszę powiedzieć, że ten widok jest stokroć boleśniejszy jak gdy kobieta płacze...

3go kwietnia, środa.

Znowu dzień jeden przewędrował w niepowrotną przeszłość... Ach tak, ja kiedyś umierając, po długich latach szczęścia, jeszcze nad grobem, przypomnę sobie, że wiele, ach bardzo wiele pozostawiam rzeczy, których wykonać czasu nie miałem!...

4go kwietnia, czwartek.

...Byłem w katakombach! — ...Szczęśliwie się trafiło, że właśnie dzisiaj był wstęp do tego labiryntu podziemnego, a ja wraz z całem gronem najbliższych znajomych korzystać z niego mogłem... O pierwszej w południe stanęliśmy na miejscu, zkąd po krętych schodkach na 50 łokci w głąb ziemi prowadzących, dostaliśmy się do katakomb. Początek historyczny tychże sięga najdawniejszych czasów, chociaż nie jest tak świetny, co do swoich pamiątek, jak katakumb rzymskich. Powiadają że one datują z czasów wybudowania się Paryża i one to dostarczały całego materyału budulcowego... I w samej rzeczy są to niezmiernie długie, o naturalnem sklepieniu, często kamiennemi kroksztynami podpierane chodniki bardzo wązkie i oczywiście zupełnie ciemne. Postępując za czarną smugą nakreśloną na sklepieniu, przechodzisz raz w lewo raz w prawo, raz w górę raz znowu na dół, często, mijając [się] z ujściem innych podobnych chodników w inne strony wiodących a łańcuchami żelaznemi zamkniętych. Powietrze czyste, choć nieraz bardzo wilgocią i chłodem przesiąkłe. Chodniki te mają nazwę ulic lub placów, stosownie do tych, które właśnie w tych miejscach na powierzchni przebiegają. Dlatego, znając Paryż, mniej więcej i w jego podziemiach oryentować by się można. Tak z świecą w ręce posuwasz się coraz głębiej w te czarne, wązkie, czasem groźnie tajemnicze kurytarze i nieraz, świeczkę przysłoniwszy, gdy popatrzysz przed siebie to ci się zdaje, że niepodobieństwem aby twoja maleńka świeczka te niezgłębione ciemności przedrzeć zdołała. Szliśmy tak bardzo długo, aż wreszcie dotarli w okolicę gdzie są smętarzyska. Tam ów wązki kurytarz zwęża się jeszcze bardziej... obie jego boczne ściany wyłożone są kośćmi ludzkiemi które ze starych smętarzów wywożą i tu składają. Tysiące nieprzeliczonych czaszek poukładanych w pewnym porządku, groźnie tu spogląda na przechodnia i najżywiej mu przypomina, że jak powstał z prochu tak i on kiedyś w proch się zamieni... Jest tu także kilka innych pomników mających swoją wartość historyczną, a między temi nagrobki dla tysiąców ofiar z czasów Wielkiej Rewolucyi... Jest tam także stół na którym Karol IX. zwiedzając katakomby raczył się i ucztował... Żałuję bardzo że na drugą stronę Sekwany nie przeszliśmy, byłoby to bowiem bardzo zabawne wiedzieć że się wędruje popod koryto rzeki! Mnie się spieszyło do roboty, a to najmniej mila geograficzna na drugą stronę, więc woleliśmy już zostać na tej... Jakieżby te katakomby były dopiero wówczas wspaniałe, gdybyśmy np. wiedzieli że owe chodniki ręką prze-

śladowanych chrześcijan wykute, że je w pocie czoła wykopali biedni, ukrywający się przed napaścią... To też takiej tradycyi im brakuje a brak ten bardzo wiele odejmuje im uroku...

...Wieczór miałem znowu dużo gości. Między nimi był i poczciwy Eustachy Skrochowski. Ucieszyłem się że mnie odwiedził. ...Sztuka i sztuka były jedynym przedmiotem konwersacyi naszej a do zabawy przyczynił się głównie Władek, który chociaż smutny, dał się uprosić i dużo śliczności odegrał nam i odśpiewał.

8go kwietnia, poniedziałek.

...Poraz pierwszy byłem dziś na Wystawie od czasu jej otwarcia Ach powiadam Ci, że nieraz zapominałem się w zachwyceniu nad niektóremi obrazami francuzkiego oddziału... Portretów nie mają wiele, ale te które są, odznaczają się niezmierną pięknością... Widziałem obraz Perignona — portret kobiety tak prześlicznej, że z uciechy wykrzyknąłem oczarowany jego prawdą a zarazem niezrównanym wdziękiem. Za to historycznych obrazów jest bardzo wiele, równie jak i fantazyi. W tej ostatniej Francuzi są niezrównani. Na ich czele stoi Hamon a za nim cały szereg innych, może mniej już oryginalnych w pomyśle, choć czasem tęgsi mistrze. Z historycznych są głównie bitwy; Ivona a także i Bellangego zauważyłem. Gerôma jest bardzo wiele na wystawie — ...ale przyznam się, że oprócz jednego, to tamte niedosyć mi się podobały... a to dla swego zbytecznego realizmu i dla wszelkiego braku poetyczności. Meissoniera jest także mistrzowskich kilka kawałków... Po Francuzach najwięcej pięknych rzeczy a raczej oryginalnych mają Anglicy... Tam są rzeczy niektóre nierównie piękniejsze jak u Francuzów nawet. Niemcy całe i Rosya nie grzeszą zbytkiem arcydzieł. Poczciwy Matejko swoim obrazem dzielnie podtrzymuje honor biednych „Austryaków"... I słusznie powiedzieć można, że Jego obraz do najpiękniejszych w całej wystawie należy! — Wiwat Matejko! Daj Mu Boże zdrowie! — [Moje obrazy] tak fatalnie powiesili' że [ich] dopiero szukać potrzeba! Gałgany Szwaby... Zresztą mnie to zupełnie obojętne. Dziś... już tylko na Wojnie wszystko zawisło. Z tego będą mnie sądzili i w tem też wszystkie moje nadzieje położyłem... Byłem wczoraj u Chojeckiego i dostałem „une Legende" dla mojej Lituaniki. Będzie ona na małych złotych kartkach na każdym z odpowiednich obrazków umieszczona. Są to tytuły i jakby hasło dla każdego obrazka. Krótko, zwięźle a serdecznie! Tak jak sobie zawsze życzyłem — a ani sam wymyśleć nie mogłem, ani też

u nikogo wyprosić. Do Wojny także mi on to napisze a spodziewam się, że będzie dobrze!

10go kwietnia, środa.

...Dziewiąty obrazek już zacząłem i... spodziewam się, że będzie najpiękniejszy! — Jest to ów Artysta i Geniusz jego na pobojowisku wśród rozciągniętych i z sukni odartych umarłych, przerażony na widok złodziei, którzy, im nawet, pokoju nie dając, obdzierają ich z odzieży i kosztowności. Oświecenie księżyca — noc posępna i chmurna. Będzie to obraz nadzwyczajnie poetyczny a przytem pełny powagi i godności klasycznej. Szpieg udał się także niezgorzej, a tu cieszy mnie najwięcej jasne wytłómaczenie się myśli, bo wszyscy, zupełnie nawet niewtajemniczeni, odrazu poznają, o co tu chodzi. W tem leżała cała trudność i to był jedyny mój frasunek — dzięki Bogu że to się udało.

12go kwietnia, piątek, popołudniu.

...Wczorajszy wieczór nadzwyczaj mnie ucieszył a był zarazem niespodzianką. W chwili kiedy list do Ciebie dokończałem, przysłano dla mnie i Władka Żel. bilety na koncert Marceliny. Był to z jej strony dowód wielkiej uwagi i pamięci. ...Po obiedzie też oba się tam wybraliśmy, bo ...myślałem sobie że dla Muzyki i pięknej Muzyki, może nawet bym p o w i n i e n poświęcić jeden wieczór i tym sposobem użyć pewnego moralnego wywczasu. W samej rzeczy miałem go podostatkiem. Oprócz samej koncertantki, jak zawsze niezrównanej w odgrywaniu prześlicznych chopinowskich kompozycyi, słyszałem także jakąś amatorkę śpiewaczkę Panią Tellefsen i po raz drugi wiolonczelistę Franchommea. O Marcelinie nic nie powiem, bo ją znasz już z poprzednich listów moich, prócz tego, że grała dwa razy Mozarta z towarzyszeniem orkiestry, tak po mistrzowsku że o tem nawet wyobrażenia nie miałem. Pani Tellefson śpiewała jedną pieśń Händla, Schumana „Ich grolle nicht“ i jakąś szwedzką piosnkę. Pierwsze i ostatnie przewybornie, ale Schumanna nie zupełnie zadawalająco. Głos jej bowiem zdawał mi się dla tej pieśni zanadto sentymentalny i miękki, a niemający dostatecznej energii i namiętności... Powróciłem do domu orzeźwiony, pełny ochoty i animuszu do pracy, tak jakby chwilowo odrodzony.

...Dziś rozpocząłem bardzo dobrze, bo do tej godziny już mam stu-

dyum do Geniusza ...i w pamięci kilka bardzo pięknych obrazów fresko z kościoła St. Sulpice, dokąd poszedłem na czas porządkowania mojego pokoju.

14go kwietnia.

...Radbym Ci coś powiedzieć, co dawno już chciałem ale do czego jawnych powodów nie miałem. Teraz mam taki jeden i bardzo wyraźny. Przekonuję się, że jestem Artystą, albo raczej aspirantem do tej godności i to nietylko dlatego, że powołaniem mojem jest malowanie obrazów, a w nich ducha ludzkiego, ale i dlatego że we mnie doprawdy mieszka coś — coś — co w innym człowieku trudno się znachodzi — że we mnie mieszka jakaś tajemnica piękna... czarująca, ale niedocieczona — a w której ja właśnie ów artyzm przeczuwam... Jest to jakaś niewidoma siła, która nietylko włada myślami mojemi, ale nawet wolą i uczynkiem... I dziwne, kiedy byłem prawie zrozpaczony, przyszła mi ochota zrobić postać kobiecą ze skrzypcami w rękach, do której jedynym tytułem albo komentarzem byłoby kilka taktów z jakiegoś utworu nieśmiertelnego Beethovena! Usiadłem wieczór do tego i głowę już skończyłem. Jest piękna, bo taka o jakiej tylko zawsze marzyłem dla postaci Muzyki... Teraz ożyła na moim kartonie... Tak, dowiedziałem się, że jestem artystą, że Muza doprawdy mieszka w mojej duszy... i oto masz to właśnie co mnie w tej chwili najbardziej ucieszyło!

14go kwietnia.

...Ja Ci nigdy nie potrafię wypowiedzieć co ja już przeszedłem, co przechodzę... a jak się okropnie na wszystko przygotowuję... Nawet mnie nigdy o to nie pytaj!

Bóg się na mnie zagniewał!... Niestety z nim nie mogę się procesować, bo ja za nizko a on za wysoko — mnie nic nie pozostało jak zaciąć zęby zacisnąć kułaki i — cierpieć!... — Ej, zresztą ja z pierza nie jestem i potrafię i umiem znosić więcej aniżeli moje chude plecy udźwignąć potrafią — [bom] jest Polak! — Tak ja sobie dodaję ducha, przemawiam do serca — i na razie zawsze mi się zdaje, że lepiej żyć mi na świecie, a za chwilę już znowu jestem smutny — i niepocieszony!

...Choćbym miał co dnia we krwi i we łzach się kąpać — choćbym miał przytem cierpieć katusze Tantala to ja swojego dopnę i dotrzy-

mam... Siły będę miał poddostatkiem bo tę Bóg daje wraz z krzyżem, który ponieść mamy...

[Choć] prawda, że w takim zbiegu okoliczności, gdyby każda praca moja przemówić mogła — toby Ci o mnie straszne rzeczy opowiedziała — ale tej obawy nie [mam] — każda z nich jest niema i żadna niczego nie zdradzi.., Teraz na koniec jeszcze Ci powiem że za dwa dni już 9-ty obrazek gotowy będzie — a będzie zdaje mi się, tak jak i wszystkim, najlepszy i najpoetyczniejszy...

16go kwietnia, wtorek, w południe.

Przez wieczór wczorajszy na mojej Dziewczynie grającej, zrobiłem tyle i tak szczęśliwie, że słusznie ten obraz do najlepszych rysunków policzyć mogę. I... przy tym właśnie popróbowałem i doświadczyłem siły mojej wyobraźni — i siły twórczej. Czułem bowiem, że dziwnie wielki świat jakiś, pełen tajemnicy dotąd, zaczął mi się rozwidniać, cuda jakieś coraz wyraźniej pokazywać, a na tle wszystkiego zdawało mi się, widzieć jakgdyby szczyt i kraniec tego do czego dążyłem instynktowo a dokąd w przyszłości już na pewne powędruję. Zdawało mi się, że moja prawica silniejsza... mój węgiel wymowniejszy... a miejsce na którem stoję jest piedestałem jakiegoś posągu! Przecież raz to o czem zawsze marzyłem słuchając nieśmiertelnego Beethovena zobaczyłem na obrazie!

Ach, ja się tą robotą tak cieszę jak myślą Wojny mojej!

Dziewiąty obrazek zapewne skończę do jutra... Co do następnego to sam jeszcze nie wiem dokładnie jaki będzie, nie może być słabszy jak poprzedzający — musi być jeszcze silniejszy...

16go kwietnia, wtorek.

...Wieczorem robiłem znowu nad „Muzykantką". Coraz lepsza i nawet coraz piękniejsza... Jedną mam trudność, to są ręce, które koniecznie z natury zrobić muszę, a do których nie mam i zapewne nie będę miał modela. Trzeba wiedzieć, że tu nie przelewki, bo są w naturalnej wielkości, więc ganczów rysunkowych pozwalać sobie nie można, a do tego muszą to być nietylko piękne rączki, ale i charakterystyczne. Że to dziewczę młode i smukłe, więc i rączki muszą mieć paluszki miękkie, ale smukłe, nawet długie....

18go kwietnia, czwartek.

Piszę słuchając a raczej słysząc Schumanna „Paradies“ und Peri“, co właśnie Władek Żel. na fortepianie przegrywa. Czy dlatego mój dopisek dzisiejszy nie ucierpi, to nie wiem... Gdybyś wiedziała, jakie to prześliczne, co on gra w tej chwili! — — Teraz śpiewa! — — Zimno przechodzi mnie od stóp do głowy, a czasem łzy przychodzą do oczów! — — Ach cudowne! — — Słucham wytężonem uchem każdego tonu...

Nie idzie mi pisanie! — Bo nawet nie wiem, co z pióra na papier zbiega! Czerni się pod niem, prążek coraz bardziej przedłuża a przez myśl moją tymczasem tysiące i miliony najpiękniejszych obrazów przelatuje, mnie za sobą ciągnie i porywa... Nie wiem jak się to dzieje, że jeszcze siedzę i piszę....

...Muzyka! Muzyka! Cóż za wierne, za piękne to kochanie — takie wieczne, takie nigdy niezmienne, zawsze tak uszczęśliwiające! — Ach dlaczego ja nie urodziłem się dla niej? Że ona dla mnie obca, tak często nieprzystępna i tajemnicza! ...Jakież to cudne co on właśnie gra i śpiewa! ...Ja przestać pisać nie mogę więc piszę i słucham!

...Przestał już Władek i lżej mi się zrobiło, i cicho i głucho w mojej pracowni.

20go kwietnia, Wielka Sobota, rano.

...Wczoraj w Wielki Piątek byłem na bardzo pięknym koncercie, w Cirque Napoleon i słyszałem „Stworzenie Świata“ Haydna, kilka ustępów z jednej symfonii Mendelssohna, jeden bardzo pięknie odśpiewany chór z 16.. wieku i sławnego, może dziś w Europie najpierwszego skrzypka Joachima! W samej rzeczy byłem oczarowany przecudną grą jego. Grał sławny koncert Mendelssohna a potem Suitę Bacha i tę ostatnią tak po mistrzowsku, że po skończeniu brawa i oklaski ustać nie chciały; ...jaką jest gra jego musiałbym bardzo dużo napisać, w ogóle jak zawsze, kiedy gęba miesza się w sprawy ucha i zdaje jej się że ono nastąpić potrafi; ...dodam tylko że po wczorajszym wieczorze śliczne odniosłem wrażenie, tem lepsze że mnie zdecydowało do niektórych poprawek na mojej „Muzykantce“, które dodadzą obrazowi temu jeszcze więcej artystycznego polotu. Rąk do niego jeszcze nie znalazłem. ...9ty obrazek już skończony! Jutro w dzień Wielkiej Nocy zaczynam 10ty.

22go kwietnia, Poniedziałek oblewany.

...Czułem [się] wczoraj bardzo sam i więcej opuszczony jak zwykle, wśród zgiełku ludzi, wśród licznego i hałaśliwego towarzystwa, prawie przez całe pół dnia — bo na trzech Święconych być musiałem, u Czartoryskiego, Zamojskiego Jenerała i Leona Zienkowicza, tylko naprzód na książęcych salonach a potem emigranckich, ale serdecznych, szczerych izdebkach. Tak mi dziwnie cicho i samotnie było, kiedy powróciłem do domu....

23go kwietnia, wtorek.

...Dziś jestem kwaśniejszy jak wszystkie octy, cytryny, niedojrzałe śliwki i wszystkie humory rozgrymaszonych kochanek. Dziś jestem ekstraktem kawalersko-kociego kwasu! Od samego rana nic nie robiłem tylko ciągle prawie leżałem na kanapie i albo ziewałem i przeciągałem się, albo spałem, albo się za to na siebie złościłem... Ale właściwie jestem trochę niezdrów, chociaż mi nic nie brakuje. Najgorsze to że na dziś miałem łepetę jakby zamurowaną do roboty wszelkiej. Nie byłem w stanie ani rysować, ani czytać, ani pisać — tylko złościć się ciągle, że taki jestem! — Pod wieczór lepiej mi nie jest, ale teraz przynajmniej o tyle myśli zebrałem że piszę. Czy to ma sens jaki, nie wiem... Przynajmniej z jednego się cieszę, że, mimo całej niedyspozycyi, dobrego coś przyszło mi na myśl, pewna zmiana w teraźniejszym to jest w 10-tym obrazie, która najmniej trzy dni roboty mi oszczędzi. Co on przedstawia napiszę, jak wszystko będzie zdecydowane. Dobranoc...

24go kwietnia.

... Dziś już trochę weselej jak wczoraj, bo chociaż jeszcze zawsze kwaśnawo, to jednak znacznie lepiej jak wczoraj. Jestem jeszcze niezdrów, ale przynajmniej nie mam ani spiączki, ani ziewaczki, dwóch chorób, które niestety tylko leniuchów z profesyi zwykły nawiedzać. Dziś też sobie już dużo zrobiłem! Do niedzieli muszę mieć 10-ty obrazek i to bardzo porządny... Jak wiesz, że przedstawiając ujemne strony wojny, zamierzałem przedstawić tę wojnę jako żywioł, który nas demoralizuje... tak dalece, że o samym Bogu i Jego poszanowaniu zapominamy... Rzecz dzieje się w kruchcie przedkościelnej — po prawej Geniusz i Artysta... w głębi trochę, a po lewej na samym przo-

dzie... cztery bębny, które jeszcze przed chwilą służyły za siedzenia dla trzech jegomościów zajętych żywo grą w karteczki. Że przed chwilą jeszcze grali, świadczy lulka jeszcze dymiąca na ziemi i karty porozrzucane... Ponad niemi, do filara na krzyżu przybity Pan Jezus. Rozciągnął Ramiona swoje, głowę smutnie pochylił, bo go nie chciano uszanować, a na ramionach pałasze, ładownice i różne rynsztunki wojenne pozawieszano. W głębi kościół zestrzelany i na wpół spalony. Oto treść obrazu. Czy go widzisz i czy jest dosyć mówiący? Lecz mimo tego wszystkiego co myślę, jestem w samej rzeczy trochę rozciapany... Tu w Paryżu, od kiedy przyjechałem, ciągle i ciągle szkaradnie. Z tą różnicą, że coraz cieplej, bo też od kilku tygodni przy otwartem oknie pracować mogę, ale za to deszcze i chmurno, że już się życie uprzykrza.

25go kwietnia, czwartek.

...Nie wysłowisz sobie jaką miałem uciechę odebrania od Was tych doskonałych smaczności... Niech Wam za tę uciechę Bozia wspaniale wynagrodzi! Powróciwszy z obiadu dziś o 9-tej... dowiedziałem się, że mi jakieś pudełko z kolei przyniesionem zostało... O,ooooo! Nieba! zawołałem, spostrzegłszy wśród tajemniczych stosów, że tak powiem bałwanów bibuły i obrzynków papierowych, nie mniej ani więcej tylko najkompletniejsze Święcone, a w tem nawet prześliczną smukłą... babę!— Nie wiedziałem co naprzód wyciągnąć, aby się do niej dostać. Nareszcie — nareszcie miałem ją w moich objęciach! Cudna! — która prócz wspaniałej powierzchowności łączyła w sobie i cnoty i wytrzymałość prawdziwego podróżnika... Zajechała do Paryża i w niczem nie ucierpiała, prócz kilku bardzo nieznacznych usterków w pstrobarwnej fryzurze. Reszta doszła zupełnie bez szwanku, prócz biednego „barana“, który... zajechał... jak cukrowy placek. Nieszczęsna ofiara kiełbasy, która, znać przez całą drogę całym swoim gniotąc go ciężarem, wreszcie udusiła biedne niewiniątko!... Tylko krwawa chorągiew, którą za życia tak pięknie powiewał, a która obecnie wtłoczoną była w jego resztki, była dla mnie jedynym znakiem, że niegdyś istniał!... Za dni parę myślę, że i cała drużyna pójdzie w tropy jego i wszystko zniknie... Jutro wszystkiego sam napocząwszy, zaraz z rana do herbaty, potem zapraszam moich [chłopców] — i sprawiam im „ein Göttermahl sondergleichen!“ Wyobrażam sobie, że prócz Władka, wszystkich innych wódka i kiełbasa najwięcej zelektryzuje. Naturalnie że zaraz wszystkiego zjeść im nie dam, tylko po trochę... Ej, Boże, jaki ja dziś we-

soły jestem!... Ale nietylko to jest całym powodem wesołości mojej, cieszę się również serdecznie i obrazkiem moim dziesiątym, który mi się wiedzie doskonale! Już cały podłożony i studya draperyi już wszystkie porobione, więc duchem będzie gotowy. Moja słabość jak przyszła tak i poszła sobie szczęśliwie. Wczoraj już byłem prawie zupełnie zdrów a dziś to nawet zdrowszym jak zwykle. Cała choroba był brak apetytu, ziewanie i spiączka jednodniowa. Po prawdzie mówiąc, to zdawało mi się, że się na tem nie obejdzie, że to zwykły kwatermistrz jakiejś większej choroby...

26go kwietnia.

Otóż Święconego już znaczny kawałek przepadł — w nieodwrotnej przeszłości a w rzeczy samej w naszych głodnych paszczach. Jeszcze raz jutro i pojutrze a zaprawdę ani okruszyny z tego nie zostanie prócz pudełka i choiny — i innej zieleniny, — na którą nie wiem czy się złakomimy — a którą sobie schowam na pamiątkę! Za chwilę idę na wystawę obrazów Ingresa zmarłego, która jeszcze dni parę ma być otwartą...

28go kwietnia, niedziela.

...Do mojej „Muzykantki" ani myśleć znaleźć jakie ręce! Nie wiem co zrobię? Jestem zły dlatego jak pies na wszystkie kobiety, które znam, a które rąk takich nie mają jakichbym potrzebował. Nie mogę im tego darować... O 4-tej poszedłem do Salonu, jak tu nazywają coroczną Wystawę obrazów na Polach Elizejskich. Ale mówię [Ci], że tu... tyle szmatałajstwa i łatałajstwa, że zły jak dyabeł wróciłem do domu i po części jestem kontent, że tam rysunków moich nie wystawiłem. Oprócz może dziesięciu bardzo pięknych obrazów na kilka sal... reszta są takie lichoty, że doprawdy czasem nietylko Wiedeń ale nawet Lwów ze swojemi obrazami żywo mi się przypomniał... Teraz, znużony trochę, siedzę i piszę, resztki Święconego mojego mając przed sobą. Babka poczciwa już do połowy zmalała, placek już bardzo słabo jest reprezentowany — kiełbasy także niewiele, tylko w proporcyi najwięcej kontuszówki...

29go kwietnia, poniedziałek.

Deszcz leje jak z cebra, cały dzień tak chmurny, że czasem za ciemno do roboty a nosa jeszcze nie wyściubiłem, tylko sobie dalej

smaruję i cieszę się, że wszystko idzie naprzód i... 10-go p. m. z pewnością już raz zakończę swoją pracę. Ach serce mi bije, ledwie że nie szamoce na myśl samą, że to już niedaleko!

30go kwietnia, wtorek.

Dla nieszczęsnych rąk — nie, już powiem: ręczysków, bo mnie to okropnie gniewa, nie mogę dokończyć mojej „Muzykantki". Nie jest to „Muzyka", bo na taką postać jest ona za mało posągowa. Nazwania dla niej nie znalazłem stosownego, chyba „La fille au violon". Zdaje mi się, że kilka taktów serenady Beethovena najlepiej mi do tego posłuży.

...U nas niestety leje i leje bez końca... Wyobraź sobie że przez całe cztery miesiące mojego pobytu w Paryżu, doprawdy wszystkiego razem 14 dni było bez deszczu! Ciągle pada a tylko czasem ku wieczorowi, na godzinę, dwie, albo zrana wypogodzi się chwilowo! Nieznośny klimat. Naturalnie że z kataru wyjść nie można.

Matejko jak słyszałem już dostał medal, oczywiście złoty... ale przecież to paskudniki ci Francuzi. Na tę wystawę przeznaczonych było prócz zdaje mi się 40 medalów złotych, jeszcze 8 medalów honorowych. Wyobraź sobie, że z tego 4 dali swoim Francuzom, już na dziesiątki liczących różne medale swoje i dekorowanych niemiłosiernie. Dostali Cabanel, Meissonier, Rousseau i Gerôme, wszyscy już do starszych i już zanadto sławnych malarzy należący, aby być jeszcze raz wyszczególnionymi. Z zagranicznych Matejko najwięcej zasłużył, bo ...on jeden wystawił obraz historyczny mający niezwykłe, bo nadzwyczajne zalety. O, Francuzi zupełnie nie po gentlemańsku sobie postąpili, tylko, że tak powiem, po żydowsku...

2go maja.

...Dziesiąty obrazek także skończony a więc tylko półtora jest do zrobienia! Przed chwilą położyłem nań mój monogram i jestem z niego kontent. Robiłem wczoraj do drugiej w nocy... Jutro zrana zaczynam obrazek następny.

4go maja.

...Fatalny dzień miałem a szczególnie popołudnie... Porwało mnie jakieś dziwne zwątpienie, nie wierzyłem sobie, nawet odmawiałem tyle

talentu aby przynajmniej to zrobić jako tako, na co się mizerna głowa moja zdobędzie — jednem słowem naraz zagwoździło mi się coś w rozumie. Poleciałem też na wystawę w nadziei, że taka wycieczka będzie najlepszem lekarstwem, ale niestety przerachowałem się, bo potem dopiero na pięknie głupio mi się zrobiło... Do późna bardzo rysowałem i wymazywałem, oczywiście znużony spać się położyłem a pierwszą rzeczą było, wstawszy dziś zrana, wymazać znowu wszystko co wczoraj zrobiłem. Najbardziej mnie to złości, że nie mogę odkryć przyczyny i powodów do takich fatalnych u mnie usposobień... Ach tak... jeżeli praca moja, tu w Paryżu, może podoba się ludziom, że chwalić i mówić o niej będą — czego nawet nie przypuszczam — to będzie to tylko jakiś dziwny przypadek, zrządzony łaską Bożą, który mi doprawdy dopomódz zechce... Ach niestety, nie mylę się zupełnie...

Dziś miałem list od Mamy z Krakowa... Mój Stasik zdrów, miał wypięknieć a co najzabawniejsze dopisał się do Wujcia swojego: zrobił „żyda" i kilka okropnych krychów na liście. Jak będę przejeżdżał przez Kraków to tego drabika zaduszę, tak będę ściskał i całował! Pisze mi także, że mówiła o mnie także z Kraszewskim, który nadzwyczajnie pochlebnie o mnie się wyrażał i różne rady swoje przesłać mi kazał. Przedwczoraj widziałem się z Amborskim.... otóż on znowu mówił mi, że coś dosyć dobrego miał o mnie powiedzieć Kraszewski w swojem dziełku najnowszem p. t. „Rachunki". Nie mam tej książki i nie wiem gdzie jej dostać...

Od dwóch dni stała pogoda więc i ja już wierzyć zaczynam, że na prawdę wiosna zawitała. Już czereśnie sprzedają i w przyzwoitym cieniu przechadzać się można. Przecież to dziwne, że ta wiosna zawsze i wiecznie taka dla nas nowa i miła!... Od dziś za cztery tygodnie będę we Lwowie... i dużo i dużo ważnych i losem moim rozstrzygających wydarzeń już przeminie! — Wierzmy i pracujmy!

5-go maja, niedziela.

...[Piszący] jutro w południe kończy Wojnę!!! Ach... gdybyś wiedziała z jaką prawdziwą radością podaję Ci tę nowinę, jaki szczęśliwy i zadowolony jestem...! Ostatni [obraz] już jutro dokończę, przedstawia artystę już samego w pracowni swojej, siedzącego przed sztalugą i rysującego wielki obraz, na którym widać Bozię, z długą rozczochraną brodą i strasznym gniewem w obliczu, przeklinającego Kaina, który

zabił Abla. Prawda że dobre zakończenie? ...Prawda że Ci się podoba takie zakończenie? Powiedz mi coś o tem. Taki byłem też szczęśliwy i tak serdecznie pracowałem, że najtrudniejsze rzeczy na obrazku już zrobiwszy o 5-tej postanowiłem sobie pójść na przechadzkę. Toteż i byłem i powiem Ci, że jestem Paryżem zachwycony! Dzień był przecudny i po raz pierwszy tak czysty, że ani chmurki na niebie nie było i w najdalszej odległości wszystko wyraźnie widzieć się dało. Byliśmy najprzód w ogrodzie Tuilleryjskim a potem na Polach Elizejskich. Drzewa wszystkie najcudniej rozkwitnięte, rzęsistym szmaragdowym liściem okryte, aż się uginały pod ciężarem swojego wiosennego bogatego stroju. Powietrze pełne woni i świeżości. Ludzie piękni i najwykwintniej ubrani, tłumami całemi snuli się w prawo i w lewo. Prześliczne dzieci, których tu zastałem całe stada biegały i skakały bawiąc się... że nie wiedziałem gdzie wprzódy patrzeć a pomiędzy to wszystko zieloność, kwiaty, drzewa odwieczne i cieniste i świetne, od pereł i brylantów, szumiące fontanny! Obraz wiosny pełen życia i tylko sobie właściwego czarownego uroku. Na Polach Elizejskich zaledwie przecisnąć się można było, toteż zostaliśmy zaraz na początku i wynalazłszy dobre miejsce do obserwacyi głównej alei tu przez całą godzinę stojąc, najmniej 20 tysięcy najwytworniejszych i przepysznych ekwipażów widzieliśmy, wolno przejeżdżających! Powiadam Ci, że ledwie nie oślepłem od tylu aksamitów, jedwabiu, sreber i złota a między to prawdziwie wspaniałych piękności. Po raz pierwszy zobaczyłem to co żyje w Paryżu o czem nie wiedziałem: że tu także są bardzo piękne kobiety! — Na tyle zbytku pod wszelkim względem nigdy przygotowany nie byłem i wierzę teraz że Paryżów niema więcej na świecie! Nasyciwszy się tem wszystkiem podostatkiem powróciliśmy do domu na obiad... przed chwilą wyszedł Żelo i Popiel, którzy byli na pogadance i pograjce. Tak dzień dziś zakończyłem.

6-go maja.

...Praca zakończona, wyjąwszy kilku poprawek, które mi jeszcze jedno przedpołudnie zabiorą. Myślałem że do południa będę gotów z ostatnim obrazkiem, bo tak mi się już na nim mało roboty wydało, a przecież do tej chwili nad nim siedziałem... Dziś w południe był u mnie P. Chojecki. Pokazałem mu tą razą już wszystkie rysunki... i wiele też pochwał łaskawych usłyszałem... Jutro z rana ruszam z skończoną już Wojną do Gerôme'a aby mu ją pokazać, popytać o zdanie, prosić

o rzetelną i choćby najostrzejszą krytykę... czy Wojna ma jakowąś wartość, czy mi się to tylko wydaje? Jużto właściwie ja wiem sam najlepiej, że prócz myśli, która jest piękna, bo chrześcijańska i postępowa, nic na niej niema. Widać tylko z tej roboty że mam wiele może niezasłużonego talentu, ale mej zasługi jeszcze prawie żadnej. Ale ja sobie powiadam na to, że kto ma talent, i chęć i silną wolę spożytkowania go godnie — jak mówi Pol: po bożemu, — ten ma wszystko, więc dobrą mam zawsze minę i kieszenie pełne... nadziei!

7-go maja, wtorek.

Jeszcze u Gerôme'a być nie mogłem a to dlatego, że ze wszystkiemi poprawkami nie jestem gotów.

8-go maja, środa o drugiej w nocy.

...Dziś zmęczony i bardzo spiący jestem bo najprzód bardzo do późna na wieczorze u Zamoyskiego Gen. bawiłem a potem jeszcze w kawiarni, z kilkoma znajomymi siedząc i zalewając się kawą i wodą sodową, zeszło gdzieś może do 1-szej. ...Cały dzień biegałem za interesami, miałem list od Chojeckiego w którym zaprasza na konferencyę na jutro rano... Na koniec Generał stary zaprosił na wieczór, a więc tam jeszcze poszedłem. Naturalnie jak zwykle tylko w gronie samych znakomitości polskich i francuzkich wieczór zeszedł niezupełnie zabawnie. Był tą razą P. Ryger i Palacky, przewódcy Czechów, co jako demonstracyę przeciw Rosyi możnaby sobie wyłożyć — o innych nie wspominam. Dużo słyszałem komplementów i łaskawych słówek, wiele widziałem próżności ale i zasługi uosobionej... nakoniec, tak jak zwykle najwyraźniej, moją mizeryę! ...Dziś już więcej nic nie powiem...

10-go maja, piątek popołudniu.

...Wyobraź sobie przed godziną Krajewski, przypadkowo zapalając cygaro, podpalił firankę, a że tu one bywają podwójne i u mnie z jakiejś materyi perkalikowej, więc odrazu pochwyciły ogień i w jednem oka mgnieniu z okropnym effektem spłonęły. [Spisałem] się dobrze, bo w tej chwili chociaż ani kropli wody nie było, ogień został ugaszony a tylko koc do nakrywania którym ogień, zdarłszy wszystko na ziemię, przytłumiłem — ucierpiał bardzo. Już to i łapy sobie poparzyłem, mianowicie prawą, ale że nie bardzo, możesz być

uspokojoną, bo przecież piszę... Przed chwilą jeszcze okropnie tu wyglądało... całe okno było przypalone, szyby popękane, cały pokój pełny popiołu i popalonych resztek firankowych...

Ale teraz o czemś innem. Dziś zrana będąc u Gerôme'a, gdzie także sławnego Willemsa poznałem, od niego i od tamtego drugiego i jeszcze jakiegoś francuzkiego malarza usłyszałem bardzo dużo pocieszającego! Chwalili Wojnę i widziałem że nie żartowali sobie...! Mnie też to bardzo dodało odwagi i otuchy i chociaż jeszcze ze dwa dni pójdą na poprawki różne, minę mam doskonałą i w Bogu nadzieję!! Swoją drogą o tem co się teraz z Wojną stanie dziś jeszcze nie piszę, bo troszkę roztargniony jestem i łapa mnie boli, to tylko dziś mi strasznem być zaczyna, że do tej chwili Wojna nie wystawiona jeszcze, a to już 10-ty maja! Czas leci — ale ja pracuję a Bozia na to patrzy, więc zawsze to dobrze wypaść musi! Dziś wieczór, jeśli ręka mnie nie będzie bolała to dokończę Muzykantki do której w domu znalazłem modela.

11-go maja, sobota o północy.

Napracowałem się przez dzień cały, że mnie aż kości bolą ale w Wojnie jeszcze tylko jedną mam poprawkę do zrobienia, a to jest ręka Geniusza na pierwszym małym obrazku, lecz niestety bez modela zrobić jej nie mogę: Jutro choćby z pod ziemi wydobyć muszę rękę dla Geniusza a i biednej mojej Muzykantki, która jak kania deszczu woła... „Rąk i palców daj mi ...bo ja grać nie mogę!“ ...Pojutrze zanoszę Wojnę do Chojeckiego aby ją zatrzymał dni kilka, w celu porobienia podpisów do obrazków, co sam uczynić zobowiązał się. Tymczasem i oprawa będzie gotowa a tak za dni dziesięć może już być na wystawie. Bieda to wielka, że do osiągnienia jakiegoś celu niedosyć jest praca najsumienniejsza i najmozolniejsza; [ale] dużo, dużo innych jest jeszcze rzeczy, które równie tyle trudu i zachodu wymagają. Może być, że jutro polecę z rysunkami na wystawę, pokazać je P. Prezesowi komisyi naszej i namówię do tego aby mi na to miejsca trochę zrobili. Ach gdyby to tylko nie byli Niemcy!

12-go maja.

...Dziś z domu nawet nie wychodziłem ani razu i robiłem nad portretem Julka Tarnowskiego, którego skończę już za dni kilka. Przypo-

mniałem sobie znowu trochę malowanie i cieszę się żem tego zupełnie nie zapomniał i owszem, nawet wcale dobrze z tem obejść się mogłem. Jest tu brat jego Jan Tarnowski, toteż przy sposobności będzie go mógł zabrać.

13-go maja, poniedziałek.

Dziś jedno oko [mnie] boli... Ale to zdaje się kataralne i przeminie prędko. Najgorsze to, że nie uważałem na to już przed dwoma dniami, kiedy zaczęło mi się trochę zamgliwać i nie przestałem przynajmniej wieczornych rysowań. Teraz gorzej — ale wiesz, [piszący] uparty... więc sobie nic z tego nie robił a teraz musi cały dzień z przewiązanem okiem chodzić, jak niedźwiedź w klatce i nudzić się.

14-go maja, wtorek.

Wczoraj już miałem list wrzucić do skrzynki pocztowej, kiedy sobie przypomniałem, że mój dopisek po połowie po omacku napisany, może Cię zmartwić albo i przestraszyć. Nieodesłałem więc... wolałem poczekać do dzisiaj.. I... oko już znacznie lepiej a dowodem tego moje prześliczne pismo!...

Wieczór mieliśmy „Rachunki“ Kraszewskiego i przeczytaliśmy z nich niektóre ustępy. Krytyka o obrazach, niestety, słaba dosyć, więc też i to pochlebne co o mnie powiedziane, niebardzo mnie ucieszyło. Już to wogóle krytyków o dziełach sztuki malarskiej jest u nas brak wielki a ci uprzywilejowani mogli by też sobie darować.

Dziś zrobiłem jedną prześliczną postać z „Alkadara“ Nastusię, co przeznaczam na pamiątkę dla Chojeckiego. Jutro zaniosę mu to z „Wojną“, do której Legendę przyobiecał mi napisać.

Nie pytaj co się zresztą stało dla naszej najbliższej przyszłości, bo tak jak pierwszego dnia po dokończeniu obrazów, tak i dziś powtórzę — że niedosyć jest być pilnym i dzień i noc pracować — nie, trzeba być jeszcze do tego zimnym jak marmur i twardym jak stal hartowna, aby spokojnie iść dalej i nie rozczarowywać się na każdym kroku!...

17-go maja, sobota.

Pewnie gniewasz się na mnie bo... spóźniam się z moim listem, ale miałem do tego, niestety, bardzo dużo powodów... doprawdy, by-

łem [na oko] taki słaby, że pisać nie mogłem... Ale to nie wszystko — nietylko fizycznie... bo [i] moralnie należało [się] do bardzo niezdrowych a przynajmniej do takich co ze stanu swojego zupełnie nie są zadowoleni. Wszak wiesz że „Wojna“ skończona — tylko o oprawienie i wystawienie jej chodzi — a że taka oprawa, chociaż najskromniejsza, dla samej ilości obrazów, wielki stanowi wydatek, na który niestety kasa moja zdobyć się nie mogła, więc ja [ufny] w przyjaźń i chętną pomoc ludzi, tam gdzie chodzi o poratowanie uczciwego przedsięwzięcia, nie przypuszczając odmowy, udałem się do ludzi zamożnych i dla mnie bardzo serdecznych, prosząc tylko o ich gwarancyę u oprawiacza na dwa miesiące. Pojmiesz moje zdziwienie a potem wielkie zniechęcenie, gdy mi w dwóch takich serdecznych miejscach odmówiono, zastawiając się zawodami, jakich na innych biedakach doznali. Cóż miałem robić? W pierwszej chwili byłem jak zwykle, zły jak pies — a potem powiedziałem sobie, że teraz trzeba zapracować osobno na ramy i kwita... bo inaczej ani do ram ani do wystawy nie przyjdę... Ale jak pomyślę, że ram jeszcze nie mam, to [bym] buczał ze ...złości!!!

...już tak dawno jak [Was] opuściłem! — Od tego czasu już mrozy przeszły, śniegi stajały, trawy zazieleniały: kwiaty rozkwitły i zapachły i słońce rozweselało i Maj przyszedł i cieszy i raduje całe stworzenie — och! dużo dużo już minęło i nastało od tego czasu!

ARTHUR GROTTGER.

Listy Adama Mickiewicza
do Eustachego Januszkiewicza.

Stosunki Mickiewicza z Januszkiewiczem i znaczenie księgarza wydawcy w literaturze emigracyjnej podałem już w Lamusie (R. 1909, str. 440). Obecnie dodaję kilka listów Mickiewicza, przechowanych w pamiątkach rodzinnych Pani Konstantowej Popielowej, córki ś. p. Eustachego Januszkiewicza, której za pozwolenie korzystania z autografów poety serdeczne składam dzięki.

Tylko pierwszy z listów wymaga dłuższego objaśnienia. Następne są śladem krótkich wymian myśli w Paryżu i przydadzą się z czasem do kompletnego wydania krytycznego listów Mickiewicza.

Mickiewicz spędził wiosnę, lato i jesień 1836 r. z żoną i dzieckiem w wiosce Domont, niedaleko Paryża. Słynny rzeźbiarz David d'Angers miał tam domek letni, pustką stojący, a widząc, jak trudno poecie polskiemu wyżyć z rodziną w drogim Paryżu, nakłonił go jako przyjaciel, do zamieszkania na wsi, gdzieby przynajmniej mieszkanie miał za darmo, a życie bez porównania tańsze.

W owych latach twórczość Mickiewicza osłabła. Gdy natchnienia poetyckiego wśród ciężkich trosk materyalnych zabrakło, zwrócił się do prozy, miał zamiar w Domont dalej pracować nad rozpoczętą Historyą polską, ale i to przychodziło z trudnością; pisał wtedy do Odyńca 18 lipca 1836 r.:

„Ja piszę, albo raczej pisałem Historyą, ale na pierwszych rozdziałach zawisłem i stoję na miejscu.

...mnie dokucza drukarnia o skompletowanie tomu ósmego, który jest tylko przedrukiem dawnych rzeczy, ale mi trudno na kilka ćwiartek zdobyć się i druk przez to zatrzymał się i spoczywa".

Druk tego ósmego tomu doprowadził do końca wielki wielbiciel Mickiewicza, przyjaciel jego i znany na emigracyi księgarz-wydawca, Eustachy Januszkiewicz.

Do ósmego tomu weszły wiersze różne, a na samym końcu umieścił Januszkiewicz „Zdania i Uwagi z dzieł Jakóba Bema, Anioła Ślązaka i St. Martena". Na tych to właśnie „kilka ćwiartek" trudno się było zdobyć

poecie w Domont i o nie właśnie „dokuczała“ mu drukarnia. Wreszcie otrzymał je Januszkiewicz, a z wdzięczności dla swej narzeczonej, panny Eugenii Lariss, która oddała ważną przysługę Mickiewiczowi [1]), posłał jej autograf „Zdań i Uwag“. Autograf ten przechował się w bibliotece pana Konstantego Popiela. Do autografu przyszyty jest list nieznany Mickiewicza; na autografie zaś „Zdań i Uwag“ napisał Eust. Januszkiewicz ciekawe dla nas wyjaśnienie.

List Mickiewicza jest bez daty i brzmi tak:

Szanowny Panie Eustachy. Posyłam maxymy dla zbudowania ciebie i tomiku. Ostrzegam, że werset pod tytułem *Pax domini* ma być drugi z porządku i iść po wersecie *Rzecz zaniedbana,* a zaś werset pod tytułem *Reszta prawd* ma być ostatni.

Sceny z Don Karlosa w żaden sposób nie mogę i niewarto drukować, bo tchnie duchem luterskim i uszłaby w całej Tragedyi, a odrębnie ma minę satyry.

Ja będę w tych dniach w Paryżu i zrobię korrektę.

Twój Adam.

Autograf Zdań i Uwag składa się z trzech luźnych arkusików papieru złożonego w format t. zw. listowy (21·1 cm. × 13 cm.). Papier jest cienki, bez znaków wodnych, gładki, jasno-zielonkawy. Wersety: „Dwa Światy“ i „Majestat dusz naszych“, będące na końcu autografu, ktoś wyciął, widocznie na prezent, tak że z ostatniej kartki u góry brak papieru (6 cm. × 12·5 cm.). Reszta dochowanej ostatniej kartki jest niezapisana.

Arkusiki są ponumerowane przez Mickiewicza. Na pierwszej stronicy dał poeta tytuł: Zdania i uwagi | z dzieł | Jakuba Bema, Anioła Śląza | ka (Angelus Silesius) i Sę-Martena.

Resztę stronicy wypełnił Eustachy Januszkiewicz następującą wiadomością:

„Wiersze te umieszczone zostały w ósmym tomie poezyi Adama Mickiewicza (wydania paryzkiego). Druk tego tomu rozpoczęty we wrześniu 1835, zaledwie dzisiaj dnia 20 października 1836 ukończony został. Czekano na przysłanie z Drezna tłumaczenia części Fausta Göthego, ale rękopis zostawiony u Tedwera, po jego śmierci z innymi papierami opieczętowany został.

W tych 8-miu tomach znajdują się wszystkie poezye Adama, gdziekolwiek drukowane, wyjąwszy sceny z Don Carlosa, na której drukowanie nie zgodził się. Czego w nich niema to dowód że nie jest pióra Adama.

Ostrzeżenie to posyłam z manuskryptem do biblioteki Eugenii. Paryż 20 października 1836. 17 Marais St. Germain“ [2]).

---

[1]) Ob. dzieło Wład. Mickiewicza: „Żywot Adama Mickiewicza“, Poznań 1892, tom II, str. 371.

[2]) Ob. pismo zbiorowe dobroczynne p. t. „Na Ruiny“, wydane w Sandomierzu 1907 r., str. 46—9.

II.

[Ćwiartka papieru grubego, zmiętego, bez wodnego znaku].

Szanowny Panie.

Jeżeli nie jesteś nigdzie proszony na jutro, przyidz do nas na obiad, ale złow także Ropelewskiego [1]) i Szemiotha. [2]) Bo po jutrze już trudno będzie nam zebrać się i post zaczyna się. Może też Jendyk ów także nas nawiedzi — Gdybyś nie mogł być u nas, odpisz albo przez naszego posłańca, albo umyslną sztafetą, bo żona nie chce naprozno obiad wyprawiać.

Po obiedzie Boston.

Życzliwy słu[ga]
Adam Mickiewicz.

[Na odwrocie:] Monsieur Monsieur Eustache Januszkiewicz
Rüe de l' Echaudée No 9—8?

III.

[Duża ćwiartka papieru białego, cienkiego, bez znaku wodnego].

Bracie Eustachy. Mam za własciwe, żebyś przesłał Romualdowi [3]) kopią uwiadomienia o Pilchowskim, [4]) artykuł Demokraty i kopiją pisma Kołyszki. [5]) Nie dodawaj nic od siebie, ani uwag ani rozumowań. Jeślibyś co miał od siebie pisać, to osobno zrobisz pozniej. Artykuł i pismo Koł. możesz wziąć u mnie. Adam.

[na odwrocie:] Monsieur Monsieur
Eustachy Januszkiewicz.

IV.

[Ćwiartka papieru listowego o znaku fabrycznym: BATH. Bez adresu].

Bracie Eustachy. Nie wiem, czy kto buntuje siostrzeńca Antoniego, ia go nie buntowałem. Nie wiem, czy kto ucieka od Pana Anto-

---

[1]) Stanisław Ropelewski, głośny krytyk na emigracyi.
[2]) Franciszek Szemioth, filaret-emigrant, wielki wielbiciel Mickiewicza.
[3]) Bratu Eustachego Januszkiewicza.
[4]) Mowa o Sewerynie Pilchowskim, towiańczyku, który zdradził sprawę i przeszedł na stronę Mikołaja i schizmy. Mickiewicz ogłosił to w piśmie emigracyjnem Demokrata Polski, dnia 27 sierpnia 1846 r. Do tego czasu odnosi się i list powyższy. — Ob. Współudział A. M. w sprawie Towiańsk., t. II, str. 43—44.
[5]) Adam Kołyszko, poseł z Upity, towiańczyk.

niego,[1]) ja go ani szukam ani od niego uciekam. Gawędzić długo i próżno ani z nikim niemam obowiązku. Twoje uwagi o druku rozważymy. Czy zaś ciekawi na to, czy nie to do mnie nie należy, a czy prędzéj czy pozniéj pismo wyidzie, nie wiemy.

Bądź zdrów — wstąp kiedy do mnie, wieczorami jestem często u siebie. Za Elementarz dziękuję. —

[Bez podpisu].

V.

[Ćwiartka papieru listowego gładkiego, bez zn. wodn., bez adresu].

Nie zapomnij, proszę, że jutro (9) we czwartek o pół do ósmej wieczorem mamy muzykę. Bądź też łaskaw daj znać P. Szemiotowi. Czekamy.

8 środa 1854. A. Mickiewicz.

VI.

[Mały arkusik papieru listowego gładkiego bez znaku wodn., bez adresu].

1854 Wielki piątek.

Mam święcone dla dzieci u siebie, nie będę więc w Klubie. Za twoią pamięć tak stałą bardzo Tobie wdzięczen życzę wszego dobrego i Tobie i Twoim na święta i po świętach.

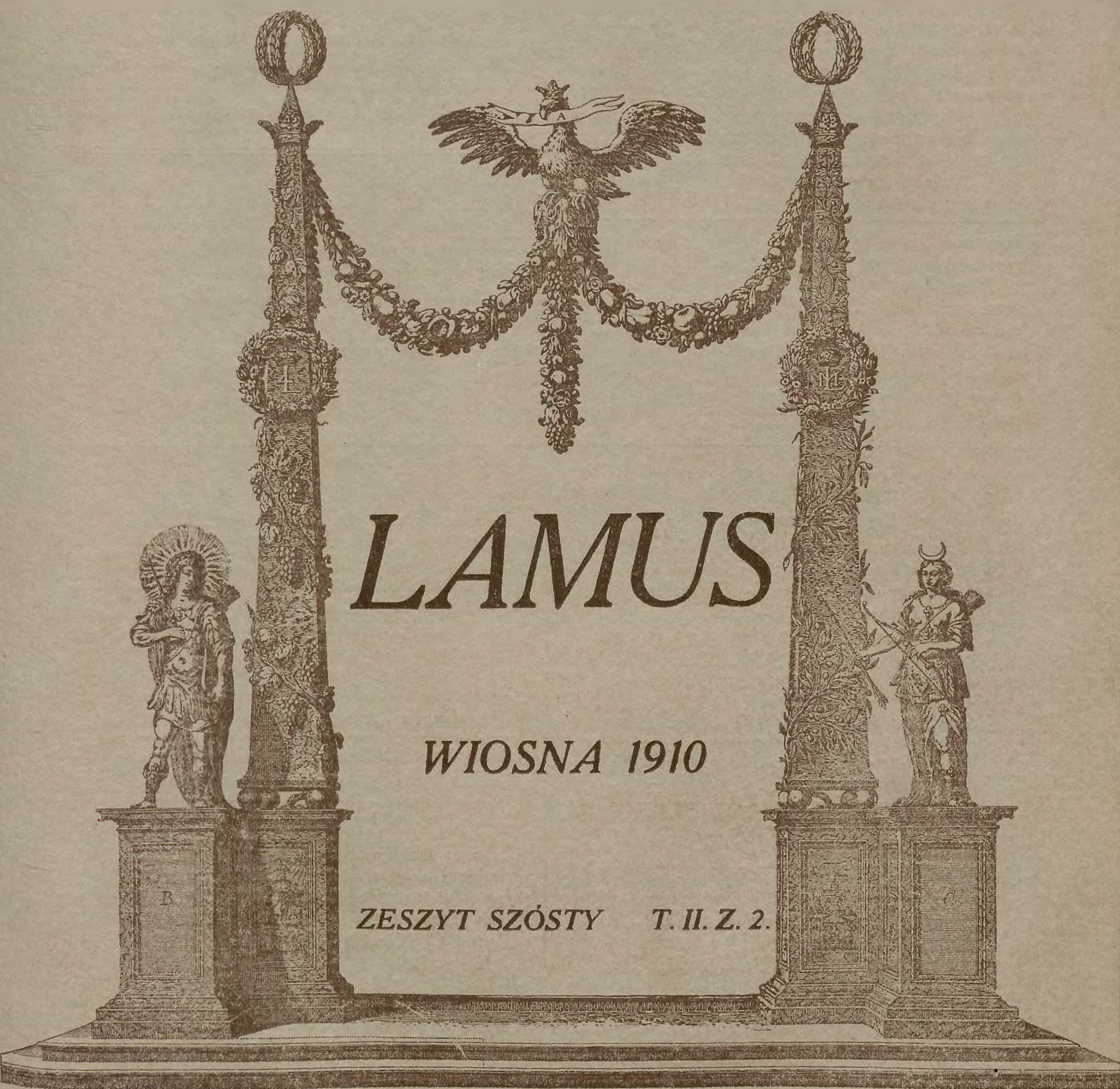
Rodzinę całą pozdrawiam. A. Mickiewicz.

* * *

Podał Józef Kallenbach.

---

[1]) Zdaje się, że mowa tu o Antonim Goreckim, z którym zaszły nieporozumienia z powodu Towiańskiego.



REDAKTOR: MICHAŁ PAWLIKOWSKI, LWÓW - TRZECIEGO MAJA 5. WŁASNOŚĆ REDAKCYI.

NAKŁADEM A. ALTENBERGA I J. MORTKOWICZA * SKŁADY GŁÓWNE: ALTENBERG LWÓW, CENTNERSZWER WARSZAWA.

TREŚĆ ZESZYTU SZÓSTEGO.

TREŚĆ ZESZYTU PIERWSZEGO.

TREŚĆ ZESZYTU DRUGIEGO:

Część pierwsza — Dzisiaj.

Świt.

Przedziwne są brzegi Leny — zwłaszcza w jej średnim biegu u wpadu rzeki Jelikty, gdzie jej wody przeczyste roztaczają się na wiorstę wszerz i więcej i mienią się olbrzymiem zwierciadłem na podobieństwo zatoki... Fioletowa ściana skał wapiennych obejmuje tę masę wód zakoleniem łagodnem od wschodu, a zasię na południe i ku zachodowi równo od zwierciadlanej krawędzi ściele się step nieprzemierzony: roztocza o bujnych trawach, łąki o wszystkich barwach jakie są na ziemi, wśród nich stawy trawskami zarosłe, jeziora lśniące na parę wiorst rozlane, mokradła z kępkami drzew, laski rzadkich brzóz i limb potraconych — równień przerozmaita, błękitem oddalenia na zachodzie o fiolety skalnego pobrzeża rwącej Jelikty oparta, a na południu o stopy zmroczniałej, w omgleniu słonecznem szarzejącej tajgi...

Przedziwny kraj... Gdyby nie sroga syberyjska zima, która ścina w lód błękitne wełny Leny i śmiercią mroźną wszystko żywoistne na długie miesiące przysiada, obraz tej okolicy pozostałby niemącony we wspomnieniu zesłańca, gdy go od niej setki mil szczęśliwie dzielą, jako jeden z najcudowniejszych obrazów południa... Za to lato, choć krótkie, tem zawzięciej rozkuwa z kajdan zamrozu śpiące życie, wywołuje z ziemi nagle rozpalanej kwiaty o stroju niesłychanym, ciska na obudzone bogactwo barw, oswobadza na radość życia wszelkie stworzenie tej ziemi, ściąga chmary przeróżnostrojnego, różnymi głosy krzyczącego ptactwa... Krótki — między długimi letargami zim — krzyk i płomień życia.

W jedno takie płomienne popołudnie po wysokim, wschodnim brzegu Leny przeciw jej biegu niósł czarny konik tunguski Wacława, jednego

z owych wielu, którzy na tę Riwierę syberyjską podróżują „etapami“. Jeździec uzbrojony był w długą strzelbę i nóż, jakich myśliwi tunguzi używają. Dumnym był ze „swego“ konia, z nabytej od tunguza broni, i z przyjemnością prawdziwą myślał o tym zawodzie swobodnym, który od półtora roku z powodzeniem korzystnem uprawiał. — Jeden niedźwiedź, którego przy pięcio-osobnej obławie położył, trzy jelenie, łoś, pięć rogaczy, setki gęsi i kaczek jako też drobniejszego ptactwa, które czasu różnego ustrzelił, ugruntowały sławę jego myśliwską w „komunie“, jak ideowo zwali swoją grupkę, osiadłą na „czasowy pobyt“ w nadbrzeżnem tunguskiem siole. — Zważywszy, że z całej „komuny“ nikt prócz Wacława nie był sposobnym do myśliwskiego rzemiosła — próby, jakie przedsiębrało paru, miały nieszczęśliwe skutki — rada komunalna na niego włożyła obowiązek dostarczania zwierzyny i ptactwa do wspólnej kuchni. Zgodził się ochotnem sercem, jako że wałęsanie odpowiadało jego próżniaczej, a przedsiębiorczej naturze; mógł też przy tem zajęciu dniami całymi przebywać poza siołem i nie widzieć aż do mdłości uprzykrzonych twarzy towarzyszy.

Z początku „komuna“ zapowiadała się świetnie. Ludzie, wyrwani z samotnictwa, szczęśliwi już byli przez to, że się mogli wygadać. Do wspólnego dobra składali prócz materyalnego mienia swoje najlepsze strony: humor, uczynność, ustępliwość, nawet nierzadko delikatność uczuć. Wspólne obrady np. nad kwestyą obiadów odbywały się tak zgodnie, jakby wszyscy od urodzenia w komunie wyrośli. Wkrótce jednak harmonia poczęła się psuć. Za duże były różnice wyrwanych z różnych światów ludzi, iżby je podobieństwo losu mogło stłumić. Indywidualne zdania, przekonania poczęły się ze sobą ścierać i ze słownych utarczek poczęły się wyradzać kłótnie. Dopieroż gdy przyszły na stół programy i „principia“!... Partye, z których każda miała tu jednego przedstawiciela, znienawidziły się tak, iż ledwo obiad je łączył. W nienawiści pożywali każdy kęs daru bożego. Stronili od siebie, jakby jeden na drugim oznaki trądu odkrył.

Był przecie jeden moment... Wacław uśmiechnął się mimowoli na przypomnienie tej chwili. — Było za siołem nieopodal wzgórze, zkąd roztaczał się widok na daleki zachód. Tam to nieraz tęsknota go wywoływała. Stoi raz, zapatrzony na czerwień zachodu — słyszy szmer — obziera się — a tu się wlecze jeden z „komuny“, później drugi, trzeci... I tak, stroniąc od siebie, na jednem Wzgórzu Tęsknoty wszyscy się naraz znaleźli. Wstyd ich przed sobą przejął — każdy starał się jakiś bardzo racyonalny powód swojej obecności podać. Później już każdy inne godziny dnia na to wzgórze wybierał. — Był tam cmen-

tarz zesłańczy: kopców kilkanaście, brzózek parę i jeden krzyżyk drewniany na mogiłce, na ramieniu którego wycięty był dwuwiersz — słowa jak ten krzyżyk proste—:

„Spiej dietia — żyźń taska“ *)

Takie proste, a wszystko mówiące. Wryły się na zawsze w pamięć Wacława, jakby na sercu jego były wycięte. Coś blizkiego bardzo, ojcowskiego słyszał w tym cztero-słowie. Nieraz, upewniwszy się, czy żaden z towarzyszy nie nadchodzi, padał na tę mogiłkę i szlochał, jakby najmilsza jego dziecina była pod tym krzyżykiem schowana. A gdy zorze czerwone na zachodzie gasły, męką tęsknoty biegł za niemi przez ziemie-kraje aż ku Wiśle...

Ścieżyna nieznaczna wśród fioletu wapienia, odbita ledwo parę sążni od ściany prostopadłej brzegu, podnosiła się ku górze. Koń szedł przemyślnie po ślizkiem oskalu i umiejętnie omijał zdradliwe rozpady.— Wacław z czułością pogłaskał jego szyję. Zalety jego niezwykłe miał już sposobność poznać. Nabyto go przed dwoma laty od tunguza-sąsiada za pieniądze komunalne. Był więc własnością „komuny“. Na nim odbiła się najwięcej niezgoda jej członków, bo każdy rościł sobie na różnem uzasadnieniu jedyne prawo do niego, każdy chciał na nim jeździć. Koń biedny tracił czasem swoją oryentacyę, myśląc ze smutkiem, że jest osłem. Mimo to jednak, że dźwigał na swym grzbiecie różnymi czasy tyle kłócących się ze sobą niegramatyczności: es-erów dwóch, es-deków kilka gatunków, bundowca-Jozuę i oburęczną P. P. S.— nie stracił jeszcze rumaczych zapędów. Odkąd zaś Wacław z racyi swego myśliwstwa zaanektował jego grzbiet dla siebie, koń wracał prędko do swych cnót tunguskich.—Niósł lekko po trudnej ścieżce, jak za dawnych czasów. Wkrótce wydostali się na wzniesienie.

— Jakże pięknie! — wyrwał się głośny zachwyt z piersi jeźdźca, gdy rzucił oczyma na lewy brzeg... Wstrzymał konia i patrzał.

W międzywidlu przestrzennem, jakie utworzyła Lena z wpadającą do niej na północnym zachodzie Jeliktą, której wał piany srebrnej przy wpadzie ze wzniesienia widać było, rozścieliła się cała tęcza barw — od piasku różowego przy brzegu, aż do błękitu oddali... Słońce, wiszące na połowie zachodniego skłonu, zalewało całą dolinę pyłem świetlistym, który zamgliwał one pasma tęczy i zacierał granice barw... Kępki drzew i rzadkie laski wyglądały w tem omgleniu, jak

*) Śpij dziecię —
Tęsknotą bowiem jest życie.

zatopione w jeziorze różowem majaki drzew i lasków. Jedynie tafle bliższych stawów, smugi dalszych i linijki najdalszych jezior błyszczały na tej przestrzeni jako odstrzelenia słońca. — A zaś od stóp wzniesienia roztaczały się szeroko wody Leny, daleko widoczne na południe, jako jeziorna zatoka. Na ruchliwych, szerokich falach łamały się zwierciadła barw — od granatu ciemnego, aż do zieleni jasnej i opalu. Czasem ponad majestatem wód, niby słoneczny pocisk, przestrzeliła powietrze rybitwa. Zresztą prócz głębokiej, tajemnej mowy fal nic nie mąciło świętej ciszy światła. — Na dalekiej łące na południu widać było zdrobniałe oddaleniem stado pasących się swobodnie, połyskliwych koni.

Zachwyt Wacława, gdy wzrokiem ten obraz chłonął, zamącał jedynie żal, że nie ma obok siebie nikogo z najbliższych, z kimby mógł radość podzielić, ani dłoni drogiej, którąby mógł w milczeniu uścisnąć.

Nim ruszył dalej, pomknął jeszcze spojrzeniem wzdłuż lewego pobrzeża na południe, gdzie na krańcu równiny obok światła wód tlił się punkt czerwonawy, jak iskra przygaszona.

— Daleki jeszcze trud do chaty Jana. Dopiero połowa drogi. — Porachował w myśli wiorsty. — Przed wieczorem dojadę.

Ścieżka sprowadzała po schyleniu — brzeg się nieznacznie poniżał, i o parę wiorst dalej wychylał się jego przekrój dłużny zaledwie parę sążni ponad wodę. Natomiast na lewo od drogi wydźwigiwały się zbocza, pokryte przerzedzonym lasem, z których wyskakujące gdzieniegdzie skały i ściany wapienne spychały ścieżkę ku samej krawędzi lądu.

Droga wiła się znacznie; to zbliżała się ku wodzie na wapienne bruki, to odchylała się na trawiaste łączki, gdy zbocza stopy swe cofały i rozszerz czyniła się większa. Mimo to Wacław wciąż przed oczyma miał świetliste wody, zwężające się ku południowi, i różowy pas lewego brzegu.

Kotlinę tę przestrzenną na południowym zachodzie, gdzie gasło światło rzeki, zamykało zsiniałe pasmo gór, które dziwny cień rzucało na radość całej doliny; nawet przez gęstą śreżogę słoneczną przedzierał się zwycięzko czarny smutek tajgi... Nieznacznie jako mgła wdychana wsączał się w chwilą upojone serce — i duszy dziwnie się widziało, czemu gaśnie jej radość, dar słońca.

Napróżno Wacław mknął oczyma po barwach wód, mieniących się pod czerwieniejące już słońce tęczami, jak roztoczone skrzydło archanioła, napróżno włóczył spojrzeniem po spłomienionem pobrzeżu lub dźwigał je ku zorzom nieba — nie wróciła radość zagaszona.

— Żyźń taska... — dzwonił smutek tajgi. —

— Więc to jest ten ptak czarny, nieodłączny towarzysz zesłańca?... Przez sto zdradliwych sideł, misternie rozumem utkanych, jak przez pajęcze siatki się przedziera — z oddali szczęsnej zapomnienia gołębiem pamiętającym z wieścią okrutną niechybnie na czas przybywa — naprzeciw słońca i duszy darzonej chmurą trwożącą zawisa — każdą chwilę radosną skrzydłem czarnem jako liść wiatrem porywany zwiewa — jako krzyk mewy zbłąkanej we wichrze jest jego krzyk rozpaczny, wywołujący ze życia — jedynie na mogiłę zlatuje pełen współczucia, litośnie skrzydłem zimną darń ochładza, wiew jego jest jako szept matki:

— „Śpij dziecię"...

— O ptaku-smutku! O ptaku-tęsknoto! O duszo-tajgo szumiąca!... Zwoływał wszystką wolę, wszystkie potracone światła, aby nie dać serca w szpony smutku, który go nieraz na długie dni obezwładniał. Nawodził na pamięć różne przydarzenia, wyraźne sprawy, ludzi...

Począł w końcu z zajęciem myśleć o najbliższym na tej przestrzeni osobniku, o starym Janie-rodaku, który mieszkał w samotnej chacie na krańcu rozwidla, na lewym brzegu rzeki. U niego zwykle miewał nocleg, gdy w tych stronach polował. — Stary lubił myśliwych; sam nie mogąc dla starości używać z pożytkiem strzelby, radami doświadczonemi im służył: jakie wybierać miejsca na zasiadkę, którymi szlakami zwierz grubszy chadza, gdzie go najlepiej podejść itd. W zamian za życzliwe rady i gościnę myśliwi zostawiali staruszkowi zawsze jakąś część upolowanej zwierzyny.

Miesiąc już, jak starego nie widział. Jak go też przyjmie? — Stary dziwaczał czasem. Nachodziła go chandra — wtedy zamykał się w chacie albo zaszywał się gdzie w tajgę i tygodniami się nie pokazywał. Nie dziwota — w tej pustelni mógł zdziwaczeć na dobre. Wszakże i on sam, młody, miewał takie psie czasy. Było — gdy zima zdawała się w nieskończoność trwać (a mieszkał wtedy osobno w chacie starego przybysza-tatara) — kładł się na piec, naciągał skóry na siebie i leżał tak tygodniami bez nijakiej zgoła myśli. Nie miał nawet woli jeść — tyle, co go przymusili. Często gospodarz, poczciwy stary Osman, chcąc wyrwać go z tej martwoty, siadał na trójnożku naprzeciw z flaszką wódki w ręce i kusił go, namawiał oczami i giestem. Napróżno. Nie dawał się skusić. Osman już wtedy kiwał ze zwątpieniem głową i odchodził przygnębiony.

— Och ta okrutność zim!... Długoż to jeszcze?...

Uczuł, że znowu szpony po serce jego sięgają. Począł więc pilnie

myśleć o celu podróży. Jeleń napewno się trafi. Schodzą w tym czasie z tajgi ku jeziorom. Ptactwa moc. Posiedzi z tydzień w chacie Jana. — Pomacał się po kieszeniach. — Herbata, cukier jest — stary to lubi.

— Czemu on tu siedzi w tem odludziu? Nic go przecie nie więzi. Dawno już wolność ma. Chyba starość...

Zbliżył się tak, jadąc wciąż ponad wodę, że mógł już dach i ścianę chaty na przeciwnym brzegu, choć w oddali, rozeznać.

— Czy go tylko zastanę? — pomyślał. — Czy nie poszedł gdzie w górę rzeki za rybkami? Na s i g ę staruszek łakom, a ta się bardziej górnej wody trzyma.

To przypuszczenie strapiło go. Musiałby noc spędzić na prawym brzegu, co żadnego nie przedstawiało powabu. Łódek na tej stronie niema...

Wpatrzywszy się, zauważył pasemko dymu, wysnuwające się z przed chaty. Więc stary jest. Chwała Bogu. Popędził żywiej konia.

Słońce prawie spierało się na widnokręgu krwawem kołem, kiedy dojechał celu. Z brzegu widać było wyraźnie chatę naprzeciw i dwóch ludzi przed progiem, pomniejszonych znacznie oddaleniem.

Podniósł się na strzemionach, przyłożył dłonie do ust i huknął w stronę chaty. Lecz głos przepadł zaraz przy brzegu, jak plusk kamyka — połknęły go olbrzymie nurty. Chwilę stał, zawiedziony, myśląc, jaki dać znak o sobie. Wtem zauważył, iż jedna postać odrywa się od chaty, zdąża nad brzeg, przystaje i, przyłożywszy dłoń do czoła, patrzy ku niemu.

— Kochany stary — szepnął. Porwał czapkę i począł nią machać ponad głową.

Za chwilę łódka przecinała w poprzek fale Leny, kierując się w stronę jeźdźca.

Wacław tymczasem zlazł z konia, zdjął z niego siodło i poklepawszy go po szyi, puścił go na wolną paszę. Gdy zeszedł nad wodę, łódka już była blizko. Widać było wyraźnie postać przewoźnika. O twarzy spalonej słońcem i mrozami, o długiej, białej brodzie, z poważnymi ruchami ciała i rąk, gdy wiosłował, na tej szerokiej wodzie, krwawymi blaski zapalonej, wyglądał jak przewoźnik Charon.

Niezadługo Wacław znalazł się przy nim na łódce. Przywitali się serdecznie.

— Co słychać, ojcze Janie?

— Chwalić Boga. Wszystko po staremu. Rodak zapewne po zwierzynę?

— I to po duży zapas.

— Czas dobry. Może się udać. Wiem ja o jednem miejscu...

— Tam, gdziem był ostatnim razem?

— Nie, w innej stronie. Zwierz co jakiś czas zmienia drogę. Ma i on swoją rachubę.

— Miesiąc to już, jakeście mię, ojcze, przewozili. Nie zdarzyło się co tymczasem?

— Cóż się tu może zdarzyć? Ot, może być takie zdarzenie, że rodak stanie nad wodą, i nie będzie go miał kto przewieźć. Stary już nie wyjrzy przed próg.

— Czerstwiście jeszcze, ojcze.

— Duch spróchniały. Zatem i ciało się rozsypie.

Byli już na połowie wód. Chata się przybliżała.

— A któż u Was w gościnie?

— Moskal, posieleniec.

— Ach ten... Czegóż on?

— Wojenne prawo dla wszystkich. Czas dobry. Przybył zapolować.

— Ja chyba pójdę sam na zasiadkę...

— Lepiej razem: wiedzieć, gdzie on... Tunguzi mówią — zniżył głos — że on niby przypadkiem, trafiało się, i myśliwego ustrzelił. Jemu to nic. Jak ślinę przełknąć. Na zbrodniarza on patrzy.

Wkrótce znaleźli się na brzegu. Stary z pomocą Wacława wyciągnął łódkę na piasek. Podeszli ku chacie, gdzie przed progiem tlił się złożony ogień. Brodacz leżał na ziemi koło ognia. Za ich nadejściem podniósł głowę i odmruknął coś na przywitanie.

— Rozgośćcie się, — rzekł Jan — a ja pójdę popatrzyć w saki, czy się co nie złapało. Wędzona rybka na lecie nie ma smaku.

Wacław wręczył mu przyniesione skromne zapasy herbaty, cukru, soli.

— Ho! to dziś prawdziwe święto — ucieszył się staruszek i dziękował. Poczem udał się ku wodzie.

Wacław usiadł przed chatą na kawałku drzewa. Miał przed oczyma wody Leny i przeciwległe zbocza, płatami lasu i trawą pokryte z rzadkimi zciosami skał wapiennych.

Równinę cień począł zasnuwać. Światła na wodzie krwawe zagasały — fale na szerokich grzbietach poczęły przybierać szklące jak smoki połyski przy czarnych zgurbach cielsk.

Zbocza jeszcze były w promieniach słońca. Trawy i płaty lasu złociły się bogato, a łby wapieni płonęły, jak olbrzymie fioletowe ogniska. Wreszcie i od stóp zboczów począł cień nieznacznie a szybko

iść ku górze — niezadługo czubki jeno paliły się jak włosy płomieni — i te zgasły. Zmierzch począł szybko zapadać.

Wacław zbliżył się do ognia.

— Towarzysz na kaczki? — zagadnął leżącego, nie wiedząc, czemu go towarzyszem nazwał.

— Co się zdarzy.

— Pójdziemy razem o świcie.

— Jak wola pańska — odparł brodacz, kładąc nacisk wyraźny na ostatnie słowo.

Jan wrócił, niosąc na naręczu snopek gałęzi, w ręku pęk związanych ryb. Wkrótce ogień buchnął jaśniej, podsycony suchemi gałęziami. Gospodarz, ustawiwszy nad płomieniem kociołek z wodą, począł na odgarnionych węglach piec z powagą przyniesione ryby.

— Siga najbardziej lubi ogień — prawił. — Wędzona lub suszona nie różni się od innych. Te nieduże. Czasem trafi się na łokieć i więcej.

Obracał je umiejętnie, obwąchiwał, czy już mają dość, wreszcie układał je na skrzyżali cienkiej i stawiał przed gośćmi. Sam spożył jedną. Poczem herbatę rozlewał. Gościom podawał w szklankach, sam zaś pił w okrągłej chińskiej czarce, która prawie w dłoniach się mieściła.

— Do szklanki — mówił — nie mogę się przyzwyczaić. Czarka ma tę zaletę, że, choć gorący czaj, nie parzy. Chińczyki oni to wiedzą.

Po skończeniu wieczerzy, wycierając szklanki, zwrócił się do siedzących:

— No, panowie. Wojenne prawo. Czas spać. Musicie ruszyć, nim dnieć zacznie, chcąc być na miejscach przed świtem.

Brodacz odsunął się od ognia i, owinąwszy się w szynel, począł wkrótce chrapać.

Jan dawał rady Wacławowi:

— Pójdziecie brzegiem starego koryta, potem przez łąki i mokradła. Tak rozumem kierujcie, coby na groblę natrafić. Przechodziliście tamtędy. Jak staniecie pod lasem, wtedy Moskala na prawo, a sami przejdźcie przez wzniesienie na kraj doliny, nad jezioro. Tam raj na ptactwo. Tajga też zaraz na lewo. Jeleń o świcie rad zlatuje ku wodzie... a teraz niech się rodak przespi.

— Coś chciałem się was, ojcze, spytać... Czemu do kraju nie wracacie?

Stary cisnął ku niemu spojrzenie trwożliwe, przygarbił się i milczał. Dłoń mu tylko poczęła się trząść, w której trzymał wytartą szklankę.

— Przecie was tu nic nie więzi. Wolny przed wami szlak...

— Dużo rozpowiadać.

— Długoż wy tu już, ojcze?

— Czterdzieści lat.

— Kęs czasu...

Stary pomilczawszy chwilę począł:

— Do kraju, powiadacie... Czekał ja tej chwili, jak zbawienia. Tą jedną myślą żył. Lata mijały. Różnie było. Aż przychodzi wieść: amnestya. Jaki taki zbiera uciułany grosz, pakuje się i wraca. Wielu jednak tu się już zagospodarzyło, rodziny pozakładało, ba, profesye haniebne, ot, ludziska. Tęskni, tęskni — powiada — a potem wychodzi świnia. Jak na ten przykład ten... znacie — Kabak założył, handluje, wódką rozpaja ludzi, lichwiarzem się stał na okolicę. Mówię o tem ze smutkiem, bo i ja sam... Więc jak nadeszła ta wieść, tak ja dumam... Rodziny ja tu nie miał, nic mię tu nie trzymało, ale po prawdzie nie było o czem wracać. Co lepsze, to ucieka — ledwo samym na powrót starczy — a iść o pomoc do tych, co dobrowolnie tu zostają... Wiadomo, jacy. Nie — dumam — inny sposób znajdę. Wziął ja się do lepienia garnków. Zarobek niezły. Za jakiś czas uciułałem sumkę sporą. Myślę: wystarczyłoby. Wtedy zaczynam rozważać: do kogo ja wrócę, rodziny niema, nikogo, dawno wszystko już pod ziemią, od lat listu żadnego — obcy do obcych?.. Tak z tego poszedł ja w kabak i tydzień pił. Przepiłem wszystko, do kopiejki. Wytrzeźwiawszy, poczynam się karcić. Znowu do pracy, do lepienia. Zacinam się i składam. I znów po jakimś czasie tosamo. Przepiłem wszystko do ostatka — ubranie nawet, sprzęt kuchenny... Jużem kabaku nie opuszczał. Robotność odleciała. Począłem żebrać, rzekomo na powrót, i przepijałem użebrane grosze. Och, nizko spaść może człowiek, gdy go Bóg opuści. Aż raz — przyszło opamiętanie. Stanęło przedemną Sumienie — tak wyraźnie, jak was tu widzę. Och, groźne!.. Rzekło mi: „Żeś potrzykroć zgrzeszył przeciw duchowi, nie wejdziesz do ziemi obiecanej. Nie zobaczysz kraju swego, na wieczne skazan wygnanie“. Jak kamień te słowa spadły mi na serce. Przestał ja pić, jak uciął — i tu od ludzi się wyniosłem, aby się ustrzedz pokus. Ot, i żyję, póki śmierć nie wybawi. Bóg może daruje winy i dozwoli choć duszy spojrzeć z góry na ziemię swoją...

— I możecie tu wytrwać? Zimy srogie...

— Bóg jakoś spomaga. Nieraz od wilków wybawi. Ot, ściany pazurami zdrapały, dobywając się. Rybek nawędzę, nasuszę — Tunguzi saniami po siano dojeżdżają, to za pomoc herbaty, soli zostawią...

Jakoś się trwa. Och, zima!.. Myślę: śmierć wkrótce wybawi... Miałby ja prośbę do rodaka — ozwał się po chwili przerwy. — Wrócicie wnet do kraju. Grudkę ziemi prześlijcie pocztą, ze ziemi mojej, płockiej... Niech się z prochem moim pomiesza. Prosił ja już wielu, przyrzekali, ale pewnie, wróciwszy do kraju, zapomnieli, albo też poginęli, zanim...

Milczenie długie nastało. Wacław, odchylony od ognia, patrzał przez mrok w twarz Jana, który siedział nieruchomo, zapatrzony w ogień — w przeszłość swoją... Twarz mu się pomarszczyła, przygarbił się, jakby dziesiątek lat przez tę chwilę wspomnień mu przybyło.

Ocknął się po chwili, poszedł do chaty, wyniósł książkę, rozłożył ją przy ogniu i na klęczkach, do ziemi czołem pochylony, począł się modlić... jak Wacław wnioskował. Gdy zamknął wreszcie książkę, Wacław wyciągnął rękę po nią.

— Nie śpicie? — zdziwił się Jan.

— Nie...

Przeczytał pod blask tytuł: „Poezye Mickiewicza". Książka była zniszczona, litery pozacierane, widać lata już była w użyciu.

— To jedyny mój skarb w chacie — tłómaczył Jan. — Nie oddałbym go za nic. Przez zimy jest mową moją, w chwilach zwątpień — otuchą. Mam jeszcze jeden tom. Z tych ksiąg wyszło do mnie wówczas Sumienie...

Nic już nie zamąciło ciszy. Dowiewała tylko czasem od brzegu głęboka mowa fal.

Zdało się Wacławowi, że tylko chwilkę się zdrzemnął, gdy go zbudziła dłoń Jana.

— Czas już. Kosy nizko.

Brodacz już stał gotowy. Pożegnali starego uściskami dłoni i ruszyli. Jan odprowadził ich za chatę.

— Niech Bóg poszczęści — szepnął Wacławowi. — Wracajcie wnet. Obiad przyrządzę.

Wacław puścił brodacza przodem. Szli w milczeniu. Noc jeszcze gęsta trwała. Jednak od iskier gwiazd czyniło się na ziemi źrocznawo, tak, iż można było kształty przedmiotów, topiących się w pomroku, rozeznać. Trzymając się wskazań Jana, szli brzegiem dawnego łożyska Leny, na dnie którego spała woda, płachtą mgły równo nakryta. Następnie wydostali się na łąki. Rosa gęsta przysiadła trawy powalone — brnęli przez nie, jak przez rzekę. Na prawo ku północy rozciągała się i ginęła w mroku równienna przestrzeń z rzadkimi majakami drzew i wizyami mgły, osiadłej na jeziorach. Na lewo niedaleko czerniły się

kępy i wznosiło się ciemne zbocze o roztopionych w zamroczy konturach. Ciszę zamącał jedynie daleki poszum wód — chwilami ledwoznaczny, to znowu wyraźniejszy — i szelest oroszonych traw, przez które brnęli.

Wacław, idąc w milczeniu w tropy za brodaczem, myślał długo, co może być w duszy tego człowieka, to z rozrzewnieniem przypominał historyę Jana. Przytem nie mógł się opędzić przykremu uczuciu, iż przez te ciche łąki przekrada się w towarzystwie zbójcy, aby zbrodnię jakąś pełnić. Stracił je dopiero, gdy się poczęły mokradła. Trzeba było całą uwagą baczyć, gruntować stopą powierzchnię, przeskakiwać z kopca na kopiec, wymijać, by nie uwiąznąć w młace. Trafili na groblę wązką i szli już bezpiecznie dalej.

Doszli wreszcie do miejsca, gdzie wał lesisty, zatoczony od południa, przecinał równinę i zniżał się jakoby łapą ciemną ku jeziorom.

— Towarzysz na prawo? — zagadnął Wacław brodacza.

— Można — odmruknął tenże.

— Szczęścia życzę.

— Wzajemno.

Skręcił z miejsca i poszedł skrajem lasu; a Wacław ruszył przez las, minął wzniesienie i gdy wydostał się z ciemni leśnej, znalazł się na brzegu doliny, wązką szyją od wschodu zatoczonej, na zachód zaś daleko rozwartej, gdzie się z równiną stapiała. Zaraz od szyi na wschód i południe dźwigała się zboczem i rosła w przestrzeń zmroczniałą czarna noc tajgi...

— To jest to miejsce — szepnął Wacław, nie mogąc się oprzeć drżeniu. Czuł na twarzy i sercu blizkie tchnienie tajgi, jako oddech żywego potwora. Opanował się przecie, wypatrzył na skraju kępkę wysuniętą drzew, podszedł tam, narwał gałęzi, zrobił siedzisko i usadowił się pomiędzy pniami. Strzelbę wziął na kolana...

— Tędy muszą z tajgi schodzić — pomyślał. — Może i parę sztuk się trafi...

Noc jeszcze trwała. Cisza taka nakaźna wisiała w powietrzu, że Wacław oddech przytłumił i zastygł w martwocie czekania. Gdy tak trwał w znieruchomieniu, a chwile ciszy jako sowy ponad nim na gałęziach posiadły, poczęły dowiewać od strony tajgi głosy dziwne — jęki — poszumy — westchnienia...

— Tajga mówi — przypomniały się Wacławowi słowa Tunguzów. I wsłuchał się całem czuciem wgłębionem w tę mowę...

Naprzód z dalekich — dalekich okrain jakieś echo... Ni to my-

śliwski róg, ni krzyk ostatni zwierza... Stłumione oddaleniem... Zgasło. Zaczem ze środka lasu, z piersi tajgi wydobywa się postęk — zrazu słaby... Nabrzmiewa bólem — potężnieje — jak młoty spadają na serce jego razy... Och! Och!... Czy nie ustanie? Czy się nigdy nie skończy? Wieczność trwa... O jęku ziemi!... Nareszcie... Postęk słabnie — przechodzi w ciche rzężenie... Ktoś w tajdze kona!... Cyt... Szelesty... Gdzieś górą... Jakby duch tajgi u szczytu prostował skrzydła... Cisza znów. Cisza straszna. Cisza-przerażenia. Czy wszystko zmarło?... Taka cisza ma być, gdy wszystko na ziemi zginie — i gwiazdy odlecą. Duch przestanie szeleścić. Nic tej ciszy wyrazić nie zdoła — słowo, myśl nawet szeleści. Młoty serca jak dźwięczą w tej otchłani!... Dokądże będzie trwać? Och przecie... Dźwiga się głos — jak senny pomruk obudzonego potwora. Potwór mruczy... Straszny być musi jego gniew. Któż jego głód zaspokoi? Ziemię pożre, gdy wstanie. Zasnął przecie... Śnił mu się tylko głód. Cóż to?... Z dalekich stron — organy... Ledwo słyszalne — wiatr przynosi... Nie — bliżej... Ton wyraźny... Och — jak nastraja duszę!... Czy to Ty, duchu tajgi?... Któż tak na ziemi może grać? Coś czarownego... Zkąd organy?... Przedziwna harmonia... Podnosi się ku gwiazdom i spada niżej pojęcia, w głąb ciemną... Czy to melodya zginionych ziem — czy mających się narodzić światów?.. Dusza drży z trwogi szczęścia... Więc jej przeczucia były prawdą? Jest muzyka, o której nie wiemy. O — jak się górą niesie... Odpływa... Wraca... Nie — to śpiew słychać... jaki wysoki! Czy to w koronach drzew — czy na gwiazdach?.. Och ty aniele śpiewny! zleć! zniż się! Niech dusza umrze szczęśliwa... Czyż to tylko echo było? Jak smutno... Płyńcie łzy — już nie wróci. Szum słychać... Nie — to czas się we wieczność przelewa... Więc i ta chwila jedyna... O morze wieków! na tobie my rozbitki... Pogasły gwiazdy nad nami... O wieczny, nieskończony Mroku!... Czas odpłynął... Pozostał tylko jeden ton... O jak ubogi! jak smętny!... Z czem go porównać? Chyba z duszą, na śmierć otrutą smutkiem. Niesie się górą tajgi. Ni to melodya, ni wołanie — coś dziwnie niepojętego...

I ten przepadł. Na niebie bowiem poczęło dnieć. Gwiazdy przygasały — niektóre już ponikły. Dolina jeszcze była w mroku — tyle jeno od nieba rozwidniała, że się odróżnić wyraźniej dawały: szara płachta mgły, zielono-mroczne płaty łąk i czerń majacząca lasu. Cisza drżąca, jak zatrzymany oddech, zawisła długo w powietrzu — oczekiwanie radosne i trwożne zarazem przejęło całą dolinę. Widziało się przez spełzłą zasłonę mroku, iż się podnosi piersiami, wstrzymującemi dech, naprzeciw dnienia... Dreszcz zimny, jako przeczucie oddania się

ziemi światłu, przebiegł wszystko żywoistne i rozemdlił się w tęsknocie czekania. Na ziemię począł padać z pojaśnionego już nieba szary, sinawy pył i osiadać na łąkach, na zboczach, iż wystąpiły oczom z mroku, który je zacierał. Lecz ledwo się to stało, poczęła się na niebie rozprószać oświetl różowa od wschodu, a szary pył, osiadły na ziemi, przybrał nieznacznie barwy fioletu.

Wtedy to ze mgły, leżącej w kotlinie, dobiegł nastrojonych uszu Wacława pierwszy odzew życia: kwak cyranki. Barwy na łąkach zadrgały, jakby potrącenie tego głosu zbudziło trawy, schylone pod rosą. Za tem poczęły się odzywać głosy inne. Były nieśmiałe zrazu, zbudzone ze snu, pytające. Niektóre dobiegały z dalsza, z kęp jeziora, jako grzechotania ciche, niektóre zaś odzywały się zwyraźniałe bliskością, tuż z przybrzeża. Wacław rozróżniał po głosie krzyżówki, edredonki i wiele innych, które znał jeno z barwy. Głosy mnożyły się — jedne wywoływały drugie — i pogwar zataczał coraz szersze koła na jeziorze. A to wszystko działo się pode mgłą, która zciężałą warstwą leżała na wodzie.

Dolina rozwidniła się już znacznie. Jeszcze fiolet ciemny nie spełznął ze ziemi, lecz już powietrzem jako płatki jabłonnego kwiecia spadało różowe światło i osiadało na trawach, na drzewach, mieniąc się z występującą zielenią i niknącym niby cień wiotki fioletem.

Odkryły się oczom łąki, ciężkim mieniącym się płaszczem rosy przysiadłe, o plamach kwietnych różnej barwy, przez owo rośne okrycie niby przez szybę omgloną majacznie przezierających. — Wysuwający z tajgi czarne łapy, cofnął się mrok, stępiony pobrzaskiem w czoło — i oszlaki mchów żółtawych, to rdzawistego piaru stały się widoczne naraz. Wyszły też na jaw z uboczy naprzeciwległej zielenie przerozmaite, kształty cudaczne drzew, wykroty, i idąca pomroką ku górze nigdy nietknięta gąszcz omszałych świerków i jodeł.

Pobrzask rozednił las i pobudził życie przyczajone. Z dalekiej gęstwi leśnej dobiegł tokot głuszca. W skraju trawiastym naprzeciw ozwał się cietrzew. Wreszcie i dzięcioł począł pracować. Z niedaleka słychać było jego miarowe kowanie. Zaczem i inne ptactwo leśne poczęło dawać znać o sobie.

Pode mgłą na jeziorze życie już wrzało... Kwaki, gęgania, turczenia rozszerzały się, jak jarmarczne fale i tworzyły dziwny koncert, tłumiony wełną mgły, która je czyściła, iż przebijały się przez nią jednym zespołem radości. Rozbudzone ptactwo wodne różnymi głosy chwaliło dzień, który przezemgłę czuło. Światło bowiem przeciekało przez gęste, zwełnione warstwy — i mgła, rzednąc powoli, stawała się ze sinej

liljowa. W onej liljowej rozpyli blizko brzegu ukazywały się barwne widma podlatującego ptactwa; nawet ich łyskliwe szyje i strojne harfy skrzydeł uznać było.

Wacław, siedząc nieruchomo na usłaniu gałęźnem między pniami, dolinę rozwidniałą mając u stóp, chłonął oczyma pilnemi i słuchem wyostrzonym rozbudzane po kolei życie. Słuchał uważnie tokowania głuszca, zajmował go odzew cietrzewia, pilnie śledził robotę dzięcioła — gdy ten począł kuć na pniu niedalekim, z zajęciem przyglądał się jego czarnej jak sadza opierzy o czerwonym, wywiniętym czepcu — lecz najwięcej uwagi dawał na jezioro, gdzie gwar przeróżnych głosów dzwonił. I pomału, nieznacznie, jako to światło prószące w dolinę, udzielała się mu radość rozbudzonego stworzenia, iż począł się czuć w zespole ze wszystkiem. W piersi, dziwnem, nieznanem wzruszeniem rozgranej, zrywały mu się jakoby radosne ptaki, świt dzwoniące. Nie znał dotąd takiej szczęśliwości. Przeto wdzięcznym był wszystkiemu dookoła, pozdrawiał sercem każdy odzew życia, rozbawionemi oczami śledził podlatujące we mgle liljowej ptactwo i duszę otwierał szczęśliwą naprzeciw radości barw. Zapomniał całkiem o celu, w jakim tu przybył. Czuł się w dolinie, jak wszystko dookoła — w jednym rozświcie radosnym.

Zapatrzonego we mgłę liljową uderzył szelest z boku. Obrócił oczy, i serce mu myśliwskie zadrżało... Na łąkę z tajgi wybiegł rogacz. Stanął przed nim niedaleko, prawie na strzał. Wacław, gotując strzelbę ostrożnie, przyglądał mu się. Wspaniały okaz, bezpiecznie w schronach tajgi ojczystej wychowany. Jeszcze na rogach rozłożystych i na czerwonej gładkiej sierści lśniła się rosa. Widać przedzierał się przez gąszcz. Spróbował trawy od niechcenia, uszczknął parę kwiatków, poczem podskoczył na miejscu i rozejrzał się wesoło. Wacław począł mierzyć doń, kierując muszkę pod przednią łopatkę, gdzie pod muskułem drgało serce. Miał pociągnąć za odwód, gdy rogacz zwrócił ku niemu piękną głowę. Oczy jego patrzyły prosto w oczy Wacława — tak jakoś bezobawnie, ufnie. Wacław opuścił strzelbę na kolana. W tym momencie bowiem przypomniało mu się zdarzenie jedno, gdy polował z Osmanem na kozły. Postrzelił kozła — i gdy przypadł ku leżącemu na ziemi, zobaczył wyraźnie, jak z dużego, łagodnego oka spłynęła łza i spadła na liść... Jak perła — została długo na liściu. Nieraz to przydarzenie wyrzutem go nachodziło. Czemu znów teraz? Sam zły był na się za to — jakby kiedyindziej powiedział — rozmiękczenie. Ujął strzelbę powtórnie, lecz znów ją opuścił. Kłóciło się w nim dwóch — wyraźnie dwóch ludzi.

— Zabij! Okazya się nie trafi...

— Poczekaj... trzeba pomyśleć...

— Ujdzie!

— Zaraz... przypatrzę się tylko...

I począł się przypatrywać rogaczowi, który, nic nie przeczuwając, baraszkował swobodnie na łące. Ślady jego lekkomyślne na siwym płaszczu rosy kreśliły ciemny ornament. W momencie pewnym stanął, nastawił ostre żłobki uszu na melodyę rozdzwonionego życia na jeziorze, i oczy jego jakoby uśmiech rozszerzył. Świetliła się w nich radość wielka, beztroskie szczęście istnienia. Potrząsł swą dumną, uwieńczoną głową i znów w zachwycie sposążał. Rogi jego zapłonęły w potężniejącem szybko świetle, jak ogniste latorośle. Po gładkiej, czerwonej sierści zbiegały złote połyski. Radość nadmierna nie dała mu chwili trwać w bezruchu. Podskoczył z miejsca jako płomień i zawiódł swój lekki taniec. W owej chwili na łąkę wybiegł z tajgi drugi... W podskokach tanecznych przypadł ku niemu. Poczęli się swawolnie szermować rogami...

W sercu Wacława trwała jeszcze kłótnia.

— Strzel teraz. Obu położysz.

— Zaraz. Niech się im napatrzę.

— Na co czekasz?

— Piękne są...

W tym momencie padł w dolinę z poza wzgórz tajgi pierwszy grot słońca... Równocześnie z kępy pobliskiej przestrzelił ku wodzie z krzykiem szary bekas — głos jego ostry, donośny, przeciął powietrze, jak świst cyrkularki. W odpowiedzi na to krzyk się na jeziorze podniósł. Rozgwar się wzmógł. Z poza wzgórz tajgi raz w raz groty padały ogniste — aż z niespodzianą szybkością stanęła na zębach lasu w krzyku płomieni lśniąca kula... Szał najwyższy ogarnął dolinę.

Wacław uczuł się olśnionym. Cisnął od siebie strzelbę — wstał — i wyciągnął ramiona do słońca, jak skrzydła. Najwyższem uczuciem serca radosnego dziękował za łaskę świtu...

Naraz wpadło w dolinę dalekie echo strzału... Krzyk grozy wzniósł się z nad jeziora. Wacław widział przed sobą w zamgleniu światła przerażone oczy dwóch rogaczów, które przestrach na moment znieruchomił — poczem zabrały się i, oglądając się na boki z trwogą, łukami pomknęły w tajgę. Jeszcze rogi ich świecące z drzewiny niższej widać było.

Słońce już było wysoko, mgła się rozpyliła i wsiąkła w błękit,

gdy Wacław opuścił dolinę. Idąc z powrotem do chaty Jana, czuł z dziwnie tkliwą radością narodzone w piersi nowe życie. Jak perła — błyszczała na liściu przed oczyma serca jego łza, spadła z żalu za życiem z ciemnego oka umierającego kozła.

WŁADYSŁAW ORKAN.

Z sonetów alpejskich.

Od „Dzikiej Pani“ tam — przez „Górne Dźwierze“
zeszedłem oto w zieloną kotlinę;
jeszcze mam w oczach śniegów biel i sine
zwały lodowca, chmur i nieb bezbrzeże, —

a choć mi pachną tu alpejskie róże
i las zielony szumi ponad głową,
ku szczytom oczy me biegną na nowo
i znów się serce wyrywa ku górze!

O, siły! siły! siły moje młode!
zali wy długo mi jeszcze starczycie,
by iść tak w pustkę na trud i swobodę

i nieść ku niebu grzmiące w piersi życie —
i szczytom karki stopą depcąc hardą,
na świat w dół patrzyć, z litością a wzgardą?!

W Griesalp, po zejściu z Wilde Frau, czerwiec 1909.

JERZY ŻUŁAWSKI.

Z Lukrecyusza xiąg

De Natura Rerum.

Gdyby nie miała każda rzecz swego nasienia,
jakże mogłyby powstać matek uroszczenia?
Lecz że z nasion właściwych wszelki byt pochodzi,
przeto każdy to jeno z swego wnętrza rodzi,
ku czemu w nim materyał i pierwiastki były.
Więc, że pewne są w pewnych rzeczach tajne siły —
by z wszystkiego powstało wszystko: być nie może.
Nadto — czemu na wiosnę róże, w lecie zboże,
na winnym krzewie grona widzimy w jesieni,
jeśli nie, iż zaiste w czasie swym się pleni
z połączenia zarodków rzecz zrodzona wszelka
w porach, gdy już bezpiecznie Ziemia żywicielka
wątłe kiełki wypuścić może na dzień biały?
Rzeczy — gdyby z niczego — to by powstawały
nagle i bez okresów, w nieprzyjaznej porze,
gdyżby brakło pierwiastków, którym zły czas może
przeszkodzić, by się zbiegły ku wydaniu płodu.
Gdyby wzrost nie wymagał czasu ni zachodu
ni złączeń nasion, gdyby rosło co z niczego,
nagle mógłby się młodzian z dziecka stać małego,
z ziemi drzewa by strzelać mogły już wyniosłe...
Lecz tego nie widziano. Owszem, rzeczy wzrosłe
zwolna wzrastały: każdy płód z nasienia
swego i w swym rodzaju, — tak do przeświadczenia
dojść trzeba, iż rzecz wszelka z swych składników rośnie.
A gdy deszcze te same, padające w wiośnie,

budzą różne wesołe potomstwo ogrodu, —
ten sam pokarm zwierzęta rozliczne od głodu,
żywiąc, zachować może i od śmierci bronić:
raczej ku zdaniu temu trzeba nam się skłonić,
że jest, jak głoski w słowach, w wielu rzeczach wątek
wspólny, niżeli przyjąć bez przyczyn początek..
A dlaczegóż to człowiek głową pod obłoki
nie sięga ani może okraczać zatoki
morza, ni ręką silną łamać twardą skałę,
ni długością żywota wieki przetrwać całe,
jeśli nie, iż materja, z której rzecz powstaje,
z góry pewną jej formę i czas trwania daje?
Jeśli pola uprawne lepszy niż ugory
rolnikowi plon niosą, gdy dbać o nie skory,
to jest dowód, że w ziemi są pierwiastki rzeczy,
które my, mając własne dobro swe na pieczy,
w płodnych skibach na światło pługiem dobywamy.
Gdyby nie to, tem wszystkiem, co przy pracy mamy,
ziemia mogłaby sama darzyć nas obficie...
Że nic niema z niczego, dowiodłem niezbicie,
bo nasion jest potrzeba wszelkiemu stworzeniu,
by się ku niebieskiemu mogło wznieść sklepieniu.
Tu widno, iż rzecz — ginąc — znowu się rozkłada
na swe części, nic zasię w świecie nie przepada.
Gdy w cząstkach to, co było znikome istotnie,
nagle mogłoby w oczach zginąć niepowrotnie,
ani byłoby trzeba siły jakiej, aby
ciał składniki rozerwać, związek niszcząc słaby.
Tak zaś — jako z wiecznego wszystko jest zarodku —,
póki siła nie działa z zewnątrz, albo w środku
związku drobin nie targa, wnikając do rdzenia:
nie zna Matka Przyroda śmierci ni zniszczenia!
Nadto, jeśliby prawdą było, że czas rzeczy
pokonawszy starością, doszczętnie niweczy:
zkąd istot coraz nowych pokolenia w dzienne
światło ciągle wstępują? czemże łono plenne
Ziemi ich żywi? zkąd im pokarm daje świeży?
jak ubytek mórz rzeki z dalekich rubieży
nagradzają? jak eter żywi gwiazd płomyki?
Gdyby w rzeczach znikome miały być składniki,

dawno byłby do cna już Czas zniweczył światy!
że jednak już istniały te ziarna przed laty,
z których dzisiaj się rzeczy składają widzialne:
są zaiste pierwiastki owe niezniszczalne,
by zaś co się nicością stało — trzeba przeczyć.
Wszakby siła ta sama każdą rzecz zniweczyć
mogła, gdyby cząsteczki wieczne nie tworzyły
ze sobą związku mniejszej albo większej siły;
owszem — wówczas dotknięciem możnaby rzecz zabić,
gdyby siłą jakową nie trzeba osłabić
i rozerwać łączności drobin niespożytych.
Ale wobec istnienia węzłów rozmaitych
wśród pierwiastków wieczystych, są nieskazitelne
rzeczy, póki ich siły nie dotkną dość dzielne,
aby zniszczyć natarciem ich wnętrzne sprzężenie...
Nic się tedy nie staje niczem! a zniszczenie
jest rozkładem na części przedwieczne jedynie.
Wprawdzie deszcz znika dla nas, gdy z ojcowskich płynie
eterów na spragnione łono Matki-Ziemi,
lecz za to zboża rosną plenne, pod bujnemi
owocami zielone drzew się gną konary,
z których znów pożywienie ludzki ród ma jary.
Ztąd się roją dorodną dziatwą nasze miasta,
ztąd brzmi śpiewem ptaszęcym lasów toń liściasta,
tęgie krowy na żyznym pasą się rozłogu —
a z ich wymion, jak gdyby z przepełnego rogu,
mleko białe się sączy, — a oto dokoła
skaczą młode cielęta przez pachnące zioła,
matek mlekiem obfitem nieomal pijane.
Tak więc rzeczy nie giną, przez nas tu widziane,
lecz tylko forma jedna wciąż w drugą przechodzi
i Przyroda ze Śmierci Życie nowe rodzi!

Przekładał Jerzy Żuławski.

O wolnem z duchami wielkich obcowaniu.

DYALOG.

Dyalog toczy się na terasie pałacu królów macedońskich. Dokoła kolumnada z białych marmurów, pośród słupów posągi.

Z terasy widok na jaśniejący w pysze rozkwitu i blasku słońca ogród, srebrne wodotryski, aleje żwirem sypane, a wpobok i wzdłuż nich hermy. W dali bezbrzeżny przestwór morza: woda spokojna, zielonawa, lśniąca. Od wód napływa lekki wiew, kołysząc zielenią sadu i chłodząc przechadzających się po terasie Arystotelesa i Aleksandra, królewicza macedońskiego.

Aleksander: Powiedz mi, mistrzu, czemuś komnatę naszą jadalną przyozdobić kazał tyloma posągami sławnych umarłych, a na ścianach czemuś zawiesić kazał maski z wosku i złota i portrety Heroów?

Arystoteles: Mówisz tak, jakobyś wyrzut mi czynił, że ci mężów owych towarzystwo, zwłaszcza w komnacie jadalnej, niemiłe.

Aleksander: Nie na Zeusa! ale nieswojo mi jakoś sycić żołądek strawami doborowemi i winem z Chios się raczyć, gdy Oni na mnie patrzą.

Arystoteles: Tedy-że Pitagoras krzywdę czyni żołądkowi twemu?

Aleksander: Nie, mistrzu. Przestrzega jeno przed nadmiarem, który muzykę organizmu kłóci.

Arystoteles: Widok Pitagorasa przywodzi ci zatem na myśl naukę jego? — przypominając zaś naukę, działa tak, jakobyś ducha jego na czas w siebie przejmował?

Aleksander: Bez wątpienia.

Arystoteles: Acz niezupełnie. — Bo żali zdołasz, choć na chwilę, zagubić duszę swoją, własną? — tyle tedy, zda się, przejąć możesz w siebie, ile w tobie już jest. — A tak nie doznałbyś wcale żadnego przyrostu sił ducha ni umysłu.

Aleksander: Miałbyś słuszność, mistrzu, gdybym był człowiekiem już dojrzałym, to znaczy: gdyby władze ducha mego doszły pełni rozkwitu. — Przykład zaś i nauka działa przedewszystkiem na tych, którym wychowanie potrzebne, to jest na tych, których poznanie ograniczone, a dusza nie cała jeszcze ze snu obudzona.

Arystoteles: Mówisz więc, że tylko umysły wychowanków niedojrzałe u Wielkich Umarłych uczyć się mogą? A przecież nie są oni wyłącznie nauczycielami prawdy. — Wśród posągów i obrazów kogóż krom Pitagorasa widzisz?

Aleksander: Zaiste! wielka ich liczba, a nazwiska święte: oto Talesa widzę mędrca, Anaksimenesa, Anaksimandra, Heraklita „ciemnego", Ksenofanesa, Empedoklesa, Anaksagorasa; ówdzie sofistów Gorgiasa, Protagora, boskiego Sokratesa, mistrza twego Platona i wielu innych, którym bogowie mniejszy wyznaczyli udział w poznaniu prawdy; najszlachetniejszych widzę owych mędrców siedmiu, śród nich Solona, arcydzielnego w słowie i czynie; poetów, ulubieńców Apolla i Dyonizosa, co z mowy muzykę tworzą lub krzeszą pioruny, a duszę ku bogom wznoszą: złotoustego Homera, wtórnego Zeusa, który słowem świat żywy wyczarowuje i dusze zażega płomieniem, jego, co raczej, niż Peleus, jest ojcem niedoścignionego w męztwie i przyjaźni Achilla, — mądrego Herzyoda, budzicieli-mocy: Tyrteja, Kallinosa, Teagenesa, a obok smętnego Mimnermosa pieściwą a palącą jak ogień, Safonę, jak wicher potężnego Alkaja, chórzystów Alkmeja, Stesichorosa i w. i., a szczególnie Aischylosa co moc gromów dzieli z Piorunowładcą, Sofoklesa, którego mowa jak lazur, Eurypidesa żywego jak płomień i płomieńmi dyszącego, Arystofanesa, czuwającego nad harmonią i wszelki błąd karcącego śmiechem, — zaś wpodle znowu mocarzy, co świat swą dłonią i rozumem przekształcali, wśród nich ojca mego Filippa.

Potrzebujęż ich wszystkich wyliczać? znani są tobie lepiej, niż mnie.

Arystoteles: Czy tych wszystkich widok i towarzystwo nie oddziałuje na ciebie wcale, acz ni Achilles, ni Aischylos prawdy nie wykładali w Akademiach?

Aleksander: Przeciwnie! gdy wchodzę pomiędzy nich, podnosi się

dusza moja, jak kiedy wchodzę w progi świątyni! bogom się czuję blizkim i świętość spływa na mnie.

Arystoteles: Więc nie przez głoszoną prawdę jeno działają Wielcy ale każdy inaczej; sam sobą, przez ducha swego obecność. Czy sądzisz Aleksandrze, że uczyć znaczy tylko: nowych dostarczać wiadomości, a uczyć się: nowemi naukami zapełniać umysł, jak spichrz ziarnem?

Aleksander: Bynajmniej; raczej nie spichrzem ma być umysł, lecz glebą, a żniwo nauki nie w worach leżeć powinno, a owszem jako w glebę padać, kiełkować a rozwijać się.

Arystoteles: Tak, dusza sama czynić się powinna. Lecz odpowiedz: zali nauka to poznanie samo? — A oto znasz Aristofila: chodzi po ulicach miasta i gajach z głową ku ziemi opuszczoną, albo podniesioną ku niebu; wie wszystko, zna dzieje przeszłości, zna filozofię, poetów umie na pamięć, a przecie ku pośmiewisku jest innych. Czemuż to przypisujesz?

Aleksander: Temu, że niedołężnym jest Aristofilos.

Arystoteles: Niedołężnym: to znaczy, że w nawale wiadomości istotę swoją zatracił; wziął na swe bary ciężar i ugina się pod nim a uwolnić się już nie może czy nie chce. Każda wiadomość nabyta jeno, nie wypracowana z ducha, jest ciężarem; jeśli je gromadzić będziemy, jako ziarna one we wory, przygniotą nas, że się staniemy jako muły objuczone.

Musimy pozbawić je ich ciężkości a uczynimy to, jeśli je przeistoczymy w pierwiastki lotne i swoiste, w krew je niejako i miąższ wchłoniemy. Ku temu zaś potrzeba sprawności umysłu. — Gdyby umysł nie trawił swojej karmy, byłby jako żołądek, nie trawiący straw mu dostarczanych. — W Aristofilu przeważa pamięć, która, że bez pomocy innych władz jest martwa, wreszcie stało się jako ten żołądek przeciążony niestrawionymi pokarmami. — Należy tedy ducha w stanie ciągłego życia i nieustannej czynności wstrzymywać; niechaj w nas żadna cząstka jego nie będzie jako trup, martwa, inak poczniemy gnić od wnętrza.

Aleksander: Odbiegłeś mistrzu od naszej sprawy i odchyliła się myśl twa od kierunku naszych rozważań.

Arystoteles: Pozornie jeno, królewiczu. Owa galerya Wielkich w naszym narodzie stawia ci przed oczy niezmierzone bogactwo możliwości ducha ludzkiego. Każdy człowiek, jako tego Ducha cząstka, posiada w sobie różnorakie możliwości, formy.

Otóż wychowanie zasadza się na ujawnianiu i rozwijaniu owych

możliwości ukrytych. — Na słusznym unaocznię ci to przykładzie: nie jest dusza człowieka ziarnem, noszącem w sobie jedną tylko możliwość, lecz glebą, która różne nasiona przetworzyć zdolna i różne rodzić płody; lecz jako i gleba różną ku różnym płodom ma skłonność, tak i duch człowieka możebności ma wiele w sobie, choć tylko jedną naczelną.

Jest obowiązkiem wychowawcy umiejętnie one formy pielęgnować, przez badawcze i próbne doświadczenia je poznawszy. — Skład swoisty bowiem form tych, właściwych pewnemu człowiekowi, tworzy człowieka tego formę ogólną czyli jego osobistość. Otóż kształcić osobistości uważam za najszczytniejsze zadanie wychowawców. — Ponieważ jednak owych form swoistych z góry przewidzieć nie można, aby świadomie i celowo je kształcić, przeto próbnych doświadczeń potrzeba. — Przypuszczam u wychowanka z początku nieograniczoną liczbę i rozmaitość możebności; oczywiście nie kształcą ich równomiernie; są pewne ogólniejsze władze, rodzajowi ludzkiemu właściwe: od tych należy zacząć; innym pozostawiam swobodę, doświadczam podsuwając im sposobność do ujawniania się. W tem i w chwytaniu w lot symptomów — sztuka pedagoga. — Dzieje się to nie tylko w wieku dziecięcym, ale przez całe nieomal życie człowieka; wprawdzie z wiekiem nierozwinięte formy kostnieją, ale człowiek nigdy siebie nie zna: żywi ciągłą nadzieję, że jest bogatszym w możliwości, niśli nim jest w istocie. — Winien tedy człowiek sam siebie doświadczać, przelewając ducha swego w formy najrozmaitsze.

Kupiec winien nie zasklepiać się w formie kupieckiego jeno myślenia, ale wedle możliwości wyzwalać ducha swego z tej niewoli, utrzymując i ćwicząc w nim wolność innych form. — Wybór zawodu powinien owym przyrodzonym formom odpowiadać; każdy zawód bowiem wymaga pewnych form ducha odrębnych: jeśli te przedmiotowe formy z podmiotowemi się zgadzają, mówimy o człowieku, że poszedł za głosem powołania swego. — Zdolności dyalektycznych np. wymaga przedewszystkiem zawód rhetora lub logografa i w tym zawodzie ludzie zdolności owe posiadający są „powołani“. — Często jednak zdarza się, że człowiek o silnie rozwiniętych formach tego rodzaju myślenia odda się — filozofii, i szukać będzie prawdy za pomocą tej właśnie formy dyalektycznej to niewłaściwej. — Ztąd różne rodzaje filozofii, zależne od różnych rodzajów umysłowości filozofię uprawiających. — Wśród filozofów znajduje się wielu „powołanych“ obrońców prawnych i wielu kupców.

Albo: człowiek, obdarzony fantazyą, to jest: zdolnością zmysłowego oglądania rzeczy, człowiek ten „powołany“ na to, by być twórcą, poświęca się — jestto rzeczywiste poświęcenie się — znowu dzięki nieprzystosowanym okolicznościom n. p. zawodowi kupieckiemu, wymagającemu, form myślenia i czucia zupełnie innych. Powstaje w ten sposób kupiec-fantasta, przedsiębiorca genialny, podróżujący w kraje kimeryjskie, odkrywca nowych lądów.

Owa tedy niewspółmierność form z zawodem, nie zawsze jest rzeczą złą; przez kombinacye stwarza nowe formy, rozwija naturę ludzką, wzbogaca zasób możliwości. Najczęściej jednak sprowadza nieszczęście, gorycz, ruinę.

Aleksander: Rozumiem cię, mistrzu, a raczej domyślam się, w jakim to związku pozostaje z owymi bohaterami ducha i czynu, od których nasza rozmowa się poczęła. — Obcując z duchami ich, rozszerzamy niejako ducha własnego, zmieniamy jego kształt, ćwiczymy jego polot i tak go utrzymujemy w pożądanej sprawności, lekkości i wszechmożliwości, czyli wyzwalamy się.

Arystoteles: Znalazłeś, Aleksandrze, wyraz odpowiedni: jest to wyzwolenie ducha: albowiem czynne już formy w zakresie i treści wzbogacamy, a nadto budzimy inne uśpione. Człowiek przeciętny zostaje pod przewagą lub wyłącznem panowaniem jednej głównej formy i wedle niej działa i żyje. A toż jest wszystko niewola. — Owo zaś obcowanie z duchami Wielkich wyzwala nas i to jest najważniejsza ztąd płynąca korzyść.

Aleksander: Masz słuszność, mistrzu! Owo uczucie, które poprzednio opisałem, jako uczucie świętości i podniesienia duszy, gdy wchodzę pomiędzy posągi ich i wizerunki, jest właśnie uczuciem nieograniczonej możebności ducha ludzkiego, uczuciem zupełnej wolności i potęgi nieskończonej, oraz pokornej czci dla tej niewyczerpanej w bogactwie swem boskiej mocy twórczej, uplastycznionej w obliczach owych posłanników, a zarazem radosnem przeświadczeniem, że się jest ich bratem i uczestnikiem owej mocy.

Arystoteles: Oto jest wolne z duchami Wielkich obcowanie; wolnę, bo niezależne od treści i wyzwalające w nas ducha osobistego. Nazywają to także moralnym wpływem Wielkich. — Lecz tak obcować mogą li tylko duchy możne z możnymi.

Aleksander: — ?

Arystoteles: Nietylko bowiem wpływ ów wyzwala, ale i niewoli duchy. Wyzwala duchy możne, niewoli zaś słabe, które starszych form pozbawione kształtują się wedle formy naczelnej jednego

z Wielkich. — To jest narzucanie pęt przez duchy bohaterskie na duchy słabe. Że zaś z takich w większości ludzkość się składa ztąd owa przewaga gniotąca i jarzmiąca owych; Tak tedy, o ile geniusze są zarazem głazami — znaczącymi postęp ducha ludzkiego, o tyle są zarazem głazami — zawadą, o którą duch ludzki w postępie się potyka. — I to jest wpływ ich ujemny.

Aleksander: Zaprawdę, mistrzu! otwierasz mi oczy na rzeczy, których nie oczekiwałem. Widziałem dotąd w bohaterach wyzwólców ludzkości a teraz wykazujesz mi, że są równocześnie i niewólcami. —

Arystoteles: Nie jestto takie zło, jak sądzisz: że owe bezforemne duchy słabe zapożyczają się u Wielkich, toć obraza wolnego ducha ludzkiego, ale przynajmniej znośnymi stają się duchy takie dla naszego zmysłu estetycznego, nie cierpiącego bezkształtności. Czuwać jeno nad tem trzeba, żeby wybór był stosowny.

Aleksander: Nowe otwierasz mi i wytyczasz zadania, jak władcy: bo któż inny czuwać ma nad tem?

Arystoteles: Sądzisz, że rząd? — tak, gdyby nim była rada najmądrzejszych w narodzie, — Duchy słabe bowiem są przecie poniekąd dziećmi, wychowania potrzebującemi. Taka rada byłaby im nauczycielem i wychowawcą.

Aleksander: Kiedy uważasz wpływ Wielkich za zły?

Arystoteles: Strzeż się słów, bo przez nie i myśl się mięsza i mąci. W dziedzinie Wielkości niema zła i dobra, jest moc i wolność. Staje się ona taką lub owaką dopiero w sferze słabości ludzkich. I tylko w odniesieniu do owych duszek maluczkich mówić można o złym wpływie Możnych. U słabych bowiem jest tylko bezwolne przyjmowanie i samojarzmienie się, u Wielkich zaś odbywa się ciągle stawanie się, to jest: tworzenie i natychmiastowe znoszenie tego, co już jest, na rzecz tego, co dopiero stać się ma czyli wieczne samozniszczanie się, ruch, wolność. — Przez niestosowny zaś wybór dla wychowanków rozumiemy wybór Wielkości o formie myślenia zaprzeczającej życie.

Aleksander: Nie wiem, co znaczy: zaprzeczać życie. Wszak życie — to dar najświętszy, to największe dzieło, jakie z rąk bogów wyjść mogło. Czuję, że kocham życie, że je wdecham każdą porą mego ciała, żebym rad z powietrza — z łąk z skał i z zdrojów, nieba i ziemi wczerpnął w siebie wszystkie moce życia, aby je potem znów wetchnąć we wszystko to, co bez życia, bez ruchu, bez kształtu. — — Życie jest piękne, dobre i mocne!

Arystoteles: Rozumiem, dlaczego trudno ci wniknąć w tych, któ-

rych forma myślenia i czucia wręcz jest twojej przeciwna. A oni właśnie życie owo odzierają z wszelkich piękności a życie człowieka z prawd wszelkich i nadziei i zostawiają rozpacz, któraby doprowadzić ich musiała do zniweczenia siebie, gdyby nie silniejsza nadewszystko miłość życia, którą matka — natura w nich tchnęła. Tacy tedy nie nadają się na Wychowawców Ogółu, którego jedynem dobrem i wskazaniem: Życie. — Dla obcowania zaś duchów możnych z możnymi zastrzeżenia takiego nie potrzeba, albowiem duchy te nigdy nie zniżą się do materyalnego z sobą obcowania, jeno się zawsze w sferze formalnej unoszą.

Aleksander: Że znam twoje poglądy, mistrzu, przeto, gdyś mówił tyle o formie, przypomniałem drugą stronę rzeczy: materyę, ale nie umiałem pojęcia tego do twoich wywodów nawiązać. A oto tyś sam to uczynił, mówiąc o materyalnem z duchami obcowaniu. Lecz jeszcze dłużen mi jesteś wytłómaczenia, co przez to zamierzasz powiedzieć.

Arystoteles: Wejdźmy w sad, Aleksandrze! Patrz: seledyn zieleni purpurowy okwiat pomarańcz, różane kwiecia migdałów, złote cytryny, wszystkie drzewa w dojrzałej krasie zlewają się z sytym błękitem nieba w harmonię, bawiącą oko i radującą duszę. I chodzić będziemy po alejach, wdechując w siebie wonie słodkie, zdrowe, świeże a wzrok nasz napawać się będzie świetną grą cudnych kolorów i kształtów i podnosić się będzie dusza nasza ku przeczuciu olimpijskich rajów a ręce nasze będą spokojne a pożądliwość nasza spać będzie i nie będzie łaskotało nas podniebienie nasze i dusza spokojną będzie czcicielką piękna. —

A oto wprowadźmy weń człowieka gminu i rzeknijmy mu:

„Wejdź a czyń bez bojaźni i wedle woli twej, bowiem ci dana wolność zupełna,“ i spoglądajmy z okien pałacu: oto rozbłysną mu oczy chciwością i pożądliwością, oczy ślepe, choć widzące, dłoń jego wyciągnie łapczywość i patrz: oto niby dłonią Afrodyty, najpiękniej ukształcone, całunkiem Heliosa zarumienione a ręką Heby zawieszone jabłko zerwie bez krzty lęku, bez drżenia palców, bez skurczu sumienia, — patrz! usta otwiera i z żarłocznością głodnego zwierzęcia wgryza wargi i zęby w miąższ jego i niszczy ten cud piękna, na który może wszystkie siły natury harmonijnie się złożyły. — —

A wczoraj byłem świadkiem ohydnego widoku: przed posągiem Afrodyty stał niewolnik z chucią w oczach i gorące wargi przyciskał lubieżnie do nagich jej kształtów w zimnym marmurze. —

Czy ci jasną różnica między obcowaniem materyalnem a formalnem?

Aleksander: W przybliżeniu tylko, mistrzu, o ile odnieść ją mam z stosunków estetycznych do obcowania duchów.

Arystoteles: Nigdy mali z Wielkimi bezpośrednio obcować nie mogą; pomiędzy nimi stoi cała rzesza duchów pośredniczących, którzy ów związek ułatwiają: każda mądrość przez ich mózg i wprzód przejść musi, nim ją najubożsi duchem dostaną, ale jaką? — spowszedniałą, świeżości i mocy pierwotnej pozbawioną, przystosowaną. — To, co było formą pierwotną tej mądrości, zatem najistotniejszem, zginęło po drodze... Ci — pośrednicy — obłuskwili ją z niej i tę przygotowaną i przegotowaną naukę podają odbiorcom. Tamci zadawalać się muszą tą najmateryalniejszą treścią, którą też sobie natychmiast przyswajają i której w życiu używają — ku celom rozmaitym: jako normy życiowej, jako ozdoby dla swej mowy, jako środków do zyskania ludzi i urzędów...

Ich dusza nie ociera się o dusze Wielkich, — by, jako dyament szlifowany, błyszczeć. Do Wielkich oni albo nie dochodzą z powodu owych pośredników, którychby czemprędzej usunąć należało, gdyby ci, ubodzy duchem, mogli znieść obcowanie bezpośrednie, — a nadto z powodu zbytniej pożądliwości, która w nich żywie a która w dziedzinie ducha jest taką samą, jak w dziedzinie ciała a nazywa się pospolicie: ciekawością. Ciekawość jest lub stać się może namiętnością. Nic zaś, cokolwiek namiętnością stać się może, nie jest z ducha czystego, którego znamieniem: harmonia i wolność.

Aleksander: Oto wiem ci już teraz, dla czego mię, mistrzu, otoczyłeś gronem Najdostojniejszych.

JÓZEF MIRSKI.

Trzy wiersze.

Brzóz liściem pachnie noc i czeremszyną,
Gdzieś na pogodę daleko się błyska...
O życia dziwna, rozstajna godzino,
O śnie dośniony, żalu bez nazwiska!

Łzy mi gorące z ócz po ciemku płyną,
Narcyzów bije młoda woń od grządek...
O życia późna, o nocna godzino!
Wieczystych rzeczy pełni się porządek...

*

Czas jest zdrożony i wiatr się zmienia,
Z sierpami idą od pola żeńce,

Tak ci mam wiele do powiedzenia,
Tak dużo... Wszystko... Może i więcej...

Odmianę czuję w powietrzu... Błyska!
Burza dziś będzie w nocy po skwarze —

W duszę chcę twoją poglądać z bliska,
A w twarz się oto spojrzeć nie ważę...

Deszcz... Pierwsza kropla już padła... Kwiaty
Lipowe pachną znużone spieką,

W oczach twych widzę nieznane światy,
Obietnic bożych ziemię daleką!

*

Dusza moja na zawsze zostanie dziewczyną,
Co w las poszła o świcie z dzbankiem na jagody,
Krasą śmiała i ufna, że choć lata miną,
Ona przetrwa w urodzie lic swych wiecznie młodej.
Dusza moja na zawsze zostanie dziewczyną...

Dusza moja w zielonym na warkoczach wianku,
Ścieżką idzie samotną, wolna jak ptak w lesie,
W pas się słońcu jasnemu kłania o poranku,
Niby wicher swobodna nad życiem się niesie,
Dusza moja w zielonym na warkoczach wianku...

Dusza moja nikomu wziąć się nie da w ręce.
Własna swoja, niczyja, nieznana nikomu,
W zaświat boży swe serce poniesie dziewczęce,
Niby jagód wieczorem pełny dzban do domu.
Dusza moja nikomu wziąć się nie da w ręce...

* * *

MARYLA WOLSKA.

Antologia młodych pieśni.

I.

NIECH MYŚL TWA...

Niech myśl twa, jak puszczona z łuku strzała chyża,
Wzleci w górę i tam już zostanie na wieki,
Pamiętaj — niech nic nigdy jej lotu nie zniża!
Bo jeśli myśli wskażesz horyzont daleki,
To możesz się nie lękać o serce — i śmiało
Pozwolić, by przy ziemi — bijące — zostało.

. . . .

Najdroższych twoich nadziei kwiaty
Pieść w słońcu marzeń: niech bujnie rosną
I niech ci w duszy pachną rozkosznie
Wieczystą wiosną...

Bo kiedy wkoło smutno i szaro,
A pod stopami głóg i pokrzywy —
Trzeba mieć w sobie ciche schronienie,
Kącik szczęśliwy...

ŚWIAT PRZEZ TRAWY.

W upalne jedno popołudnie,
Traw zielonością przynęcona,
Padłam na kwiaty i na trawy...

Wnet fala wonna i zielona
Objęła postać moją całą.
Nademną błękit był jaskrawy,
Słońce mi prosto w twarz się śmiało.
...W upalne jedno popołudnie
Tak jasno było — i tak cudnie!

W upalne jedno popołudnie
Widziałam świat przez trawy... Boże,
Jakie ja dziwne, niewidziane
Rzeczy ujrzałam przez traw morze,
Poprzez wysokie źdźbła i zioła,
Przez tę przeźroczą wonną ścianę
Co otoczyła mnie dokoła,
Jak w to upalne popołudnie
Inaczej było — i jak cudnie!

W upalne owo popołudnie
Byłam w przedziwnym jakimś lesie,
Gdzie biegną w górę, prosto z ziemi,
Wiotkie łodygi. Każda gnie się
I chyli podług wiatru wiania,
I miękko splata się z innemi,
Błękit zasłania i odsłania...
...W upalne owo popołudnie
Patrzyć na świat tak było cudnie!

W upalne letnie popołudnie,
W trawach zgubiona i w błękicie,
W bezdennej czystej toni nieba,
Czułam jak można kochać życie,
I jakie ono dobre bywa,
I jak do szczęścia mało trzeba,
Byłam spokojna i szczęśliwa
Jak świat — co jaśniał tak przecudnie
W upalne letnie popołudnie.

* * *

MARYA ZNATOWICZÓWNA.

II.

SKRAWEK NIEBA.

Codzień z mojego łóżka przez to szare okno
Patrzę na skrawek nieba, co nad dachem lśni —
Jednak i on posmutniał wśród jesiennych dni,
A szyby coraz częściej w mgle wilgotnej mokną...

Długie, gorzkie godziny plotą się w miesiące —
Znów noc jedna minęła i dzień jeden znów...
— O smutku mój bez pragnień — tęsknoto bez snów...
O cicha dolo oczu — łzy nieustające...

A przecież — gdzieś za oknem kwitło bujne lato
I radością beztroską tchnął przesłodki wiew —
Później jesień złociła mgły i liście z drzew...
— Cóż za lato i jesień będzie mi zapłatą?...

Tyle dni beznadziejnych, tyle tępych dni
Patrzę z mojego łóżka przez to szare okno —
A szyby coraz częściej w chłodnych kroplach mokną
I skrawek nieba — mętny — ponad dachem lśni...

SŁAWA PRÓSZYŃSKA GWIŻDŻOWA.

III.

NIE WIEM.

Jak łąka słońcu złotemu pod chmurę,
Ciskam wam uśmiech gorący w źrenice,
Aby rozwidnić te wasze ponure,
Od grzechów ciemne, nazbyt ludzkie lice.

Nieraz, gdy w walce śmigają pociski
I godzi we mnie wasza ręka twarda,
Tak bywam w sercu przebaczenia bliski,
Że nie wiem: miłość jest-li to, czy — wzgarda?

NUDA.

O balustradę mostu wsparty, widzę
Blade majaki oparów nad rzeką,
Co z niebem w nurtach ciemniejącem w lidze
Rozkołysana płynie hen — daleko...

W wód bruzdy patrzę i na fal gonitwę,
Jak wieńczą pianą zwierciadlane grzbiety
I łkam jak fale, szepcąc ich modlitwę,
Gdy wiatr nad brzegiem targa wierzb szkielety.
— — — — — — — — — —

Na pola parny zwlókł się zmierzch, jak starzec
Z bajki, co w sinej mgle zamawia czary;
...Gdyby tak dobrych dni i złych się zarzec
I cicho wsiąknąć w własny cień swój szary!

ŚLADEM MAR.

Więc grzechem miłość, grzechem jest nienawiść? Powiedz
Duszo, czy znasz ty z tego labiryntu wyjście?
Wywlokłem cię na pytań bolesnych manowiec,
A tobie z oczu lecą łzy, jak zwiędłe liście...

Krok w krok za nami idzie wina i przed nami,
Miarą oddechów naszych swoje trwanie liczy;
Przez nas samych rzucany cień ścieżki nam plami:
Sobowtór nieuchwytny, cichy, tajemniczy.

A gdy niebaczni do tej zbłądzimy czeluści,
Kędy pod wiecznie czujną mroków ślepych strażą
Zakuty w srebrny pancerz smok sumienia drzemie,

To tłumiąc krzyk przerażeń z obłąkaną twarzą
Grzechy najkrwawsze, których nikt nam nie odpuści
Skryjmy w pierś swą, jak ziarno nasienne pod ziemię!

DO * * *

Nikt mi już ciebie odebrać nie może,
Bom cię marzeniem uwięził na wieki
I zamknął w serca najskrytszej komorze
I nie wypuszczę cię z pod swej opieki,
Choć wszystko we mnie w ogniu własnym zgorze.
Moje na życie zamknięte powieki —
Lecz świecić ma mi, póki sam nie zgasnę
Twa dusza jasna, jak oczy twe jasne.

Zda się, iż wszystką tobie światłość skradłem
I ona dziś mi blask na czoło rzuca,
A łzy po licu mem płyną wybladłem
I nic mnie bardziej chyba nie zasmuca
Niż to, gdy mętnem odbijam zwierciadłem
Ciebie, patronko mej doli! Lecz płuca
Głębszym i czystszym falują oddechem,
Gdy głos twej duszy dzwoni we mnie echem...

Idę za tobą, jak za drogowskazem,
Bo wiem, że dla mnie serce twoje bije,
A że jest pełne tęsknoty, więc razem
Jest ono tylko boże — i niczyje...
Ztąd nieraz korzę się przed twym obrazem
I jak włóczęga z źródła, z ust twych piję
Rzeźwiący napój łaski, by mnie srogi
Znój nie powalił przed końcem mej drogi...

* * *

JAN LIPSCHITZ.

IV.

W ZMIERZCHU.

Idę w zmierzchu wieczornym, bez celu, bez drogi, —
Nie wiem, dokąd mię kroki zawiodą tułacze...
Wszystko mi jedno!... Żadne gościnne mię progi
Nie czekają, odejścia mego nikt nie płacze!

Nikogo nie zostawiam w moim pustym domu,
I nikt na mnie u kresu podróży nie czeka.
Obojętny dla wszystkich, nieznany nikomu —
Idę w świat, — wszędzie obcy, przychodzień zdaleka...

Cienie się kładą zwolna na umarłe niwy,
Czepiają się przydrożnych drzew nagich gałęzi,
Gdzieś w oddali psy wyją, rwąc się na uwięzi,
Wszystko dokoła niknie, w zmierzch się stapia siwy,
Niebiosa nad mą głową coraz bardziej bledną...
A ja wciąż idę... Dokąd? Wszak to wszystko jedno!

BRONISŁAW BOROWSKI.

V.

WSZAK MOGŁEM...

Psia krew!
Wszak mogłem też mieć złoto
A mam garść pełną plew,
Gdy oto,
Tam w pobok, kapie, kapie złoto
Z zaczarowanych drzew...
Psia krew!

K. L.

W Karpatach.

W środku Europy, jak wielki łuk napięty ku wielkiej równinie północno-wschodniej leży łańcuch Karpat. Na ich stokach rozłożyły się od Alp Siedmiogrodzkich po ostatnie krańce Beskidu ludy słowiańskie, na wschodzie ruscy Huculi, pośrodku i na zachodzie Polacy, za granicą węgierską na całem południowem zboczu Słowacy zmieszani z Rusinami i Polakami. Życie tych ludów swobodne i wolne tchnie żywiołową siłą i pierwotną kulturą. Zanim będziemy mogli bliższą tej dziwnej okolicy i tym ludom poświęcić uwagę, rzucamy na papier nasze pierwsze impresye.

Między łagodne wzgórza, coraz wyżej pną się drogi ku górom, spina się ciężko kolej. Gdy zaczynamy wznosić się ponad niezmierną plażę łanów iskrzących aż po piaszczysty a błękitniejący horyzont, na widok wyłaniających się wielkich fortec karpackich pogarbionych i po stokach miękko trawą porosłych, zdaje nam się że Wogezy otwierają długie doliny na Gérardmer. Zbocza kop pocięte na pola jasne nad któremi czuwają, w gajach złotych kasztanów, szare dzwonnice niby gołębniki. Stada owiec, siwe jak mech islandzki, ciągną drogami białemi wzdłuż krętych rzek, które spadają po stopniach skał, a szumu ich nie słychać. Stoki białe jak śnieg, od rumianków w świetle słonecznem. Gdzieniegdzie na tle nieba zarysowuje się na wzniesieniu łąk jakaś stara rudera z drzewa sosnowego, zczerniała od niepogody, jakby z szarego łupkowego kamienia, potem zagrody chłopskie rozrzucone, na jasnych podmurowaniach, ze ścianami bielonemi, poprzerzynanemi czarnemi belkami, w cieniu wielkiej lipy, które przypominają swoim kolorytem pół-żałobnym chaty bretońskie. Do pociągu przejeżdżającego cisną się dzieci obdarte, jasne jak len, i podając kwiaty domagają się centów od podróżnych. W miarę jak pociąg spina się w górę ukazują się drogi leśne, skaliste, pełne wybojów, spadające ze stoków między płoty z ociosanych świerków całej długości. Na zielonych murawach igrają piękne, bosonogie chłopki. Na brzegu lasu kobiety odpoczywają siedząc przy drodze w spódnicach zielonawych, w chustkach żółtych i krasych na głowach, podobne do kobiet w Tyrolu. Zdala szerokie, wezbrane potoki na płaszczyznach łąk podmulają mostki z pali okrągłych, któremi brzegi ich są połączone. Przerzynamy nieskończone lasy świerkowe, których wysokie kolumny zwie-

szają ponad gęstwiną mchem podszytą długie gałęzie, a od nich opuszcza się jasna frendzla młodych gałązek i ciemna zieleń jakby draperya czarnego aksamitu. I nagle, na tle szerokiego nieba odkrywamy w głębi płaszczyznę o łagodnem wzniesieniu, i w promiennej jasności obłoków, jakby w przepasce z kamienia mglistego, szarą, starą koronkę Karpat, haftowaną śniegiem.

Letniska wielkie jak miasta powstały od lat kilkunastu w głębi tych kotlin wdzięcznych, zasłoniętych od wiatru. Z nich Zakopane najbardziej typowe. Ludy równin sarmackich w tych wyżynach krzepią temperament, tu czerpią zdrowie i podnietę dla dusz. Twardą odporność i zaciętą odwagę symbolizują te góry. Muzycy [1]) tworzą tu opery natchnione życiem ludu i charakterem tych Alp środkowych, poeci współczesni sławią je dla zdrowej i szorstkiej prostoty. Nawet myty ludowe górali dostarczają tematu harmonijnego dla marzycielstwa Goszczyńskiego w jego ślicznej „Sobótce“, tu Tetmajer rozsnuwa „Melodyę mgieł“. U wód kryształowych dzikich potoków górskich, wszystkie umysły czerpią natchnienia; poeta woła: „W całej mej rozległej ojczyźnie o świątynio skał, w tobie tylko są ołtarze wolności“. (Nowicki).

Wszystko tu podnosi wychowańca miast i umacnia życiem pełnem prostoty i hartu. W wielkich domach, podobnych do jodłowego żłobu, można widzieć przez okno zastawione doniczkami kwitnącego geranium, mężczyznę przy warsztacie heblującego, i z drzewa białego, leśnego, powstają krzesła, laski kształtu siekierek, skrzynki, czerpaki o rączkach niby rączki skrzypiec, wszystko kształt ma jakiś odrębny, jakiś styl jednolity, a bogaty; kobieta haftuje szarotki zielone i niebieskie na plecach kaftanów ze skóry. W uliczkach widzisz tylko górali, jak pustelnicy ubranych w skóry zwierzęce, plecy pochylone jakby pod skorupą żółwia pod „serdakiem“ ze skóry brunatnej lub wełny żółtawej, twarze schowane w kapelusz z czarnego sukna. Z dalekich wsi, ukrytych w szczelinach Karpat, ciągle schodzą czarni i obdarci orlogłowi górale. Wozy, o koniu ledwie że zaprzężonym, spuszczają się z góry, starając się wyprzedzić lokomotywę; życie przybiera porywczy, radosny pośpiech wody, która dopiero co wytrysnęła z pod ziemi. Koło drogi gonią się młode chłopaki, a młoda dziewczyna przed domem, jak wielka lalka w szerokiej krasej spódnicy, kwitnąca młodością w swym różowym, srebrem wyszywanym gorsecie, z twarzą hożą i świeżą przegina w tył swą pełną kibić i śmieje się rozbawiona do tych młodzieńców, którzy mijają jak wicher. Wozy podłużne, kryte budą płócienną, podobne do wielkich koszów z łoziny, któremi powozi góral o dumnem obliczu, odbijają klienta za pomocą wesołego żartu i puszczają się z wycieczką w góry, tam gdzie czarne tafle jezior leżą zamknięte w ciemno-fiołkowych skałach. Tutaj to ludność równin, ciągle niepokojona burzliwym czasem, tu niedobitki wojen, chroniły się podczas wieków całych, tutaj umiano stawiać opór obcym najeźdzcom, tu dochowała się skarbnica języka i podań na tych szczytach karpackich, gdzie podług słów legendy, zasiadł ptak polski sięgając jednem skrzydłem morza Czarnego, drugiem Bałtyku. W naszych czasach górale tych okolic są najwierniejszymi przedstawicielami dawnego świata polskiego.

Ku północy spuszczają się Karpaty tarasami o łagodnym spadku. To

---

[1]) Stefani, Żeleński, Paderewski etc.

płaskowzgórze jest z istoty swej poważne i łagodne. Co za powietrze, co za światło! Pamiętamy jeden wieczór niedzielny u stóp Tatr. Słońce zaszło za niebieskawe lasy, które okalały świat na widnokręgu. Przed nami równina bezbrzeżna pod nagiem sklepieniem była jednem polem zboża dościgłego, różowiącego się lekko od spokojnej czerwieni nieba. Nad tą równiną, uprawianą od wieków, panowało milczenie pustynne, ani ptasiego śpiewu usłyszeć, ani dostrzedz żywej istoty, tylko jakieś ciche, niewinne, niezmierne, szczęście o ciepłej barwie zboża zaległo ziemię, jak okiem sięgnąć i jak gdyby zasiane było na wieczność przez lazur niebieski wzniosło się ku niemu wyżej niż wszelkie istnienie. A my, którzyśmy nie z tego kraju, a tylko przechodnie aby odetchnąć wilgotną wonią zboża życia, w świetle kojącem zmierzchu uczuliśmy jakby upojenie żniwem płodnem w cierpliwość i nadzieję, którego nie dają winnice podczas winobrania. Jakże nie zrozumieć że ów lud przez wieki prawie wyłącznie hodujący pszenicę, upojony wonią swych kłośnych pól, zamarzył że jest jedynym posiadaczem fermentu życiowego, przeznaczony by zostać tym ludem rolniczym, który zasieje szczęście na całej powierzchni kuli ziemskiej.

Czuliśmy się w szczerem odludziu wśród obszaru pól, a jednak nagle odkryliśmy miasto. Było całkiem blizko, tak ciasno otoczone ziemią uprawną jak jakaś wiejska zagroda. Liczne jego wieże, dzwonnice, kopuły metalowe drżały jeszcze w czystych polach światła, jak dzwonnice wiejskie wydzwoniwszy Anioł Pański. Idąc ku miastu napawaliśmy się pięknością ewangieliczną tego życia, śród wonnego otwartego powietrza. Łagodny wietrzyk równinny, pachnący ziemią, poruszał wdłuż fortyfikacyi zarośla strączkowe biało kwitnące, pod któremi bawiły się gromadnie dzieci, a na zielonych wałach starego miasta, piękne dziewczęta jasnowłose posiadały na trawie; patrząc ku polom z modlitwą na ustach rysowały na widnokręgu rasowe profile złocone cichym wieczorem.

Słowianina szczęśliwego posiadaniem swej ziemi, cieszącego się poetycznem uczuciem pewności i bezpieczeństwa, swoim domem, swą rodziną, swem niebem, nie widzieliśmy ani na Pomorzu, ani w Poznańskiem, ani w Królestwie Polskiem, ani na Litwie lub na Ukrainie, ale jedynie w Galicyi. Tu zakwita krajobraz ojczysty jak szczęście ludzkie jakimś wdziękiem niewinnym, którego nigdzie indziej nie widzisz w takiej jasności. Nic nie ma rozkoszniejszego jak wsie we wszystkich tych ziemiach.

O kilka godzin od miast najznaczniejszych, równina, która naokoło dzwonnic mniejszych osad, wydaje się jedną wielką żyzną zielenią, nagle zwęża się i zbiega w drogi wydrążone między szkarpami porosłemi dziką różą, biegnące pod biało kwitnące akacye. Po kamienistych wądołach z których spadają kaskadami potoki, spuszczają się drogi te na łąki zielone, zaciszne, gdzie konie wolno harcują w pośród gęsi, chłopki w chustkach na głowie zielonych, pomarańczowych, czerwonych, podobne do niewiast perskich siedzą na murawie jak pstre kwiaty, w cieniu jabłoni. Droga, która jakiś czas ciągnęła się wzdłuż żywo płynącej wody, teraz prowadzi nas koło progów chat wiejskich. Chaty te niskie, niektóre zielone, prawie wszystkie niebieskie, jakiejś barwy lazurowej, jasnej, srebrzystej jak z bajki. I przed temi mieszkaniami, które wśród akacyi i wierzb zadziwiają nas swym wschodnim

kolorytem kobiety, mężczyźni, dzieci jasnowłose o turkusowych oczach, siedzą ugrupowani, a ich przepyszne różnobarwne stroje czynią wrażenie baśni o wieczystej wiośnie. Wschodni wygląd tych wsi chrześcijańskich, gdzie w jakiemś małem okienku ukazuje się jak w ramce łagodny profil dziewczęcy, sprawia dziwnie egzotyczne wrażenie, unosi umysł daleko, między temi domami pomalowanemi na ów nieprawdopodobny niebieski kolor, zdaje się że trwa tu wesoła dusza jakiejś bardzo dawnej Anatolii.

Ze wszystkich tych wsi i wiosek tłum ludu spieszy do miasta w dnie targowe.

Pod wyniosłym kościołem gotyckim z czerwonej cegły na bruku krakowskiego rynku, tego forum dawnej historyi polskiej, okryte szalami podobnemi do indyjskich, stare przekupki sprzedają grzyby, a siedzące na koszach wywróconych, stare kwieciarki o oczach jeszcze bardzo niebieskich układają na swoich kolanach stokrótki, bławatki i maki, zwykłe trójbarwne przybranie ołtarzów wiejskich. Gospodarze w kaftanach długich wyszywanych czerwono koło szyi i na rękawach, w czapach z wełny białej i szerokich pasach ze skóry czerwonej wybijanej miedzią, zeskakują ze swych wózków kształtu długiego kosza z łoziny i chodzą śród tłumu paląc fajki. Bose niektóre, drugie w wysokich butach, z koszykiem jarzyn na ręce, dzban z mlekiem trzymające w drugiej, z tobołkiem na plecach żywo kroczą kobiety hoże i mocne, jak żołnierze, z szyją wyprostowaną, okazałe w swych czerwonych spódnicach. Frendzle ich chustek żółtych jak słoneczniki, cytrynowych, szkarłatnych, które zawiązują pod brodą, chusty duże w pasy zielone i purpurowe, które zarzucają na siebie, unoszą się z powiewem wiatru. Za sukiennicami stoją dwa rzędy chłopek w koralach na szyi, z haftem koralowym na rękawach, ze srebrnemi półksiężycami w uszach, sprzedają mleko i masło. I ciągle te same chustki koloru maku polnego, szale koloru maku ogrodowego, spodnice barwy pomidorów, wśród tej czerwieni, która przytłumia świeżość ich cery blondynek, włosy zblakłe i twarde od słońca, czoła opalone i pokryte piegami, źrenice siwe, i szorstkie, ale pogodne twarze żniwiarek.

W rzędach przekupniów kręcą się i uwijają chustki szmaragdowe, gorsety barwy geranium, spodnice z aksamitu mchowo zielonego, surowy i jaskrawy zespół kolorów wśród tupotania butów i wrzenia głosów. Mężczyźni i kobiety potrącają się łokciami niezgrabnie, idąc w słońcu.

I bardzo możnaby pokochać tę pełną siły życiowej gromadę rolników, która w tej pstrokaciźnie kolorów doznaje dziecinnej przyjemności, jakby na jakimś wielkim jarmarku barw różnorodnych.

Z tego wszystkiego zrodziła się sztuka ludowa, w krakowskiem przeważnie wycinanki z kolorowego papieru i malowanie na drzewie, u wschodnich Huculów tkactwo, hafciarstwo, wybijanie w mosiądzu i garncarstwo, a na podhalu tatrzańskiem potężny odłam sztuki: rzeźba i budownictwo drzewne stanowiące dziś dumę Polski.

MARIUS - ARY LEBLOND.

Kilka ustępów z nadesłanego łaskawie rękopisu wolno przełożyli B. W. i X. Y.

François br. Gérard
i portret jego pędzla w Muzeum im. X. X. Lubomirskich we Lwowie.

Wielka Rewolucya francuzka, jak w całem zresztą życiu ówczesnem, tak i w sztuce, zupełnego dokonała przewrotu. Sztuka francuzka ośmnastego wieku była jakgdyby misternie wypolerowanem zwierciadłem, w złote, barokowe, pysznym ornamentem zdobne ramki oprawnem, na którego powierzchni drgał obraz powabny jasnego i barwnego życia, życia bez trosk i udręczeń, pełnego uśmiechów szczęścia i uciech wszelkiej kategoryi, różnej intenzywności, lecz używanych zawsze ze smakiem wytwornym, wyrafinowanie subtelnym.

Społeczeństwo francuzkie tej doby wychylało zwolna aż do dna samego puchar rozkoszy w tę długą upojną noc Baltazarową, bez wytchnienia i opamiętania, bez oglądania się na grożącą nieuchronnie zagładę i straszną krwawą pokutę. Artyści francuzcy byli może w stopniu wyższym, niż kiedykolwiek, świetnym wyrazem tej osobliwej chwili dziejowej, w której żyć im było danem i środowiska, z którego wyszli. Sztuka czerpała żywotne swe soki z bujnego życia tych czasów.

Był takim malarzem — galanthomme pełen gracyi Antoine Watteau i Nicolas Lancret, malarz słynnych francuzkich salonów Jean Baptiste Pater i elegancki J. B. Leprince, biegły portrecista Jean Marc Nattier i twórca małych wdzięcznych portrecików Robert Tournières, byli takimi zwłaszcza spadkobiercy techniki Rosalby Carriery, świetni pasteliści, jak Peronneau, Maurice Quentin de Latour i Jean Etienne Liotard.

Powab ciała kobiecego, osłoniętego z lekka strojem, złożonym z miękkiej, przejrzystej czasem materyi i sutych prześlicznych koronek, prawdziwe święcił tryumfy w niewielkich obrazkach kilku zwłaszcza

artystów, którzy jak Pierre Antoine Baudouin, a przedewszystkiem François Boucher i Jean Honoré Fragonard, podpatrywali niedyskretnie z niczem niekrępowaną swobodą tajemne schadzki i ciepłe sceny miłosne pięknych par ówczesnych.

Nie tak daleko znowu od tych malarzy, jakby się zdawać pozornie mogło, stoi miękki i czułostkowy Jean Baptiste Greuze... Jest w jego obrazkach dużo elementu moralizatorskiego, to pewna, ale też głównym jego celem jest zawsze przedstawienie wdzięku kobiecego, uroku, jaki wywiera postać niewinnego młodego dziewczęcia, w okresie gdy z dziewczynki staje się już kobietą. A i to pewna, że te śliczne, słodkie twarzyczki dziewczęce, łzawią się na tylu jego obrazkach i trwożą nie tylko z powodu stłuczonego dzbanka lub lusterka...

Sztuka i kultura estetyczna stała bardzo wysoko. A tak, jak sztuka była spokojna, pogodna, tak spokojne, choć bynajmniej nie ciche, było życie, swawolne wprawdzie i swobodne, lecz pozbawione zwykle silniejszych, bardziej żywiołowych wybuchów temperamentu i namiętności. Jedyna zacięta walka jaką toczono podówczas z uporem, wybuchła po wystąpieniu na widownię publiczną Jana Filipa Rameau z operą, opartą na francuzkim, narodowym pierwiastku. I toczył się długo spór o to, czy wyżej stoi opera włoska, czy francuzka, Buffoniści walczyli z anti-Buffonistami, potem znowu zwolennicy Glucka z wielbicielami Picciniego, tak, że powstały dwie wrogie sobie partye, jedna królowej Maryi Antoinetty (au coin de la reine), która była za Gluckiem, i partya króla (au coin du roi), który popierał Picciniego.

Pozatem życie płynęło spokojnem korytem, niezamącone, równe, a ciekawe i piękne. Poziom tego życia nie był co prawda zbyt wysoki, napięcie niezbyt intenzywne, aspiracye nie zawsze daleko idące. Ale człowiek ówczesny czuł rozkosz życia i brał z niego to wszystko, co było dla niego ponętne.

I każdy mógł w Paryżu szczerze wyznać wraz z Kajetanem Węgierskim:

„Kocham się w zbytkach, pieszczoty lubię,
Kunszta i życie wygodne;
Porządek chwalę, gustem się chlubię
I to mi ładne — co modne;
Niech to gust będzie złośliwy,
Tak myśli każdy uczciwy,"

(„Mój świat").

Lecz tak być mogło do pewnej tylko chwili. . . .

*

Przepyszne Rococo zakończyło się nagle przebudzeniem ze snu złotego do strasznej, krwawej rzeczywistości. Marsylianka i „Ça ira“ dziwnie brzmiały w wydelikaconych uszach, przywykłych do rozmów dowcipnych, lekkich, do szeptów miłosnych, do pięknych a łagodnych dźwięków pieszczotliwej muzyki ulubionych gawotów i wytwornych menuetów. Głuchy odgłos spadającego noża gilotyny, wrzaski i ryki rozbestwionego motłochu, zdawały się wróżyć śmierć niechybną tym wszystkim, którzy dotąd dla owej „canaille“ mieli tylko grymas wzgardliwy na twarzy.

Rewolucya położyła kres stanowczy tak wybitnie arystokratycznej sztuce epoki Rokoka.

Wiele pięknych dzieł sztuki padło ofiarą rewolucyjnego, ślepego wandalizmu; wielu malarzy rzucić musiało swe farby i miękkie pastele, a ująć broń do dłoni. Wytworny portrecista, Aleksander Kucharski, w mundurze oficera gwardyi narodowej pełni straż w więzieniu Temple, a następnie w Conciergerie! W jednej niemal chwili zmieniło się wszystko: rząd, ludzie, moda codziennego stroju, sztuka i upodobania estetyczne, o ile zrazu w ogólności mogła być o nich mowa.

Pseudoklasycyzm, zataczający już przedtem[1]) coraz szersze kręgi, zaczyna panować w sztuce, a nawet w życiu publicznem, prawie niepodzielnie. Republikańscy przywódcy, ze sztucznym patosem słów i gestów stawiają za wzór starożytną Grecyę, rządzącą się bez królów i władców, śmiercią karzącą srogich tyranów. W Grecyi upatrywano historyczne usprawiedliwienie rewolucyjnych zbrodni, z greckich bohaterów usiłowano brać dla siebie przykład.

Pseudoklasyczne utwory Davida, od „Horacyuszów“ począwszy, stają się wyrazem nastroju, dążności i usposobień całego rewolucyjnego ogółu, staje się oficyalnie uznawaną przez rząd republikański sztuką.

Autor Przysięgi Horacyuszów, Brutusa, malarz Lepelletier'a na łożu śmierci i zamordowanego Marat'a, deputowany konwentu, obywatel Jacques Louis David jest pierwszym malarzem we Francyi w dobie rewolucyi. Ze szkoły tego malarza wychodzi wnet cały zastęp utalentowanych uczniów, jak Girodet, Isabey, Granet, Léopold Robert, Ingres, Gros, a w ich także liczbie urodzony w r. 1770 François Gérard.

*

W czasie tego huraganu dziejowego stawiał Gérard pierwsze kroki na drodze swego artystycznego rozwoju. Urodzony w Rzymie, w trzy-

---

[1]) W Niemczech J. Winkelmann wydaje w r. 1755. „Gedanken über die Nachahmung der griechieschen „Werke“, a w r. 1764. „Geschichte der Kunst des Alterthums“.

nastym roku swego życia przybywa z ojcem do Paryża, uczy się najpierw u rzeźbiarza Pajou, poczem przerzuca się do malarstwa, studyując z zapałem tę sztukę zrazu u Brenet'a, a następnie u Davida. Był uczniem Davida... Określenie to mówi w tym wypadku ogromnie wiele, bo silna indywidualność Davida wywarła na umysł, talent artystyczny i całą późniejszą nawet działalność Gérarda wpływ bardzo silny, i co podkreślić należy, dodatni. „Soyons vrais d'abord, nous serons beaux après“ — mawiał David i w myśl tej zasady sam tworzył i innych do przestrzegania jej zachęcał. Był bowiem David mimo wszystko, pomimo kompozycyi historycznych, tworzonych w duchu pseudoklasycznym, w sztuce swej realistą, a nawet naturalistą, zwłaszcza w portretach i kilku scenach zaczerpniętych ze zdarzeń rewolucyi. Pod koniec swego życia zapatrzył się na rzeźbę klasyczną, na niej starał się wzorować i był przekonany, że szukając prawdy za pośrednictwem sztuki klasycznej znajdywał tę prawdę w istocie. Nie był jednak jeszcze takim wówczas, kiedy młody Gérard pobierał u niego naukę, bo wtedy życie, wrące wokoło, w którem sam jako gorący rewolucyonista gorliwy brał udział, było też podstawą jego sztuki, zrywającej o ile możności wszelkie więzy dotychczasowej tradycyi.

Gérard należał do najzdolniejszych uczniów Davida i cieszył się przyjaźnią i poparciem swego mistrza, aż do chwili, kiedy jako portrecista stał się groźnym antagonistą swego nauczyciela. Już w r. 1789 otrzymuje Gérard drugą nagrodę Akademii Rzymskiej za swoje prace; w Rzymie jednak zabawić mógł tylko dwa lata, poczem musiał wracać do Paryża, gdyż wpisanoby go na listę emigrantów. Powrócił więc, nie przyjął miejsca przysięgłego w trybunale rewolucyjnym, które wyrobił mu David, gdyż od całej polityki stronił całkowicie i poświęcił się pracy. Jego „Belizaryusz“ to jedyny obraz malowany w duchu rewolucyjnym; miał jeszcze zamiar malować detronizacyę Bourbonów, lecz pomysłu tego nie uskutecznił. Gérard nie miał być malarzem rewolucyi; w r. 1798 wystawia obraz p. t. „Psyché recevant le premier baiser de l'Amour“, obraz, który pomimo swej nieaktualności w Paryżu bardzo się podobał. Wcześniej jeszcze, swym portretem pani Brongniart odniósł sukces zupełny i zyskał rozgłos utalentowanego portrecisty.

W niewielkich odstępach czasu maluje szereg kompozycyi, jak „Les quatre ages“, „Bitwa pod Austerlitz“, a później dwa głośne obrazy „L'entrée d'Henri IV. à Paris“, za który otrzymał tytuł „premier peintre du roi“ i „Le sacre de Charles X.“ Podczas gdy jednak „Wjazdem Henryka IV.“ osiągnął tryumf zupełny, drugi jego obraz „Koronacya Karola X“ ogólnie się niepodobał, a wyrazem tego nie-

zadowolenia była osobna broszura, która się ukazała w Paryżu p. t. „Le peuple au Sacre, critique de tableau de Mr. Gérard par A. Jall." Zarzucano mu tam, że w większych swych kompozycyach był dotąd zawsze zimny, suchy i sztywny, a teraz, kiedy daremnie usiłował ożywić swój koloryt, jest jeszcze gorszy, aniżeli przedtem. Ta ostra, za surowa może nawet, krytyka, musiała niezawodnie bardzo boleć Gérarda. Te 80.000 jednak franków, które za obraz ten otrzymał, były mu ulgą niemałą w tem zmartwieniu i najlepszem pocieszeniem.

W ogólności Gérard nie miał nigdy powodu skarżyć się na brak powodzenia. „Nul n'a été plus adroit courtisan de la fortune que Gérard", zauważa jeden z historyków sztuki[1]). Pod względem finansowym stał bardzo dobrze, a ponieważ był człowiekiem wysoko wykształconym i w obejściu nadzwyczaj miłym, pożądano go bardzo w wyższem towarzystwie, zwłaszcza od czasu, gdy i ze strony oficyalnej posypały się odznaczenia w postaci krzyża legii honorowej i baronostwa, które mu nadał Ludwik XVIII. Salon jego, w którym się zbierały na pięknych przyjęciach najwybitniejsze osobistości ówczesnego Paryża, należał do pierwszych i najchętniej odwiedzanych.

Dziś, w siedmdziesiąt kilka lat po śmierci Gérarda († 1837), owe wielkie kompozycye, które mu taką sławę i rozgłos przyniosły, najmniej do nas przemawiają. Jeśli i teraz jeszcze talent Gérarda w podziw nas wprawia, jeśli on sam bezpośrednio do nas z płócien swych przemawia, to przyczyną tego są nie owe wielkie „machines", lecz niezwykłej piękności jego portrety, zwłaszcza kobiece, których wymalował ilość ogromną. Gérard był głównym, najbardziej wziętym portrecistą epoki Empire'u; to też przez jego atelier przesunęły się nieledwie wszystkie wybitne osobistości owych czasów, od Napoleona i jego rodziny począwszy. Na oeuvre Gérarda w dziedzinie malarstwa portretowego składa się niewiele mniej, jak sto portretów en pied i ponad dwieście popiersi lub wizerunków do połowy postaci. Ta świetna i tak bujna na tem polu działalność Gérarda zjednała mu u ludzi współczesnych zaszczytny przydomek „le peintre des rois et le roi des peintres". Sam Gérard zdawał sobie dobrze sprawę z tego, jak ważną jest jego działalność jako portrecisty, przechowywał skrzętnie szkice do wszystkich portretów, jakie kiedykolwiek malował, notował sobie czasem rysy twarzy i tych osób, które nie siedziały mu do portretu, a w r. 1826 zaczął wydawać na podstawie tych szkiców i no-

---

[1]) La Peinture Romantique — Essai sur l'Évolution de la peinture française de 1815 à 1830 par Léon Rosenthal. Paris. L. Henry May. 1900. str. 263.

tatek zbiór wizerunków p. t. „Collection des portraits historiques de Mr. Le Baron Gérard, premier peintre du Roi, gravées à l'eau-forte par M. Pierre Adam, précedée d'une notice sur le portrait historique".

Dopiero na podstawie i tej strony jego artystycznej działalności, można sobie wyrobić sąd o tym artyście i słusznie go ocenić, scharakteryzować jego twórczość. Bo Gérard, jako twórca „Belizaryusza", wspomnianych wyżej wielkich kompozycyi i innych tego rodzaju obrazów, jak n. p. „Louis XIV. déclarant sont petit-fils roi d'Espagne" lub „Louis-Philippe acceptant la lieutenance générale du royaume", byłby tylko utalentowanym, choć nieco nudnym, naśladowcą Davida i niczem więcej. W malarstwie portretowem jest Gérard sobą, uczniem zaś Davida tylko o tyle, że przestrzega jego zasady szukania prawdy, na swój odrębny jednakże sposób.

Odrębne charaktery indywidualności tych obu malarzy, Davida i Gérarda, ujawniają się najlepiej przy zestawieniu znanych powszechnie ich portretów pięknej pani Récamier, przechowanych w Galeryi Luwru.

David dał na martwem tle postać półleżącej, wspartej na wezgłowiu, wysmukłej, o szlachetnych liniach ciała, boginki, a obok niej ustawił wysoki archaiczny kandelaber ze starożytną lampką oliwną. Zresztą pusto i zimno wokoło tej postaci. Całość bardzo stylowa, ale bardzo chłodna zarazem.

Gérard natomiast dał rzeczywisty, pełen naturalnego wdzięku, portret pięknej i nie tak znowu poważnej Julietty. Ciało jej z lekka tylko osłonięte, biust nieco obnażony, postać cała swobodnie i niedbale nieco spoczywająca na wygodnym miękkim fotelu. Tło piękne i urozmaicone konwencyonalną trochę kolumnadą, odpowiednią zasłoną, widokiem na sylwety drzew i wysokiej jakiejś budowli. Doprawdy, przyznać należy słuszność uroczej pani Récamier, kiedy niezadowolona z portretu Davida, Gérardowi właśnie oddała z uznaniem pierwszeństwo.

Gérard miał specyalny dar łączenia sprzeczności, wyrównywania szorstkości i zaokrąglania wszystkiego w piękną wdzięczną całość, tak, że sztuka jego podbijała sobie serca wszystkich. Pięknie charakteryzuje całą twórczość tego artysty Léonce Bénédite, konserwator Muzeum Narodowego w Luksemburgu, kiedy mówi o nim[1]: „...savant sans pédantisme, élégant sans affectation, séduisant, fécond, souple,

---

[1]) Léonce Bénédite: Histoire des Beaux-Arts, 1800—1900. Peinture, Sculpture, Architecture, Médaille et Glyptique, Gravure, Arts Décoratifs en France et à l'Etranger (Paris, E. Flammarion) str. 26 i n.

cultivé et mesuré, habile aux compromis distingués, annonce déja tous les Delaroche et tous les Cabanel; type parfait d'école, il réunit sans excès les tendances les plus contraires et sait s'assimiler evec prudence et avec goût jusqu'au plus compromettantes nouveautés".

*

Zdarzyło się też Gérardowi w ciągu długiego jego żywota portretować kilka pięknych Polek. Jeden z tych portretów malowany w najlepszym okresie artystycznego rozwoju Gérarda, kiedy nietylko sława jego ale i zdolność i sprawność malarska znajdowały się u zenitu, zdobi galeryę obrazów w Muzeum im. X. X. Lubomirskich we Lwowie. Jest to naturalnej wielkości, olejny portret Katarzyny z hr. Jaworskich hr. Starzeńskiej, secundo voto Pawlikowskiej, ofiarowany do zbiorów muzealnych przez rodzinę hr. Starzeńskich [1]).

Ten kobiecy wizerunek z pierwszych lat XIX. wieku, to obraz cenny niezwykle także jako wierny dokument epoki. Tak, jak Starzeńska na tym portrecie, wyglądały mniej więcej wszystkie wytworne i piękne damy tego czasu, takie same lubiały przybierać pozy i podobnie się stroiły. Przedewszystkiem tak się ubierały i to tylko między r. 1800 a 1805... Mody bowiem, zwłaszcza stroju kobiecego, przechodziły podówczas szybkie, ustawiczne, a gwałtowne zmiany [2]). Rewolucya, która zmieniła wszystko do gruntu, zmieniła też w zupełności i stroje głównie kobiece.

Zmieniła się forma, zmieniła się też, a raczej zanikła barwa świetnych dawniej sukien damskich. Kolor czarny, przyswojony przez demokracyę, zyskał sobie wtedy prawo obywatelstwa i trwa aż po dziś dzień, tak, że niestety nieda się już chyba nigdy wyrugować. Pod wpływem rewolucyi rwano wszelkie więzy, a więc nie tylko te, które uciskały duszę, ale i takie, które ciało krępowały. Gorsety uciskające pas i biodra, zarzuca się zupełnie, podobnie jak wszystkie korki u bucików, utrudniające chodzenie. Strój ma być możliwie prosty, naturalny, a wobec panującego powszechnie ducha pseudoklasycyzmu najlepiej na starożytnych szatach wzorowany. Równocześnie nadchodzą mody z Londynu i urabiają smak nowy. Talia staje się krótką, biust podwiązuje się wysoko przepaską, tak, że piersi zostają tem silniej uwydatnione. Zresztą suknia i talia są z jednego kawałka; suknia

---

[1]) Portret jest oznaczony z prawej strony obrazu, na kamieniu. *F. G.*

[2]) Cfr. Die Mode. Menschen und Moden im neunzehnten Jahrhundert nach Bildern und Kupfern der Zeit, ausgewählt von Dr. Oskar Fischel, Text von Max von Boehn. 1790—1817. (München, F. Bruckmann A.-G. 1908).

okrągła, niezbyt szeroka, bez trenu, rękawy długie, zakrywające ramiona aż po dłonie, kołnierz koronkowy, biały, a tak plecy, jak i biust zupełnie prawie zakryte.

Forma więc odzieży rzeczywiście prosta, o liniach skromnych, wyraźnie wzorowana na antykach, na których wzorowano też sposób uczesania głowy. Dawne wysokie, aż do niemożliwości wysokie fryzury znikły całkowicie i już nie deformują ani nie kryją kształtów głowy; peruki stają się, przynajmniej na czas pewien, zbyteczne, bo włosy zaczesuje się gładko i płasko na głowie, a zostawia się tylko parę kręconych loków, błąkających się z urokiem na czole. Takie uczesanie włosów widziano na bronzach i marmurach starożytnych, takie więc starano się naśladować.

Stroju dopełniała jeszcze rzecz jedna, londyńska specyalność, t. j. miękki i cienki szal wełniany, t. zw. cashmereshawl, który o tyle więcej był poszukiwany i przepłacany, że jako towar angielski, zakazany przez Napoleona, z trudem tylko wielkim mógł być sprowadzanym do Francyi. Noszenie takiego szalu, drapowanie się nim, stanowiło osobną sztukę, podobnie jak dziś n. p. trzymanie fałdów z lekka uniesionej sukni.

Biżuteryi nie noszono zbyt wiele; modne natomiast były bardzo antyczne, lub na antyczny wyrabiane sposób, kamee, zawieszone na złotych łańcuszkach.

Stosownie do wymagań tej mody ubrana jest hr. Starzeńska, dla temperamentu swego „Hajduczkiem" przez współczesnych zwana, na portrecie Gérarda. Smukła jej kibić tem smuklejszą się wydaje w czarnej aksamitnej dosyć wązkiej sukni, od której jaskrawo się odcina niedbale, a wdzięcznie na kamieniu porzucony szal miękki, czerwony, z delikatnym ornamentem i drobnemi frendzelkami na brzeżku, porzucony niby mimowolnie i przypadkowo, jak i ów piękny kapelusz z białej wiązany słomki, z przyszytą do niego atłasową wstążeczką, u nóg leżący. Kształtna głowa wychyla się lekkiem poruszeniem szyi z ładnego, koronkami zdobnego kołnierza, jakgdyby z kwiecianego kielicha. Siedząc na kamieniach zieloną murawą pokrytych, wsłuchuje się w szmer biegnącego u stóp jej strumyka, odłożyła na bok gitarę i wsparła na niej białą dłoń. Siedzi tak zadumana, rozmarzona może trochę zasłyszanemi już gdzieś pieśniami Osyana, siedzi na tle zachmurzonego nieba, drzew i ruin jakiegoś zamku, słowem na tle pejsażu, który już wyraźnie świeży powiew romantyzmu zwiastuje. Na ładnej młodziutkiej jej twarzy maluje się lekki sentyment, który i ustom pewnego nieokreślonego wyrazu nadaje i z czarnych, lekko powiekami przysło-

niętych oczu smutno trochę wyziera. I dziwnie spokojnie i cicho zachowuje się ów „Hajduczek“ wśród romantycznego otoczenia, i dziwnie jest słodki i niewinny.

Szczęśliwym trafem zachował się do tej pory szkic olejny Gérarda do tego portretu; znajduje się on wraz z ośmdziesięcioma trzema innemi w Muzeum Versalskiem pod Paryżem [1]. Konserwator tego Muzeum, p. André Pératé opisał niedawno ów niezwykle cenny zbiór szkiców Gérarda w pięknym, bogato illustrowanym artykule [2], gdzie opisuje także szkic z r. 1803 do portretu hr. Starzeńskiej, a myli się tylko, kiedy podaje, że oryginał znajduje się u hr. Tarnowskich („en Galicie, chez le comte Tarnowski“), gdyż w posiadaniu hr. Zdzisławowej Tarnowskiej, w Górze Ropczyckiej pod Sędziszowem, znajduje się tylko dobra kopia z tego portretu [3].

Dzięki niezwykłej uprzejmości p. Pératé'go, który nadesłał mi łaskawie umyślnie w tym celu sporządzoną fotografię ze szkicu wraz z dokładnem objaśnieniem (w liście z dnia 25. lutego b. r.) mogę podać w reprodukcyi ten ciekawy szkic, dotąd nigdzie nie publikowany i zestawić go z portretem, wykonanym przez Gérarda na podstawie tego szybko z modelu zdjętego szkicu. „Ce petit portrait de la Comtesse Starzeńska“ — pisze w wyżej cytowanym liście p. A. Pératé — est une chose charmante; très rapidement et librement peint, dans les tons mêmes du grand portrait. Il mesure: H. O,m 32, L. O,m 20. Il est peint à l'huile sur une toile à grain assez fort, comme on peut d'ailleurs s'en rendre compte par la photographie“.

Zestawienie szkicu z portretem daje ciekawe bardzo wyniki; na pierwszy rzut oka zachodzi pomiędzy nimi prawie identyczność. Dopiero po uważniejszem przypatrzeniu się można spostrzedz zachodzące różnice. Przedewszystkiem w twarzy: na szkicu ujawnia się wyraźnie ów charakter bezpośredniości w utrwaleniu rysów pięknej modelki na płótnie, jakiego brak na samym portrecie. Twarz na szkicu jest więcej owalna, kąciki ust mniejsze, mniej też owej sentymentalnej słodyczy, jaką z twarzy na portrecie czytamy. Niewątpliwie też twarz portretowanej więcej jest zbliżona do rzeczywistości w owym szkicu, aniżeli

---

[1]) Wiadomość tę zawdzięczam Prof. Jerzemu hr. Mycielskiemu..

[2]) André Pératé: Les esquisses de Gérard (L'Art et les Artistes, Revue d'art ancien et moderne des deux mondes, Paris, 1909, Octobre, no. 55, p. 9—13) — z szesnastoma reprodukcyami w tekście.

[3]) Oprócz tego szkicu do portretu hr. Starzeńskiej, są tam jeszcze dwa szkice, a mianowicie; do portretu hr. Zamojskiej z dziećmi (z r 1805) i hr. Walewskiej (z r. 1812). Wiadomości o tym ostatnim udzielił mi p. Dr. Zygmunt Batowski.

na portrecie, rozmyślnie wygładzonym, eleganckim, opracowanym sumiennie nawet w niektórych podrzędniejszych szczegółach.

Na portrecie ma hr. Starzeńska grecką kameę, w złoto oprawną i na złotym zawieszoną łańcuszku, czego jeszcze nie było na drobnym szkicu, ma też kołnierz koronkowy związany pod szyją białą wstążką z frendzelkami, który to szczegół na szkicu również został pominięty. Że w ogólności portret jest dokładniej i lepiej wykończony, rozumie się samo przez się. Widać to zwłaszcza na dłoniach, które wraz z palcami daleko lepiej i piękniej są wymodelowane, mianowicie dłoń lewa. Starał się też Gérard na portrecie swobodniej jeszcze ustawić obie założone na siebie stopy, odziane w zgrabne wązkie pantofelki i ażurowe pończoszki, które jednak namalowane są dość słabo.

Pod względem kolorystycznym portret Gérarda nie jest zbyt skomplikowany. Na tle zieleni, szarych chmur i skąpego lazuru nieba surowym kontrastem odcina się czarna suknia i szal cynobrowo-czerwony. Pejzaż za tło do portretu służący, który w czasach porewolucyjnych Gérard właśnie pierwszy napowrót do malarstwa francuzkiego wprowadził, nie odznacza się również wielkiemi zaletami, ale też artysta nie miał w tym kierunku daleko idącej ambicyi.

Wytworny ten, wdzięczny i piękny portret, dzieło wybitnego francuzkiego malarza, u którego i jeden z lepszych polskich artystów Antoni Brodowski (około r. 1809), się kształcił, należy w bogatej kollekcyi portretów Muzeum im. X. X. Lubomirskich we Lwowie do utworów najcenniejszych, jest też jednem z tych dzieł pędzla, które zająć i zatrzymać przed sobą na dłuższą chwilę potrafią nie tylko krytycznie, a chłodno usposobionego historyka sztuki, ale każdego estetycznie wyszkolonego widza.

MIECZYSŁAW TRETER.

Z powodu sprzedaży „Lisowczyka“.

Arcydzieła sztuki, jak wszelkie objawy geniuszu ludzkiego nie mogą być tajoną własnością jednostki; z czasem mimo wszystko przechodzą one na własność zbiorową.

Jestto już nieuchronnym losem zbieracza, że z chwilą gdy zbiory jego dojdą do pewnej wyżyny, społeczeństwo zaczyna niepostrzeżenie przystępować do nich w roli idealnego współwłaściciela. Musi się też ów posiadacz godzić z tem wspólnictwem zwłaszcza z chwilą, gdy mu miłość własna, jeżeli nie wyższa pobudka, każe otworzyć drzwi zbiorów tym, którzy je pragną poznać, znawcom, miłośnikom i naukowym badaczom. Ale nawet gdyby zrazu nie chciał ich okazywać oczom obcym, zdarza się, że rozstając się z ukrywanemi skarbami pod koniec życia nie znajduje lepszej rady niż darować społeczeństwu, spadkobiercy najpewniejszemu, włożony w swe dzieło kapitał wielki i niemały czasem trud życia. Niejednokrotnie znów wartość zbiorów będąc zbyt wysoka nie da się nawet spieniężyć bez straty i, rzecz szczególna, wtedy tem pewniej powiększa majątek publiczny. Więc też o znakomitych zbiorach prywatnych mówi społeczeństwo jako o własności kraju, chlubi się niemi jakby własnemi i troszczy o ich losy, stara się za pośrednictwem oficyalnem zabezpieczyć całość ich przeciwko ubytkowi (lex Pacca we Włoszech).

Z tego punktu widzenia jest przejście w ręce obce obrazu Rembrandta ze zbiorów dzikowskich hr. Zdzisława Tarnowskiego, o której wiadomość za obcemi rozgłosiły pisma nasze z początkiem maja b. r., faktem ogólniejszego znaczenia i nie może pozostać obojętnem dla szerszych kół. Nie wchodząc w motywy, które w pewnym wypadku mogłyby u kogoś przeważyć na rzecz wyzbycia się dzieła, chcę wyrazić zapatrywanie, jakie powinien podzielać historyk sztuki. Jeżeli bowiem jedni z wyrozumieniem wobec oferty nadzwyczaj korzystnej i pozo-

stającego z tem w związku zakupna dóbr nazwą ową sprzedaż „zamianą Rembrandta na ziemię", drugim może się to wydać słusznie uszczerbkiem kulturalnego bogactwa kraju, uszczerbkiem nie dającym się na nowo wypełnić, bo kupić czy wykupić gdzieś Rembrandta na Zachodzie ani nie będzie mogło żadne nasze muzeum, ani nie łatwo znajdzie na to środki prywatna osoba. Jeżeli się doda, że dzieło przez 120 lat było w rękach polskich, można je nawet śmiało zaliczać do zabytków przeszłości na naszej ziemi i z tego także stanowiska ubolewać nad uszczupleniem jej pamiątek.

Jak bardzo powyższe słowa wydają się uzasadnione względem stosunków w Polsce tak niebogatej dzisiaj w dzieła wielkiej sztuki i względem sprzedaży za granicę „Lisowczyka", o którym można było marzyć, że kiedyś jako depozyt (nie koniecznie dar) rodziny Tarnowskich ozdobi ściany Muzeum Narodowego w Królewskim Zamku na Wawelu, składając przed zwiedzającym cudzoziemcem świadectwo o kulturze narodu i jednego z rodów znaczących w historyi i życiu umysłowem — niech daje pojęcie kilka zebranych faktów z dziedziny badań nad tem dziełem, które w literaturze naukowej już od dawna zapewniły obrazowi z Dzikowa poczestne miejsce wśród dzieł Rembrandta i które zawodowym badaczom nie są zupełnie obce, z wyjątkiem może szczegółów muzeograficznych, które w tym celu wypada wysunąć na plan pierwszy.

W inwentarzu galeryi Dzikowskiej, założonej przez pradziada obecnego właściciela, kasztelana Jana Feliksa Tarnowskiego i prababkę Waleryę ze Stroynowskich, uzdolnioną malarkę-miniaturzystkę, zapisany jest obraz następująco:

> „Lisowczyk na koniu prez Rembrandta obraz duży na płutnie w ramie złotey nabyty przez Ogińskiego i w Amszterdamie dla króla Stanisława Augusta, a w Łazienkach nabyty przez Hrabię Stroynowskiego, Biskupa Wileńskiego — za # 500".

Był więc pierwotnie w galeryi Stanisława Augusta, wszedłszy w jej skład gdzieś między r. 1790 a 1793, gdyż w tym czasie Michał Kleofas Ogiński, bardziej znany muzyk-kompozytor niż polityk, posłował z uchwały Sejmu 4-letniego do Holandyi i Anglii. Tak należy wnioskować z przytoczonej zapiski, nie sięgającej wprawdzie swem pochodzeniem wstecz poza r. 1844, w którym inwentarz zbiorów Dzikowskich sporządzono, ale której wiarygodność się sprawdza na czem innem, bo w rzeczy samej odnajdujemy obraz w katalogu królewskiej galeryi pochodzącym z r. 1793 (rękopis w Bibliotece w Suchej), zapisany tamże pod numerem 1734 jako *„Rembrandt Cosaque à cheval"*

haut, 44, larg, 54 pouces — odpowiada to podawanym wymiarom w dzisiejszym systemie: 1·15×1·335 m — z ceną, jaką widocznie kosztował: 180 dukatów.

Określenie czasu pojawienia się obrazu w Polsce może wskazać komuś źródło jego nabycia w jakim katalogu zbiorów Amsterdamskich, współcześnie rozsprzedawanych, katalogi licytacyjne drukowane pojawiają się już bowiem w XVIII. wieku, przynajmniej we Francyi.

W biskupie Hieronimie Stroynowskim, światłym i zasłużonym rektorze Uniwersytetu Wileńskiego obraz znalazł nabywcę, zapewne zaraz w r. 1795, gdy zdetronizowany król pozbywał się swych zbiorów, z rąk jego przeszedł na brata, a od niego na bratankę biskupa Waleryę, właśnie ową wyżej wspomnianą żonę Jana Feliksa Tarnowskiego i w ten sposób przekazany rodzinie Tarnowskich znalazł umieszczenie wśród cennych jej zbiorów, budząc zazdrość zagranicy, upowszechniając nazwę Dzików we wszystkich nowszych pracach o mistrzu holenderskiem.

W świecie naukowym dobrze znany od czasu wystawienia w Amsterdamie w r. 1898 na Wystawie Rembrandtowskiej, na której wzbudził ogólny podziw, uznany za „jeden z najbardziej uwagi godnych obrazów ręki Rembrandta“ (Bode) posiada obraz oprócz wybitnych cech trzeciej, ostatniej epoki mistrza, — w której w szczególności wyznacza mu się chronologiczne miejsce między rokiem 1655 a 1659 — jeszcze początek obciętego podpisu artysty: *Rembr... pinx...* (po prawej stronie na kamieniu).

Autentyczność Rembrandta zakwestyonował tylko Wurzbach, przypisując dzieło Aertowi de Gelder (1645—1727), jednemu z najpóźniejszych uczniów Rembrandta.

To jedno będzie mąciło satysfakcyę szczęśliwego nabywcy.

Wartość dzieła tego polega na tem, że jest ono tematowo odmienne od innych utworów Rembrandta, ma zaś równocześnie wszystkie cechy kompozycyi jego dojrzałych lat, cechy jego pendzla w szerokiem traktowaniu i palety w skali barw. Jeździec ten odcinający się na tle fantastycznego krajobrazu o głębokim tonie uderza junackim gestem i malowniczym charakterystycznym ubiorem, Interes dla obrazu podwyższa obecność konia w kompozycyi, który należy do rzadkich wyjątków w twórczości mistrza. W tym wypadku koń ten wskutek uderzających niezwykłością kształtów (jak szczupłość zadu), przy szczególnie prawdziwie oddanej, szlachetnej głowie, mógłby się zdawać zagadkowym płodem wyobraźni mistrza realizmu.

Monograficznem zbadaniem dzieła zajął się był u nas prof. J. Bołoz

Antoniewicz, przedstawiając przed 6 laty w obszernym referacie na posiedzeniu Lwowskiego grona Komisyi historyi sztuki Akademii Umiejętności ważne spostrzeżenia krytyczne [1]) — do których później prof. J. hr. Mycielski dołączył interesujące informacye, między innemi o szkicu rysunkowym do krajobrazu (w król. Gabinecie rycin w Berlinie [2]). Zaprzeczając, jakoby obraz przedstawiał kozaka-Lisowczyka z czasów Zygmunta III-go, a wykazując natomiast, że w dziele tem dał Rembrandt portret jakiegoś młodzieńca z kół sobie blizkich, może nawet swego syna Tytusa w ubiorze polskiego jeźdźca, związał prof. Antoniewicz powstanie tego kostyumowego portretu z sztychami i rysunkami współczesnego Stefana Della Belli (1610—1664), jako wzorami dla ubioru młodzieńca i oryginalnych kształtów konia, gdyż Rembrandt nigdy nie widział żadnego żołnierza z zaciągu Lisowskiego i nie mógł widzieć. „Lisowczykiem“ ochrzczono obraz w Polsce, nazwy tej użył drukiem pierwszy Kajetan Koźmian w 1842 r., a za nim zaraz wprowadził ją do literatury historyk Maurycy hr. Dzieduszycki. Będzie ona i nadal długo jeszcze trudną do wyrugowania pozostając po zmianie właściciela i miejsca jedyną pamiątką czasowego polskiego posiadania.

*

Gdy los przeznaczył już „Lisowczykowi“ zawisnąć w najbliższej przyszłości w galeryi H. C. Fricka w Nowym Jorku, obok dwóch innych dzieł portretowych Rembrandta, które ten amerykański milioner (największy w świecie producent koksu) i ambitny zbieracz dzieł sztuki posiada, nie od rzeczy będzie dać krótki przegląd obrazów Rembrandta, znajdujących się w polskich rękach obecnie, lub takich, które do ostatnich lat jeszcze do nas należały. Taka konskrypcya najlepszych obrazów muzealnych, które mamy, choć przeprowadzona w ograniczeniu do jednego nazwiska artystycznego, wyprowadza nas z przesady ogólników, jak również z niedostatecznego oceniania bogactwa dzieł sztuki w naszych zbiorach, daje pojęcie w jakim stosunku stoimy do Europy na tem polu i nasuwa mimowoli porównanie stanu dzisiejszego z przeszłością.

Zacząć wypada przedewszystkiem od Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, gdzie Rembrandt jest reprezentowany charakterystycznym, fantazyjnym krajobrazem, pełnym dramatycznej siły i mocnego

---

[1]) Sprawozdania Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce, T. VIII. str. CCCLIX i następne. Posiedzenie z d. 17/VI 1904.

[2]) Tamże, T. VIII. str. CCLXIII i następne.



efektu świetlnego. Jesito t. zw.: Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem. Widok o wieczornej porze, wśród burzy, z kilku drobniutkiemi figurami, któremi Rembrandt naznaczył opowieść ewangeliczną potęgując tym motywem przejmujący nastrój przyrody, a naodwrót scenie z przypowieści dając tajemnicze, podniosłe tło. Po „Lisowczyku" będzie to najrozgłośniejszy w Polsce obraz mistrza, tak jak dotychczas był najlepiej znany, przeszedł bowiem jeszcze w XVIII. wieku do przodków obecnego właściciela, będąc poprzednio, do r. 1779 w francuskim zbiorze Vassal de Saint Hubert, wisiał później w Domu Gotyckim w Puławach i od założenia Muzeum znajduje się w Krakowie, przeszedłszy znane losy zbiorów ks. Czartoryskich. Należy do nader cennych, a jako malowany krajobraz do rzadkich dzieł mistrza. Niewątpliwość jego co do autentyczności, wynikającą z wszystkich cech wewnętrznych, stwierdza dodatkowo podpis: *Rembrandt f. 1638.* Natomiast, co do drugiego obrazu galeryi Czartoryskich „Starca czytającego" nie przeważają zdania na rzecz autorstwa Rembrandta. Mniej znaczący ten obraz, zbliżony do „Pustelnika" z Luwru, odnosi jednak prof. M. Sokołowski i E. Schaeffer do wczesnej epoki Rembrandta. Jest on również puławski.

Utwór wczesnej młodości, portret własny artysty, tak zw.: Rembrandt z otwartemi ustami, znaczony monogramem splecionym *RH* i datą *1628,* znajduje się w posiadaniu ks. Andrzeja Lubomirskiego we Lwowie. Dzieło to, pamiętne z tamtegorocznej „Wystawy mistrzów dawnych" we Lwowie, gdzie ponownie podziwiało się śmiałe kontrasty magicznego światłocienia i subtelność techniki, nabył przed 60 z górą laty Adolf hr. Hussarzewski, pradziad ks. Andrzejowej Lubomirskiej. Zasługę wprowadzenia obrazu w świat naukowy ma Bredius, który we Lwowie przed kilkunastoma latmi stwierdził w nim dowodnie oryginał, poszukiwany przez badaczy Rembrandta na Zachodzie, portret ten bowiem był im znany jedynie z ryciny.

Z kolei należy wymienić obraz, będący jedną z głównych ozdób galeryi znakomitego miłośnika sztuki Edwarda hr. Raczyńskiego w Rogalinie (w W. Ks. Poznańskiem). Jak „Rembrandt z otwartemi ustami" jest jednym z najpierwszych utworów wielkiego Holendra, tak Popiersie Chrystusa z laską pielgrzymią w Rogalinie, dzieło o 30 lat przeszło dojrzalsze, należy do najpóźniej malowanych jego obrazów (podpis: *Rembrandt f. 1661*). Ale jest ono najmłodszym Rembrandtem w Polsce, jako nabyte już przez obecnego właściciela i — rzecz znamienna — jest nabytkiem z inwentarza Anglii, która

wspólnie z Ameryką zagarnęła i dzierży jakoby w wieczystem już posiadaniu przeszło trzecią część wszystkich obrazów Rembrandta. Obraz jest bardzo charakterystyczny przez dość znaczny w stosunku do późnej daty efekt światłocieniowy zamiast panującego w ostatniej epoce oświetlenia bardziej równomiernego i zastanawia przedewszystkiem idealizowanym typem postaci Chrystusa, o wyrazie, o rysach tak miękkich, że prawie niewieścich. Bredius zwraca uwagę na interesujący koloryt, znajdując w obrazie mniej już bogatą w farby paletę.

W polskich rękach, ale poza krajem istnieją jeszcze 3 Rembrandty niepośledniej wartości. Karol hr. Lanckoroński posiada w Wiedniu: Mężczyznę piszącego opartego o pult i Dziewczynę w szerokim bonecie patrzącą na wprost. Półpostacie, jednej wielkości, wyobrażają zdaje się ojca i córkę, sportretowanych równocześnie w r. 1641. jak świadczy tu i tam umieszczona sygnatura. Obydwa te dzieła przedstawiają dla polskiego widza jeszcze i tę wartość, że pochodzą z galeryi króla Stanisława Augusta i genealogia ich od r. 1770. do obecnych czasów jest dokładnie znana. Po królu był właścicielem ks. Józef Poniatowski, potem Kazimierz Rzewuski, pisarz polny koronny, a po zaborze członek Stanów galicyjskich z grona magnatów, potem Kazimierz Lanckoroński, urodzony z Rzewuskiej, córki Kazimierza, którego synem jest hr. Karol.

Pierwszorzędnego Rembrandta, „który czyniłby zaszczyt najsławniejszym galeryom“ — jak się wyraził dyrektor Muzeum Boijmansa w Rotterdamie F. Schmidt-Degener — Portret starszego brata artysty, Adryana, dzieło mające również pochodzić z galeryi Stanisława Augusta, posiada Feliks Mikołaj hr. Potocki w Paryżu. Będąc przez kilka lat zdeponowany w Luwrze w sali Rembrandtowskiej uderzał portret pomimo współzawodniczącego sąsiedztwa innych dzieł, mistrzowskim wyrazem i czarującą plastyką, czysto po malarsku oddaną. Nie zapomnianym wzrokiem smutku i niezadowolenia mierzy widza ta postać pochmurna, sterana ale dziarska o srebrnych z fantazyą podgarniętych włosach, postać jakoby hardego marzyciela, gdyż tak wypadł pod poetyckim pędzlem brata portret zwyczajnego sobie rzemieślnika lejdejskiego. Jestto rzecz zrozumiała, że wypożyczanie obrazu Luwrowi daje właścicielowi pełne zadowolenie za cenę czasowego rozstania się z dziełem i że z drugiej strony Francuzi odwzajemniają się uprzejmością za przydawanie największemu zbiorowi tak pociągającego okazu, lecz z o ile większą wdzięcznością i chlubą przyjęłoby depozyt taki każde muzeum w kraju! — lecz dowiadujemy się, że w ostatnich czasach obraz wrócił znowu do apartamentów hr. Potockiego.

Wymieniając rzeczy dochowane w polskiem posiadaniu, nie można przemilczeć dwóch cennych obrazów, które w ostatnich dziesiątkach lat wywędrowały od nas zagranicę, ale które dla tego nie powinny przestać nas obchodzić. Już mało komu jest wiadomem, bo tego rodzaju ślady rychło się zacierają, że Portret starej kobiety, domniemanej piastunki syna Rembrandta, dobrze znany z ilustrowanych wydawnictw, poświęconych Rembrandtowi, jako własność prof. G. Martiusa w Kiel — był poprzednio w rodzinie jenerała Ludwika Kickiego i przez pośrednictwo jego pierwszej żony Matuszewicówny nawiązywał pochodzenie swe ze zbiorów Czartoryskich w Puławach, a wedle tradycyi podobno i z galeryą Stanisława Augusta. Po śmierci jenerałowej Kickiej w r. 1888. odziedziczyła go drogą działów majątkowych pani Władysławowa Przybysławska i obraz przeszedł do Galicyi do Uniża, ale już w następnym roku niestety wykupił go antykwarz z Kolonii Steinmeyer, za 17.000 marek, by go za 30.000 marek odstąpić wnet obecnemu posiadaczowi.

Wreszcie druga strata: Portret kobiety w białym czepcu i z kryzą, który w swoim czasie wypłynął jako Rembrandt u Cypryana Lachnickiego w Warszawie, a pochodził z Nieświeża, nie dostał się do miejskiego Muzeum sztuk pięknych w Warszawie, które zapisem posiadło przed paru laty jego zbiory artystyczne, ale go Lachnicki sprzedał na parę miesięcy przed śmiercią († 27/12 1906) agentowi francuzkiemu handlującemu obrazami za 100.000 franków, a tenże w kilka tygodni potem odsprzedał nabytek za podwójną cenę do zbiorów jednego z rodziny Rothschildów.

Dzieło to, gdy było jeszcze u szambelana Lachnickiego, miało pendant w „Portrecie własnym Rembrandta", ten jednak nie tak już dobry obraz, mogący się w najlepszym razie okazać repliką portretu u lorda Leconfielda w Petworth, nie opuścił zbioru Lachnickiego i jest wcielony do Muzeum Warszawskiego, które się szczyci jeszcze jednem malowidłem, może i słusznie przypisywanem Rembrandtowi, „Portretem tak zw. jego siostry", podpisanym i datowanym [1]).

Oczywiście przytaczam tu tylko takie dzieła, które wytrzymały ogień poważniejszej krytyki, bądź to faktem przyjęcia ich na światowe wystawy Rembrandtowskie w r. 1898 i 1899 w Amsterdamie i Londynie, oraz na skromniejszą, mniej wymagającą w Lejdzie w r. 1906, bądźto i przedewszystkiem przychylnem wypowiedzeniem się o nich znawców

---

[1]) Biblioteka Warszawska 1910. T. II str. 564—5. P.(oznański Cz.) i T.(atarkiewicz Wł.) Uwagi o Muzeum Warszawskiem.

w specyalnej literaturze. Wszystkie te obrazy w liczbie dziewięciu (razem z „Lisowczykiem“) są reprodukowane, opisane i opatrzone wiadomościami bibliograficznemi w pomnikowym katalogu obrazów Rembrandta, złożonym z 8 tomów f⁰, wydanym w Paryżu u Sedelmeyera w 1897—1905 r. przez W. Bodego przy współudziale C. Hofstede'a de Groot.

Innych „Rembrandtów“, znajdujących się u polskich zbieraczy i w polskich muzeach, któreby mogły o wiele powiększyć jeszcze liczbę tamtych, nie wymieniam; albo są one bardzo dalekie od pendzla wielkiego mistrza i roszczenia ich do jego autorstwa odpiera pierwszy rzut oka, albo wymagają jeszcze krytycznego zbadania. Jedne już zostały kompetentnie osądzone, jak n. p. licha „Głowa młodzieńca“ Zdz. hr. Tarnowskiego w Dzikowie, lub podejrzana malowaniem „Głowa starca“ Ksaw. hr. Branickiego w Warszawie, które z wystawy lejdejskiej powróciły bez potwierdzenia przywłaszczonego miana Rembrandtów — inne pozostają wątpliwe, jak obraz po pułkownikowej Czosnowskiej [1]) albo rewindykuje się je na korzyść innych Holendrów, lub zapomnianych Rembrandtystów XVIII. wieku. Jak wiele znanych obrazów mistrza, a nawet i tych parę, które zostały objęte ramami niniejszego artykułu, istnieje równocześnie w starych, łudzących, po świecie rozprószonych kopiach, tak i drugi egzemplarz obrazu sprzedanego przez Przybysławskich, sobowtór, pojawia się w Warszawie u Wiktora Floryanowicza, pretendując do uznania za oryginał [2]).

W liczbie niezbadanych, którym jednak studyum krytyczne tylko przysporzyć może wartości, pierwsze miejsce zajmuje jedno dzieło, które znajdując się od dziesiątek lat w wyjątkowych warunkach umieszczenia, wraz z całym świetnym zbiorem dzieł sztuki, do którego należy, nie było niemal dotychczas oglądane przez znawców i pozostało światu naukowemu — krajobraz z podpisem Rembrandta i datą. Na razie o niem tylko wspominam, jest bowiem moim zamiarem poświęcić mu osobną notatkę przy najbliższej sposobności.

Lwów, 1. czerwca 1910. *ZYGMUNT BATOWSKI.*

---

[1]) Lamus, T. II., str. 44 — 48

[2]) Świat, Warszawa 1907. Nr. 49.

Jeszcze „Leonardo da Vinci“ galeryi Czartoryskich.

Potrącając o artykuł hr. Leona Pinińskiego w czwartym zeszycie „Lamusa“ o portrecie kobiecym z łasicą w galeryi Czartoryskich, chciałbym zwrócić uwagę na pewien szczegół, mogący rzucić nowe światło na kwestyę modelu tego pięknego wizerunku.

We wspomnianej rozprawie przytoczone jest mniemanie kilku historyków sztuki, wypowiedziane i przez prof. Bołoza-Antoniewicza, że w płótnie Leonarda da Vinci u Czartoryskich mamy przed sobą podobiznę Cecylii Gallerani, damy dworu i kochanki księcia medyolańskiego Ludwika Sforzy. Hr. Piniński jednak nie bez słuszności zaznacza, iż hipotezę taką do pewnego stopnia obala obecność na portrecie łasicy-gronostaja, t. j. zwierzątka służącego zwykle jako symbol niepokalanej czystości dziewiczej. W istocie, w danym wypadku emblemat „castitas“, tak mało zresztą harmonizujący z wyrazem subtelnym, lecz bynajmniej nie cnotliwym niemłodej już twarzy, byłby konceptem niezbyt smacznym, na który z pewnością nie zgodziłaby się osoba portretowana. Ale zachodzi pytanie zasadnicze, czy tu wogóle łasica była użyta w tem symbolicznem jej znaczeniu? Pamiętać należy, że emblematy symboliczne ze świata zwierzęcego przeważnie były stosowane do obrazów treści religijnej jako określone atrybuty postaci świętych. Na wizerunkach tych ostatnich spotykamy je przeto bardzo często, w portretach zaś realnych rzadko je widujemy, a nawet trudno byłoby wskazać na dodatek tego rodzaju w którymś z portretów szkoły Leonarda, lub innych artystów włoskich jego epoki. Wątpliwem przeto jest, czy intrygująca nas łasica wogóle tu odgrywa rolę owego dogmatycznego symbolu, „castitas“. Cała kompozycya obrazu, ujętego w charakterze tak zwanego „portrait intime“, oraz pieszczotliwa pozycya łasicy zdaje się temu przeczyć. Mamy raczej wrażenie, że wytworna pani dla kontenansu, a może i dla uwydatnienia swej wielce wyrazistej dłoni przytula do siebie ulubione zwierzątko domowe. Co prawda, wybór niezbyt miłej łasicy jako przedmiot dla pieszczot kobiecych świadczyłby o niezwykłym bardzo guście, lecz fantazya ta osobliwa poniekąd objaśnić się daje.

Przed niedawnym czasem — jeśli mnie pamięć nie myli, w angielskiem

czasopiśmie „The Burlington Magazine“ — ktoś wskazał, że łasica-gronostaj po grecku się γαλεή nazywa. Wiemy wszyscy, jak wielkiem było zamiłowanie do łaciny i greczyzny wśród kół humanistycznych epoki odrodzenia, a nawet wśród ówczesnych kobiet światowych. Wiemy również z historyi, że na tem tle powstał zwyczaj zaopatrzania nazwisk w końcówki łacińskie i greckie, lub też całkowitego ich tłómaczenia na języki starożytne. Być więc może, że Cecylia Gallerani umiłowała łasicę gwoli pokrewieństwu fonetycznemu z jej grecką nazwą i przy sobie trzymała. Bądź co bądź podobne przypuszczenie nie zupełnie jest pozbawione prawdopodobieństwa. Oczywiście, mogły tu wchodzić w grę jeszcze inne czynniki, n. p. aluzya do jakiegoś wspólnego rysu charakteru lub też zwyczajny pociąg kobiety do czegoś niezwykłego, ale owe dziwne podobieństwo nazwiska Gallerani z grecką nazwą zwierzęcia chyba nie prostym jest przypadkiem.

Co się zaś tyczy samego mistrza, to jako stały członek dworu medjolańskiego pewnie wiedział o fantazyi kochanki swego księcia i malując jej portret, uwiecznił zarazem jej łasicę. Zresztą szczegół tak oryginalny musiał przypaść do gustu wielkiemu artyście, czującemu zawsze pociąg do pomysłów niepowszednich, do rzeczy odrębnych. Mało się natomiast wydaje prawdopodobnem, by Leonardo w wizerunku kobiecym użył symbolu „castitas“, najzupełniej nie licującego z owym wyrazem tajemniczego kuszenia, który stanowi oznakę charakterystyczną postaci niewieścich mistrza nawet w jego malowidłach religijnych.

Ostatecznie zatem jestem zdania, że łasica-gronostaj bynajmniej nie obala a raczej zdaje się potwierdzać hipotezę co do Cecylii Gallerani jako modelu obrazu Leonarda da Vinci w galeryi krakowskiej. Sam przez się szczegół ten, zapewne, nie posiadałby dostatecznej siły przekonywającej, lecz w połączeniu z innemi materyałami dowodowemi w danej kwestyi zyska na wartości i nabiera szczególnej wagi.

PAWEŁ ETTINGER.

Ad acta.

J. Gw. Pawlikowski, autor artykułu „O prochy Słowackiego" zwrócił się do Redakcyi Lamusa z prośbą o przedrukowanie odpowiedzi St. Żeromskiego zamieszczonej w Nowej Reformie. Czynimy zadość temu życzeniu. (Vide Lamus Z. Vy str. 49 „O Prochy Słowackiego").

Pisma codzienne przedrukowały artykuł p. Jana Gwalberta Pawlikowskiego w sprawie sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego do kraju, pomieszczony w kwartalniku lwowskim p. t. „Lamus". Przeczytawszy w tej chwili dopiero ów artykuł, zmuszonym się czuję do zabrania głosu, ponieważ, wyznaczony przez grono inicyatorów projektu przeniesienia zwłok poety w Tatry do napisania odezwy, jestem autorem, jeśli nie samego projektu, to odezwy właśnie, podpisanej później przez 61 osób.

Zabieram głos bynajmniej nie na skutek brutalnego wezwania w zakończeniu artykułu p. J. G. Pawlikowskiego, lecz dlatego jedynie, ażeby zniewagi i drwiny, ośmieszające tę sprawę, nie obryzgały którejkolwiek z szanownych osób, podpisanych pod odezwą i nie przyczyniły którejkolwiek z nich moralnej krzywdy. Jako autor tej odezwy biorę na siebie wszelkie napaści, któremi jeszcze obrzucony być może pomysł sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego w Tatry. Przedewszystkiem muszę zastrzedz tutaj, że w niniejszem wyjaśnieniu nie podejmuję tonu, jakiego p. J. G. Pawlikowski użył dla sponiewierania inicyatywy może błędnej, ale powziętej w celu oddania czci naszemu poecie, podjętej w dobrej woli i przez uczciwych ludzi. Nie podejmuję zaś tego tonu przez szacunek dla samej sprawy i dla druku polskiego. Upraszam jednak sprawiedliwego czytelnika, ażeby raczył w słowach tutaj użytych dojrzeć opanowanie poczucia swej krzywdy, powściągliwość i rozwagę, jakie sobie nałożyłem.

P. J. G. Pawlikowski autora projektu i odezwy w sprawie przeniesienia zwłok Słowackiego w Tatry radzi nagrodzić wyliczeniem mu dwudziestu pięciu kijów w Barbakanie, tam właśnie, gdzie odezwa projektowała spokojny i dostojny akt czci dla poety. Szczodry magnat! Prawo bicia kijem na własnem podwórzu wydarte zostało z ręki przez obce prawo, ale pozostał przecie w duszy pierwszy odruch uczucia, pierwszy pęd myśli i pierwszy argument logiki: dwadzieścia pięć kijów! Nie można już bezkarnie bić

kijem... ale został w mózgu i sercu popęd do argumentowania starym argumentem, gdzie jeszcze można, przynajmniej względem „literata“ za podanie pomysłu, który nie przypadł do smaku. A smak i wola p. J. G. Pawlikowskiego decyduje o wszystkiem. Co do mnie, to nie dla zmiany tego smaku i woli, lecz dla wyłuszczenia istoty rzeczy w obliczu bezstronnego czytelnika muszę przypomnieć pochodzenie owego tatrzańskiego projektu.

Należałem był swego czasu do warszawskiego komitetu obchodu rocznicy Juliusza Słowackiego i solidaryzowałem się z grupą zwolenników uczczenia poety w jego roku jubileuszowym za pomocą postawienia w Warszawie monumentalnego teatru dla tragedyi i dramatu, wydania krytycznego, kompletnego, zupełnego i nie obliczonego na zyski zbioru dzieł wieszcza, a wreszcie sprowadzenia zwłok jego do Warszawy. Komitet warszawski został rozwiązany przez władzę i wszystkie jego funkcye upadły. Cały ideowy spadek po tym komitecie warszawskim objął wiec krakowski — i komitet na tym wiecu wybrany. Umieszczono moje nazwisko na liście jego członków, gdy byłem poza granicami kraju. Znalazłszy się, w przejeździe przez Kraków, na posiedzeniu, które się odbyło pod prezydencyą p. Marszałka kraju, wyłuszczyłem te zadania, jakie sobie komitet warszawski stawiał i prosiłem o ich zrealizowanie w miarę możności. Ale krakowski komitet obywatelski, jako wyraziciel wiecu, miał tylko jedną dyrektywę i tej pilnował: sprowadzenie zwłok J. Słowackiego w jego roku jubileuszowym na Wawel, ponieważ taka była jednomyślna uchwała wiecu. Stała się ona prawem obowiązującem wszystkich, które to prawo społeczność sama sobie narzuciła i bez protestu przyjęła. Dwukrotnie, wraz z innymi członkami tego komitetu, zwracałem się listownie do Prezydyum o wyjaśnienie sprawy, kiedy kardynał ks. Puzyna odmówił pozwolenia złożenia zwłok Słowackiego na Wawelu. Gdy zaś nadeszło wyjaśniające pismo p. Prezydenta miasta Krakowa o kategorycznej odmowie kardynała ks. Puzyny — powstała myśl złożenia zwłok poety w Tatrach. Wrogą i odrażającą była i jest dla wielu czcicieli Juliusza Słowackiego myśl o zużywaniu jego imienia i prochów do walki z klerem, a nieznośną była i jest myśl, że darowany mu grób odebrany został. Takie właśnie było uczucie grona pisarzy, przygodnie, dla studyów, zebranych w Paryżu. Nieliczne to grono postanowiło wydać odezwę z projektem złożenia zwłok poety w Tatrach, któryby strącił w tej sprawie wszelką walkę i oddał poecie to, co mu ofiarował wiec krakowski: sprowadzenie jego zwłok w roku jubileuszowym do kraju. Koło paryskie zleciło mi napisanie odezwy.

Odezwa ta, projektująca złożenie zwłok Juliusza Słowackiego w Kościelcu, gdy Wawel został dla nich zamknięty, najfatalniejszy wzięła obrót. Zamiast zjednoczyć opinię, co było jej zamierzeniem, zamiast spowodować zwołanie wiecu, czego się domagała, któryby swą uchwałą to zjednoczenie ujął w formułę praw — zamiast wymarzonego oddania poecie czci — wywołała rozdwojenie, pochwały i nagany, osobiste napaści, a wreszcie taki skutek, jak artykuł p. J. G. Pawlikowskiego. Pisząc ową odezwę, sądziłem, że proch Juliusza Słowackiego może się stać cementem zjednoczenia dusz polskich. Ta myśl była z gruntu fałszywa. Były to „frazesy“. Niestety, tak! Drwiny, wyzwiska, poniewieranie cudzej czci, jakie witają każdy zamysł powiększenia sumy piękna duchowego na tym padole pychy i nędzy

polskiej — to nie są frazesy. Istotą rzeczy polskiej jest nienawiść, a sprawa sprowadzenia zwłok Słowackiego stała się nie tylko nowym dowodem, ale nawet nową strawą dla tej nienawiści.

Dziwna wszakże rzecz, że odezwę tak „fatalną" podpisali nieostatni w Polsce ludzie, nie sami „dekadenci", „papierowe dusze" i „literaci". P. J. G. Pawlikowski pociesza się, czy martwi, że ci inni uczynili to „odruchowo, z nałogu i przez kwietyzm". Tak nie jest. Wielu z podpisanych nadesłało umotywowany wyraz swej zgody na ten projekt. Nie mam tutaj w możności przytoczenia tych głosów, gdyż uważam każdy z tych listów za duchową własność jego autora, a na zebranie pozwolenia publikacyi niema czasu, lecz może się znajdą środki i pozwolą ogłosić broszurę w tej materyi. Znalazłyby się tam słowa wręcz przeciwne krzykom p. J. G. Pawlikowskiego, a pochodzące z pod pióra, które nawet on, nawet sam on może uznaje.

Powtarzam raz jeszcze, że owa „fatalna" odezwa wzywała do zwołania wiecu, gdyż wiec jedynie mógł zatwierdzić projekt tatrzański, albo go zupełnie odrzucić, jako niewłaściwy, nieodpowiedni, czy niewykonalny. Wiec jedynie mógł utrzymać i nadal popierać myśl o Wawelu. Wiec wreszcie mógł uchwalić zaniechanie myśli o przenoszeniu zwłok poety z cmentarza na Montmartre do kraju. Ani jedna jednostka, nawet sam p. J. G. Pawlikowski, rozstrzygnąć tego nie będzie w stanie. Wiec krakowski uchwalił złożenie zwłok na Wawelu, lecz komitet, przez ten wiec wybrany, stwierdził, że J. Słowacki na Wawelu złożony być nie może. I nic już dalej. Nie wykonane i na drodze porzucone zostało to prawo, które sobie narzuciliśmy. Czy taki powinien być stan rzeczy?

P. J. G. Pawlikowski zwalcza projekt tatrzański zapomocą różnych argumentów, z któremi tutaj rozprawiać się nie będę, gdyż nie trzymane są w tonie umiarkowanym, lecz w tonie zniewag. Wypowiada swe gusta, zwalcza przywidzenia, o których w odezwie mowy nie było, cytuje zdania zakopiańskich górali, przekręca i wydrwiwa uczciwe intencye. Argumentów istotnych przeciwko temu projektowi nie podał. Ale ów projekt nie wymaga wcale obalenia. Nikt powołany nim się nie zajął, więc leży on na drodze polskiej. I oto wszystko.

Podnoszę jeden szczegół.

Przenoszono do kraju z odległych, dzikich pól i obczyzny zwłoki świętych, królów, bohaterów. Niesiono je, czy wieziono, przez setki mil, gdy nie było kolei żelaznych. Z cecorskiego pola przewieziony został krwawy trup Żółkiewskiego, z Lotaryngii przynieśli żołnierze zwłoki Stanisława Leszczyńskiego, ze szwajcarskiej Solury prochy Kościuszki, z nad brzegu Elstery — Poniatowskiego. Przynosili je na ramionach żołnierze i mężowie o duszy rycerskiej. O takich duszach myślałem, pisząc o „czcicielach poety ze wszelkich warstw społeczeństwa".

Myśl o przeniesieniu zwłok J. Słowackiego z Krakowa w Tatry, na przestrzeni czternastu mil, p. J. G. Pawlikowski doprowadza do stanu okropnych wizyj. Jego „zmysł rzeczywistości" — dośpiewał mu, że byłby to pochód z „noclegami po karczemnych zajazdach, z szubienicznym humorem znudzonych pątników... Danse macabre, czy kulig! Pogrzeb z kuligiem i figurami".

To oczywiście nie jest dekadencya. Pan J. G. Pawlikowski mówi o „czynie“, wynosi się ponad padół „literatury“ z nie byle jaką pychą. Cóż tedy w tej sprawie przeniesienia zwłok J. Słowackiego orzekł, jak ją postawił? Po za sponiewieraniem przeciwnika — cóż pozytywnego doradził? W końcowem zdaniu swego artykułu nakazuje on pełne właśnie „czynu“, głębokiej myśli i dostojeństwa — czekanie. To wystarczy, ażeby opinia jego zwyciężyła na całej linii. Nie tylko przecie w tej sprawie czekanie jest naszą najdostojniejszą formą pracy i czynu.

W liście z dnia 5 lutego 1835 roku pisał do matki wielki poeta:

„A kiedy przyślą tutaj wygrzebywać popioły po zielonych cmentarzach, może także i mnie wezmą i zaniosą do mojej ziemi. O takim teraz marzę powrocie!“

Czy się też kiedy spełni to jego marzenie?

Paryż, dnia 12 maja 1910.

STEFAN ŻEROMSKI.

(Nowa Reforma Nr. 227).

Nowe książki.

NADESŁANE DO REDAKCYI.

Norwid Cypryan Kamil: Czarne i białe kwiaty (zebrał i przedmową opatrzył Edmund Zrębowicz, z portretem poety — nakład B. Połonieckiego, Lwów 1910). *Wybór prozy Norwida: Menego, Garstka piasku, Cywilizacya, Bransoletka, „Ad Leones", Tajemnica Lorda Singelwortha, Stygmat, Epilog z „Promethidiona", Memoryał o młodej emigracyi, Krytycy i Artyści, Czarne kwiaty, Białe kwiaty, Ostatnia z bajek, Milczenie. — Dodane „Posłowie" wierszem przez Romana Zrębowicza.*

„Symposion" wydawnictwo Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, pod redakcyą Leopolda Staffa:
— Michał Montaigne: Wybór pism (przekład Stanisława Lacka).
— Vauvenargues: Uwagi i myśli (przekład Jana Kasprowicza, uzupełniony studyum Ellen Key.
— La Rochefoucauld: Zdania i uwagi moralne (przełożył Leopold Staff).
— J. W. Goethe: Wybór myśli prozą (zebrał i przełożył Stefan Frycz, z rozprawą R. W. Emersona).
— Diderot: Kuzynek mistrza Rameau (z rozprawą J. W. Goethego, przełożył Leopold Staff).
— Walter Pater: Wybór Pism (przełożył z angielskiego Stanisław Lack).
— Cztery głosy o poecie (zebrał i przełożył Jan Kasprowicz, Emerson, Spitteler, Hofmannsthal, Dehmel).
Niektórym tomom tego cennego zbioru poświęcimy obszerniejszą notatkę.

Remer Jerzy: Walgierz wdały (dramat w 5 aktach, osnuty na tle legendy. Wiek IX. Kraków 1910 nakł. autora, skł. gł. u Gebethnera i Sp.)

Gawiński Antoni: Józef Buchbinder, polski malarz religijny 1839—1909. (Na zasadzie źródeł biograficznych, zebranych przez Maryana Wawrzenieckiego, czł. kom. do badań nad historyą sztuki w Polsce przy Akad. Um. w Krakowie. — 42 jednobarwnych reprodukcyi oraz jedna kolorowa. — Warszawa, nakł. Stefan Dziewulski, 1910).

Bolesławicz: Intermedya ucieszne (Lwów nakł. Związku Teatrów Włościańskich 1910). *Autor, ukryta pod pseudonimem zasłużona jednostka, podał kilka krótkich i wesołych obrazków obyczajowych w formie skromnej, czyniąc rzecz bardzo pożyteczną dla godziwych rozrywek ludowych.*

„Książnica naukowa i artystyczna" (nakł. G. Gebethner i Sp. Kraków, Gebethner i Wolff Warszawa):
Prof. Harald Höffding: Współcześni filozofowie (przełożył z upoważnienia autora Bronisław Gałczyński).

Gabryella (Narcyza Żmichowska): Poganka.
Michał Sobeski: Przędziwo Arachny (z pogranicza sztuki i filozofii).
Miciński Tadeusz: Nietota, Księga tajemna Tatr (Warszawa Gebethner i Wolff, nakł. Kasy Przezorności i Pomocy Warsz. pomocników księgarskich). *Pomyślimy o ocenie twórczości Micińskiego.*
Kotarbiński Józef: Pogrobowiec Romantyzmu, rzecz o Stanisławie Wyspiańskim (Warszawa 1909, wydawnictwo Kasy Przezorności i Pomocy warsz. pomocników księgarskich). *Jedno z najpoważniejszych studyów jakie dotychczas o poecie mamy.*
Jaworski Roman: Historye Maniaków (Kraków Spółka nakładowa „Książka").
Sieroszewski Wacław: Z fali na falę (Spółka nakładowa „Książka", Kraków 1910. — Spis rzeczy: Japonia w zarysie, Harakiri księcia Asano Naganori, O-Sici, Pojednanie, Widmo sakurskie, Ingwa, Jak liść jesienny). *Nazwisko znakomitego autora, i tak dobrze znane mu i świetnie podawane tematy wschodnie starczą za wszelką reklamę.*
Znaniecki Floryan: Zagadnienie wartości w filozofii (wydawnictwo „Przeglądu filozoficznego" Warszawa 1910 skł. gł. E. Wende i Sp.)
Stefan Okulicz: Przed laty (wspomnienia) (Kraków skł. gł. w księgarni Spółki wydawn. pol. 1910).
Stefan Okulicz: Obrazki z 1863 r. (Kraków skł. gł. w księgarni Spółki wydawn. pol. 1910).
Treter Mieczysław: Wojciech Korneli Stattler, przyjaciel Słowackiego (z dwoma ilustracyami na osobnych tablicach, odbitka z księgi zbiorowej: Cieniom Juliusza Słowackiego — Lwów Gubrynowicz i Syn 1909).
Sandel Jakób: Słowacki do r. 1833 — (odbitka z księgi zbiorowej; Cieniom Juliusza Słowackiego — Lwów Gubrynowicz i Syn 1909).
Florian Parmentier: Par les Routes Humaines, poème (Société d'édition littéraire et artistique).
Auguste Bailly: Les Prédestinés, roman (Paris, B. Grasset 1910). *Rzecz wyższej miary artystycznej o temacie interesującym i dramatycznie związanym na tle głębokiego poczucia przyrody — ujęta w formę wysoce wyrobioną.*

*

Sfinks. Miesięcznik art. literacki i naukowy pod red. Wład. Bukowińskiego.
Przegląd Narodowy. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym i naukowym, społecznym, literackim i artystycznym; pod kierownictwem Zygmunta Balickiego. (Red. Jerzy Gościcki).
Przegląd polski. *Miesięcznik artyst. literacki i naukowy wychodzący w Krakowie pod red. prof. Jerzego hr. Mycielskiego.*
La Nouvelle Revue Française. Revue mensuelle de litérature et de critique. (Comité de direction J. Copeau, A. Ruyters, J. Schlumberger).
Eleusis (czasopismo Elsów rozpowszechniają Gebethner i Sp. w Krakowie).
Les Marches de l'Est (Alsace, Lorraine, Luxembourg, Ardennes, Pays Vallons — revue mensuelle, recueil de litérature, d'art et d'histoire) *ilustrowane bogato i wytwornie, kierunek tak rzadki na zachodzie: zdrowia i siły narodowej, dla nas tem cenniejsze, że każdy prawie zeszyt poświęca obszerne artykuły Polsce.*

Część druga — Wczoraj.

Fryderyk Chopin do Tytusa Woyciechowskiego.

Jednym z bardzo ważnych materyałów do biografii i do charakterystyki Chopina są jego listy pisane do przyjaciela z ławy szkolnej Tytusa Woyciechowskiego, który po ukończeniu studyów osiadł i gospodarował w rodzinnym majątku Poturzynie. Rękopisów użyczył łaskawie Lamusowi Pan J. T. Wydżga, wnuk ś. p. Woyciechowskiego, za co składamy mu gorące podziękowanie. Pierwszy z listów tych skorzystał w książce swej p. t. „Fryderyk Chopin: Życie — listy — dzieła" — Maurycy Karasowski 1882 r.; zasłużony jednak biograf uważał za stosowne (jak to zauważył już Hösick w dziele swem: Chopin — życie i twórczość 1904: przedmowa str. XVIII) podać teksty listów w skróceniu i zmianach odejmujących nietylko stylowy ich charakter, ale niejednokrotnie sens słów Chopina. Ogłoszenie zatem rzeczonych listów w tekscie oryginalnym jest pożądanym nabytkiem do materyałów nietylko o samym Chopinie, ale o ówczesnych warszawskich muzycznych stosunkach w ogólności, a daje przytem obraz tej naprzemiany zdrowej, szczerej, wesołej aż do rubaszności a sentymentalnej zarazem i melancholijnej chwilami natury młodego 20-letniego Chopina. — Wszystkie ustępy, które były już publikowane, podajemy drukiem mniejszym, nieogłaszane zaś dotychczas — większym dzieląc liniami pionowemi. — Pisownię oryginalną zachowujemy, ujednostajniając tylko — gdzieniegdzie.

H. O.

Z Warszawy dn. 9 Września 1828

Naydroższy Tytusie

Nieuwierzysz z jakiem upragnieniem oczekiwałem wiadomości o Tobie i o twoiey Mamie; możesz więc sobie wystawić jakie było moje ukontentowanie gdym list dostał. Byłem wówczas w Sannikach[1]) u Pruszaków. Całe tam lato spędziłem. — O zabawie tamteyszéy nic Ci nie piszę, byłeś i Ty w Sannikach. — Natychmiast odpisać Ci niemogłem z powodu codziennego wybierania do domu. Teraz zaś piszę ale jak jaki waryat, bo niewiem istotnie co się ze mną dzieie. Jadę dziś do Berlina. Na jedną operę Spontiniego —; iadę dyliżansem dla spróbowania sił. Powodem iednakże tego wszystkiego są małpy ze wszystkich gabinetów europejskich. Na wzór ziazdów w kantonach Szwaycaryi, a później w Münich,

---

[1]) U Karasowskiego „w Strzyżewie" (?)

król pruski dał moc swemu Uniwersytetowi zaproszenia znacznieyszych uczonych Europy na sesye badaczów natury, pod przewodnictwem owego sławnego Humboldta odbywać się maiące. Jarocki jako dawny uczeń Akad. berlińskiej, a późniey tamże doktoryzowany dostał iako zoolog podobne zaproszenie. 200 mieszkań w Berlinie zatrzymanych dla przybywaiących naturalistów, stół wspólny itd. podobne niemieckie rozrządzenia, iakoteż welinowy papier na zaproszeniu drukowanem zapowiadaią coś wielkiego a tem samem że i Spontini z Cortezem albo z Olimpią wystąpi. Jakkolwiekbądź przyiaciel i nauczyciel Jarockiego Lichtenstein a sekretarz owego zgromadzenia był ściśle przyiaźnią złączony z Weberem, iest członkiem Akademii spiewu i w dobrej harmonii (iak mi Ernemann wspominał) z Zelterem prezesem tego muzycznego zakładu. Mówili mi dobrze znaiący Berlin że znaiąc Lichtensteina poznam znacznieyszych muzyków Berlina, wyiąwszy Spontiniego z którym on podobno nie żyie. Radbym tam Radziwiłła poznańskiego zastać (o czem wątpi świat Boży) ten za panie brat z Spontinim. Dwa tygodnie tam tylko z Jarockim będę, ale dobrze i raz słyszeć wyborną operę; iuż można mieć wyobrażenie o wyższej exekucyi. Arnold, Mendelson i Hank fortepianiści tamteysi. Ostatni uczeń Hummla. Co zobaczę napiszę Ci za powrotem a teraz na twoie żądanie będę Ci nowiny warszawskie pisał. Imo pan Colli i pani Tusaint w Cyruliku występowali (przed parą tygodniami). Zdarzyło się żem przyiechał w ten czas do Warszawy z Sannik na parę dni z Kostusiem[1]. Nadzwyczay był ciekawy widzieć ów jeden Akt (bo tylko pierwszy grano) po włosku; przez cały dzień zacierałem ręce. — Ale na wieczór, żeby nie p. Tusę byłbym Collego zatłukł. Taki był Arlechino italiano, tak fałszował że strach. Dosyć powiedzieć że raz wylatując przewrócił się. Wystaw sobie Collego w krótkich spodniach z gitarą w okrągłym białym kapeluszu na ziemi. — O zgrozo! — Paskudnie szedł Cyrulik. Zdanowicz naylepiej calumnią odśpiewał. — Była czyli też miała być graną opera Telemak, nowość której niewidziałem, wiem że próby bywały, na żadney nie byłem więc nic o nim donieść Ci nie mogę. — Otella zdaie mi się żeś ieszcze nie widział, i żeś sam chwalił Polkowskiego który naylepiey w tej operze występuie. Meyerowa iak zwykle śpiewa. Zimmermannowa iuż grywa i podobno kształcić się zaczyna. Ale dosyć o dramatyczności, wiedz też coś o Uniwersytecie. Oborski (który mnie twoim przestraszył odiazdem, wpadłszy na salę gdzieśmy się zgromadzili dla prześpiewania chórów bożego ciała i z pewnem obłąkaniem wymówiwszy żeś mię kazał pożegnać, żeś musiał w nocy wyjechać) Oborski podobno w Baden. — Tak mi Gąsie powiedział (z którym wczoraj byłem na wieży luterskiego

---

[1]) „Pruszakiem".

kościoła, zkąd patrzyliśmy na rewią przy Woli odbywającą się. Gąsie był w Krakowie, dużo ma do opowiadania; skradli go w drodze, czule ten przypadek wystawia. — Dzisiaj spotkałem Obniskiego; zdrów iest, bardzo się dopytywał o Ciebie gdzieś się podział, kiedy i czy wrócisz, i prosił aby Cię od niego uściskać. — Pruszak odwiózłszy mię w czwartek, w sobotę wrócił do domu aby w niedzielę puścić się do Gdańska. Pani Pruszak dniem wprzódy wyiechała. Byłem z Kostusiem w twey stancyi ale nie próbowałem fortepianu bo Kostuś klucza od niego nie wiedział gdzie szukać; z miny niezdawało mi się żeby mu miało być co złego, dobrze wyglądał. O twoich rzeczach czy iuż przeniesione czy nie, czy to czy owo, wszystkiego się dowiesz od Kostusia który zapewne do Ciebie napisze. | W Sannikach przerobiłem owe Rondo C dur, (ostatnie jeżeli sobie przypominasz) na 2 fortepiany [1]) dzisiay go próbowałem z Ernemannem [2]) u Bucholtza [3]) i dosyć się dobrze wydało. Myślemy go kiedyś grać na Resursie. — Co się tycze nowych moich kompozycyi, nic niemam prócz ieszcze niezupełnie skończonego Tria G minor, zaczętego wkrótce po twoim wyieździe. — Próbowałem pierwsze Allegro z akkompagnamentem przed wyiazdem do Sannik za powrotem resztę myślę zpróbować. Myślę że to Trio podobny los spotka co moią Sonatę, i Waryacye. Już są w Lipsku, pierwsza jak wiesz Elsnerowi przypisana, na drugich (może zbyt śmiały) twoie nakreśliłem imię. (Serce tak chciało, przyiaźń niewzbroniła, i Ty za złe nie bierz). — Skarbek ieszcze nie wrócił. Jędrzeiewicz [4]) zostanie na rok w Paryżu. Zapoznał się z Sowińskim [5]) owym fortepianistą, który im też parę słów napisał, oświadcza że radby się, nim przyiedzie do Warszawy listownie wprzód poznać, że należąc do redakcyi dziennika paryzkiego Revue musicale publiée par Mr. Fetis, przyiemnie by mu było mieć niektóre wiadomości o stanie muzyki w Polsce, o sławnych w tym rodzaiu Polakach, o ich życiu itd. do czego się mięszać nie myślę. Odpiszę mu z Berlina że nie do mnie takie rzeczy należą, zwłaszcza że Kurpiński iuż się tem u nas trudnić w części zaczął. Zresztą niemam ieszcze sądu godnego dziennika paryzkiego gdzie sama prawda mieścić się powinna; | żem ani lepszey ani gorszey niesłyszał opery. — Dopiero bym sobie naraził wielu! — Kurpiński teraz w Krakowie, Żyliński dyryguie operą; wczoraj Freyszyc okropnie miał być odegrany. Chóry ćwiercią później iedni od drugich śpiewali. — Papa powiada że stracę ową wielką

---

[1]) Wydane przez Fontanę jako op 73 (pośmiertne).
[2]) E. fortepianista i nauczyciel muzyki w Warszawie.
[3]) B. fabrykant fortepianów w Warszawie.
[4]) Józef Kalasanty J., później szwagier Chopina * 1803 † 1853.
[5]) Wojciech Sowiński fortepianista, kompozytor i literat, autor pierwszego „Słownika polskich muzyków" (Les musiciens polonais et slaves. Dictionnaire biographique Paris 1857).

opinię o zagranicy. Za miesiąc powiem ci o tem z pewnością. Albowiem | ku końcowi tego miesiąca opuszczę Berlin. — Pięć dni drogi diliżansem! | Jak zachoruię, tak extrapocztą wracam do domu. I o tem Ci napiszę. — Z nowin ważney zapomniałem że Albrecht umarł. | U nas wszystko po staremu, poczciwy Żywny duszą całej zabawy. | Miałem tego roku być w Wiedniu z Papą diliżansem i może by było nastąpiło ale matka Niezabytowskiego małego kazała na siebie czekać i nieprzyiechała. Całe wakacye Papa w domu przepędził. — Za dawnych czasów to iest przed 2ma i 3ma miesiącami przykro mi było przechodzić koło Rezlera kamienicy a onegday idąc do Brzeziny wlazłem w drzwi do Lafora zamiast w przechodnią sień. — Wczoray dopiero poznałem Pstwa Castel. Znayduię ią podobną do niego. — Tego zdania wszyscy w Warszawie. — Żal mi mocno że chwile co pędzisz przy Mamie nie są tak swobodne iak przeszłego roku. Wszyscyśmy mocno uczuli słabość szanowney twey Mamy i wszyscy razem pragniemy polepszenia iey zdrowia. Musiałeś mieć częstą czkawkę albowiem nie było dnia żebyś Ty nie był wspomniany. | Kończę bo iuż móy tłomoczek (roboty Hartmana) poszedł na pocztę. | Już się wybieram tam gdzie Geysmer, Lauber siedzą, będę im się kłaniał od Ciebie ieżeli chcesz. Teraz day buzi, nayprzywiązańszemu

FChopin.

| Mamę ucałuy w nóżki i rączki odemnie. Moi Rodzice i Rodzeństwo przesyłaią uszanowanie i serdeczne życzenia polepszenia zdrowia. | Tobie wszyscy znajomi jako to: P. Żywny, Żoch, Górski itd. te kilka osób przypomną Ci nasz dom. — Jeszcze raz buzi — buzi. | Przecie zlituy się i napisz czasem słówko, a choćby i pół, choć literę i ta mi drogą będzie —

| Daruy ieżelim gdzie głupstwo napisał, ale niemam czasu przeczytać. — ieszcze raz Adieu. |

Warszawa, w sobotę dn. 27 Grudn. 1828

Naydroższy Tytusie

Leniłem się aż do chwili w którey uczucie przyiaźni górę nad nałogiem wzięło. Chcąc abyś list ten na pierwszego i 4-go Stycznia miał w domu, choć zaspany wziąłem się do pióra. Nie będę Ci tey kartki obarczał mnóstwem komplementów, wyszukanych życzeń ordynaryinych częstokroć konceptów, bo mnie znasz i ia Cię znam —; w tem to szukay przyczyny milczenia. | Max dokładną dał mi wiadomość o Tobie i o zdrowiu twey Mamy, nazaiutrz po przyjeździe swoim do Warszawy. Przechodząc do Uniwersytetu wpadł zaraz do mnie i z wielkim zapałem

Hrubieszowskie strony wspominał. Przednie były niektóre iego opisy, między innymi, o twoiego sąsiada co wrócił z Paryża gdym go zapytał, „fryzuie się“ odpowiedział krótkim-serio-akcentem. — U pani Pruszak znów ma być komedya; dano mi jakąś rolę Pedra w Les projets de mariage par Duval. — Po nowym roku wyieżdżaią na dwa śluby, ieden panny Skarżyńskiej (Krakowianki) z Łuszczewskim, a drugi panny Skarżyńskiej ze Studzieńca n. b. naystarszéy z niewiem kim. Wiem że kiwniesz głową w tem miejscu i powiesz, co ten fryc mi za baydy prawi, ale iużem napisał, niezmażę bo niemam czasu do przepisywania. — Z inney wsi nowina że Jędrzejewicz w Paryżu został członkiem iakiegoś towarzystwa podobno geograficznego. — Jednak to co Cię naywięcey zajmie iest że ia, biedny ia muszę dawać niby lekcye. Przyczyna tego jest następująca. N. lia fatto infelice la signorina governante, della Casa, nella strada Marszałkowska. La signorina governante a un bambino nell' ventre, e la Contessa sive la padrona non vuole redere di piu il seduttore. Jl migliore evento ȇ, che credevano avanti, che tutto ȇ apparito, ch'il seducente son io perd. eio ch'era piu d'un messo a Saniki, e sempre andava colla governante camminar nell' giardino. Ma andara camminar e niente di piu. Ella non ȇ incantante. Niedołęga io, non lio avuto alcuno apetito na szczęście dla mnie. Madama Pruszak namówiła Mamę i Papę tak że ia daię lekcye. — Oleum et operam perdidi. Ale niech się dzieje co chcą. —

Rondo à la Krakowiak skończone w Partycyi. Introdukcya oryginalna więcey niż ia cały z bajowym surdutem. Ale Trio ieszcze nieskończone. Na górze już jest pokóy maiący mi służyć ku wygodzie, z garderóbki schody do niego wyprowadzone. Tam mam mieć stary fortepian, stare biórko, tam ma być kąt schronienia dla mnie. — Osierociałe Rondo na 2 pantaliony znalazło oyczyma w osobie Fontany (możeś go kiedy u mnie widział, chodzi on do Uniwersytetu), przeszło miesiąc się uczył, ale się nauczył, i niedawno u Bucholtza doświadczyliśmy effektu jaki by sprawić mogło. Mogło, dlatego że niezupełnie stroiły pantaliony, niezawsze dopisywało czucie, i te wszystkie drobnostki, co wiesz ile odcienia każdey nadaią rzeczy. — Od tygodnia nicem nie napisał ani dla ludzi ani dla Boga. Latam od Anasza do Kaifasza i dziś iestem u Wincengerodowey na wieczorze, zkąd iadę na drugi do Panny Kickiey. Wiesz jak to wygodnie, kiedy się spać chce a tu proszą o improwizacyą. Dogódźże wszystkim! — Rzadko zdarzy się myśl podobna tey co nieraz rano na twoim pantalionie tak snadnie weszła mi pod palce! — Gdzie ruszyć, Leszczyńskiego nędzne instrumenta, bom ani iednego niewidział co by się zbliżył głosem do pantalionu twey Siostry, albo do naszych. — Wczoray rozpoczął się Teatr Polski Preciozą

a francuzki przez R a t a p l a n. Dziś Geldhab iutro Ślusarz [1]). Ia iutro iako w niedzielę u P. Pruszak na obiedzie. — Mówił mi Kostuś żeś do niego pisał, niemyśl żebym się krzywił żeś do mnie nie pisał; znam twoią duszę, o papier nie stoię; a ieżeli tylem Ci iuż bez sensu nabazgrał, to iedynie dlatego żeby Ci przypomnieć że tak Cię mam w sercu iak i dawniey, że ten sam fryc iestem co dawniey

F. Chopin

Nielubisz żeby Cię całować. Dziś pozwól mi tego. —

Naylepszego zdrowia twey Mamie od całego domu. — Brata uściśniy. Żywny Wam się kłania.

9 września w Sannikach u Pruszaków przerobił Rondo c dur na 2 fortepiany (dotąd nie wydane) — Trio G minor niezupełnie skończone.

27 grudnia Rondo a la Krakowiak skończone w partycyi. Trio ieszcze nie skończone.

Warszawa 12 Września 829 Sobota

Naydroższy Tytusie

Ieszczebyś żadney odemnie niemiał wiadomości gdyby nie Winc. Skarżyński, — Spotkałem go i wspomniał że dopiero ku końcowi tego miesiąca będziesz w Warszawie; | gdy tymczasem Kostuś w Dreźnie mi powiedział że na 15-tego być miałeś u Siostry. | Myślałem że ustnie się dowiesz o moim w i e l k i m wojażu, coby mię więcey było ucieszyło, bo szczerze wolałbym z Tobą gadać — ale kiedy tak, wiedzże kochanie, żem był w Krakowie, Wiedniu, Pradze, Dreźnie, Wrocławiu. Tydzień pierwszy zszedł nam w Krakowie na samych spacerach i zwiedzaniu okolic krakowskich. — Oyców istotnie ładny, ale Ci niebędę o nim wiele pisał bo choć tam nie byłeś to wiesz z opisu bardzo wiernego Tańskiey gdzie co iest, i iakie iest. W wesołey kompanii | lubo trochę cudzey | zaiechałem do Wiednia, i ieżeli Kraków mię zaiął tak że mało chwil na myślenie o domu i Tobie poświęcić mogłem to Wiedeń tak mię zaszałamił, zadurzył, omamił, że dwa tygodnie przeszło siedząc bez listu z domu żadney nie czułem tęsknoty. Wystawże sobie, w tak krótkim czasie kazali mi 2 razy grać publicznie na Cessarsko Król: Teatrze. — Rzeczy tym sposobem się działy. — Haslinger móy edytor, wspomniał mi, że dla moich kompozycyi lepiey by było gdybym wystąpił w Wiedniu; że moie imie nieznane a kompozycye trudne i niepozorne — ia iednak niemyśląc teraz ieszcze występować zresztą niegrawszy parę tygodni, odmówiłem mu tego mówiąc że nieiestem w stanie popisywać się przed tak znakomitą publicznością — ta na tem stanęło. — Tymczasem nadszedł hr. Gallenberg co te piękne ballety pisze, który w Wiedniu iest na czele Teatru i temu mnie Haslinger iako tchórza boiącego się wystąpić zaprezentował. — Hr. tyle był grzeczny że ofiarował

---

[1]) Mularz i Ślusarz Aubera

teatr — a ia tyle byłem o sobie przekonany żem mu podziękował [1]). Nazaiutrz puka coś do stancyi; patrzę wchodzi Würfel, zaklina i powiada żebym wstyd zrobił Rodzicom, Elsnerowi, zresztą samemu sobie gdybym maiąc porę nie dał się słyszeć w Wiedniu. Tyle mię odurzyli żem przystał na koncert, a Würfel w ten moment wszystko zrobił i nazaiutrz były afisze. Już cofnąć się trudno a ia ieszcze niewiem co mam grać i jak mam grać. — Trzech Instrumentmacherów ofiarowało mi do stancyi pantalion. Podziękowałem bom za mały miał pokóy, i te kilka godzin gry niebyły by mi wiele pomogły zwłaszcza że za dwa dni występować miałem. W iednym więc dniu zabrałem znajomość z Meysederem, z Gyrowetrem, z Laknerem, z Kreutzem [2]), z Schupanzigem, z Merkem, z Lewim, słowem ze wszystkimi wielkimi muzykantami Wiednia. — Pomimo to orkiestra na próbie kwasiła mi się. — Naywięcéy o to żem dopiero co przyiechał i zaraz ni ztąd ni z owąd własne kompozycye gram. — Zacząłem więc próbę od Waryacyi dla Ciebie, które miały być poprzedzone przez Rondo Krakowskie. — Przeszły dobrze, ale Rondo pare razy zaczynałem a orkiestra okropnie się mieszała i zganiała na złe pismo. Całey tey konfuzyi przyczyną były pauzy inaczey u dołu a inaczey u góry pisane, lubo zapowiedziało się że górne tylko numera znaczą. Była to moia po części wina, alem się spodziewał że mię zrozumieią — tym razem gniewała ich ta nieakuratność, | a tam są sami Panowie wirtuozi i kompozytorowie | dość że tyle mi fiochów stroili że iuż miałem się na pogotowiu na wieczór zachorować. Ale Baron D e m m a r Regisseur teatralny, pomiarkowawszy że to mała niechęć orkiestry zwłaszcza że Würfel chciał dyrygować, a oni go nie lubią niewiem dlaczego, — więc wniósł żebym zamiast Ronda improwizował. — Jak to powiedział tak orkiestra duże oczy zrobiła. — Tak byłem tem zirytowany że z rozpaczy przystałem na to i kto wie czy ten móy nieszczęśliwy humor, i ryzyko, nie były mi bodźcem do lepszego wystąpienia w wieczór. Jakoś nic mię niezatrwożył widok publiczności wiedeńskiej, — a ponieważ tam nie ma zwyczaiu żeby orkiestra występowała na scenę tylko na swoich pozostaie mieyscach — blady, — z wyrużowanym kompanem do przewracania kart (który mi się chwalił że Moschelesowi, Hummlowi, Herzowi iak był w Wiedniu itd. itd. karty przewracał) zasiadłem do przedziwnego może wówczas naylepszego wiedeńsk. instrumentu roboty Graffa. — Wierz mi żem grał z desperacyi. — Tyle Waryacye effektu zrobiły, że prócz tego iż po każdey Waryacyi oklaski, po skończonych ieszcze raz na scenę pokazać się musiałem. — Intermezzo śpiewała Panna Weltheim nadworna śpiewaczka króla saskiego — Nareszcie przyszedł czas na improwizacyę, — niewiem ale iakoś tak mi poszło że orkiestra klaskać zaczęła i znów po odeyściu przywołany byłem. — Tak się skończył pierwszy koncert. Gazety wiedeńskie mię suto pochwaliły | bo ia z Kuriera sobie nic nierobię, |

---

[1]) Karasowski dodaje: „podziękował o d m a w i a j ą c".
[2]) ma być: „z Lachnerem" „z Kreutzerem".

w tydzień grałem drugi raz bo chcieli, z czego byłem kontent bo niepowiedzą że grał raz i uciekł. Zwłaszcza że na drugim uparłem się grać to Rondo Krakowiak, nad którem Gyrowetz, Lakner i inni tamteysi mistrzowie nawet orkiestra (daruy że tak powiem) unosili się i iuż nie raz ale dwa razy byłem przywołany. — Musiałem na drugim koncercie grać też powtórnie Waryacye bo się strasznie damom podobały i Haslingerowi. Wyidą w Odeonie, | spodziewam się że dosyć honoru. | Lichnowski protektor ów Beethovena chciał mi swoiego fortepianu dać na koncert, — i to wiele — bo mu się zdawało że móy był za słaby. — ale to móy sposób grania który się znów damom bardzo podobał a szczególniey Pannie Blachetka I-szey fortepianistce wiedeńskiey, która musiała być ze mną dobrze (nota bene 20 lat ieszcze niema, | przy rodzicach którzy mię bardzo polubili i dali listy do Pragi, | i sprytna nawet ładna dziewczyna) kiedy mi swoią kompozycią na odiezne z własnoręcznym podpisem na pamiątkę dała. O drugim koncercie powiedziała gazeta wiedeńska „to iest młody człowiek idący swoią własną drogą, na którey wie jak się podobać, a która znacznie od wszystkich innych koncertowych form się oddala“ itd. spodziewam się że dosyć; zwłaszcza że kończy „Pan Chopin dzisiay także podobał się powszechnie“ — Daruy że przymuszony iestem pisać ci takie zdania o sobie, ale piszę to do Ciebie, a mnie one więcey przyiemności robią niż niewiem jakie kuryery [1]). — Z Czernym poznałem się za panie brat — na dwa fortepiana często z nim u niego grywałem. Dobry człowiek, ale nic więcey — ze wszystkich znajomości fortepianowych naywięcey mię ucieszył Klengel, którego poznałem w Pradze u Pixisa. Grał mi swoie fugi (można mówić że to dalszy ciąg fug Bacha iest ich 48 i tyleż kanonów) — Widać różnicę od Czernego. — Klengel dał mi list do Morlachiego do Drezna. Morlachi pierwszy kapelmeister króla saskiego bardzo mię grzecznie przyiął był u mnie i zaprowadził do Panny Pechwel uczennicy Klengla co tam uchodzi za pierwszą fortepianistkę. — Dobrze gra. — Byliśmy w Szwaycaryi Saskiey. Piękności mnóstwo — Galerya cudna — Tylko operę włoską z przed nosa mi wzięli. Tego samego dnia wyiechałem co był Crociato in Egitto; tylkom się tem konsolował żem go w Wiedniu widział. — Pruszakowa i Olesia i Kostuś w Dreźnie, na wyiezdnem spotkałem ich; co za radość, pan frycek, pan frycek; — tak mi było przyiemno że gdybym był sam, pewno byłbym się zatrzymał. — Sam Pruszak w Toeplitz, gdziem go też widział. Poiechali tam teraz do niego. — Toeplitz śliczne, tam byłem ieden dzień i zaraz na wieczorze u X-ney Klary. | Szkoda że muszę kończyć ale iużem ci dość naplotł. Oczekuię przybycia pańskiego — często przejdę koło Sto Jurskiej do Brandta, spojrzę i pisać mi się chce do Ciebie. |

Ściskam cię serdecznie z wsame-usta pozwolisz? —

F. Chop.

---

[1]) Karasowski pisze: „niż... pochwały oddawane w Kuryerze warszawskim“.

| Maxa dziś spotkałem. Powiedział mi że radykalnie zdrów i stoi a l'hotel garni. W zielonym surduciku; tyle był łaskaw że mi swoią osobę z wizytą obiecał — wspominał Cię — kłaniać ci się nie kazał bo nie wiedział że będę pisał, — rano i ia o tem niewiedziałem. — Jeżeli będziesz myślał, rzuć kilka słów na papier do mnie — Zdrowi wszyscy co cię interesować mogą. — Znałeś ową Pannę Filipinę kuzynkę Lindego co za Bergerem była? — umarła. — A ia zato wracaiąc byłem na weselu Panny Bronikowskiej Melasi; śliczne dziecko, poszła za Kurnatowskiego. Często się ciebie wspomniało, kazała Ci się kłaniać. Jey rówieśniczka kuzynka co też parą dniami wprzód poszła za mąż ieszcze ładnieysze dziecko — ładnie im było po weselnemu. Tak się rozpisałem że aż mi się wstać nie chce. Day buzi. Panu Karolowi moie uściśnienie. — ...F. Ch.... Papa, Mama zasyłaią wam swoie ukłony i życzenia dzieci toż samo. — |

Warszawa dn. 3 Października 829

Drogi Tytusie

| W ten moment odebrałem list od Ciebie kiedym się powtórnie pisać zabierał sądząc iż albo pierwszy list nie doszedł, albom coś strasznie głupiego napisał. Cieszy mię żeś ile z listu wnoszę zdrów o czem się lepiey od Karola dowiem. Piszesz mi żebym Ci się iaśniej explikował co się ma ze mną i z ludźmi o których ia wiedzieć mogę, dziać, — Kostuś mi pisał w ostatnim liście przez Oyca który iuż z Toeplitz powrócił na Śty Mateusz na iarmark łowicki, że myśli w Dreźnie do Bożego narodzenia zabawić, że im wesoło będzie, bo podług wszelkiego podobieństwa do prawdy Pani Sokołowska z córką tamże zimować będzie; przytem że Panna Wanda tak mocno na nerkową febrę chorowała iż był czas gdzie doktorowie nadziei mało czynili; chorowała w Marienbadzie, konwalesantka w Dreźnie. — Niepisałem ieszcze do Kostusia... tłómaczyć ci niepotrzebuię dla czego... znasz moiego lenia; ledwom się zebrał do Würfla[1]) parę słów nabazgrać. | — Piszesz mi żeś z 2 gazet dowiedział się o moich koncertach, ieżeli z polskich w których nieszczęściem nietylko tłomaczyć nieumieli ale nadto umyślnie na dezawantaż móy poprzekręcali zdania wiedeńskie, o czem ustnie lepiey się dowiesz, nie mogłeś mieć zadowolenia. — Sammler wiedeński, i Zeitschrift für Litteratur, z których

---

[1]) Würfel Wilhelm z urodzenia Czech był cenionym pianistą i profesorem warszawskiego konserwatoryum następnie kapelmistrzem w Kärntner-Shortheater w Wiedniu — gdzie umarł w 1852 r.

mi wyjątki Hube, (który zwiedziwszy Triest, Wenecyą, w przeszłym wrócił tygodniu) naprzywoził, gdzie szczegółowo a bardzo pochlebnie (daruy że Ci to piszę) rozbieraią grę moią i kompozycyę, gdzie na końcu zowią mię (Selbstkraeftiger Virtuos) a do tego bogato od natury uposażonym; — takie wyiątki żeby ci były pod rękę podpadły, niemiałbym się czego wstydzić. — Chcesz wiedzieć co myślę tey zimy z moią osobą począć, dowiedz się że niezostanę w Warszawie ale gdzie mię okoliczności poniosą, niewiem. — Prawda że X. Radziwiłł a raczey ona bardzo grzeczna, zapraszali mnie do Berlina, daiąc nawet mieszkanie w własnym pałacu, ale cóż mi po tem kiedy mi teraz trzeba tam gdziem zaczął, zwłaszcza żem obiecał powrócić do Wiednia, a w iedney z gazet tamteyszych napisano iż dłuższy pobyt w Wiedniu byłby korzystnym moiemu wystąpieniu na świat (Anschlag). — Sam zapewne czuiesz potrzebę moią powrotu do Wiednia, nie dla Panny Blachetki, o którey ile mi się zdaie pisałem, iest to osoba młoda, ładna, graiąca, bo ia iuż może na nieszczęście mam móy ideał, któremu wiernie niemówiąc z nim iuż pół roku służę, który mi się śni, na którego pamiątkę stanęło adagio od moiego koncertu, który mi inspirował tego walczyka dziś rano, co ci posyłam. Uważay iedno mieysce † oznaczone. O tem nikt nie wie prócz ciebie. Jakże by mi było słodko, zagrać ci go naydroższy Tytusie. W Trio spiew bassowy powinien dominować aż do górnego es wiolinu w 5-tym takcie o czem ci niepotrzebnie pisać, bo czuiesz. — Z wiadomości muzycznych nic prócz tego iż co piątek bywa muzyka u Kesslera. — Wczoray między innymi grali Otteto Spohra, cudne, przecudne. U Sowana był wieczór ale nie tęgi. Tam poznałem się blizko z Bianchim co z Chiaviniami ieździ; dobrze gra na skrzypcach, ale zresztą fanfaron ile mi się zdało. — Soliwa grzeczny, o Ciebie się pytał. — Oborskiego spotkałem wczoray. Pytał się czy niewiem co o Tobie; dał mi wiadomość o swoyey osobie że iest na urzędzie, iak powiada w Banku. Że jest dans la correspondance, że dwa dni iak przegląda ogromne pliki listów, od rozmaitych bankierów zagranicznych. Dobrze wygląda, Jelski mu dał to mieysce i przedni taki iak był, zawsze stoi a l'hotel garni to się ma rozumieć do kogo zaydzie. Kopciuszka[1]) tuteyszego ieszcze nie widziałem, dziś Handel na żony[2]) W poniedziałek otwarcie teatru francuzkiego. — Barański ci się kłania, iest teraz w Szwaycaryi; — Jędrzejewicz do Włoch z Genewy miał się puścić; — Woycicki przyiechał z Londynu, daie w Liceum. Jak przyiedziesz na przyszły miesiąc, zobaczysz całą naszą familię malowaną[3]), nawet

---

[1]) „Kopciuszek“ opera Rossiniego przedstawiona po raz 1-szy w Warszawie 29 sierpnia 1829 r.

[2]) „Handel na żony“ opera Herolda (dawana od 1820 r.)

[3]) Zachowane do dziś dnia portrety pędzla I. Mieroszewskiego; po raz pierwszy przez M. Karłowicza w „Niewydanych pamiątkach po Ch.“

Żywny co Cię często wspomina, zrobił mi surprizę kazał się malować i Miroszesio tak go trafił że do zadziwienia podobny. — Nim list twóy dostałem byłem na miodowey ulicy, mam zwyczay patrzyć w górę do Hodkiewicza, ale w tey samey pozycyi były okiennice w pokoiu gdzieś stał, co i wczoray, co i onegday. Trzeba Ci także wiedzieć że mi Wincenty Skarżyński fałszywy zrobił apetyt, za nowinę pewną mówiąc mi, że wkrótce przyiedziesz. — |

Do Brzeziny[1]) co dzień chodzę. Niemasz nic nowego prócz koncertu Pixisa, o którym ia wiele nie trzymam. Rondo zdaie mi się naylepsze. — Nie uwierzysz iak dla mnie teraz Warszawa smutna; gdyby nie to że familia mi uprzyjemnia to bym nie wysiedział. — A jak to przykro nie mieć poyść do kogo rano, podzielić z nim smutku, radości, iak to niegodziwie kiedy coś cięży a niema gdzie złożyć. Wiesz do czego to alluzia. — Fortepianowi gadam to, cobym tobie był nieraz powiedział[2]). — Kostuś się będzie cieszył iak mu doniosę żeś pisał, i że przyiedziesz a przynaymniey żeś się obiecał. Myśl przeiechania się powinieneś do skutku przywieść. — Nie posiadałbym się z uciechy gdybym mógł razem z Tobą iechać; ale mi inaczey iechać trzeba iak Tobie; poiadę się uczyć z Wiednia do Włoch a na przyszłą zimę mam być razem z Hubem w Paryżu, — lubo to wszystko ieszcze zmienić się może zwłaszcza że Papa radby mię do Berlina wysłać, — a czego ia sobie nie życzę. | — A propos Berlina stary Pruszak iedzie do Gdańska. Łączyński Paulin któregom niedawno spotkał utrzymuie że niewytrzyma Pruszak do zimy bez żony. Jakkolwiek bądź, śte postanowienie Pani Pruszak, było zostać się do Bożego narodzenia w Dreźnie. | — Gdybym iechał do Wiednia, możebym górą poiechał na Drezno i Pragę dla widzenia ieszcze raz Klengla, Konserwatoryum Praskiego itd. | a w ten czas jakże by mi miło było zobaczyć Kostusia. Obniski Ci się kłania. Geysmera też onegday spotkałem. Cieszył bym się żebym Cię jeszcze w Warszawie widział, bo i mnie może w listopadzie drapnąć wypadnie, to by iednak było ku końcowi miesiąca, a myśmy się nie pożegnali bo ostatnie słowa były „a więc, przyślę ci tłomoczek“ — Wystaw sobie, móy wałek zgubiłem, iadąc z wesela Panny Bronikowskiej! | Dosyć tego bo Cię znudzić mogę czczemi wiadomościami a iabym nigdy nic takiego niechciał czynić aby Ci się nie podobało. Jeżeli będziesz mógł, dwa słowa mi napisz a ucieszysz mię znów na kilka tygodni. Daruy żem ci posłał walc który Cię może i rozgniewa na mnie, ale dalibóg chciałem Ci nim przyiemność zrobić, bo Cię szalenie kocham.

F. Chopin

---

[1]) Właściciel księgarni i składu nut w Warszawie.
[2]) Alluzje do uczuć miłosnych względem panny Gładkowskiej.

Warszawa Sobota dn. 14 L. 1829

Naydroższy Tytusie

Ostatni twoy list w którym mi każesz się ucałować odebrałem w Antoninie u Radziwiłła. Byłem tam tydzień, nieuwierzysz iak mi u niego dobrze było. Ostatnią pocztą wróciłem i to ledwo com się wymówił od dłuższego pobytu. Co do moiey osoby i chwilowey zabawy byłbym tam siedział dopókiby mię nie wypędzono, ale moie interessa a szczególniey móy koncert ieszcze nie skończony a oczekuiący z niecierpliwością ukończenia finału swoiego przynaglił mię do opuszczenia tego raju. Były tam dwie Ewy, młode xiężniczki, nadzwyczaj uprzeyme i dobre, muzykalne, | czułe | istoty. Sama stara Xiężna wie że nie urodzenie czyni człowieka, i tak wiąże swoiem obchodzeniem się że niepodobna iey nie lubić. On, wiesz jak lubi muzykę, — pokazywał mi swoiego Fausta i wiele rzeczy znalazłem tak dobrze pomyślanych, nawet genialnych, żem się nigdy po namiestniku tego spodziewać niemógł. — Między innymi iest iedna scena, w którey Mefistofeles kusi Gröthen graiąc na gitarze i śpiewając pod iey domem, i iednocześnie słychać spiewy choralne z pobliskiego kościoła; ten kontrast wielki effekt w exekucyi robi; na papierze widać sztucznie złożony śpiew a bardziey akompaniament diabelski pod chorał bardzo poważny. — Z tego możesz mieć wyobrażenie o iego sposobie widzenia muzyki; — przytem zabity Glukista. Muzyka teatralna tyle ma u niego znaczenia, ile maluie położenia i uczucia, — dlatego nawet uwertura niema finału tylko w introdukcyą wchodzi a orkiestra wciąż będzie za sceną, aby poruszenia smyczków, silenia się i dęcia widać nie było. — Napisałem u niego alla polacca z wiolonczellą. Nic niema prócz błyskotek, do salonu, dla dam, — chciałem, widzisz, żeby X-czka Wanda się nauczyła. — Niby iey przez ten czas dawałem lekcye. Młode to 17-cie lat, ładne, i dalipan aż miło było ustawiać paluszki. Ale żart na stronę, wiele ma prawdziwego czucia muzykalnego, tak że nie trzeba gadać a tu crescendo, a tu piano, a tu prędzey, a tu wolniey i tak daley. — Niemogłem się wymówić od przysłania im poloneza moiego F minor, który zaiął X-czkę Elizę, proszę Cię więc przyszliy mi go naypierwszą pocztą, bo niechcę być poczytanym za niegrzecznego, — a z pamięci pisać niechcę kochanku, bobym inaczey może napisał aniżeli iest w istocie. — Możesz sobie wystawić charakter tey X-czki kiedy iey codzień tego poloneza grać musiałem i nic tak nie lubiła iak to Trio as dur. — | Tak to tam wszyscy dobrzy. — Wracaiąc byłem w Kaliszu na iednym wieczorze, gdzie była Pani Łączyńska i Panna Biernacka, — wyciągnęła mię do tańca, musiałem mazura tańczyć, i to z ładnieyszą jeszcze Panną od niey, a przynaymniey równie piękną panną Nieszkowską Pauliną, która niechce Jenerała Miecielskiego a on się do niey koniecznie adresuie. — Panna Biernacka dużo ze mną mówiła o Tobie i o twoim Bracie i widać było słodkie uczucie iakie iey owa zima w Warszawie spędzona nieciła, — cały wieczór z nią rozmawiałem

a raczey musiałem odpowiadać i pytać się, — nigdy tak mi się dobrze niewydała iak wtenczas szczególniey mówiąc o słodyczy charakteru Pana Karola. Nieżartuię. — Powiedziałem iey że ty będziesz wiedział o całym wieczorze, że się będę przed Tobą skarżył na to że mię do tańca skusiła, ale Ci się nie zlękła. — Poznałem iey oyca, blizko Antonina ma swoie Sulisławice. — Między innemi godny widzenia taniec Jaxy Marcinkowskiego, który na tym wieczorze z zabłoconemi butami do upadłego wywiiał. Byłem w Kaliszu tylko ieden dzień. — Kostuś do mnie pisał alem mu ieszcze nie odpisał. | — X-żna Radziwiłłowa życzy żebym był w maju w Berlinie, zatem nic mi nie przeszkadza iechać na zimę do Wiednia. Ile myślę to przed grudniem nie wyiadę, — 6-tego Papy imieniny więc chyba bym ku końcowi grudnia wyiechał, zatem mam nadzieię widzenia się z Tobą, a projektów żadnych nie robię — gdybym poiechał przed twoiem przybyciem co podług wszelkiego prawdopodobieństwa być nie może, napisał bym Ci, bo nic bardziey niepragnę iak Ciebie widzieć, — a ieszcze za granicą — Nieuwierzysz iak mi teraz w Warszawie czegoś niedostaie niemam komu dwóch słów powiedzieć, na nikogo spoyrzeć z zaufaniem — Chciałeś mego portretu, — żebym mógł był ukraść ieden X-żnie Elizie to bym go był tobie posłał; dwa razy mię w sztambuchu zrobiła i ile mi ludzie gadali bardzo podobnie. — Mieroszewski teraz czasu niema; moie życie, tyś za dobry — a potem wierz mi że ia prawie zawsze przy tobie, — ia ciebie nieodstępuię i tak będzie do śmierci twóy najprzywiązańszy

F. Ch.

Jeszcze ci raz przypominam poloneza f minor, przyśliy mi go moie życie pierwszą pocztą. —

Napisałem parę exercissów, — przy Tobie bym ie dobrze zagrał.

| Papa, Mama, dzieci, Żywny ci się kłaniaią. — Jędrzejewicz pisał z Wiednia, wraca. Pałac Lucypera Kurpińskiego dawali ale się nie udaie. |

Kessler grał w ostatnią sobotę na Ressursie koncert Hummla E Dur. | Grał także Serwaczyński. — Może grać będę na przyszłą sobotę, — grałbym twoie Waryacye. — Pani Bourgeois-Schiroli, Alt piękny u Soliwy 2 razy śpiewała na wieczorach muzycznych, mówił mi to Teichmann. Panna Wołków po matce w żałobie a Panna Gładkowska z zawiązanem okiem. Żyliński nawet śpiewał z Panią Schiroli, ale powiadaią że iak szczur przy niey się wydawał. — To wszystko co wiem z nowin. — Maxa dawno nie widziałem ale pewno zdrów. — Gaszyński napisał komedyjkę wierszem na teatr Rozmaitości, gdzie teraz cały świat się wali. Tytuł iey iest Przedpokóy doktora. Gąsie zdrów Rinaldi ile razy mię spotka o Ciebie się pyta. Na przyszłą niedzielę ma być „Milionasz“ (Bauer als Milionair), mała komiczna opera Dech-

selera. Niewiem poco to niemieckie głupstwo u nas dadzą, chyba dla dekoracyi i metamorfoz rozmaitych śmiesznych, bawiących dzieci. Będą latać. — Sachetti miał dekoracye malować. — Już wszystko co mi w pióro wlazło. Niechce mi się nowin pisać tylko bym się z Tobą pieścił. — Ieszcze raz day mi się uściskać. | F. Ch.

Warszawa 20 Paźdz. 1829

Naydroższy Tytusie!

Pomyślisz może zkąd mi się wzięła taka mania pisania listów, że iuż trzeci do Ciebie w tak krótkim przeciągu czasu posyłam. Jadę dziś o 7-mey godzinie z wieczora diliżansem do Wiesiołowskich w Poznańskie, i dlatego wprzód piszę zwłaszcza że niewiem iak długo mi bawić tam wypadnie lubo paszport tylko na miesiąc wziąłem. Moią myślą iest wrócić za dwa tygodnie. — Przyczyną moiego wyiazdu iest także bytność Radziwiłła w swoich dobrach za Kaliszem. Były bowiem oświadczyny żebym iechał do Berlina, w jego pałacu tamże mieszkał i tym podobne słówka, piękne, zabawne, — ia iednak żadney w tem niewidzę korzyści gdyby się to nawet ziścić miało, o czém wątpię, bo iuż to nie jedna łaska pańska którą na pstrym koniu widziałem, ale Papa nie chce wierzyć żeby to miały być tylko des belles paroles, i to iest przyczyna moiego wyiazdu, którą nawet ile mi się zdaie iuż raz tobie napisałem. — W tym względzie wiesz iaki dobry iestem że dziesięć razy iedno gotówem powtarzać, i zawsze za nowość. — | Pani Pruska była wczoray, wspominała że P. Wanda iuż zdrowa, że się Kostusiowi nudzi w Dreźnie, czego mi się wierzyć nie chce. — Soliwowa z dziećmi w przeszłym tygodniu do Włoch do matki mężowskiej wyjechała. — Wiem tę nowinę od Ernemanna któregom widział u Kesslera, [1]) na kwartetach. | Trzeba ci wiedzieć że Kessler co piątek daie u siebie małe muzyczki. Tam się wszyscy schodzą i graią — niema nic naprzód układanego tylko co się nawinie w kompanii to się gra. I tak zaprzeszłego piątku, był Koncert Riesa Cis moll w kwartecie, było Trio Hummla E dur, Trio Beethovena ostatnie (coś podobnie wielkiego dawno nie słyszałem, tam Beethoven szydzi z całego świata) — Quatuor X-ia Ferdynanda pruskiego alias Dusseka [2]), i nakoniec śpiewy | ale nie śpiewy tylko parodia śpiewu, co istotnie przedziwnem było. Trzeba ci wiedzieć że Cymmermann co na flecie gra, ma iakiś szczególniey śmieszny głos,

---

[1]) Józef Krzysztof Kessler ur. w Augsburgu w 1800 — pianista i kompozytor był przez jakiś czas nauczycielem muzyki u hr. Potockich w Łańcucie i we Lwowie. W r. 1829—30 przebywał w Warszawie.

[2]) Jan L. Dussek urodzony w Czasławiu (w Czechach) 1761 r. był znakomitym fortepianistą i kompozytorem. Ch. czyni tu alluzję jakoby utwory Ks. Ludwika Ferdynanda Pruskiego którego profesorem był Dussek przez tegoż pisane były; było to jednak podejrzenie niesłuszne książe który zginął w bitwie pod Saatfeld (1806 r.) był istotnie zdolnym muzykiem.

który za pomocą warg i ręki wydaie. Jest to niby kocie niby ciele coś w tym rodzaiu. Nowakowski także ma oryginalny głos, do małey fałszywey, dziecinney trąbki podobny, co zapomocą iakiegoś ściśnienia płaskiego ust wydobywa. Filip korzystaiąc z tego napisał duet dla Cymmermanna i Nowakowskiego z chórem, iest to wielkie głupstwo chociaż dobrze zrobione ale tak śmieszne że skończyć nie można było. — Chociaż to było po Triu Beethovena iednakże nie zdołało zatrzeć tego wielkiego wrażenia iakie na mnie zrobiło, — zwłaszcza że i dobrze było exekwowane. Serwaczyński [1]) akkompagnował, a on bardzo ładnie akkompagnuie. — Ma dać w tym tygodniu koncert. Podług mnie niepotrzebne to są rzeczy, ale go tem exkuzuią że chce tu zostać (coby nieźle było) chce lekcyi i spodziewa się że to naylepszy środek dostania godzin. — Jak powrócę i Ty iuż będziesz w Warszawie, parę razy zrobimy Trio, co mi iuż obiecał, — bo Bielaskiego [2]) strasznie prosić się trzeba a mała różnica. — Słowem ślicznie akkompagnuie. | — Adagio koncertowe Elsner chwalił, mówił że iest nowe, — ale co o Rondzie to ieszcze niechcę niczyiego wyroku bo ieszcze nie iestem zupełnie z niego kontent. Ciekawym czy przecie skończę zupełnie iak wrócę czy nie. — | Powiadali mi wczoray że przyiechała tu Panna iakaś z Petersburga iak się zowie zapomniałem, ma być bardzo młoda i zadziwiaiąco gra na skrzypcach. — w przyszłą niedzielę maią dać wznowiony Pałac Lucypera, — Kurpińskiego dawną operę. — Oborskiego spotykam, Obniski magister z celuiącym stopniem, Masłoski ditto. — Barciński pisał z Genewy, każe Ci się kłaniać, w Schafhauzie roziechali się z Jędrzejewiczem — Barciński nazad do Francyi a tamten do Münnich. | — Ślicznie Ci dziękuię za liścik przez Brata pisany, ucieszyłem się nim — masz iuż tę pociechę że kiedy chcesz możesz ludzi rozweselać i cieszyć, nieuwierzysz iakiem był zły rano, a iaki dobry po obiedzie odebrawszy list; — dosyć iuż na dziś kończę bo ieszcze mam niektóre rzeczy do załatwienia przed wyiazdem. — Ściskam Cię serdecznie, tak piszą pospolicie na końcu listów, ale nie wiedzą co piszą — wierzay mi iednak że wiem com napisał bo cię kocham iak

F. Ch.

Zrobiłem Exercice duży en forme, w moim iednym sposobie iak się zobaczemy to ci go pokażę. —

Sobota dn: 27 Marca 1830

Naydroższe życie moie!

Nigdy mi tak Ciebie nie zbywało iak teraz; niemam komu się wylać, niemam Ciebie. — Twoie iedno spoyrzenie po każdém koncercie było by

---

[1]) Serwaczyński Stanisław ceniony skrzypek, koncertmistrz orkiestry opery warszawskiej.
[2]) Bielawski bardzo ceniony skrzypek, profesor konserwatoryum warszawskiego.

mi więcey iak wszystkie pochwały gazeciarzów, | Elsnerów, Kurpińskich, Soliwów itd. | Zaraz po odebraniu listu od Ciebie chciałem opisywać Ci pierwszy koncert, ale tak byłem roztargniony i zaięty preparatywami do drugiego który zaraz w poniedziałek dałem, żem zasiadłszy niemógł myśli zebrać do kupy. I dziś wprawdzie ieszcze tak iestem, — ale iuż niebędę czekał chwili spokoynego umysłu, tak rzadkiey dla mnie chwili, — bo poczta odeydzie. Pierwszy więc koncert, lubo był pełny i od 3-ch dni naprzód ani lóż ani krzeseł nie było, nie zrobił na massie wrażenia iakem ia rozumiał. — Pierwsze Allegro dla małey liczby przystępne, zyskało brawo ale iak mi się zdaie dla tego że trzeba się było dziwić co to iest! — i niby udawać koneseurów! — Adagio i Rondo naywiększy effekt sprawiło tu iuż szczersze okrzyki dały się słyszeć, — ale co Potpury na temata polskie [1]), zupełnie podług m n i e celu nie dopięły. Dano brawo, i w tem przekonaniu że trzeba mu dać na odchodnem znać, żeśmy się nie znudzili. — Kurpiński uważał tego wieczora nowe piękności w moim koncercie, a W i m e n ieszcze się przyznawał, że nie wie co ludzie dopatruią w mojem Allegro. — Ernemann był zupełnie kontent, a Elsner żałował że móy pantalion głuchy, i że bassowych passaży słychać nie było. Tego wieczora o ile paradysowi i ci co w orkiestrze stali, byli zadowoleni, o tyle parter narzekał na ciche granie, — i chciałbym być u Kopciuszka [2]) żeby słyszeć d e b a t a iakie się musiały toczyć o moią osobę. Dlatego to Mochnacki w Kuryerze Polskim, wychwaliwszy mię pod niebiosa a szczególniey Adagio, na końcu radzi więcey e n e r g i i. — Domyśliłem się gdzie ta energia siedzi i na drugim koncercie, nie na swoim ale na wiedeńskim grałem instrumencie. | Diakow Jenerał Rossyiski, tyle był grzeczny że mi dał swoiego Instrumentu, — lepszego iak ów Hummlowski, | — i dopiero, ieszcze liczniey iak na pierwszym zgromadzona publiczność zadowolona była. — Dopiero oklaski, pochwały że każda nótka iak perełka wybita, i że na drugim lepiey grałem iak na pierwszym, i daley po wywołaniu mię, wrzeszczeć o 3-ci koncert. Krakowskie Rondo ogromny effekt zrobiło, 4-ry razy ponawiano oklaski. Kurpiński żałował żem na Wiedeńskim fantazyi nie grał, — czego się nawet w Kuryerze Polskim nazaiutrz Grzymała domagał. — Elsner powiedział że po 2-gim koncercie dopiero mogą o mnie sądzić, — lubo ia szczerze powiem że wolałbym był na swoim grać. Głosem to iest iednak powszechnym że instrument lepiey był zastosowanym do mieysca. — Rozkład pierwszego koncertu był Tobie wiadomy, — drugi koncert, zaczął się od symfonii Nowakowskiego (par complaisance), po czem pierwsze Allegro z koncertu. Bielawski zagrał Beriota Waryacye; po czem Adagio i Rondo. — Drugą część rozpocząłem Rondem Krakowskiem; po czem Majerowej udało się lepiey aniżeli kiedy zaśpiewać Aryę Soliwy z Heleny i Malwiny. Nareszcie improwizowałem, co się pierwszo piętrowym lożom bardzo podobało. — Jeżeli Ci mam szczerze

[1]) Grande Fantaisie sur des airs polonais op. 13.

[2]) Kawiarni, w której zbierali się literaci i artyści.

powiedzieć to improwizowałem nie tak iak miałem ochotę, bo to nie dla tego świata było. Mimo to iednak dziwię się że Adagio tak powszechny effekt zrobiło; gdzie się obrócę tylko mi Adagio przypominaią. — Pewno masz gazety wszystkie, albo przynaymniey głównieysze, z tamtąd możesz miarkować że byli kontenci. — Moriolówna [1]) przysłała mi wieniec laurowy, dziś ieszcze dostałem wiersze iakiegoś kogoś. — Orłowski narobił mazurków i walców z tematów moiego Koncertu, — Sennewald kompanista Brzeziny, prosił mię o móy portret ale mu tego nie mogłem pozwolić, bo by za wiele było na raz, — i niemam ochoty żeby we mnie masło owiiano, tak iak się to z portretem Lelewela stało.

| Tobie przyślę iak tylko będę mógł nayspieszniey, chcesz tego więc mieć będziesz, ale nikt prócz ciebie moiego Portretu mieć nie będzie, — mogła by ieszcze mieć osoba iedna tylko, — i to nigdy przed Tobą, — bo tyś mi naydroższy. Twego listu nikt prócz mnie nie czytał. Iak zawsze, tak i teraz noszę twoie listy przy sobie. Jakże mi będzie błogo, — w maju wyszedłszy za mury miasta, myśląc o moiey zbliżaiącey się podróży, dobyć twoiego listu i szczerze się, zapewnić że mię kochasz. — a przynajmniey spoyrzeć na rękę i pismo tego którego ia tylko kochać umiem! — | W przyszłym tygodniu chciano abym grał ieszcze ieden koncert; ale ia niechcę. — Nieuwierzysz co za męka trzy dni przed wystąpieniem. Zresztą przed świętami skończę I-sze Allegro 2-go koncertu a zatem zaczekam z 3-cim koncertem aż po Ś-tach; chociaż wiem że i teraz ieszcze więcey mógłbym mieć słuchaczów, bo cały wielki świat mało mię słyszał. — Między głosami parterowemi na ostatnim koncercie o 3-ci wołaiącymi odezwał mi się ieden „na Ratuszu" tak głośno żem na scenie usłyszał; ale wątpię żebym go usłuchał, bo ieżeli dam, to pewno w teatrze. Nie idzie mi o zysk bo i teatr mi niewiele przyniósł, ponieważ kassier robił co chciał bo iemu się zdało wszystko. Z obu koncertów odtrąciwszy koszta nie było 5-ciu tysięcy, — lubo Dmuszewski wspominał że fortepianowego koncertu niebyło ieszcze tak licznego, iak pierwszy a tem bardziey drugi. — Ale idzie mi o to że w Ratuszu nie z mniejszym ambarasem, niewiele większym effektem, grałbym także nie dla wszystkich bo albo dla naywyższey klasy, albo dla miasta. — Jeżeli kiedy, to teraz czuię że ieszcze się ten nieurodził coby wszystkim dogodził. Dobrzyński się na mnie kwasi żem iego symfonii nie wziął, — Pani Wodzyńska się gniewała żem iey loży nie zatrzymał itd. — | A propos Wodzyńskiey którą onegday widziałem u P. Pruszak na imieninach (Maryanna), — przypomniało mi się żem tam także Brata twoiego widział, który zawsze ma swoie dobre momenta i kazał Ci się kłaniać. Był także wkrótce przed imieninami, zdaie mi się że na święty Józef obchód

[1]) Hrabianka Aleksandra de Moriolles córka ochmistrza dworu W. Ks. Konstantego, z którą Ch. w b. serdecznych był stosunkach.

25 letniego przeżycia Państwa młodych, alias srebrne wesele, — Obiad bardzo naturalnie nie bez mleczków, i innych przysmaczków rubaśnych, dalibóg nie dla mnie. — Wczoray byłem na obiedzie u Moriola, i późniey na wieczorze u Diakowa gdziem także widział Soliwę — Kłania Ci się i obiecał mi kiedyś dać iakąś kartkę do Ciebie. — Graliśmy la Rubinelle Hummla z Kaczyńskiemi i dosyć, dobrej muzyczki robiono. | Niechce mi się odrywać od papieru zwłaszcza że mi się zdaie żem ieszcze nie napisał co bym chciał aby Cię interessowało. Wszystko chowałem na desser a tem czasem niemam innego desseru iak tylko uściśnienia nayszczersze bo ia Ciebie tylko mam

F. Chopin

| Papa, Mama, dzieci Ci się ślicznie kłaniaią. Żywny. — Maxa precz widuię i u Pani Potockiey, był na Teatrze, i u Pani Nakwaskiey na wieczorze muzykalnym. — Łączyńskiego także niedawno w dorożce spotkałem. |

| Warszawa dn. 10 Kwietnia 1830 Sobota
(Rocznica śmierci Emilii! —)

Naydroższe życie moie!

Jeszcze w przeszłym tygodniu miałem ochotę pisać do Ciebie, ale mi tak zeszło że ani wiem gdzie się podziało. — Trzeba Ci wiedzieć że się świat nasz straszliwym sposobem rozmuzykował, nieszczędzono nawet wielkiego tygodnia i w ten poniedziałek był wieczór duży u Filipinsa [1]), gdzie Pani Sauvan ładnie śpiewała duet z Semiramidy a duet buffo z Turka śpiewany przez Soliwę i Gressera na żądanie powtórnie akompaniować trzeba było. | Innych detalii niebędę Ci pisał; — prócz — że się Pani Gładkowska o Ciebie pytała. |

Proiekt iuż gotowy na maiący się dać wieczór u Lewickich, gdzie między innymi X. Galitzin będzie grał Kwartet Rodego, zrobi się la Sentinella Hummla, i na końcu móy Polonez z Violoncellą do którego dodałem Adagio introdukcyę umyślnie dla Kaczyńskiego. Probowaliśmy, i uydzie. — To są nowości salonowe, muzykalne, teraz przystępuię do nowości gazetowych, muzycznych, które mię mniey od salonowych obchodzą tem bardziey, że na mnie dosyć łaskawe wyroki; — chciałbym Ci ie posłać. W iednym artykule półarkuszowym Gazety Warszawskiey musi być dosyć przycinku Elsnerowi kiedy Soliwa mi na obiedzie u Moriola powiedział że gdyby nie to że ma elewki na wystąpieniu, boi się szukać zaczepki, sam by odpisał. Z resztą mówił mi żeś do niego pisał, spodziewam się więc że ieżeli Ci odpisze, nie minie tey okoliczności. — Trudno dać Ci wyobrażenie w krót-

[1]) Filipens generał, był intendentem dworu W. Ks. Konstantego (Karasowski).

kości o tem wszystkiem; żebym mógł tobym Ci gazety posłał abyś rzecz zrozumiał należycie. Ale że mądrey głowie dość na słowie, więc Ci tak lekko napomknę o co tu idzie. — Po moich koncertach sypnęło się mnóstwo recenzyi, szczególniey w Kuryerze Polskim — jakkolwiek iuż przesadzonemi tchnęły pochwałami iednakże ieszcze znieść ich można było. — Dziennik urzędowy także kilka stronnic poświęcił moim panegirykom, ale między innymi w iednym ze swoich numerów takie głupstwa mimo naylepszey chęci poklicił żem był w desperacyi od chwili, w którey przeczytałem odpowiedź w Gazecie Polskiey iak naysprawiedliwiey odeymuiącą mi to, co tamten z exageracyi przydał. Trzeba Ci wiedzieć że w tym artykule Dziennika urzędowego utrzymuie że iak Mozartem Niemcy tak Polacy mną się szczycić będą, nonsens bardzo iasny. — Ale wyżey tenże sam artykuł zawiera że gdybym się był w iakiego pedanta albo Rossynisty (co iest głupiem wyrażeniem) ręce dostał, niebyłbym tem czem (niby) iestem. Jakkolwiek nic nie iestem, ale ma racyą — że, gdybym był się od Elsnera nieuczył który mi umiał do przekonania przemówić, pewno bym mniey ieszcze umiał iak dzisiay. — Ten przycinek Rossynistów, i wychwalanie obok Elsnera, który iuż (niby) ucznia wystawił, oburzyło iuż w i e s z kogo [1]), tak dalece że w Gazecie Warszawskiej, zacząwszy niby od Przyiaciół Fredry a skończywszy na Hrabi Orym we środku biie — że zkąd należy się wdzięczność Elsnerowi kiedy on z rękawa przecie uczniami sypać nie będzie, i pokazał obok mnie (trzeba ci wiedzieć że na drugim moim koncercie grano symfonię Nowakowskiego) że „z piasku bicza diabeł nie ukręci". Elsner przed 35-ciu laty napisał Kwartet, który ma na tytule „dans le meilleur goût polonais" dodatek naówczas przez editora uczyniony z powodu menuetu polskiego, wyśmiewa się więc recenzya dzisiay z tego Kwartetu, nie wymieniwszy iednakże autora. Soliwa powiada że temi samemi wyrazami by się z Cecylii [2]) wyśmiał tem bardziey, że w tym artykule zawsze z miłością i iaknaydelikatniey o mnie mówiąc kilka nosów mi daie i radzi żebym się Rossiniemu przypatrywał ale nie p r z e p i s y w a ł. Radę tę daie mi wskutku tamtego artykułu który powiedział żem oryginalny czemu Gazeta Warszawska nie chce przeczyć. — Jestem proszony na święcone poiutrze do Minasowicza [3]), będzie tam i Kurpiński ciekawym co mi powie bo nieuwierzysz iak on mnie czule zawsze wita. Widziałem go na koncercie Leszkiewicza, we środę tydzień minął. Mały Leszkiewicz bardzo dobrze gra, ale ieszcze po naywiększey części z łokcia. Ile mi się iednak zdaie to lepszy z niego gracz będzie iak z Krogulskiego. Zdanie z którem się ieszcze odezwać nieśmiałem, choć iuż kilka razy za ięzyk ciągniony

---

[1]) Kurpińskiego, za to że wystawiał wciąż na teatrze same opery Rossiniego zwano „rossinistą" (Karasowski).

[2]) „Cecylja Piaseczyńska" opera Kurpińskiego

[3]) Minasowicz Dyonizy * 1792 † 1849 — W Warszawie wysoki urzędnik i poeta zarazem był najlepszym tłomaczem dzieł Schillera. On także przełożył wzorowo na polski język Preciozę Otella i Niemą z Portici. (Karasowski).

byłem. | Ale dosyć tey muzyki, teraz list móy nie do Pana Amatora muzyki tylko do Tytusa Woyciechowskiego obywatela rozpoczynam. Wczoray był wielki piątek, cała Warszawa wyszła na groby; i ia z Kostusiem, który onegday wrócił z Sannik, ieździłem od iednego do drugiego końca Warszawy. — Kot ci się kłania i a propos tego donoszę ci co następuie. Było to rano po lekcyi kiedy zasiadłszy do śniadania z Panną Aleksandrą rozpoczyna się rozmowa że Pani Sowińskiey mówiono o ślubie Panny Alexandryny z Panem Mleczko. Powiadam na to, żem nie słyszał; na co mi odpowiedziano, że ponieważ wiedzą żem zawsze życzliwy temu domowi, więc mam wiedzieć że: Pan Mleczko po wielkich awanturach się oświadczył. — Pani Pruszak powiada że nigdy tak okropney chwili nie miała iak wtenczas kiedy iey upadł do nóg z płaczem etcaetera. Ciekawy rezultatu oświadczyn czekam czy mi co o deklaracyi niepowiedzą, i właśnie powiedzieli że jakkolwiek Panu M. czas by był ale Pannie A. nieczas ieszcze więc czeka się rok to jest aż do przyszłych urodzin Panny A. która wówczas sama decydywę akceptować lub odrzucić może. Pan M. iednakże wczoray z niemi groby obieżdżał. — Obniski Ci się kłania. Geysmer Ci się kłania. Łączyńskiego spotkałem onegday, strasznie mi zmizerniał... i brata Karola widziałem, ślicznie iak pączek wygląda. | Aha bryftreger! i list... od ciebie. O naydroższy, iakiś Ty poczciwy! — Bo że ia o Tobie myślę to niedziw! — Ile widzę z twego listu to tylko Kuryera Warszawskiego czytałeś, — ieżeli możesz czytayże Kuryerów Polskich i 91 numer Gazety Warszawskiej. Twoie rady względem wieczorów są słuszne i dlatego im kilka odmówiłem, iak żebym Cię przeczuł, bo nieuwierzysz iak mi stoisz w myśli przy każdym nieledwie uczynku. Niewiem czy to dlatego żem się przy Tobie czuć nauczył, ale kiedy co piszę radbym wiedzieć czy ci się podoba i zdaie mi się że móy drugi Koncert E mol póty w mojem przekonaniu wartości mieć nie będzie póki go Ty nieusłyszysz. | Dziś był Bromirski prosić mię na czwartek, i zaręczam że go widzisz z kwitkiem odchodzącego. — Co się Gąsiego tycze spotkałem go onegday, o Tobie mowa była, — smutno chodzi, narzeka na nieprzyiazne sztukom okoliczności, — iak go zobaczę, co spodziewam się że dziś ieszcze nastąpi, zaraz mu powiem żeś do mnie pisał. — Niemam na podorędziu nic posłać z bzdurstw, bo nawet niewarto. | Co się tycze 3-go koncertu którego tu oczekuią teraz ieszcze tem bardziej; — niedam aż krótko przed wyiazdem i nowy grałbym; ten nowy, ieszcze nieskończony; grałbym Fantazyę Polską którey żądaią i Waryacye dla Ciebie na które tylko czekam. Albowiem iuż iarmark w Lipsku się rozpoczął, to i Brzezina dostanie transport. — Ten co mię szampanem na 2-gim koncercie chciał częstować, ów Francuz z Petersburga co go za

Fielda miano, iestto ieden z uczniów Konserw. Paryzkiego, zwie się Dunst. | Był u Soliwy, miał być u mnie iak mi tamten mówił, alem go ieszcze nie widział. | Koncerta dawał w Petersburgu i wiodły mu się; musi więc dobrze grać. Dziwno Ci pewno że Francuz z Petersburga i niemieckie nosi nazwisko. — | Właśnie przeiechał Kocio ze Skarżyńskim Walerym, a za nimi iedzie Gendre; ekwipaże ruluią, kapelusze damskie się pstrzą z daleka, piekny czas. — Otóż i Celiński móy exekutor spacerowy; poczciwy, dba o moie zdrowie. Póydę z nim na ulicę, może zobaczę kogo co mi Ciebie przypomni; a ia Ciebie tylko kocham.

F. Chopin.

Moi Rodzice ukłony i najszczersze pozdrowienia wraz z siostrami zasyłaią. — I Pan Żywny. — bo by mię wyłaiał. |

A propos, do śmiesznych nowin należy że Orłowski z moich tematów mazurki i galopady porobił, które atoli prosiłem aby nie drukował. —

| Hrabia Ory ładny[1]) szczególniey instrumentowanie i chóry. Finał pierwszego aktu piękny. — |

Warszawa dn. 17 Kwietnia 1830 Sobota
Papy urodziny. —

Naydroższe życie moie!

Jakąś ulgę czuię w nieznośney tęsknocie skoro list od Ciebie odbiorę; właśnie dziś tego trzeba mi było, bom był nudnieyszy niż kiedy. — Radbym odrzucał truiące mi wesołość myśli ale rozkosz czuię z niemi się pieścić; sam niewiem czego mi brak i może po napisaniu listu spokoynieyszym będę, bo wiesz iak to miło pisać do Ciebie. — Piszesz mi żeś został opiekunem, to mię rozśmieszyło. Donosisz o jakimsiś kotylionie, domyślam się że to Walerego robota; — wspominasz że może przyiedziesz, to mię ucieszyło, bo też i ia ieszcze na Seym zostaię. Iuż zapewne wiesz z gazet które na moie szczęście trzymasz, że 28 Maja otwarcie, cały miesiąc zatem trwa nasza nadzieia zwłaszcza że Kuryer Pannę Sonntag zaanonsował. Dmuszewski zawsze ten sam, łże, komponuie sobie rozmaite awantury; wczoray go spotkałem i pocieszną nowinę mi powiedział że iakiś sonet do mnie w Kuryerze umieszcza. Na miłość Boską prosiłem żeby głupstwa nie robił „iuż wydrukowany" odpowiedział z uśmiechem przysługuiącym się myśląc żem się pewnie radować powinien z zaszczytu iaki mię spotkał. O źle zrozumiane przysługi! Znów będą mieli pole szydzenia ci którym zawiniłem. Co się tycze mazurów z moich tematów, kupiecka chęć zysku przemogła. Już nic niechcę czytać co ludzie o mnie piszą ani słuchać co gadaią. — |

---

[1]) Hrabia Ory opera Rossiniego przedstawiona w Warszawie po raz 1szy 27 marca 1830 r.

W niedzielę tylko miałem ochotę nasłuchać Kurp. rozprawiającego o artyk. gazet. Warsz. ale iakby dla niepoznaki pomiędzy wieloma uczonemi osobami u Minasowicza na święconem znaleźć nie mogłem. Niebyło go, z muzyków ieden Ernemann ze mną tam się znaydował. — Chcąc iednak widzieć koniecznie minę iaką mi pokaże byłem u niego w święta dla życzenia świąt ale oba razy niezastałem. Soliwę dziś widziałem. Może że Włoch filut, ale pokazywał mi co napisał na odpowiedź temu artykułowi (nota bene po francuzku i dla siebie nie w celu umieszczenia tego w piśmie jakiem publicznem) i doskonałe; w ogóle sprawiedliwie ich gromi za Elsnera bez wyiawienia czyjego bądź nazwiska. — Czuły w oczy, mnieysza o to, a ia grzeczny i niewiduię go pomimo iego zaprosin iak tylko kiedy koniecznie tego potrzeba. — Ernemann był u mnie, osądził że I-sze Allo lepsze w nowym koncercie, — właśnie wczoray przyszedł kiedy Kostuś odchodził. Byłem tam dzisiay; ponieważ Seym a zatem wyiazd do Drezna spóźniony; nowe proiekta; a ostatni iest żeby Kostuś z Hubem Prof. Uniw. z tym com ia przeszłego roku iechał, mały woiaż po Francyi i Włochach odbył. Hube ile mi zaonegday mówił miał proiekt rzucenia się naprzód prosto do Paryża gdzie zabawiwszy na zimę do Italii i styczeń w Neapolu gdzie miałem się z nim zobaczyć. Kostuś rano dziś wyszedł do Hubego żeby się zbliżyć do niego i dowiedzieć planu. Jeżeli poiadą to dopiero w czerwcu i to ku końcowi. Moie Waryacie ieszcze nie przyszły. Magnus[1]) poiechał do Wiednia przed tygodniem na końcu tego miesiąca ma wrócić, spodziewam się że nie z gołą ręką. Jutro Flet czarnoxiężki, a po jutrze Koncert iednego niewidomego flecisty Pana Grünberg o którym Ci iuż pisałem. Chciał żebym grał na iego koncercie. Szczęśliwą miałem wymówkę żem iuż iednemu odmówił, — i żeby to niewypadało czynić różnicę w wyborze. Malsdorf będzie mu grał na violoncelli. Jestto wiele ze strony Barona; Szabkiewicz na klarynecie, a ia byłem znów wczoray u Żylińskiego który mu także śpiewać obiecał. Chciał żebym z nim do Maierowey poiechał; wiem żeby dla mnie to zrobiła i śpiewała, ale w duszy by się krzywiła. Wolałem więc dać pokóy, — i tylko zaiąłem się sprzedaniem trochy biletów. Pani Pruszak wzięła dziesięć. A propos, dzisiay przy lekcyi, właśnie Kramera Etude był pod palcami dowiedziałem się z ust pani Pruszak żeś pszenicę do Gdańska wysłał i że może przyiedziesz; o pszenicy (wiadomość gospodarska od Pana Charla), nic mi nie pisał, odpowiedziałem bo to nie są moie wiadomości. Jakkolwiek bądź dziko mi się zdaie że Ty z pszenicą masz do roboty, uwierzyłem, bo wiem iak szczerze lubisz się zaiąć tem coś sobie przedsię-

---

[1]) Magnus wydawca warszawski.

wziął. — Dzieci ciekawe by były czytać twoie listy, a ponieważ im do tego nigdy nie przyidzie bo te tylko ia sobie i to sobie cicho w duszy codzień czytam, — Ludwika się dąsa tem bardziey żem iey powiedział że ukłonu dla niey niema. Jutro Rossyiska Wielkanoc, nie będę na żadnem święconem. Jeszcze żadnych świąt tak mało nie iadłem nawet u Pruszaków na święconem w poniedziałek czy w niedzielę iuż nie wiem, gdzie huk ludzi i szynek, bab itd. nawet na obiedzie nie zostałem. — Zabierało się na duży obiad, Kasztelan Lewiński, Alfons, Mleczkowie, Dziewanowski, który mi się nieznośny zdawał, wszystko to tam było. N. mię prosił żeby mu synka do chrztu trzymać; — niemogłem odmówić tembardziey że to iest życzenie tey nieszczęśliwey która odieżdża do Gdańska. Pruska ma być moią kumą. Jest to niby sekretem, przed moimi rodzicami którzy niby o tem niewiedzą. — Wiesz żem | w przeszłym tygodniu zrobił sobie proiekt iechania do Ciebie na tydzień ale na niczem się skończyło tem bardziey że mię nagli robota; trzeba pisać na gwałt. Niezawodnie ieżeli będziesz podczas Seymu w Warszawie trafisz na móy koncert — mam iakieś przeczucie, — ieszcze iak mi się wyśni, zupełnie wierzyć będę, bo mi się często śni o Tobie. Ileż to razy biorę ia noc za dzień a dzień za noc; ileż razy żyię we śnie a śpię w dzień, gorzey iakbym spał bo zawsze iednak czuię; a zamiast sił nabierać w tem odurzeniu tak iakoby we śnie, ieszcze się męczę i słabieię — proszę Cię kochay mię

F. Chopin

Rodzice Ci się ślicznie kłaniaią, rakolin (?) i dzieci i Żywny. —

Warszawa 15 Maja w Sobotę

Naydroższe życie moie!

Dziwno Ci było zapewne że Fryc Ci zaraz na twóy list odpowiedzieć nie raczył, ale niewiedziałem tego o co mi się w tamtym liście pytasz, zatem musiałem się zatrzymać. Dowiedz się więc moia duszko że Panna Sonntag niezawodnie w czerwcu a może ku końcowi maja przyieżdża. | Dowiedz się że Panny G i W[1]) podczas Seymu niezawodnie na mocy reskryptu wydanego przez Jw. Ministra Mostowskiego wystąpić maią iedna w Agnieszce Paera, a druga to iest W. w Turku. Jakże ci się zdaią te wybrane opery? — Byłem wczoray na wieczorze u Soliwy, gdzie prócz Sauvanów, Gresserów, prawie nikogo nie było, — śpiewała G. aryę umyślnie dla niey do opery przez Soliwę dorobioną, która ma być iey popisowym kawałkiem, istotnie ładne są mieysca i czasem trafił do iey

---

[1]) Gładkowska i Wołkow.

głosu. — W Turku ma śpiewać W, także iedną aryą, dla popisania się, stosowną do iey głosu; arya ta iest Rossyniego zrobiona dla iedney ze sławnieyszych śpiewaczek, występuiącey w tey operze. Dobrze ią śpiewa. Jak przyiedziesz to się przekonasz. — Już też myślę że nie opuścisz sposobności słyszenia P. Sonntag. — Jakże ia tey Pannie Sonntag dziękuię! — | Już ma być w Gdańsku a ztamtąd do nas iedzie. -- Ale na mnóstwo muzyk zabiera się u nas. I Pan Woerlitzer, pianista jego kr. pruskiey mości iest tu iuż od 2-ch tygodni. Ładnie bardzo gra mały. Jest to żydek a zatem z natury bardzo poiętny i dobrze się wyuczył kilka rzeczy które nam dał słyszeć. Był u mnie. Jestto nawet ieszcze dziecko, ma lat 16. Jego f o r t są Waryacye Moschelesa na marsza Alexandra. Gra ie doskonale, zdaie się że nic niepozostaie do życzenia. Dwa razy dał się słyszeć publicznie, oba razy grał te Waryacye. Jak go usłyszysz będziesz z jego gry kontent, chociaż ieszcze między nami mówiąc wiele mu brak na tytuł iaki nosi. — Jest tu ieszcze drugi Francuz JPan Standt myślał dać koncert; był u mnie i namyślił się odstąpić swoiego zamiaru. — Ale iedna z pocieszneych muzycznych nowin jest ta że Pan Plachetka [1]) oyciec tey fortepianistki pisał do mnie z Wiednia że przyiedzie ieżeli ia mu radzę na Seym przyiechać. Delikatna materya. Niemcowi się chce pieniędzy, a ieżeli przypadkiem nadzieia go omyli, miałby do mnie żal, odpisałem zatem natychmiast: „Że iuż oddawna byłem zapytywany czyli on tego woiażu nie przedsięweżmie, i że wiele osób a szczególniey cały świat muzykalny życzy sobie tego, — lecz obok, delikatnie wystawiłem, że Panna Sonntag będzie, że Lipiński przyiedzie, że iest ieden teatr, w nim koszta przenoszą 100 talarów, że bale będą bywać, że Zielone Świątki nadchodzą, że spacerów dużo itd. itd. żebym niemiał sobie nic do wyrzucenia. — Może być że przyiedzie; — ia bym się cieszył, a dla niey bym wszystko zrobił z moiey strony choćby przyszło grać na 2 pantaliony, bo nieuwierzysz ile ten Niemiec był dla mnie dobrym w Wiedniu. — | Kostuś w Częstochowie z Matką, wracaią w przyszły tydzień, a pierwszego czerwca niezwłocznie udaie się z Hubem przez Berlin do Paryża gdzie zabawiwszy $2^1/_2$ czy $3^1/_2$ miesiąca przez Szwaycaryą do Włoch się puszczaią. — | Co z moią podróżą to teraz niewiem co się stanie. Ja myślę | że ia zamiast za granicę tego roku to się febry doczekam i po wszystkiem będzie. | Czerwiec przesiedzę, — lipiec przesiedzę, nawet mi się nie będzie chciało wyiechać dla, iuż wiesz pewno że dla niczego iak tylko dla gorąca; opera Włoska w Wiedniu dopiero się we wrześniu iak mówił wczoray H e n n e b e r g rozpocznie, zatem niema poco się i spieszyć, tem bardziey że Rondo do nowego koncertu nieskończone, — a do tego trzeba weny, — nawet się z nim nie spieszę, bo maiąc pierwsze Allegro o resztę się nie troszczę. | Mogę znów grać koncert, bom ieszcze moich Waryacyi

[1]) Blahetka

nie grał, a te ile mi Blachetka w liście doniósł nie dawno wyszły i Halslinger z niemi do Lipska na Jarmark Wielkanocny poiechał. Spodziewam się, iak Magnus wróci z Wiednia (poiechał bowiem do Gallicyi za własnemi interesami, a z tamtąd miał się udać do Wiednia) to mi ie przywiezie. | Adagio od nowego Koncertu iest E dur. | Niema to być mocne, | iest ono więcey romansowe, spokoyne, melancholiczne, powinno czynić wrażenie miłego spoyrzenia w mieysce gdzie stawa tysiąc lubych przypomnień na myśli. — Jest to iakieś dumanie w piękny czas wiosnowy ale przy xiężycu. Dla tego też akkompaniuię go sordinami. | To iest skrzypcami przytłumionemi gatunkiem grzebieni które okraczaiąc strony, daią im iakiś nosowy, srebrny tonik. | — Może to iest złe ale czemu się wstydzić źle pisać pomimo swoiey wiedzy, — skutek dopiero błąd okaże. — W tem zapewne miarkuiesz moią skłonność do czynienia źle pomimo woli. Tak iak pomimo woli przez oczy wlazło mi coś do głowy i lubię się tem pieścić, może naybłędniey. Ty mię zapewne rozumiesz. — | Trzymałem też N. z Panią Pruską synka do chrztu, który został adoptowanym; — nieuwierzysz iaki ładny chłop. — Panna Dupont dziś rano o godz. 7-mej poszła za mąż za Pana Cechowskiego, brata Pani Skrodzkiey. — Bixel doktor, ów stary 63 letni doktor ożenił się ze swoiey żony nieboszczki siostrzenicą panną 17-letnią. Cały kościół był napełniony ciekawymi, a Pannie młodey dziwno było że iey tak żałuią, — wiem to z ust Panny druchny Moriolówny gdzie zaraz iak tylko list na pocztę odniosę idę z wizytą bo przysyłała; — wiesz że to moie amory do których ia się przyznaię bardzo chętnie a zatem trzeba być posłusznym, i szanować pokrywki skrytych uczuć. — Wiesz, żem niemyślał o sobie żebym mógł być tak skrytym ile iestem, kiedy niemam serca Tobie powierzyć tego co mi dolega.[1]) — Dzisiay iestem na teatrze. JPan Smochowski nowy tragik ze Lwowa wystąpi w Teresie sierocie z Genewy w roli Werowskiego. Nie mam wielkiey nadziei o iego grze, ale zobaczę co to tam będzie. — Mówią że Pasta przyieżdża ale o tem wątpię. — Pewnieysze są wieści o sławney (wprawdzie iuż trochę przeszłey) śpiewaczce Pani Milder Hauptmann. Romberg także niby spodziewany. Niech sobie przyieżdżaią ia się na ciebie staram (?) i mam nadzieię, że będziesz tą razą na moim koncercie. Myślę że w końcu maia to iest za 2 tygodnie w domu sprobuię pierwsze Allegro. Na początku czerwca zaś gram żeby się pozbyć tego przed rozpoczęciem ogólnych zabaw przez Kuryera zapowiedzianych. | Piszże mi więc kiedy Ty pewno będziesz w Warszawie, bo iuż by mi przykrzey było niż pierwszą razą żebym miał bez Ciebie odbyć akt popisowy. Nie, Ty nie wiesz, ile Cię kocham, niczem Ci

---

[1]) Wszystko alluzye do uczucia względem Konstancyi Gładkowskiej.

tego okazać nie mogę — a iuż tak dawno chcę żebyś o tem wiedział. Ach żebym Ci mógł rękę ścisnąć cobym dał za to nie zgadłbyś..., połowę życia nędznego —

F. Chopin

| Układu koncertowego nie donoszę Ci bo ieszcze go nie wiem. Teichmanna będę się starał mieć. On iuż na 2-gim moim koncercie miał śpiewać duet z Armidy z Maierową, bo w solu boi się wystąpić, ale na nieszczęście przed tygodniem wówczas śpiewała ten duet Cymmermannowa z Polkowskim, więc sobie Kurpiński nieżyczył żeby to samo iakby dla pokazania że lepiey umieią zaśpiewać. Tylem napisał a ieszcze chciałbym więcey pisać. Miałem Ci posłać ieszcze nowego walca tak dla zabawki, ale iuż na przyszły tydzień go odbierzesz.
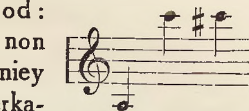
Rodzice i dzieci ślicznie się kłaniaią. Pan Żywny także się w to liczy. — |

Sobota dn. 5 Czerwca 1830

Naydroższe życie moie!

Straciłeś 5 koncertów Panny Sonntag! — Ale nie żałuy, bo ieszcze się iey nasłuchasz ieżeli prawda że 13-tego przyieżdżasz. Trzynastego wypada podobno w niedzielę i właśnie iedziesz kiedy ia będę próbował w domu pierwsze Allegro 2-go Koncertu korzystając z niebytności Panny Sonntag która mi wczoray sama ślicznemi swoiemi usteczkami mówiła że wyieżdża do Fischbach na wezwanie JKróla pruskiego. Nieuwierzysz ile miałem przyiemności w poznaniu bliższem, to iest w pokoju na kanapie, bo wiesz że się w więcey nie wdaiemy, tego posłańca boskiego iak ią słusznie niektórzy zapaleńcy tuteysi nazwali. — X-że Radziwiłł prezentował mię iey iak naypiękniey za co mu prześlicznie wdzięczny iestem. — Przez ten iednakże tygodniowy iey pobyt u nas niebardzo korzystałem z moiey znajomości ponieważ widziałem iak umęczona zawsze była dziwno-nudnemi wizytami Kasztelanów, Senatorów, Woyewodów, Generałów i Adjutantów, którzy na to tam siedzieli aby iey w ślipki zajrzeć i o pogodzie rozmawiać. Ona ich wszystkich naygrzeczniey przyimuie, bo iest tak dobrą z duszy że niemogła by być niegrzeczną, wczoray iednakże ażeby na próbę mogła do teatru poiechać musiała się aż zamknąć w pokoju dla włożenia kapelusza na głowę, bo lokay w przedpokoju nie da sobie rady z meldowaniem. — Niebyłbym u niey ani razu ale mię żądała widzieć z powodu iednego śpiewu który iey Radziwiłł aranżował a mnie polecił do rozpisania. Są to waryacye na dumkę ukraińską, temat i koniec ładne, ale środek mi się nie podoba, ani też Pannie Sonntag, który cokolwiek zmieniłem ale zawsze nie tęgo.— Kontent iestem że po dzisieyszym koncercie iedzie, ponieważ kłopot mi

z głowy zeydzie, a tymczasem może Radziwiłł na koniec Seymu nadjedzie, i zrenonsuie swoim waryacyom. — Panna Sonntag, nie iest piękna, ale ładna do naywyższego stopnia. Czaruie wszystkich swoim głosem który nie bardzo iest wielkim bo tylko nam go zwykle daie słyszeć od:



ale iest nadzwyczay wyrobiony; iey diminuenda są non plus ultra, iey portamenta śliczne a gammy szczególniey chromatyczne do góry przepyszne. Śpiewała nam Merkadantego aryę bardzo, bardzo, bardzo ładnie, Waryacye Rodego szczególniey roladową ostatnią przedobrze; waryacye na temata szwaycarskie tak się podobały że wywołana na podziękowanie zamiast wielkich dygów ieszcze raz ie zaśpiewała! Jest to dobroć nie do opisania. Wczoray z Waryacyą Rodego toż samo było. Śpiewała nam Cavatiny z Cyrulika tę sławną i ze Sroki [1]), różnicy możesz się domyślać od wszystkiego coś teraz słyszał. Śpiewała tę aryę z Freyszyca co to wiesz, nadcudnie. — Byłem też raz także u niey kiedym zastał Soliwę z Pannami, — śpiewały przy mnie ten iego duett co to, coś, barbara sorte na końcu ten major, iuż wiesz; — mówiła im Panna Sontag że ich głosy są przekrzyczane i że metodę maią dobrą ale trzeba żeby inszym sposobem głos wydobywały ieżeli niechcą go zupełnie po 2-ch latach stracić. — W oczy przy mnie powiedziała Wołkownie że ma wiele łatwości, wiele pięknych manierów ale „une voie trop aigue" i prosiła ich bardzo żeby częściey u niey bywały, co im ile możności pokaże swoie sposoby. — Jest to grzeczność nadnaturalna — jest to koketerya do tego stopnia posunięta że zupełnie iuż w naturalność przechodzi, bo niemożna przypuścić żeby człowiek mógł zostać tak naturalnym nie znaiąc wszystkich resursów koketeryi. — W rannym stroju milion razy ładnieysza i przyiemnieysza iak w sukni galowey w wieczór, chociaż ci którzy iey rano niewidzieli przepadaią za nią. — Jak wróci będzie dawać swoie koncerta aż do 22, po którym myśli się udać iak to z iey ust wiem do St. Petersburgu, — spiesz więc, przyieżdżaj żebyś więcey nie stracił nad te 5 koncertów. — Mówią bardzo że i Pasta przyieżdża. Maią razem śpiewać. — Jest też tu nieiaka Panna Belleville Francuzka bardzo ładnie gra na fortepianie, nadzwyczaj lekko, elegancko 10 razy lepiej od Voerlitzera; we środę daie koncert. Znaydowała się u dworu na tym sławnym wieczorze muzykalnym gdzie była Panna Sonntag. Dwie Panny popisywały się. Był i Voerlitzer ale się nie tak podobał, co wiem z ust Kurpińskiego który u dworu Pannie Sonntag akkompaniował. Dziwili mi się ludzie czemu ia nie byłem ale ia się niedziwiłem. — | Pruszak Kocio iedzie dziś o 4-tej po południu z Hubem. Odprowadza ich Pani Pruszak z Olesią i resztą aż do Łowicza, ztamtąd iadą własnemi końmi | do Kalisza a ztamtąd extrapocztą daley. — Ale ieszcze trochę o Sonntag. — Ma niektóre broderye zupełnie w nowym rodzaiu, któremi ogromne

---

[1]) Sroka złodziej La gazza ladra opera Rossiniego.

robi wrażenie, ale iednak nie takie iak Paganini. Może to dlatego że rodzay mnieyszy. Zdaie się że ona chucha na parter iakąś wonią z nayświeższych kwiatów i pieści, rozkosznie, głaszcze, ale rzadko wzrusza do płaczu. — Powiedział Radziwiłł że Desdemony scenę ostatnią w Otellu tak gra i śpiewa że nikt się od łez wstrzymać niemoże. Właśnie iey o tem mówiłem czyby nie chciała tey sceny nam w kostiumie zaśpiewać (bo ma być doskonała aktorka przy tem), odpowiedziała mi że prawda, widziała często łzy w oczach spektatorów, ale ią męczy grać na scenie, i dała sobie słowo iak nayrzadziey występować w rolach. — Przyiedź tylko wytchnąć po wieyskich mozołach | na łono przyjaźni | panna Sonntag i zaśpiewa Ci nabierzesz tym sposobem nowych sił do zatrudnień swoich. Jaka szkoda że ia zamiast listu sam się posłać nie mogę. Tybyś mię może nie chciał ale ia Ciebie chcę i czekam z ogolonemi wąsami

F. Chopin

Panna Sonntag dziś coś z Semiramidy śpiewa. — Jey koncerta są krótkie, zwykle 4 razy śpiewa i między tem nikt nie gra prócz orkiestry i istotnie potrzeba odpoczynku po iey śpiewie, tak zaymuie. — | Panny z Konserw. nie wystąpią w tym miesiącu. |

Panna Belleville, grała drukowane moie Wary. w Wiedniu, i iednę nawet umie na pamięć. | Szkoda że iuż nie ma gdzie pisać bo mi się wstać od listu oderwać od Ciebie nie chce, — czy Ty mię też kochasz?

Ponieważ tak przebiia papier więc przymuszony iestem zrobić kopertę.

Papa, Mama, dzieci, Żywny i wszyscy.

Gąsie mówi, że iak przyiedziesz to Ci powie to co miał napisać. |

Warszawa Sobota 21 Sierpnia 21/8 830

| Obrzydły Hipokryto! |

Drugi to list móy co do Ciebie piszę, — nieuwierzysz, powiesz że Fryc łże, ale tą razą iestem szczery. — Szczęśliwie wróciwszy z Baronem do Warszawy zaraz pisałem do Ciebie ale ponieważ Rodzice byli w Żelazowey Woli więc bardzo naturalnie że i ia długo w Warszawie nie bawiąc zostawiłem list do Ciebie który miał być oddany na pocztę; wróciwszy powtórnie iuż z Rodzicami we wtorek zastałem list do Ciebie pisany szczęśliwie na tem samem mieyscu przy filiżankach gdziem go odieżdżaiąc zostawił. Karol który podczas moiey niebytności był u nas, mówił mi że widział ten list na filiżankach. Niema tego złego coby na dobre nie wyszło. Może w tym liście nie będę Ci tyle wymyślał ile w tym pierwszym, gdym świeżo w umyśle miał twoie awantury poturzyńskie. — Szczerze Ci powiem że mi przyiemnie wspomnieć na to wszystko — iakąś tęsknotę zostawiły mi twoie pola, — ta brzoza pod oknami niemoże mi wyiść z pamięci. Owa arbaleta! — Jak to romansowe! Pamiętam ia tę arbaletę coś Ty mię

za nią wymęczył, — za wszystkie grzechy. — Ale trzeba Ci zdać sprawę z upłynionego czasu, trzeba Ci donieść kiedy niezawodnie wyieżdżam, trzeba Ci wiele rzeczy potrzebnieyszych pisać. — Aniela [1]) nayprzód mnie w Warszawie zaięła. Byłem na wystawieniu. — Gładkowskiey mało brak. Lepiey iest na scenie iak w sali. Nie mówię o grze tragiczney, wyborney, bo niema co powiedzieć, — co się zaś śpiewu tycze żeby nie te fis, i g, czasem u góry nietrzeba by nam w tym rodzaju nic lepszego. Jak frazuie, — tobyś się rozkoszował, cieniuie paradnie a chociaż z początku na weyściu głos się trząsł, pożniey bardzo śmiało śpiewała. Opera była skrócona. Może dlatego nieznalazłem u niey błędu długości nudzącey. — Arya Soliwy, naywiększy effekt w drugim akcie robi, wiedziałem że może zrobić effekt, ale tak wielkiego nie spodziewałem się. Romance które śpiewa w drugim akcie przy Harfie | (Ernemann za kulisami na fortepianie za nią gra bez szkodzenia illuzii). | ostatnią razą bardzo ładnie odśpiewała. Byłem zadowolony. Na końcu przywołano Anielę i rzęsistemi okryto poklaskami. Od dziś za tydzień iest wstęp na scenę Fiovilli w Turku [2]). Wołków lepiey się podoba. Trzeba Ci wiedzieć że Aniela strasznie ma wielu antagonistów, którzy niewiedzą sami dlaczego ganią muzykę. — Nie przeczę że mógł był Włoch wybrać coś lepszego dla Gładkowskiey. Jako to Westalka może by iey więcey była szczęścia przyniosła, — ale i to iest ładne i wiele ma rzadkich piękności i trudności przedziwnie przez debutantkę oddanych. | Szczurowski iest straszny; jakiś Talma, Kemble, Devirent, i Żółkowski przebiiaią się przez niego, niewiedzieć co to iest, ale waryat doskonały. — Zdanowicz, podług Soliwy iest non plus ultra. Salomonowicz nieszczęśliwa, Nawrocka ciągle cedzi, a Żyliński trawi na scenie. — Jeszcze wczoray na próbie Turka, gniewał mnie swoią zimną duszą iak kiie wyliczał Turkowi. — Wołków śpiewała dobrze, gra także bardzo dobrze, — rola to którą ona niezawodnie grać by i na prawdę potrafiła. Oczyma może więcei zrobi na publiczności niż gardłem. Do D wysokiego kilka razy bierze bardzo czysto i śmiało. Niemam wątpliwości, że lepiey się podoba od Gładkowskiey. — Kwintet paradnie szedł. Jenerał [3]) się radował. Kostuś w Frankforcie z Kinclem i na Mediolan, Triest, Wiedeń wracaią. Hube został ieszcze i dopiero 15-go przyszłego miesiąca będzie w Rzymie. | Ja co robię? — Na przyszły miesiąc dn. x wyieżdżam wprzód iednakże muszę móy Koncert spróbować bo iuż Rondo skończone. | Jutro Kaczyński i Bielawski są u mnie. Rano o 10-tej incognito przy Elsnerze, Ernemannie, Żywnym i Linowskim, probuię móy Polonez z Violoncellą i Trio. Będziemy grać do zabicia. Dla tey przyczyny nikogo nieprosiłem prócz wyżey wymienionych i Ma-

---

[1]) Aniela opera Paera przedstawiona w Warszawie po raz I-szy 24 lipca 1830 r.
[2]) Turek we Włoszech opera Rossiniego (pierwszy raz w Warszawie 17 marca 1824 r.)
[3]) Jenerał Rożniecki ówczesny prezes dyrekcyi sądowej teatru.

7*

tuszyńskiego, który mi tylko został zawsze poczciwy nie taki fałszywy Hipokryta, Szelma, Łaydak iak, domyśl się kto! — Kostuś mi się kazał kłaniać przez Panny Palczewskie. Pruszakowa w Marienbad, — poiechali tam pić wody i Mleczko także. Móy ulubiony Pietruś Dziew. został na drodze w Reinertz i tam serwatki używa. — Oborskiego widziałem na Rozmaitościach, — dobry był. — Walery z brillantowemi guzikami z bankierską miną faraonuie po ulicach. Wincenty zawsze dobry doskonały taki iak był dobry urzędnik. Łączyńskiego co u Ciebie pewno ieszcze siedzi iakbym ia zrobił gdybym był na jego mieiscu, widziałem nazaiutrz po przyieździe do Warszawy, pewno Ci mówił. Baron odsiaduie kadencyą, u Contego stoi i razem go dopiero widział od czasu powrotu, matka ciągle bardzo źle, wiem z iego ust. Kasztelana widziałem wczoray; mówiłem z nim o Tobie. — Karol iuż zapewne wyiechał, bo miał wrócić do dóbr. — Dziś Hamlet, idę na niego. Wczoray Panna Rywoli nowa Krowa wystąpiła, w roli (Olesi Pruszak) tłomaczoney przez Gaszyńskiego les premiers amours. Twoią rolę gra Niwiński dobrze, rolę Kocia gra Jasiński lepiey od Kocia, rolę moią gra Szymanowski nieledwie tak iak ia, strasznie daleko od Herocha, a Kratzer iak żyie nie wymyślił lepszego środka na wypędzenie szczurów. Kucharski przeciw temu c'est du Cherubini. — Spieszę się bo sam na pocztę odniosę list żeby i ten biedak niezostał iak iego brat w domu. — Na przyszły tydzień znów nie będę się mógł wstrzymać żeby Cię nie wyłajać za to co dziś miałem napisać a zatem dosyć. — Niechce od Ciebie niczego nawet uściśnienia ręki, iuż na wieki obrzydłeś mi poczwaro piekielna. Day buzi.

F. Chopin.

Jeżeli są iakie listy do mnie odeśliy ie retro. — Daruy com pisał, — bo dziś ieszcze iestem głupszy iak zawsze. Papa i Mama i siostrzyczki wszystko Ci się ślicznie kłania. |

ieszcze Warszawa, we wtorek 31/VIII 30

Naydroższy Tyciu!

Już też mi potrzeba było twego listu, — katar straciłem odebrawszy go. — Oby moie listy także iakie zbawienne skutki mieć mogły! | żeby przeczytawszy ie można tracić fałszywość i hypokryzyę, iakżeżbym się cieszył. Ale co ten list, iestem pewny że tego skutku nie uczyni i owszem ile mi się zdaie do nowych występków pobudzi, gniew w tem lwiem sercu zrodzi, i dobrze żem o 40 mil, bo by może inaczey cała srogość zemsty natychmiast się na mnie wywarła. Prze-

winienie wielkie ale miłe sercu przewiniaiącemu; | siedzę w Warszawie — a iak Cię kocham, nic mnie za kray nie ciągnie. Możesz mi wierzyć że w przyszłym tygodniu to iest we wrześniu, (bo jutro 1) wyiadę — ale wyiadę dla zadośćuczynienia memu powołaniu i rozsądkowi, (który musi być bardzo mały, kiedy nie ma dosyć siły na zniszczenie wszystkiego innego w mey głowie). — Zbliża się do drogi, bo iuż w tym tygodniu mam cały koncert próbować w kwartecie, dlatego żeby nayprzód ten kwartet mógł się porozumieć ze mną — trocha oswoić, bez czego Elsner powiada, próba z orkiestrą odrazu nie przyszłaby do ładu. Linowski przepisuie na gwałt, ale iuż Rondo zaczął. Trio próbowałem w przeszłą niedzielę, nie wiem może dlatego żem go dawno nie słyszał, alem był dosyć kontent z siebie (szczęśliwy człowiek!) tylko mi ieden koncept przyszedł do łba, żeby zamiast skrzypców użyć altówki, albowiem u skrzypców kwinta naywięcey rezonuie a tem na niey naymniey się gra, altówka będzie mocnieyszą przeciw Violoncelli która jest w właściwey swoiey sferze pisana, i to do druku. To o mnie. Teraz o drugich muzykantach — | powiesz że i tu trzymałem się prawideł egoizmu przez Ciebie mi podanych. | Soliwa wysztyftował na przeszłą sobotę pannę Wołków, która swoią kokieteryą, grą dobrą, i ładnemi bardzo oczkami i zębami wszystkie fotele i parter oczarowała. Tak była ładna iak żadna z naszych aktorek, ale w pierwszym akcie iey głosu poznać nie mogłem. Weszła suto ubrana spacerem na brzeg morski:... z lornetką w ręku, oczyma strzelała... wykręcała się tak smacznie, że niktby nie uwierzył że to debutantka. Pomimo iednakże ogromnego brawa i krzyku tak się zlękła żem ią dopiero w drugim akcie poznał w aryi odśpiewaney ieszcze nie tak dobrze iak na drugiey onegdayszey reprezentacyi, gdzie już i pierwszy akt inaczey poszedł. Co się tycze śpiewu, Gładkowska jest bez porównania wyżey i widząc Wołków na scenie nie spodziewałem nawet takiey różnicy. Z Ernemannem zadecydowaliśmy że nie będzie drugiej Gładkowskiey co się tyczy czystości i intonacyi i czucia wyższego iakiem iest przeięta na scenie. Wołkównie czasem się uda sfałszować, gdy tymczasem tamtą także 2 razy słyszałem w Anieli a iedney nutki wątpliwie nie wzięła. Widząc onegday twoie komplementa odrecytowałem, za co Ci bardzo dziękować kazały. Przyięcie Wołków ile mi Celiński mówił było świetnieysze iak przyięcie tamtey drugiey, co musi Włocha obchodzić, bo mi wczoray powiedział że nie chciałby żeby się ta lepiey od tamtey podobała, ale widzi że tak będzie. To iednakże należy przypisać Turkowi a raczej Rossiniemu który na naszey publiczności oczarowaney ieszcze do tego i stroiem i tem co pod stroiem młodey dziewczyny, większe czyni wrażenie od wszelkich żalów nieszczęśliwey córki i najpięknieyszych uniesień Paera. Gładkowska wkrótce ma w Sroce wystąpić, to „wkrótce“ iuż pewno wtenczas nastąpi kiedy ia iuż za okopami będę. — Ty może wówczas znaydziesz się w Warszawie to mi powiesz twoie zdanie. Trzecia iey rola ma być w Westalce. | Wołków co grać będzie nie wiem.

Byłem też onegday w Obozie u Jen. Szembeka po raz wtóry. Trzeba Ci wiedzieć że on zawsze w Sochaczewie konsystuie i z Michałem się umówił żeby mnie do niego zawiózł. Gdy to iednak nie przyszło do skutku, Czaykowskiego, brata tey panny Czaykowskiej co to gra i mgleie, adiutanta, nasłał i mnie tam do niego wzięli. Szembek iest bardzo muzykalny, gra dobrze na skrzypcach, kiedyś u Rodego się uczył i iest zabity Paganinista a zatem do tey dobrey kasty muzykantów należy. Kazał muzyce swoiey wystąpić, która się całe rano exercytowała i dziwne rzeczy słyszałem. Wszystko to na trombach zwanych Bugla; ani byś pomyślał że robią gamy chromatyczne iak tylko można nayszybszey i diminuendo na dół. Ażem musiał chwalić solistę, który biedak iuż niedługo widzę służyć będzie mógł, bo iak suchotnik wygląda a młody ieszcze dosyć. Zastanowiło mię to bardzo, iakiem Cavatinę z Niemey na tych trombach ze wszelką akuratnością i cieniowaniem usłyszał. Ma on fortepian w obozie i nie wiem zkąd ale mnie dalibóg zrozumiał, nie udawał. Adagio na nim naywiększe wrażenie sprawiło, nie dał mi pokoiu ażem się na Turka spóźnił. A propos w berlińskiey iedney gazecie iest artykuł bardzo głupi o muzyce w Warszawie. Gdzie naprzód mówi o Anieli, chwali ią bardzo słusznie, tak co do śpiewu, czucia, iakoteż co się gry tycze i potem tak daley pisze: „ta młoda artystka wyszła z instytutu założonego pod przewodnictwem Panów Elsnera i Soliwy. Pierwszy z nich profesor kompozycyi, utworzył kilku uczniów a między innymi Panów Orłowskiego, Chopin i innych, którzy z czasem mogą się przyczynić do itd. itd. Niech diabli porwą takiego kompana. „On vous a joliment collé“ powiedział mi fredonuiący z czerwonemi oczyma Bouquet, a Ernemann dołożył że powinienem sobie mieć za szczęście na drugiem mieiscu siedzieć. Artykuł ten nic więcey o tych uczniach nie pisze i zaraz potem kończy: „co się tycze ocenienia prac JPanów, Elsnera, Soliwy i Kurpińskiego na późniey sobie zostawiamy“. Kompletne głupstwo iakiegoś mądrego Warszawiaka. Byłbym zapomniał ieszcze o Rinaldim — na miłość boską albo mi przez Łączyńskiego albo inaczey przyśliy tę książkę, bo mi Włoch pokoiu nie da; diabli porwali żem zapomniał na odieździe z Państwa Poturzyńskiego o tey książce. Kostuś w przyszłym miesiącu ma być we Wiedniu z Kimlem, tak mi stary Pruszak powiedział, późniey złączy się z matką w Dreźnie i do Warszawy wróci, gdy tymczasem Hube we Włoszech buiać będzie. — Aż mie czoło boli iak sobie na Włochy wspomnę, zdaie mi się że...

Dosyć tego głupstwa; daruy kochanku, żem Ci sam nie wiem co,

tak iak zawsze napisał, ale Ty masz dosyć dochodu z hreczki żeby zapłacić za list choćby w nim nic nie było nad papierek z rąk moich i nad móy podpis którym to podpisem piekielny coregraf za Ciebie naznaczyć zawsze gotów iestem. Skarżyńskiego Win. długo wczoray widziałem. Kocha Cię, dopytywał się bardzo o Ciebie. Wszyscy o Olesi a nikt o ktosiu mi nie gada. A mnie cieszy że w mem sercu utopiła się taiemnica, że we mnie koniec tego, czego u Ciebie początek. Ty się ciesz że ze mnie masz przepaść w którą wszystko bez obawy rzucać możesz, — iakby do drugiego siebie — bo twóy duch dawno tam na samem dnie leży. Twoie listy chowam iak wstążeczkę od kochanki. Mam wstążeczkę; napisz do mnie, ia się znów za tydzień z Tobą popieszczę.

Twóy na zawsze

F. Chopin |

Rodzice i Siostry nayszczersze pozdrowienia. Ludwika Ci dziękuie za powinszowanie które iey odczytałem. Żywny Cię kazał uścisnąć, znaiomi iako Max, Soliwa itd. ukłony. |

Jeszcze mi tego papieru żal; wystaw sobie kiedy też Panna F. chce koniecznie żebym ia się do niey brał, uczył grać na fortepianie i tam d... Papa nie od tego, bo mię kilka razy do niey wypychał, bywa u mnie, ale do niey nie mam apetytu. Biedna dziewczyna musi koncerta grać a nic nie umie, ia iey radziłem Ernemanna a Ernemann nie chciał i Dobrzyńskiego poradził — powiada że ona z Litwy i tamten z Litwy, dobiorą się. To są facecye. |

Sobota podobno 4ty [4/9 830]

Naydroższy Tyciu!

Powiadam Ci hypkryto że iuż mnie szały napadaią mocnieysze iak za zwyczay. — Jeszcze siedzę, — nie mam dosyć siły do zdecydowania dnia, myślę że wyieżdżam po to żebym na zawsze zapomniał o domu; myślę że iadę umrzeć — a iak to przykro musi być umierać gdzie indziey nie tam gdzie się żyło. Jakże mi to okropnie będzie, widzieć zamiast rodziny zimnego doktora albo służącego przy łożu śmiertelnem, — Wierz mi że nieraz poszedłbym do Hodkiewicza szukać przy Tobie spokoiności, a tak wychodzę z domu idę na ulicę, tęsknię i znów wracam do domu, po co? — po to żeby marudzić. Jeszcze nie próbowałem koncertu, — iakkolwiek bądź przed Śtym Michałem porzucę wszystkie moie skarby i będę we Wiedniu, skazany na wieczne wzdychy. Co to iest to bałamuctwo? — Ty co tak dobrze znasz siłę iego, wytłomacz mi dlaczego się to człeku zdaie, że dziś dopiero iutro będzie? Niebądź głupim, to cała odpowiedź iaką ia sobie dać mogę — ieżeli masz inną przyśliy mi.

| Orłowski w Paryżu, Norblin obiecał mu wyrobić do nowego roku mieysce przy teatrze des Variétés. Le Sueur przyiął go dobrze i obiecał pamiętać o iego wykształceniu muzykalnem. Kollega może dobrze wyiść ieżeli mu się będzie chciało. | Moie myśli względem zimy są takie, że w Wiedniu 2 miesiące a potem do Włoch, choćby zimę siedzieć w Medyolanie. Listy mieć będę. Moriollówna zawczoray wróciła z wód. Ludwik Rembieliński iest w Warszawie, widziałem go u Loursa gdziem z Ernemannem wlazł na dysputę o Turku i Agnieszce Włochu i Polaku. Soliwa precz dyryguie operami w których iego panny wystąpiły, powoli zobaczysz że osiodła Kurpińskiego, iuż ma iedną nogę w strzemieniu a podpiera go dzielny wąsaty kawalerzysta[1]). | Osińskiego ma także na swoiey stronie.

Palstet widział Rastawiecką parę dni przed śmiercią, mówił że wiedziała o swoim stanie. Palstetowa kazała Ci powiedzieć że się gniewa za to żeś mię gwałtem do Telatyna nie zawiózł. Są to babskie przekomarzania się które im od starszej kobiety tem nieznośnieyszemi się staią dla ludzi którzy z jednym ktosiem tylko przekomarzać się lubią.

Dziś na teatrze alpeyscy śpiewacy; iest to coś na kształt tych Tyrolów co to przed 2 laty byli — pamiętasz zapewne. Gresser mi mówił że są gorsi a Kuryer warszawski mówi że lepsi. Nie pójdę dziś na nich, wolę ich w środę słyszeć w Ressursie w Mniszkowskim pałacu. Ma być wieczór duży i tam maią w ogrodzie śpiewać. Proces iaki był między dwoma nogami Ressursy, to jest między Zejdlerem, Zakrzewskim i t. d. a Steinkelerem, Żelazowskim i t. d. mówił mi Win. Skarżyński iż iego strona przegrała, ale apeluią. Oni są miodowi (dlatego że na Miodowey ulicy mieszkaią) a Steinkelerowscy zowią się Mniszkowskimi. Obiaśnienie to potrzebne było żeby Ci powiedzieć że miodowi przegrali ale nieprawnie. Bucholtz skończy swóy instrument a la Streicher, dobrze się na nim gra, lepszy iak iego wiedeńskie, ale daleko do Wiedeńskiego wiedeńskiego. | Dziś na niczem skończę list, ieszcze bardziey niż na niczem, bo iuż na tem com napisał a to z przyczyny że wpół do 12-tej a ja nieubrany siedzę i piszę, gdy tymczasem Moriolka na mnie czeka, potem do Celińskiego na obiad, póżniey u Magnuszewskiego obiecałem być i nie miałbym czasu przed 4 przyiść dopisać Ci aż do dołu tę ćwiartkę nad której próżnością boleię i cierpię a poradzić nie mogę. Cokolwiek Ci piszę zdaie mi się że dobrze robię. Exaltować się w dzisieyszym liście nie mogę, bo iakbym się puścił, Moriolka by mię dziś nie widziała a ia lubię i drugim poczciwym ludziom zrobić przyiemność ieżeli przekonany iestem o ich życzliwości. Jeszcze nie

[1]) Jenerał Rożniecki.

byłem po powrocie, a przyznam Ci się że nieraz przyczynę smutku mego na nią zwalę i tym sposobem zdaie mi się że ludzie wierzą i spokoyny iestem po wierzchu. Oyciec się roześmieie coby może zapłakał, — i ia się roześmieię ale także po wierzchu.

Pojedziemy kochanku do Włoch; od dziś za miesiąc z Warszawy listu mieć nie będziesz, może i zkąd innąd listu mieć nie będziesz; dopóty dopóki się nie zobaczemy niczego się o mnie nie dowiesz. — Duby androny, to iedno co potrafię — ale ruszyć się z miasta — i Tobie tak będzie. Doczekam ia Ci się. | Będę odbierał listy: „a to młyn kończę, a to stawiam gorzelnią, a to wełna, a to iagnięta, nareszcie przyidzie drugi siew," a to będzie nie młyn, nie gorzelnia, nie wełna co Cię zatrzyma, tylko... będzie to coś innego. | Niezawsze człowiek kontent; może kilka chwil w życiu ma się tylko cieszyć i czemuż odrywać się ieszcze od tych złudzeń które i tak długo trwać nie mogą. — Jak za nayświętszą rzecz uważam związki towarzyskie z iedney strony, tak z drugiey strony utrzymuię że to diabelski wynalazek i lepiey by było żeby ludzie na świecie nieznali pieniędzy, melszpyzów, butów, kapeluszów, byfsztyków, naleśników i t. d. iak że ludzie to wszystko znaią. To iuż wypadek naysmutnieyszy z moich rozumowań, wiem że i ty iesteś tego zdania żebyś był wolał niepoznać. Idę się umywać, nieżałuy mię teraz bom się ieszcze nie umył, — Ty? chociażbym się oleykami wysmarował byzantyskimi, niepocałowałbyś, gdybym ia Ciebie magnetycznym sposobem do tego nieprzymusił. Jest iakaś siła w naturze. Dziś Ci się śnić będzie że mnie całuiesz! Muszę Ci oddać za szkaradny sen iakiś mi dziś w nocy sprowadził.

F. Chopin | na zawsze amator Hypokryzyi personificzney. A propos: pisz do mnie i o Rinaldim pamiętay, przytem nic więcey.

Mama i Papa śliczne ukłony Tobie przysyłaią. Dzieci aż z góry zeszły żebym niezapomniał i proszę napisz żem zapomniał od nich Ci się kłaniać. Żywny zawsze mi przypomina o swoim ukłonie. Włoch Soliwa mi się pytał kiedy będziesz w Warszawie i kłania Ci się mocno. Lindowa w Gdańsku. Twey siostry w Warszawie niewidziałem. Platerowa wróciła. |

Warszawa dn. 18 Września 1830

| Naydroższe życie moie! Hypokryto obrzydły! Przemierzły, obmierzły Hrabio Ory! Abelardzie, i t. d. |

Niewiem dla iakich przyczyn jednak ale mi dobrze, i Oyciec iako i Matka z tego kontenci. | Przez Pawłowskiego odebrałem list i książkę, niemogłeś lepiey zrobić iak tę książkę odesłać, bo mi Włoch głowę na ulicy zawsze kłopotał. | Próbowałem zeszłey środy móy Kon-

cert w kwartecie. Kontent byłem ale niebardzo, — mówią ludzie, że ostatni finał nayładnieyszy, (bo nayzrozumialszy). Jak się wyda z orkiestrą napiszę Ci w przyszły tydzień, bo w tę środę go spróbuię. Jutro ieszcze raz w kwartecie chcę zrobić. — Jak spróbuię to poiadę, ale dokąd, kiedy iakoś nigdzie mnie nic nie ciągnie. W Warszawie iednakże siedzieć niemyślę i ieżeli masz iakie podeyrzenia miłosne, tak iak wielu ludzi w Warszawie, odrzuć ich i przekonay się, że umiałbym wyższym być nad wszystko tam gdzie idzie o moie ia i gdybym był rozkochanym, parę lat dłużey ieszcze bym potrafił ukryć nędzne i niedołężne zapały. | Sądź iak chcesz, iednakże list przez hrabiego, którego onegday na Podwalu spotkałem i przyrzekł przed wyiazdem swoim zaszczycić progi nasze swoią pękatą figurką, naylepiey rzecz Ci wyiaśni. | Niechciałbym z Tobą razem iechać. Niezmyślam ale, iak Cię kocham, tak zginęłaby ta chwila przyiemnieysza nad tysiące dni iednostaynie spędzanych, w którey byśmy się pierwszy raz za granicą uścisnęli. Jużbym nie mógł Cię oczekiwać, niemógł przyiąć, nie mógł gadać iak się to mówi wtenczas kiedy ukontentowanie zamknie przystęp wszystkim zimnym wymuszonym wyrazom i serce iedno z drugiem jakimsiś boskim rozmawia ięzykiem. | Boskie ięzyki! Jakie nieszczęśliwe wyrażenie, tak iak boski pępek albo boska wątróbka; to strasznie materialno-brzydkie. — Ale wróćmy się do tey chwili w którey ia Cię tam uyrzę. | W ten czas może bym nieprzeniósł na sobie i wygadałbym co mi się zawsze śni, co mi wszędzie przed oczyma, co nieustannie słyszę i co mi naywięcey w świecie przyjemności sprawia i naywięcey zasmuca. | Niemyśl iednakże żebym miał być rozkochanym, — ia bo to sobie ieszcze na późniey odkładam. |

Zacząłem poloneza z orkiestrą, ale tylko dopiero się cznie [1]) | iest cząteк ale początku niema. — O Kamieńskim inaczey się przekonałem iak na wsi sądziłem. I o tem obszerniey przez Pawłowskiego się dowiesz. Dziś albowiem piszę anticipando dla zaspokoienia Cię iż przed Śtym Michałem niepoiadę. To naywyraźnieyszy punkt. Widzę iak ciskasz móy list i czerwienieiesz od złości. Braciszku, nie tak jak chcemy, ale iak możemy. Niemyśl także żeby przyczyny kieszonkowe miały mnie zatrzymywać. Argumenta niewiele ważne, ale tyle ile potrzebuią mieć wagi aby się na coś przydały, z łaski Boskiey są, — i mały o to kłopot. Trudno więc żebym mógł się ochronić od zasłużonego mieysca gazety berlińskiey, szczęście | że wiedeńska inaczey o mnie w recenzyi moich Waryacyi napisała. Jest krótko, ale tak buyne, tak wysoko, głęboko a przytem filozoficznie, że tłómaczyć tego nie można. Kończy, że te Waryacye prócz ozdób zewnętrznych maią wewnętrzną zaletę która zawsze zostanie. — Niemiec mi komplement napisał; iak go zobaczę

---

[1]) U Karasowskiego „czuję"(!)

to mu podziękuię. Jednakże niema nic przesadzonego i tak iest iak ia sobie życzę bo mi tu samodzielność przyznaie. — Żeby nie Tobie, tobym się tak nie rozwodził nad sobą, ale że Ty mnie obchodzisz a ia bym chciał Ciebie obchodzić, więc się zachwalam, tak iak się to kupcy przy towarach często wyrywaią. — Drugie mieysce po Orłowskim nie iest na mnie za wiele ani za mało. Dziś daią po raz pierwszy balet iego nowy z ogromnemi machinami pana Lesbenier. Zapowiadaią awantury. — Wczoray byłem u Cichockiego, tego grubego, na imieninach. Grałem Quintetto Spohra na fortep. clar. fag. valtornię i flet. Prześliczny. Ale strasznie nie w palec. Wszystko co chciał umyślnie na fortepian napisać dla popisu iest nieznośnie trudnem i niemożna często palców wyszukać. Ten kwintet miał być granym o godzinie 7mej a zaczęliśmy go o 11stej. Dziwisz się żem niezasnął! Ale taka ładna panna była co mi móy ideał bardzo przypominała. Wystaw sobie do 3ciej siedziałem. | Quintet był tak późno, bo próba baletu trwała aż do 11tej. Z tego miarkuy co to za ogromny balet. Dziś się nawierzgaią.

Wczoray pisałem do Bartka do Londynu. Antoś Wodziński wrócił z Wiednia. Poiadę tam niezawodnie ale Ci dnia nie mogę naznaczyć. | Już miałem od dziś za tydzień ruszyć diliżansem krakowskim, alem dał pokóy. Wiem że mnie masz za zupełnie wyperswadowanego w tym względzie. Proszę Cię tylko bądź przekonany że i ia o moiem dobrem także myślę i, iak Cię kocham, wszystko temu co się dla ludzi robi poświęcę. Dla ludzi! To iest dla oka ludzkiego, żeby opinia która wiele u nas znaczy, nie przyczyniła się do moiego nieszczęścia, nigdy wewnętrznego, tylko powierzchownego. Albowiem ludzie nazywają często nieszczęściem dziurawy surdut, kapelusz stary i t. p. rzeczy. — Jak nie będę miał co ieść, musisz mnie do Poturzyna za pisarka przyiąć; będę tam koło stayni mieszkał, tak dobrze przy Tobie iak tego roku we dworze. Byle mi zdrowie służyło, — pracować całe życie myślę. Pare razy zastanawiałem się czy ia też leniwy istotnie; czy też ia więcey pracować powinienem, iak mi siły fizyczne starczą. — Bez żartu przekonałem się że ieszcze nieiestem z tych ostatnich wałkoniów, i że potrafię pracować kiedy potrzeba przymusi, ieszcze drugie tyle iak dziś. Przyznasz że się niemogę lepiej oskarżać przed Tobą iak uniewinniając się. Darmo, ia wiem że Cię kocham, chciałbym żebyś Ty mnie także ciągle i coraz więcey kochał i dla tego bazgrzę tyle. Często kto sobie chce polepszyć pogarsza. Ale ia myślę że ia u Ciebie niczem sobie ani polepszyć ani pogorszyć niepotrafię. — Sympathia iaką mam dla Ciebie, zmusza nadnaturalnemi środkami serce twoie do uczucia podobneyże sympathyi, Ty nie iesteś panem tego co myślisz, ale ia iestem panem, a niedam się porzucić tak iak się daią opuścić drzewa tey zieloności co im cechę wesołość, życie nadaie. I w zimie będzie u mnie zielono. Zielono w głowie, ale dalibóg że w sercu naywiększy upał, więc niema się czemu dziwić, że taka wegetacya. Dosyć! Day buzi na ostatek, na zawsze twóy

F. Chopin

Dopiero teraz widzę żem Ci zadużo naplótł andronów, — widać że ieszcze wczoraysza imaginacya działa, żem się niewyspał, daruy także zmęczenie bom tańczył mazura. | Mama Papa naymocniey cię ściskaią. Dzieci także. Ludwika trochę słaba, spodziewać się, że lepiey będzie.

Prezesa spotkałem, który się uradował z przyiazdu hrabiego i ma Tobie listy przez niego, czy tam pakieciki, czy tam co z Gdańska przesłać. Walery zawsze Walery. Sąsiadka Panna Kolubakin mu umarła. Wincenty zdrów, śliczny. Kostuś podobno w Dreźnie ze wszystkimi.

Sokołowska przyiechała. Słaba zawsze. | Twoie listy przy moiem sercu i przy wstążeczce, — bo choć one się nie znaią, to czuią, (te martwe rzeczy) że ze znaiomych rąk obie wyszły.

Warszawa we środę rano 22/9 830.

Naydroższe życie moie!

Przez okazyę łatwiey Ci mogę wytłomaczyć, dla czego ieszcze siedzę. Oyciec istotnie nie życzył sobie moiego przed paru tygodniami wyiazdu, a to z powodu zaburzeń iakie w całych Niemczech zachodzą. Nie licząc nadreńskich prowincyi, Sasów którzy iuż także innego mają króla, Brunswiku, Cassel, Darmstadtu i t. d. słychać było że i w Wiedniu pare tysięcy ludzi zaczęło się dąsać z powodu mąki. Co chciano od mąki nie wiem, ale że było coś to wiem. W Tyrolu się także sfuknęli. Włochy tylko wrą i lada moment, mówił mi Moriollo, oczekuią iakich nowych wiadomości w tym względzie. Jeszczem się nie starał o paszport, ale ludzie utrzymuią, żeby mi go niedali iak tylko do Austryi i Prus, niemyśleć o Włochach i Francyi. I to wiem że kilku iuż osobom zupełnie paszportów odmówiono, coby mnie iednak pewno niespotkało. Wyiadę więc pewno w przeciągu kilku tygodni Krakowem do Wiednia, bo tam znów sobie odświeżyli o mnie pamięć, więc trzeba z tego korzystać. Nie dziw się ani mnie ani Rodzicom. Oto cały romans. — Wczoray był u mnie Pawłowski, iutro bardzo rano wyieżdża a ponieważ ia dziś próbuię drugi Koncert z kompletną orkiestrą, prócz trąb i kotłów, więc żeby Tobie przyiemność zrobić, zaprosiłem go; — niech Ci też opowiada. Wiem że naymnieysze detalie w tym względzie interesuią Cię. Żal mi że Ciebie niema, bo podług Ernemanowskiego zdania sądzić o Koncercie będę musiał. Będą i Kurpiński i Soliwa i cały naylepszy muzykalny świat, ale tym panom, wyiąwszy Elsnera, niebardzo ia wierzę. Ciekawy iestem iak się patrzyć będzie Włoch na Kapelmistrza, Czapek na Kesslera, Filip na Dobrzyńskiego, Molsdorf na Kaczyńskiego, Le Doux na Sołtyka i Pawłowski na nas wszystkich [1]). Niebyło przykładu żeby tych Panów kiedyś wszystkich razem złączonych widzieć. U mnie to się da zrobić i ia to robię dla raritasu.

[1]) Czterej ostatni cenieni w Warszawie amatorowie muzyki; szczególniej Molsdorf i Kaczyński jako wiolonczeliści, uchodzili za bardzo utalentowanych (Karasowski).

| Z nowin dyplomatycznych, nayświeższa wiadomość że pan Durand konsul były francuzki, który protestował przeciw Filipowi i chciał rossyiską przyiąć służbę, nazad do Francyi przywołany a na iego mieysce iuż przyiechał wczoray nowy trzykolorowy konsul, którego ieszcze nazwiska nawet dyplomaty niewiedzą. — Iest tu także nowy basista Pan Bondasiewicz, który nieszczęśliwie iuż dwa razy w Turku i w Cyruliku na mieyscu Szczurowskiego, na durnia się wystrzychnął. Pominąwszy nienaygorszy supson głosu, niema naymnieyszéy zalety. Czysto dosyć śpiewa, to chyba to iedno, co mogło powodować kapelmistrza do pozwolenia wystąpić mu na pierwszą polską scenę. Trzeba Ci wiedzieć że ten Pan Bondasiewicz, którego iuż na Brinda, Banda i Bombasiewicza publiczność nasza przerobiła, kiedyś na prowincyi zachwycał słuchaczy. U nas tak iest źle, że trzeba wszystkie tempa zwalniać bo by nie zdążył. Może się ieszcze uformuie bo niestary. Szczurowski chorował, więc on go zastąpił. Dobrze że iuż wyzdrowiał i że może w niedzielę wystąpić w Sroce, gdzie Anusię (czy tam kogo) będzie śpiewać Panna Gładkowska, pod dyrekcyą Kurpińskiego. To iednak nieprzeszkodzi Włochowi do obięcia za pare lat mieysca kapelmistrza, bo Kurpińsio stara się o mieysce w Petersburgu, (konfidencya uczyniona mi sekretnie). Po wystąpieniu Panny Gład. w Sroce, wystąpi Panna Wołków w Cyruliku, czego ia iuż pewno niezobaczę. Woycickiego możeś znał, — nieznałeś go, więc Ci nic o nim nienapiszę.

Ia iuż drugi Koncert skończyłem a ieszcze taki hebes iak przed zaczęciem poznawania klawiszy. To za bardzo oryginalne, na końcu iuż niebędę zdolny się nauczyć. | Szkoda że w taki dzień mi wypadło pisać, co myśli do kupy zebrać niemogę. Iak się nad sobą zastanowię, tak mi się żal zrobi, że jakoś przytomność często mię odchodzi. Ieżeli coś mam przed oczyma co mię interesuje, mogą mię i konie roziechać i niebędę wiedział i o mało niemiałem tego przypadku na ulicy onegday; — w niedzielę, uderzony iednem niespodzianem spoyrzeniem w kościele, właśnie w chwili iakiegoś lubego odrętwienia, natychmiast wyleciawszy, z kwandrans niewiedziałem co się zemną stało, i spotkawszy Parysa doktora, niewiedziałem iak mu się z moiego pomięszania wytłomaczyć, musiałem zmówić na psa co mi wlazł niby pod nogi i przestąpiłem. Taki czasem waryat się ze mnie zrobi że aż strach. — Chciałbym Tobie posłać kilka bzdurnych[1]) rzeczy moich, ale niewiem czy dziś będę miał czas przepisać. | Włoch Rinaldi kontent i dziękuie Ci za przysłanie mu książki. Mówił mi że Bezobrazów bierze lekcye od niego ale się nic nie uczy

---

[1]) U Karasowskiego „bezdusznych"(!)

tylko płaci, zaręczam że to pierwszy krok do Panny Wołków. Nowy balet Orłowskiego, co się tycze muzyki, iest istotnie bardzo dobry i wiele mieysc ładnych. Maszynerye ogromne i dlatego nie zawsze się udaią. Pierwszy raz było naygorzey, drugi raz lepiey, a trzeci raz niewiem, ale Xiążę był, więc musiało iść dobrze. Ostatnia dekoracya naylepsza. Wierzgaią zawiele. Strasznie długo. O wpół do 11tej, się kończy. | Co za dzisieyszy list to Cię serdecznie przepraszam, ale innego mieć niemożesz, dziś u mnie święto. Rozpoczęcie uniwersytetu także dziś muszę lecieć ieszcze się zapewnić o Elsnerze, Bielaskim, pulpitach, i sordinach o których wczoray na śmierć zapomniałem; bez nich bowiem Adagio by upadło, którego powodzenie i tak wielkie być nie może ile mi się zdaie. Rondo effektowne, Allegro mocne. O przeklęta miłości własna! Ale ieżeli komu to Tobie egoisto winien iestem zarozumienie o sobie; z iakim kto przestaie takim się staie. Jeszcze w iednem Cię nie naśladuię to iest w decydowaniu się raptownem ale mam szczerą chęć po cichu nic niemówiąc zdecydować się wyiechać od soboty za tydzień, bez pardonu, mimo lamentów, płaczu, narzekania i padania mi do nóg. Noty w tłómok, wstążeczka do duszy, dusza na ramieniu i w dyliżans. Łzy iak groch padać będą ze wszech stron w zdłuż i w szersz miasta, od Kopernika do Zdroiów, od Branka do króla Zygmunta, a ia iak kamień zimny i suchy śmiać się będę z biednych dzieci co mię tak czule żegnać będą. Słowa posiłkowego za często używam; ale to dziś bo dalibóg że żeby... nie to że Ty daleko, daleko, het gdzieś tam za Hrubieszowem, tobym był Ci kazał przyiechać, a wiem że lubiłbyś, (choć za pokutę za inne twoie ogromne przewinienia) drugim ludziom pociechę przynieść, choćbyś ich nawet niecierpiał. | Żebym mógł iako Ciebie pocieszyć, tobym to zrobił, ale na to wszystko, wierzay mi, niema lekarstwa, dopiero w Wiedniu. Żyiesz, czuiesz, iesteś żyty, iesteś czuty przez innych, więc iesteś nieszczęśliwo-szczęśliwy. Ja Cię rozumiem, twoiego ducha przenikam i... uściśniymy się, bo iuż niemożna więcey mówić

F. Chopin.
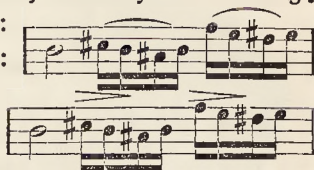
Rodzice Cię ściskaią. Siostry i bracia Cię ściskaią. Jeszcze day buzi. (dopisek na ostatniej stronnicy odnoszący się do pieczątki:) niefadnie mi się wycisnęło. — Dlatego muszę w kopertę włożyć. Daruy żem taki świnia entre nous soit dit — ale dalibóg Cię przepraszam. — Tylko iuż się niegnieway. Dziś się ieszcze dowiedziałem że w Berlinie niepokoie nowe. |

[5/10 830.]

Naydroższe życie moie!

Twoiego listu trzeba mi było abym mógł był spokoynie chodzić, nieuwierzysz iak mnie iuż nudzi to przeklęte ale naturalne bałamuctwo. Po

próbie orkiestrowey 2go Koncertu stanęła decyzya żeby go publicznie grać i w przyszły poniedziałek to iest 11go tego miesiąca wystąpię z nim. Jak z iedney strony nie rad iestem temu, tak z drugiey ciekaw iestem ogólnego effektu. Rondo, myślę że na wszystkich zrobi wrażenie. Na to bowiem Rondo Soliwa mi powiedział il vous fait beaucoup d'honneur, Kurpiński o oryginalności, Elsner o rytmie prawił. Żeby iednakże (ponieważ mogę ułożyć co się zowie piękny wieczór) niebyło owych nieszczęśliwych klarynetów albo fagotów między fortepianem, w iedney zatem części Gładkowska a w 2giej Wołków śpiewać będą. Na Uwerturę nie dam ani Leszka ani Lodoiski zwykle grywanych, ale Wilhelma Tella. Com miał biedy nim te panny pozwolenie uzyskały śpiewania, nieuwierzysz. Włoch naychętniey pozwolił, ale wyżey kazano mi się udać aż do Mostowskiego, który naychętniey (bo mu to wszystko iedno) pozwolił. — Co będą śpiewać ieszcze niewiem; to tylko mi mówił Włoch, że chóry potrzebne do iedney Aryi. | Dopiero 2 reprezentacye były Sroki. Gładkowska pierwszy raz występuiąc trochę się bała i nieodśpiewała pierwszej Cavatiny tak iak drugą razą. Do admirowania iest kiedy śpiewa to: nie robi tego krótko, iak Mayerowa, ale robi długo: tak że to nie iest prędkie grupetto, ale dobrze wyśpiewane ośm not. Dodano, a raczey wsadzono w ostatni akt po marszu żałobnym, modlitwę z Mahometa Rossiniego, bardzo do iey głosu dobrą — albowiem ta co była w Sroce za wysoka. To i iuż relacya z opery. Teraz Wołków uczy się Cyrulika a potem Opera włoska w podróży[1]) gdzie maią duet śpiewać, i dla tego Soliwa niechciał żeby duet na moim śpiewały koncercie. — Będę grał na instrumencie co mi wtenczas Belleville dać niechciała. | Naydaley w tydzień po koncercie niema mnie w Warszawie. Już kuferek do drogi kupiony, iuż cała wyprawa gotowa, partycye pooprawiane, chustki do nosa obrąbione, spodnie zrobione. — Tylko się żegnać, a to nayprzykrzey. | Ktoś twóy poczuie tę biedę. — Moi Rodzice i dzieci także; poczciwe dzieciska, nic ich dawno tak nieucieszyło iak twoie braterskie pozdrowienie iakie im oświadczyłem z twoiego listu. — Dziś Ci krótko pisać będę, bo muszę ieszcze rano do Ernemanna póyść i po głosy dla chórów dla Kratzera, ieżeli ten mi zechce uczyć, bo wiem że mnie niecierpi. Nowina: Gorski stary, tiego tiego, ożenił się z Panną Pągowską, ale tak, że nikt z familii o tem niewiedział; — wystaw sobie, syn był u niego, kiedy ten na ślub wyieżdżał do Bielan, i prosił żeby go wziął z sobą na spacer (nic niewiedząc że oyciec en qualité pana młodego wsiadał do po-



[1]) „Opera włoska w podróży" Opera Fioravantiego (libretto Picarda) przedstawiona w Warszawle po raz 1szy w 1817 roku.

wozu), — oyciec go zbył dawszy mu bilet do krzesła na Precyozę a tym czasem sam na jelenia się pasował. Nazaiutrz był Władzio u niego ze Skarżyńskim Wincentym winszować mu Imienin, — dziwno im było, że oyciec iakiś ambarasowany i w okno co moment spogląda, — ale ponieważ był w tey samey stancyi stary Pągowski a Gorski iuż do poiazdu miał wsiadać, więc myślał syn, że się tamten na iego mieysce do oberży wprowadza i nieuderzyło go kiedy spotkał wychodząc Pannę Pągowską z Matką (iuż swoią macochę) wchodzącą do pokoiu. Z tamtąd, pożegnawszy oyca, który go krótko i zawsze pomięszany zbył, poszedł do Dziekońskiego co w nocy przyiechał. Wszedłszy wita oyczyma, który zaczyna od tego, że się nie wyspał; a to dlaczego? — „a kiedy do kroćset, twóy oyciec wszystkie materace na ślub pozabierał“ — Iakto? — A cóż, wszakże idziesz od niego“. To też właśnie, być niemoże żeby mi nic o tem niemówił. — Spytay żeż się lokaja, co przy bryce został“ — Smutny wrócił syn, dowiedziawszy się, że tiego tiego, tak sobie paskudnie postąpił. Dziekońska nic o tem nie wie. Ty znasz tę Pannę Pągowską, widywałeś ią u Pruszakowey, — mała, dosyć przystoyna, — Gorskim młodym ią prześladowano i też oyciec zapewne dla syna się ożenił. X Dekert (co go znasz) dawał ślub. Hube do Włoch. Nowakowski w Białymstoku, powąchać co się tam dzieie, bo się dla niego mieysce trafiało, mam nadzieię, że nie wróci. Aktor Nowakowski zaangażowany do Krakowa. Szkoda. Ale mówił mi Dmuszewski że niemogą go zatrzymać, bo straszne warunki podawał. Jakoto pierwszy: żeby żona grywała a nic nie umie. — Idę teraz do Starego Pruszaka ieszcze naprzód iak do Ern. — i mam wielkiej wagi do niego interes, li tylko nich się tyczący, — pisać Ci o tem niemogę, ale rzecz iest odrębna, nie mleczkowata, — prędzey workowata. Wiem że mię dobrze przyimie. Day mi buzi naydroższy kochanku, — przekonany iestem, że mnie ieszcze kochasz i boię Ci się zawsze tak iak moiego iakiego tyrana — niewiem dla czego ale Ciebie się boię. Dalibóg że Ty tylko masz moc nademną, Ty i... nikt więcey, — może to ostatni list co ia do Ciebie piszę — do śmierci twóy

F. Chopin.

Dzieci, Rodzice. Żywny.

Skarżyński zawsze mi się o Ciebie pyta. A propos, les demoiselles du Conservatoire iuż dawno kazały Ci się kłaniać. Gład. i Wołków, ieszcze rok maią zostać pod Soliwą — a przyznały mi się, że iuż im się nudzi.

Wtorek 5tego Październ. |

Wtorek 12 Paźdź. 1830.

Naydroższe życie moie!

Wczorayszy koncert udał mi się — pospieszam z tem doniesieniem. Powiadam As panu, żem się wcale a wcale nie bał, grał tak iak kiedy sam iestem i dobrze było. Pełna sala. Goernera Symfonia zaczęła. Potem moia mość Allegro e. moll, które iak z płatka wywinął, na Streycherowskim fortepianie się wydać miało. Brawa huczne. Soliwa kontent; dyrygował z powodu swoiey aryi z chórem, którą Panna Wołków, ubrana iak aniołek w niebieskim, ładnie odśpiewała; po tey aryi Adagio i Rondo nastąpiło, po którem pauza między Iszą a drugą częścią. — Gdy wrócono z bufetu i poschodzono ze sceny, gdzie przybyto dla zdania mi korzystnego rapportu effektu, zaczęto 2gą część od Uwertury Wilhelma Tella. Soliwa dyrygował ią dobrze i wielkie zrobiła wrażenie. Istotnie tą razą Włoch tyle dla mnie grzeczności okazał że trudno mu się wywdzięczyć, — dyrygował potem aryę Panny Gładkowskiey, biało, z różami na głowie, do twarzy prześlicznie ubraney, która odśpiewała Cavatinę a La donna del Lago z recitativem, tak iak prócz aryi w Agnieszce nic ieszcze nie śpiewała. Znasz to: „oh quante lagrime per te versai". Powiedziała tutto detesto" aż do h dolnego, tak, że Zieliński utrzymywał, iż to iedno h tysiąc dukatów warte. Trzeba Ci wiedzieć że ta arya była transponowana do iey głosu, który wiele na tem zyskał. Po odprowadzeniu ze sceny Panny Gładkowskiey, wzięliśmy się do Potpurów na Xiężyca co zeszedł[1]) itd. Tą razą i ia się rozumiałem i orkiestra się rozumiała i parter się poznał. Tą razą dopiero ostatni mazur wzbudził duże bravo, po którem (zwyczayna facecya) wywołano mnie, — ani razu niesyknięto a ia miałem czas 4 razy się ukłonić, ale iuż po ludzku, bo mię Brandt nauczył. Gdyby był Soliwa niewziął moich partycyi do domu, nie przeyrzał i nie dyrygował tak że niemógłem lecić na złamanie karku, nie wiem iak by wczoray było, ale tak nas umiał zawsze wszystkich utrzymać, że nigdy, powiadam Ci, ieszcze z orkiestrą tak mi się spokoynie grać niezdarzyło. Fortepian bardzo się miał podobać, — a Panna Wołków ieszcze bardziey, ze sceny ślicznie się wydaie. Wystąpi teraz w Cyruliku, ma to być w sobotę, jeżeli nie we czwartek. — Ja zaś iuż o niczem nie myślę tylko o pakowaniu się, albo w sobotę, albo we środę ruszam | przez Kraków. Wczoray dowiedziałem się że może Wincenty poiedzie do Krakowa, — muszę się o tem dowiedzieć lepiej, moglibyśmy razem z nim iechać, ieżeli nie za późno odieżdża. Karola w Warszawie widziałem w tych dniach, zdrów, wesół, — i dowiadywał się szczerze kiedy to macie się ziechać w Lublinie. Spodziewał się, że za powrotem, w domu listy od Ciebie zastanie. Co się Kostusia tycze, Oyciec mi mówił że był teraz ze Sewerynem i Kinelem w Budzie na koronacyi, a zatem ieszcze nie

[1]) Fantazya na tematy polskie Op. 13.

w Paryżu, myśl atoli iest wrócenia do Paryża i pewno iuż w drodze. Kończę, moie życie, bo czeka p. Lasocki na mnie żebym z nim do Ernemanna iechał w celu zaproszenia go na lekcye do córki. Późniey do kaszy, teraz do twoiey buzi

nayprzywiązańszy F. Chopin.

Dzieci, Mama, Papa, wszyscy, Żywny, ściskaią Cię zdrowi. |

Paryż dnia 12 Grud. 1831.

Naydroższe życie moie!

Odżyłem iakem list twóy odebrał. | Twoia kontuzya! | Rozmaite wieści mię dochodziły, rozmaicie sobie wyrazy listów z domu tłómaczyłem, a Kot co do mnie pisał, tak się w liście dziwnie iakoś wyraził, żem się bał myśli które mi się tłoczyły. Przecie że ieszcze w życiu się spotkamy! Co odmian, co biedy, — któżby to kiedy był przewidział. — Pamiętasz nocną radę w Wiedniu, wigilią wyiazdu twoiego! Mnie tu wiatr zapędził; — oddycha się słodko, — ale może też dla tego więcey się wzdycha, że łatwo. Paryż iest to wszystko co chcesz — możesz się bawić, nudzić, śmiać, płakać, wszystko robić co Ci się podoba i nikt na Cię niespoyrzy, bo tutay tysiące toż samo robiących co Ty — i każdy swoią drogą. Jakoż niewiem czy gdzie więcey pianistów iak w Paryżu, — niewiem czy gdzie więcey osłów i więcey wirtuozów iak tu. Trzeba Ci wiedzieć że przyiechałem tutay z bardzo małemi rekomendacyami. Malfati dał mi list do Paera, kilka listów z Wiednia miałem do editorów i na tem koniec. Albowiem w Studgardzie gdzie mnie doszła wiadomość o wzięciu Warszawy, tam dopiero zupełnie zdecydowałem się udać w ten inny świat. Przez Paera który tu iest dworskim kapelmajstrem poznałem Rossiniego, Cherubiniego itd. Baillotta itd. Przez niego także poznałem Kalkbrennera. Nieuwierzysz ile byłem ciekaw Herza, Liszta, Hillera itd. wszystko to są zera przeciw Kalkbrennerowi. Przyznam Ci się, że iak Herz grałem, ale chciałbym grać iak Kalkbrenner. Jeżeli Paganini perfekcya, to Kalkbrenner paralel iemu ale w zupełnie innym rodzaiu. Trudno Ci opisać iego Kalm, iego dotknienie czaruiące — równość niesłychaną i to mistrzowstwo maluiące się w każdey nocie iego — iest to olbrzym depczący Herzów, Czernych itd. a tem samem i mnie. — Cóż się dzieie? — Prezentowany Kalkbrennerowi, prosi mnie żeby mu coś zagrać. Rad nie rad niesłysząc go wprzód a wiedząc iak Herz gra, zdiąwszy pychę z serca, siadam. Zagrałem móy E moll | którego nadreńscy Lindpaintnerowie, Bergi, Stuntze, Schunki, i cała Bawarya odchwalić się niemogła. | Zadziwiłem Pana Kalkbr. który natychmiast adressował mi pytanie czym nie uczniem Fielda, że mam grę Crauserowską a uderzenie Fieldowskie. — (Ucieszyło mnie to w duszy) a ieszcze bardziey gdy usiadłszy do fortepianu Kalkbr. chcąc się przedemną wysadzić, omylił się i musiał ustać! Ale też trzeba było słu-

chać iak zrobił repryzę; nic podobnego niemyślałem. Od tego czasu codziennie widuiemy się, albo on u mnie albo ia u niego — a poznawszy mię dobrze, robi propozycyą, żeby trzy lata u niego się uczyć a zrobi zemnie coś bardzo bardzo. Powiedziałem mu że wiem ile mi niedostaie, ale że go niechcę naśladować i 3 lata zadużo. Tymczasem przekonał mnie że mogę ślicznie grać kiedym natchniony a kiepsko kiedy nie — rzecz która mi się nigdy niezdarza. Powiedział mi, przypatrzywszy się bliżey, że niemam szkoły — że iestem na śliczney drodze, ale się zderutować mogę. — Że niebędzie reprezentanta szkoły wielkiey fortepianowey po iego śmierci, albo iak on zupełnie grać niebędzie. Że niemogę budować, choćbym chciał, nowey szkoły nieznaiąc starey — słowem że nieiestem doskonałą machiną a tem samym krępuie i bieg myśli moich. Że mam piętno w kompozycyi, szkoda by było żebym nie był tem, czem być obiecuię itd. itd. Przytem żebyś tu był, sam byś powiedział: ucz się chłopcze póki czas. Wielu mi tego odradzało — sądząc iż ia tak dobrze grać potrafię iak on, że to czyni przez pychę, żeby potem mnie swoim uczniem nazywał itd. itd. To wszystko są facecye. Trzeba wiedzieć że o ile tu dla talentu Kalkbr. maią wszyscy a wszyscy uszanowanie, o tyle iego osoby niecierpią — bo się nie z lada durniem paniebraci i, iak Cię kocham, iest coś wyższego nad wszystkich com słyszał. Pisałem o tem do Rodziców. — Oni iakoś przystaią, ale Elsnerowi zdaie się to zazdrością. Pomimo to (trzeba Ci wiedzieć, że iuż tu mam między artystami ogromne imię) daię koncert 25 grudnia. Baillot, ów sławny rywal Paganiniego gra, Brodt sławny oboista, ia daię móy F moll, Waryacye B dur (na które odebrałem przed parą dniami z Cassel od iednego Niemca zaantuziazmowanego temi Waryacyami, dziesięcioarkuszową recenzyę, gdzie po ogromnych przedmowach, przystępuie do rozbioru onych, takt w takt — tłómaczy, że to nie są waryacye iak każde inne, tylko że to iest iakieś fantastyczne tableau. — Na drugą Waryacyę mówi, że Don Juan z Leporellem biega, na 3cią, że ściska Zerlinkę a Mazetto w lewey ręce się gniewa — a na Adagia 5ty takt powiada że Don Juan całuie Zerlinkę w Des dur. | Plater pytał mi się wczoray gdzie ona ma ten Des dur, itd. | Umierać z imaginacyi Niemca, który się uparł, żeby szwagier iego Fetisowi do Revue Musicale to podał, od czego mnie poczciwy Hiller chłopiec z ogromnym talentem (uczeń były Humla, którego koncert za onegdayszy i Symfonia wielki effekt zrobiła — iest to w rodzaiu Beethovena, ale pełny poezyi, ognia i ducha człowiek) ledwie mnie on od tego obronił, mówiąc temu panu Szwagrowi, że to zamiast mądrem iest bardzo głupiem. Ależ do koncertu się wróćmy. Prócz tego gram z Kalkbrennerem na 2 fortepiany z akompaniamentem 4ch innych, iego Marsza suivie d'une Polonaise. Iest to szalona myśl. Jeden iest ogromny pantalion, które się Kalkbrennerowi należy, a drugi malutki monokordny, ale donośny iak dzwoneczki żyrafek, co do mnie należy, a tamte cztery duże iak orkiestra. Hiller, Osborn, Stamaty i Sowiński będą ie

trzymać. Ten ostatni ani się umywał do Alex. nieboszczyka[1]) (którego tu elewkę poznałem). Głowa nie tęga tylko figura dobra i serce. Norblin, Vidal, sławny Ubran [2]) — altówka — iakiego nigdy niesłyszałem, pomagaią mi. Bilety plasuią się. Spiewaczki naytrudniey było dostać. Rossini byłby mnie z opery pozwolił którey, gdyby sam mógł to czynić, bez Pana Robert, drugiego dyrektora, który się nie chciał na 200 albo 300 podobnych narażać próśb. Ale Ci nic dotychczas o operze niepisałem. Anim słyszał Cyrulika iak w przeszły tydzień przez Lablacha, Rubiniego i Malibran (Garcia). Anim słyszał Otella, iak przez Rubiniego, Pastę, i Lablacha; — Włoszki, iak przez Rubiniego, Lablacha i Mme Raimbeaux. Jeżeli kiedy to teraz wszystko mam w Paryżu. Niewystawisz sobie co to iest Lablache! Pasta, mówią, że straciła ale ieszcze nic wzniośleyszego nie widziałem. Malibran cudownym głosem swoim tylko bierze a śpiewa iak żadna! Cudo! Cudo! Rubini tenor doskonały, bierze realnym nie fosetem i rulady czasem 2 godziny robi (ale czasem za długo broderuie — i trzęsie głosem umyślnie, prócz tego treluie bez końca, co mu iednak naywiększe oklaski zsyła). Jego mezza voce iest niedoporównania. Jest tu Schröder Devrient, — ale nie robi furory takiey iak w Niemczech. Pani Malibran grała rolę Otella a ona Desdemonę. Malibran mała a Niemka ogromna, zdawało się że niemka Otella zadusi. Kosztowna to była reprezentacya, nie więcey tylko 24 franki wszystkie mieysca — żeby widzieć Malibran czarną i nietęgo w tey roli graiącą. Maią dać Piratę i Somnambulę itd. Pasta iuż wyiechała — mówią, że niebędzie więcey śpiewać. Orkiestra cudowna nie iednaka w porównaniu z prawdziwą francuzką operą (l'Academie Royale). — Jeżeli kiedy był iaki przepych na teatrze to niewiem czy dochodził stopnia przepychu „Robert le Diable", nowiutkiey, 5 aktowey opery Mayerbera, co Crociato pisał. — To arcydzieło nowey szkoły — gdzie diabły (chóry ogromne) przez tuby śpiewaią — gdzie dusze z grobów powstaią, ale nie tak iak w Szarlatanie[3]) tylko po 50, 60 grupowane, gdzie diorama na teatrze, gdzie na końcu interieur kościoła widać i cały kościół na Boże narodzenie czy wielkanoc w świetle z mnichami i wszystką publicznością w ławkach, z kadzidłami, co większe: z organami, których głos na scenie czaruie i zadziwia i całą orkiestrę nieledwie pokrywa, — nic takiego nigdzie niebędą mogli wystawić. — Mayerber się unieśmiertelnił! Ale też 3 lata siedział w Paryżu nim ią wystawił, 20.000 franków iak mówią łożył na aktorstwo. Pani Cinti Damoreau też tak śpiewa iak niemożna doskonaley — wolę iey śpiew iak Malibran. Malibran zadziwia, Cinti zachwyca — i gammy chromatyczne lepiey robi iak Tulon sławny na flecie. Nie można mieć głosu lepiey wydoskonalonego, tak ią to mało kosztuie, że zdaie się iż chucha na publiczność. Nourrit, francuzki

---

[1]) Aleksandra Rembielińskiego, kolegi studjów Ch. (Karasowski).
[2]) U Karasińskiego Urhan.
[3]) Szarlatan opera Kurpińskiego.

tenor iest zadziwiaiący swoiem uczuciem. — A C h o l e t na Opera Comique gdzie daią Fra Diavolo, La Fianceé i Zampa (nowa śliczna opera Herolda) iest to ten pierwszy tu amant, seducteur — drażniący — cudny, z romansowym prawdziwym głosem geniusz. Utworzył sobie rodzay. Na Opera Comique daią teraz „Marquise de Brinviliére“, baba co truła ludzi za czasów Ludwika 14 czy 15. Muzykę do niey robiło ośmiu. Cherubini, Paer, Berton, Herold, Auber, Bâton, Blanquini i Caraffa.— | Spodziewam się że trudno znaleźć piękniejszą kompanią do koncertu! | Pisz mi co Ci się zdaie — Potem iednak musisz uważać że niezdurniłem się — ani się chcę zbłaźnić. — Pixis z wielkiem uszanowaniem dla mnie — iuż to dla tego że gram, iuż to że zazdrosny swoiey dziewczyny, która na mnie lepiey patrzy iak na niego!! — Pisz do mnie na miłość boską — albo przyiedź, twóy do zgonu a może niedługo

F. Chopin

| Potier stary iest wyborny! Młody z Herwetem są tu. I Evra i Tiery i Filés ale ich nie widziałem. Mieszkam Boulevard Poissonière Nro 27 a tyś mi swoiego mieszkania niedoniósł, musiałem u Wodzińskiego się dowiedzieć. Fortepiany Pleyelowskie non plus ultra. — Z Polaków Kunasika, Morawskiego, Niemoj. Lelewela, Plichtę widuię, a zresztą ogromna moc durniów. U Panny Jaczorek(?) często się bywa, ale nic więcey. Ładna. Oleszczyński ma w perspektywie mnie sztychować. Byłem z Brykczyńskim onegday u Tyszkiewiczowey z wizytą, ale Poniatowskiego ieszcze niema; do Montebella dziś idę. Gdyby nie Wodzińscy, nie wiedziałbym twego adresu, roztrzepańcze. Wodzińscy | Ciebie się spodziewaią tutay, ia tylko czasem bym Cię chciał, bo ledwo nie zwaryuię z tęsknoty, szczególniey kiedy deszcz. | Panna Gładkowska poszła za Grabowskiego, ale to nieprzeszkadza affektom platonicznym. W ten moment Boillot przyszedł. Pieczętuię list Kochay mię.

Nie mogę przenieść na sobie żeby Ci moiey awanturki z Pixisem nienapisać. Wystawże sobie ma on bardzo ładną 15letnią panieneczkę u siebie, z którą (iak mówi) żenić się myśli, a z którą ia się w Studgardzie u niego bywaiąc poznałem. — Pixis przyiechawszy tu, zaprasza mnie do siebie nic nie mówiąc (bo może byłbym prędzey go odwiedził) że i ta iego panna o którey ia iuż zapomniałem, z nim przyiechała. Prosi mnie żeby go odwiedzić, więc w tydzień idę. Aż na schodach z wielkiem ukontentowaniem spotyka mnie iego młoda pupilka, zaprasza mnie do siebie, że to nic nieszkodzi że Pana Pixisa niema — żeby odpocząć — że on zaraz przyidzie itd. (Iakaś drżączka nas oboie bierze). — Exkuzuię się wiedząc że stary zazdrośny, że inną razą weydę itd. — tymczasem, gdy my tak czule

na schodach w niewinności serca z przymileniem sobie rozprawiamy, lezie Pixisko, patrzy (na kształt Soliwy) przez grube okulary któż tam na górze z iego bellą rozmawia — i przyspieszywszy bzdyczysko kroku — zatrzymuie się przedemną, brusquement mówi „bon jour" a do niey: qu'est ce que vous faites ici? — i ogromną Jeremiadą niemieckich dyabłów na nią że ona śmie w iego nieobecności młodych ludzi przyimować. Ja także z uśmiechem (i nieczuiąc się do niczego) potakuię Pixisowi i na nią nastaię, że tak lekko, (a tylko w materyalney sukience) wychodzi z pokoiu itd. Aż przecie się stary pomiarkował, — ochłonął, wziął mię pod rękę do salonu wprowadził, niewiedział gdzie mnie posadzić ze strachu, (żebym mu, rozgniewawszy się, kiedy go w domu niebędzie, iakiego figla, a raczey Pupili nie wyrżnął). Sprowadził mię późniey ze schodów a widząc że ia ciągle iakoś śmieiący się w duszy — (niemogłem pokryć uciechy iaką pierwszy raz miałem z tego że mię ludzie capable czegoś podobnego sądzić mogą) — widziałem iak wszedł do portyerki pytać się czy dawno iak ia wszedłem na schody itd. Od tego czasu Pixis niemoże się wychwalić moiego talentu przed wszystkimi editorami a szczególniey przed Schlesingerem, który mię angażował pisać coś z tematów Roberta, którego od Mayerbeera za 24.000 franków kupił! — Jak Ci się to podoba? Ze mnie seducteur! |

Paryż 25 Decemb. 1831.

Naydroższe życie moie!

Już drugi rok iak Ci z zagranicy dziesiętey winszować muszę imienin. Jedno spoyrzenie na iawie może by Cię więcey przechowało w moiem sercu iak dziesięć listów. Dlatego opuszczam tę materyę ex abrupto pisać niechcę, a niekupiłem sobie książeczki z rozmaitemi powinszowaniami, którą dziewczyny i chłopaki po ulicach z wszystkiem po 2 sous sprzedaią. — Dziwny to lud, iak wieczór przyidzie — nic niesłyszysz iak tylko wykrzyki tytułów nowych książeczek ulotnych i czasem 3, 4 arkusze drukowanego głupstwa za sousa kupisz. A to „l' art de faire des amants, et de les conserver ensuite", „Les amours des prêtres", „L' archevêque de Paris avec Mme la Duchesse du Barry" i tysiączne podobne tłustości, czasem bardzo dowcipnie pisane. Prawdziwie że dziwić się trzeba na iakie oni się tu sposoby biorą, żeby grosz zarobić. — Wiedz że tu teraz wielka bieda, pieniędzy mało kursuie, odrapańców mnóstwo spotykasz ze znaczącemi fiziognomiami i nieraz słyszysz odgrażaiącą rozmowę na durnia Filipa, który tylko na swoiem ministeryum ieszcze wisi. Niższa klasa iest zupełnie roziątrzona — i co moment radziby zmienić stan swoiey nędzy — ale na nieszczęście zbyt

wiele ostrożności rząd ma na takowe rzeczy i na naymnieysze zebranie na ulicy się pospólstwa, żandarmeryą konną rozpędza. Wiesz że mieszkam na 4 piętrze, ale na nayślicznieyszem mieyscu, bo na bulwarach, mam do siebie ganek należący — bardzo zgrabny, żelazny, daiący na ulicę, i mogę bardzo daleko w prawo i w lewo bulwary widzieć. Naprzeciwko mnie, w ulicy stanął Ramorino, w mieyscu tak zwanem Cité bergère, gdzie duży dziedziniec przechodni. — Wiadomo Ci zapewne iak go wszędzie Niemcy przyimowali, iak go do Strasburga Francuzi, zaprzęgnąwszy się za konie, ciągnęli, słowem wiadomy Ci ten antuzyazm ludu dla naszego Jenerała. Paryż niechciał być ostatni w tym względzie, — Szkoła medycyny, tak zwana młodzież „jeune France" (którzy bródki noszą i pewne maią przepisy na wiązanie chustek) (trzeba Ci wiedzieć że tu każda partya polityczna inaczey się nosi — mówi się tu o exagerowanych. — Karliści maią zielone kamizelki, Republikanie i Napoleoniści, to iest właśnie ta jeune France, — Saint Simoniści, czyli nowi chrześcianie, tworzący oddzielną religią, i maiący iuż ogromną liczbę prozelitów, którzy są także za równością, noszą się niebiesko, itd. itd. Otóż do tysiąca takiey młodzieży, nieministeryalney z chorągwią 3ój kolorową — przeszli przez całe miasto do Ramorina, przywitać go. Chociaż był w domu, niechcąc się iednak narażać na nieprzyiemności ze strony rządu (z tego względu dureń) niepokazał się, mimo krzyku i wołania „vive les polonais" itd. Adiutant iego (podobno Działyński) wyszedł i powiedział że Jenerał prosi ich na inny dzień do siebie. — A tymczasem nazaiutrz wyprowadził się z tamtąd. W pare dni wali się ogromne mnóstwo iuż nietylko młodzieży ale i pospólstwa zebranego pod Panteonem, na drugą stronę Paryża do Ramorino. — Iak gała śniegu, im więcey ulic przechodzą tem ogromnieysza ich massa, aż przy moście (pont neuf) konnica ich rozpraszać zaczyna — wielu pokaleczono, ale mimo to mnóstwo ludzi zebrało się na bulwarach, pod moiemi oknami, żeby złączyć się razem z idącymi z drugiey strony miasta. — Policya nic pomódz nie mogła tłoczącym się ludziom — przyszedł oddział infanteryi — huzary, adiutanty placu na koniach po trotuarach — gwardya niemniey gorliwa rozpycha coraz ciekawsze i mruczące pospólstwo, łapią — aresztuią wolny naród — strach — sklepy zamykaią, po wszystkich rogach ulic bulwarowych kupy ludzi, — świstania — galopowania posyłek, okna pełne spektatorów (iak niegdyś u nas na wielkie Święto) i to trwało od godziny 11 rano do 11 w nocy. Jużem się cieszył że może się co zrobi ale to wszystko się skończyło na zaśpiewaniu ogromnym chórem około 11 w nocy „allons enfants de la patrie". Iakie na mnie wrażenie zrobiły te groźliwe głosy nieukontentowanego ludu — ani poymiesz! — Spodziewano się nazaiutrz zaczęcia kontynuacyi tej emeuty, iak oni tu zowią — ale durnie cicho do dziś dnia siedzą. Grenoble tylko wstąpił w ślady Lyonu — i diabeł wie co się ieszcze na świecie stanie. Daią też teraz na teatrze Francon, gdzie tylko dramy i tableau z końmi wystawiaią — całą historyą ostatnich na-

szych czasów. Ludzie lataią iak szaleni widzieć te wszystkie kostiumy — Pannę Plater która także tam gra rolę z indywiduami którym daią nazwiska nakształt Lodoiski, Faniski — i tak iedna się nazywa Floreska — iest Jenerał Gigult iako brat Platerówney itd. Ale nic mnie tak nie bawiło iak afiszowanie w iednym z mnieyszych teatrów, że podczas antraktu grać będą la marurka Dobruski „ieszore polska mirgineta". Jak Ciebie kocham nie facecya, mam na to świadków, którzy się razem ze mną dziwili że Francuzy takie durnie! A propos moiego koncertu, odłożony na 15tego z powodu śpiewaczki którey mi pan Veron dyrektor opery odmówił. Dziś zaś iest w operze włoskiey koncert duży gdzie Malibran, Rubini, Lablache, Santini, Mme Raimbeaux, Mme Schröder, Mme Cavadory — przy tem Herz gra i (czego nayciekawszy iestem) Beriot, ten skrzypek co Pani Malibran w nim się kocha. Chciałbym Cię tu — nieuwierzysz bo, iak mi tu smutno że niemam komu się wyięzyczeć. Wiesz iak łatwo zabiorę znaiomość — wiesz iak lubię z niemi gadać o niebieskich migdałach — otóż takich znaiomości mam po uszy, ale z nikim razem westchnąć niemogę. — Zawsze iestem co się tycze uczuć moich w synkopach z innymi. Dla tego męczę się i nieuwierzysz iak szukam iakiey pauzy coby do mnie cały dzień nikt niezayrzał, nikt niezagadał. Do Ciebie pisząc niecierpię kiedy mi się dzwonek ruszy — i włazi jakieś coś z wąsikami, duże, wyrosłe, tęgie, — siądzie do fortepianu i samo niewie co improwizuie, wali, tłucze bez sensu, rzuca się, przekłada ręce, z pięć minut na iednym klawiszu grzechocze ogromnym paluchem, który gdzieś tam na Ukrainie do ekonomskiego batoga i do leyc był przeznaczony. Masz portret Sowińskiego, który innego merytu niema iak dobrą figurę i dobre serce dla siebie. Jeżelim mógł kiedyś sobie szarlatanizm albo głupstwo w sztuce wystawić, to nigdy tak doskonałe iak teraz często muszę słuchać chodząc i umywaiąc się po pokoiu. Uszy mi się czerwienią — wypchnąłbym za drzwi a muszę menażować, nawet być czułym wzaiemnie. Niemasz wyobrażenia o czemsiś podobnem — ale ponieważ oni go tu (oni co się nieznaią tylko na krawacie) za coś maią, więc trzeba się bratać. — A czem mi naywięcey krwi psuie to zbiorem swoich karczemnych, bez sensu, naygorzey akompaniowanych, bez naymnieyszey znaiomości harmonii i prozodyi układanych śpiewek z zakończeniami kontredansowemi — które on zbiorem polskich pieśni nazywa. Wiesz ile chciałem czuć i poczęści doszedłem do uczucia naszey narodowey muzyki — zatem miarkuy iak mi przyiemnie — kiedy on czasem to tu to tam złapie coś, moiego, czego piękność często na akompaniamencie zależy — i karczemnym, szenkatrynkowsko gęgetowsko organowym parafialnym gustem zagra i nic niemożna powiedzieć bo więcey nad to co złapał nie poymie. | Jest to Nowakowski na lewą stronę. A gada! — O wszystkiem a szczególniey o Warszawie w którey nigdy nie był. — Między Polakami żyię naywięcey z Wodzińskimi, Brykczyńskimi, samemi dobremi chłopcami. Wodzyńsio zawsze mi sie

pyta czemu Ty nieprzyiedziesz? Oni Ci się spodziewaią, bo Ciebie nieznaią. — Zdaie mi się że Cię znam i wiem gdzie wprzód poiedziesz. | W ten moment kiedy się zabieram do opisu iednego balu na którym mnie bóstwo iedno zachwyciło z różą w czarnych włosach — odbieram twóy list — Wychodzi mi wszystko moderne z głowy — przenoszę się ieszcze bardziej do Ciebie, biorę Cię za rękę i płaczę. — Miałem twóy list ze Lwowa; — Tem później się zobaczym, a może i wcale nie, bo, seryo mówiąc, moie zdrowie nędzne, — wesoły iestem zewnątrz, szczególniey między swoiemi (swoiemi nazywam Polaków) — ale w środku coś mnie morduie — iakieś przeczucia, niepokoie, sny albo bezsenność — tęsknota — oboiętność — chęć życia a w moment chęć śmierci — iakiś słodki pokóy, iakieś odrętwienie, nieprzytomność umysłu a czasem dokładna pamięć mnie dręczy. Kwaśno mi gorżko, słono, iakaś szkaradna mięszanina uczuć mną miota! Głupszym niż kiedy. Moie życie — daruy mi. — Już dosyć. A teraz ubiorę się i póydę a raczey poiadę na obiad iaki dzisiay daią dla Ramorina i Langermana, | ma być parę set w nayogromnieyszey Restauracyi au Rochercancal — Kunacik przed kilką dniami przyniósł mi zaprosiny z Biernackim poczciwoszem; Karol więc decidément nie iego zięciem. | Twóy list wiele dziś dla mnie miał nowości. Darowałeś mi 4 stronnice i 37 wierszy — iak żyię tego niebyło, iak żyię takeś mi się obficie niedał — a potrzebowałem czegoś podobnego — bardzo potrzebowałem. Co mi o drodze piszesz iest taką prawdą iakiey ia mam przekonanie. Niemyśl kochanie źle o tem; ia iadę własnym equipażem, tylko furmana do koni naiąłem. Daruy moie życie, za kontrast listu moiego. — Kończę bo niemógłbym go na pocztę odnieść. A człek sam Pan, sam Sługa — Pisz zmiłuy się, Ściskam Cię, twóy do zgonu

Fryc

Ten list posyłam w zaufaniu miłosierdzia twoiego.

FRYDERYK CHOPIN.

Dwa listy Artura Grottgera.

W zbiorze autografów polskich pozostałym po Józefie Łozińskim kustoszu Biblioteki Poturzyckiej we Lwowie, przechowywanym obecnie w jego rodzinie, zajdują się dwa listy Artura Grottgera z ostatniego roku życia, — obydwa bez adresów.

Pierwszy z nich pisany niewątpliwie do Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, drugi prawdopodobnie do Jana Dobrzańskiego redaktora „Gazety Narodowej“, „Tygodnika Niedzielnego“, „Nowin“ i t. d.

Listy te stanowić mogą przyczynek do korespondencyi Grottgera, której wydawnictwo rozpoczęto na tem miejscu, a odzwierciedlają nastroje, jakim artysta w ostatnim roku życia podlegał. Choroba i cierpienia mają widoczny wpływ nawet na zewnętrzną formę listów i charakter pisma, różniący się w drugim liście znacznie od pierwszego.

T. M.

I

Paryż 25/I, 67.

Najłaskawszy Panie Hrabio Dobrodzieju!

W nadziei że temi kilką słowy nienaprzykszę się Łaskawemu Panu, przypominam się najprzód względom Jego a potem maleńką prośbeczkę zanoszę. — Ta dotycze obrazka rysowanego, przedstawiającego Rodzinę patrzącą na kometę „przed Wojną“ a tego właśnie, którego na korzyść brata mego na Syberyi przeznaczyłem do wylosowania i na co kilkadziesiąt biletów Szanowny Pan Hrabia był łaskaw wziąść do rozsprzedania. — Dziś właśnie napisałem do P. Bogdanowicza, u którego wzmiankowany rysunek był a może i jest jeszcze wystawiony, aby takowy odesłał do Pana Hrabiego albo ostatniego stycznia albo najdalej pierwszego lutego, bo się spodziewam, że Pan Hrabia nie odmówi mi tej łaski i pozwoli ażeby najmniejsza Panna Maryna raz w salonie u Państwa Hrabstwa wyciągnęła liczbę wygrywającą. —

Losów zostało rozsprzedanych 399, a więc do samego losowania tyleż karteczek należałoby przygotować. Panna Teressa Wentz mieszkająca na placu Ducha 42, była tak grzeczną, i przyobiecała mi na Ręce Pana hr. Revertery posła w Petersburgu, przesłać zebrane pieniądze biedakowi mojemu. Proszę więc łaskawego Pana Hrabiego i obrazek i te pieniądze za bilety, po wylosowaniu kazać Jej doręczyć, bo ona zaraz i obrazek wygrywającemu wyexpedyuje.

Ja sam zamiast dotychczas powrócić do Lwowa, jak się spodziewałem, będę musiał pozostać aż do wystawy a to dla skończenia niezawodnego rozpoczętej „Wojny", której we Lwowie, bez żadnej artystycznej pomocy, w tak krótkim czasie, wykończyćbym niepotrafił.

Paryż, jako miasto, nietylko w pierwszej chwili, ale i teraz jest mi tak nieznośne, że gdybym mógł, tobym ztąd zaraz uciekał, ale przyznać mu muszę, że dla artysty kształcącego się, jest to może jedyne w świecie. Wszelkie możliwe kierunki — wszelkie zapatrywania się artystyczne, mają tu swoich przedstawicieli, tak że studyum staje się gruntowne więcej jak gdziekolwiek.

Zacząwszy od Idylli aż do najprozaiczniejszego realizmu, wszystko się tu widzi wyobrażone po mistrzowsku. — I muszę też powiedzieć, że chociaż Francuzi żadnej szkoły malarskiej jeszcze sobie nie wyrobili, to mają poczucie dla doskonałości ogromne. Mają go więcej jak Niemcy, którzy peryodycznie raz, latają pod obłoki a drugi raz tarzają w rynsztoku. Francuzi i jedno i drugie robią odrazu! — Oprócz Wersalu poznałem wszystkie galerye a w Luxemburskiej jestem prawdziwie zakochany, nigdzie bowiem tyle pięknych a zarazem tak bardzo między sobą różniących się malarskich utworów niewidziałem. Po tej galeryi chodząc przeświadczyłem się o tej prawdzie, że Francuzi zupełnie tak jak Niemcy są gruntowni i sumienni i że to fałszywe jest widzenie, jeżeli się im tej gruntowności odmawia a powierzchowność przypisuje.

Mój pobyt tutejszy z pomocą Bożą na dobre mi wyjdzie. Skorzystam dużo więcej jak się spodziewałem, dlatego też mam nadzieję że i „Wojna" moja tu wypracowana, nie równie więcej będzie miała wartości. Zresztą jak tam Bóg zechce.

Lituanika jutro Panu Branickiemu a w poniedziałek w Hotelu Lambert będzie się prezentowała. Tą razą życzyłbym sobie, widzieć w niej zwycięzką kokietkę! — Od czasu przyjazdu mojego, oprócz dalszego ciągu Wojny, zrobiłem jeden dość wielki rysunek, przedstawiający Etap z Polonią w Sybir zasłaną, przybyły właśnie do Stacyi. —

Radbym ażeby i Lituanika i ten ostatni rysunek mógł być jaknaj-prędzej rozpowszechniony. —

A teraz przestaję aby nie zmęczyć. Polecam się łasce Szanownych Państwa Hrabstwa, proszę o przebaczenie za moje natręctwo i oto aby mnie nadal mieli w swojej pamięci o co raz jeszcze bardzo a bardzo prosi, zawsze wdzięczny sługa

Arthur Grottger

adres. Boulevard St. Michel 3. —

II.

Szanowny Panie Dobrodzieju!

Proszę mi darować, że z odpowiedzią tak się opóźniłem, a dziś bardzo krótką będzie korespondencya moja ale jestem bardzo chory.

Rysować do dziennika Pańskiego nieprzyobiecuję bo niewiem zupełnie czy choroba a raczej leczenie moje, pozwoli mi zająć się czemś innem.

Za parę dni wyjeżdżam na południe i losy moje niestety są bardzo niepewne.

Darujcie Szanowny Panie że wręcz odmawiam i przyjmijcie serdeczne pozdrowienia od Waszego

unizonego sługi

Paryż 24/10 867

Arthur Grottger.

ROZMAITOŚCI.

Przywileje z XVI w. dla bractwa i cechu malarzy katolickich we Lwowie.

(Oryginały spisane w języku łacińskim na pergaminie są własnością „Biblioteki Poturzyckiej" hr. Dzieduszyckich we Lwowie).

I. Przywilej arcyb. lwow. Jana Dymitra Solikowskiego z r. 1596.

Jan Dymitr Solikowski z Solek z bożej łaski Arcybiskup Lwowski i t. d. Niniejszem pismem naszem oznajmiamy wszystkim razem i każdemu z osobna, komukolwiek na tem zależy, tak Duchownym, jakoteż ludziom stanu Świeckiego, iż jest to obowiązkiem naszego urzędu, którzyśmy przez osobliwszą łaskę Boga Najlepszego i Największego do godności Arcybiskupiej wyniesieni zostali, byśmy wszystko, cokolwiek zdaje się przyczyniać do czystej i nieskazitelnej chwały Wszechmocnego Boga, o ile jest to w naszej mocy, przewidywali, popierali, oraz starali się, by tego najusilniej przestrzegano.

Ponieważ atoli obrazy, wykonane stosownie do przepisów religijnych, ku ozdobie świątyni pańskiej, ku chwale Wszechmocnego Boga i czci jego Świętych — niepoślednie mają znaczenie i bardzo się przyczyniają do zachowania w pamięci obrzędów religijnych, jakoteż do rozbudzenia pobożności w ludzkich sercach, przeto uznaliśmy za stosowne, także Malowidła, lub rzeźby ująć w pewne przepisy oraz przeprowadzić w bożym Kościele i pod tym względem reformę zgodną z Pismem Świętem.

Ponieważ Święty Sobór Trydencki uchwalił oddawać należną cześć i uszanowanie obrazom Chrystusa i Boga, Niepokalanej Dziewicy i innych Świętych, któremi czcimy zwykle i ozdabiamy, przedewszystkiem domy boże, nie dlatego, byśmy mieli wierzyć, iż jest w nich jakieś bóstwo lecz dlatego że okazywana im cześć odnosi się do wyobrażanych przez nie Pierwowzorów; ale, nie wiadomo w jakich bezecnych czasach wyrobiona, chytra przebiegłość Schizmatyków, oraz ich żądza malowania w ten sposób, bym nie rzekł, zmyślania obrazów, celem sprzedaży, — do tego stopnia się roznamiętniła, iż — ludzi katolickiego wyznania nie dopuszczają oni

nawet zgoła do wyuczenia się sztuki malarskiej i z pośród siebie ich wykluczają, ażeby mieć przez to sposobność do pysznienia się i chełpienia i, co niestety często o nasze obija się uszy — do urągania nam, że oto dzieła ich rękami wykonane w Kościele czcimy i uwielbiamy. Otóż my mając przedewszystkiem na względzie bogobojność, oraz to, ażeby obrazy, które sporządzamy na cześć i chwałę bożą, przed którémi odkrywamy nasze głowy i padamy na kolana, tudzież je ucałowujemy — nie były hańbione i bezczeszczone rękami Schizmatyków, jakimi przecież są Ormianie i Rusini, — dalej zaś przeglądnąwszy też dokument, udzielony łaskawie Szlachetnemu Janowi Szwankowskiemu, Malarzowi Św. Król. Mości, gorliwemu Arcymistrzowi i założycielowi Związku Katolickich Malarzy, mocą którego zwalnia się jego samego wraz z jego bractwem od wszelakich nieszlachetnych i poniżających obowiązków — uznajemy sztukę Malarską za szlachetną i służącą Kościołowi bożemu ku ozdobie i pożytkowi, oraz zabraniamy jej wykonywania Ormianom i Rusinom, jakoteż innym Schizmatykom pod zagrożeniem grzywną, którą nałoży się na przestępców. Dokument ten zaszczyca samego Szwankowskiego wraz z jego towarzyszami pewnemi przywilejami i odznaczeniami.

Mając też na względzie prawo publiczne, postanawiamy iż wszystkie bractwa i stowarzyszenia artystów, jeżeli nie są urządzone według przepisów i w posłuszeństwie dla Kościoła należy znieść i rozwiązać. — Któż bowiem nie widzi, że stowarzyszenia Schizmatyków burzą kościelny porządek i psują posłuszeństwo względem rzymskiego Kościoła, który jedyny, katolickim jest? Wyznawcy katolickiego obrządku, czy to jako pachołkowie, korzystający z ich pomocy przy kształceniu się w sztuce, czy też jako towarzysze pomagając im w pracy, przebywać muszą w ich domach i tem samem już nie mogą należycie okazywać posłuszeństwa Kościołowi, a mianowicie zachowywać obrzędów, święcić Świąt i spełniać przepisów kościelnych, bo wszystko to jest u Schizmatyków zupełnie odmienne. Mając to na względzie, uznajemy za niegodne by niewolnicy i oporni cieszyli się temi samemi, co wolni swobodami i ulgami, gdyż mogłoby się zdawać, że przez wspólne pożycie i przez zażywanie wspólnej z Katolikami wolności, utwierdza się ich w ich błędzie.

Temi tedy, jakoteż innemi powodowani względami, jakie zawierają przepisy kościelne — polecamy wszem wobec i każdemu z osobna, niniejszem pismem naszem, które ma być ogłoszone w całej naszej Archidyecezji, by wszyscy bądź to Duchownego, bądź też Świeckiego stanu, którzy mają zamiar zamawiać obrazy, lub też jakiekolwiek inne przedmioty, odnoszące się do Pisma Świętego i do katolickich obrzędów pogrzebowych — dawali je malować wyłącznie tylko ludziom katolickiego wyznania i synom posłusznym Świętemu, Rzymskiemu, Apostolskiemu Tronowi. Albowiem wiemy to całkiem pewnie, że dzięki Bogu jest bardzo wiele naszych, którzy w sztuce malarskiej tak się odznaczają, iż pozostawiają Schizmatyków daleko poza sobą, a po wyznaczeniu im nagród za ich prace prześcigać ich będą czem raz bardziej.

Ponieważ nadto Świętemi Kościelnemi Uchwałami ustanowione są pewne normy odpowiadające godności i nabożeństwu, od których przy malowaniu obrazów nie należy odstępować — jakimże tedy sposobem mogą im zadość

uczynić, nieobeznani z nimi Schizmatycy, których pogańskie prace należy naszem zdaniem, choćby z tego już względu wykorzenić z przybytków Pańskich, by położyć kres szerzeniu ich błędów za pomocą obrazów.

Ażeby zaś to nasze zarządzenie było tem usilniej przestrzegane i w mocy utrzymywane i by chytrym sposobem czegokolwiek zeń nie ujęto nadajemy niniejszem pismem naszem i wspólnie z naszą Kapitułą przyznajemy po wieczne czasy Bractwom Malarzy następujące „Godło": Przedewszystkiem pieczęć kapitulną Błogosławionej Dziewicy Maryi z dziecięciem Jezus na rękach w okoleniu promieni słonecznych, następnie insignium ojczystego, naszego Jednorożca, stojącego u Jej stóp; pod Jednorożcem zaś dodajemy Godło Malarzy Katolickich nadane im przez Świętą Cesarską Mość, a mianowicie trzy pola białe w polu czerwonem, tak, jak się je tu widzi w całości namalowane i odciśnięte w laku. Niechaj po obwieszczeniu tego i unaocznieniu pieczęć tę wyciskają na każdym obrazie, ołtarzu, lub nagrobku, żeby tak nam, jakoteż w przyszłości następcom naszym łatwo było poznać, iż obraz jest rękami Katolików namalowany i wypracowany. Podaje się do wiadomości ogółu, że gdyby na jakimkolwiek obrazie, ołtarzu, nagrobku, lub chorągwi, które mają być umieszczane w jakiejkolwiek Świątyni naszej Archidyecezji nie była wyciśnięta ta pieczęć, dana przez nas Towarzystwu Katolickich Malarzy, to rzeczy tej, ani my, ani nasi następcy nie poświęcimy i Bogu nie ofiarujemy, ani też do Kościoła nie przyjmiemy, a nawet polecamy dzieło takie, jako rękami bezbożnych splamione i niegodne z domu bożego usunąć i wyrzucić. A nadto ogłaszamy, że na tych, którzyby inaczej uczynili nakładać będziemy — my, — lub ustanowiony przez nas sędzia, kary kościelne według przepisów kanonicznych. Przekraczający również zarządzenie Św. Król. Mości będą musieli płacić grzywnę dziesięciu Marek szczerego złota, a to połowę na rzecz król. skarbu, drugą zaś część samemu Stowarzyszeniu Katolickich Malarzy; kara ta jest wymieniona w Dyplomie Św. Król. Mości, którym ją nałożono. Wymienione Stowarzyszenie uznali też i zatwierdzili na polecenie Św. Król. Mości świetni konsulowie lwowscy. Wycisnąwszy dla uwierzytelnienia sprawy i przytwierdziwszy naszą pieczęć, podpisaliśmy się też dla niezbitego dowodu własnoręcznie.

Dano we Lwowie dnia 21-go Miesiąca Stycznia Roku Pańskiego 1596-go.
Jan Dymitr Solikowski, Arcybiskup Lwowski w. r.
Jan Tarnowski Arcybiskup Lwowski w. r.
Albert Perlicki Przełożony, Oficyał i Prokurator Lwowskiej Kapituły w. r.
Łukasz z Witkowic Witkowski Dziekan Lwowski w. r.

II. Przywilej Solikowskiego z r. 1596.

„W Imię Boże Amen. Ku wiecznej rzeczy pamięci. My Jan Dymitr Solikowski z łaski Boga i Apostolskiego Tronu, Arcybiskup świętego Metropolitalnego, Lwowskiego Kościoła, wiekuisty Zarządca Opactwa Wąchockiego i Apostolski Superintendant Mołdawii, ogłaszamy i oświadczamy wszystkim razem i każdemu z osobna, kogo to dotyczy, że my szerząc z obowiązku pasterskiego naszego urzędu cześć Boga, jakoteż wedle sił naszych, mając na oku dobro powierzonych nam owieczek, oraz z uwagi

na to, iż także zbożne i przyzwoite malowidła, przedstawiające w świątyniach, naszego Zbawiciela, Błogosławioną Dziewicę Marję, matkę Jego i Świętych Pańskich, wykonane według dawnego zwyczaju św. Katol. Kościoła i według postanowień Św. Przepisów przyczyniają się w wysokim stopniu do prawdziwej pobożności — postanowiliśmy w tej niepośledniej dla bożego Kościoła sprawie zaprowadzić, jako jego pasterz, pewien ład i porządek.

Albowiem wobec wzrostu skrzętności wiernych Chrystusowych około wznoszenia Kościołów i sprawiania do nich świętych obrazów należało z jednej strony zapobiedz prywatnej żądzy, jakichkolwiek ludzi, malowania obrazów wedle swego upodobania, co zdaje się wzrastać w nieskończoność, — z drugiej atoli ustanowić pewien ład i porządek, iżby to, co zarządzono dla ozdoby bożego domu, nie stało się oszpeceniem, co dla zbudowania duchowego nie zrodziło zgorszenia, co zaś ku zbawieniu, by nie otwierało drogi do zepsucia. Zwłaszcza, że przebywają pośród nas Schizmatycy, którzy dotychczas trwają z wielką zuchwałością w swoich błędach i usiłują z krzywdą i zniewagą świętego Kościoła, oraz jego przepisów i przełożonych, zanieczyścić katolickie świątynie swemi malowidłami. Przeto my pragnąc, przez to nasze wystąpienie, zapobiedz wszelkim nieprawidłowościom i zgorszeniom, uznaliśmy za stosowne ku dobremu porządkowi i chlubie powierzonego nam Kościoła — ustanowić, założyć i urządzić w tym Lwim grodzie bractwo sztuki i zawodu malarskiego, — co też w imię Boga ustanawiamy, zakładamy i zarządzamy, o ile się to odnosi do kościelnych malowideł i do katolickich obrzędów pogrzebowych.

Przy tej sposobności korzystamy z pełnomocnistwa Stowarzyszenia Św. Anny, które pozwala nam przygarnąć do chwały bożej, oraz dopuścić do korzystania z jego przywilejów, jakoteż przyjąć doń, także inne pobożne, duchowne stowarzyszenia oraz ich członków i towarzyszy. By następnie zawód ten i bractwo tem lepiej się rozwijało, ustanawiamy, mianujemy i przeznaczamy niniejszem pismem naszem, Szlachetnego i wykształconego męża, Jana Szwankowskiego, Św. Król. Mości uprzywil. malarza — Przełożonym tego bractwa, a jako jego towarzyszy, znakomitych mężów: Jana Gallusa, któregośmy do tego miasta przywieźli, Kaspra Szpanczyka, Jana Rudulta, Józefa Wolfowicza, Jana Ziarnka, Jakóba Lieszczyńskiego i Mikołaja Ružyńskiego wraz z tymi towarzyszami, których to ich bractwo wychowa, wyuczy i zatwierdzi.

Dalej nadajemy wraz z naszą czcigodną Kapitułą temu malarskiemu bractwu Błogosławioną Maryę Dziewicę okoloną słońcem, patronkę naszego Kościoła i Kapituły, trzymającą na rękach dzięcię Jezus, u jej kolan biegnącego Jednorożca, nasz ojczysty klejnot, u dołu zaś trzy tarcze białe w polu czerwonem nadane sztuce malarskiej przez rzymskich Cesarzów, jak je tu namalowane widzieć można.

Wszystkie i tylko te obrazy katolickich świątyń, które będą tym znakiem oznaczone, tak my, jak i nasi następcy, Najprzewielebniejsi Lwowscy Arcybiskupi przyjmiemy do poświęcenia i pobłogosławienia, inne zaś, bez tego znaku, odrzucimy i w katolickich kościołach umieścić nie pozwolimy. Mimo to jednak, tych obrazów, które jeszcze przed nadaniem tego przywileju umieszczono w świątyniach pańskich, nie należy, ani usuwać, ani

też podawać w wątpliwość, chyba, że będą w sobie miały, według naszego sądu, coś bezbożnego i szpetnego.

Pragnęlibyśmy bowiem z całej duszy, aby wszyscy Schizmatycy i wrogowie naszej świętej, katolickiej, rzymskiej religii w tem mieście, Dyecezyi i naszej prowincyi powrócili do prawdy i do jedności z katolickim Kościołem. Jeżeli już nie w ten doskonały sposób łączności, gdzie wszystkie części zgadzają się i odpowiadają znakomicie swej całości, całość zaś swym częściom, to przynajmniej tak, jak to się stało na Soborze Florenckim, kiedy to, uznawszy pochodzenie Ducha świętego od Ojca i Syna uzyskali oni pozwolenie odprawiania nabożeństw i czczenia Boga według własnych obrządków w posłuszeństwie dla najwyższego Pasterza i w jedności z mistycznem ciałem Chrystusa tj.: z Kościołem. To samo zaręczyli rzymskiemu, świętemu Apostolskiemu Tronowi i nasi Władykowie, błagając Boga, by pokochali wraz z nami prawdziwy spokój i przyłączyli się do tej Królowej, matki naszej świętej tj.: do Kościoła otoczonego różnowierstwami, — by byli mu posłuszni, oraz powściągnęli nieco swą pychę, a wtedy my nie tylko pokochalibyśmy ich, jak braci, lecz zgodzilibyśmy się dopuścić ich do udziału we wszystkich naszych przywilejach. Dlatego też będą mogli katoliccy nasi malarze dopuszczać i przyjmować do swego bractwa i stowarzyszenia i takich, którzy w religijnych swych obrzędach zachowywać będą z nami spokój i miłość.

Upominamy tedy świetny Magistrat miejski, jakoteż lwowski urząd grodzki, oraz wszystkie inne urzędy istniejące w całej naszej Archidyecezyi, iżby to nasze pasterskie zarządzenie i przywilej duchownej naszej władzy obwieścili wszystkim, wezwawszy ich przed swe oblicze, którzyby pragnęli mienić się i być malarzami, by następnie nikomu się nie zdawało, że pod pozorem nieświadomości może się użalać i żądać zapłaty za wyrządzone mu szkody, tak jakoby, niczego nieprzeczuwając, przyjął zamówione do katolickich świątyń prace malarskie bez poprzedniej przestrogi.

Gdyby ktokolwiek z wiernych naszej religii usiłował jakiemś nierozważnem przedsięwzięciem zdziałać coś wbrew temu naszemu postanowieniu, lub też ośmielił się malowidła, wykonane przez Schizmatyków, albo też bractwa tego nieuznających, nabywać i umieszczać w świątyniach, ten, jako sprzeciwiający się naszej jurysdykcyi i nieposłuszny syn Kościoła, tem samem popadnie natychmiast w klątwę i poniesie szkodę przez wyrzucenie jego, lekkomyślnie i nierozważnie do świątyni przyniesionych obrazów.

Dla uwierzytelnienia tego wszystkiego podpisaliśmy niniejszy dokument przywileju, ustanowienia, założenia i zarządzenia naszego własnoręcznie i poleciliśmy zaopatrzyć go pieczęcią naszą i przewielebnej naszej Kapituły.

Dano we Lwowie dnia dziesiątego, miesiąca Lipca roku Pańskiego tysięcznego pięćsetnego dziewięćdziesiątego szóstego.

Jan Dymitr Solikowski, Arcybiskup Lwowski własnoręcznie.

Albert Perlicki, Przełożony, Oficyał i prokurator Wielebnej Lwowskiej Kapituły wł. r.

Jan Tarnowski, Arcybiskup Lwowski wł. r.

Łukasz z Witkowic Witkowski, Dziekan Lwowski wł. r.

Walery Alembek, Medycyny Doktor, Prokonsul Św. Król. Mości „Państwa Lwowskiego".

III. Zygmunt III. zatwierdza I przywilej Solikowskiego z $^{21}/_{1}$ 1596 r.

„Zygmunt Trzeci z Bożej łaski Król Polski, wielki Książę Litwy, Rusi. Prus, Mazowsza, Żmudzi, Inflant i t. d. jakoteż dziedziczny Król Szwedów, Gotów i Wandalów oznajmiamy niniejszem pismem naszem wszystkim razem i każdemu z osobna, komu to wiedzieć należy. Przedłożono nam dokument pergaminowy pod tytułem Najprzewielebniejszego w Chrystusie Ojca, pana Jana Dymitra Solikowskiego, Arcybiskupa Lwowskiego i jego czcigodnej Kapituły zaopatrzony ich pieczęciami, nienaruszony, cały i bez śladu jakiegokolwiek podejrzenia, którem to pismem, tenże Najprzewielebniejszy Arcybiskup wraz z swą Przewielebną Kapitułą udzielił Cechowi (Centubernio) Lwowskich Malarzy pewnych przywilejów ku podniesieniu ich stanu oraz ku zachowaniu porządku w swej Archidyecezyi. Proszono też nas w ich własnem imieniu, byśmy uznali za godne dokument ten przyjąć oraz Królewską naszą powagą wzmocnić i zatwierdzić. Treść jego w dosłownem brzmieniu jest następująca:“ (dosłowne powtórzenie przywileju Solikowskiego z dnia 21 stycznia 1596 roku). „My tedy wyżej wymieniony Król Zygmunt Trzeci pragniemy, by przytoczony dokument we wszystkich punktach, klauzulach i artykułach przy zachowaniu szczegółowych i ogólnych warunków był Królewską naszą powagą wzmocniony i zatwierdzony i o ile zezwala na to zasadnicze prawo publiczne zatwierdzamy go wzmacniamy i uznajemy wraz z wymalowaną na oryginale pieczęcią, jakoteż chcemy, by miał on (pełną), należną mu władzę i moc, która ma być usilnie i niewzruszenie zachowana przez wszystkich kogokolwiek to dotyczyć będzie, a to pod wymienioną wyżej grzywną. Dla uwierzytelnienia sprawy podpisaliśmy pismo niniejsze własnoręcznie, oraz rozkazaliśmy wycisnąć Królewską naszą pieczęć. Dano w Warszawie dnia dziesiątego, Miesiąca Stycznia, Roku Pańskiego Tysięcznego Pięćsetnego Dziewięćdziesiątego Siódmego, Panowania naszego w Polsce Dziesiątego, w Szwecyi zaś Trzeciego. Zygmunt Król. M. Sękowski w. r.“

IV. Przywilej konsulów lwowskich z r. 1597.

„Konsulowie miasta Lwowa wszystkim razem i każdemu z osobna, którzy dowiedzieć się pragną, oznajmiamy niniejszem pismem, jak to, jawiąc się osobiście na naszem pełnem posiedzeniu wymienieni poniżej lwowscy malarze miejscy, przedstawili nam uzasadnione powody, które nas pobudziły i nakłoniły do przyzwolenia im tego, czego się słusznie domagali, a mianowicie podniesienia ich sztuki, jakoteż założenia i zatwierdzenia ich stowarzyszenia.

Ponieważ atoli Rzeczypospolitej bardzo na tem zależy, ażeby sztuki wszystkie jak najstaranniej były wykonywane, zwłaszcza te, które służą ku czci bóstwa i religii i są raczej dziełami ducha niż rąk, przeto uważaliśmy to za szczególniejszą naszą troskę, by sztuka malarska w tej Rzeczypospolitej należytym cieszyła się wzrostem i uznaniem. Zdarza się bowiem, iż skoro zejdzie ona na drogę grzechu, tedy wkradają się też błędy w życie ludzkie.

Z tej racyi sztuka malarska — której wytworność podziwiały wszystkie

wieki, która przez swe naśladownictwo natury służy kultom religijnym, a ze względu na swą trudność wykonania zawsze tylko przez najwybitniejsze talenty uprawianą być mogła — do najpierwszych należeć powinna.

Wreszcie przepojona światłem prawdy Jezusa Chrystusa do takiej wzrosła godności, iż czczone przez nas obrazy przedstawiają jako żywe czyny Jezusa Chrystusa i Jego Świętych, tudzież przyczyniają się do podniesienia kultu bóstwa i do uświetnienia blasku Kościoła.

Ale skoro dotąd była ona czemś tak nadzwyczajnem, że istniała w duszy jednego tylko, lub dwu malarzy, nie mieliśmy tedy sposobności uczczenia jej własnym cechem i ujęcia w prawa, teraz zaś, kiedy z dawej nikłości do należytej wzrosła liczby i kiedy powaga Najprzewielebniejszego w Chrystusie Ojca i Pana, Pana Jana Dymitra Solikowskiego z łaski Boga Arcybiskupa Lwowskiego i Pasterza naszego najłaskawszego ujęła się za tem, ażebyśmy lwowskich malarzy katolickich, wedle praw i przywilejów tej Rzeczypospolitej złączyli w stowarzyszenie i bractwo — rozważyliśmy to uczynić. Co też niniejszem pismem naszem, wezwawszy imienia Boga Wszechmocnego, dla okazałości Kościoła katolickiego, tudzież dla ozdoby tej Rzeczypospolitej czynimy; — tworzymy, zakładamy i urządzamy stowarzyszenie Malarzy katolickich, oraz udzielamy im pełnej władzy, jaka jest potrzebna do sztuki tej wykonywania i doprowadzenia jej do doskonałości; żeby zaś tem korzystniej i skuteczniej to spełniali nadajemy im i ustanawiamy niżej wymienione prawa i reguły.

Najpierw tedy wszystkich tych niżej wymienionych, a to Szlachetnego i Sławnego Jana Szwankowskiego, Świętej Król. Mości uprzywilejowanego malarza, Obywatela naszego lwowskiego, następnie Jana Gallusa, Kaspara Szpanczyka, Jana Rudulta, Józefa Wolphowicza, Jana Ziarnkowicza, Jakóba Lieszczyńskiego, Mikołaja Rożyńskiego, którzy spowodowali nas do założenia tego związku, ogłaszamy sprawiedliwymi i prawdziwymi Mistrzami, oraz uznajemy ich za takich razem z tymi towarzyszami, których to ich bractwo wychowa, wyuczy i zatwierdzi. Ci zaś, którzyby zapragnęli być przyjętymi do ich stowarzyszenia, będą obowiązani stosować się do wszystkich niżej przytoczonych artykułów, oraz spełniać wszystkie razem i każde z osobna, zawarte w nich postanowienia, które tak opiewają."

„Gdyby ponadto zaszło coś między nimi, co ma związek z godnością i przepisami sztuki, tudzież ich stowarzyszenia, będą mieć zupełną władzę wzajemnego rozsądzania się w tem i naprowadzania na dobrą drogę; wyroki ich zaś będą miały moc i znaczenie uchwał sądowych. Mimo to jednak nienaruszonem pozostaje prawo odwołania się kogokolwiek z tego towarzystwa do instancyi wyższej i w każdym wypadku nienaruszonym ma pozostać sąd przełożonego, tudzież konsularna nasza władza której też zastrzega się pełne prawo w zatwierdzaniu, lub unieważnianiu wyroków. Co się zaś tyczy zgromadzeń, to zezwalamy im i zgadzamy się, by w miarę konieczności, według zwyczaju przyjętego w innych stowarzyszeniach, karano czyjąkolwiek nieobecność i upór trzema groszami, jeżeli zaś zażąda ktoś przebaczenia za nieobecność, otrzyma je po uiszczeniu jednego grosza.

Ponieważ wszelkie kolegia chlubią się swym arcymistrzem, na którego polecenie odbywają swe zgromadzenia i ponieważ sami, wyżej wymienieni mistrzowie wskazali nam, na podstawie wspólnej uchwały, Szlachetnego,

Jana Szwankowskiego, malarza Świętej Król, Mości, obywatela lwowskiego, jako męża wykształconego, a prócz tego w tych zwłaszcza początkach urządzenia i rozwoju tego bractwa katolickich malarzy, zupełnie odpowiedniego, który przy jego założeniu osobliwszą wykazał działalność, tedy my, poznawszy usilne jego starania w tej sprawie wzmocnienia i tem silniejszego utrwalenia swego bractwa, — ustanawiamy i ogłaszamy z ramienia naszego konsularnego, tegoż samego wyżej nazwanego Jana Szwankowskiego, Przełożonym i kierownikiem owego kolegium na lat siedem, po których upływie, zwyczajem przyjętym w innych kolegiach wolno będzie temu stowarzyszeniu wybrać i ustanowić dwóch braci jako Starszych. Prócz tego, jeśli Przełożony i kierownik takiego kolegium, wspólnie z innymi Mistrzami postanowi coś dobrego ku podniesieniu tego towarzystwa i nam o tem doniesie, tedy my przyrzekamy odpowiednie postanowienia zatwierdzać, przyczem jednak nienaruszonem pozostaje nasze współdziałanie przez dodawanie zastrzeżeń, zmniejszanie, lub rozszerzanie wspomnianych artykułów, co do ich mocy i znaczenia — ilekroć potrzeba, lub konieczność tego wymagać będzie.

W końcu, gdyby ktoś poza tego rodzaju towarzystwem zechciał bądź to wewnątrz, bądź też poza murami miasta, na przedmieściach, na szkodę tej naszej ustawy i porządku sztukę malarską uprawiać, tedy usiłowaniem naszem będzie skarcić go i zmusić do posłuszeństwa, ażeby w kolegia założone na pożytek i wzrost miasta, niedoświadczeni zuchwalcy nie wprowadzali zamętu i by one nie stały się szkodliwemi dla publicznego dobra.

Dla uwierzytelnienia tego wszystkiego i dla wieczystej mocy wyciśnięto na niniejszym dokumencie konsularną naszą pieczęć.

Dano i działo się we Lwowie w ostatnią sobotę przed świętem Św. Agnieszki, Dziewicy i Męczennicy roku pańskiego tysięcznego pięćsetnego dziewięćdziesiątego siódmego.

Andrzej Mądrowic, notaryusz Rzeczyposp. lwowskiej w. r., Walery Alembek Medycyny Doktor, Prokonsul Św. Król. Mości Rzppltej lwowskiej w. r.

V. Zatwierdzenie przywileju konsulów przez Zygmunta III. dnia 10/III 1597 r.

„Zygmunt Trzeci Król Polski, Wielki Książę Litwy, Rusi, Prus, Mazowsza, Żmudzi, Inflant itd. jakoteż Szwedów, Gotów i Wandalów dziedziczny Król. Oznajmiamy niniejszem pismem naszem wszystkim razem i każdemu z osobna kogo to dotyczy. Przedłożono nam ten dokument pod tytułem i pieczęcią Szanownych i Sławetnych Konsulów naszego Państwa lwowskiego, bez jakiegokolwiek śladu wykroczenia i podejrzenia, którym, bractwu malarzy Katolickich w temże samem Państwie naszem lwowskiem założonem nadano pewne artykuły.

Proszono nas też imieniem wyżej wspomnianego bractwa, żebyśmy uznali za godne tenże dokument, oraz wszystkie i poszczególne jego ustępy powagą naszą Królewską zatwierdzić, uznać i wzmocnić zechcieli. Którego to dokumentu dosłowna treść jest następująca:" (Tu następuje dosłowne powtórzenie poprzedniego dokumentu Konsulów z stycznia 1597 r.)

„My zaś Zygmunt, wyżej wymieniony Król, przychylając się łaskawie do wspomnianej prośby postanawiamy, by wyżej przytoczony dokument był we

wszystkich punktach, klauzulach i artykułach powagą naszą Królewską zatwierdzony i wzmocniony, tudzież, o ile prawo na to zezwala, uznajemy go i umacniamy niniejszem, zatwierdzającem pismem naszem, przez co ma zachować moc należytej i wieczystej trwałości. Ku uwierzytelnieniu sprawy pismo to ręką naszą podpisaliśmy i rozkazaliśmy wycisnąć Królewską naszą pieczęć.

Dano na Generalnym, Królewskim Sejmie w Warszawie dnia dziesiątego, Miesiąca Marca, Roku Pańskiego tysięcznego pięćsetnego dziewięćdziesiątego siódmego. Panowania naszego w Polsce roku dziesiątego w Szwecyi zaś trzeciego. Zygmunt Król. Pe: Cieklinski".

VI. Zatwierdz. Zygm. III. z 20/III. 1597 r., 2 przywil. Solikowskiego z 10 VII. 1596 r.

„Zygmunt Trzeci z bożej łaski Król Polski, Wielki Książę Litwy, Rusi, Prus, Mazowsza, Żmudzi, Inflant itd. jakoteż Szwedów, Gotów i Wandalów dziedziczny Król. Oznajmiamy niniejszem pismem naszem wszystkim razem i każdemu z osobna komu to wiedzieć należy, iż przedłożono nam imieniem Lwowskich Malarzy Katolickich dokument pergaminowy, podpisany ręką Najprzewielebniejszego w Chrystusie Ojca, Pana Jana Dymitra Solikowskiego, Arcybiskupa Lwowskiego, zaopatrzony pieczęciami jego i Przewielebnej Kapituły Lwowskiego Kościoła, nienaruszony i niewątpliwie prawdziwy, oraz proszono nas, byśmy raczyli powagą naszą uznać go, wzmocnić i zatwierdzić; dosłowna jego treść jest następująca: (Powtórzenie drugiego całego przywileju Solikowskiego z 10 lipca 1596 r.)

„My więc Zygmunt trzeci wyżej wymieniony Król, do prośby powyższej łaskawie się przychylając, raczyliśmy przytoczony dokument we wszystkich jego punktach, postanowieniach i artykułach zatwierdzić, uznać i przyjąć, co też niniejszem uznajemy, zatwierdzamy i przyjmujemy, oraz chcemy, by jak prawo nakazuje, posiadał moc należnej mu ważności.

Dla uwierzytelnienia sprawy podpisaliśmy niniejszy dokument własnoręcznie i rozkazaliśmy opieczętować go pieczęcią naszego Królestwa. Dano w Warszawie na Sejmie Królestwa dnia dwudziestego miesiąca Marca roku Pańskiego tysięcznego pięćsetnego dziewięćdziesiątego siódmego, zaś Panowania naszego w Polsce roku dziesiątego, a w Szwecyi czwartego. Zygmunt Król w. r. Łukasz Gembicki w. r.

VII. Nuncyusz papieski zatwierdza 2 przywilej Solikowskiego z 10/VII 1596 r.

„GERMANICUS Markiz Malaspina z łaski Boga i Apostolskiego Tronu Biskup St. Severo i Szafarz obu Sygnatur, jakoteż z boskiej opatrzności Najśw. Pana Naszego, Papieża Klemensa Ósmego, oraz z polecenia Św. Tronu obdarzony władzą legata przybocznego, Nuncyusz Najjaśniejszego Zygmunta III-go, Polski i Szwecyi Króla, oraz Królestwa Polskiego. Oznajmiamy niniejszem pismem naszem wszystkim razem i każdemu z osobna, iż Najprzewielebniejszy i Najczcigodniejszy Jan Dymitr Solikowski, Arcybiskup Lwowski, powodowany pragnieniem rozszerzenia kultu Boga i rozbu-

dzenia prawdziwej pobożności w duszach ludzkich, oraz chcąc zapobiedz brzydkim błędom, niektórych zwłaszcza Schizmatyków i Heretyków, którzy starają się swemi mniej niż nieprzyzwoitemi malowidłami katolickie świątynie zanieczyścić, jakoteż pragnąc, by w przyszłości w świątyniach jego Archidyecezyi malowano obrazy, bądź Zbawiciela naszego, bądź też Błogosławionej Dziewicy Maryi oraz wszystkich Świętych Pańskich zbożnie i godnie, przedewszystkiem zaś, podług starego zwyczaju Świętego, Katolickiego Kościoła i według Świętych Przepisów — założył ustanowił i urządził w Rzeczpltej lwowskiej Bractwo sztuki i zawodu malarskiego, jak to z dokumentu tego jasno wynika, a którego dosłowna treść jest następująca:" (tu następuje dosłowne powtórzenie drugiego przywileju Solikowskiego z 10 lipca 1596 r.)

„Nas zaś prosił, byśmy uznali za godne założenie, ustanowienie i urządzenie tegoż bractwa sztuki i zawodu malarskiego powagą Apostolską uznać i zatwierdzić. My zaś wyżej wymieniony Germanikus, — uznając słuszność tego rodzaju prośby oraz pragnąc gorąco, by cześć boska i religijność ludzka była jak najbardziej wywyższona, jakoteż, by świątynie katolickie ozdabiano zbożnemi i godnemi malowidłami — nie uchylamy się od czuwania nad tego rodzaju zawodowemi pracami oraz udzieloną nam na mocy naszego Apostolsk. pisma władzą Apostolską ustanowienie, założenie i urządzenie wymienionego bractwa sztuki i zawodu malarskiego, — uznajemy i zatwierdzamy w tym kierunku, w jak najlepszy sposób, w całości i szczegółach.

Na tem dobitniejsze świadectwo pismo niniejsze podpisaliśmy naszą ręką i zarządziliśmy wyciśnięcie pieczęci. Dano w Warszawie dnia XVIII-go miesiąca Kwietnia Roku Pańskiego 1597. Pontyfikatu Najświętszego wyżej wymienionego Pana Naszego roku siódmego.

Germanikus, Biskup Ś-tego Sewera Nuncyusz Apostolski".

VIII. Zatwierdz. poprzednich dokumentów przez Jana III.

„JAN III, Z ŁASKI BOGA KRÓL POLSKI, Wielki Książę Litwy, Rusi, Prus, Mazowsza, Żmudzi, Kijowa, Wołynia, Podola, Inflant, Smoleńska i Czernichowa. Oznajmiamy niniejszem pismem Naszem wszystkim i każdemu, kogo to dotyczy.

Chociaż podczas szczęśliwej Koronacyi naszej i objęcia królewskiej władzy, za wspólną zgodą wszystkich Stanów i Obrzędów Królestwa, wszystkie i poszczególne prawa i przywileje wszystkich i pojedynczych Obywateli, poddanych mieszkańców, Bractw i Cechów tej sławnej Rzeczypospolitej, przez Boga Naszemu Rządowi oddanych, świętą przysięgą religijną wzmocniliśmy i zatwierdziliśmy — to jednakże przedłożono Nam cztery dokumenty pergaminowe, trzy ręką Najjaśniejszego Zygmunta III, Poprzednika Naszego podpisane i zawieszonemi pieczęciami wzmocnione, dane w Warszawie na Sejmie generalnym, pierwszy: dnia 10-go Miesiąca Stycznia, drugi: 10-go, trzeci zaś 20-go miesiąca Marca Roku Pańskiego 1596, czwarty zaś dosłownie poniżej odpisany, ręką Najjaśniejszego Jana Kazimierza, Poprzednika Naszego podpisany i umocniony pieczęcią Kancelaryi Królewskiej, cały nienaruszony i bez śladu jakiegokolwiek podejrzenia, zawierający Zatwierdzenia Przywilejów, Artykułów, swobód i nadań służących Bractwu

Lwowskich Malarzy, oraz proszono Nas Imieniem Sławetnych: Stefana Jastrzembskiego i Grzegorza Bogusza, Obywateli i teraźniejszych Starszych tegoż Bractwa Malarzy Lwowskich, byśmy dokumenty te, tak co do dat i treści wyszczególnione, jakoteż poniżej dosłownie odpisane uznali za godne zatwierdzenia, wzmocnienia i uznania osobliwszą Naszą łaską i powagą. Treść dokumentów tych, a szczególnie Najjaśniejszego Jana Kazimierza, napisanego po polsku jest następująca:" (następuje dosłowne powtórzenie znanego przywileju Jana Kazimierza z 8 listopada 1662 r.)

„My zaś Jan Król przychylając się łaskawie do wyżej wymienionej, przedstawionej nam prośby wspomnianego Bractwa Malarzy Lwowskich postanowiliśmy, że przytoczony dokument ma być we wszystkich punktach, klauzulach, artykułach i warunkach zatwierdzony, umocniony i uznany. Według tego, jeżeli i o ile nie sprzeciwia się on prawu publicznemu i o ile jest pożyteczny, zatwierdzamy go, umacniamy i uznajemy niniejszem pismem Naszem. Uznając go tak, jak gdyby były w nim zawarte w dosłownem brzmieniu, także ogólne i szczegółowe przywileje, łaskawie udzielone przez Najjaśniejszych Poprzedników Naszych, przyznajemy, że powinien mieć siłę i moc wiekuistej trwałości. Ku uwierzytelnieniu sprawy podpisawszy dokument niniejszy naszą ręką rozkazaliśmy umocnić go pieczęcią Królestwa. Dano we Lwowie dnia 3-go Miesiąca Lutego Roku Pańskiego 1685-go Panowania Naszego Roku 12-go. Jan Król. Zatwierdzenie Przywilejów, służące Bractwu Malarzy Lwowskich. Andrzej Rębowski, Św. Król. Mości Sekretarz".

Przełożył i podał do druku Józef Piotrowski.

Judaeo-Polonica.

Garść zwiędłych kwiatów i zaschłych liści chcę tutaj odświeżyć; kwiaty te niegdyś cudowną wydawały woń, liście swą zielenią bawiły oko widza. Nie wiele poezyi było wśród żydów polskich; kraj między morzem Bałtyckiem a Czarnem nie wydał ni Judy Halevy'ego, ni Salomona Gabirola! Czy niebo polskie nie sprzyjało hebrajskiej harfie? Czy interes tak umysłem i sercem owładnął, że nie zostało miejsca na struny Dawidowej gęśli? Czy może suchy talmud, który się rozpanoszył w domach i szkołach żydowskich, odebrał polskiemu żydowi zupełnie zmysł poetycki?

Nie ma wśród żydów polskich poetów ni hebrajskich, ni polskich, ani nawet żargonowych! Dopiero w najnowszych czasach na nowo zabrzmiała harfa hebrajska! Pogrom w ziemiach białego cara rozplątał struny dawno umilkłe!

Taki też pogrom — tysiąckroć straszniejszy — i w Polsce niepodległej wcisnął śpiewakom harfę w dłoń żebraczą i z tą harfą w ręku śpiewali światu Polski świetność i chwałę nim Chmiel z swą bandą „obrócił tę ziemię w perzynę“ i „moc wielkich miast i wsi rzucił na pastwę ognia i zagłady!“

„Chmiel, oby było wymazane imię jego“ [1]), nie znał litości, a gdy przebiegł Polskę ze swą hordą zniszczył ją tak, „że stała się podobna do Jerozolimy“, a na jej gruzach niby drugi Jeremiasz siadł Abraham ben (syn) Samuel, Aszkenazy zwan i na wzór Trenów Jeremiaszowych tak nad tą śpiewał ziemią:

„Jakżeś samotną Ty ziemio polska i ruska — Ty droga, Ty któraś wielką była swą wiedzą, spadło na Ciebie nieszczęście tak wielkie, że nie było większego od lat bardzo dawnych, od czasu wygnania „nieszczęsnej owieczki“ [2]).

„Pobożni i prawi, którzy prostą szli drogą, padli wśród niej zabici kamieniem lub mieczem, śmierć i wygnanie i cięgi okropne, mnóstwo rodzin

---

[1]) Zwykły dodatek do imienia Chmielnickiego w kronice z lat 1648-9 „Jawan Mezuba“ Natana Hannowera.

[2]) Izraela.

dotknęły i moc żon i dzieci! Dwa narody obrzydłe i nizkie[1]) które wzajem nienawiść k'sobie w sercu niosły od kiedy świat stworzony, złączyły się z sobą, na nieszczęście Twe ziemio suto krwią zroszona...“ [2])

Żale te wywodzi Abraham ben Samuel, a w każdem jego słowie drga ból i rozpacz. Lecz nie jest on sam. Nieszczęście Rpltej obudziło więcej harf. I tak Mojżesz z Narola, który w swej tułaczce oparł się aż o Metz, śpiewa:

Polsko, Ty która byłaś rajem
Pierwszą byłaś dla nauki i wiedzy
Od dni, w których odpadł od Judy Efraim,
Ty któraś słynęła wiedzą umiejętną
Teraz jesteś wygnaną i samotną wdową
Opuszczoną jesteś przez swe własne syny.

Gdzie jest lwów schronisko, gdzie mędrcy nauki?
Gdzie mocarze co łaską szczodrzy są bez miary?
Gdzie pisarze miast polskich i nogi nadzorcy?
Gdzie jest Bóg, który sądzi i krew krwią odpłaca?

Zlituj się nad swym ludem, z rąk nas wybaw zbójców!
Wdziej na się szatę zemsty, za dusze niewinne,
Które jak ofiarne barany porżnięto
Całe gminy zniszczono, jak jednego męża.

Udziel Panie pokoju tym duszom nieszczęsnym
W wiecznem życiu, gdzie ptaki śpiewają niebieskie,
Gdzie owoc palmy kwitnie i woń swą rozsiewa
Tam wysoko u Ciebie na Abarim[3]) szczycie![4])

Inny wygnaniec — Jakób Kopel Margulies — również dłuższą napisał „Elegię na śmierć mędrców Polonii“. Śpiewa on:

Nad nimi ja płaczę
Gorzkie łzy wylewam
Nad duszami prawych i uczciwych mężów
Których krew przelana, jak wody z gór rwące.

Zabici i zarżnięci na ćwierci pocięci
Uczeni i rabini, młodzieńcy i starcy!
Serce męża zdrętwiałe, dusza drży z boleści
Płacze, płacze bez końca, nikt jej nie ukoi.

---

[1]) Kozacy i Tatarzy. W terminologii hebrajszczyzny średniowiecznej zwą się wszyscy wyznawcy kościoła wschodniego: Jonomi t. j. Grekami, Tatarów zaś zwie się nazwą biblijną „namioty Kedaru“; tak zwano w biblii Arabów; tutaj Muzułmanów.

[2]) Gurland: L'korot nagzejrot al Izrael (Do dziejów nieszczęść nad Izraelem). Zeszyt II str. 11.

[3]) Góra na której Mojżesz umarł. V ks. Mojż. cap. XXXII w. 49.

[4]) Gurland l. c. Zeszyt III str. 15—17 zwrotka 11, 18, 22.

Bo głos żalu woła, bólu i złamania
Wór przywdziej żałobny, i posyp popiołem!
Płaczki wezwij nieszczęsny, zwołaj żałobnice!
Biada, biada tu ludziom, jutro już są w grobie.

Dziewice bezczeszczono wśród hańby i wstydu
Na piersiach je wieszano, pomnij ból i grozę!
Stawiano za cel strzale, co niezna litości,
Aż skonały wśród męczarń, Pan je wziął do siebie.

Cóż Ci powiem Polsko i z czem Cię porównam?
Niemasz miejsca u Ciebie, gdzieby przenocować!
Wszystko leży zabite w gruzie i kamieniu,
Ołtarz — duszy wesele — jest również zburzony [1]).

Lecz zostawmy te łzy i płacze, których całość tom wielki by dała i pójdźmy naprzód o półtora wieku.

Od sejmu konwokacyjnego przed elekcyą Stanisława Augusta, rozpoczęto się baczniej przypatrywać sprawie żydowskiej. Już samo rozwiązanie sejmów i sejmików żydowskich (1764) i zniszczenie tej autonomicznej hierarchii niby państwa w państwie, stanowi pierwszy krok do nadania praw żydom. Literatura i prace przed sejmem wielkim drugi krok naprzód oznaczają, a konstytucya trzeciego maja tej drogi częściowem jest zakończeniem.

Uczeni są niezgodni czy konstytucya dotyczyła żydów — ileże sprawa żydowska pod obrady plenum sejmowego nie przyszła — że jednak ówcześni żydzi wielką do niej przywiązywali wagę, świadczy nabożeństwo odprawione w synagodze warszawskiej i w synagogach prowincyonalnych w pierwszą rocznicę konstytucyi t. j. dnia trzeciego maja 1792 r. oraz hymn podczas tego nabożeństwa śpiewany. Hymn ten jest wydany w czterech językach t. j. w hebrajskim, polskim, niemieckim i francuzkim, z których oryginalnym jest hebrajski. Ten bowiem tekst odśpiewano przypuszczalnie w synagogach. Całość hymnu przedrukowano w setną rocznicę konstytucyi, lecz tak pierwszy druk [5552 rok według rachuby synagogi] jakoteż i przedruk [Stryj 1891] są prawie że nie znane.

Tytuł hebrajski brzmi: Szira chadasza, szibehu hajhudim, l'melech gadol chochma u wina, chasid w tow lakol i t. d. [Pieśń nową zaśpiewali żydzi królowi wielkiemu mądrością i rozsądkiem, pobożnemu i dobremu dla wszystkich i t. d.] „Rzecz drukowa w królewskiej stolicy, Warszawie, znanej w bramach, r. 5552".

Tytuł polski: „Hymn przy obchodzie uroczystości, dnia 3 maja 1792 r., na pamiątkę nowej rządowej ustawy na sejmie roku 1791 od najjaśniejszej Rzepltej stanów uchwalony (sic!). Śpiewany w Warszawie i w innych Rzeczypospolitej Miastach od wszystkich Narodu Żydowskiego Zgromadzenia,

---

[1]) ibidem, zeszyt VI str. 83—6 zwrotka 1, 2, 3, 7, 9. — Wszystkie powyższe wiersze są pisane po hebrajsku, językiem biblijnym. Zwroty, a nawet całe zdania są wyjęte z biblii, a często z talmudu. Tłómaczyłem dość niewolniczo tych kilka zwrotek, starając się zachować o ile możności rytm i kolor wschodni. W oryginale są nadto rymowane.

na okazanie ich czułości powszechną radość dzielącej; ofiarowany od Deputowanych Zgromadzenia Żydowskiego Warszaw. W Warszawie w Drukarni Piotra Dufour, Konsyliarza Nadwornego J. K. Mci i Dyrektora Drukarni Korpusu Kadetów (!)".

Dank-Lied am Tage der Feuer (sic!) der von dem Allerdurchlauchtigsten König Stanislaus August und der erlauchten Republique entworfene(!) neue (!) Constitution in das (!) Königreich Polen am dritten may (!) 1792. Gesungen in Warschau und in allen übrigen Städten des Kőnigreich von sämtliche (!) Judenschaft, zur Bezeugung ihrer theilnehmenden Freude und Treue. Gewidmet von denen (!) Deputirten der Jüdischen Gemeinde zu Warschau. Gedruckt bei P. Dafour, Königlicher Hofrath".

„Hymne pour l'anniversaire de la nouvelle constitution decretée par sa majesté le roi Stanislas Auguste et la serenissime republique. Chantée à Varsovie le 3 Mai 1792 et dans toutes les autres Villes du Royaume, par les Communautes des Juifs, qui tous prenant part à la joie, jurent fidelité. Presentée par les Deputes des Communes des Juifs à Varsovie. De l'imprimerie de P. Dufour, Cons. Aul. de Sa Majesté".

Tekst hebrajski jest rytmowany i rymowany. Cały pisany językiem biblii, zawiera mnóstwo frazesów i całych zdań żywcem z biblii wyjętych. Tłómaczenie polskie jest rytmiczne, a niewolnicze trzymanie się tekstu zabija wszelki polot i niszczy naiwną piękność biblii. Tłómaczenia: niemieckie i francuskie jeszcze marniejsze. Tu podajemy tylko tekst polski:

Zniknął smutek ponury, a radość panuje;
Zbawiony Naród słodkiej używa swobody,
Szczęśliwych żadne jarzmo nie tłoczy Polaków.
Tak rzekł Bóg dobrotliwy: „wybrałem Wam Króla,
Wlałem mu dzielną mądrość, w świetle Stanisława
Znajdziesz Narodzie szczęście i zbawienie twoje".

Sława Tobie o Królu! sława dobry Panie:
Ust Twych słodka wymowa porywa umysły.
Jak luba Niebios rosa na spragnioną ziemię,
Tak przekonanie z prawdą z Twych warg w dusze płynie;
Byleś przemówił, wszyscy twego będą zdania.
Znać po cudach, co czynisz, że masz dar języka.

Przeto Sława stousta w Świątyni pamięci,
Wyryła wiekopomne Imię Stanisława,
Króla, którego cnoty uwieńcza Korona,
Lecz chlubniejsza niż złota, tej siła nie wydrze
Tak ludzio-lubny Królu! wiecznych Twych cnót wieniec,
Szczęściem ludu nabyty Twe ozdobi skronie.

Skruszyłeś razem jarzmo hańbiące człowieka,
W wieczór jęczał w niewoli, rano był w swobodzie.
Twoje to wielkie dzieło, Mądry Stanisławie,
Zasadziłeś ustawę, którą świat uwielbia,

Na zacności człowieka, nie na ślepym losie!
Już więcej możno-władny słabego nie zgnębi.

Nie krwią ludzką zbroczony, tej nabyłeś sławy,
Ni na miast rozwalinach Tron Twój umocniłeś;
Na opoce niezłomnej rozumu i prawdy,
Na niezaprzecznym wzniosłeś go prawie człowieka.
Przedwieczne Bóstwa światło! tyś Mu przyświecało,
Tchnąc w usta Jego słowa Niebieskiej mądrości.

Cóż są zwycięstw okrzyki i ich huczne trąby?
Głuszą je nieszczęśliwych jęki i szlochania;
Sierota płacze ojca, czuła żona męża!
Nie tej natury pieśni dziś Naród Ci śpiewa
Czyn głosi, który zrządził szczęśliwość ogólną
Bez ucisku żadnego, więc każdy się cieszy.

Mieszczanin się z radości dla swobód rozpływa,
Wieśniak w słodkiej nadziei pieśń nuci i pląsa,
Syn z ojcem, córa z matką wspólną radość dzielą,
I przychodniów powszechne rozrzewnia wesele.
Bo go nieład niezmierza, ani gwałt nie struje,
Więc wszyscy zgodne czynią radości okrzyki.

O! nader szczęsna Polsko, także's to raptownie
Do celu pomyślności doszła odrodzona!
I bez boleści synów wydała wolności!
Lud ten najoddaleńsze zadziwia narody.
Któż sprawcą, pytają się, tak wielkiego dzieła?
Stanisław, który cnotą panuje Polakom.

Poważni starce, którzy przodkują w Narodzie,
Wyrocznym w obecności ludu rzekną tonem:
Bóg, Ojciec wszystkich ludzi, uwieńczy to dzieło,
Rzekł, niech się stanie światło, a światło się stało,
Rzekł znowu, stań się światło, Stanisław się zjawił,
Co Naród oświeceniem od zguby wybawił.

Jako gwiazd niezliczonych iskrzące orszaki,
Otaczać zwykły księżyc co w nocy przyświeca,
Tak Ciebie Wielki Królu zbiór mądrych otacza,
Cnotliwy Małachowski, wymowny Sapieha,
Światłe Ministry, ważne radą Senatory,
Składają świetne grono z wybiorem Narodu.

Bóg Ci na ziemi rozkosz najsłodszą gotuje.
Oto Ci błogosławią milionowe usta.
Syt wieku poważnego, przy sile i zdrowiu,

Nieznacznie do schronienia zmierzasz Nieśmiertelnych
Z wieńcem, który Ci ludzkość włożyła na skronie,
Ta Cię Królu nagroda, po Twym czeka zgonie.

I my, jak Twemu Berłu słodkiemu poddani,
Przeniknieni radością szczęśliwego ludu,
Pokornie się do Twego przybliżamy Tronu;
Rzuć okiem litościwym na plemię Jakuba,
Tak długo uciśnione; przyjmij Panie luby!
Tę piosnkę na wzór Bóstwa, co niewzgardza śluby.

Panie! coś nam Ojcowską dał uczuć opiekę,
I Twoją nas powagą zasłaniał w ucisku,
Poznajesz swą mądrością naszą smutną dolę,
Słodzić los nieszczęśliwych, jest Twoim żywiołem;
Jako Anioł powszechne uleczyłeś rany,
Ulecz i nasze, Zbawco! Podnieś ród zdeptany.

Byliśmy w ciemnych wiekach, jak proch pod nogami,
Niestety! zapomnieli ludzie, żeśmy ludzie
Ty człeka cenić umiesz, w Tobie ufność kładziem.
Bóg, co Cię światłem natchnął i poświęcił Królem,
Byś nieodzowne jego wykonał wyroki,
Wesprze wszechmocną ręką Twe ludzkości kroki.

Niech cząstkę w tym obszernym posiadamy Państwie,
(Wszakże Pan świata naszym jest powszechnym Ojcem)
Niech, jak inne mieszkańce, los w nim jaki mamy;
A Ojczyznie i Tobie wierność przysięgamy;
Dzwignij nas Twoją łaską, Królu dobrotliwy!
Bądź nam miłościw, jak Ci Bóg jest litościwy.

* * *

Nie przydała się konstytucya, Polskę rozdarto na trzy części! Chciał zapobiedz tej klęsce Tadeusz Kościuszko, lecz próżnym był trud jego i bez skutku praca. A gdy za granicą zamknął powieki Naczelnik, odczuła zgon jego cała Polska i dzwon żałobny bił na smutną nutę na całym obszarze Rzeczypospolitej. Żal dotarł do serc żydowskich i oto dnia 10 grudnia 1817 roku zbiera się cała gmina Wileńska w starej synagodze i tutaj przy kirem obitym ołtarzu odprawia się żałobne nabożeństwo za zmarłego wodza. Kantor z chórem i szesnastu muzykantami odprawił żałobne modły, poczem odśpiewano hebrajską elegię, umyślnie na tę okoliczność napisaną. Elegia ta stylem biblijnym napisana nie przechowała się — o ile się zdaje — w oryginale do naszych czasów. Dosłowne współczesne tłómaczenie dochowane w „Zbiorze mów w różnych miejscach mianych, oraz opisów obchodu żałobnego nabożeństwa po zgonie św. p. Tadeusza Kościuszki", Wilno u Alexandra Żółkiewskiego, w drukarni XX. Pijarów, 1818.

[Przedruk w „Jewrejskiej Starinie“, St. Petersburg, tom I, str. 115—116, wydany przez S. Goldszteina]. Tłómaczenie liche bez rytmu i rymu, niewolniczo idzie za oryginałem, nie uwzględniając zupełnie właściwości biblijnego stylu. Ztąd niezrozumiałości, które sam tłómacz w uwagach chce wyjaśnić. Podajemy niżej całą elegię wraz z uwagami tłómacza:

Przeważny mąż dzielności na wyniosłe wstąpił wyżyny
Przeważnością opasywał Swą dzielność i róg[1]) swój wzniósł nad nami
Głowa domu swych ojców[2]), co był naszą podporą
Miecza swego ręka jego niedobywała gdy gniew ich nas pałał[3])
Włóczni i dzidy nie ciskał w granicach kraju naszego
Potem, jak się utwierdziło bezpieczeństwo jego ze strony zwierzchności naszej ziemi.

Prawość jego aż do niebios, a łaskawość w mężnem ramieniu.
Przemożność, męztwo i heroizm walczyły o granice kraju jego.
Świetnością imienia, sławą swoją wszystką napełnił ziemię,
Wszyscy się sławą jego uweselają od człowieka do robaka.

To też nie w ciemnej pomroce dziedzictwo jego,
Chociaż gdy się zestarzał, do swej się ziemi nie wrócił
Powróć się, powróć do nas i z nami bądź jeszcze
Rozpostrzyj pokój twych skrzydeł, tak jakeś był z nami.

Jak ptaszyna samotna w klatce swej, gdy wyłamuje zaporę drzwiczek,
Tak Tadeusz Kościuszko wstąpił na wyżynę i opuścił dom ojców swoich.
I mieszka u sądu tronu (Bożego), w niebieskiego miasta wysokościach
A wielbieniem jego jest sława imienia i świetna chwała.

Wzbudź duszę twoją i podnieś twe stopy,
A nakrycie piasku odrzuć od siebie
Okryj się sławy obłokami, a przyleć do kraju swych ojców
Wznieś twoje oczy, a przypatrz się wielkości sławy twojej.

Ten upominek miłości i ofiarę pamiątki,
Racz przyjąć, a spojrzyj na wielkie trzodki,
Wspólne ich jest wszędzie względem Ciebie uniesienie się;
A jeżeli za mała nasza ofiara, racz przebaczyć
Ludowi Hebrajczyków, dających wieniec uwielbień.
Przyjmij za przedwieczny owoc przed latem (rodzący się)[4]) tę dani ich ozdobę!

MAJER BALABAN.

---

[1]) Obrona mocna.
[2]) Ojczyzna.
[3]) ich męczyć zdaje się Polaków, nas: Żydów.
[4]) Który jest tem milszy, że wczesny (ranny).



LAMUS

LATO 1910
ZESZYT SIÓDMY
T. II. Z. 3.

TREŚĆ ZESZYTU SIÓDMEGO.

TREŚĆ ZESZYTU PIERWSZEGO.

TREŚĆ ZESZYTU DRUGIEGO:

TREŚĆ ZESZYTU TRZECIEGO:

REDAKTOR: MICHAŁ PAWLIKOWSKI, LWÓW, SENATORSKA L. 4. * WŁASNOŚĆ REDAKCYI.

NAKŁADEM A. ALTENBERGA I J. MORTKOWICZA * SKŁADY GŁÓWNE: ALTENBERG LWÓW. CENTNERSZWER WARSZAWA.

Część pierwsza — Dzisiaj.

Co wieczór...

Za moim celem, który przedemną ucieka
Idę ciągle jak falę ścigająca fala...
Co wieczór się za nowy widnokrąg oddala,
Co wieczór mnie za nowym widnokręgiem czeka. —

Co wieczór nowe ognie na górach zapala
Mój cel, który się toczy przedemną zdaleka —
I co wieczór się w nowe szaty przyobleka —
I co wieczór do drogi woła na mnie zdala. —

I tak mnie myśl za myślą prowadzi skrzydlata
Poprzez góry i ziemie szerokie i morze
Nieprzepalona, wieczna „ciekawość do świata".

Nieskończoność na przesyt skończoności zbroja,
Co dzień się nowe kędyś zapalają zorze,
Niema kresu ma droga i niema myśl moja...

MICHAŁ PAWLIKOWSKI.

Przez niedomknięte drzwi.

Dziwne jest to spojrzenie rzucone poraz pierwszy... Zadrżałam w głębi duszy, a widziałam, że i on był wzburzony.

Jakieś mętne wspomnienie obrazu widzianego we śnie albo zdarzenia w dzieciństwie, którego zarysy zatarły się tak, że niepodobna ich rozeznać. — Stanęliśmy nagle na pograniczu między wizyą a rzeczywistością, między mrokiem a jaskrawością południa... Czujemy jakby chwilowe zawieszenie bytu. Od białych pól przyszedł powiew, a z nim lęk przed niepamięcią.

...Zatarta karta, nie można odczytać słowa. Albo znaki wyryte w kamieniu już niezrozumiałe dla nas. Gdyby jednak karta zatarta była zupełnie, gdyby z kamiennych ruin nie przemawiało nic! — Ale ta połowiczność jest nieznośna!

— Tak — znam go zkądś, wiem jednak, że nie widziałam go nigdy. Wieczorem pytałam Maryę, czy twarz jego wydała się jej znajomą. „Być może,“ odparła po krótkim namyśle, „twarze ludzkie są jednak tak do siebie podobne“.

Jednak nie! — Nie chodzi tu tylko o twarz, lecz o spojrzenie. Spojrzenia nie są do siebie podobne. A to spojrzenie było zupełnie różne od wszystkich. Było w niem zdziwienie i przestrach i pytanie, wreszcie jakby nagle wytryskujący tryumf — i coś więcej jeszcze, coś nieodgadnionego dla mnie. — Wiem, że odczuł to samo co ja, a może jeszcze więcej. Może pamięć jego, silniejsza od mojej rozwiała pierwszą mgłę i ujrzał obraz jasny, wyraźny.

Nie śmiem myśleć. Pierwszy raz stoję wobec takiej zagadki... A może pierwsza stoję?

— — — — — — — — — — — — —

Dlaczego to życie takie dziwne!... A może tylko moje życie? — Maryę bo nie dręczy nic. Spi spokojnie, oddycha miarowo jak cicha fala bijąca o brzeg.

— „Twarze ludzkie są tak do siebie podobne!“ — Jaka ona szczęśliwa! Widzi tylko zewnętrzną stronę rzeczy. Czy mam jej zazdrościć? Mimo wszystko — nie. Jakkolwiek od kilku dni przechodzę takie udręczenie.

Chciałam zrzucić ze siebie choć część ciężaru, próbowałam zwierzyć się przed nią. Posądziła mnie — — o miłość. Roześmiałam się. Przedziwny dar brania życia tak po prostu. Ale niesmak mi potem został. Gorycz i wstręt i żal. Bo jest moją siostrą przecie. Powinna mnie zrozumieć. A jednak — ona tego nigdy zrozumieć nie zdoła. Choćbym całą duszę wygadała przed nią. Nie ma słów, któreby jej to wytłómaczyć mogły. Między mną a nią jakby przepaść. I uwierzy kto — my się kochamy. Jesteśmy jakby dopełnieniem jedna drugiej. Lecz ta miłość nie zdoła zapełnić przepaści.

Miłość, to nie jest wszystko.

Są ludzie, którzy się nienawidzą a przykuci są wzajem łańcuchem duchowym. Inni zaś, jakkolwiek bardzo się kochają, uczuciom ich brak — duszy.

Nie potrafią rozumieć się bez słów, a te same słowa posiadają dla nich odmienną treść.

Bo nie zawsze jedno i to samo słowo wyraża tę samą myśl. — Zależy to od człowieka, który je wypowiada. Dla jednego słowo „ptak“ wyraża kręgowca, wykluwającego się z jaja, opatrzonego parą nóg, skrzydeł, dziobem, pokrytego pierzem. Dla drugiego ptak to symbol swobody, to objawienie, ukazujące się w niezmierzonym błękicie, to groza zwisająca na czarnych skrzydłach pod oponą chmur ołowianych.

A jednak nikt nie mówi, że jedna z tych dwóch treści jest rzeczywistością, druga poezyą. Obie z nich są rzeczywiste, albo obie są kłamliwe.

Zależy wszystko od człowieka, który patrzy i który mówi. — Marya widzi tylko ptaka z mięsa i pierza.

*

Dziś rozmawiały obie z mamą o mnie i o nim. — Nie słyszałam ani słowa z tej rozmowy, a jednak wiem napewno.

O, jak ja je znam. Mogłabym powtórzyć dokładnie każde wypowiedziane słowo. Otoczono nas nierozerwalną siecią uwagi i opieki. Śmieszne! — Jakby można zakazać oczom mówić do siebie. A czyż nie mówią one więcej od ust? Zresztą on nie mówił dotychczas wprost do mnie. Nie szukał mego towarzystwa. Słowa jego szły — jak

rzucane w przestrzeń rakiety. Wszystkie jednak powracały wreszcie do mnie i spadały mi do nóg jak deszcz mieniących się pereł. Czułam, że dla mnie były przeznaczone.

Nie mogłam dotychczas nanizać ich na sznurek. Widzę, że są piękne, ale gdy mówi, uwaga moja jest tak rozprószona. Nie mogę zebrać myśli. Uderza moje uszy tylko dźwięk jego głosu i szczególniejsza tego głosu barwa. — Nie wiem, — ale nie umiem tego dźwięku inaczej określić, tylko, że jest on — — niemateryalny.

Co za słowo! Wzdrygnęłam się, jakbym ujrzała przed sobą nagle niezmierzoną głębię i jakby owiał mnie chłód podziemnej pieczary.

Marya powiedziałaby, że stanowczo jestem przesadna. Może ona ma słuszność? O gdyby ona miała słuszność! Gdyby życie rzeczywiście było takiem, jakiem się wydaje. — Gdyby za tą banalną powłoką naprawdę nie kryło się nic! Co za ulga! Nie... Ja się nie boję nicości. Ona pozwala nie czuć i nie myśleć.

— — — — — — — — — — — — —

Stanowczo jestem przesadna i dzieło moich nerwów biorę za rzeczywistość. Gdyby ten człowiek sobie pojechał, może odzyskałabym równowagę. Lecz czyby to co pomogło? Nie wiem. Zdaje mi się, że tu już nic nie mogłoby pomódz. Stało się. Przeznaczenie zawisło nad nami. Szarpiemy się daremnie. Szarpiemy się w mroku i niepewności. Walczymy z czemś nieznanem i okropnem. — Gdyby choć otaczała nas jasność. Gdybyśmy mogli widzieć i znać niebezpieczeństwo, które nam grozi. Ale tak... Mgła niepamięci zaciera każdy rys, który się wyłania, a nie zdoła zatrzeć zupełnie obrazu.

Jednak kiedyś to się skończyć musi! Dlaczego więc mam troszczyć się jak się skończy. Czyż to nie obojętne?!

*

Dziś poraz pierwszy przemówił do mnie wprost. Wyjątkowo byliśmy sami. Myślałam, że nagle ziemia rozstępuje się przedemną. Przytem patrzył na mnie swym zagadkowym, badającym wzrokiem. Nie wiem, com mu odpowiedziała i czym mu wogóle cośkolwiek odpowiedziała. Zdaje mi się, że uciekłam jak szalona. A teraz siedzę tu bez tchu.

Gdyby to Marya wiedziała. Wysnułaby swoją teoryę miłosnomałżeńską. O Boże, Boże, a jednak trzeba mieć rozsądek. Bo jeżeli on ma duszę taką jak Marya — co sobie teraz myśli. Tak — ale jeżeli

on ma tylko duszę Maryi — czyż wówczas i tak nie jest wszystko jedno, co on myśli?

Jestem bardzo znużona.

*

Sądzę, że chyba nie zdziwił się nadto moim wczorajszym postępkiem, ponieważ jest dzisiaj taki jak zwyczajnie: twarz zgaszona, wzrok mętny. Albo może zachowanie się moje nie było tak dziwaczne, jak mi się wydawało? Może odpowiedziałam mu rozsądnie? I wszystko odbyło się w porządku i zgodzie z kodeksem światowym? — Zazwyczaj staram się nie patrzeć na niego, aby nie spotkać się z jego wzrokiem. Dziś nie mogłam zapanować nad ciekawością. Wybrałam chwilę, kiedy wydawał mi się zajęty żywą rozmową z kim innym. Ale natychmiast się odwrócił. Spojrzenia nasze skrzyżowały się. W oczach jego zamigotały błyskawice, poczem rozlała się po nich błękitna ciemność. Usta poruszały się z lekka jakby wymawiały jakiś wyraz a cała twarz skurczyła się spazmem nerwowym. — Czułam że blednę i wszystko przesłania mi się mrokiem.

*

Ocknęłam się u siebie w pokoju. Nademną pochyliła się Marya.

„Dziecko, co ty wyrabiasz?“ Szeptała stropiona.

Chwyciłam ją za szyję i przywarłam do niej.

Ach, to była rzeczywistość, codzienna słodka rzeczywistość....

Drżałam. Marya ułożyła mnie wygodnie na poduszkach, oparła moją głowę na swem miękkiem ramieniu.

„Śpij dziecino, śpij“ — szeptała, głaszcząc mnie po włosach, — „wszystko będzie dobrze“.

I uśmiechała się. —

Odgadłam jej myśl. Ale nie wydała mi się już śmieszną. Całą mnie bowiem pochłaniało pytanie: „Co on wie i co to jest?“

*

Wie w każdym razie więcej odemnie. U niego nie jestto mętne poczucie, ale jasna świadomość faktu. Ta myśl przepełnia mnie szalonym lękiem.

Stoję u wrót tajemnicy. Odemnie tylko zależy przekroczyć je. Któż ze śmiertelnych może to uczynić? Nikt prócz mnie.

Jeżeli była we mnie kiedyś odrobina pychy, to obecnie zgłuszył ją strach. Nie ma dla mnie jutra dziecinnej uciechy i młodocianego

szczęścia. Jutro może mnie zastać zdruzgotaną najstraszniejszą świadomością rozwiązanej zagadki. Drżę przed jutrem.

O ja jedna wiem, jakim darem niebios jest nieświadomość.

*

Siedzę całemi godzinami zatopiona w myślach. Staram się wywołać z mroku ów tajemniczy obraz, ujaskrawić sobie przeszłość zapomnianą. Chwilami wydaje mi się, że już się przedemną odsłania, ale po chwili nowa fala mgły przeciąga i przesłania moje widzenie.

Mogłabym zapytać jego, ale nie śmiem. — Słowa nie przeszłyby mi przez usta. Zadławiłyby głos i mnie. Myślę, że skonałabym prędzej. Sądzę jednak, że on domyśla się tego, co się ze mną dzieje. Mam nawet to uczucie, że mnie przenika zupełnie, że niema dla niego we mnie najskrytszej myśli. — Od ostatniego spojrzenia nie patrzę na niego.

Widzę go jednak ciągle. Usta jego drżą niekiedy, jakby jakaś prośba na nich zawisła. Wzrok jego spoczywa na mnie często. Tak — to jest błaganie. Cała dusza jego czołga się przedemną. Ale czego ten człowiek chce odemnie? Przecież chyba nie tego o czem myśli Marya? To byłoby nadto potworne.

*

Coś zaszło! — Usposobienie mamy i Maryi zmieniło się zasadniczo. — Uśmiechają się na mój widok dobrotliwie, dla niego zaś są wprost wylane. Pozostawiają nas często samych, przyczem patrzą na nas znacząco. — On zdaje się tego nie spostrzegać i nie korzysta ze sposobności aby zbliżyć się do mnie. Węzeł jednak zadzierżga się koło mnie, sieć mnie okrąża.

Ta obojętność jest tylko manewrem. — Może wypływa z litości nademną? — Chce oszczędzić mi przerażenia? Ale dziś, czy jutro wypełnić się wszystko musi. Nieodwołalne fatum czyni mnie odważniejszą. Mam odwagę skazanego na śmierć.

Dziś znowu spojrzałam mu w oczy. Wzrok jego łasił się jak bity pies. Pokora kata wobec ofiary.

*

A więc ta potworność dopełniła się przecież. Nie mogę zrozumieć dlaczego on, — właśnie on zapragnął się ze mną żenić! — Przecież wiemy oboje, że rozdziela nas — nie przepaść, ale ocean, nieskończoność nieprzebrana. Ja ją przeczuwam, on ją zna. A mimo to pragnie mnie. Więc ciało ma taką przewagę nad duszą, że można zapomnieć

o wieczności dla jednej ziemskiej chwili? A może to właśnie potrzebne jest do spełnienia się naszego przeznaczenia?

Coraz nowe zagadki piętrzą się przed moją udręczoną duszą. — Wiem tylko jedno, że jego pragnieniu nie może się stać zadość nigdy — nigdy — nigdy...

Choćby...

. . . .

Nagły lęk przechodzący wszystko znane ścisnął mnie za gardło. — Uczułam, że włosy podnoszą mi się na głowie.

W stalowem oświetleniu księżycowej nocy ujrzałam cień człowieka. Szedł wolnym krokiem nad brzegiem wielkiej wody. — Nie widziałam jego twarzy. Byłam pewna jednak, że go znam, że między mną a nim jest łączność nieprzerwana, że myśli nasze przenikają się wzajem. I jakkolwiek ruchy jego były spokojne, wiedziałam, że za chwilę...

Ach to przerażenie przerywane od wieków...

...Za chwilę skoczy w tę ciemną głąb.

Wyciągnęłam ku niemu ręce z prośbą, aby mi wybaczył, aby nie gubił nas obojga. Głos mój nie dochodził go. Ruchy jego stawały się coraz automatyczniejsze. Jakby już nie jego wola ale jakaś inna wola kierowała temi ruchami.... Wreszcie...

— — — — — — — — — — — — —

Mój własny rozdzierający krzyk doprowadził mnie do przytomności. Siedziałam w moim pokoju z rękami przesłaniającemi oczy. Okna moje były szczelnie zasłonięte. Ani jeden promyk światła nie dochodził zzewnątrz. Rzuciłam się do okna, zdarłam zasłonę.

Dziedziniec zalany mdłem światłem pierwszego brzasku leżał przedemną.

Cisza, spokój i ukojenie.

Odetchnęłam głęboko.

Ale ciężar uciskał duszę. To co widziałam nie było wizyą wzburzonych nerwów. Nie. Byłam tego pewną. Przedemną rozciągał się odłam życia. Może fata morgana dalekich krajobrazów przeszłości...

Mimo moich dwudziestu lat czułam się tak starą. Nieznaną przeszłość dźwigałam na moich barkach. Nie mogłam strącić jej w odmęt niepamięci. Jakaś wielka wina nie pozwoliła zaprzeć za sobą wrót ani rozewrzeć ich szeroko.

Stoją niedomknięte... Nie mogę dojrzeć przez nie olśniewającej prawdy ani zapomnieć tego, co miało pozostać dla mnie zakrytem.

— — — — — — — — — — — — —

Stara indyjska baśń stała się prawdą.

*

Jeszcze nie dostrzegam jasno, ale widzę, że mgła rzednie.

Nie odpowiedziałam dotychczas na jego pytanie, ale dziś odpowiem.

*

Więc znalazłam wreszcie odwagę. Mówiłam z nim. Dziś jednak o tem pisać nie mogę. — Prosiłam go aby żył.

*

Prośba moja zaskoczyła go. Nie spodziewał się jej. Nie przeczuwał, że go tak przenikam. Po jego bladości śmiertelnej poznałam, że to był on, że jestem ofiarą winy, popełnionej na nim niegdyś.

I on ma zupełną świadomość przeszłości. Ślepa namiętność jego przetrwała śmierć. Nie może zrozumieć, że dla nas teraz tembardziej niema wspólnego życia. — Każdy pocałunek byłby tylko wspomnieniem przedśmiertnej trwogi, winy i grobu. Przechodzilibyśmy każdej chwili przez wrota odgraniczające życie od śmierci. Rozkładalibyśmy się za życia. Nigdy. Jakaś bezmierna siła żywotna pokonywuje w nim nawet ową przerażającą świadomość. Siła ta z niebytu dźwignęła go napowrót do życia. I pomyśleć, że siłą tą jest miłość dla mnie, pociąg do samicy, owo najsilniejsze prawo grawitacyi.

O jakże ja już jestem stara! We mnie owa świadomość wypaliła wszelkie pragnienie.

Tylko obawa przed białemi polami, po których błąkają się samotne dusze samobójców, wytrąca mi broń z ręki. A może i to poczucie, że muszę mojem beznadziejnem życiem odpokutować dawną winę i nie dopuścić aby on jeszcze raz...

Czy to wszystko jednak wstrzyma mnie.

Moja wola tak słabnie.

*

A jednak żyć niepodobna.

Nietylko on, ale i mama i Marya nalegali na mnie. Czułam się tak bezsilną, że przyzwoliłam wreszcie. I teraz on jest już moim narzeczonym.

Czuję jego wzrok ślizgający się po mnie, zatrzymujący się na moich ustach. I nie mogę mu tego zabronić. Przecież ma prawo do mnie. Jestem już jego. Czy można wyobrazić sobie coś okropniejszego. Czy rzeczywi-

ście moja wina była tak wielką, że muszę obecnie płacić za nią tak straszną pokutą. I niema duszy w całym wszechświecie, którаby zrozumiała moje udręczenie. Nawet Bóg odwrócił się odemnie.

*

Próbowałam raz jeszcze przemówić do jego sumienia. Przedstawiałam mu całą potworność naszego związku. Błagałam go na jego miłość do mnie, aby się mnie wyrzekł. A dusze nasze żyć będą kiedyś po tamtej stronie w jedności i harmonii...

Ale on nie chciał. Zginął niegdyś jak potępieniec i jako potępieniec przechodzi znowu przez życie. Nie stracił pamięci i tą pamięcią wiedziony szukał mnie ciągle. I obiecał mi, że jeżeli odejdę od niego, będzie szukał mnie znowu choćby przez wieczność całą, póki mnie wreszcie nie znajdzie i nie posiędzie.

Powiedziałam mu, że jest szatanem.

„Nie ja", odparł „ale miłość".

„Miłość jest znikomością".

Uśmiechnął się.

„Znikomość ta stworzyła świat".

„Miłość bez duszy jest zbrodnią".

„Więc nie odzieraj jej z duszy".

Umilkłam, tylko bezsilnie załamałam ręce. Moja lekkomyślna igraszka złamała mu niegdyś życie, a jego samobójstwo łamie dziś moje.

Nie ma dla mnie wyjścia. Nie mogę żyć ani umrzeć.

*

Ślub nasz z każdą chwilą bliższy. Liczę każdą minutę, którą zegar odmierza. Zdaje mi się, że słyszę jak spadają i rozbijają się w nieskończoności. Czy ja niemam już obłędu? Widzę przecież i słyszę to, co nie jest udziałem zwykłych śmiertelników.

Dotychczas liczyłam dni, potem godziny, a teraz liczę minuty.

Potem zacznę liczyć sekundy.

Aż ostatnia sekunda rozciągnie się — rozciągnie.

Jak ta lama złota w długą nić...

Jak daleko rozciągnie się ta sekunda?

Czy ona nie może rozciągnąć się w nieskończoność?

Kto mi może zabronić!?

Mówiłam, że wola moja słabnie. Teraz jednak zanikła zupełnie.

Co może mnie wstrzymać? Obawa?!

Czyż to wszystko, co mnie tam spotka, może się choć w części równać z tem, co mnie tu czeka? Lecz wiem, — póki się nie dokona nademną cała groza wyroku, póki nie odpokutuję winy — póty budzić się będę aż się wypełni. Wiedzieć jednak — a iść świadomie w odmęt brudnej fali i czuć jak ciało tonie w grzęzawisku, jak błoto dochodzi piersi — wciska się do ust — przesłania oczy...

Czas jednak kroczy.

Słuchajcie — moja sekunda zbliża się już.

Słyszę szelest jej trupich chodów. Jeszcze nie jest tu, — przyczaja się, — staje, — nabiera tchu. Ale ja ją znam, — posuwa się nieustannie naprzód.

Oto siedzę sama w mojej białej, całunowej sukni na krawędzi łóżka.

Jeszcze chwila.

Jak długą może być chwila?

Patrzcie, na moim małym panieńskim zegarku wskazówka trzepie się — jak w przedśmiertnem drganiu.

Jak niezmiernie długą jest ta ostatnia...

Tak — ta ostatnia.

Stanęła...

Słyszę wyraźnie kroki na schodach. To on.

Nie — po stokroć nie!

Choćbyśmy się mieli gonić przez wieki.

Choćby przez wrota bolu narodzin i śmierci przyszło przechodzić aż do końca świata. Nigdy.

Oto sekunda wydłuża się w nieskończoność. Jestem już poza granicami czasu i przestrzeni. Niema już ani czasu ani przestrzeni. Niema ani winy, — ani kary. Tylko moje przeźroczyste, długie palce poruszają się jeszcze po białej karcie. Ale już i ich nie widzę, nie widzę nic.

ZOFIA RYLSKA.

Z poezyi.

POCHWAŁA ŻYCIA.

Wstałem dziś bardzo rano,
Gdy ptaki gwarzą o świcie,
Aby, nim głosy z nizin wstaną,
Pochwalić życie...

To bowiem szczęściem darzy,
Co nam o szczęściu śpiewa —
I wtedy tylko drogi skarb,
Gdy się go dusza spodziewa.

Zapłonione błękity,
Przez mrok złocące się struny,
Niebem zajęte gór szczyty —
Dzwonią na cudny dzień!

Różowy pobrzask wstaje,
W złote rozpala się łuny —
A Tatr zostrzone kraje,
Jak miecze, pełne lśnień!

Rozkwitła zorza ranna,
Ogniem spłonęły niebiosy —
Dusza śpiewa: hosanna!
Raduje się jak ptak —

Z ziemi, darzonej złotem,
Zachwytne budzą się głosy —
Rajskim ptasząt świergotem
Dzwoni różany krzak —

Blask coraz bielszy wschodzi
Na zorze, złotem siejące —
Aże na lśniącej, płomienistej łodzi
Wypływa Słońce...

UMARŁY MOJE PIEŚNI.

Umarły moje pieśni,
Umarły przed wiekami —
Połknął je czas, jak woda,
Wieki pokryły je mgłami.

I oto, kiedy słońcu
Hymny radosne poczynam,
Coś mi ze stepów czasu gra —
Coś sobie przypominam...

Oj zadzwoniłbym srebrem dzwonu,
Jako ptaszkowie leśni,
Lecz już nie mogę zbaczyć tonu —
Umarły moje pieśni.

ŁĄKI I KWIATY MOJE.

Popiołem powiał czas na łąki moje.
Już nie grają w słońcu tak radośnie,
Już nie zakwitają tak o wiośnie —
Łąki moje...

Przymrozem spalił czas kwiaty moje.
Przymrozem spalił młode pąki,
Popiołem z kwiatów mych powiał na łąki — —
Łąki i kwiaty moje...

JESION.

Opalił mróz
Konary moje młode —
Zwiał liście wichr
I rzucił je na wodę —

Powiała wiosna ma
Na drogi gdzieś tułacze — —

Na wichrze jesion trwa
I konarami płacze.

NA GROBIE MOICH WIAR.

Na grobie moich wiar kwiaty rosną —
Dziwne kwiaty trujące;
Trują się na nich myśli me, jak pszczoły wiosną,
Obcy miód ssące.

DROGA.

Smutna ta moja droga
Przez pustkę wśród zamieci —
Jeno to jedno światełko
Na nieboskłonie mi świeci...

Jakże długo już idę!
Jakiże kres daleki!
Zda się duszy znużonej,
Że brnie już tak przez wieki...

Spotkana ongi rozkosz
Gdzieś się w tym trudzie podziała —
A tylko nędza przy mnie trwa,
Nędza duszy i ciała...

Zaczynam wątpić sercem,
Żem widział kiedy słońce —
Tak się pogrąża dusza
W te mroki czerniejące...

Innąm ja drogę śnił
W swoich dziecięcych planach —:
Że będę jako tancerz szedł
Po słonecznych polanach —

Że będę jako młody bóg
W zawiei kwiatów się tarzał
I że naprzeciw wszelkich trwóg
Sam drogę swoją będę stwarzał...

I oto tarzam się, ach,
W tej mrace, w tej zawiei —
Jedno to światło tam,
Ta iskierka nadziei...

To jedno światło tam,
Tem jednem w drodze się krzepię —.

A jeśli to ułuda mgły,
Jeśli to wilcze ślepie? — —

NAJCUDOWNIEJSZE Z MOICH MARZEŃ...

Najcudowniejsze z moich marzeń
Ni najść, ni ująć mi się daje —
Odbicie w mgle pragnionych zdarzeń,
W bajkowe unoszonych kraje — —

Próżno wyciągam tęskne dłonie
Po to dalekie, moje, mgliste —
Równie w przestrzeni zimnej tonie,
Jak to, co rzeczywiste.

ZADUMANEMU NAD WIECZNOŚCIĄ...

Zadumanemu nad wieczności mrokiem,
Pochylonemu nad otchłanią czarną,
Cóż ci się z życia wyda dość głębokiem,
Jaka roztocz nie marną?

Próżne twym oczom głębnym pokuszenie —
Igraszka barw na roztoczonej wstędze —
Zechcesz-li czytać swoje przeznaczenie
W tej małoważnej księdze?

Jak kamień leci myśl twoja w bezedna —
Ciśnięta raz, przez wieczność całą spada —
Czemuż więc trwoży się próżno myśl biedna,
Iż dno nie odpowiada?...

OTWÓRZ SIĘ MOJA MOGIŁO...

Otwórz się, moja mogiło,
Pochłoń serce struchlałe — —
Pełni radosnej życia ono biło,
Jak dzwon, na chwałę...

W pustce, w odludziu głuchem,
Gdzie cisza drży przelękiem,
Ono jedyne było żywym ruchem,
Ogniem i dźwiękiem...

Słuchiwał przechodzień-wiatr
Płomiennych jego zwierzeń —
Odbijały się od ściany Tatr
Echa uderzeń...

Zżarła je pustka swą siłą,
Rozbiła je o skałę — —
Ach, kiedyś radości życia ono biło,
Jak dzwon, na chwałę...

* * *

WŁADYSŁAW ORKAN.

Rokoko.

Roku Pańskiego tysiąc siedemset i coś niecoś ponad sześćdziesiąt. Na śty. Wacław — po wsze czasy wiernopoddańcze miasto Dubrowice, — jedno z najbardziej zaspanych tego sławetnego królestwa — przeżywało wzruszenie wcale niepowszedniej miary. Imć pan Syndyk sposobił mianowicie wielkie wieczorne przyjęcie ku czci swojego patrona, która to rokrocznie obchodzona feta stanowiła ważny wypadek w miejscowych kronikach, usuwany w cień jedynie przez wtóry, jeszcze ważniejszy: przybycie na dubrowicki zamek księżnej pani Antoniny Eleonory Lodenic.

W dzień solenizacyi imć pana Syndyka i na balu u księżnej goszczącej zazwyczaj łaskawie nietylko najwyższych przedstawicieli swoich urzędów, ale i kwiat dubrowickiego obywatelstwa, można się było przekonać dowodnie kto miał prawo nosić głowę wysoko a kto tego prawa niemiał. Tu, mój kochany, niemogło być mowy o żadnych wątpliwościach. Dla pośledniejszych istot były te dwa przyjęcia wskazówką, cały boży rok obowiązującą, aby przed wyszczególnionymi czołobitnie uchylać kapelusza.

A teraz oto—mój ty miły Boże!—sam pan Syndyk obrócił wszystko, jak kota do góry ogonem. Czyżby kto był dał wiarę? Zgadlibyście kogo dziś do siebie zaprosił na śty. Wacław? Kto się pojawi pośród dostojnych gości? Oto Floryan Sloupenski. Niewiadomo wam co on zacz? — Bardzo wierzę — tembardziej, że prawdopodobnie i sam pan Floryan niewiele ma o tem wiadomości. Ja jednak zdradzić wam mogę coś niecoś:

Oto ni mniej ni więcej tylko taki sobie muzykus. Jego ojciec? Wędrowny dławiduda. Matka? Któżby dziś doszedł? Nic o niej wprawdzie złego nie mówią, ale rodem z Dubrowic nie była, cóż tedy można wiedzieć o jej przeszłości? Zostawmy jednak w pokoju rodziców — oboje już w grobie — mówmy raczej o samym panu Floryanie.

Na flecie wyuczył go grać ojciec i tenże flet, prawdę rzekłszy, instrument poność kosztowny i osobliwszy, stanowił całe dziedzictwo młodego. Z czasem znalazł się Floryan w Pradze, potem bywał kędyś światami na obczyźnie i tam, jak powiadają, pomimo wczesnego swego wieku stał się ponoś sławny. Pan Syndyk zaznajomił się z nim podczas ostatniej bytności w Pradze, bo tu, co każdy chyba zrozumie, niełatwo by się kto do niego przyznać zechciał. I jak myślicie? Gdzie się z imć panem Syndykiem spotkali? W najzamożniejszym patrycyuszowskim domu na Starem Mieście, pośród świetnego grona gości, z których każdy rozmawiał z młodym, pięknym flecistą, jak z równym sobie. Ale w Pradze moda wiadomo na podobne nowinki — i tak się tam już niejedno bujno pleni, przed czem oby nas Bóg wszechmogący uchować raczył — tu wszelako, tu na tym samym dubrowickim bruku, gdzie każdemu stary Sloupenski, jak żyw jeszcze stoi w pamięci, po gospodach grający — nie, nie!

I niejedna czcigodna obywatelka, tuż przed samym wieczorem onego pamiętnego dnia, kładła napowrót swoje pozłociste brokaty, pomiędzy suche listki róż w pięknie wykładaną szafę — z tem postanowieniem, by tym razem wyjątkowo do imć pana Syndyka na imieniny nie iść.

A przecie gdy wieczór nadszedł, niebrakło nikogo z zaproszonych gości. I cud nad cudy! Ledwie się pan Floryan na salonach pojawił w lot zjednać sobie potrafił całe towarzystwo. Właściwie — aby nie skłamać — tylko połowę tego towarzystwa, jednakowoż tę piękniejszą i lepszą — bo połowę niewieścią. Mężczyźni okazali się bardziej zatwardziali i mieli nawet przyczynę, byli mianowicie zazdrośni.

I to miałby być zwykły grajek? Nosił się przecie jak hrabicz, przemawiał jak książę! Nie wyglądał bynajmniej uhonorowany gdy sam pan Syndyk raczył z nim rozmawiać jak z najszanowniejszym pośród obywateli (wyszczególnienie wręcz niesłychane!), podczas gdy niektórzy panowie szeptali między sobą, że panu Floryanowi patrzyłoby się miejsce raczej za drzwiami. Ale nawet i w tych szeregach podrażnionych malkontentów zniknęli przeciwnicy, gdy pan Syndyk po wieczerzy zdołał uprosić swego gościa, aby dał usłyszeć nieco ze swej sztuki czcigodnemu zgromadzeniu, tej łaski bożej, którą go nieba w tak wysokim stopniu obdarzyć raczyły.

Floryan zagrał najpierw na klawikordzie i całe towarzystwo oniemiało. Potem śpiewał, aż damom rozpływały się serca. Nakoniec zagrał na swoim sławnym hebanowym flecie, okutym w srebro a wówczas z ócz niewieścich a nawet wielu mężkich spłynęły słodkie łzy.

Pan Syndyk przycisnął go do piersi, zaś pani Syndykowa obniosła

na srebrnej tacy wino reńskie w przejrzystych jasnozielonych kieliszkach, aby każdy mógł niem przepić do artysty. Wszyscy zebrani pili też zdrowie młodego muzyka, garnąc się ku niemu, obsypując go pochwałami, słuchali chciwie jego opowiadań o Medyolanie, Florencyi i Rzymie, miejscach gdzie studya odbywał i gdzie z prawdziwem nabożeństwem sztukę swą udoskonalał. Każdy spieszył mu teraz wyrazić bez ogródki swój szczery zachwyt, każdy z wyjątkiem jednego jedynego.

Pan Błażej Pistorius, obywatel dubrowicki, aptekarz i stary kawaler, był i pozostał nadal zdecydowanym przeciwnikiem „grajka". Niewiele brakowało mu do pełnych sześćdziesięciu wiosen, on jednak chciał uchodzić za pięćdziesięciolatka najwyżej, a że znał wiele skutecznych gotowalnianych zabiegów, udawało mu się przy pomocy zręcznego krawca narzucać to swoje życzenie światu. Towarzyskie znaczenie owego jegomościa w mieście, jego spory majątek, składały się na stanowisko niezwykle świetne, którego blask sprawiał, że zapominano o niejednem co było nieznośnem w jego osobie i zachowaniu, o śmiesznem zarozumieniu i pustce duszy. Słowem, pomimo niechęci jaką w każdym musiał obudzić, osoba jego wielce była poszukiwaną i niemało psutą w towarzystwie.

Nie brakło wszakże śmiałków, którzy, niedość odważni by napaść nań inaczej, szydzili przynajmniej do syta z jego ambicyi kawalerskich. To zaś bolało go najbardziej. Zazwyczaj stawał w takich chwilach przed lustrem, mierząc się bacznemi oczyma od pudrowanych puklów aż do srebrnych sprzążek na safianowych trzewikach, stroszył brukselskie koronki żabota — i bębniąc ubrylantowanymi palcami w pokrywkę złotej tabakiery, mawiał:

— Tylko chcieć, moi kochani, tylko chcieć — a zobaczylibyście ileby się jeszcze dziewcząt znalazło!

Poczem biorąc z gracyą markiza szczyptę tabaki, powtarzał swoje pyszałkowate:

— Tylko chcieć!... I wierzył temu głęboko sam — a interesowani pochlebnisie mieli miny jakby i oni wierzyli również.

Nic tedy dziwnego, że dzisiejszego wieczora, widząc jak wszyscy prześcigają się w podziwie dla młodego muzyka i jego fletu, jak wszyscy łowią chciwemi uszyma wyłącznie tylko jego słowa — z wielką i jawną pana Pistoriusową krzywdą, uczuł srogą nienawiść, nietylko ku zuchwałemu przybyszowi, ale ku wszystkim, którzy się urokowi tamtego tak od razu poddali. Skorzystawszy więc z przypadkowej chwili ciszy, która nagle jakoś zapanowała w bawialni, począł się na cały głos niespodzianie żegnać z panem Syndykiem, czyniąc to

w sposób wysoce ubliżający obecnym. Napomknął też dobitnie o nudach i bolu głowy, który rzekomo po słuchaniu bezwartościowych muzycznych popisów zwykł go był trapić.

Przez bawialnię przemknął dreszcz przerażenia. Zamilkli wszyscy. Burza nadciągała coraz bliżej.

Gospodyni domu chcąc przytomnością umysłu zapobiedz przykrości wrażenia, ozwała się ignorując dobrotliwie nietakt swego gościa:

— Nie, nie, niedamy się podejść! — mówiła z uśmiechem. Nas pan Pistorius w pole nie wywiedzie! My się już znamy na takim bolu głowy. Jakieś słodkie spotkanie nagli pana pewno... Niemoże inaczej być. Wiadomo przecie jak wielkie szczęście sprzyja panu Błażejowi w kochaniu. Ale nic z tego tym razem. Nie puścimy pana. Niech tam nieboga usycha z rozpaczy! I pani Syndykowa szła ku niemu z kieliszkiem perlącego wina.

Wszyscy obecni mieli na ustach ironiczne uśmiechy — wszelako pan Pistorius niezauważył ich bynajmniej. Zerknął tylko w pobliskie zwierciadło i miłość własna zaślepiła go jak zawsze.

— Skoro pan Aptekarz takie ma szczęście w serdecznych sprawach — ozwał się naraz śmiały głos jakowegoś szydercy — to jakże się to dzieje, że zachował do dzisiaj swoją wolność kawalerską? Czy ma może gust zbyt wybredny, czy wybór innych go ominął?

Pana Pistoriusa porwała pasya. Ostra napaść wymagała równie ciętej odpowiedzi.

— Gdybym tylko zechciał — rzekł podnosząc dumnie głowę — tobym dziesięć dziewcząt dostał, może jeszcze dzisiaj!

— Niechno nam pan tego tak często nie powtarza — zauważył gniewnie jeden z obecnych, który przy najlżejszem zaprószeniu czuba wpadał zaraz w najgorszy humor. Sam pan zresztą wiesz najlepiej, że to nieprawda. Gdyby tak ów paniczyk z fletem coś podobnego chciał twierdzić, miałoby to ostatecznie jaki taki sens. Ale pan, pan! Proszę ja pana!

Ze wszystkich kątów salonu dał się słyszeć śmiech, raz głośny, raz cichszy, w miarę tłumiącego go wysiłku, tylko ten jeden żółtodziób muzykant, ten nicpotem, niezadawał sobie najmniejszego trudu by ukryć swą radość. Śmiał się na cały głos, poglądając w koło niewinnemi oczyma, jak dziecko. Pan Pistorius byłby mu z ochotą kark ukręcił. Pohamował się jednak.

— A gdybym tak potrafił dowieść jednak wszystkim? — syknął wzburzony.

— Niechno pan tylko dowiedzie! — rzucił ze złością ów kwa-

skowaty jegomość, którego pani Syndykowa daremnie starała się ugłaskać.

— A zatem zgoda! O zakład, że do dwu miesięcy najpóźniej ożenię się i to z młodą, piękną dziewczyną, może nawet najpiękniejszą i najmłodszą w całem mieście!

— Zgoda! zgoda! Zakład stoi! — zabrzmiało w okół niego jednogłośnym chórem.

Pan Pistorius struchlał.

Czegoż on to najlepszego nie nawarzył w pasyi?! Ale nie pora już było się cofać.

— Tak jest. Zakład stoi! — powtórzył pozierając ciekawie kto się też jako przeciwnik zgłosi. Tymczasem jedni drugim zaglądali w oczy i nie odzywał się nikt. Pan Błażej tryumfalnym wzrokiem powiódł po pokoju.

— Aha! teraz się państwo cofacie?! — wycedził z obelżywie dumnym uśmieszkiem. Był poprostu pijany pychą i winem. Lekceważące jego spojrzenie padło na grupę dam siedzących w pobliżu pana Floryana.

— Każdy wie dobrze z góry, że przegra. Któraż bo panna nie tęskni do ślubnego wianka? I któraż zresztą zdoła się oprzeć mojemu złotu, choćby jej nawet moja persona nie dogadzała?

Tego wszakże było już nadto... Przebrała się miara cierpliwości dobrodusznej, mało na ogół wrażliwej, dubrowickiej elity. Uczynił się zgiełk oburzenia: — to rodzice obecnych panien podnieśli gwarny protest dotknięci do żywego. Zaś pan Floryan przejęty wstrętem i gniewem, cały w rumieńcach, zawołał głosem, który się rozległ jak grzmot:

— To jest bezwstydne coś pan powiedział!

— Czemuż się pan tedy nie założy? — spytał lekceważąco pan Pistorius.

— Założę się! — rzucił bez namysłu pan Floryan.

— Stoi! — odparł prędko pan Pistorius. Oto moja srebrna tabakiera. Napełnię ją całą dukatami i dokładam jeszcze ten kosztowny pierścień z rubinem. A pan?

Młodzieniec milczał zakłopotany. Damom patrzącym na niego w tej chwili łzy zakręciły się w oczach i również z zakłopotania, poruszać zaczęły szybko wachlarzami. Nagle pośród ciszy woniejącej powiewami wachlarzy, zabrzmiał głos pana Floryana słodki i drżący, jak melodya wzruszającej pieśni, — tak przynajmniej panie później utrzymywały. —

— Nie posiadam dukatów ani rubinów...

— Ale masz pan swój flet! — zaśmiał się brzydko pan Pistorius, nie

dając mu skończyć poczętego zdania. Nie będzie on znów tak całkiem bez wartości?

— Mój flet! — wykrzyknął z lękiem młodzieniec, przyciskając instrument do serca, jakgdyby bronić go chciał przed dotknięciem okrutnika. Zaraz jednak opanował się i rzekł z uśmiechem: — Niechże będzie mój flet! — pobladł jednak nieco przy tych słowach. — Zgoda tedy mój panie — dorzucił jeszcze — dziewczę wszakże musi być młodziutkie, niewinne, bezinteresowne i piękne — tak piękne, żebym ja nawet, pański przeciwnik, zmuszony był to przyznać.

— Czyżbym się ożenił z inną? — odparł zarozumiale pan Pistorius. Jutro składam moje fanty na ręce pana Syndyka — pan niech uczyni to samo.

— To niepodobna — odrzekł pan Floryan. Jadę jutro do Pragi. Mam tam wziąć udział w koncercie na zamku Jaśnie Wielmożnego pana Kasztelana.

— To znowu inna sprawa — mruknął, hamując się cokolwiek, pan Pistorius. Wzmianka o hrabi Kasztelanie zaimponowała mu. Jedźże tedy do Pragi ze swoim fletem! A na mój ślub nie omieszkam pana zaprosić. Zagrasz nam pan podczas uczty weselnej a potem wydasz mi przegraną.

Pan Pistorius ukłonił się zlekka towarzystwu i wyszedł.

— Mój flet! — westchnął cicho młody człowiek i coś jakby łza zakręciło mu się pod powieką.

— Przecież go pan nie postrada! — ozwał się głos niewieści tuż przy nim. Podniósł wzrok i ujrzał przed sobą okrągłe, dobroduszne oblicze pani Skarbnikowej.

— Tak pani sądzi?! — pytał wzruszony wlepiając w nią wejrzenie pełne wdzięczności.

— Ależ jestem najpewniejsza! Któżby takie straszydło chciał?!

I śmiała się aż jej oczy od łez zwilgotniały. Po chwili podjęła znowu:

— Czemu to nas pan nieodwiedził? Będąc tu znowu po tylu latach godziło się. A może pan już całkiem o nas zapomniał?

— Jakżeby to było możliwe? — zawołał młodzieniec — taka pani zawsze była dla mnie dobra! Ilem się pysznych owoców od pani nadostawał, kiedym, jako biedna chłopaczyna jeszcze, błądził koło waszego sadu jak Adam wygnany z raju. I te drogie dziecięta! Co porabia Krzychna? Co się dzieje z Dorotką?

Całe morze dziecinnych wspomnień otwarło się w jego duszy.

— Dorka powraca za parę tygodni z klasztoru. O, z tej już duża

dziewczyna! Za najbliższą bytnością niech nas pan odwiedzi koniecznie.

I pani Skarbnikowa powstała gotując się do odejścia.

Goście rozeszli się — a nazajutrz, gdy pan Floryan jechał do Pragi, grać na swoim flecie Jaśnie Wielmożnemu Kasztelanowi, w całem mieście Dubrowicach niemówiono o niczem jak tylko o jego zakładzie z panem Błażejem.

II.

Czternaście dni minęło zaledwie od zajścia w domu pana Syndyka kiedy już o niem powoli zaczęto zapominać. Od czasu do czasu zagadnęła tylko jedna kumoszka drugą: Jakże tam będzie z tym zakładem? A tamta odpowiadała: Bardzom ciekawa! — i zaczynały rozmawiać o czem innem. Jednakże pan Błażej Pistorius nie zapomniał. Szło mu przedewszystkiem o to, żeby wygrać, skąpstwo przytem walczyło w nim z miłością własną, nie dając mu spokoju. Zaczęło mu się rysować w wyobraźni jakieś młode, uroczo śliczne stworzenie, widział je błądzące jak ożywczy promień słońca po pokojach jego domu, który wielki był, posępny i nudny i czuł jak w nim zakrzepłe serce topnieć poczyna. Naprzód też jęła go radować myśl o zazdrości z jaką inni na jego młode szczęście poglądać będą. I pan Pistorius podnosił się wówczas ze swego wygodnego fotelu by się przejść parę razy tam i napowrót po pokoju, bo ilekrotnie puścił wodze podobnie pięknym marzeniom, przykry zawrót głowy zwykł mącić ich wyrazistość.

W samej rzeczy zaczął tedy rozważać, do których teraz drzwi zapukaćby mu należało. U państwa Doktorowstwa była córka — ale cóż, kiedy nieładna. Pan Rejent miał siostrę — ale ta znów nie była młoda. Kramarzówna szepleniła, burmistrzanka Rozalia była cokolwiek głupawa. O którejkolwiek pomyślał, każda miała jakieś „ale“, żadna nie zasługiwała na godność władczyni jego domu i serca.

Mieszkała też w Dubrowicach pewna zubożała szlachcianka, która posiadała młode i piękne córki. Jej tarcza herbowa kosztowała pana Pistoriusa kilka bezsennych nocy. Wynalazł sobie na poczekaniu jakiś pretekst i wybrał się z wizytą do pani baronowej. Po paru chwilach rozmowy pokierował w ten sposób jej sens, że baronowa bez żadnego trudu domyśleć się mogła do czego jej gość zmierza, choć tego nawet wyraźnie powiedzieć nie zdążył. Z bijącem sercem czekał na jej pierwsze słowo. Niestety daremnie. Pani baronowa podniosła się, milcząc, zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, wreszcie wybuchnęła głośnym śmiechem i wyszła z pokoju.

Pan Błażej nie wiedział zgoła jak się wydostał z pod tego dachu i jak napowrót do apteki trafił. Prawie, że odchorował tę całą historyę i przez pierwsze czasy bał się pokazać na ulicy w mniemaniu, że go ludzie palcami gotowi wytykać. Wszelako pani baronowa, niewiadomo, z dumy czy wspaniałomyślności, przemilczała o wszystkiem, salwując tym sposobem całkowicie pana Pistoriusową powagę. Jednakże od czasu owej sprawy ogarnęła go niejaka mankolia i miał chwilami wrażenie, że w końcu przecie może przegrać. Rzadko kiedy pokazywał się teraz na mieście i gdy obecność jego nie była konieczną w aptece, przesiadywał przeważnie w dużym swoim ogrodzie za domem.

Jesień tego roku niezwykle była ciepła i słoneczna a ogród pełen złotego czaru. Przytykał do niego wielki park księżnej Antoniny Eleonory Lodenic. Tyle, że ogród pana Błażeja położony był nieco niżej od parku i w małym jego stawku na łączce, na której z rzadka rosło jeszcze trochę jesiennych kwiatów, zwierciedlił się odbity śliczny taras księżnej z purpurowemi i złotemi koronami starych jesionów, odcinających się przepysznie od jasnego błękitu nieba. W głębi otwierała się szeroka aleja lip stuletnich, której linie we wodzie powtórzone, zdawały się przedłużać w nieskończoność.

Niewiadomo o ile pan Błażej zdolnym był ocenić piękno obrazu malującego się tak uroczo na cichej, szklannej powierzchni, dość, że ilekroć myśl jego rozważała o daremnych zakusach ożenku, oczy szły zawsze w stronę prześlicznej owej złudy. Nie mógł chyba przypuszczać, że z wody wychyli się ku niemu oblubienica? Ale, cóż wy na to, że jednak tak się stało?!

Było to w niedzielę, po sumie, pan Błażej siedział nad sadzawką i patrzył sennie we wodę. Widział w niej słońcem oblane, książęce jesiony i pełną cienia lipową aleję. Nie mógł nie przyznać, że widok ten był bardzo piękny. Naraz wydało mu się, że z ziemi, której w odbiciu wodnem widać nie było, ku koronom drzew wzleciał anioł i z szybkością błyskawicy sfrunął napowrót i zniknął. Po niedługiej chwili zjawisko powtórzyło się, jasna postać wzleciała znowu w powietrze, biała jak śnieg, jaśniejąca promiennem złotem włosów i znikła, aby za moment pojawić się znowu. Pan Błażej patrzył z uśmiechem na to dziwo, które zaledwie przez pierwsze mgnienie oka mogło mu się wydać zagadkowem. Wiedział dobrze co znaczy ów wzlot anielski i powtarzające się znikanie. W parku księżnej, na huśtawce uwiązanej między drzewami, bujała się młoda, śliczna dziewczyna.

— Czyżby to był kto z orszaku księżnej pani, przybyły razem z nią?— zagadnął sam siebie, goniąc bacznemi oczyma, widną w spokojnej

wodzie dziewczęcą postać, obramioną szczerem złotem jesionów rozgorzałych w południowem słońcu.

— Nie, to nie może być ani księżniczka, ani żadna hrabianka — mówił sam do siebie, przyglądając się uważnie ubogiej niemal, wełnianej sukience i białej, krzyżującej się na piersiach chusteczce bez koronek. No tak, ale cóż to za jedna?

— Ach — zawołał wreszcie po chwili — wszakże to Dorka od Skarbnikowstwa!

I przypomniał sobie gadaninę starej swej gospodyni Judyty, która opowiadała mu przed paru dniami o powrocie siostrzenicy pani Skarbnikowej z klasztoru w Kuttenbergu, gdzie przebyła kilka lat, dla wychowania i nauki niemieckiego języka.

— Dorotka! — powtórzył jeszcze raz pan Błażej. Bez żadnej wątpliwości ona...

Stary sad przy domu książęcego skarbnika sięgał aż po baszty napółrozwalonych miejskich wałów, przytykając drugą swą połową do parku, który był dostępny li tylko dworskiej służbie. Z wyjątkiem pana Skarbnika i jego rodziny nikt nie mógłby się tam dostać, zamek bowiem, nie licząc starego zarządcy, jego żony i odźwiernego, stał obecnie zupełną pustką.

— Dorotka! — upewniał się pan Błażej już po raz trzeci i oblicze jego zabarwił lekki rumieniec.

— A gdybym tak, gdybym tak... — wymówił z cicha i umilkł. Jakaż bo ona śliczna! — dorzucił po chwili znowu. Poczem podniósł się i ruszył szybko ku domowi, wołając już z daleka starej Judyty. Bez tchu wypadła z kuchni.

— Obiad w tej chwili będzie gotów... — zaręczała uspokajająco.

— Głupstwo obiad! — rzucił pan Błażej. Nie to mi teraz w głowie. Prędko, mój tabaczkowy, atłasowy surdut! Całe paradne ubranie! Tylko raz dwa!

Zdumiona gospodyni bez jednego słowa wypełniła co żywo pańskie zlecenie. Pomogła mu się ubrać, uczesać i naperfumować i gdy pan Błażej stanął wreszcie w pełnej gali, gotów przed zwierciadłem, podziwiając się w niem zakochanemi oczyma, dzieliła całem sercem jego podziw.

— Jak jabłuszko! — szepnęła od progu za wychodzącym. Kroczył ulicą mieniący się w słońcu niby paw, prosto ku domostwu, w którem mieszkał Skarbnik Jej książęcej mości imć pan Łukasz Bobesz. Przechodnie poglądali za idącym olśnieni wprost jego blaskiem, odurzeni słodyczą różanej woni, która snuła się za nim jak powiew z kwietnych

ogrodów Persyi. Każdy spojrzawszy nań domyśleć się musiał odrazu, że tak wygląda człowiek, który na coś wielkiego się waży. To też pani Skarbnikowa aż się go przelękła, taką poważną i uroczystą miał minę.

Stała właśnie w kuchni, strofując ostro służącą, ponieważ dziewczyna rzekomo niedość pilnie mięszała powidło we wielkim miedzianym kotle. W ten moment wszakże chwilowa srogość jej oblicza ustąpiła zwykłej dobroduszności. Przywitała się pięknie z panem Błażejem i powiodła go do paradnej bawialni. Po małej pauzie, która zapanowała po obrzędowej wymianie wzajemnych pytań o zdrowie, odezwał się pan Pistorius w te solenne i spokojnie wypowiedziane słowa:

— Moja kochana pani Skarbnikowo! Udaję się do pani, aby ją prosić o rękę panny Dorotki!

Pomimo że było tak bardzo proste, kazała sobie pani Skarbnikowa trzy razy powtórzyć to samo, zanim zrozumiała. W głowie mi się ćmi, mówiła, niemogąc na razie nic więcej ze siebie wydobyć jak tylko: Ależ to przecie dziecko, jeszcze zupełne dziecko!...

A gdy ona powtarzała wciąż to samo w kółko, pan Błażej wtajemniczać ją zaczął w swoje stosunki. Wiedziała, jak zresztą w mieście każdy, że aptekarz był więcej niż majętny, ale żeby posiadał aż takie bogactwa nie byłaby przypuściła. To też pani Skarbnikowa otworzyła oczy i uszy, ba nawet odrobinę i usta. Jak osoba bliska omdlenia ocierała chusteczką zroszone czoło. Miała sama sześcioro dziatwy i niemałą o nie troskę. Dorotkę, dziecko nieboszczki siostry, biedną sierotę, wychowała jak siódme, własne. Kochała je też prawie równie mocno jak swoje rodzone. Toć miało zaledwie trzy latka, gdy je w dom przygarnęła. Formalnie przyrosło jej do serca.

Pani Skarbnikowa rozpłakała się. Pan Błażej prawie że obrażony powstał.

— Czy może oświadczyny moje nie odpowiadają pani? — zapytał ostro.

— Ach, jakże pan może przypuszczać coś podobnego? — usiłowała ratować się szybko, ale bardzo niepewnym głosem, pani Skarbnikowa. Ale, ale...

— Jakie „ale?“ — zawołał pan Błażej.

— Ale — mojego męża niema w domu! — wymawiała się pani Bobeszowa.

— Prosta rzecz, że pani musi z nim pomówić — przyznał pan Błażej — wiem wprawdzie, że tak się stanie jak pani sobie życzy, ale dajmy na to, że trzeba aby się pani poradziła. Niema się racyi wypierać, całemu miastu przecie wiadomo, czyja tu głowa rządzi.

Pani Skarbnikowa milczała. Pogłaskało ją to i rozgniewało równocześnie. Pan Aptekarz dobył tymczasem swój emaliowany zegarek, kształtu cebuli, pięknie wysadzany perłami.

— Zostawiam państwu sześć pełnych godzin do namysłu — powiedział. To chyba wystarczy? Upraszam też naturalnie, aby przed czasem nikomu o tem słowem nie wspominać.

— Niechże i tak będzie! — odparła z głębokim dygiem pani Bobeszowa. On skłonił się również bardzo dwornie i wyszedł.

Zostawszy samą w pokoju biedna kobiecina wybuchnęła ponownym płaczem. Przecie ona ma dopiero czternaście lat — żaliła się w głos i dla takiego starego grata miałaby poświęcić swobodę i młodość?

I przypomniało jej się, jak go na przyjęciu u pana Syndyka sama nazwała straszydłem, dowodząc, że żadna takiego nie zechce.

— A teraz miałabym mu dać naszą złotą Dorkę? — mówiła potrząsając głową. Ona miałaby paść ofiarą zakładu? A na dobitek ten miły, zachwycający Floryan miałby nałożyć za to wszystko swoim pięknym fletem? — zrobiła ruch przeczący ręką.

Nagle zamyśliła się. Biedna uboga Dorka! — poczęła znów po chwili. Coprawda partyę zrobiłaby świetną. Boże, jak świetną! O ty mój dobry Boże! Takie szczęście już się jej drugi raz w życiu nie trafi. Tyle pieniędzy! Hej, hej... Znowu się zadumała. Ostatecznie to nie jest zły człowiek. Byłby jej ani chybi drugim ojcem. Na widok tego dziecka musiałoby w nim topnieć serce.

Puściła teraz swobodnie wodze swej wyobraźni. Ujrzała Dorę wszechwładną panią wielkiego, paradnego domu, widziała jak pan Błażej, „jej drugi ojciec“ na rękach ją nosi, aż do chwili, gdy go Bóg miłosierny, po jakichśtam paru latach, powołać raczy do siebie, widziała potem Dorkę wychodzącą zamąż powtórnie, już wedle wyboru serca tym razem. Żyje sobie oto jak w niebie i szczodrą dłonią stara się wynagrodzić ciotce i jej dzieciom dawniej od nich doznaną pieczołowitość. I pani Skarbnikowa wykrzyknęła na cały głos:

— Dzięki ci, dzięki Dorotko, złoto ty nasze!

Nie zapomniała i o Floryanie. Temu powinna Dorka na weselu wyprosić przegrany flet, koniecznie...

Wszystko było już tedy mniej więcej w porządku.

Gdy po niedługim czasie pan Skarbnik do domu wrócił, żona oznajmiła mu krótko i węzłowato, że się zdecydowała wydać Dorkę zamąż. Opierał się wprawdzie gdy nazwała oblubieńca, ale jak zwykle w końcu, tak i tym razem, ustąpił. Pani Skarbnikowa powróciła do kuchni; przypomniała sobie powidło. Przyda się wkrótce do ciastek dla całego

miasta. To dopiero będzie festyn! Dziewczyna męszała teraz powidło ku zupełnemu zadowoleniu pani. A gdy już i ta troska była usuniętą, przyszło jej nareszcie na myśl, że należałoby pogadać także z panną młodą.

Zajrzała za Dorką do sadu, ale dopiero jej śmiech, dźwięczący wśród koron złotych jesionów w parku, między któremi bujała się huśtawka, naprowadził panią ciotkę na właściwy trop. Na widok dziewczątka ścisnęło ją coś za serce. Dwie starsze córeczki pani Skarbnikowej o dwa i trzy lata młodsze od Dorotki, huśtały wesoło swą cioteczną siostrzyczkę. Śmiech i nawoływania Dorki: — Wyżej dzieci, jeszcze wyżej! — niosły się przez ogród, dźwięcznie i słodko, jak śpiew wiwilgi. Migała tak w jesiennem, kryształowo przejrzystem powietrzu, swobodna, niewiedząca o niczem, świeża jak pąk różany, — a jasne jej włosy połyskiwały w słońcu, złocistsze od liści szumiących jesionów, które padały na nią z wysoka ciche i śliczne. I znowu oczy pani Bobeszowej zamgliły się na chwilę. W lot wszakże opanowała się.

— Niemądre stworzenie — skarciła się w duchu — wszakże to tylko dla jej dobra! — szepnęła podchodząc bliżej.

— Dzieci do domu! — krzyknęła na małe. — Krzysiu, Paulinko, ciastka już gotowe! Idźcie jeść!

Dziewczynki z hałasem puściły się ku domowi, zaś Dorka na huśtawce nagle osamotniona, bujała się coraz wolniej i wolniej.

— Słuchaj Dorko, poczekaj-no — podjęła ze spokojem pani Bobeszowa — podczas gdy ostatnie chyboty huśtawki ustawały powoli. Cały dzień się tak kołyszesz?

— Ale zkądże ciociu — odparła dziewczyna — huśtamy się na przemiany z małemi, każda po trochę — i trzymając oburącz sznury, utkwiła w piasku spiczaste noski malutkich pantofelków.

— Powiem ci, że dosyć by już było tych zabaw. Piętnaście lat niedługo skończysz. Dziś rano przyszło mi nawet na myśl, czyby ci nie kazać uszyć świątecznej sukni z powłoką.

Dorotka spuściła oczy. Dosyć już tych zabaw?

— Ciociu — westchnęła — byłam dziś z panią ochmistrzynią na książęcych pokojach w zamku. Proszę zgadnąć com tam widziała! Lalkę! Księżnej pani wnuczka bawi się nią zawsze ile razy tu jest. Wie ciocia, ma na sobie suknię z świecącego jedwabiu, jak ją pocisnąć to rusza oczami i ma prawdziwe włosy!

Pani Bobeszowa udała, że nie słyszy. Możliwe, że suknia o której dla ciebie myślę będzie także ze świecącego jedwabiu. Tak ci się podoba błyszczący jedwab?

Dorotka poróżowiała z uciechy, puściła sznury huśtawki, zapomniała o zabawkach.

— Naprawdę? — zawołała. Z jedwabiu? I z ogonem?! Czyż to dla mnie uchodzi?

— Czemużby nie? — odparła ciotka stając się wymowną. Tybyś już przecie mogła zamąż iść. Małoż to dziewcząt w twoim wieku prowadzą do ołtarza? Twoja babka naprzykład. Świeć Panie nad jej duszą! Niemiała piętnastu lat skończonych gdy ją wydawano. Brakowało jej szesnaście dni. I patrzajże jak się to dziwnie powtarza. I tobie zdarzył się równie osobliwszy traf. Kubek w kubek jak z nieboszczką babunią. Pomyśl tylko duszko, oświadczył się o ciebie kawaler, który cię pragnie poślubić. I jeszcze jaki! Wszystkie panny w mieście będą ci zazdrościły. Możesz mieć jedwabne suknie i aksamitne, wbród jakich tylko zechcesz i ile zamarzysz, pod dostatkiem wszystkiego, we wszystkich kolorach i paradzie...

Nagle umilkła. Tknęło ją sumienie, że popełnia coś złego. Poczęła czerwienić się i drżeć. Zaś twarzyczka Dorotki mieniła się również, ale jedynie pod wpływem klasztornych wspomnień: upokorzeń, jakie tam nieraz, sama uboga, od bogatych koleżanek znosić musiała. A teraz tamte miałyby jej zazdrościć! Na tę myśl śmiech ją brał. Pozatem była spokojna.

Tymczasem pani Bobeszowa uciszała zaniepokojone sumienie, powtarzając sobie na rozum:

— Wszystko co się dzieje, dzieje się li tylko dla dobra dziecka! I pogładziwszy Dorkę po złotych włosach zapytała ją szeptem:

— Cóż kochanie moje, zgadzasz się?

— Skoro ciocia tak każe — rzekła ze swobodną prostotą. Wtem buzia dziewczątka nieco się zasępiła.

— Ciociu, a jak ja będę taką panią z ogonem i wachlarzem, to już mi się nie będzie wolno bawić lalkami?

Wobec tej wątpliwości poszły w kąt wszystkie pióra, koronki i aksamity.

— Dlaczegożby niemiało być wolno, głuptasku, skoro cię to cieszy? zaśmiała się ze ściśniętem sercem ciotka.

Wówczas Dorka skoczyła na równe nogi z huśtawki i rzucając się na szyję pani Skarbnikowej, wołała wesoło:

— Jeżeli ciocia każe...

Dnia onego nie było, prawdę powiedziawszy, wielkiej pociechy przy obiedzie u Skarbnikowstwa. Nikt, oprócz dzieci i służby, nie był dziś w stanie jeść ze zwykłym apetytem.

O umówionej godzinie zjawił się pan Pistorius. Z samego wyrazu twarzy pani Bobeszowej wyczytać mógł odrazu, że wszystko w porządku. Powtórzyła mu najszczegółowiej swoją rozmowę z Dorotką, napomknąwszy również o lalce. Rad był słyszeć, że jego przyszła tak nieskażona jeszcze przez świat, tak niewinna i tak dla niego uchowana, niby pączek róży rosnącej w ogródku. Następnie przyprowadziła do bawialni Dorkę. Nie była zakłopotana nic a nic, nie odzywała się wprawdzie, chyba na zapytanie, ale zato uśmiech nie schodził wcale z jej buzi. Sam oblubieniec i myśl o zamążpójściu rozśmieszały ją tak bardzo! Gdy jednak pan Błażej powiedział, że jeszcze dziś wieczór zamówi dla niej taką samą lalkę jak tamta na zamku, zaczerwieniła się z radości i podziękowała mu gorąco.

Pan Pistorius był w siódmem niebie. Prosił wszakże aby jego zaręczyny pozostały na razie tajemnicą.

Po paru dniach przybyła z Pragi zamówiona lalka, prawdziwe arcydzieło norymberskiego kunsztu. Umiała ruszać nietylko oczami ale pokazywać język, a ubrana była w same jedwabie, batysty i złotogłów.

Rzecz od tej chwili była już jakgdyby przypieczętowana. Gdy już wszystko ułożono i omówiono, rozniosła się wreszcie nowina po mieście, poczem oznaczony został niedaleki dzień ślubu. Dubrowiczanie dziwowali się, składali gratulacye, bając sobie na wyścigi niestworzone brednie.

III.

W Pradze tymczasem wiódł Floryan Sloupenski żywot beztroski i wesoły. Na koncercie u hrabiego kasztelana wyróżnił się do tego stopnia swoją grą, że mu ów nadał godność nadwornego swego muzyka. Ścieliła się tedy przed Floryanem droga wielce obiecująca. Powiewały ku niemu zdaleka laurowe wieńce sławy i nie było dnia aby go jakaś dostojna osobistość nową łaską nie zaszczyciła. Pierwszą przykrością jaka zmąciła mu tę piękną harmonię, było owo zajście w Dubrowicach.

Pan Pistorius oto, zapraszał go najniespodziewaniej na swoje wesele, przypominając tem samem przegrany zakład. Przeczytawszy nazwisko panny młodej pan Floryan drgnął. Czy podobna? Dorka! Znali się jeszcze przecie ze szkółki i nieraz jako dziecko śpiewała z nim razem na chórze. Ogromnie się zawsze kochali — i stary sad pamięta sporo ich dziecinnych figlów — tyle razy trzęśli owoce z jego drzew — i zawsze gdy jej urwisy przedmiejskie groziły jakąś dotkliwą psotą, on, Floryan, brał ją w rycerską obronę. Dostał raz przy podobnej

okazyi kamieniem w czoło i przypomina sobie jak dziś, rzęsiste łzy Dorki, jakiemi się zalała na widok jego krwawiącej rany. Pamięta też, jak wśród jakiejś zabawy przyrzekła mu raz, że będzie jego żoną, gdy oboje dorosną. Były to tylko dziecinne, napółzatarte wspomnienia jedynie, Dorki podrastającej już nie widział wcale i omal, że całkiem o niej nie zapomniał. Wtedy na zebraniu u Syndyka, gdzie się zeszedł z panią Bobeszową, po raz pierwszy od lat wychyliło się ku niemu wyraźniej tamto wspomnienie. Wówczas wieczór, ucieszył się nawet, że znowu zobaczy Dorotkę, ucieszył się o tyle o ile w ogóle taka wizya z czasów najwcześniejszej młodości wzruszać nas może. A teraz, gdy się dowiedział, że narzeczona starego, odrażającego pana Pistoriusa, to właśnie ona, Dorka, uczuł nietylko litość nad dziewczątkiem, ale rzetelne oburzenie. Policzył na palcach jej lata i porwała go na panią Skarbnikową złość okrutna.

— Nie, tegobym niebył nigdy przypuścił, że ona sprzeda dziecko. Biedna Dorka! — westchnął — i odrzucił list precz od siebie.

Bo oto nowa troska zaciężyła nad nim, troska pod której uciskiem pierzchła nawet pamięć o ofierze na łup panu Pistoriusowi wydanej: wiadomość o przegranym zakładzie!

Miałby temu człowiekowi oddać swój jedyny skarb, swój boski instrument? Nie, to przecie niemożliwe!

Pod pierwszem wrażeniem weselnej wieści, przemknęło mu przez myśl, że może lepiej będzie wcale do Dubrowic nie wracać? Teraz jednak wiedział już, że nie pozostaje mu nic innego jak — pojechać. Musi się przecie rozmówić i wytłomaczyć panu Pistoriusowi, że cała historya z fletem to był tylko żart, że ani myśli rozstawać się dlatego z ulubionem narzędziem. Czuł też doskonale, że wszystko zawisło teraz od nastroju w jakim pana Błażeja zastanie. Nie wątpił zaś ani chwili, że humor ten będzie najróżowszy. Jakżeby w dniu wesela inaczej nawet być mogło? Liczył też na dawną przyjaźń z Dorką. Przypomni go sobie z pewnością, przemówi za nim do pana młodego i usposobi przychylnie dla całej sprawy. — „Biedna Dorka!...“ dorzucił z westchnieniem.

Wyruszył dopiero na ostatni moment i przybył do Dubrowic w chwili, gdy całe weselne grono szykowało się już do kościoła. Nie był wszakże spragniony widoku pana Błażeja i zamiast do Skarbnikowstwa poszedł do innych znajomych.

Dziwne wrażenie uczyniło na nim miasto. Wszędzie pełno było gadaniny o wypadku dnia, każdy dowcipkował bez miłosierdzia — żadna żywa dusza nie użaliła się nad biednem dzieckiem, które nie-

świadome niczego, tak na przepadłe, trącano w bezdeń nieszczęścia. Biedna, biedna Dorka! Wstręt uczuł do ludzi, pociągała go raczej samotność.

Wsunął flet w zanadrze i poszedł precz za miasto. W polu, gdzie od czasu do czasu odzywał się śpiew skowronka a wiatr wstrząsał z lekka zwiędłem kwieciem i niósł się szeleszcząc w trzcinach wzdłuż potoka, lżej mu się zrobiło na duszy.

Wyjął flet i zaczął grać. Im dłużej wszakże, tem smutniej brzmiała jego piosenka. Boże sprawiedliwy! Może to już ostatni raz swój ulubiony instrument do ust przytula? Myśl ta wzruszyła go do łez. Schował let i włóczyć się począł bez celu, aż do chwili gdy słońce zapadać jęło za lasy. Dumając zawrócił wówczas ku miastu. Taki był podniecony! Lepsza już szorstka pewność niż to kołysanie się ułudną nadzieją!

Stał teraz przed siwym murem napółrozwalonych, obronnych dawniej wałów, sławetnego królewskiego miasta Dubrowic. Z poza baszt wyglądały korony wielkich drzew a ponad niemi dopiero wznosiła się siedziba książęca. Wiadomem mu było zdawna, że gdzieś w pobliżu znajduje się tu pewien przesmyk wśród murów, za pomocą którego człowiek do pewnego stopnia szczupły, znaleźć się może odrazu w sadzie pana Skarbnika. Była to droga najkrótsza i najprzyjemniejsza. Niewarto chyba wracać znów w ulice i słuchać niemiłosiernych uwag o starym oblubieńcu i młodziutkiej narzeczonej?

Idąc wolno wzdłuż kruszących się murów, ujrzał istotnie ów zapamiętany przesmyk i — znalazł się od razu w znajomym sadzie, wciśniętym w zakąt między dwiema omszałemi basztami, połączonemi ze sobą resztką obronnego wału. Na widok tego miejsca pełnego dziecinnych wspomnień ogarnęła go błogość ale i smutek zarazem. Powoli jął się rozglądać na okół.

Jesień była wprawdzie ciepła tego roku, jak rzadko, ale przymrozki ranne zdążyły już powarzyć liście na drzewach, tak, że ich korony, zwilżone popołudniowym deszczem, połyskiwały teraz rdzawą czerwienią nad mierzchnącym już w dole ogrodem. Skośne promienie zachodzącego słońca ślizgały się po rozwalinach muru. Liście na śliwach lśniły brunatną barwą starego złota a gdzieniegdzie jeszcze pozostałe śliwki chwiały się między liściem jak ciemne wisiory z ametystu. Pośród skurczonych liści jabłonek śmiały się i pachły jabłka, podobne do różanych policzków dziecinnych; od czasu do czasu opadało któreś uderzając głucho o trawę.

Sad wyglądał zupełnie jak taki ogród z bajki w którym rosną złote

drzewa a na nich wiszą klejnoty zamiast owoców. Tak tam było jakoś przedziwnie, a w głębi, poprzez mroczne gąszcze, przebłyskiwały okna domu oświetlonego już rzęsiście, domu w którym obchodzono właśnie wesele Dorotki.

Dorotka! Zdawało mu się, że ją widzi i teraz, jak się oto snuje pośród drzew, śliczna, dobra i cicha, taka jaką była wówczas, w owe dawno minione dni. Wydawała mu się zawsze podobną do Bożego Dzieciątka rwącego w rajskim ogrodzie jabłka dla grzecznych dzieci na choinkę.

Biedna, biedna Dorka!

I sięgnął znowu po swój flet. Ten go zawsze najlepiej zrozumie. Zapragnął pożegnać Dorkę, powiedzieć jej w dniu zaślubin ile szczęścia jej życzy. Chciał to uczynić całkiem cicho, cichuteńko jak westchnienie, wygrać niby powiew najlżejszy. Ale pieśń jego przyszła, sam niewiedział zkąd, z powietrza z mgieł — snuła się wskroś drzew przedziwnego sadu, zabierając go razem, precz ku jakowymś wyżynom. Porywała go, dźwięcząc coraz donośniej, coraz bardziej natchniona, niby źródło gdy ze skały tryska i tocząc się w dal, wzbiera coraz wyżej...

Naraz podniósł wzrok — i zdumiał. Co to? Sen-że to czy jawa? Na drzewie, o kilka kroków wedle niego, w miejscu, które przypadkowo spojrzeniem był ominął, wysoko, pośród skąpych liści w purpurowej łunie ostatnich słonecznych promieni, ujrzał zjawę cudownie wdzięczną, piękniejszą nad wszystko co w życiu swojem oglądał.

Siedziała na gałęzi, biała jak śnieg, ubrana w długą szatę barwy jasnego błękitu, tkaną w złote kłosy i ciemniejsze bławaty. Na drobnych stopkach miała brokatowe trzewiczki a długi śnieżny welon opadł z jej czoła i zaczepiony o gałąź powiewał w powietrznym błękicie. Na jej brunatnych włosach iskrzył się jakby złoty pył, tak lśniły pięknie, przetykane kwiatami, zwinięte skromnie wokół głowy. Gdzieniegdzie żarzyły się w nich drogie kamienie tkwiące w szpilkach, któremi upięto pukle, bujne i jedwabiste.

Zarysy tej głowy i linie smukłej białej szyjki były najcudowniejszem na co oczy Floryanowe kiedykolwiek patrzyły.

Świeża, najwcześniejsza młodość zaledwie rozkwitała w subtelnym wdzięku tych rysów a oczy zachwycającego stworzenia, piękniejsze od szafirów kołyszących się w długich zausznicach, patrzyły z wyrazem takiego spokoju i niewinności jaki miewa wzrok samotnej sarny.

Prawdziwie zdawać się mogło, że przyleciała usiąść na to drzewo jak gołąb, tak żywo, poruszenia szyi jej i głowy przypominały tego ptaka.

Floryan stał jak skamieniały i niewątpliwie w tym momencie niezmiernego zdumienia, oblicze jego przybrać musiało wyraz nieco ucieszny, bo wysoko pośród konarów starej jabłoni, zabrzmiał nad nim cichy dziecinny śmiech, niewinny, czysty jak dzwonek, wprost cudny.

— Anieli w niebie nieznają chyba piękniejszej myzyki nad taki dziecięcy śmiech... — wyszeptał z cicha Floryan. I Bogu się on też podobać musi... Nawet Jego odwieczne serce młodnieć może gdy coś takiego zasłyszy!...

I uczyniło mu się nagle dziwnie radośnie, dziwnie błogo na duszy.

Bajeczne zjawisko zagadało tymczasem z wysokości drzewa:

— Floryan? — spytała.

— Ach, wszakże to Dorotka we własnej osobie — dziwował się w głos muzyk. A czegoż ty tam szukasz?

Z przemiłą minką pokazała mu jabłko, zagłębiając białe ząbki w różowy policzek owocu.

— Takam głodna! — westchnęła. Ale jeść niemogłam pókiś grał. Jakież to było smutne!

— Więc słyszałaś? Tak, zapewne, siedząc na tem drzewie... Ale na Boga czemu jesteś tutaj a nie z tymi, którzy tam obchodzą twoje wesele?

Tak mu się naraz żałośnie zrobiło przy tych słowach, tak strasznie... O, ten Pistorius, ten stary jastrząb! Takiego ptaszka chwycił w szpony!

— Wstydziłam się tam jeść — odparła szczerze Dorka. Tak tam było dużo cudzych ludzi, tak się na mnie ciągle patrzyli i tak się śmiali, całkiem niewiem dlaczego. Udało mi się w końcu wymknąć im. Ledwom się na tę jabłoń wydrapała, jakeś ty nadszedł Floreczku. Zaraz cię poznałam. A może także chcesz jabłko? I nieczekając na odpowiedź rzuciła mu śliczne żółte, purpurowo nakrapiane. Upadło na trawę tuż przed nim.

— Choćbyś była Ewą — zawołał młodzieniec — a podała mi jabłko z tym promiennym uśmiechem, skwitowałbym z dziesięciu rajów!

Dorotka się roześmiała. Nierozumiała zgoła co powiedział.

— Jedz! — nalegała nań.

Posłusznie podniósł owoc do ust, ale naraz łzy stanęły mu w oczach. Współczucie i żal nad tem dzieckiem przeszyły jego serce.

— Co ci takiego? — spytała zaniepokojona.

— Tak mi cię strasznie żal, pani Dorotko!

— Pani! Ja „pani"?! — przedrzeźniała śmiejąc się. A dlaczegoż-to

mnie pan tak żałuje? — dorzuciła po chwili. Cóż mi to kto złego robi albo przykrego?

— Uczynili z tobą najgorsze! — zawołał namiętnie. Z nieszczęsną nie pojmującą niczego! Przecie oni ciebie sprzedali! Wszakże pani pojęcia jeszcze niema co to miłość — i właśnie dlatego nie wiesz jaką straszną krzywdę ci dziś wyrządzono!

Dorka widziała jak cały drżał i bladł i nagle spoważniała także. Nie wiedząc coby na razie powiedzieć, zagadnęła wreszcie:

— Miłość! A czy pan wie co to takiego?

— W tej chwili wiem lepiej niż kiedykolwiek — wyszeptał muzyk. To jest oszołomienie, poryw, piorun...

Dorotce wyjaśnienie to nie wydało się wystarczającem. Pokręciła tylko główką w milczeniu.

— Ale co też ja mówię, na Boga! — szepnął chwytając się za czoło. — Wszakże zapominam na śmierć, że mówię do cudzej żony! Cudza żona! O ty nieszczęsne, zaprzedane, nieświadome dziecko!

I łzy popłynęły mu z oczu. Wtedy już i Dorka niemogła się powstrzymać i zaczęła płakać razem z nim. Niewiedziała właściwie dlaczego, ale głos jego przenikał jej serce a piękność wzruszała ją do głębi.

— Tylko miłość ma prawo łączyć ze sobą dwie dusze! — dowodził młodzieniec. Małżeństwo bez niej to zgroza! A między tobą i tym starcem niemoże być i cienia miłości!

Dorka się zlękła. Jakieś ją zaczęło ogarniać niejasne przeczucie. Przejął ją nagle niewysłowiony strach. Przecie już w bajkach zasłyszała o czemś podobnem, o jakiejś królewnie, którą zaswatano straszydłu. W bajce jednak zjawiał się zawsze waleczny rycerz, w sam czas, aby wyzwolić ofiarę. I to była cała pociecha.

Podczas gdy Dorka dumała, Floryan przycisnął z rozpaczą dłoń do serca, przyczem dotknął fletu, ukrytego w zanadrzu. Wyjął instrument, bo uczuł, że nie potrafi już mówić więcej o swej miłości, tej miłości, która zjawiła mu się tak niespodzianie w tym mrocznym ogrodzie — a może ocknęła tylko ze snu wspomnień dawnych, podobna gwieździe wybłyskującej z za chmur. Zapragnął pożegnać Dorkę; wszakże była już dla niego jak umarła. W tej samej chwili, w której spotykał ją znowu, wyrzec się jej musiał na zawsze, iść bez niej przez życie — sam.

I ani wiedział jak się to stało, że z fletu jego wypłynęła właśnie owa prosta a uroczyście smętna melodya z „Orfeusza“ Glucka, ta sama, którą niedawno, jako nowością muzyczną oczarował był, porwał i zachwycił Pragę, melodya, której piękność wprawiała jego samego

w stan ekstazy, pożegnanie Orfeusza z umarłą Eurydyką, gdy ją nieubłagany Hades znowu w czeluście swoje pogrąża:

„Che farò senza Euridice...“

Tony słodkie, słodkie, przenikające i śmiertelnie smutne, wzbijały się wysoko w ciszy wieczornego powietrza a biedna Dorka słuchała ich bledziuchna z wielkiego wzruszenia, chyląca się coraz niżej ku grającemu — a on zbliżał się także, jakgby falą własnej muzyki niesiony, i taki był całkiem inny niż wszyscy ludzie na świecie... Nagle ozwał się trzask złamanej gałęzi i Dorka spadła mu w otwarte ramiona, które zaledwie zdążył wyciągnąć do niej na czas. Padła mu na samo serce i z ust jej już się miał wyrwać okrzyk przerażenia, kiedy je Floryan przymknął pocałunkiem. Spłonęła wstydem jak róża; pocałunek Erosa obudził Psyche... W tej chwili już nie była dzieckiem. Równocześnie cofnęli się od siebie.

— Żegnaj mi moja perło złota! — wyszeptał. O serce moje, jakże ty bolisz, jak bolisz! Już się twoja rana nie zagoi nigdy...

— Bywaj zdrów! — odszepnęła mu nawzajem, odwracając głowę.

Naraz ozwał się w pobliżu gwar licznych głosów i cały sad rozbłysnął światłami latarek.

— Nareszcie! Znaleźliśmy Pannę Młodą! — wołano ze śmiechem na okół.

— I znalazł się także nasz pan grajek! — zakrzyknął gniewny oblubieniec. Jego własna dudka naprowadziła nas na trop. No, młody człowiecze, cóż powiadasz na moją żonę? Czy aby dosyć urodziwa? Co? I dosyć młoda także? Jak uważasz?

Mówiąc to, przegiął się ku Dorce chcąc ją pocałować. Biedactwo rzuciło się po ratunek do pani Skarbnikowej. Goście zaczęli się śmiać, Dorka ukryła płonącą twarzyczkę na piersiach ciotki a pan Pistorius kipiał.

Gniew jego obrócił się cały przeciw Floryanowi.

— A teraz proszę o flet, którym od pana dziś wygrał! — zażądał szorstko. „Obejdzie się bez przygrywania po ciemku treli mojej żonie. Mógł pan przecie przyjść pomiędzy nas, wszakżem cię zaszczycił zaproszeniem.

— Mój flet! — zawołał z trwogą młodzieniec. Czyżbyś mi go pan naprawdę chciał odebrać?!

— A słowo? Czyżbyś pan nie wiedział co znaczy słowo mężczyzny? — odparł wzgardliwie pan Pistorius.

— Niechże tedy, oto jest — wyrzekł młody muzyk podając staremu cenny swój flet. Dławione łzy ćmiły mu głos gdy dorzucił, patrząc

w stronę Dorotki: — Wszystko mi pan dziś odebrał, wszystko com miał w świecie najdroższego...

Pan Pistorius obrzucił chmurnem wejrzeniem Floryana i Dorkę i gdy dostrzegł jej wzrok pełny łez, utkwiony z wyrazem współczucia w pięknej twarzy grajka, piorun nienawiści zamigotał mu w oczach.

— Chodźmy już — rzucił chrypliwym głosem, chwytając za rękę żonę, ruchem wcale nie nadto delikatnym.

— Nie, proszę nie iść! — zawołała Dorka. Proszę mu nie odbierać jego fletu! Ja niechcę!

— A dlaczegoż-to? Hm?

— Bo niechcę! Bo mnie to boli!

— A mnie właśnie cieszy!

— Ale proszę, proszę to zrobić dla mnie! — błagała Dorka cała we łzach a wszyscy wstawiali się za nią:

— Pierwsza prośba żony! Niechże jej pan wysłucha!

Na to pan Błażej rozzłościł się jeszcze bardziej a gdy Floryan powiedział Dorotce:

— Nie, nie — proszę się już dla mnie nie upokarzać więcej! — furya jego dosięgła szczytu.

— A niechże już raz będzie koniec temu wszystkiemu! — syknął uderzając fletem o pień drzewa z taką pasyą, że się heban w drobne drzazgi rozprysnął.

Z ust Dorki i Floryana wydarł się równoczesny okrzyk, tak rozdzierający żałością, że usłyszawszy go, sami się siebie ulękli. Spojrzenia ich spotkały się. Zadrżeli oboje i spuścili powieki. Pan Pistorius wszelako klął w głos. Ostra drzazga rozbijanego fletu skaleczyła go w rękę tak głęboko, że krew trysnęła strumieniem. Owinął dłoń batystową chusteczką i wołał ze złością:

— Chodźmy-ż już raz do domu!

Floryan zniknął w mroku a Dorka trzymała się konwulsyjnie ramienia ciotki. Weselne grono wróciło do bawialni, czas jakiś usiłowano jeszcze pić i pośpiewywać, podczas gdy pan Pistorius przemywał w świeżej wodzie zranioną dłoń. Z tej chwili skorzystała pani Skarbnikowa aby pouczyć nieco Pannę Młodą o jej nowych obowiązkach. Nakoniec młody żonkoś objawił swej małżonce, że już pora odejść do domu. Dorotka jednak ani słyszeć o tem nie chciała a gdy ją pani Skarbnikowa ostro zaczęła strofować, podniosła na ciotkę oczy pełne łez i wyrzutu i przypomniawszy słowa Floryana, wyszeptała z cichem łkaniem:

— Sprzedaliście mnie!

Wszyscy zdębieli, nikt nie śmiał mrugnąć, ani ręką poruszyć, gdy naraz ciotka, chwyciwszy się za głowę, poczęła wołać:

— Cóżem ja zrobiła, com ja zrobiła!

Dorce uczyniło się jej żal.

— Dobrze, już pójdę — powiedziała wreszcie i wybiegła z domu tak prędko, że pan Pistorius zaledwie mógł jej nadążać. W progu powitała ją stara gospodyni pana Błażeja, nadeszła spiesznie z kuchni, otrząsając resztki snu z oczów.

— Prowadźcie mnie! — brzmiał rozkaz młodej pani, w którym dźwięczało wzburzenie. Stara sługa bez tchu biegła za nią po schodach.

— Co to za pokój? — zapytała spiesznie Dorka, stając przed pierwszemi drzwiami na piąterku.

— To moja izdebka, proszę jasnej paniusi! — odparła Judyta z uśmieszkiem zadowolenia, otwierając drzwi, rada, że pochwalić się może przed młodą panią czystością i ładem swej siedziby. Dorotka wzięła jej z ręki mosiężny lichtarz i weszła do pokoiku. W tymże momencie zjawił się na progu obok Judyty zdyszany pan Błażej. Wówczas Dorka zatrzasnęła mu drzwi przed nosem i zasunęła rygle. Była to odpowiedź na pouczenia cioci Skarbnikowej.

— Cóż to ma znaczyć, cóż to ma znaczyć?! — ozwały się naraz dwa głosy: pana i służącej.

— Dobranoc! — odparła przez drzwi Dorotka. Zostaję tutaj!

Na nic nie zdało się wszelkie pukanie i wołanie. Nie ustąpiły ani drzwi ani Dorka. Zarówno stara Judyta jak i jej pan musieli w końcu się cofnąć. Judyta poszła spać do izby czeladnej, zaś pan Pistorius do wielkiej, świątecznie przystrojonej, samotnej swej alkowy.

Nazajutrz gadało o tem zajściu całe miasto i kpinom nie było końca.

IV.

Był-to dla pani Bobeszowej nielada trud, zanim zdołała rozprzężonemu tak od pierwszej chwili pożyciu, nadać bodaj tyle pozornej równowagi, aby, kładąc tamę ludzkiemu pośmiewisku, nie dopuścić zgorszenia i w czas zapobiedz wszelkiej niepoczciwej gadaninie. Prosił ją o to usilnie sam pan Pistorius, padł przed nią nawet na kolana, zgryziony i cały trzęsący z irytacyi. Ręka zraniona drzazgą fletu sprawiała mu wielki ból, ale było bodaj czem upozorować przyczynę, dla której nosa z domu nie wytykał i nie był zmuszony, jak to mówią, świecić oczyma przed ludźmi.

W rokowaniach z młodziutką i zdumiewająco upartą panią domu,

pomagała pani Skarbnikowej wielce wydatnie stara Judyta, tak, że udało im się nakoniec uzyskać coś w rodzaju zawieszenia broni.

Dorotka zgodziła się towarzyszyć mężowi na codzienną przechadzkę, przystrajać się rozmaicie wedle jego życzenia, być uprzejmą, troszczyć się przy pomocy Judyty o mężowskie gospodarstwo, siadać z nim razem do stołu, a przed ludźmi wyrażać się o nim z należytą czcią i przywiązaniem. Natomiast otrzymała rękojmię, że pan Pistorius nie okaże się już nigdy tak natarczywym jak pierwszego ranka, gdy odważyła się wyjść wreście z pokoiku Judyty. Wybrała sobie następnie dość obszerną stryszkową izbę na piąterku. Wchodziło się do niej z kurytarza, po kilku szerokich kamiennych schodach, przez drzwi dębowe, mocno okute, zamykane na rygle, ciężkie jak w więzieniu, tyle, że umieszczone tutaj od wewnątrz. Izba ta miała wprawdzie ściany bielone ale zdobił ją ładny drewniany pułap, nie zawierała też wiele sprzętów. Stał tam klęcznik, na którego drzwiczkach, wykładane pięknie kością i kolorowem drzewem, widniały obrazy z żywotów św. Jana i św. Wacława. Nad klęcznikiem wisiał starożytny, czarny wizerunek Matki Boskiej na złotem tle, w kącie zaś, stała malutka prześliczna kołyska, na której intarsya o naiwnym rysunku wyobrażała ptaszka siedzącego wśród tulipanów gwiazdy i słońce o ludzkiej uśmiechniętej twarzy.

Dorotka przysunęła kołyskę pod wielki kaflowy, biało-niebieski piec z saskiej porcelany i uśpiła w niej swoją piękną lalkę. Przy drzwiach stała staroświecka, malowana skrzynia, w której sobie Dorotka ułożyła bieliznę i suknie. Wniesiono jej tam nie duże łóżeczko z białemi osłonami, krzesełko i stolik. Nad malowaną skrzynią wisiało jeszcze zwierciadło, tak czyste, że prawdziwie miło się było w niem przejrzeć. Stanowiło ono osobliwszą radość Dorotki. W ramce jego bowiem, rzniętej również w szkle, u góry łukowo wygiętej, tkwił milusieński obrazek, na którym młody pasterz, strojny w różowe wstęgi przygrywał na złotym flecie. Pasterz ów przypominał jej Floryana i gdy go pierwszy raz dojrzała na obrazku aż się jej gorąco zrobiło ze wzruszenia. Bez tchu pobiegła otworzyć okno i wychylić głowę na chłodne powietrze.

Ach, jakiż ztąd cudny był widok! Drzewa książęcego parku zdawały się pozdrawiać ją uprzejmie. Można było popatrzeć daleko na pola, aż precz ku lasom. Cały rozległy widok przesłaniała srebrzysta opona deszczu, który szemrał słodko wśród drzew i bębnił z cicha w dach nad stryszkową izdebką. Dorotka musiała przyznać, że znalazła sobie pod mężowskim dachem kątek przedziwnie zaciszny i miły. Wydawała

się też tak pojednawcza i potulna, iż pani Bobeszowa żywić jęła najpiękniejsze nadzieje.

Dnie mijały spokojnie, jednostajnie i wcale szybko. Dorotka, pod kierunkiem starej Judyty, krzątała się wesoło po domu, polubiwszy rychło starą gospodynię, która potrafiła ją nietylko zająć ale i zabawić. Judyta była morawianką i Dorotka nieraz śmiała się po dziecinnemu z jej wymowy, której odrębności, pomimo długich lat pobytu w Czechach, niezdołała się wyzbyć bez śladu. Bajki jej natomiast i śpiewanki radowały Dorotkę niezmiernie, miały taką osobliwą barwę, były dla niej czemś zupełnie nowem i Judyta umiała je tak pięknie mówić i wyśpiewać. Zwyczajną porą tych rozrywek bywała szara godzina, gdy pan Pistorius, który jeszcze ciągle niedomagał na rękę, udał się był wcześnie na spoczynek. W mrokach wielkiej kuchni, gdzie ogień przygasał już na palowisku a mnogość miedzianych i cynowych naczyń błyskała tajemniczo ze ścian, gdy kołowrotek Judyty swojsko furczał, tak tam było przytulnie, tak miło, zwłaszcza kiedy deszcz siec począł o szyby a wiatr zawodził w kominie.

Wówczas myśli Dorotki snuły się słodkie i nieuchwytne a z obłoka rozpłynnych mgieł tych i przywidzeń wychylała się czasem młodzieńcza postać pięknego muzyka, cała świetlana od Dorczynych uśmiechów. Wtedy w duszę jej napływało wspomnienie owej porywającej melodyi, którą jej Floryan grał na pożegnanie w starym sadzie.

O gdzież on teraz przebywa? Czy jeszcze o niej pamięta? Serce Dorotki odpowiadało że — tak. Zaraz nazajutrz po jej weselu odjechał. Czy przyjedzie jeszcze kiedy do Dubrowic? Przy tem zagadnieniu Dorotka wzdychała zawsze tak głęboko, że aż stara Judyta zwykła była pytać co jej takiego. Miast odpowiedzi wszakże prosiła Dorka o jaką nową piosenkę i słuchała, aby wreszcie, przejęta cała i wzruszona, pójść spać do siebie na górę. Przed zaśnięciem szła zawsze pod piec utulić w kołysce swoją piękną lalkę, aby broń Boże nie zmarzła, całując ją i pieszcząc na dobranoc. Musiała wprost kogoś bardzo kochać a nie miała nikogo prócz swojej lalki ze szklannemi, ruchomemi oczyma. Mówiła potem pacierz przed czarną Matką Boską i zasypiała spokojnie, pomimo udręki i westchnień, z echami muzyki Floryanowej w duszy. Była dzieckiem jeszcze zawsze.

Pewnego razu wszelako wstrząsnął nią śmiertelny lęk i spokój jej marzycielski zmącony został aż do dna. Daleki krewniak pana Błażeja przejeżdżał przez Dubrowice i zatrzymał się wieczór w domu nowożeńców. Śmiech zbierał Dorotkę ilekroć ów jegomość powiedział do niej „pani ciotko“, zresztą wcale się z nim dobrze bawiła. Zgadało

się o muzyce i gość z Pragi, zagorzały miłośnik śpiewu, rozpowiadał o występach operowej trupy włoskiej, bawiącej właśnie w stolicy. Szczytem wszystkiego co dotychczas usłyszał miał być wedle niego Glucka „Orfeusz". Opowiedział Dorotce jedną ze scen tego wybitnego dzieła i całkowicie porwał swą opowieścią dziewczątko, które do tej pory ani o żadnym Glucku, ani istnieniu oper wogóle, nie śniło. Podanie o Orfeuszu, nowe też dla niej zupełnie, zachwyciło ją tak samo, a może i więcej, niż bajki Judyty a gdy gość opowiadać począł jak to Orfeusz traci po raz wtóry i już na zawsze swoją Eurydykę, dopiero co wyzwoloną przez siebie z mroku piekieł i sam potem zrozpaczony szuka śmierci, krew jej się ścięła w żyłach.

Wreszcie muzykalny gość zanucił tę pieśń, którą z myślą o śmierci śpiewa Glucka Orfeusz. Sposób w jaki odtwarzał tę patetyczną aryę nieoddawał jej może dosyć wiernie, przejmował jednak uczuciem i zapałem. Dorotka zbielała i cud był, ze nie krzyknęła w głos. Poznała natychmiast, że była to ta sama pieśń, którą jej Floryan, także jakby na pożegnanie wieczyste, zagrał wówczas w sadzie. Może i on miał wtedy śmierć samobójczą na myśli i chciał jej o tem tą muzyką powiedzieć? Może on dlatego był taki blady i oczy jego świeciły tak strasznie? A ona ani pojęła go, ani przeczuła!

Strach podniósł jej włosy, nie słyszała już nic co się wkoło niej mówi. Wstała wreszcie i wyszła z pokoju, nie wiedząc wcale gdzie idzie. Dreszcz nią wstrząsał.

— Dlatego-to on tak bez śladu gdzieś przepadł! Dlatego nic już o nim nie słychać! — szeptała, skuliwszy się w kątku kuchni, dokąd zaszła bezwiednie. Judyta przędła tam i śpiewając z cicha, nawet jej nie zauważyła. Nuciła jakąś pieśń, której Dorotka jeszcze nieznała, prostą i smutną. Zasłuchała się w nią mimowoli:

Idzie wieść od młyna, idzie wieść od wody,
Ponoś tam utonął jakiś chłopiec młody.

— Judyto, przestań! — jęknęła z wysiłkiem. Zęby jej szczękały. Czyż każdy musi dziś śpiewać o samych okropnych śmierciach? Judyta nie usłyszała jednak i nuciła dalej:

A gdy szedł już na dno, wołał na dziewczynę:
„Ściągnij białe rączki, ratuj, niech nie ginę!"

Dorotka łamała ręce. W kominie, tuż nad jej głową wyła wichura i huczała zadymka, jak spienione, głębokie wody rzeki, w których tonął

ów chłopiec. Ponuro brzmiała wśród tych pohuków głuchych i poświstów prosta piosenka Judyty:

„Czemużeś mój miły, przy świętej niedzieli,
Zamiast do kościoła, chodził do kąpieli?"

„Hej nie do kąpieli, pławić ja koniki
Jechałem, najmilsza, do tej bystrej rzéki.

Już mi tak od Boga było snać sądzone,
Taka moja dola, że młody utonę"

„Dola-ż tobie, miły, kara mnie niebodze,
Żem twojem kochaniem wzgardziła tak srodze".

— Nie, nie! To nie przezemnie, o jam temu niewinna! — szlochała Dorotka. Ja przecie o niczem nie wiedziałam! O gdybyż mnie Pan Bóg zabrał, zamiast niego!

Całkiem się biedactwu w głowie pomięszało od żalu.

Judyta odłożyła wrzeciono i wstała wylękła. Niczego naturalnie nie rozumiała, ale widziała gorżkie łzy swojej pani.

— Jasna paniusiu, moje serduszko złote, co pani takiego?

— Ach, Judyto, Judyto! — łkała Dorotka i na nic więcej nie mogła się zdobyć.

Stara sługa zaprowadziła ją do stryszkowej izdebki, rozebrała i otuliła w łóżku, a gdy ją cokolwiek uspokoiła, zeszła uwiadomić pana Błażeja, że pani trochę niezdrowa, położyła się i już śpi.

Dorotka nie spała jednak. Zerwała się z pościeli, padła na kolana przed obrazem Maryi Panny i zaczęła się modlić za oddalonego. Potem załkała w głos:

— O, teraz już wiem, teraz wiem co to miłość, o której on mówił! Co znaczy połączenie jednej duszy z drugą! O drogi mój, o mój drogi! aż wreszcie spłakana i wyczerpana zasnęła ciężkim snem.

Słońce świeciło już oddawna w jej pokój, gdy Judyta zapukała do drzwi.

— Co tam słychać z paniusią? Bardzo się troskam jak zdrowie? — mówiła przez drzwi. Już późna godzina i pani Skarbnikowa przyszła w odwidziny.

Dorka spiesznie się umyła, zarzuciła suknie i pędem zbiegła do bawialni, gdzie już pan Pistorius siedział z ciotką. Pani Skarbnikowa przybyła z wielką nowiną: Księżna pani bawiła w Pradze! Wiele już zim z rzędu zwykła była spędzać u swej zamężnej córki w Rzymie

obecnie wszakże napadła ją nagła tęsknota za krajem, chęć zobaczenia posępnych, szumiących lasów, użycia znowu przejażdżki sanną. Postanowiła tedy ściągnąć, bezpośrednio po Wigilii, na dubrowicki zamek i wydać na Sylwestra wielki bal dla książęcych oficyalistów. Ponieważ doszła ją wiadomość o zamęźciu Dorotki, zapraszała wraz z mężem i ją.

Pani Skarbnikowa wysypała to wszystko jednym tchem a gdy po chwili weszedł do bawialni kuzyn-gość pana Błażeja, opowiedziała całą swoją relacyę po raz wtóry.

Dorka słuchała z roztargnieniem i wtedy dopiero skupiła uwagę, gdy ciotka, podnosząc się do odejścia, dorzuciła:

— Nielada nowiny, moja Doro! Ale, ale, jeszcze jedna! Młody Sloupenski otrzymał, dzięki poparciu księżnej pani, świetną posadę w Rzymie. Jedzie tam już na wiosnę. Został dyrygentem w prywatnej kaplicy jakiegoś kardynała, zapaleńca na punkcie muzyki.

— Więc żyje! Więc się nie utopił! — wykrzyknęła Dorka głosem drżącym od uciechy. Taki miałam o nim straszny sen...

— Co też ty pleciesz, dzieciaku? — zdumiała się ciotka, zaś pan Pistorius wtrącił gniewnie:

— W ogóle zbyteczne aby ci się śnił.

Ciotka śmiała się, zaś gość z Pragi zauważył, że nikt za swoje sny odpowiadać nie może.

Dorkę ogarnął teraz najlepszy humor. Podjęła z gościem żywą rozmowę, wypytując go jakie też ta piękna opera „Orfeusz" ma zakończenie. Była bowiem wczoraj jakaś nieswoja i całkiem nie słyszała końca. A gdy się dowiedziała, że sam bóg miłości nadaje wszystkiemu obrót najpomyślniejszy, że Orfeusz życia się nie pozbawia, owszem, wolno mu żyć i w szczęściu miłować swą Eurydykę, wprost promieniała z radości.

— Ach, gdybyż się tylko wszystko tak pięknie i szczęśliwie kończyło! — westchnęła, biegnąc do kuchni, by się tam zakrzątnąć z Judytą i podkuchenną. Gość z Pragi dziś już odjeżdżał i miało się odbyć pożegnalne przyjęcie ku jego czci.

V.

Jeszcze tylko paru dni brakowało do Bożego Narodzenia. Na zamku wrzało od przygotowań, miasto całe się ożywiło, ruch też panował i w domostwie pana Błażeja. Postanowił wystąpić na balu u księżnej pani w pełnym blasku swojej godności i pragnął aby i jego młodziutka żona zaćmiła wszystko naokół. Dom roił się od szwaczek, krawców

i szewców, którzy szli ręka w rękę ku dziełu. Pan Pistorius i pani Skarbnikowa mieli na głowie cały kłopot, zmuszeni myśleć i za siebie i za Dorotkę — ona bowiem nie miała żadnego doświadczenia, ani wyobrażenia o tem co stosowne, co noszą obecnie a czego nie. Pan Pistorius cieszył się niezmiernie na ten bal, ale radość jego mąciły dwie troski. Najpierw męczył go ból w zranionej ręce. Niezasięgnąwszy od razu porady lekarskiej, leczył się sam i oklejał rozmaitemi plastrami, rana wszakże nie chciała się goić. Gdy nareszcie przybył wezwany doktor, pokazało się, że cała historya w skutek niemądrego obchodzenia się z raną, zamiast iść ku dobremu, pogarszała się — i teraz dopiero rozpoczęło się prawidłowe leczenie. Rana jednak jątrzyła się wciąż a im dłużej, tem bardziej była bolesną.

— Po balu pojadę do Pragi dać to obejrzeć jakiemu sławnemu lekarzowi — powiedział pan Pistorius i cierpiał dalej.

Druga troska była prawie jeszcze cięższa. W drugie święto Bożego Narodzenia siedzieli z żoną spokojnie przy wieczerzy i pan Pistorius opowiadał jej właśnie o przybyciu na zamek księżnej pani z liczną świtą i orszakiem różnych dostojnych osób, gdy Dorotka pobladła nagle, znieruchomiała i błysk szczęścia mignął w jej oczach. Zdziwiony, już chciał ją zapytać o przyczynę tej błogości, gdy pytanie okazało się zbytecznem.

Przez szczelnie pozamykane okna dobywały się tony fletu, wpływały do wnętrza spokojne i słodkie... Była to znajoma pieśń Orfeusza. Pan Pistorius wiedział wlot kto to gra.

— Ten przemierzły dławiduda znowu tu! — ozwał się ze złością, odsuwając talerz. Nie był już wcale głodny.

Dorka poszła do siebie i marzyło jej się, marzyło — miała wrażenie, że słyszy ciągle tę prześliczną melodyę, nawet wtedy jeszcze, gdy już dawno brzmieć przestała.

Od tego dnia począł ją pan Pistorius zamykać w domu jak w więzieniu. Nie mógł się uspokoić żadną miarą. Ale na co się zdało całe pilnowanie! Co wieczora, gdy tylko Dorotka weszła do swej izdebki i zaświeciła światło, jakby na dany znak, odzywała się przejmująca, znajoma muzyka, kołysząca ją w sny cudowne. Pan Pistorius się wściekał — ale niebyło ratunku. Niemógł zabronić dźwiękom wstępu do swego domu, ani nałożyć więzów marzeniom Dorotki. Wprost gorączkował ze złości.

— Nic pan sobie nie rób z tego wszystkiego! — pocieszała go pani Skarbnikowa. Przecie panu wiadomo, że to długo nie potrwa. Wiem z najlepszego źródła, że Floryan zaraz po balu odjeżdża do Pragi.

Księżna pani słyszała jak grał u hrabi Kasztelana i zaprosiła go do siebie na koncert. Przyjechał tylko dlatego.

Dał się jako tako udobruchać, nie przestawał jednak liczyć dni do odjazdu tego „grajka“. O, gdyby już było nareszcie po balu!

Nadszedł w końcu ów dzień, tak dla Dubrowic uroczysty. Wieczór, gdy pan Pistorius ujrzał wchodzącą do pokoju Dorotkę, strojną i świetną, jak wielka dama, gotową jechać z nim na zamek, zapomniał przez chwilę o wszystkiej złości, ba nawet o bolącej ranie.

Dorka, po raz pierwszy w życiu miała upudrowane włosy, wysoką fryzurę, zdobną w pióra i kwiaty. Srebrzysty brokat jej sukni tkany był w jabłka granatu, szyję owijały sznury pereł, którychby się nie powstydziła żadna hrabina, a w rączce jej tkwił trzonek bursztynowego, rzeźbionego wachlarza, roboty tak misternej, że miał raczej pozór przejrzystej koronki.

Był też ogólny podziw gdy się pan Pistorius ukazał z żoną na zamku. Na tle wielkiej sali, zdobnej w liczne weneckie zwierciadła, i białe, kunsztowne sztukaterye, jarzącej morzem woskowych świec, których niezliczone płomyki dwoiły się jeszcze w lustrzanych, kryształami obwieszonych kinkietach, podobna róży wśród śniegu, była Dorka prawdziwie zachwycającem zjawiskiem. Szeptano ze wszystkich stron, że pan Pistorius jest chyba najszczęśliwszą istotą pod słońcem.

— Długo wprawdzie przebierał — ozwał się ktoś w tłumie — ale też upatrzył w końcu co było najpiękniejszego!

Słowa te doszły uszu szczęśliwca i pan Pistorius rozpływał się z lubości. Dorotkę radował również ten podziw i serce jej drżało od uciechy, zwłaszcza, gdy naraz ujrzała przed sobą Floryana.

— Ach, i pan tutaj! — zagadała doń, stając. Pan Pistorius rad nierad, zatrzymać się musiał także, przemógł się nawet o tyle, że powiedział z zupełnym niemal spokojem: — Dobry wieczór!

— Panie Pistorius, panie Aptekarzu! — zawołał nań w tejże samej chwili pan Rejent. Na słóweczko tylko, upraszam najmocniej... i odciągnął go o parę kroków dalej.

Dorotka i Floryan stali sami naprzeciw siebie.

— Co wieczora słyszę pana granie — westchnęła — ale już tak podobno długo nie będzie...

— A czyś pani rada tej mojej muzyce?

Nie odrzekła słowa, ale wyraz jej był dostatecznie wymowny.

— I będzie pani żal za mną, nie, za mojem graniem, gdy pojadę?

Łza wybłysła pod jej powieką i spływała wolno po twarzyczce.

— Zostanę! — szepnął.

Zlękła się, ale uśmiech powrócił na jej usta.

Wrócił tymczasem i pan Błażej.

— Nie usiadłabyś może? — zagadnął żonę, li tylko na to, aby ją ztąd zabrać jaknajprędzej.

Wtem na sali rozległ się szmer.

— Cicho! Księżna pani!

Podwoje, pchnięte naraz w dwie strony, otwarły się szeroko i władczyni zamku weszła otoczona swoimi szlachetnie urodzonymi gośćmi. Kroczyła przez salę, kierując się ku grupie foteli ustawionych przy kominku, na którym płonął wesoły ogień. Miała wspaniały, majestatyczny wzrost, suknia z ciemnego aksamitu opływała jej postać. Pozdrawiając na wsze strony obecnych, usiadła, przyzywając poufnem skinieniem wachlarza to tych to owych, z którymi pomówić pragnęła.

Księżna Antonina Eleonora Lodenic była istotą wcale niezwyczajną. Dusza jej miała śmiałość i zacięcie raczej męzkie, podczas gdy serce zdolne było subtelnej, niewieściej, wprost macierzyńskiej tkliwości. O swoich poddanych dbała rzetelnie, witając ich u siebie z patryarchalną gościnnością, nie mieszała się nigdy natrętnie w ich osobiste sprawy, ale pragnęła gorąco, aby im było dobrze, gotowa każdej chwili dopomódz im bądź radą, bądź uczynkiem. Nienawidziła lizusostwa i pochlebstwa. Zdania jej padały krótkie, o doborze słów niezbyt wybrednych i lubiła aby do niej także podobnie przemawiano. Potrafiła być niezmiernie czułą, ale i bardzo surową. Teraz uśmiechała się jedynie.

— Nareszcie jesteśmy znowu pośród was! — zawołała głosem mocnym lecz przyjemnym. Mówiła każdemu po imieniu i witała każdego z osobna, wypytując o rodzinne szczegóły, o dzieci i gospodarstwo. Zauważyła panią Bobeszową.

— Cóż moja kochana — wykrzyknęła — wydałaś podobno wychowankę? Śliczny był smarkacz. Pokażcież mi ją!

— Oto jest — odparła pani Bobeszowa, ciągnąc za rękę Dorotkę.

— Ależ to i teraz jest jeszcze dzieciak! — dziwiła się księżna — Musieliście się tak spieszyć?

Pani Bobeszowej wymknęło się przez zęby coś niewyraźnego, czego nikt niezrozumiał, zaś księżna badała dalej:

— Gdzież jej mąż?

Pan Pistorius przybliżył się, blady z bólu w ręce i ze wzruszenia, że księżna o niego pyta — i począł się przeginać w ukłonach przedziwnie gracyjnych; Dorka, przynaglona spojrzeniami ciotki, uczepiła się ramienia męża i wykonała z nim ukłon równoczesny, mniej więcej taki

jak przed panem bakałarzem w szkole. Księżna na chwilę zaniemówiła, nagle szybkim ruchem zwinęła wachlarz, którym się bawiła dotychczas — i coś, jakby okrzyk zgrozy wydarło się z jej ust. Nie było już na nich śladu uśmiechu.

— Więc to jest mąż tego dziecka? — zapytała donośnym głosem, ciągnąc bez ogródki: — I wyście na to mogli pozwolić? A pan — czy miałeś sumienie?!

Skarbnikowstwo stali spiorunowani, pan Pistorius blady był jak śmierć, a wokół ustek Dorotki majaczył nic nie znaczący uśmieszek.

Wreszcie w straszliwem pomieszaniu zdobyła się pani Skarbnikowa na najniezręczniejsze i niesłychanie odważne kłamstwo.

— Skoro ona sama koniecznie tego chciała... — wykrztusiła wśród ogólnej ciszy.

— Sama chciała! Sama chciała! To mi dopiero racya! A rózgi w domu nie było?!

Pomimo uszanowania dla księżnej, pomimo powagi chwili, nikt z obecnych nie miał siły powstrzymać się od cichego śmiechu. Księżna spojrzała ze zdziwieniem dokoła, ale i ona musiała się uśmiechnąć.

Zakłopotanie Dorotki, rozpacz pani Skarbnikowej i zmartwiałe oblicze pana Błażeja budziły istotnie wesołość. Ledwie tylko goście spostrzegli uśmiech na ustach księżnej pani — w ich mniemaniu znak, że wolno puścić wodze uciesze — cała sala zahuczała serdecznym, rozgłośnym śmiechem. Mieszał się weń i Dorotki dziecinny chichot.

Księżna musnęła ją wachlarzem po buzi, patrząc na nią na poły żartobliwie, na poły litośnie i, rzuciwszy jej parę uprzejmych wyrazów, złamała tem niejako ostrze poprzednich swoich uwag. Poczem dała hasło, że pora zacząć koncert.

Pan Pistorius tylko czekał na tę chwilę i gdy uwaga obecnych skierowała się wszystka w stronę estrady, na której stał klawikord, chwycił żonę za rękę i szepnął:

— Do domu!

— Dobrze — odpowiedziała wylękła jego bladością i cierpiącym wyrazem. Żal jej go było.

Tej nocy miał pan Pistorius tak okropne bóle w ręce, że płakał. Dorotka czuwała przy nim z Judytą a następnego ranka — częściowo by uniknąć pośmiewiska, po części dla lekarskiej porady — chory wyjechał z żoną do Pragi. Tam jednakże pogorszyło mu się jeszcze, na dobitek przyplątała się żółtaczka a gdy mu tamtejsi lekarze dość szybko pomódz nie umieli, powiedział pan Błażej:

— Chcę przynajmniej w domu umrzeć. — I pojechali z powrotem do Dubrowic.

Zaczął się dla Dorotki okres ciężkiej próby. Małżonek jej cierpiał niewysłownie a ona cierpiała z nim. Dniem i nocą przesiadywała koło niego, słuchając jego wydziwiań i rozpacznych jęków. Posłała nawet starą Judytę z prośbą do Floryana, aby już nie grał więcej na flecie, bo chorego przyprawia to wprost o szał.

Pewnego dnia orzekł lekarz, że konieczną jest amputacya chorej ręki. Pan Pistorius jednak nie zgodził się, a gdy po paru dniach przystał wreszcie na operacyę, oświadczył mu krótko doktor, że już za późno.

— Więc nic mi już nie pomoże?

Doktor milczał.

— Poszlijcie zatem po księdza i po rejenta — ozwał się po chwili pan Pistorius z prawie zupełną równowagą.

Judyta gwałtownie szlochała, Dorotka była bledziuteńka.

Ksiądz udzielił mu ostatnich namaszczeń, poczem pan Błażej podyktował rejentowi swoją ostatnią wolę.

Umarł jeszcze tej samej nocy.

VI.

Odziano biedną Dorotkę w żałobę i przykazano jej, żeby płakała. Dorotka jednak nie mogła — czuła raczej ulgę. Nie życzyła śmierci panu Pistoriusowi, wcale nie — byłoby to grzechem w jej poczuciu — ale uczyniło jej się tak błogo jak jeszcze nigdy.

Daremnie wykładała jej pani Bobeszowa, że wdowie, dziedziczącej tak wielki majątek, przystoi wyglądać tak jakoby była zrozpaczoną. A Dorka wciąż nie mogła się wyzbyć uśmiechu. Wreszcie wpadła ciotka na pomysł zawiązania jej cebuli w chusteczkę, aby bodaj podczas pogrzebu jakąś łzę ze siebie wydobyła.

— Coby inaczej krewni powiedzieli? — tłómaczyła się przed mężem, gdy ją strofował za ów podstęp.

Krewni jednakże dopiero nazajutrz po pogrzebie zaczęli ściągać ze wszystkich stron. Lamentowali strasznie.

— Taki majątek miałby iść w cudze ręce! — i rzucali przerażające spojrzenia na wdowę. Niektórzy grozili jej procesem, inni wprost pięścią.

Dorce ani się śniło czego ci wszyscy obcy ludzie chcą, ciotka wszakże wojowała za nią.

Nadszedł teraz pan Rejent i ogólne podniecenie dosięgło najwyższego napięcia. Rozłamał pieczęci testamentu. Cicho się zrobiło jak

w grobowcu. Wszyscy, z wyjątkiem Dorotki, dygotali niby osikowe liście. Nagle, wśród głuchego milczenia, ozwała się melodya słodka, porywająca, urocze dźwięki Floryanowego fletu.

Usteczka Dorki rozchylił szczęsny uśmiech. Po długim czasie witała się znowu z przedziwnemi tonami. Podeszła do okna. Pan Rejent zdziwiony czego tam wygląda, wyraził życzenie aby „czcigodna wdowa“ zechciała zwrócić swą uwagę na to co posłyszy. Krewni wrzeli na widok tej pozornej, obłudnie sztucznej obojętności.

— Ona, ta żmija, ta gadzina, wie pewno najlepiej co tam stoi w dokumencie!

Rejent poprosił o spokój i zaczął czytać:

— Cały mój ruchomy i nieruchomy majątek przekazuję mojej małżonce, pani Dorocie Pistoriusowej...

Krzyk i wrzask rozjadłych krewniaków zagłuszył dalsze słowa rejenta. Musiał wrzeszczeć również chcąc czytać dalej.

...z tem aliści zastrzeżeniem, aby ów przeklęty grajek Floryan Sloupenski, którego flet o śmierć mnie oto przyprawia, nie został nigdy jej drugim mężem.

„Na domiar, jeżeli wdowa po mnie nie chce utracić wszelkich praw swoich do dziedziczonej schedy, nie wolno jej zamieszkać z wyż wymienionym w jednej i tej samej miejscowości...“

Grobowa cisza zaległa pokój. Jeden poglądał na drugiego zdumiony a czarodziejskie tony fletu rozbrzmiewały dalej, słodkie, przeczyste, biorące Dorczyną duszę w niewolę.

Wszystkie spojrzenia wpiły się teraz z wyrazem osłupienia w twarz wdowy. Wówczas Dorotka, cała w rumieńcach, rzekła spokojnie ale z mocą:

— Jeżeli tak, to ten majątek nigdy nie będzie mój!

Jedno głębokie westchnienie ulgi wydarło się ze wszystkich łon.

— Judyto, idź i przyprowadź tu zaraz pana Sloupenskiego! — padł rozkaz Dorotki.

Judyta poszła. Wracając, opowiedziała mu po drodze o wszystkiem co zaszło. Tymczasem ciotka opadła Dorkę.

— Dziecko — wołała — ty niemądre dziecko! Ja wiem dobrze do czego ty zmierzasz! Czyś już całkiem postradała zmysły?

— Proszę jej zostawić swobodę działania! — wołali ze wszystkich kątów krewni, wietrzący ze słów, które padały różne niejasne nadzieje. Uczuli nagle serdeczną skłonność ku Dorotce, a pięści, które przed chwilą jeszcze wyprężały się do niej, obróciły się teraz w stronę pani Skarbnikowej.

— Chcesz ją może pani sprzedać po raz drugi? — krzyczały w poczuciu zagrożonej moralności, powinowate damy. Nie dość miała tego wstrętnego starca? Biedna, złota dziecina! A mężczyźni krzyczeli:

— Hańba! Wstyd!

Pośród tego zgiełku pojawił się Floryan, blady, wzburzony z pałającemi oczyma.

— Dorotko, pocoś mię pani tu wezwała?

— Żebyś powiedział, żebyś mi poradził — mówiła urywanym głosem.

— Wiem, wiem wszystko! odparł z marzycielskiem wejrzeniem.— Żądasz pani bym ci poradził jak masz wybrać między miłością a złotem?

W pokoju zapanowało głębokie milczenie. Dorotka oddychała z trudem.

— Więc byłabyś pani zdolna, chciałabyś, zrzec się tego majątku dla, dla... Teraz jemu głos się rwać począł.

— Floryanie — rzekła Dorotka, patrząc mu w oczy rozmarzonym wzrokiem — ja już wcale nie jestem dziecko — i gdybyś mnie tak kochał jak ja ciebie...

Ukląkł przed nią, oboje zapomnieli o wszystkich cudzych ludziach naokół.

— Skoro tak, to chodźmy ztąd precz! — zawołała Dorotka.

I poszli.

Ciotka biegła za nimi łamiąc ręce. Krewni zaś rzucili się sobie do oczu, szarpiąc się wzajemnie i gryząc, jak sfora psów — w przenośni naturalnie.

Majątek pana Pistoriusa wystarczył właśnie na koszta dwunastu procesów, które sobie wytoczyli wzajemnie wszyscy roszczący pretensye. Właściwymi spadkobiercami byli zatem adwokaci.

Dorotka wzięła sobie z domu swego męża tylko jeden jedyny przedmiot: ową kosztowną lalkę, jego pierwszy podarunek, aby nią uszczęśliwić najstarszą córeczkę Skarbnikowstwa. Darowała jej swoją lalkę na znak, że teraz już naprawdę dzieckiem być przestała.

JULIUSZ ZEYER.

Przełożyła Maryla Wolska.

„Polka“ Antoniego Watteau.

Bajka o kopciuszku lub zaczarowanej księżniczce, trzymanej na uwięzi, którą świetny dopiero wyzwala rycerz, stale się w życiu powtarza, najróżniejsze przyjmując odmiany.

Księżniczka taka, urocza i wiecznie młoda, stworzona ku radości długich pokoleń, przez stulecie może jako kopciuszek przebywała w zapomnieniu, zaciemniona przez siostrzyce bardziej pyszne i okazałe, aż nareszcie i dla niej wybiła godzina wyzwolenia. Zjawił się bajeczny rycerz, któremu na imię traf szczęśliwy, i z ukrycia wydobył tę córę możnego władcy, co nowe ongi stworzył państwo w świecie.... sztuki.

Obraz Antoniego Watteau, którego reprodukcyę podajemy obok, do niedawnego czasu niepostrzeżony wisiał w tak zwanym Wielkim Pałacu rezydencyi letniej dworu rosyjskiego w Carskiem Siole. Gdy przed dwoma laty redakcya rosyjskiego miesięcznika artystycznego „Staryje Gody“ urządzała w Petersburgu wystawę starych mistrzów wyłącznie ze zbiorów rosyjskich, komitet odnośny, korzystający z wyjątkowego przywileju szperania wśród dzieł sztuki w pałacach cesarskich nagromadzonych, natknął się na śliczną „Femme polonaise“ Watteau i dla wystawy ją pozyskał, gdzie, oczywiście, w zachwyt wprawiała widzów. Nadmienię przy tej okazyi, że z tej samej galeryi obrazów pałacu carskosielskiego na wystawę powędrowało jeszcze jedno wybitne płótno, szczególnie dla Polaków ponętne — ów przepyszny portret grupowy gdańszczanina Daniela Schultza, malarza nadwornego Władysława IV. i Jana Kazimierza, co tak niewypowiedzianie intryguje typami wyraźnie mongolsko-tatarskiemi przy charakterystycznych kostyumach polskich. Po wystawie „Polka“ mistrza francuzkiego, przekazaną została do znakomitej galeryi obrazów Ermitażu, niewątpliwie najbardziej odpowiedniego miejsca dla tego małego arcydzieła.

Że tu w istocie mamy przed sobą oryginalny utwór Antoniego

Watteau, wątpliwości żadnej nie ulega. Obraz prawdopodobnie został nabyty przez Katarzynę II,[1]) założycielkę galeryi Ermitażu i w najdawniejszym katalogu już figuruje pod nazwiskiem Watteau. Pozatem istnieje jeszcze współczesny dokument w sposób niezbity potwierdzający autentyczność malowidła. Znajdujemy bowiem kopersztych z naszego obrazu w zbiorze rycin według rysunków i malowideł Antoniego Watteau, współcześnie przez Julienne'a wydanym pod tytułem „Les figures de different caractère". Polkę mistrzowsko tu odtworzył, ni mniej, ni więcej jak Franciszek Boucher, i postać, choć oczywiście w odwrotnym kierunku, we wszystkich szczegółach najzupełniej zgadza się z oryginałem malowanym, z którego prawdopodobnie była przerysowaną za pomocą kalki. Natomiast w rycinie całkowicie pominięto tło krajobrazowe, co w wydawnictwie Julienne'a uczyniono jeszcze wobec kilku innych obrazów mistrza. Pod ryciną Boucher'a czytamy nadpis: „La Femme Polonaise".

Czyż zresztą w danym wypadku dowody dokumentalne są niezbędne? Toć o autentyczności najlepiej świadczy samo dzieło, napiętnowane charakterystycznemi cechami geniusza swego twórcy. Któż, prócz Antoniego Watteau, umiał odtwarzać podobnego rodzaju postacie pojedyncze, takie niby obojętne na wszystko, co się wokoło nich stać może, rozmarzone i zapatrzone hen, w jakiś świat daleki, a zawsze owiane ową mgłą słodkiej melancholii, co jak dominanta przegląda przez całą twórczość tego artysty-wizyonera, a sączy z jego festynów, zabaw, ba, nawet z „Podróży na wyspę Cytery"? Pater i Lancret z dużem mistrzowstwem powtarzali i różniczkowali typy i układ figur, motywy i barwy swego mistrza, w dalszym ciągu nie przestawali malować wytworne fêtes galantes, ale utwory ich były tylko mniej lub bardziej doskonałemi obrazami, nigdy zaś nie stały się poematami, przepojonemi tą muzyką wewnętrzną, która tak czarująco drga w arcydziełach Watteau. Do tych ostatnich należą nieliczne jego figury pojedyncze i niezawodnie zaliczyć do nich wypada świeżo odnalezioną „Femme polonaise". Nie stawiałbym jej w jednym rzędzie z taką n. p. „Finette", powszechnie znanem cackiem z paryzkiego muzeum Louvre, a raczej z ową prześliczną postacią z obrazu „La danse", schedy po Fryderyku II w pałacu poczdamskim. Jak owa tancerka, łowiąca dźwięki

[1]) Carowa w tym kierunku snadź podzielała gust swego sprzymierzeńca, Fryderyka II, który, jak wiadomo, z pasyą skupywał obrazy Watteau i jego uczniów. Dziwne zaiste, że na tronie dwóch najmłodszych państw Europy północnej tak wielbiono przesubtelnioną sztukę tego mistrza, o którą w tym czasie ani dwór wersalski, ani najbardziej wykwintne towarzystwo francuzkie nie dbało bynajmniej. *P. E.*

grajków młodocianych, tak nasza „Polka“ w swej niewypowiedzianie naturalnej pozie cichego zadumania zdaje się przysłuchiwać jakimś szeptom, głosom oddalonym, a przecież donośnym. Stoi na tle szafirowego nieba, ubrana w jedwabistą suknię wierzchnią koloru pomarańczowego, brunatnem futrem przybraną, odkrywającą tylko białe atłasowe rękawy stanika. Niezwykłego kształtu czepiec lub turban biały z czerwoną przepaską zdobi zgrabną głowę o włosach kasztanowatych i profilu typowym dla Watteau. Ciepły ton sukni przepysznie zharmonizowany jest z szarawo zielonemi krzakami w prawym rogu i pokrewnym co do koloru terenem przednim, całość zaś malowana jest lekkiemi przejrzystemi farbami, widocznie alla prima. Doskonałość formy i czar kolorytu, doprowadzone do niezmąconej równowagi, oraz syntetyczne ujęcie realnego motywu jako podmiotowej wizyi artystycznej, nadają obrazowi ten urok niewysłowiony, co jest emanacyą jedynie wielkich i prawdziwych dzieł sztuki.

Zkąd pochodzi nazwa „Femme polonaise“? Czyżby istotnie jakaś Polka, przypadkowo w Paryżu w pierwszej ćwierci XVIII stulecia bawiąca, do tego malowidła pozowała? Rysy twarzy, pozbawione charakteru indywidualnego, a zbliżone do ogólnego typu kobiecego, jaki sobie wyrobił Watteau, raczej temu przeczą. O ile zresztą na zasadzie nader szczupłych materyałów biograficznych wiemy, artysta do pewnego stopnia był odludkiem, szukał samotności i unikał życia towarzyskiego, więc dla zetnięcia się z cudzoziemką chyba nie miał wcale okazyi. Prawdopodobnie bliżej będziemy prawdy przypuszczając, że ujmująca postać niewieścia z obrazu w Ermitażu otrzymała miano Polki jedynie dzięki swym szatom. Suknia ta, co prawda, nie mówiąc już o fantastycznem przybraniu głowy, nie jest bynajmniej typowo polskim strojem z owej epoki, jednak krój cały, oraz bogate obramowanie futrem nadają jej pewną cechę sarmacką, co w oczach francuzkich wystarczyło dla ochrzczenia malowidła nazwą „La Femme Polonaise“. Niezwykły bądź co bądź strój mógł zresztą być kostyumem teatralnym jednej z aktorek komedyi francuzkiej lub włoskiej, w towarzystwie których przebywał Watteau i zkąd modele swe pewnie czerpał. A charakter egzotyczny kostyumu, malownicza kombinacya futer z jedwabiem zawsze przecież stanowiły materyał ponętny dla malarza czystej krwi!

Byłoby wielką dla nas radością posiadać typ Polki wieku XVIII, uwiecznionej subtelnym pędzlem Watteau, niestety musimy się kontentować zewnętrznem jedynie połączeniem jej miana z pięknym utworem niezrównanego mistrza.

PAWEŁ ETTINGER.

O dzieła sztuki.

Pozbywanie się cennych dzieł sztuki polskich i obcych na korzyść zagranicy lub oddawanie ich w obce ręce jak np. dokonana w ostatnich czasach sprzedaż obrazu Rembrandta „Lisowczyk", musi wzbudzić uczucia żalu we wszystkich, którym na utrzymaniu zasobów kulturalnych w Polsce zależy.

Nie mogąc wprawdzie sprzedaży dzieł takich, będących własnością prywatną w każdym wypadku z góry i bezwarunkowo potępiać — wyrażamy jednak ubolewanie z powodu dokonanych już faktów i odwołujemy się do społeczeństwa polskiego, aby bez ostatecznej potrzeby nie ubożyło dobytku artystycznego kraju, dobytku który nam wobec zagranicy zwiększa kulturalną powagę, dla rozwoju sztuki naszej staje się z czasem znamienitym środkiem kształcącym, a to tem bardziej jeżeli dzieło ma z historyą lub kulturą naszą pewne łączniki przedmiotowe lub pamiątkowe.

Przy tej sposobności zwracamy się do naszych posłów sejmowych, ażeby w sferach miarodajnych starali się o wydatniejszą opiekę nad dziełami sztuki i przygotowali w drodze ustawowej środki zaradcze przeciw ubożeniu kraju pod względem artystycznym.

Prof. Dr. Władysław Abraham
Prezes Grona konserwatorów Gal. wsch. Lwów.

Prof. Dr. Jan Bołoz Antoniewicz
Lwów.

Prof. Teodor Axentowicz
Tymcz. dyr. Akademii sztuk p. Kraków.

Prof. Dr. Oswald Balzer
Prezes Tow. dla popierania nauki polskiej. Lwów.

Helena Dąbczańska Budzynowska
Lwów.

Dr. Bolesław Erzepki
Konser. zbiorów Tow. Przyj. nauk w Poznaniu.

Prof. Dr. Karol Hadaczek, konser.

Aleksander Jabłonowski
Prezes Tow. Naukowego. Warszawa.

Feliks Jasieński, Kraków.

Dr. Felix Kopera
Dyrektor Muzeum narodowego w Krakowie.

Dr. Władysław Łoziński, Lwów.

Gustaw Baron Manteuffel, Ryga.

Leon hr. Piniński, Lwów.

Prof. Stanisław Rejchan
Prezes Tow. przyj. sztuk pięknych. Lwów.

Dr. Stanisław Tomkowicz
Prezes Grona konserwatorów Gal. zach., członek centr. komisyi konserwatorów w Wiedniu.

Karol Demange.

Było to w Metzu w kwietniu tego roku.

Cesarz niemiecki, w otoczeniu licznej świty, przebiegał ulice starej fortecy. Wszystkie wojska, Sasi, Bawarczycy w paradnych uniformach, — na budynkach rządowych powiewały z wiatrem sztandary czarno-biało-czerwone. Zdala od tego gwaru i hałasu, w towarzystwie młodziutkiej kobiety, szedłem przez Quai Félix-Maréchal skupiony, szukając mieszkania Coletty Baudoche.

Lecz ta słodka idylla moselska, to arcydzieło Barrésa, było dla umysłu mego tylko tłem pogodnem i spokojnem, na którem rozpętała się cała burza myśli. Pierwszy to raz od śmierci Karola Demange, spotkałem się z tą kobietą, którą on kochał ostatnią miłością w swem życiu.

I stanęło nam przed oczyma jego całe życie, jego tragiczny umysł, wśród tej Lotaryngii, z taką miłością i upodobaniem opisywanej przez jego wuja.

Zaiste wzruszająca to była pielgrzymka — ta powolna wędrówka w towarzystwie młodej kobiety wśród tych miejsc, które chroniły go w jego dziecińśtwie.

W ciągu jednej jedynej nocy, gdy opłakiwała śmierć swego przyjaciela, osiwiała zupełnie.

A dziś — znajduje najwyższą, jedyną rozkosz, prowadząc mnie do tego kościoła, w którym niegdyś przyjęła pierwszą swą komunię i w którym złożyła imieniem swych towarzyszek akt konsekracyi...

Przypomina sobie, jak będąc małą dzieweczką, chodziła wraz z całym pensyonatem na cmentarz w Chambière, modlić się za poległych żołnierzy francuzkich. — Wtedy — na zakończenie takiego pięknego dnia szło się na szukanie czterolistnej koniczyny; dziś — napawa się słodyczą takiego wieczoru myśląc i oczekując dnia wiecznego odpoczynku.

„Charles Demange“ mówiła mi, „żądał odemnie przyrzeczenia, że o nim pamiętać będę. Biorę pana na świadka, że dotrzymałam mu przyrzeczenia... Nie mógł się dość nadziwić mej twarzy o dziecięcym wyrazie, a z tonu jego głosu odczuwałam jakie troski przechodził wobec kobiety starszej od niego...“

— — — — — — — — — — — — —

Karol Demange urodził się w Nancy, w domku przy ulicy Saint-Dizier, vis-a-vis starego gmachu, w którym, w wieku XVIII schodzili się wszyscy literaci Lotaryngii.

Ojciec jego, pochodzący ze starej rodziny lotaryńskiej, był profesorem na Wydziale lekarskim, — matka jego była siostrą Maurycego Barrèsa — i ona to obdarzyła go tą żywą wyobraźnią i uczuciowością.

W Charmes-sur-Moselle miałem sposobność poznać matkę Maryi i Maurycego Barrèsa; — literatura francuzka ma jej nieskończenie wiele do zawdzięczenia. Dla mnie, co miałem wtedy lat dwadzieścia jakąż to było silną podnietą i zachętą słuchać opowieści o młodzieńczych latach Barrèsa, o jego podróży do Paryża.

„Mam jeszcze w żywej pamięci“ opowiadała mi jego matka, „ten wieczór, w którym udało mi się pokonać ostatnie skrupuły jego ojca. Maurycy poszedł na górę, do swego pokoiku; — tam poszłam oznajmić mu tę radosną nowinę. Może pan wyobrazić sobie naszą uciechę i jakie śliczne śmiałe projekty snuły nam się po głowie...“

Wakacye spędzane przez Karola Demange w Charmes, w towarzystwie jego babki, która umiała kształcić w nim i rozkrzewiać aż prawie do wyrafinowania, kult piękna, — były dla niego jednem pasmem ustawicznych zachwytów i uniesień.

W jego „Le livre de désir“ w jego wspomnieniach z lat młodości, drukowanych w „Les Marches de l'Est“ znajdziemy tysiączne reminiscencye z tej młodości szczęśliwej, bez troski.

Ta miłość do matki była dla Demange'a bogatem źródłem natchnień dla jego niezwykłego talentu.

Z pozostałych po nim rękopisów, wzruszająca „Livre de la mère“ tętni zbyt żywą jeszcze boleścią, aby mogła być już obecnie drukowaną. Lecz idźmy za Demange'em do Jesi, gdzie w roku 1710 urodził się Pergolèse.

Będąc w Jesi i słysząc tony organów tamtejszej katedry, przypomniał sobie Chopin „Stabat Mater“, ten najserdeczniejszy najsmutniejszy

utwór Pergolesa, tak licujący z romańską indywidualnością i z umysłem już wyczerpującym się...

Pierwotny tekst „Stabat Mater“ przypisują niejakiemu Jacopone, który urodził się w Lodi, miejscu, w którem umarł Mikołaj Kuzański. Jacopone, obdarzony wielkim darem poezyi, a prawie oszalały od czasu śmierci swej żony i przywdziania przez niego sukni Franciszkańskiej, — błądził po ulicach i rynkach, po les Marches i Umbryi, śpiewając swój ból serdeczny... Pergolèse, który pod utwory jego podłożył muzykę, umarł w dwudziestym szóstym roku życia, wyczerpany z rozkoszy... Jak opowiadają — jedna z jego pieśni towarzyszyła ostatnim chwilom Chopina — na placu Vendôme, w Paryżu“. „Muzyka cudowna — marzenie wszystkich błędnych rycerzy miłości i bólu“ [1]).

S t a b a t M a t e r! W całej naszej literaturze francuzkiej nie znam nic równie pięknego, jak to przywiązanie, ten pietyzm matki Karola Demange do dzieła swego syna. Więc dla czytelników „Lamusa“ dobądźmy z papierów pozostawionych nam przez niego kilka z tych okrzyków przywiązania czułego i rozpaczy, skierowanych do tej matki, która była mu całem życiem:

„Matko moja! — Ty jedna tylko jedyna znałaś cenę mego życia; w Twojej myśli ja tylko żyłem; — Ty tylko jedna ukochałaś mię wyłącznie; a kiedy — niemowlę prawie jeszcze, na Twych kolanach przysłuchiwałem się śpiewanym przez Ciebie piosenkom — one gasiły we mnie wszystkie silne żądze; tyś mię pieściła jak skarb Twõj cały.

„I nie chciałem już potem, aby ktokolwiek inny posiadł mą duszę; złożyłem ten mój skarb, na bezbrzeżnych pustyniach świata — zupełnej obojętności i nieczułości; i oto zostałem tak — zatruty pożądaniem miłości, pożądaniem posiadania kogoś...

„Ty jedna tylko matko moja,

„Ma mère, il n'y a que toi qui aies bien su le prix de ma vie; je n'ai vécu que dans ta pensée je n'ai su être que l'objet de ton amour; et encore, lorsque j'étais sur tes genoux, que je parlai à peine et suivais le rythme de ta chanson, alors il apaisait mes plus fortes passions; — cependant, tu me croyais un trésor: tu enchainais de toute ton indulgence la beauté de ton âme; tu la faisais reluire, sous ton baiser, dans mon oeil, sur tes bras. — Mais je n'ai plus voulu qu'aucune âme prenne la mienne: j'ai disposé sur l'indifférence, l'égalité, les vastes plaines du monde, un trésor; et du désir de posséder, du désir d'amour, je demeure empoisonné...

---

[1]) Ch. Demange, „Le livre de Désir“ str. 210—214.

ty jedyna byłaś tą, która w pewnej chwili mego życia poznała zupełnie całą zawartość mej duszy. Twoje oczy widziały mnie pod postacią inną, tak piękną, jakiej nikt inny nie widział, ty jedna wiedziałaś, co na świecie utrzymywało mię przy życiu. W twym umyśle ja istniałem realnie, rzeczywiście, wszystko we mnie było ci równie drogiem, a niczego ukryć przed tobą nie mogłem. Ale rzuciłem się nieopatrznie na ryzykowne spotkania, chciałem posiąść to, czego ty nie miałaś; chciałem chciałem...

...i oto obdarli mię ze wszystkiego, że sam siebie dzisiaj poznać nie mogę".

„Il n'y a que vous, Mère, qui ayiez su à un instant de ma vie, tout le conscient de mon âme. Vous me reconnaissiez un visage plus beau que jamais nul ne m'en a vu un; et saviez tout ce qui me maintenait sur la terre. Dans votre pensée j'ai réellement existé, vous ne choisissiez rien de moi, et je ne pouvais pas me dérober à vous. Mais je me suis hasardé à de plus audacieuses rencontres, et j'ai voulu m'enrichir de ce que vous ne possédiez pas; j'ai voulu mettre à un ces rythmes que vous même... je me suis derobé à tous; il m'ont tous appauvri, je m'ignore moi même...

W kwietniu i maju 1907 Karol Demange zwiedzał konno całą Grecyę; — w Atenach spotkał się z Anatolem France.

Przed zgonem swoim już skorzystał z części tych swoich licznych notatek, jakie przywiózł z sobą z tej podróży.

Pierwszy jego utwór sławił bogactwa Olimpu, był niejako lekcyą starożytności dla młodych siłaczy lotaryńskich.

Demange układał sobie wydanie całej seryi szkiców, aby w ten sposób uporządkować i ująć w system swe wrażenia z poszczególnych miast Grecyi. Nie bez zainteresowania była dla mnie też wiadomość, że Lucyan Rydel, po powrocie z takiejże samej podróży, ułożył sobie podobny plan. Życie Greków — takie bogate, tak niesłychanie rozmaite i odrębne, z trudnością da się wtłoczyć w ramy książki, — potrzebuje ono większej swobody i wolności. Wkrótce wydamy drukiem urywki z kilku nowel, ofiarowanych nam przez Demange'a, — później zaś „Helenę" romans z życia greckiego.

Świat literacki czytać będzie z żywem zaciekawieniem te utwory synowca autora „Voyage de Sparte".

W rok później, kwiecień-maj 1908, Demange wybrał się do Sycylii. Kilka wierszy, zamieszczonych w pierwszym numerze „Marches de l'Est"

(str. 19) wystarczy dla okazania, jak silne i żywe odniósł z podróży tej wrażenia:

„Na wybrzeżach Sycylii w noc tętniącą pożądaniem, kiedy niebo przytłacza wprost żarem i silnemi woniami, ten nadmiar siły i życia dla mnie świadczył tylko wymownie o znikomości wszelkich uciech...

„Jakież upajające ogrody zamykają te złomy skał! Serce krwawi się wśród nich, gdy stąpam wśród tego labiryntu ścieżek, czerwonych geranii, kolczastych kaktusów. — Tutaj, konało pomału dziesięć tysięcy młodych Greków w niewoli. Nawet nie danem im było patrzeć na morze; — szum tylko jego dochodził do nich. Straszliwe jęki młodości, która umiera z krzykiem bolesnym!... W pobliżu — klasztor zakonnic zaprasza do siebie swoją ciszą i spokojem. Zakonnice — wylewają na trawiący je żar i gorączkę psalmy i modlitwy; — jak ongi na tych samych wybrzeżach młodzi niewolnicy skrapiali ciepłą wodą zakurzone stopy obcego przybysza. Powitanie i przyjęcie ze strony tych zakonnic przywiodło mi na pamięć.

„Tak — ja widocznie byłem już z góry predestynowany. W czasie jednej z tych sławnych pielgrzymek lotaryńskich pewnego razu biskup przywołał mię do siebie i pobłogosławił. Bezwątpienia — choć nie ma się zbyt silnej wiary — takie uroczystości pozostawiają jednak w duszy rodzaj jakiegoś przesądu czy zabobonu. Kiedy wówczas — mając dziesięć lat — oszołomiony uklękłem wśród drogi zapylonej chłostany silnym wiatrem, — spostrzegłem obok mnie jedną z tych małych dzieweczek — czarnowłosą, o oczach szeroko otwartych..."

Gdy z biegiem czasu, który wszystko goi i wszystko przebacza, uda mi się wydać pisane do mnie przez Demange'a listy z Sycylii (z tej Sycylii, gdzie kwiatów zapach jest tak odurzający, że zabija jak trucizna, — z tej Sycylii, ku której przypływa tchnący żarem powiew od morza) — można z nich będzie przekonać się, jak dalece, bez żadnego wysiłku przyjaciel mój umiał zbliżyć się do piękna klasycznego. Dziś jednak nie pora na żaden z nich jeszcze, na żaden z tych listów tak czystych, tak prostych, co nie umieją gryźć jak żrące kwasy...

W Bâle spotkałem się z Demange'em po jego powrocie. Już wtedy rozpoczął się pierwszy etap jego męki...

Kilka miesięcy przedtem napawaliśmy się wspólnie żywą, świetną pięknością Bâle, urządzając razem wędrówkę do Rapperswylu.

Demange starał się nawiązać znowu nić sympatyi dla Polaków, przewijającą się tak często w naszej literaturze. Ukazanie się książki naszego wspólnego przyjaciela Gabryela Dauchot'a, książki odznaczonej przez Akademię francuzką nagrodą „prix Monthyon", — dało mu spo-

sobność do zestawienia w jednym szeregu nieszczęsnych siostrzyc — Polski, Alzacyi i Lotaryngii:

„Któraż dziecina nie widziała w marzeniach swych zjawy szlachetnej twarzy Polaka? Cała młodzież francuzka na Wschodzie, po miastach po wioskach i osadach, które były etapami wygnańczemi dla tych powstańców, — uśmiechała się do nich życzliwie, uważając ich za swą rodzinę. Na ich wargach opowieści o walkach, o miłości, mieszały się z pierwszemi uśmiechami życia. Muzyka — taniec — okrucieństwa!... Tacy goście budzili wszystkie instynkta niewinnej młodości. Słuchając ich czuło się, że czułość i łagodność przeradza się w rycerskość... Nieznane nam, dziwne tło — uzupełniało szczęśliwie te legendy. W walce roztaczają oni cały przepych Wschodu, — i to ze smakiem i poczuciem artystycznem znacznie większem, niż my.

„W kolegium czytaliśmy już o tej szlachcie polskiej, co wyruszała w otoczeniu pachołków, wiodących jej konie za cugle, zdobne w srebrne guzy i nabijania na ozdobnych siodłach, ze strzemionami misternie cyzelowanemi nierzadko z litego srebra, na koniach okrytych długiemi czaprakami — na wzór Turków“. — „A“ — jak Voltaire dodaje w swej historyi Karola XII, — „ich namioty były zdobniejsze i okazalsze, niż ich mieszkania“.

„Taka okazała wyprawa na te nowe wojny krzyżowe działa niesłychanie na naszą fantazyę i podnieca ją; — i my bowiem nie rezygnujemy z myśli o innej, nam bliższej Polsce — o Alzacyi, — zaopatrzeni w broń lepiej ukutą... Mieszkańcy Strassburga, Colmaru, Mülhousy, nie będą swym zimnym rozsądkiem zrażać i mrozić tych młodzieńczych porywów, — które dla nich świadczą o niewyczerpanych zasobach rycerskości w naszym narodzie. A dla przekonania się i stwierdzenia, do jakiej szlachetności zdolny jest jeszcze prawdziwy Latyńczyk, przeczytają *„Immortelle Pologne“* — powieść, nie poemat Gabriela Dauchot'a“ [1]).

Polska, Alzacya i Lotaryngia straciły w Karolu Demange'u żarliwego obrońcę i orędownika.

„Jego sposób postępowania, zawsze prosty i otwarty — pisze o nim Georges Ducrocq, — równie był dalekim od wyrachowań wykrętnej polityki, jak i od fałszywego sentymentalizmu. W kwestyi tej, tak ważnej, występował prawdziwie po francuzku z odkrytą przyłbicą. Niemcy nie prędko znajdą równie potężnego przeciwnika. On był za-

---

[1]) Messager d' Alsace-Lorraine, 2 styczeń 1903.

wsze po stronie tych, co cierpią za Ojczyznę, poszarpaną i prześladowaną. I nie rozumiejąc, nie znosząc jakiegoś sprzeniewierzenia, na tym punkcie odtrącał ze wstrętem wszystką literaturę chorobliwą, oszołamiającą czy zbyt zmysłową, wszelkie próby profanacyi" [1])

Krosno, maj—czerwiec 1910.

LÉON BERNARDIN.

Przełożył z rękopisu: K. Rychłowski.

---

[1]) „La Démocratie de l'Est", 12 wrzesień 1909.

Les Marches de l'Est.

Cała okolica nadreńska walczy z duchem germańskim; kultura francuzka musi utrzymać się w Belgii, w Luxemburgu, w Szwajcaryi francuzkiej, trzeba przedewszystkiem przeszkodzić germanizacyi Alzacyi i Lotaryngii. Nadmiar ludności cesarstwa niemieckiego wylewa się nietylko w Drang nach Osten; przeciska się także w wielkiej ilości ku Francyi. Są to przemysłowcy, robotnicy, produkty niemieckie. „Une Pologne à l'Est, une Pologne à l'Ouest, c'est beaucoup pour l'Empire d'Allemagne", mówił M. Clemenceau. Obie marchie miały wspólne tragiczne losy. Polska i Alzacya, obydwie krainy bocianiego gniazda mają te same barwy: czerwoną i białą.

Po 1871 Alzacya opustoszała wskutek emigrowania do Francyi. Zostało miejsce wolne dla niemieckich najeźdzców, którzy też dali folgę swojej pysze. Alzacya jednak nie doznała praw ograniczających własności tak jak Poznańskie, tylko dyktaturę z zastosowaniem paszportów, którego sama Rosya pozazdrościćby mogła.

Alzacya wciąż jeszcze daje Francyi żołnierzy i generałów. Pomimo gwałtownych nawoływań prasy, i całej literatury skierowanej ze strony Niemiec aby ich zniechęcić, młodzi Alzatczycy zaciągają się tysiącami do legii zagranicznych; ostatni bohaterowie wojen kolonialnych francuzkich są Alzatczykami.

Artyści i pisarze zjeżdżają się do Paryża: to tak blizko a oddycha się tam wolnem powietrzem, ojczyzną! Artyści mieszkający w Alzacyi jak Hansi w Colmar, Zislin w Mulhouse zajmują się satyrą niemieckich obyczajów.

Miasta które wszystkie cierpią na brak młodzieży — najdzielniejsi i najwykształceńsi idą do Francyi — zachowały jednak swój właściwy charakter. Mulhouse jest miastem na wskróś francuzkiem, trójbarwnem, republikańskiem; Colmar to miasto polityków Unii alzackiej, Wetterlego, Blumenthala, Preissa; Strassbourg nosi piętno gospodarki niemieckiej. Metz, dawna stolica kresów wschodnich, pełen fortec i żołnierzy niemieckich, jest najokropniejszą kasarnią na terenie wszystkich ziem zabranych.

Maurycy Barrès, wielki pisarz francuzki, jest dowódzcą oporu przeciw zalewowi niemieckiemu. W ostatniej swojej powieści, „Colette Baudoche"— największy jego tryumf literacki z ostatnich lat — przedstawia młodą dziewczynę, która jak i Wanda nie chce iść za Niemca.

Młody pisarz francuzki, Georges Ducrocq, założył parę lat temu w Metz wytworne czasopismo poświęcone kulturze francuzkiej. Trudności z któremi

się oczywiście spotkał zmusiły go do osiedlenia się w Paryżu. Ztamtąd mała jego grupa, gorąca i młoda promieniuje ku granicy. Spotykamy tam Gabryela Dauchot, Lotaryńczyka; Ferdynanda Baldenspergera; Maurycego Toussaint, który właśnie ogłosił Les Etapes de l'Est, wojskowe opowieści lotaryńskie; Jana Tanet, autora les Défenseurs; Piotra Gauthier; Dumont Wildena; Henryka Massé; Józefa Calmette; de Pouche-ville'a; de Metz-Noblat'a; Jerzego Corneliusa uderzającego w silny ton alzacki, ilustratora Les Marches de l'Est, gdzie każdego miesiąca niżej podpisany ogłasza przegląd ważnych spraw polskich.

LIEUTENANT LÉON BERNARDIN.

Nowe książki

Z POWODU POMNIKA JAGIEŁŁY.

Zeszyt XII. „Widnokręgów“ pomieścił m. i. Tadeusza Błotnickiego: O pomniku Jagiełły w Krakowie uwag kilka, którym w tem miejscu także warto poświęcić uwag kilka: P. B. nagniewawszy się słusznie na p. Wiwulskiego, że go nie ściągnięto, jak jego (p. B.) „do kołtuńskiego poziomu“ „jurorów“, czyni pierwszą ważną uwagę, że autor pomnika Jagiełły jest w świecie artystycznym „homo novus“ i poczytuje mu to za ujmę równie wielką, jak któremuś z autorów, który jakoby napisał jakąś niesmaczną reklamę, uważa mu to za ujmę, że nie jest znany z wystaw, ani ze „stosunków koleżeńskich“. Druga uwaga p. B. „że w entuzyastycznym zapale i grzmiącej burzy oklasków pomięszano: Jagiełło — Paderewski — Polska — Kraków — Litwa — Wiwulski, zapomniawszy zgoła wyrazów: pomnik — sztuka“, byłaby może zasadniczo słuszna, gdyby autor nie dworował sobie przy tej okazyi z rzeczy które się do dworowania nie nadają, a co tylko o szpetne pobudki niepotrzebnie posądzaćby go pozwalało. Następna znaczna uwaga p. B. godzi w sam pomnik: p. B. wolałby pod królem widzieć „norymberską zabawkę“ a nie jakieś „apokaliptyczne zwierzę“. Bardzo słusznie. Wielka szkoda że autor tej cennej recepty nie udzielił staremu Velasquezowi. Może p. B. twierdzić że pierwszy zapał przyćmił pogląd krytyczny, i nie dopuścił do refleksyi nad „sztuką“, ale musi też przyznać że nad znaczeniem tego wyrazu sam się nie zastanawia, on który „trzeźwo patrzy“ i dworuje sobie z zapału innych. Choćbyśmy się nie wdawali w to czy koń Jagiełły warunkom przez taką refleksyę dyktowanym odpowiada (a zdaniem naszem odpowiada zupełnie i bodajby został w całej swej nieforemności jaknajprędzej bez zmian odlany) nie możemy zasadniczo godzić się na taką logikę, którą autor, sam artysta, chyba tylko z niedocieczonych powodów u siebie usprawiedliwia. W następnej uwadze autor zwierza się, że byłby tego konia odział „w czaprak pęcin sięgający, olbrzymią klamrą na piersiach spięty“, a króla posadził „nie jak pasterza trzód“ (czyli niemal tak jak n. p. Donatello Gattamelatę), ale „postawił go w strzemionach“ jak przystoi rycerzowi średniowiecznemu(?). Bardzo cenne są uwagi p. B. jakby pomnik Jagiełły „można zrobić“ jeszcze inaczej, ale p. W. chciał zrobić znowu inaczej, a że mógł chcieć, tego dowodzi nie jeden „pomnik Scalighiera“, na którym

p. W. nie musiał się koniecznie wzorować. Jedną z końcowych wreszcie uwag bardzo ważnych jest ta, że „nie samym talentem dzieła się stwarza“. Istotnie: trzeba jeszcze czegoś więcej, czem i p. Wiwulski zapewne nie pogardzi, ale i naodwrót ci, którzy mają to „coś więcej“, nie zawsze dzieła stwarzają, stwarzają często zamiast „dzieł“ ...norymberskie zabawki. I nie zawsze ci „przez których dusze całe piekło zwątpień i niebo zachwytów przepłynie“, co p. B. delikatnie jako warunek sine qua non podkreśla, korzystać z tychże łask boskich umieją.

„Zaprawdę, ze sławnych arcydzieł sztuki przemawia do nas coś wieczyście niezatracalnego, jakiś pogląd na świat w którym bieg czasów niczego nie zmienia, który w miarę indywidualności, w nim się wyrażającej i ujawnionej, zawsze, jeszcze w pokrewnych mu ludziach znajduje zwolenników“... Że p. B. nie jest pokrewnym p. Wiwulskiemu, to pewne, gdyż jak widać zwolennikiem jego nie jest, ale może p. W. znajdzie pokrewnych sobie ludzi, więcej niż p. B. przypuszcza i będzie miał uznanie, wobec którego zblednie „uśmiech dobrotliwego (sic) współczucia, okraszający (sic) lica“ rzeczoznawcy. W ocenę krytyczną pomnika, który w pewnych punktach istotnie krytyki wymaga (figura tylna, grupa litewska), nie będziemy się tu wdawać, i poprzestaniemy na tych kilku uwagach, wywołanych uwagami p. Błotnickiego. *Marek.*

*

NADESŁANE DO REDAKCYI.

Władysław Orkan: W Roztokach, powieść (w 2 tomach. Wyd. 2-gie — nakł. Tow. Wydawniczego. — Lwów, 1910).

Zygmunt Wasilewski: Z życia poety romantycznego (Seweryn Goszczyński w Galicyi, nieznane pamiętniki, utwory i listy z lat 1832—1843) (Nakł. Tow. Wydawniczego — Lwów, 1910).

Zygmunt Wasilewski: O sztuce i człowieku wiecznym (Nakł. Tow. Wydawniczego — Lwów, 1910).

Robert Browning: Pippa przechodzi — poemat dramatyczny, z angielskiego przełożył Jan Kasprowicz (Nakł. Tow. Wydawniczego — Lwów, 1910).

Tadeusz Szymberski: Atessa — scen cztery (skł. gł. Księg. Gebethnera i sp. w Krakowie).

Bogusław Butrymowicz: Przekład tragedyi Eurypidesa: Hippolytos-Fedra (ze wstępem i objaśnieniami — Kraków, 1910).

Percy Ashley. M. A. (Lincoln-College, Oxford, prof. un. londyńsk.): Zarząd centralny i lokalny w Anglii, Francyi, Prusiech i Stanach zjednoczonych (studyum porównawcze). Tłóm. za zezwoleniem autora Jerzy Gościcki. (Nakł. Tow. Wydawniczego — Lwów, 1910).

Dr. Adolf Chybiński: Materyały do dziejów król. kapeli Rorantystów na Wawelu (część pierwsza: 1540—1624. Składy gł.: księg. D. E. Friedleina w Krakowie i E. Wendego i Sp. w Warszawie, 1910).

Dr. W. Tatarkiewicz: Di Bilder des warschauer Museums *(odbitka z „Zeitschrift für bildende Kunst“ N. F. XXI. H. 10 z 22 wybornemi reprodukcyami).*

Stanisław Kotowicz: Z lektury „Pana Tadeusza“ (lekcya i wnioski) (Nakł. autora — skł. gł. : Altenberg — Lwów, 1910).

Léon Bernardin: La Pologne n'est pas morte (Paris 1910 — Bibliothèque des „Marches de l'Est"). *Krótka impresya, oparta na sumiennej obserwacyi, napisana przez człowieka, który wszystkie trzy zabory poznał bodaj czy nie dokładniej od niejednego Polaka, a przytem ma szczere współczucie z nami, oparte na zdrowem pojęciu rzeczy społecznych.*

Marius-Ary Leblond: La Pologne vivante. (Une renaissance active sous l'horreur des persecutions, le drame du progrès national, la nationalité. la religion, la langue et la littérature, la vie économique) (Paris — Librairie académique Perrin et Cie — 1910). *Książce tej poświęcimy obszerniejszą recenzyę;*

*

Sfinks. Miesięcznik art. literacki i naukowy pod red. Wład. Bukowińskiego.

Przegląd Narodowy. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym i naukowym, społecznym, literackim i artystycznym; pod kierownictwem Zygmunta Balickiego. (Red. Jerzy Gościcki).

Przegląd polski. *Miesięcznik artyst. literacki i naukowy wychodzący w Krakowie pod. red. prof. Jerzego hr. Mycielskiego.*

La Nouvelle Revue Fraçaise. Revue mensuelle de litérature et de critique. (Comité de direction J. Copeau, A. Ruyters, J. Schlumberger).

Les Poèmes (Sommaire: Hélène Picard, La Plainte — Emile Boissier, Poème — Roger Vincent, Mors Amoris — Fernand Caüet, Poème — Maurice Guyot, Crépuscule — André Lafon, Poèmes — Marcel Martinet, Sonnets — Seb. Charles Leconte, La célébration des Mystères du verbe — Chroniques — Revues et Notes — Les livres). *Zeszyt czasopisma wychodzącego od 8-iu lat, co 2 miesiące — Directeur: L. Cubelier de Beynae — adres: Paris 36 rue des Martyrs — 5 fr. rocznie.*

Część druga. — Wczoraj.

Listy

(do Karola Maszkowskiego).

Paryż dnia 8ego Lipca 1891 rp.

Kochany Karolu! nie dziw się że ci w pierwszej chwili nie odpowiedziałem, ale to moje milczenie nie miało oznaczać niechęci do pisania, ale jedynie powód miało w tem, że zajęcia inne były mi przeszkodą. — Tak bowiem dzień cały mam wypełniony, że doprawdy na korespondentkę tobym zawsze czas znalazł, ale do listu zwłaszcza po dłuższem niepisaniu to już prawdziwie zabrać się trzeba. Ale dzisiaj jestem w takiem usposobieniu, żebym co innego nie mógł robić, spróbuję więc pisać, może mi to co pomoże. — Bo nie myśl aby skoro się już raz wyjedzie z Krakowa i skoro raz jest się gdzieindziej, aby się kłopoty wszelkie skończyć miały, aby się wszelkie niepokoje miały usunąć. — One powoli zaczynają się i tutaj zjawiać, a co gorsza że od nich już uciec nie można, tylko się do nich trzeba przyzwyczaić. Nie powiedziałbym aby to było złe takie oswajanie się z codziennością, ale jeśli się wśród tego znajdą niepokoje, dotyczące sztuki, to jest czasem bardzo męczące. — Z tem wszystkiem konstatuję jeden fakt stanowczy, tj. że zacząłem już malować, i mam stałe postanowienie fakt ten zamienić w akcyę stałą, którąby trwała lat parę, bo rzeczywiście lat kilku potrzeba, aby to co się wymaluje mogło być od początku do końca dobre.— Otóż ta wątpliwość, czy się nareszcie do tego dojdzie, to wyczekiwanie z dnia na dzień, gdzie jeden dzień pogodny a drugi pochmurny, takie chwianie się i kołysanie, coś podobnego do ruchu falowego, to właśnie ma swoje przyjemne i przykre strony. Ale też to falowanie umysłu jest główną jak mi się wydaje cechą Paryża. Wrażenie podobne, jak kiedy się płynie

łódką małą wśród szerokiej wody, wznosząc się i opadając za biegiem każdej fali — gdzie każdej chwili można się znaleźć w niebezpieczeństwie — coś jakby wypoczynek wśród ustawicznego chaosu. — Jest to bardzo przyjemne ale i bardzo śliskie. Co to z tego będzie za parę lat, Zeno chyba jeden byłby w stanie odgadnąć — udaję się tymczasem pod opiekę Psychy i proszę cię pozdrów odemnie tę, która stoi w gabinecie uniwersytetu i zanieś jej parę róż odemnie, jako błagalną ofiarę, z prośbą o równowagę dla moich myśli. — Nie jeden raz byś żałował że nie ma cię razem z nami, gdybyś wiedział czem się zajmujemy i jak my tu żyjemy. — Na takie pytania radbym odpowiadać jak najogólniej, bo każda im ogólniejsza odpowiedź będzie prawdziwą, a nie zdejmie uroku z naszego oddalenia. — Wszak ci to już tłómaczyłem że każde słowo powiedziane o kilkadziesiąt mil dalej nabiera innego wyglądu. — — Mówisz, że chcesz wiedzieć więcej niż kto inny.... Niezaprzeczenie, ale zważ, że gdy ja ci powiem jedno najskromniejsze słowo, to w twej imaginacyi urośnie z niego wiele więcej niż jest w rzeczywistości i że rzeczywiście trzebaby parę lat odstępu, aby rzeczywistość twojej imaginacyi dorównała. — Jednem słowem nie chciałbym cię drażnić wiadomościami, które dla innych są zresztą potrzebne. — Pozwól niech płyną dnie za dniami, niech i lata płyną, a zostaw nas za mgłami nieprzejrzystemi. — —

Jeśli chcesz, bardzo chętnie będę ci donosić o wszystkiem, co dotycze sztuki, teatru, muzyki, boć to jest główną rzeczą, dla której tu siedzę, i której wpływowi się poddaję. — —

Z wielką a wielką ciekawością, z przyjemnością oczekuję na każdą wiadomość od ciebie, a zwłaszcza teraz, gdy od ciebie wyczekuję słowa stanowczego. Radbym abyś je sam powiedział. — Tak samo ja jak i ty czujesz dobrze, że do napisania jedynie fakt się kwalifikuje, że wszystko inne jest za mdłe, za słabe, że należy je raczej przemilczeć, przeczekać, dając lepiej znać o samym fakcie, — ale znów z drugiej strony widzę, że właśnie u ciebie potrzeba jest tego głośnego myślenia, że właśnie skoro masz sposobność pisać dłużej — przychodzą ci na myśl rzeczy, o których przedtem nie wiedziałeś tak dobrze, iż w tobie istnieją. — Niezaprzeczenie że każdemu brakuje techniki i tę trzeba wyrobić sobie, ale sposobu myślenia przecież nie zmienisz. — Fantazya zatem, ta sama fantazya, która bierze u ciebie górę nad rozsądkiem powinna cię popchnąć naprzód i oto co się nazywa oddać się sztuce.

Żaden rozsądny naprawdę człowiek tego nie zrobi, ale niech mi

wolno będzie nie zazdrościć mu wyboru... Jestem szczęśliwy z mojemi błędami.

— — Gdyby o to chodziło, możeby się nawet udało znaleźć te słowa u jakiego filozofa starożytnego, możeby się nawet wśród fragmentów rzeźb udało odszukać jego głowę, którąby można potem z większym lub mniejszym efektem rysować; nawet z użyciem tła czarnego. — — — — —

Spryt tylko cały leży w tem, aby mając pewien znaczny zapas wykształcenia, nie odrzucać go na bok, ale oparłszy się na nim, jako na pewnej podstawie silnej, żądać poparcia od tych, którzy są w stanie go udzielić. Należy w to wierzyć, że zawodu być nie powinno. — —

Jeszcze jest jedna kwestya. Kwestya własnej satysfakcyi. — Tę zawsze mieć można pracując sumiennie i rozważnie i idąc jedynie za własnem zdaniem. — Brak środków. Krzyczą na wszystkie strony, — a czyż to co złego być trochę w niedostatku — to jest nawet potrzebne—inaczej się nie można wyrobić i nie można nabrać inaczej tej wyrozumiałości dla wszystkich i na wszystko jak właśnie przechodząc przez taką samowolną drogę.—Niech ci się zdaje, że idzie przed tobą figura allegoryczna, że ona ci toruje drogę i że przed nią musi ustąpić wszystko.—Tę allegoryę nie każdy dostrzeże, ale kto raz zobaczy jej usta rozchylone uśmiechem rozkosznym, jej oczy płomieniejące — ten z pewnością pójdzie za nią. — — —

Mówią, że życie jest krótkie — wartoż go sobie jeszcze psuć... Należy sobie powiedzieć. Jestem, więc mam racyę bytu. Nie mogę zginąć wprzód niż to jest mojem przeznaczeniem. Pokierować je według własnej woli, leży w ręku każdego — bo wszakżesz mamy własną wolę. — Niech się przeszkody nazywają jak chcą, niech przybierają na się postać jak najuprzejmiejszą, tem szybciej należy się wyśliznąć z ich rąk... — Te postacie ociężałe, powolne, nie znoszą żadnego silniejszego błysku, który mógłby być jakimś urokiem otoczony. — Przecież chyba wolisz naturalne drżące światełko robaczka świętojańskiego — niż latarnię wbitą na słup i świecącą zawsze o tej samej porze, zawsze w tem samem miejscu. —

— — — Może to być i dziwne — ale nie dla mnie. To jedno wiem, że na wspak czytać tego nie można. —

Prawda i to, że ktoinny napisałby ci może w sposób inny, ale ja nie umiem inaczej — wszak chodzi naprzód o umysłową przemianę a do serca mówić inaczej nie można jak przez serce. — Nie bój się, nie bój się, i jeszcze raz ci powiem nie obawiaj się bo na oczekiwaniu i wahaniu czas tracisz, a to jedyny jak na razie twój

majątek. — Odsuń się trochę od wszystkich — bądź jak najczęściej i jak najdłużej sam. Niema nad to większej przyjemności. — Wtenczas każdy dźwięk dosłyszany zdala będzie wyrazem piękna w twojej imaginacyi. Każdy kolor dostroi się do harmonii fantastycznej, — będzie, to świat złudzeń — świat, co jest nieprawdą, — ale tak piękny dla wyobraźni: Wejście do niego jest rodzajem ślubu, którego złamać nie wolno —

— — — No i ty się wahasz wejść do niego. Zdaje mi się że wytężając słuch mógłbyś usłyszeć te półtony czarodziejskiej muzyki — możebyś przed oczyma twojej wyobraźni spostrzegł znów tę postać piękną, jasną. — — —

Paryż dnia 17ego Lipca 1891 r.

Kochany Karolu! Na dowód że ciągle myślimy tutaj o tobie posyłamy ci dwa obrazy Puvis de Chavannes, których oryginałów wprawdzie nigdzieśmy nie widzieli, ale że są piękne to nam zupełnie wystarcza. — Kiedy przy innej sposobności przyślemy ci może te sceny z życia św. Genowefy, które on malował w Panteonie. — W każdym razie ze załączonych fotografii, spostrzeżesz jego typ postaci kobiecych i jego komponowanie naturalne i proste, jakby w takt własnej myśli spokojnej i fantazyjnej — bo nie szukanej w naturze ale wysnutej z głowy artysty... On naturę tłómaczy na swój sposób pięknie, spokojnie ją przedstawia, powiedziałby kto że idealizuje. Zanadto ten wyraz jest nadużyty abym go do niego chciał zastosować. — Podobno najpiękniejszym, jak mówi Mehoffer — jest fresk, który Puvis namalował w klatce schodowej domu Bonnata. (Ja go jeszcze nie widziałem ale naturalnie muszę się tam kiedy wybrać. — Sorbona jeszcze nie otwarta (nowy gmach) aby można podziwiać jego fresk umieszczony w hemicyklu.

Dzisiaj były exponowane grands prix de Rome. w jednej ze sal Szkoły Sztuk Pięknych... Będzie je można zwiedzać przez parę dni przed osądzeniem prac. — We wspaniałej sali są umieszczone, sala cała zawieszona kopiami z Rzymu, wogóle z włoskich mistrzów renesansu. — Między kopiami rzeczywiście pięknie malowane przez Baudrego i jest ich stosunkowo najwięcej (ze scen Syxtyńskiej kaplicy). — — Dopiero tutaj naprzykład widać jak się francuzcy malarze kształcą — — wyjeżdża do Rzymu (wogóle do Włoch) człowiek, który już dużo umie: i jeszcze tam kopiuje i uczy się, pozostawiając dla kraju rozumną swoich studyów pamiątkę. — Jak sobie pomyślałem w tej chwili że nasza szkoła posiada jedyny rysunek Stattlera owego

Adama kolosalnego, który jest umieszczony gdzieś na szóstym kursie, to może się zrobić przykro.

Otóż należałoby abyśmy parę takich studyów porządnych przynieśli. — — Oglądając w operze we foyer freski Baudrego, owe postacie 9ciu muz — przypomniałem sobie jakeśmy je oglądali kiedyś wieczór u ciebie w domu. — —

Ale wracam do prix de Rome. —

Otóż za temat było: Philemon i Baucis przyjmują Jowisza u siebie na uczcie. Jest przytem i Hermes. Staruszkowie chcąc go uczcić gęsią, łapią ją a ona chroni się do stóp Zeusa. — W porównaniu z innemi latami wypadły obrazy fatalnie. Zaledwie dwa z pomiędzy dziesięciu które się wyróżniają, jeden studyowaniem natury trochę przesadnem ale oryginalnem — drugi spokojem i prostotą, gdzie zwłaszcza piękną jest postać staruszki. — Oprócz tych dwu dobrych — reszta nie świetna — a parę prawdziwie szkaradnych, — tak że nie byliśmy wcale oczarowani tem cośmy widzieli. — — Wpadło mi na myśl, czyby nie było dobrą rzeczą gdybyś ty np. zabrał się do zrobienia i obmyślenia tej kompozycyi i do zaniesienia jej Matejce. — Byłaby to rzecz na czasie — a miałbyś odrazu studyum dla siebie; bo myślałem i nad tem, że rzeczywiście z daleko większą otuchą i chęcią rysuje się studya, które mają służyć do jakiejś kompozycyi niż luźne akty akademickie. — W każdym razie powinieneś zrobić koniecznie kilka dużych szkiców kompozycyjnych — — a nic się nie żenuj, tylko rysuj jedną po drugiej. — Hendel nas opuścił przed dwoma dniami żegnając już Paryż na zawsze. — Na zawsze jak na zawsze, ale na parę lat w każdym razie. — Pojechał przez Chantilly (zamek wspaniały i stajnie) do Amiens. — Następnie pojedzie do Reims, (dałem mu adresy hotelów.) — Szczęśliwy człowiek że może sobie odbyć podróż dosyć daleką — bo będzie jeszcze w Kolonii i Norymberdze. — W Comédie française grają w niedzielę Brytannicusa Racinea oraz walkę kobiet. Na jeden wieczór 10 aktów; — zatem idziemy. — Dzisiaj zaś będziemy widzieć „Afrykankę“ w operze. —

Wspominał ci Józek w liście swoim o 14 Lipca. Rzeczywiście prześliczne i wspaniałe można było wynieść wrażenie w tym dniu, mianowicie biorąc całą tę zabawę bardzo ogólnie, uważając ludzi jako masy, grupy, obrazy i. t. d. — — Prawdziwie operowe efekta światła i cienia były przy oświetleniu wieży Eifel, gdzie scena przypominała grozę kompozycyi Rochegrossa. Pod wieżą Eifel w[?] jest murawa śliczna, strzyżona — uozdobiona posągami i wazami kamiennemi. — Nad nią wysoko na 130 metrów wznosi się żelazne sklepienie wieży. — Cała

ta murawa zasłana ludźmi, rozłożonymi na niej w pozach najwygodniejszych i my wśród nich. Dokoła płonie tysiące lampek — w głębi biją kolorowe fontanny — za nami, za tłumem ludzi most na Sekwanie i pałac Trocadero, gorejący światłami i wyglądający jak owe kryształowe pałace podwodne o których mówią bajki i powieści indyjskie. — I nagle wśród krzyku tysiąca ludzi całe sklepienie to żelazne nad nami płonie pąsowem światłem. — Przyszło nam w owej chwili na myśl że ztamtąd do piekła niedaleko. — Przypominają się sceny z Fausta. — — — Albo te tańce po ulicach — na każdym placu — na wielu nawet małych uliczkach poustawiane estrady z muzyką — a tłumy falując w takt walcu lub polki tańczyły. — Np. przed operą był widok wspaniały; tańczono nawet na terasie przed operą. Tłumy ludzi na schodach przy jej wejściu... — Należałoby o tem mówić dużo aby wszelkie szczegóły opowiedzieć — blisko do trzeciej w nocy chodziliśmy po mieście przez oba te dnie. 13 i 14 Lipca. Co dwa dni trwała zabawa i bale uliczne — a chorągiewek jeszcze dzisiaj nie pozdejmowano. —

— Przez ten tydzień malujemy starego jakiegoś Francuza, który jest prawdziwym typem Galla starego, jakby z obrazów Cormona. Naszymi profesorami są Blom już stary dosyć (malował w Panteonie sceny z życia Clodwika) i Courtois zwłaszcza ten ostatni bardzo energicznie się do nas bierze, żądając aby chwytać ogólne wrażenie kolorytu — a nie bawić się szczegółami, — aby oceniać należycie wartość świateł i porównywać je ze sobą, na różnych partyach ciała, nie wprowadzać za dużo półtonów — itd. —

Na przyszły tydzień znów zdaje się będzie modelka. — —

Pół okna mamy już skończone — i wkrótce je poślemy do p. Stryjeńskiego. — —

Dowiadujemy się że kościół już podobno ukończony. — Oczekujemy od ciebie częstszych wiadomości.

Stanisław. —

Koniecznie a koniecznie wykonaj kilka kompozycyi — pozdrów brata odemnie. —

Uściskaj Wujostwa odemnie. Naszemu [?] światu powiedz że nam tutaj jest dobrze. — — —

20 Lipca 1891.

Kochany Karolu! Nie odzywasz się do nas, o co mamy żal do ciebie. — Na Afrykance dostaliśmy złe miejsce a zatem cały czas przepędziliśmy we foyer oglądając malowanie Baudrego i urządzenie

opery. — Wczoraj byliśmy w Comédie française na „Britannicusie“ Racine'a, aktor Marais grał przepysznie Nerona. Agrippina była wyborną Rzymianką w grze p. Malck. [?] Zato krytyka w tutejszych dziennikach bardzo ostro występuje przeciw nowej sztuce jaką daje Teatr français: „Article 231.“ ze względu na brak sensu i treść nie nową, tak że nawet nie mamy odwagi pójść zobaczyć. — Wczoraj również w ten sam wieczór co Britannicusa grano „Walkę kobiet“. byliśmy bardzo ucieszeni mogąc porównać grę p. Broisat artystki tutejszej z grą Modrzejewskiej. — Naturalnie Modrzejewska górą — zato ensemble reszty był prawie zupełnie dobry. — —

Pojutrze grają w operze „Aidę“. — Byłem wczoraj w Louvrze. przyglądałem się specyalnie obrazom włoskim. Rzeczywiście, to największe skarby Louvru. Apollo i Marsyas Rafaela przecudowny. — Przez ten tydzień malujemy młodego atletę, który się lubi popisywać ze swojemi mięśniami. — Modelek ładnych mnogo. — Pozdrów Wujostwa i brata. — Złóż od nas uszanowanie prof. Łuszczkiewiczowi i p. Sokołowskiemu. —

[3ci 8. 1891.]

Kochany Karolu. Dobrze czynisz że nam piszesz o waszej wycieczce, ale piszesz za mało o rzeczach interesujących a za dużo rozpaczasz żeś nie jest we Włoszech. Pamiętaj, że kto na to zasługuje może być każdej chwili we Włoszech, bo i od tego są koleje żelazne. Na to się żyje żeby się czegoś dokonało, należy zatem szukać środków. Twoje wanderjahre już powinieneś uważać za skończone, należałoby rozpocząć lehrjahre. Bardzo to naturalne że w dzisiejszych stosunkach postępuje się inaczej niż w XV. wieku. — Jak tylko mam czas wolny chodzę wciąż do Panteonu, dla podziwiania fresków. Żeby to u nas kiedy można tak chodzić wśród ścian pomalowanych Wawelu, Collegium novum i. t. d. Myślę nawet o miejskiej sali w magistracie, gdzieby można przedstawić całą historyę Krakowa. — We czwartek będę w Sorbonie oglądał freski które są tylko w ten dzień dla publiczności dostępne. — Zatem ci o nich we czwartek napiszę. — W Komedyi francuzkiej grają Hernaniego (Victora Hugo) ale że wczoraj były tłumy, więc idziemy dopiero w piątek. — Wogóle teraz teatra wszelkie odpoczywają. — Czytam obecnie Prometeusza Aischylosa. — Pozdrowienie dla całego grona podróżników.

Stanisław Wyspiański.

13 Sierpnia 1891.

Kochany Karolu! Pisałem do Tarnowa, Rzeszowa i Przeworska korespondentki, jeśliś ich nie otrzymał to leżą tam na poczcie. Za list ci dziękuję. Właśnie przed godziną wysłałem do ciebie kartkę ale jeszcze pod starym adresem. Byłem w Sorbonie i wieczorem napiszę ci list o malowaniach. Cieszę się niezmiernie tonem jaki panuje w twoim liście i humorem, jak również wiadomością że wiele rysujesz, mianowicie owe wnętrza perspektywiczne. To wyrabia pojęcie o masach i o przestrzeni. — Ale na miłość boską Karolu zwracaj się do koła siebie — na naturę — rysuj po ulicach, po plantach, — bo sam nie wiesz jak ci takie rzeczy będą rychło mogły być potrzebne — a jeśli się niema mnóstwa rysunków chwytanych z natury, tego kompozycya nie zastąpi. Nie bądź nikim innym tylko uganiającym się za naturą.

Stanisław Wyspiański.

17 Sierpień 1891. Paryż.

Wiesz co, że wracam do owego projektu z teatrem. Rzeczywiście że ponieważ masz zamiar być malarzem, a zatem musisz mieć swoje idee malarskie i swoje malarskie cele już dzisiaj, nie potrzebujesz na nic czekać ani sobie pozwól komu mówić żeś powinien na nie czekać aż do zupełnego wykształcenia się. Należałoby zkąd dostać dokładne pomiary tych pól które mają być malowane i rozważywszy je z planem razem, spróbować kompozycyi kolorowych, odnośnych i odpowiednich. — Mógłbyś to wykonać na 1/10 lub 1/5 naturalnej wielkości. — Wtenczas byś zobaczył trudności i przyjemności, a bierz się tylko śmiało. — lub jeśli nie chcesz teatru, to przecież masz w szkole sztuk pięknych wspaniałą klatkę schodową. Możesz zrobić próby kompozycyjne akwarellą i zanieść je do Matejki. —

Stanisław Wyspiański.

Paris. Sierpień 1891 rp.

Kochany Karolu. Jakże się czujesz na swojem mieszkaniu. Gdybym wiedział że zrobisz to co ci poradzę, tobym ci mówił z większą śmiałością; bo tylko przy wykonywaniu i w ciągu pracy mógłbyś się przekonać, że rada moja jest dobra. Mianowicie abyś jaką kompozycyę twoją wykonał kolorami i w dużym formacie. Abyś się kolorów nie bał i abyś z pomysłami nie czekał. Niema większej przyjemności jak

widzieć jakąś kompozycyę własną ubraną barwami, żyjącą? ustawione figury w pewnej masie powietrza, mające pewne zdecydowane formy. — Szkoda że cię niema tu z nami razem — ale nie uspokoję się wprzódy, aż mi doniesiesz że zrobiłeś jakąś dużą kompozycyę akwarellami. — Zatem śmiało się zabierz. — Możeby nieźle było wywiedzieć się o kształcie foyer teatru krakow. nowego i skomponować dekoracyę obrazową. Przecież to mógłbyś zrobić. Mów ze Stryjeńskim.

Stanisław Wyspiański.

Jak zobaczę że co rozpocząłeś to będę pisać dużo.

19 Sierpnia 1891 r.

Kochany Karolu! Dzisiaj rano odebrałem twój list z opisem wycieczki, ze wzmianką o kościele. Za mało piszesz o sobie. — Nie rysuj wciąż jednego modela i temu co rysujesz każ wykonywać pozy jakich potrzebujesz do kompozycyi. — Harmonia kolorów to nie jest żaden frazes. Jest rzeczą niesłychanie trudną założyć kolorami duży płat papieru, jeśli tych kolorów szuka się w pamięci a nie kopiuje się z natury. — Radzę ci się brać do tego zaraz, abyś nie potrzebował przechodzić takich kłopotów, przez jakie my teraz przechodzimy. Właśnie w połowie mamy ukończone nasze kompozycye. — Możebyś przyszedł zobaczyć, jeśli masz czas... Trochę to dalej do nas niż na koniec Długiej ulicy. — Za jakiś czas wytłómaczę ci obszernie. — Pozdrów odemnie mego modela. — Nie ma nic przyjemniejszego jak zrobić to, o czem się myślało. Radzę ci abyś nie pomiatał kolorami i abyś się brał do akwarelli.

Stanisław Wyspiański.

23 Sierpień. 1891 rp.

Jest to widok na jedną z najpiękniejszej części Paryża i na pierwszym planie pont des arts, prowadzący od palais d' Institut, gdzie 40 nieśmiertelnych, do Louvru, (na kwadratowe podwórze). Na jego ławeczkach siadujemy codzień wieczór, obserwując prześliczne zachody słońca.— W głębi po lewej szersze ramie Sekwany i wiele mostów w oddali, — z prawej w głębi kanał węższy Sekwany. — Na rzece parowce suwają. — jednego z nich ślad na wodzie zostawił grube smugi na fotografii (u dołu z prawej.) — W środku St. Chapelle (wieżyczka) i Notre Dame... — Widok ten wzięty z dachu Louvru. — Również z dachu Louvru wzięty i następny ale w stronę przeciwną bo na sam Louvre. —

W głębi pawilon główny. — Z przodu z prawej grande galerie des peintures (gdzie Rubensy i Teniersy), z lewej pawilony dostawione za Napoleona I. i Napoleona III. W środku pomnik Gambetty, za nim dwa koła z drzewami — na pierwszym planie ślad linii która się ciągnie półkołem i ma w środku łuk tryumfalny, po bokach 2 statuy. (jedną z nich widać — przez środek tego placu. Z prawej ku lewej chodzimy do Komedyi francuzkiej. Mein Liebchen was willst du n. m.

[Opis załączonej fotografii Paryża].

26 Sierpnia 1891 rp.

Kochany Karolu! Dziękuję ci za opis kaplicy Zygmuntowskiej. Z Panem L. gadaj o ile możności jak najmniej i bądź częściej sam niż z kimkolwiek. — Mówiliśmy tu wczoraj o dekoracyi teatru. Najgłówniejsza uwaga iż trzeba rzecz dostosować do oświetlenia wieczornego i że przy takiem świetle kolory się zmieniają.

— Przez kompozycyę rozumiem kolory i ustawienie światła, a nigdy kompozycyę rysunkową. — Jedynie od kolorów należy zacząć komponować a zresztą maluj sobie co chcesz i tylko taka może mieć wartość. — Dziwię się że ci w szkole (Klatka schodowa) miejsca brakuje dla kompozycyi. Tam właśnie powinien być spokój a miejsce potrzeba sobie stworzyć układem obrazu, rozłożeniem figur. — Na tle winny być dalekie, bardzo dalekie pejzaże. I otóż właśnie powód dla którego mówiłem ci że należy malować pejzaże z natury i obserwować efekta świateł słońca — jak się w te płaty kolorów zmieniają. Twój list czytałem pod statuą Voltaire'a — w głębi miałem widok na przepyszny zachód złoto żółty. Co za pyszne sylwety drzew jeszcze zielonych i sinego Louvru. — Muszę ci jednak zaznaczyć że w szkole, to musisz się ograniczyć do jednej trzeciej części tych ścian i tego sufitu.

Stanisław Wyspiański.

30ego Sierpnia 1891.

Po całodziennem zajęciu nic przyjemniejszego nad przechadzki po boulevarach... po ogrodach i t. d... Szkoda nieraz że ciebie niema, bobyś pomiędzy nas wniósł jakieś nowe spostrzeżenia, bo my się nie zawsze zgodzić możemy, patrząc z dwu zupełnie różnych sposobów widzenia. Pamiętaj więc o tem że koniecznie musisz przyjechać. — Dobrze żeś porozwieszał u siebie na ścianach fotografie (ale je poprzypinaj poprostu pineskami na wysokość głowy), tak jak był u nas przed mie-

siącem cały pokoik katedrami udekorowany a jak jest obecnie jedna tylko Venus z Milos. Ale i jej panowanie niedługo się skończy. — Czyś już wykonał jaki szkic kompozycyjny kolorami? Powiadam ci, że skoro zrobisz jeden, zabierzesz się do drugiego tem śmielej. — Mam różne na ten temat plany i projekta, ale zaczekam aż na twoją odpowiedź donoszącą mi o jakimś fakcie dokonanym. — Tymczasem pisz co się w Krakowie dzieje. Czy się wszystko kręci około ciebie. Radbym cię raz widzieć jak wylecisz po stycznej z tego koła.

S. W.

31 Sierpnia 1891.

Wczoraj odebrałem twój list gdzie piszesz o malowaniu. Nie uważam za potrzebne abyś się trapił, bądź spokojny jak Anglik i czekaj a byłoby bardzo dobrze abyś po tygodniu malowania przerwał olejno — i zaczął co innego, a za jakie 3 dni znowu wrócił ale nie patrząc na poprzednie swoje roboty i nawet na nic nie zaglądając. W ten sposób wyrobić sobie można coraz delikatniejsze pojęcie barw. Że jesteś niecierpliwy to wierzę, i temu się nie dziwię. — Sprzeciwiam się jednak temu komponowaniu bez koloru. — Jeśli się myśli o teatrze trzeba zaczynać od kolorów.

Podoba mi się że się zachwycasz kompozycyą bez aparatu, który w rezultacie wygląda zawsze śmiesznie i trzeba go gadaniem dopiero pozorować a i to gadanie może jeszcze nie być przyjęte. — — Dobrze, że mówisz jakoby nie miałeś długo wysiedzieć w Krakowie. Jak zrobisz kompozycyę kolorami i po ukończeniu jej przyszlesz mi malenki z niej zrobiony rysuneczek zakolorowany, to ci poszlę kilka wspaniałych fotografii z fresków Baudrego z opery. — Czekam zatem bardzo cierpliwie. — Idź czasem wieczór do Wujostwa.

Stanisław Wyspiański.

modela mego pozdrów odemnie jeśli się z nim widzisz. —

8 Września 1891. Paris.

Milion rzeczy chciałbym ci powiedzieć Kochany Karolu... Co teraz zrobisz z uniwersytetem. — My się nad tem namyślaliśmy i radzimy aby się nie zapisać na kursa uniwersytetu. Coby zaś było najlepsze, to gdyby cię już wcale w Krakowie nie było — w chwili gdy Sokołowski zacznie wykłady. Byłby już zresztą czas największy raz się upomnieć o stypendium u Matejki, aby módz wyjechać na razie do Wiednia

chociażby. Czy już masz jakie rezultaty z twojego rysowania. — W ogóle nie powinieneś zasypiać twojej sprawy, ale postawić ją przed Matejką jako kwestyę bieżącą, bo inaczej znów nic dla siebie nie zrobisz. — Władysław Małachowski, ten którego u mnie widziałeś jedzie do Ameryki i będzie po drodze w Paryżu a zatem będzie się widział z nami. Obecnie jest także w Krakowie. — — Nie mogę zrozumieć dla czego nie piszesz, bo już jesteśmy spragnieni oddawna jakiego listu od ciebie. Wczoraj widzieliśmy się z Janem Opieńskim i pójdziemy razem do Opéra comique na „Carmen“. — Z kolegów naszych jest tu Y. którego babka tutaj mieszka. — — Nieraz to mi się zdaje że nie jestem tak daleko od wszystkich. Mam nieraz złudzenie że jestem nie w obczyźnie. Gdybyś tutaj był razem z nami, tobyś dopiero zrozumiał dlaczego.

Stanisław Wyspiański.

11 Września 1891 rp.

Kochany Karolu. Cieszę się żeś wciągnął Henrysia w koło twoich marzeń, jak z drugiej strony że on ciebie opanował swojemi projektami. — To co ja mówiłem o komponowaniu kolorami może tylko wtenczas mieć miejsce jeśli się rzeczywiście miało wrażenia kolorowe lub kolorystyczne (bo to dwie różne rzeczy!) i jako takie należy je uwzględnić. — Zresztą jak Matejce gotowy rysunek zaniesiesz to przecież nie będzie wiedział jakeś to robił. Toż nareszcie o to nigdy nie chodzi jak co jest zrobione — tylko jakie robi wrażenie. Wczoraj znów byłem w Sorbonie i miałem znowu prawdziwą rozkosz oglądając klatkę schodową całą pomalowaną. — My tutaj teraz dosyć smutne dnie spędzamy. — Może temu winno moje usposobienie. Martwi nas że p. Stryjeński tak dawno nam nic nie napisał. — Wczoraj widziałem w Odeonie Cyrulika Sewilskiego. Przedwczoraj zaś „Hernaniego“ w Komedyi francuzkiej. Y. był u nas z wizytą i pojechał.

Stanisław W.

Paris 15ego Września 1891 rp.

Louvre. Przebiegłszy szybko dużą salę podłużną gdzie niegdyś Molière wobec dworu Ludwika grał swoich Mizantropów i Świętoszków, a gdzie dzisiaj pomieszczone ułomki klasycznej starożytności, wchodzę do przyciemnionego corridoru a zeń na prawo bije odrazu

w oczy blask dekorowanej sali, mianowicie plafon, i odrazu pociągają ku sobie kolory. Sufit jest beczką ściętą cokolwiek powyżej środka. Ogólny efekt dekoracyi złoty, malowań oliwkowy, dosyć nawet ciemny.— Część dekoracyjna obejmuje złocone ramy i płaskorzeźby, których treść dosyć luźna, zdaje się odnosić częścią do polowania a zkądinąd znowu zaczepiać o temat klasyczny (mianowicie w polach większych prostokątnych.). Malowania umieszczone są w środku sufitu, duży kwadrat ujęty bogatemi złotemi ramami. Ogólny ton oliwkowo złoty malowań, w jednej połowie przechodzący ku ciemnemu fioletowi.

Nieznacznie wybija się czerwony ciemny płat bez świateł i drugi delikatny lilla niebieski jasny cieniowany pomarańczowo. — treścią tego obrazu jest Diana biegnąca przed tron Zeusa skarżyć się na kogoś. w głębi widać jeszcze Atenę, Junonę i Aurorę. Ta ostatnia bardzo powiewna i na dalekim już planie obrazu znaczona tylko masami światła i cienia tam gdzie widne jej ciało (co przypomina Prudhona) cała owiana w gazy i tiule kołowemi liniami, wsparta na łuku różnobarwnej tęczy wygląda bardzo dobrze i naturalnie odnośnie do swego traktowania najlepiej z całego kadru. — W ogóle to pole na suficie nie jest kompozycyą zadawalniającą, a już błędem wielkim jest to że zupełnie nie liczy się z plafonem. — Zato pola boczne ujęte półkolem i już na samych ścianach pomieszczone są o wiele lepsze jako kompozycye i mają nawet partye bardzo piękne, jak np. dwie figury dziewcząt około starca (wyobrażającego wiedzę) leżącego które się wychylają ciekawie z za drzewa przyglądając się temu co się dzieje na pierwszym planie.

Ciało tej dziewczyny malowane przejrzysto a pomimo [to] odrzynające się ciemną sylwetą na tle nieba i dalekiego blado niebieskiego pejzażu, oraz jej główka delikatna, zmoczone włosy i wplątane w nie liście szuwaru, są najładniejszą partyą całego obrazu, bo reszta tj. Diana, jej nimfy, psy i jakiś atletyczny heros nagi, w eleganckiej pozycyi tańca wcale nie warte uwagi. Biała sukienka Diany, miluchny kolor różowy u jednej z nimf na sukience opasanej przewiązką zielonawo żółtą, są jako plamy kolorowe jedyną zaletą.

Po stronie przeciwnej i pejzaż lepszy, bo obejmuje dalekie plany, i kolorów więcej bo każda z figur, których jest mało (a to właśnie dobrze) wybija się jakąś barwą. Co też jest rozumne w całości obrazu to że tło ciemne o tonie złotawo oliwkowym pozwala na uwydatnienie każdej barwy jaką się do obrazu wprowadzi. — Dominuje duży płat biały ubrany lilla kolorem, dalej niebieski jasny z żółtem — i dwie odmiany czerwonych barw. Wszystkie kolory wybornie zharmonizo-

wane do ogólnego tonu oliwkowo złotawego. — Figury w tym obrazie nie są za wielkie, bo cokolwiek tylko wyższe od naturalnej wielkości.



W ogóle rzeźba jest najlepsza z całej dekoracyi, ale że zależy nam na malowaniach, więc przechodząc do następnej sali wspomnę ci tylko tyle, że tutaj są pomieszczone owe śliczne fragmenta z wyspy Thasos, tutaj owa metopa ze świątyni Jowisza Olimpijskiego (Hercules zwyciężający byka kreteńskiego) i płaskorzeźba tak piękna z pod Farsale w Tessalii, bo te dwie dziewczęta, z których jedna trzyma w ręku owoc a druga kwiat. Przypominasz je sobie zapewne!

Sala następna jest okrągła i chociaż złoceń więcej i dekoracya szumniejsza, nie ma już tak delikatnych rzeźb jak poprzednia. — Rotunda ta jest przykryta kopułą uwieńczoną zwierciadlanym plafonem. w kopule tej powycinane różnorodne łuki i nisze stosownie do załamywań się ścian i odnośnie do komunikacyi z następnemi salami. — Figury kobiece większe niż naturalnej wielkości całe ubrane w szaty złote wiążą festony ciągnące [się] dokoła sufitu i pomieszczonych na nim medalionów; medaliony te wyobrażające rzeźbę rozmaitych epok i ludów, podtrzymywane są przez putta zupełnie nagie a więc całkiem białe, bo wogóle ciała wszystkich tych rzeźb w silnym reliefie odstępujących od płaszczyzny plafona są białe i uwydatniają pięknie ruchy figur, znacząc się wyraźnie na kremowem tle reszty ścian. Cóż za bogaty fryz obiega dokoła owalny obraz środka plafona a jak on się załamuje przy czterech medalionach i jaka masa członkowań złotych skupia się w tem miejscu.

Sama treść tego fryzu bardzo prosta i znana i dawna, ale sutość cała polega na tej ilości złoceń, które przy kremowem tle występują prześlicznie.



Mam nadzieję że ci kiedy opiszę znowu części rzeźbione i wogóle dekoracyę plastyczną Louvru, więc na razie przechodzę do plafonu i do jego kolorów, bo rzeczywiście byłoby dobrze abyś coś wiedział o plafonach Louvru zabierając się do tego rodzaju kompozycyi. —

Obraz tej sali jest owalny i liczy się już cokolwiek z warunkami umieszczenia ale jeszcze niezupełnie. Ogólny ton jest różowo-żółty przez pół niebieskawo siny. — W chmurach pokazuje się Zeus, Athene, trzy parki, i trzy alegoryczne postacie: rzeźba, malarstwo i architektura, (te trzy ostatnie figurki jako kompozycya wyglądają bardzo ładnie zgrupowane,) oraz czas (tempus) z kosą, skrzydłami i t. d.... Mleczno ceglana szata Zeusa, jasno brązowa jednej z park występują jako duże płaty; — prócz nich dwie grupy barw delikatniejszych, które się już nie tak wiele wybijają. — Te kolorki delikatne, te półkolorki zwłaszcza bardzo mile oddziaływają na całość. —



Przez wysoką, otwartą arkadę wspaniały widok do sali następnej. Która, podłużna, ponieważ ma okna tylko z jednej strony jest cokolwiek w półcieniu, ale że jest w niej mnóstwo złoceń na stropie i słońce właśnie świeci do niej, reflexami

oświetla się prześlicznie Te jakieś linie gięte, esowate wolut, ram obejmujących malowania, fryzów tak się odbłyskują w tym ogólnym półcieniu iż wchodzi się do niej jak do złotego zaklętego pałacu. — Przychodzi na myśl, że szkoda tych sal pięknych na pomieszczenie w nich antyków. Tutaj by potrzeba było całego szeregu mebli wieku XVII. tutaj by potrzeba było dworu Ludwików i tych strojów jakie się widzi w komedyach Molièra.

Sala trzecia. —

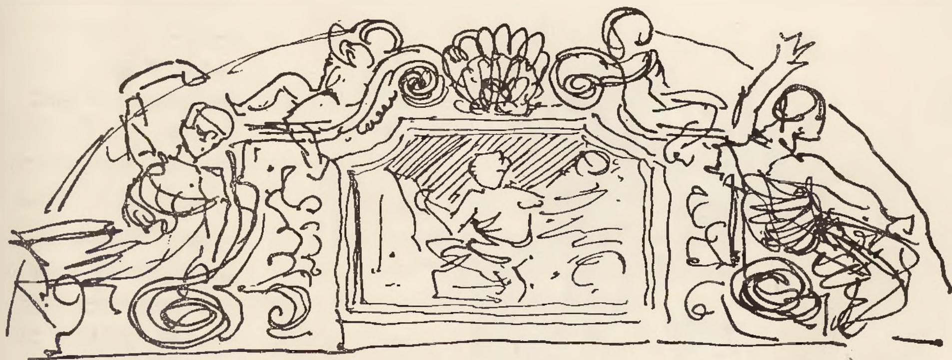
Jest tu w tej sali nowość bo prócz obrazów na beczkowem sklepieniu znajdują się płaskorzeźby malowane na kolor miedzi i obrazy mniejsze malowane dwoma tylko kolorami t. j. żółtym i czerwonym na tle białem... z wprowadzeniem modelunku jak na płaskorzeźbach... Obraz środkowy choć dobrze rysowany wcale nie świetny ani w pomyśle, (jakaś apoteoza praw Rzymu, alegorie, geniusze, justitia z wagami, w tem wszystkiem Minerwa, jakaś kobieta o rysach twarzy przypominających Józefinę cesarzową, jakiś lew, trochę owoców i amorków. Wreszcie dwu poważnych senatorów w purpurach... piękny kolor lakowy). — Nie mam w zasadzie nic przeciwko tym wszystkim figurom ale nie widzę potrzeby ustawiania ich wszystkich razem. — Co tu



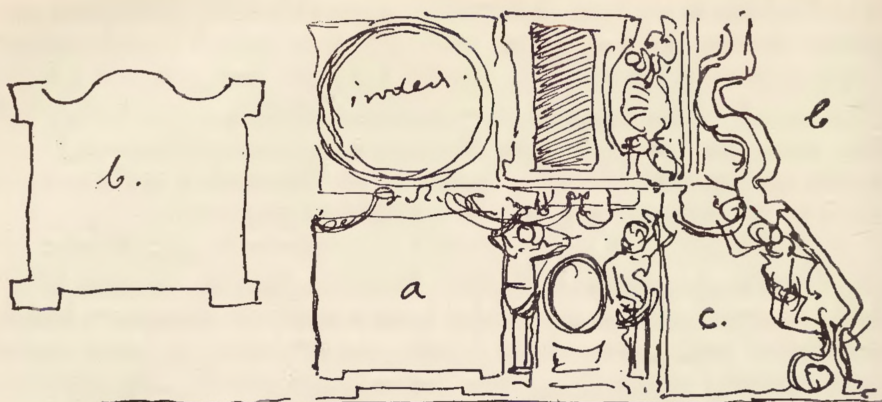
jest ładne to figura naga kobieca w białej zasłonie i dwie główki aniołków. — z kolorów uwydatnia się na tle szarawo-białem, ów wspomniany czerwony... dalej zielony cieniowany żółtem, i morelowy

z niebieskim, w ogóle to kolorystycznie ani ładne ani ujmujące, a jako plafon do niczego. — Dlatego wolę mówić o polach innych, mianowicie tych malowanych tylko dwoma kolorami. Jest ich trzy a wszystkie przedstawiają rzeźbę, jako kobietę z dłutem i młotkiem, obok niej geniuszka i masę gratów, akcessoryi, które rzecz tłómaczą. Jest to rzeźba, rzeźba we Francyi, rzeźba we Włoszech i w Grecyi jak dopiero po bliższem rozpatrzeniu się można rozpoznać.

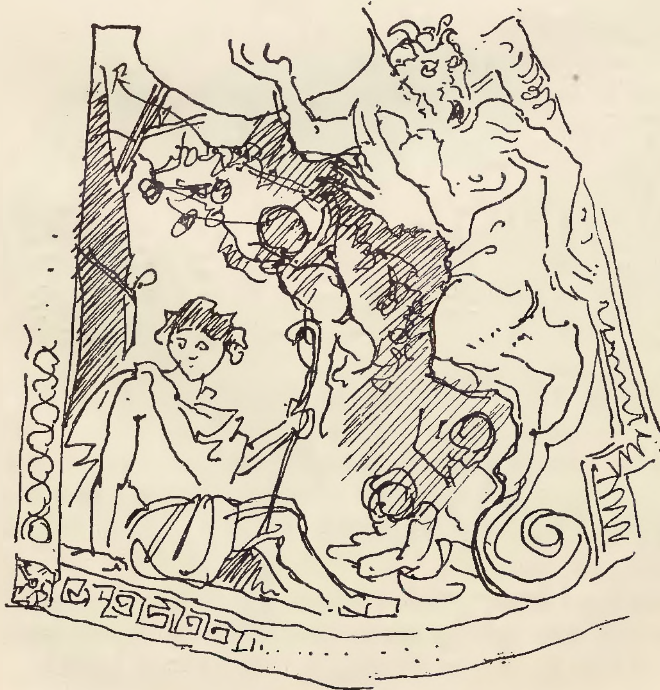
Pojęcie tych figur dosyć banalne i modelowanie nie świetne ale barwy tych pól bardzo się pięknie dostrajają do złota, draperye dosyć lekko i okrągło rysowane i widać że są z miękkich materyi. — Jeszcze jest jedno pole gdzie około biustu starożytnego i mnóstwa rupieci rzeźbiarskich i architektonicznych, tańczą małe amorki. Tło czerwone, żółto amarantowe ale nie zbyt ciemne, na niem figurki białe cieniowane szaro z żółtemi skrzydełkami. — W ogóle ich zgrupowanie jest dosyć ładne, podają sobie ręce i biegną wśród palm. — — Powiedzieć wypada że każde z tych pól jest bogatemi ujęte ramami z muszlami, wolutami na których siedzą figury mocno wypukłe w złotych szatach, na których wieszają się i czepiają putta i dzieciaki małe podtrzymujące medaliony z pelikanami żywiącemi swoje młode. —



Sala ta nazywa się salą Mecenasa, z niej widzę już następną z plafonem, gdzie widocznie obrazy zajmą ważniejsze miejsce w udekorowaniu a błękitna barwa trochę z odcieniem liliowym już z daleka rzuca się w oczy, jako ton nadająca całości. — Rzeczywiście kompozycye te są piękne — plamy kolorowe wydatne, kolor niebieski, różowy i żółty (odcienie właściwe Giulio Romano) przeważa. — Treść odnosi się do Apollina i Diany, oraz czterech pór roku. Oto rozkład całego stropu, aż do ścian pionowych — (ponieważ się ściana łukiem zatacza, więc pole a = b co do rozmiarów, chociaż inne formą).



W kole środkowem Apollo i Diana (na tle chmur szarych i blasku złotego barwa różowa ze światłami żółtemi i cieniami czerwonemi — oraz niebieska również ze światłami żółtemi.) — W polach a i b, których jest razem cztery umieszczono Apolla i Marsyasa (kiedy go przywiązują do drzewa), Apolla wieńczącego Muzy. — Akteona kiedy ucieka przed Dianą. (Diana i jej nimfy, chociaż ich ruchy są trochę pozami ale wcale wdzięcznie zgrupowane.) oraz zdaje mi się że Diana i śpiący Endymion. — Pejzażu dosyć wiele chociaż sztucznego, na drzewach porozwieszane draperye różowe co charakterystycznie wygląda dla epoki. Czasem pojawi się bardzo miły kolor liliowy w światłach różowy aż do białego...



W polach c., których jest ró-

wnież cztery, są pory roku — tutaj to taką ważną rolę odgrywa barwa błękitno liliowa niebios, bo obraz zdaje się być otworem w sklepieniu i już cokolwiek zastosowany do miejsca. Figury nie są widoczne całe, widać jakieś poręcze kamienne. Postacie aniołków bardzo urozmaicają całość — szkoda że są takie tłuste i nie mają tego uroku dzieciństwa, ale zdają się — jak im z min widać — już czasem wiedzieć za dużo.

Od tych kompozycyi sala ta nazywa się (salle des saisons) salą pór roku. W niej są biusty cesarzów rzymskich, oraz ich posągi tak samo jak i we czterech następnych. Sala piąta z rzędu jest mała i kolumnadą złączona z dalszemi. — Ale chociaż mała również jest bogata niezwykle w rzeźbę i ornamentacyę — — wszystko co sobie można wyobrazić tutaj jest. Festony złote z owoców i kwiatów, kartelusze podtrzymywane przez anioły, rozety z których rozwijają się sploty renesansowych [?] i zwoje, tropaiony ze zbroic, hełmów, łuków, kołczanów, przeróżnych dzid i toporów, jakieś figury rzeźbione kobiece w sutych szatach malowane na kolor brązu, miedziany (płaskorzeźby), — jakieś postacie olbrzymie starców, wyobrażających rzeki, trzymają oni w rękach okręty, to konwie z wodą, to stery od łodzi, to wiosła. Siedzą na lwach lub owocach. Nad nimi złote winne grona i t. d.

16 Września 1891. Louvre.

Sala ta piąta z rzędu nazywa się salą pokoju (salle de la paix) i odnośnie do tego zastosowane są kompozycye. Mianowicie pole owalne na sklepieniu wyobraża Marsa, Hermesa i Minerwę w obłokach z akcessoryami w ręku, nad nimi trzech aniołków utrzymujących koronę niezwykle dużą... We figurze Marsa ładne zestawienie kolorów (lilla, różowy, ziel. i żółty) wyblakłych, sukienka Minerwy pięknie drapowana w podpięciach, a barwa jej niebieska we światłach mleczna najwięcej ubiera całość, żółty daleko rozwiany płaszcz Merkurego ciemny, doskonale dostraja się do tej masy złota, jaka cały obraz otacza... dzieciaki liche i mają banalnie niezwykle nóżki poustawiane. —

W innych dwu polach wyobrażony jest geniusz pokoju (kobieta) gaszący pochodnię, otoczony zbrojami, hełmami, i t. d. — szerokością traktowania przypomina Rafaela (alegorye ze stanz) a barwa różowa w dużym płacie zestawiona z białą koszulką wygląda bardzo pięknie i rzeczywiście robi wrażenie spokojne. — Ogólny ton całości srebrzysto-żółtawy. — — —

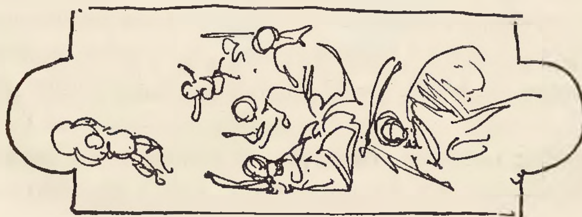
Po drugiej stronie postać obfitości rozdziela ze swego kosza owoce i zboże. W głębi morze dalekie, na którego falach zjawia się Neptun.

postać kobieca ma draperyę błękitno lillową ze światłami białemi i płaszcz żółty ciemny, i dekoruje doskonale całe to pole. — Neptun w różowym płaszczyku na tle bladziuchnego morza, które wcale nie jest straszne...

Jakżeż by tę scenę inaczej pojął Böcklin, już sobie wyobrażam silną, niebieską, zieloną, ciemną, wyrazistą plamę morza, gdzieby czuć było głębie — już sobie wyobrażam tego starca o przenikliwych oczach świdrujących z pomoczonemi włosami, jak z całego jego ciała woda w strumieniach spływa; jak konie jego wozu byłyby rzeczywiście morskiemi tworami fantastycznemi, jakieby morze samo wymyślić potrafiło. — Albo jakżeby inaczej pojął Maignon tę samą scenę. Ileżby tu było świetności bogactw roślinnych z podmorskich głębin, tych muszli lśniących z tęczowemi barwami. i. t. d.



Sala następna zapowiada się bardzo świetnie bo kompozycye już większe, zajmują pola duże podłużne...



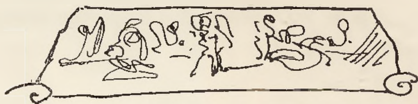
Sufit.

Na plafonie sufitu jakieś trzy allegoryczne postacie, z których jedna, poezya z lirą w ręku, swobodnie bardzo

oparta dosyć może się podobać, oraz druga, zdaje się filozofia z księgą w ręku wskazująca[?] na niebo, prostotą układu. Z tych wszystkich głów męzkich banalnych jakie tu na ścianach widzę, malowanych z pamięci wyróżnia się głowa „czasu“ bo widać że malowana z natury. Tło niebieskie jasne, na niem rozrzucone różowe i żółte barwy. —

Zato pod każdym względem piękne kolorystycznie wydaje mi się pole podłużne gdzie wyobrażone porwanie Sabinek. Zaledwie jest trzy kolory które się odznaczają (niebieski, czerwony i różowy) dużemi płatami, ale wyobraź sobie całą gamę półkolorów utrzymanych w tonie jednym żółtym, jak one łączą owe duże płaty ze sobą. Białego lub białawego tonu jest tutaj wiele co dodaje jasności i połysku obrazowi. —

Doprawdy że tak mi się to podoba, że muszę przyjść kiedy tutaj specyalnie zrobić z tej kompozycyi kolorów kopię akwarellową. — oto jej kształt ogólny. —



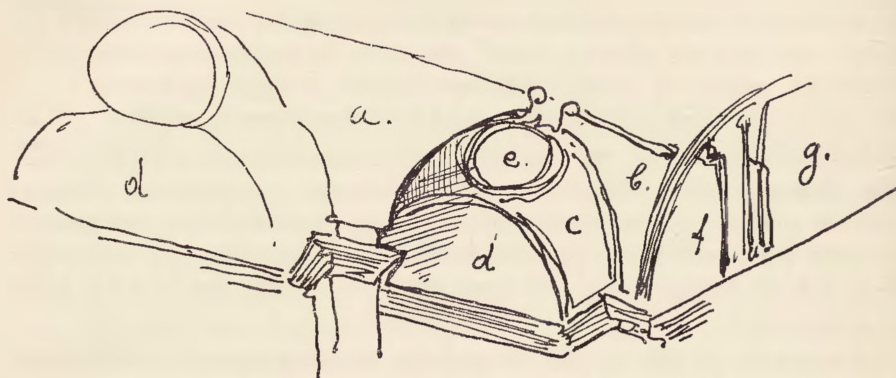
Drugie pole tak samo duże już mniej piękne i mniej jednostajne, uwydatnia zato efekt jednej tylko barwy niebieskiej (postać kobiety na tle dużego namiotu fioletowego). Dwa inne pola mniejsze Mucius Scaevola i Cincinnatus (kolor czerwony w pierwszem ceglany w drugiem żółty ciemny przeważają.—).

Co rzeczywiście można się nauczyć tutaj, to tej śmiałości w położeniu koloru, tej pewności przywiązanej do samejże barwy. — Niech ona dominuje, niech się rzuca w oczy. Na to jest barwa aby ciągnęła ku sobie. Dopiero wtenczas może jakiś kolor opanować, jak jest dużym płatem wybijającym się ponad inne. —

Sala następna nazywa się salle des antonins. Jej dekoracya jest znowu piękna a tem chętniej się na nią patrzy że nietylko kompozycye malarskie ale i rzeźba prezentuje się lepiej niż w sali poprzedniej. Sklepienia już samego forma bogatsza bo z lunetami.

W polach a, których jest cztery umieszczone rzeźbione postacie allegoryczne z koronami, wieńcami, trąbami, sztandarami, palmami, w złotych szatach jak zawsze (ciało ich białe). W polach b. małe aniołki trzymające oliwne gałązki, odpowiadają one (ponieważ są w narożach sali) figurom kobiecym siedzącym w polach f.. Trudno odgadnąć znaczenie właściwe tych figur; jest tam niby przemysł z kaduceusem i orłem, jest agricultura ze sierpem i kłosami, jest jakaś kobieta z rogiem obfitości, inna trzymająca plan architektoniczny. — Ale jest mi wszystko jedno jak się nazywają —

widzę że są dobrze rzeźbione, że są strojne, bogate, że same mogą wiele, więc i drugim rozdzielają. —



Pola c wypełnione są ornamentacyjnemi splotami renesansowemi, a reszta pól jest dopiero malowaniem. — Mianowicie pola d zamknięte półkolami (jest ich sześć) oraz pola e które są kółkami i jest ich sześć. —

W polach półkolistych większych są wyobrażone cnoty: a więc czystość, prawda, sława — dalej wiedza, prawo i pokój (czy sprawiedliwość), siła i miarkowanie. —

Najlepiej prezentują się pierwsze trzy. Czystość jako poważna niewiasta, która odgania amora od jakiegoś dziewczęcia roznamiętnionego. Na tle draperya zielona dosyć ciemna rozchyla się w połowie i widać niebo blade. —

Modelunek figur bardzo dobry i dosyć wyrazisty, widać nawet pewne usiłowania aby pogodzić się z oświetleniem jakie jest w sali, (mianowicie okna są niżej niż owe pola; coś podobnego jak w Mantui gdzie owe freski Mantegni.) — Z tego nawet powodu zdaje mi się wprowadził i owe zasłony zielone na tło, aby nie dopuszczały światła z zewnątrz.

Różowa suknia prawdy, pokazującej zwierciadło jakiejś kobiecie z wężem wydaje się doskonale na owem tle zielonem. —

Postać sławy w białej szacie długiej przewiązanej tuż pod piersiami (jak noszono za dyrektoryatu bo i uczesanie też podobne) z mieczami w ręku, z purpurą przerzuconą przez kolana, ręką wskazuje na tarczę srebrną z napisem „gloire“. Trzech amorków podaje jej strzały swoje i wyciąga do niej ręce. — Pomimo wszystkiego pole to ze sławą jest mniej dekoratywne niż inne i widać że przez kogo innego malowane, bo jakkolwiek kolor biały jest tutaj piękny i dosyć wi-

doczny, za dużo jest już szczegółów, za dużo drobnostek uwagę rozstrzela a są tylko niespokojne; w tem też polu nie na tle zielonej zasłony i zdaje się że to jest błąd główny tej kompozycyi. —

W polach kolistych (e) małych, które są traktowane jako otwory ku niebiosom wprost jest jakby rodzaj balustrady zawsze [sic] (perspektywa stosuje się do środka sali) z poza której widać latające aniołki z klepsydrami, wiankami, wagami, wazami i t. d. — czasem są otulone w miękki płat draperyi kolorowej, co na tle błękitu wygląda doskonale. —





Sklepienie samo jest prostokątem długim podzielonym na dwie części z polami ośmiobocznemi. Rozdzielają je fryzy roślin renesansowych z rozetami; w narożach delfiny złote na tłach białych. —

Pole pierwsze: wiara, nadzieja, miłość i sprawiedliwość (kolory: morelowy cieniowany czerwono z lillową sukienką; niebieskie ze światłami białemi również z koszulką lillową o światłach żółtych; zielony dosyć płowy z różowo wiśniowym bladym; oraz biały na tle żółtych promieni.) — Wszystko to razem wygląda bardzo dobrze i dekoruje doskonale. Zato pole drugie, które jako kompozycya może mieć większą wartość zupełnie nie odpowiada warunkom dekoracyjności, bo ani jednego koloru tam nie ma. Są masy ciała, są głowy charakterystyczne, ale barw niema, a nawet rysunkowo rozkładem światła i cienia niczego

nie zapowiadają, chociaż temat zdaje się być piękny, bo wyobraża duchy niezgody strącone z niebios, gdzie panuje pokój. —

Wreszcie po dwu stronach sali w polach g. śmierć Holofernesa i Estera mdlejąca przed królem, — w obydwu polach dominują kolory niebieskie na tłach fioletowych. — —

Sala ostatnia w tej części Louvru na dole, podłużna i wielka z lunetami i niszami nazywa się salą Augusta. — Dekoracya rzeźbiarska nie wprowadza dużo figur tym razem, ale brązowe medaliony (z historyi rzymskiej sceny) otoczone troefami i panopliami.

Na plafonie, który jest malowany 1868 roku jest dosyć kolorów rozrzuconych, ale zanadto mdłych, przyczem kompozya cała nie wiele sensu obejmująca, robi takie wrażenie że szkoda plafonu, że szkoda miejsca. — Tutaj na środku sali stoi posąg mówcy, ten z ręką podniesioną ku głowie i draperyą na lewej. — Dokoła posągi i popiersia Cezarów. —

Ponad temi salami na dole jest odpowiedni im szereg sal na piętrze, gdzie również są plafonowe malowania. Najwybitniejsza z tych sal to właśnie galerya Apolina z obrazem Delacroixa, oraz innemi Lebruna. Reszta sal które dzisiaj przechodziłem, już wszystkie się nie potrafią podobać. Już nie ma w nich tej świeżości piękna jaka była w owych dekoracyach Romanellego na dole. Są to malowania po większej części datujące z roku 1826 lub 1827, odnoszące się do odkryć naukowych, lub do historyi sztuki, ale komponowane w sposób dosyć banalny, a czasem jeśli pomysł był dobry to wykonanie ciężkie i takie jakieś wleczone za włosy. — Galerya Apollina od góry do dołu jest dekorowana ale po dokładnem rozpatrzeniu się w niej przechodzi się do ocenienia że właściwie tylko wierzchnia jej część jest piękna, dolna zaś szablonowa i bez artystycznej wartości. — Wyróżniają się z części dolnej tylko gobeliny na których wyobrażone portrety artystów francuzkich. — Reszta jest ornamentacyą malowaną lub rzeźbioną bez wielkiego sensu, tak że nawet na nią nie można patrzeć. —

Zato część górna (sklepienie beczkowe) gdzie dokoła obrazów lub medalionów brązowych, masy figur rzeźbionych, wyobrażająch smoki zodyaku, nimfy, bożki i boginie różnego rodzaju, saisony i pory roku, miesiące i zajęcia ludzi odmienne w różnych porach roku; Zato część górna jest bardzo piękna i wspaniała. — Sklepienie jest podzielone na pola różnych kształtów i form a ramy które je otaczają lśnią się od złota i strojności. — —

Kompozycya Delacroixa zdaleka już wybija się właściwą mu barwą niebieską i czerwoną, dosyć silną. — Wogóle jednak malowania wydają

się brązowo ciemne, nieraz nawet czarne a jako takie dodają tylko ponurości sali i wcale jej nie rozjaśniają. —

Przypominasz sobie malowania Primaticia lub Giulia Romana w palazzo del. Thè. I tamte są ciemne w niektórych salach na plafonach, ale zato ratuje je rysunek lub modelunek wspaniały. Te z galeryi Apollona nie mają i modelunku, są więc tylko w ogólnem wrażeniu ciemnemi, nieraz czarnemi płatami. —

Zresztą rzecz znana że jeśli chodzi o przypatrzenie się i studyowanie jak wyglądają wspaniałe dekoracye, to trzeba jechać do Włoch. — Do Włoch, do Włoch, bez zaprzeczenia.

Dobrze jest wiedzieć i widzieć dzisiejsze malarstwo francuzkie na to aby się przekonać że każdy kierunek i każdy sposób patrzenia na naturę może mieć swoje uzasadnienie i jest w stanie złożyć na to dowody. —

Jest dobrze widzieć i poznać dzisiejsze malarstwo francuzkie aby się dowiedzieć że to co się nieraz myśli jest słuszne, że inni tak robią; potrzeba tylko mieć śmiałość być niezależnym. — Ale jeśli chodzi o wewnętrzne zadowolenie rozkoszowania się pięknem kolorów, pięknem linii nie już przetrawionem i przerobionem, ale świeżem i oryginalnem to trzeba jechać do Włoch. —

Mój Boże! Kiedyż ja do Florencyi lub Pizy pojadę, kiedy ja będę raz w tym Rzymie. — Jeśli idę do Louvru, to zawsze siedzę tylko we włoskiej sali. Jak się zobaczy barwy Luiniego lub Perugina to aż oczy się śmieją. Chciałoby się ręce wyciągać do tych główek Botticellego. —

Tymczasem złości mię biorą bo trzeba dosyć cicho siedzieć; no ale może się to odmieni. —

Stanisław Wyspiański.

Pisał do mnie dzisiaj Rydel, za co mu jestem bardzo wdzięczny. Wielką mi sprawił radość swoim listem. — odpiszę mu może jeszcze w tym tygodniu. Jak wnoszę z listu jest obecnie na wsi i o Krakowie jeszcze nie myśli. — Przy sposobności zapytuję ci się jak Kraków na ciebie oddziaływa. — Musi ci być tęskno za teatrem w Wiedniu. —

Paris 25 Września 1891 rp.

Kochany Karolu! Zaczynam pisać, chociaż wiem że prócz paru słów więcej dzisiaj nie zdziałam, ale robię to dla dowiedzenia ci datą że mi wciąż na myśli stoi iż należy się do ciebie odezwać. — Malu-

jesz już drugą głowę. Bardzo to pięknie. — Zachwycony jestem że masz cierpliwość kończyć. — Ja wcale nie miałem na myśli pisać ci retorycznych zwrotów i pytań, któreby miały zostać bez odpowiedzi i bez odźwięku. — Koniecznie trzeba abyś się w Krakowie zaprezentował jaką kompozycyą dużą i należycie wykonaną, którąby ci zajęła ze dwa lub trzy tygodnie czasu ścisłej pracy i nieprzerywanej. — — Zresztą rób co chcesz, ale ja od swego nie odstępuję, i zawsze będę dowodził, że pod tym względem mam racyę. — — Dziękuję ci za wymiary podane plafonów. W Reformie czytałem tutaj wzmiankę o projektowanym konkursie na kurtynę. — bardzoby było pięknie gdyby ta rzecz do skutku przyszła, jako konkurs krakowski,— w którymby wielu artystów udział wziąść mogło. Mógłbyś i ty co skomponować, ale mi nie opisuj swojej kompozycyi, ani się o nasze nie dopytuj, — bo chcąc sam komponować nie powinieneś znać innych. —

27 Września Paris.

Kochany Karolu. Musi to nie być nic szczególnego ta głowa olejna, którą wymalowałeś, jeśli się podoba Dyr. Łuszczkiewiczowi. — Bardzo bym rad widzieć jej wady w kolorycie, bo one według mnie są z pewnością całą jej zaletą. — Chcąc być malarzem z tą samowiedzą, że się chce nim być, to trzeba patrzeć na całą sztukę przeszłości, na ogół, i trzeba sobie znaleźć miejsce oryginalne. — Trzeba się widzieć innym niż poprzedni, innym niż otaczający. — Powiesz mi że tego nie można każdemu powtórzyć co ja mówię. — a ja ci dodam, że ja to każdemu powtórzyć potrafię i choć mi zaprzeczy, to ja będę miał słuszność. — Ach, bo też dalibóg że niech ludziom nie zależy na tem, aby mieli „dobre“ i „poprawne“ obrazy, przed któremi jabym ani na chwilę nie przystanął aby je uwielbiać; niech też malarzom nie chodzi o to aby malowali „dobrze“, „poprawnie“, — a nie wiedzieli, co, gdzie, dla kogo. — Nie pytać się nikogo koło siebie, bo znajdziesz sam fałsz i niedowierzanie, obłudę i tym podobne. — Jeśli chodzi o sztukę, nie zaczepiać o zdanie ludzi, którzy się tej sztuki nie dotknęli. — Oni ją mogą kochać, ale co innego jest miłość, a co innego uszanowanie jakie oni sztuce winni oddać. —

Dlatego to podzielam zdanie twoje, żeś powinien wyjechać z Krakowa i w ogóle pod wpływami krakowskiemi nie zostawać. —

Wprawdzie bardzo pożytecznie i według zdrowego rozsądku byłoby słuchać rad ludzi starszych i doświadczonych, ale według mnie, to cały urok młodości jest właśnie iść za swojem przekonaniem. —

Niech się tam dziwią, kto chce, niech się krzywią, komu się podoba. — Jak masz na oczach wciąż to bóstwo przed sobą, to precz odsuwaj, kto ci zawadza. — Rozumiem że przykrzy ci się samemu teraz, ale póki jeszcze jesteś w Krakowie rysuj i maluj dużo pejzażu, widoków z miasta — scen ulicznych — na plantach — na rynku. Bo to jest życie i tam sztuka powinna się uczyć. — A potrzeba ci się uczyć ideałów sztuki, to pojedziesz do Włoch lub do Grecyi i tam się będziesz uczyć a nie z ust ludzi, co to jak mówi Sienkiewicz „gębę sobie wystrzępili na mówieniu o sztuce". —

Ale, przyszła mi do głowy myśl bardzo ładna, czyby to nie było ładnie, abyśmy się w krótkim czasie wybrali do Włoch. (Florencya, Rzym). — Byłoby to nieźle, ja szukam i oglądam się za funduszami — ale tajemnica bardzo ścisła i absolutnie nie mów o niej nikomu, nawet Stryjeńskiemu. — Jeśli się nie uda, to ci i tak doniosę na czas. — Tymczasem mów mi co słychać z twoim wyjazdem do Monachium — kiedy i za jakie fundusze. — —

Na razie nie mam ci nic więcej do powiedzenia, jak to że życzę ci abyś się zajął komponowaniem kurtyny dla teatru krakowskiego, — bo my też się tą sprawą interesujemy. — Bardzo by pięknie było, gdybyśmy stanęli do konkursu razem. — Nie narzekaj że nie masz czasu, bo kto chce czas mieć, pewnie go znajdzie. —

Przepraszam cię że stronnicę w pół przerywam, ale nie mam czasu, bo się muszę wrócić do moich zajęć, tembardziej że jutro (niedziela) idziemy do Jean Paul Laurence, by mu pokazać nasze szkice akwarellowe, i zarazem przypomnieć mu że nas obiecał przyjąć do swego atelier (to znaczy w poczet kilkudziesięciu swoich uczniów).

Zatem do widzenia.

Stanisław Wyspiański.

[30. IX. 91.]

Jeśli tego nie wyczytałem wyraźnie w twoich listach poprzednich, to sam sobie to wszystko dopowiadałem a wyczekiwałem tak sformułowanego rozumowania za każdą nową wiadomością od ciebie. Są tu do odpowiedzi różne kwestye. Najpierw ogólna, nas trzech razem dotycząca i o tej najwięcej możemy mówić bo sami siebie do pewnego stopnia najlepiej znamy i wiemy jakieśmy sobie postawili zadania. — Dalej druga kwestya jeszcze więcej ogólna, bo dotycząca innych którzy dawniej zrobili tak samo, lub później kiedy tak sobie postąpią. — Wreszcie jeszcze jedna kwestya zważająca rzecz całą ze

stanowiska bardzo rozległego i oddalonego niezmiernie od tych pojęć, jakich musiałeś wysłuchać, a to jest kwestya pojęcia sztuki. — O tej chciałbym mówić. —

Albo się jest artystą bezwiednie i idzie się wciąż tą bezwiedną drogą, albo się to robi ze samowiedzą i postępuje się wciąż z tą samowiedzą, kontrolując swój każdy krok i ruch, każdą myśl. — W tym ostatnim razie wykształcenie i inteligencya (zawsze względna i zależna od stosunków) potrzebuje ciągłego rozwoju i ciągłych wrażeń, dla kontroli swoich myśli i pojęć, potrzebuje ogarnąć całą przeszłość cywilizacyi, aby nareszcie znaleźć dla siebie miejsce. Bo skoro się ma tę samowiedzę kontrolującą wciąż, rodzą się obawy i wytwarza się niepokój, który znajduje równowagę jedynie w otoczeniu się cywilizacyą pełną i rozwiniętą, — żyjąc wśród ludu silnego i pewnego siebie, posiadającego byt niezależny — jednem słowem żyjąc wśród narodu wolnego. — Któż z nas nie czuje niewoli, jaka panuje wciąż w naszym kraju — alboż to nie jest ciężar straszny, przygniatający, okropny. Na to potrzeba silnych, męzkich ramion aby ten ciężar odpierać, aby nie zwalił się i nie przygniótł reszty życia narodowego. — Ale na to nie poradzą siły za młode, dopiero co zbudzone. Precz bym wygnał z kraju wszystkich tych młodych spokojnych wesołych — siedzących nad książkami, precz bym wygnał do obcych: idźcie patrzeć na wolny naród, jak on żyje, jak on czuje, jak on się rozwija, jak umie czcić swoich wodzów, swoich poetów, jak ich rozumie. — Gdzie u nas kto rozumie naszych poetów! — a wszakże oni większą część życia przesiedzieli zagranicą — bo w wolnym kraju, — bo jeśliby wrócili do swojej ziemi, to by jej nie znieśli w pętach i w niewoli. — Wolałbym patrzeć jak giną ci wszyscy młodzi, bobym wiedział że giną dla tej samej świętej sprawy, co młodzież z przed lat trzydziestu. —

Ale bo ja zacząłem mówić o czem innem niż myślałem początkowo. — Dlatego wolę przerwać i nie pisać już nic dalej w tej kwestyi, ani w sprawie dotyczącej uwag, jakie ci wygłaszano. — Pomijam też i to, co dotycze mojego stypendyum, bo uważam to za rzecz tak błahą, że mnie ona nigdy dotknąć ani zmienić nie potrafi, nawet do niczego nakłonić. — Skoro nic nie dostanę (to może będzie nawet i słusznie) będę nic nie miał, czyli że będę musiał sobie sam radzić. — Ach jakże się cieszę na tę myśl, że sam bym mógł zostać. Bez nikogo. — Jakby to trzeba pracować aby mieć żyć z czego. — Ach jakżeż wiem żeby to dla mnie było dobrze, bobym

przynajmniej szedł po własnej drodze, nie licząc się z nikim ani ze żadnemi pojęciami. —

Co się tycze ciebie, radzę ci na razie zgodzić się na to, co Matejko żąda, ale za cenę tej zgody zażądać stypendyum, bo z czegoż byś żył. — przecież oni nie powinni udawać dzieci, i obowiązkiem ich jest wiedzieć, że ty z głodu umierać nie masz prawa. — Z uniwersytetem nie zaczepiaj się na nowo. Powiedz co komu należy i raz się pożegnaj, boby temu nigdy końca nie było — — — licz zawsze na to że nie jesteś jeden, ale że nas jest trzech razem, i że jeśli ma jeden, to znaczy że mają wszyscy. Gdy więc my cokolwiek mieć będziemy, bądź pewien, że możesz zażądać trzeciej części. — Ja jestem tak siebie pewien, że nie mogę znieść aby drudzy mogli sobie pozwolić tak szkodzić. — Ja tutaj dosyć utrzymuję Mehoffera w tem mniemaniu że nas jest trzech, i dlatego każdą kompozycyę obliczoną na jaki gmach zawsze rozdzielam na trzech. — To samo z teatrem. My dwaj będziemy projektować kurtynę (choćby nawet nie było konkursu) to i ty zrób to także, aby na wystawę można było posłać trzy projekta. — Chciałbym wszystkich zadziwić, jak my się razem trzymamy. Ale wierz mi że w tem jednem może być tylko nasza siła, jeśli będziemy stać razem. — My się wcale obecnie źle nie mamy. — Kto ci to mówił, mówił ci niepotrzebnie. W każdym razie ciekaw jestem, jak to dalej będzie i jak się to wszystko rozwinie. — Laurenca nie zastaliśmy w tę niedzielę, ale pójdziemy znów na przyszłą (4ego Paźdź.) może być, że już przyjedzie pod ten czas ze wsi, gdzie dotąd bawi. — Najlepszą radą na wszelkie kłopoty byłoby mieć stałe fundusze, t. j. być zamożnym i zajmować się sztuką. — Wtenczas nie potrzebowałbym ani Laurenców ani nikogo innego, — słuchałbym tylko siebie, a do dzisiaj więcejbym już umiał niż w dzisiejszych warunkach. — Ale to trudno. I na to nigdy nie narzekam ani nikomu nie zazdroszczę. Wierzę w siebie i w moje plany. — Niech sobie drudzy łamią głowę, niech się dziwią. — — — Byłem dzisiaj znowu w Louvrze w sali antyków. Co za prześliczne i przewspaniałe rzeźby. I jak śmie kto utrzymywać że tego nie należy widzieć. — A toże jabym tutaj spędził tych wszystkich malarzy, co babrzą wiecznie po akademiach. Bo też i to, — dopokądże będą jeszcze istniały te kramy sztuki, te obrzydliwe kramy sztuki, te akademie, — gdzie się maluje nagiego modela, a nie widzi się nagiej natury. — Natura to nie model, to nigdy model nie był. — jakże się mylą wszyscy ci co modela studyują ciągle. Człowieka należy studyować, ale nie modela. — Śmiech bierze. — Aby coś podobnego można pomyśleć, trzeba się

znajdować w takiej sali rzeźb klasycznych, w Louvrze. — Szczęśliwi Grecy nie mieli akademii, ale mieli artystów. — Dalibóg że warto marzyć o takich czasach, o takiej ziemi. —

Świat jak szeroki niech nam będzie naturą, — natura jak szeroka i rozległa niech nam będzie pięknem, — piękno jak wielkie i wspaniałe niech nam będzie bogiem. W boga takiego wierzę, bo bóg taki każe wierzyć w siebie. Grecya jest dla mnie ideałem teraz, nic mię tak nie ciągnie jak Grecya, nic tak mię nie oczarowywuje jak rzeźba grecka obecnie. — Pociąga mię też ku sobie i rzeźba rzymska za ostatnich cezarów, ale już w mniejszym stopniu i więcej jako temata do obrazów. — Ale Grecya, Grecya — prawdziwie że staje się panią snów moich. — Te rzeźby z Tasos, muzy i Apollo, gracye. Co za wdzięk, co za urok. A już uroczy ton różowawy, żółtawy tego marmuru. — widać wieki minione, a piękno wiecznie żywe.

Stanisław Wyspiański.

1 Października.

Rozerwałem jeszcze raz kopertę i piszę w dalszym ciągu. Mianowicie z okazyi że Mehoffer pisze do ciebie, do czego go wreszcie nakłoniłem. — Miałbym ci wielką ochotę pisać o naszych kompozycyach i już, już o mało do tego się nie zabiorę, ale mię powstrzymuje to, żeś ty jeszcze żadnej nie wykończył. Skoro więc będziesz miał jaką ukończoną donieś mi natychmiast i opisz ją szczegółowo.— Kiedy przychodzi pierwsza myśl jakiejś kompozycyi, także należy zaraz siąść do pisania i zacząć ją opowiadać. Wtenczas jej zarysy występują wyraźniej przed nami, te lub owe postacie zaczynają naprawdę panować w naszej imaginacyi, widzi się je długi czas, na każdym kroku, wszędzie gdzie się jest, uczuwa się jej wpływ magiczny, zjawia się ona skończona, zupełna, jakby już wymalowana, choć jeszcze tylko w krainie myśli się błąka. — Niema dziwniejszego uczucia jak się dwie myśli zetkną skoro przychodzi nowa kompozycya ze swojemi nowemi bogami i kształtami. — Jak powoli zaciera się forma dawnej, jak staje się sylwetą tylko, z poza której wyłania się postać nowa, aby całą wyobraźnię powołać do swego zrealizowania. — Niedawno doświadczyłem takiego wrażenia bardzo silnego; żałuję że jeszcze nie mogę podać i określić ci jego treści. —

Za to pocieszę cię wiadomością, która może nie jest do dziś dnia dla ciebie nowiną, oto że pan Hendel już zawitał do Krakowa. Będziesz więc mógł korzystać z jego chwil wolnych, aby rozpamiętywać

skarby Paryża. Jest on w bardzo smutnem usposobieniu, gdyż dosyć szybko musiał wracać ze zamierzonej swej podróży — ale on łacno to zapomni, zwłaszcza jak zobaczy, co się dzieje — w Krakowie, cały ten ruch około teatru, ukończony kościół Maryacki, — roboty około kaplicy na Wawelu, zakład Lubomirskich na drodze ku cmentarzowi, — okno maryackie w robocie u Zajdzikowskiego, nie licząc w to zwykłego ruchu budowlanego. — Pokaż mu swoje studya włoskie, on z wielką będzie o nich słuchał ochotą. W ogóle jest to człowiek bardzo szczery i z nim należy postępować szczerze, i tylko tą drogą można go sobie pozyskać. Nie wątpię że skoro się na tej drodze porozumiecie, będziecie mogli przyjemne chwile spędzać — on jest znacznie od ciebie starszy — nie dziw się więc nieraz, że będzie szukał znajomości ludzi sobie wiekiem równych; ale jeśli chodzi o zapał, to nie znajdzie go już w nich, dlatego ty powinieneś mu imponować zapałem, ochotą do przyszłości, do pracy, do rozwoju samodzielnego, do tego parcia naprzód „z wiarą która się ziści" jak zapowiada Asnyk. Otóż trzeba wierzyć, że ta wiara się ziścić musi. —

Powiedz mu że pokoik nasz cokolwiek się zmienił, że fotografie wspaniałych katedr francuzkich znikły ze ściany nad kominkiem, że obecnie panuje tam sroga i śmiała olbrzymia głowa Mojżesza Michała Anioła, że na drzwiach miejsce okna kolorowego (szkicu) zajęła mapa Francyi darowana nam przez niego i że się w niej rozpatrujemy, — że zresztą ściany są puste i że trochę ponuro w naszem mieszkaniu, — że stanowczo brakuje nam kogoś trzeciego i że tego trzeciego uzupełniamy sobie listami naszych kolegów, — że obecnie moje mieszkanie jeszcze wcale nie odpowiada ideałowi wymarzonemu w Krakowie razem z tobą lub razem z Henrysiem. Mój ideał jest taki aby mieć duży pokój o trzech oknach rozdzielonych zasłonami, gdzieby każdy z nas miał osobne miejsce i gdzie w głębi stałoby pianino dla Henrysia; tak a nie inaczej. Ale czyż to się da, czy nam losy na to pozwolą. — bo tak jak jest teraz, jest dla mnie nudno, ja nie potrafię i nie mogę być jednostronnym, mnie prócz malarstwa interesuje wiele innych rzeczy które chciałbym widzieć uosobione koło siebie.

Czuję brak Rydla na każdym kroku i tego wszystkiego co on reprezentuje, a z takiemi brakami do potocznej rozmowy wytrzymać nieraz nie można. A to wszystko dlatego, że mam nadzieję że nasz ideał się spełni, że jeszcze kiedyś tak będzie, jak ja sobie wymarzyłem. —

Rydlowi bym odpisał, ale nie wiem jego dokładnego adresu, jeśli, możesz to mi go donieś. — Zapytuję się ciebie, czy chodzisz jak dawniej rysować po mieście, zaznaczyć tak budowę teatru, jak ci ludzie

pracują, koło niego, notować ich ruchy,—taka scena może posłużyć za fresk w nowym gmachu magistrackim, czy notujesz sceny z targu na rynku Krakow. Kleparskim, bo to także sceny nadające się do sali magistrackiej. Może się to zdawać dziwne na pierwszy rzut oka, ale naturalnie trzeba umieć pochwycić rysy rzeczywiście monumentalne.

Możeby niejednemu prędzej przyszło na myśl malować tam (w sali magistratu) jakie „wjazdy lub wyjazdy“ Łokietka i nie Łokietka. — Mojem zdaniem byłby już czas, zamiast malować wybornego komtura krzyżackiego z modela expressa; malować tego samego expressa, jako człowieka zarobkującego. — Alboż to praca jest niczem wobec historyi. Dajmy spokój temu co zapomniano zrobić w XVI lub XV wieku, a patrzmy dokoła siebie. Za to będą pamiętać o nas później. — Podziękuj Ryśkowi Opieńskiemu za jego list, który mi napisał, bardzo lubię jak kto odpisuje temu, kto mu pisze, a nie adresuje do naszej firmy, tak jakby chciał upiec dwie pieczenie na jednym rożnie.

Stanisław Wyspiański.

8 Października 1891 rp.

Kochany Karolu! Cóż z tobą słychać? jakże ci się powiodło? — próbowałem dziś po raz pierwszy szkicować jednę z moich kompozycyi olejno — — i jestem wielce zapalony do tego; — napiszę ci treść tej kompozycyi wkrótce. — Byłem wczoraj w Odeonie i zachwycony jestem sztuką, którą tam widziałem, z życia rybaków. („La mer“) dzieje się nad morzem. Treść rozdzierająco prawdziwa, grana naturalistycznie po mistrzowsku. — Wrażenie wielkie wywiera. — radbym abyś jaknajprędzej mógł widzieć coś podobnego. — Czy Henryś już wyjechał do Pragi, czy już widziałeś się z panem Hendlem. — Co słychać z twemi kompozycyami. — Czemu mi nie podałeś adresu Rydla, list gotowy dla niego czeka oddawna. —

Stanisław Wyspiański.

20 Października 1891.

Obrazy Poussina w Louvrze. —

1. Bacchanale. Pejzaż dosyć skromny, choć efektowny; te światła słońca zachodzącego chociaż niebo w barwach nieprawdziwe, — ale ładne. — Kobieta grająca na gitarze, twarzyczka miła, policzki różowe; draperya niebieska piękna, efekt prawie Belliniego. — albo ta obok główką portretowaną jakiejś damy z perłami we włosach kasztano-

wych. — Dzieci bardzo naturalne w kształtach i ruchach, trochę za stare i za mądre — — ten malec z maską pyszny, albo ten śpiący przypomina włoskie, choć w ruchu zanadto rozrzucony; bacchusy jedne nudne i dokomponowywane, ale ta kobieta niebieska namyślająca się nad piosenką, którą ma zagrać i przypominająca sobie jej lube strofki, i ta druga słuchająca jej nie po pierwszy raz, z temi dzieciakami i pejzażem robią wrażenie uspokajające i przykuwają — po cóż ta reszta, czy dla całości kompozycyi? — efekt stracony, choć był zaznaczony tak mile. — Ale tableau jest. —

2. Apollo zakochany w Dafne. — jakby Perugina lub kogoś blizkiego jemu ogólny ton całości, — znów ten pejzaż działający efektownie i taki piękny mógłby być w opisie — jak on ładnie składany. — Stada wołów nad rzeką grubą masą się tłoczą. — jakaś nimfa kołysze się na konarach szeroko rozpiętego drzewa, — druga (i ta prawdziwie ładna) w bladej seledynowej draperyi z wieńcem na głowie, suknie trochę rozwiane. — Znów niepotrzebna reszta figur i wrażenie uciekło. — obraz ten jest niedokończony.

3. Zaraza u Filistynów — ton ogółu nie posiadający żadnej grozy, nie odpowiada rzeczy. — Przypominają się opery z melodyjną muzyką a treścią zbrodniczą. — Figury przypominają wprost włoskich malarzy — kilka figur dzieci pociąga rysunkiem i modelowaniem silnem. — — Nudne te ciała anatomiczne nagie. — Tło z architekturą — widać jakieś wspomnienia z Rzymu, kolumny rozwalone, bazy ich porzucone z uwydatnieniem konstrukcyi, pięknie wykonane składają się na istotne wrażenie, jakie malarz odbierał. — Reszta jest kłamstwem, bo nawet wyobraźnia jego nie szła tą drogą, — ale tylko linie. (Wyobraźnia kierowała Delaunay przy peste de Rome z Luxemburgu). — Znów ten kolor niebieski żółtawy na draperyi silnie czarno cieniowanej. — Idźmy bliżej, — są wyraźne kopie głów z Tycyana — poznaje się deklamatorów z Racine'a, główki dziecek rzeczywiście najlepsze; chłopiec za duży w proporcyi i stosunku do innych ale ładny, z białą koszulką. —

4. Orfeusz i Euridice. — Pejzaż i jezioro, raczej dodane z dwu stron niepotrzebnie dwa ciemne kulisy. — Na tle jakaś rekonstrukcya fałszywa zamku św. Anioła — tu i ówdzie pozmieniane. — Lokowanie łodzi w głębi. — Ale są i nimfy na pierwszym planie, całość więcej wymyślona niż inne, bez wdzięku. Orfeusz to Apollo Rafaela tylko de côté. — jest i jakby Virgili przypominający typem Lorenza di Credi, draperya biała szeroka i niezła. — Reszta nic, chyba nimfa siedząca nad rzeką i obrócona nagle ku nam: lekka i oryginalna prawdziwa francuzka.

5. Ślepi z Jerycho. — Tło, pejzaż bez uwagi — Chrystus Andrea del Sarto — jest trochę i szkoły ateńskiej, trochę z tapisseryi Rafaela (ten ślepy z rękoma wyciągniętemi), trochę Tycyana, kobieta z dzieckiem (jeuneusse de Marie z Wenecyi). Mniej warte od innych. —

6. Młody Pyrrhus ocalony. — Za tło efektowna dekoracya trochę wytarta używaniem, zgrupowanie włoskie, chociaż dosyć rozciągnięte, — są figury przypominające pożar Burgu (tłumok jakiś). przypomina Rafaela la vierge au diadême ze salon carré. —

W głębi układ żołnierzy idących do ataku regularny i najlepszy w całości, najwięcej w duchu malarza. — modele to znać już nieco u mężczyzn, ale jeszcze więcej antyku, — są studya gladyatora borgezyjskiego (ten w niebieskiej draperyi).

7. Porwanie Sabinek. Jasne. Giulio Romano odrazu stoi przed oczyma. — Romulus jak aktor deklamuje z togą w ręku. — są typy Rafaela i inne okropnie nudne. — całość może i dobra ale nie mogę na nią patrzeć, ze względu na te reminiscencye.

8. Raj ziemski. — Nareszcie sam pejzaż i efekt prawie żeby był, — tylko dwie figury i nagie. (Poco ten anioł na chmurach.) — jakieś małe jeziorko przegląda z za krzewów, w głębi góry sine i ze śniegiem po jednej, zachód słońca po drugiej stronie, — ale to ładne. — Za duża kulisa z lewej strony, chociaż to niby skała obrosła krzewami. — Adam w peruce XVII. — Ewa wskazuje na niebo niewiedzieć po co — figury liche, a szkoda, bo już był na dobrej drodze. — Tło przypomina traktowanie Mantegni i widać rozmiłowanie włoskie. — Ale ten duży płat seledynu zielonego, trochę obłoków — to piękne, — piękne prawdziwie. — Niech sobie to będzie kompozycyą, czy nie — to jest piękne. —

9. Lato — czy Ruth i Booz — raczej lato ale nie ze swem gorącem ale ze swemi emblematami. — Tło ładne i czyste. — Czego tu niema: jest drzewo na pierwszym planie duże, ale Mantegna z wyraźnemi listkami, z rzuconym kolorem czerwonym lakowym i żółtym (płaszcz Booza) — jest skraj lasu ze świętemi pniami (dobrze) jest ściernisko na równo krajane — (jakże to inaczej maluje Breton w Luxemburgu), jest łan zboża brudno żółty, — są łąki, wikliny, wzgórki z pałacami, góry (Alpy lub Apeniny, ale w każdym razie widok włoski,) i niebo ładnie udane, — za to figury są niczem w tym razie. —

10. Jesień. (posłowie wracający z ziemi obiecanej). Figury nic, ale pejzaż ładnie skomponowany, skalisty, — w wielu częściach z natury, a całość z tem jeziorem szarem w środku, chociaż ponura i posępna dosyć, to pociągająca i chętnie by się tam chciało być wśród

tej okolicy. — Uczucie jakie ten pejzaż sprawia jest jasnem odbiciem duszy i upodobań Poussina, — to jest on sam, — wielka miłość do natury i artystyczne jej pojęcie — trochę pozy, ot w rodzaju hrabiego „udrapowany siadłbym na ruinach“.

11. St. Jean baptisant le peuple. — Przód zajmuje kompozycya figuralna, — ale tło pejzaż daleki — zachód słońca mniej barwny niż u Cima Conegliano ale efektowny, (pomarańczowe niebo, niebiesko sine góry), prawie że byłby zupełnie harmonijny cały, gdyby nie te dodatki sentymentalne z rodzaju Rafaela, za to bardzo szczęśliwie pokręcone drzewa na pierwszym planie. (Kąpiący się żołnierze Michała Anioła — itd. — ale w głębi gromadka ludzi tajemnicza i znów w rodzaju Poussina.

12. Echo i Narcyz. — Dziecko prawie że Fragonard. Echo (postać kobieca) blade, jak widmo, robi wrażenie, — skały z waty, — drzewo brzozowe grube, z natury studyowane, (trzebaby przejść także i rysunki Poussina). Narcyz nie starannie i nie dobitnie rysowany z natury, — draperye liche, ale pomimo tego więcej odczucia tajemniczej sceny, niż w obrazach nowożytnych w salonie, gdzie silą się nieraz na wprowadzenie tych samych scen. Powiedziałbym że światła w dzisiejszych zadużo, — te sceny tajemnicze wymagają półmroku, półcienia. — Dziwna rzecz że ten Poussin ze swojemi wadami tak wielce mnie interesuje. — Można się na jego obrazach przekonać jak dla całości kompozycyi poświęcono osobiste wrażenia i gubiono swe własne upodobania, dla jakichś idei, które po upływie wieku wydają się bezpodstawne. —

21 Października. Louvre. Poussin.

13. Eleazar i Rebeka. — Po tonacyi całości oliwkowej z kilku wydatnemi barwami o właściwym odcieniu można poznać Poussina. (Kolor niebieski ten sam, co później tak był ulubiony przez Lesueura). — Pejzaż więcej interesujący na niebie niż w dolnej części, — oprócz przekształconych lub powtórzonych Rafaelów (nawet co do sylwet twarzy ten sam szeroki rysunek, usta rozchylone, pożar burgu, składy kolorów na sukniach,) jest i typ Bonifacia, — ale prócz tego jedna figura w grupie z prawej strony, która jest Poussinem, i jest śliczna, Francuzka w typie, nie Włoszka, pewien uśmiech ironiczny w twarzy, ruch bardzo swobodny i naturalny i jeśli co przypominający a i to bezwiednie, to antyk, jedną z Muz Euterpe. — zielona barwa ciemna i głęboka sukni, z fioletowo różowym i zielonkawym w światłach ubiorkiem starożytnym; warkocze rozplecione nad czołem, jedną ręką

wsparta na wazie brązowej, drugą podparta w bok, — za nią obelisk, — śliczna, a jak wyborna dla epoki — ona jedna prawdziwa, — reszta niepotrzebna, prawda że musiałoby nie być Eleazara i Rebeki, obraz by się nie mógł „nazywać“ ale wrażenie by sprawiał i byłoby w nim piękno. —

14. Le triomphe de Flore. — Cóż się stało, — gdzież się podział koloryt oryginalny z poprzedniego obrazu, — oto tonacya złotawa, na wskroś złożenie włoskie. Bonifacio, dalibóg że trudno odszukać co oryginalnego, choć wiele rzeczy ładnie przerobionych, — czasem nawet ruch oryginalny ale tak uantyczony z włoska że się zagubił, (dziewczyna zbierająca kwiaty, i druga tańcząca — a szkoda), — są partye z tego powodu godne w układzie Hubnera ckliwego, (np. nimfa na kolanach bacchusa i złączenie z następną grupą).

15. Moïse sauvé des eaux, — pejzaż w rysunku, z tym mostem długim znowu włoski, figury tym razem więcej Poussinowskie, mianowicie ten charakterystyczny stosunek dorosłych do podrostków, — ta jakaś olbrzymiość figur głównych, ładnego tak dalece nic w tem niema.

16. Sąd Salomona. — Znowu Rafaela ciąg dalszy — wcale dobra figura matki, poowijanej w różne chusty i efektowna, — druga jak aktorka z twarzą ucharakteryzowaną według masek starożytnych; — ruchy zresztą manierowane lub Giulo Romano, — ale oto obok widzę znowu Poussina szczerego.

17. Les bergers d' Arcadie. — Figura kobieca i naprzeciw niej męska oparte o grobowiec (reszta nie potrzebna) — przychodzi na myśl Orestes i Elektra u grobu Agamemnona. — Na tle pejzażu posępnego a dalekiego figury bardzo są francuzkie, ona ma ten typ, który się odnajdzie u Prudhona i Dawida, choć trochę dobitniej sformułowany. — Obraz ten pozostaje w pamięci swym spokojem i szlachetnością. —

18. Jawnogrzesznica przed Chrystusem. — Są grupy ze szkoły ateńskiej (około Archimedesa owi młodzieńcy pochyleni), — lewa strona więcej w rodzaju artysty, — jest trochę grozy, — w głębi przechodząca postać kobiety z dzieckiem jako ciemna sylweta b. dobra.

19. Śmierć Saphiry. — Włoskie, na tle Wenecya, prócz Saphiry twarze banalne, — szafowanie z kolorami może za zbytkowne i widać wyraźnie że więcej z upodobania niż z odczucia. —

20. Ale otóż macie Poussina: — znać i wiek XVI jeszcze, ale wielce pojęcie całości oryginalne; dzieci grające w polu, pod wieczór porzucone instrumenta koło nich, ale oryginalność ta zatarła się przy wykonaniu. — Za górami efektownie słońce zachodzi a raczej już

zaszło, jeszcze tylko rozrzuca ostatnie blaski. — Krajobraz nabiera ponurości — muzyka i śpiew tych dzieci musi być uroczy, gdyby go słyszeć można — chociaż w rysunku i tu jest trochę Włochów. —

21. Diogenes (ze salon carré). Duży pejzaż, lasy, góry, potok, woda, obłoki, i. t. d. — figurki małe i dwie tylko nad strumyczkiem na pierwszym planie, — b. dobrze wymalowany i skomponowany, ale o naturze i rzeczywistem wrażeniu nie ma mowy. Figura chciwie pijącego chłopaka, który ręką czerpie wodę posłużyła za wzór jednemu rzeźbiarzowi z Luxemburgu. — Są partye piękne, ale niestety na dekoracye, od której po skończeniu aktu wróci się do natury i zobaczy co innego, — nawet w sztucznym parku „à la bergère" trzebaby szukać takich miejsc — a przecież natura, jakikolwiek zakątek jej, jest piękna i podoba mi się bez tego zmieniania, zagubiania rzeczywistości, na którem się odrazu poznać można. —

Nicolas Poussin 1594 — 1665. — Nie chciałem wierzyć; sądziłem go późniejszym, raz dla tak silnego naśladownictwa, drugi raz dla tak świeżych szczegółów, ruchów, wykonania, — jedynie też te okruchy, te okrawki są jego wartością, jedynie przez nie może żyć i być sobą. — Tam to choć naśladownictwo nie dorówna daremnie obrazom włoskim, — dość tylko przejść przez salę włoską Louvru i pobieżnie rzucić okiem na koloryt i stosunek figur do pejzażu. — Ale w studyowaniu Poussina o cóż mi chodziło, o to żeby zrozumieć gdzie on się właściwie podział, gdzie zaginął w tem nieszczęśliwem naśladownictwie Włochów XVI., a które pewnie współczesnym bardzo się podobało, i może było powodem że go tak ceniono. — Jest to rzecz nie do darowania, jakaż szkoda artysty, który wciąż wyrzekał się, wypierał własnych wrażeń, własnych upodobań, aby się zbliżyć do przelotnego ideału, który mógł być wtedy modą. — To jednak pewna że u Poussina treść obrazu (sujet) nie była rzeczą główną, on figury działające pakował na pierwszy plan i dawał im styl włoski zewnętrzny, podczas kiedy włoskie obrazy rzeczywiście podmiot, treść opanowują także. On miał łatwość w składaniu grup i układaniu, i pomagał sobie w tem Rafaelem, lub kimkolwiek innym ale sam miał upodobania zupełnie inne, widać to czasem w drugorzędnych postaciach, — pejzaż go wielce pociągał, umiał mu nawet nadać właściwy ton zielonkawy siny — ale nawet i tutaj ścigały go wrażenia z malarzy weneckich. — Długo jeszcze po nim artyści szli tą fałszywą drogą, zbywając to co widzieli dokoła siebie, admirując to co już przeszło i przeżuwając. — Mogło to być na razie pożyteczne, lub lubiane, ale

dzisiaj pomija się całe szeregi obrazów takich obojętnie, a jeśli się przed którym stanie, odbywa się sekcyę, która potrafi każden kawałek oddać temu od kogo był wzięty — i skoro rozda się wszystko — przychodzi się zapytać czem był malarz — co do koła niego żyło, w jakim świecie się obracał — co widział, jakie odbierał istotne wrażenia. — Czyż nie był czem innem, jak tylko kombinacyą złożoną z piękności cudzych, — a doprawdy że może być wyborną nauką jak zawsze sądzić będą ludzi, co wchodzą na cudze ścieżki — zresztą nie widziałem innych obrazów Poussina (nie religijnych bo te żadną miarą z pewnością u niego oryginalne nie będą) ani jego rysunków z natury czy szkiców. — Może między niemi odnalazłby się sentyment oryginalny i rzeczywisty, który potem ustrojony we wspaniałe szaty obrazu, skoro włożył koturny i wyszedł na scenę, zapomniał roli i powtarzał za suflerem, stracił żywość i duszę. —

To się mówi o Poussinie, ale to kwestya jest zawsze nowa, zawsze świeża. — Poussin może się wydać oryginalnym dla historyka sztuki, który mu jego miejsce wobec innych wyznaczy, ale ja patrzę na naturę, umiem czytać obrazy. Długa to jest droga od myśli do ręki.

Stanisław Wyspiański.

23 Października Paris 1891. Louvre. Claude Lorrain.

Sale antyku rzeczywiście jedne można studyować, ale na cudzych błędach można się uczyć, — już dzisiaj swoją drogą inaczej pojmuję Poussina, — jako całość już mi się wydaje lepszy niż kiedy go specyalnie przechodziłem. — Wracam do tejże samej sali zobaczyć Claude Lorrain.

1. Mały obrazek, ale już efekt widać; efekt wieczoru; chociaż silne kontrasta obu części nie pozwalają na wydatność zbytnią szczegółów, czuć że to koniec dnia pogodnego dosyć — widzi się naturę dobieraną co prawda, jednak jest to już natura i obrazek jako całość zatrzymuje przy sobie. — Pasterka popędza bydło ku znanej [?] ścieżce, — na pierwszym planie trochę za exotyczne rośliny, w głębi znów jakieś ruiny, — no ale przynajmniej ruiny, nie fantazya. — Szczegółów widać nie wiele; modelunek figurki silny, obserwowany z daleka, — obłoki w kilku częściach za wystrzyżone, za ciężkie ale cała górna część nieba prawie taka jak ją widziałem wczoraj nad Sequaną. —

2. Port przy zachodzie słońca. — Sądziłby ktoś że artysta rzeczywiście siedział w porcie nad brzegiem morza i malował, lub uchwycił te sceny jakie tam mógł widzieć, — otóż nie, — jest to fantazya, jakiś

port wymyślony, wymarzony, elegancki jak dekoracya, słońce świeci na prost, ani mowy o efekcie rzeczywistym, zato jeśli się przyjmie, że to bengalski ogień pomarańczowy, to dobrze, — pałace fantastyczne świeżutkie jak nowe dekoracye do opery; okręta z niezliczoną ilością lin, masztów, sznurów, — i nie to jest, co jest w obrazie rzeczywiście pięknego. Wierzę że artysta widział coś podobnego w naturze, ale te efekta pewnie były żywsze i jaskrawsze, bardziej wrzynające się w pamięć i niezapomniane w zestawieniu kolorów, a nie takie grzeczne jak na jego obrazie. — Zato jest na pierwszym planie jakby scena ze Szekspira, kiedy Pistola biorą Francuzi do niewoli, — jest dalej grupa jakby z flamandzkich obrazów przeniesiona, elegant grający na mandolinie przed dziewczyną; obydwoje siedzą na jakimś kufrze oczekując na przybycie okrętu; otóż dziewczyna bardzo ładniutka, w oliwkowej sukience, efektownie oświetlona, — reszta obrazu — choć starannie architektura rysowana, nie wiele warta, zwłaszcza figurki. Jakież cudowne rzeczy już w Wenecyi można widzieć z podobną treścią a jakie inne kształtem i kolorem.

3. La fête villageoise. — Znów co innego. — Na przodzie skraj lasu — w głębi przewija się wśród dalekich za mglistych trochę pagórków. Drzewa zwłaszcza na lewo bardzo dobrze sylwetowane, pod niemi kobietka na koniu, milutka. Efekt słońca silny, znów zachód — reszta figur i pejzażu nudna, za dużo z pamięci.

4. Znów ten sam most w głębi upodobany przez artystę, i tło chociaż jeszcze za nadto blado sine, ale już lepsze; na przodzie architektura rekonstruująca świątynię niby dorycką, bo z balustradą na frontonie, — nudne straszliwie, bez proporcyi, — palmy i t. d. mają imitować wschód, bo obraz przedstawia właściwie Dawida namaszczonego przez Samuela. — Ale co ładne to pierwszy plan, gdzie resztki kamieni rzeźbionych porzucone, jakieś architrawy i fryzy w ruinie, — ot wrażenia z Włoch lub Francyi południowej, wrażenia rzeczywiste i z natury chwytane, — a obok tego pod wysokiemi drzewami, ponuro i czarno sylwetującemi się, gromadka pasterzy usiadła w cieniu, — a! i ruchy piękne, dwie zwłaszcza bardzo z uczuciem, — jedna jakby nimfa piękna, choć b. naturalna, zamyślona podparła głowę. — Na drugim planie dopiero właściwa scena historyczna, — nudna straszliwie — ale mam szacunek z tego powodu dla artysty że miał odwagę wyrazić swoje niezadowolenie z tematu, który go odrywał od natury i jego usposobieniu nie odpowiadał. —

5. Vue d' un port de mer. — Znowu taki port z architekturą i figurkami drobnemi — nie wiele wart, ale jest grupa rybackiej rodziny

na brzegu, szkoda że tak zbyta i tylko opowiedziana raczej a nie należycie wymalowana.

6. Le gué (bród). — Szkoda że obraz umieszczony tak ciemno, bo choć plan drugi mało prawdziwy, to cały przód obrazu zdaje się być dobrze odczuty i efektowny, bydło przeprawia się przez wodę, słońce już zaszło, spieszą się do domu. — Na przodzie jakieś nimfy zanadto XVII wieczne aby miały się podobać, ale jako punkt jasny w obrazie wyglądają dobrze. —

7. Znów port de mer; — chociaż znów dekoracya z księżycem, ale już figurki na przodzie lepsze w oświetleniu, zresztą bez sensu.

8. Cleopatra, — albo i nie Cleopatra, ani jednej figury, któraby tchnęła naturą, — nic, nic, nic, o ileż wyżej stoi Poussin.

9. Ulysses remet Chryzeis à son père. — Figurki giną w dekoracyi, która żadnego wdzięku nie posiada, — woda dobrze oddana, zwłaszcza w dalszych partyach, bo z przodu niepodobieństwo, aby mogło być w naturze co podobnego. —

10. Vue de campo à Rome, — otóż to co jest piękne, bo to artysta sam i jego upodobanie, malowane z natury, na miejscu prawie. — Choć tam trochę dodane i upiększone, to jednak poznaje się upodobanie i zamiłowanie malarza, — kolumny powalone, kapitele porzucone, łuki tryumfalne porosłe mchem, gmachy w pół rozwalone. —

Otóż to są te ruiny, ruiny przystrojone laurami — dziesięć razy to lepsze, niż fantazye na temat i rekonstrukcye nudne. —

11. Port. Sceny na przodzie tym razem, ruchy naturalniejsze i akcya. —

Gellée Claude, dit Claude Lorrain 1600—1682. — Chcąc o nim powiedzieć w czem jest piękny, byłoby trudno znaleźć [?], skoro tak skąpo zalet w obrazach — skoro prawie zawsze stał na fałszywym gruncie. Kilka partyi pejzażu było pięknych — ale prawie zawsze całość nie do zniesienia, zato częściej umiał pochwycić efekt niż Poussin.

Le Sueur Eustache, (1617—1655) pokazuje się z tego że był bardzo młody zawsze, — ale doprawdy że nieznośny w swoich obrazach, — nieznośniejszy od Guido Reni, bo słabszy w rysunku i naśladujący wielu innych. — Że łączy czasem piękne kolory, że nawet często obrazy jego jako grupy są piękne — to dobrze, — ale gdzie prawda, gdzie natura, — nie ma, — nie ma, — nie ma, — można przejść po kolei jego obrazy.

Jezus pokazujący się Maryi — nieznośny, — draperya: powiedziałby kto że dobre, chociaż niezupełnie — całość dobrze malowana, ale

takiem jest kłamstwem we figurach, w ruchach, w scenie, że złości i śmiech bierze.

Départ de Tobie. — Komedya jakby stary Sylvain z komedyi francuzkiej; — kolory na Tobiaszu ładne.

Chrystus niosący krzyż, o tyle piękne o ile Rafael zrobił to samo lub Kraft. —

Prédication de St Paul à Ephèze. Nie do uwierzenia jak to śmieszne, gdyby nie Rafael, może by co było z tego.

— [?] descente de croix, są tu chwile, gdzie możeby sam artysta potrafił się wydobyć, ale całość jest żadna, — draperye i kolory ładne, — ale mam obraz Tycyana o ileż wyższy a oryginalny.

Zwiastowanie — balet niemal z tradycyami włoskiemi.

Agar na puszczy. Bezwarunkowo więcej wart od tamtych. Agara już nie jest tak włoska, zwłaszcza głowa. —

Jakiś duży nudny obraz z nowego zakonu, bez sensu — bez treści wyraźnej. —

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Ze spuścizny autorki

(wyjątki z listów i zapisków).

Fale ścigające fale, cienie płaczące po cieniach, — oto życie!

*

Z doświadczenia wieloletniego, z usilnych starań o miłość tych, których kochałam, powstało we mnie przekonanie następujące: Jedynemi węzłami łączącemi ludzi silnie i trwale są związki krwi, albo — zmysłów. Przyjaciółmi gorącymi i szczerymi mogą być tylko mąż i żona, kochanek i kochanka, brat i siostra. A stosunki przez które nie przepływa strumień krwi jednej lub potok rozkoszy zmysłowej, — jakkolwiek wyglądałyby z pozoru, są tylko pajęczyną. Niewiesz jakim sposobem i kiedy się to zerwie, lecz zerwie się niezawodnie. Wiatr powieje, fala nadpłynie, skrzydło muszki potrąci i z przędzy cudownej nie pozostaje nic, albo raczej pozostaje garść tego popiołu gorzkiego, które się zwie wspomnieniem. Skazańcem jest ten, kto na przędzach takich zawieszać musi serce...

*

Czego chcesz stary psie? Masz śmietnisko własne, z którego cię nikt nie spędza i jeszcze skomlisz!

Pragniesz aby pogłaskała cię jedna z tych dłoni, które niegdyś miłośnie lizałeś, aby miękko i przyjaźnie spoczęło na tobie oko jednego z tych ludzi, których domu, często bezsenny i znużony w noc ciemną od ognia i złodzieja strzegłeś? Ananasy! Ze szczytu własnego śmietniska swego potocz wzrokiem dokoła! Widzisz w świetle słonecznem, w powietrzu promiennem, na polu żyznem posuwające się pługi? Widzisz w ogrodzie pełnym kwiatów podskakujące i goniące się dzieci? Widzisz jak ci biegną aby uciec z pod nasuwającej się

chmury, a tamci od wrót cmentarnych spiesznie wracają do kolebek? Widzisz tam całujących się a tamtych, którzy się biją, a ówdzie smacznie śpiących, a dalej piekących chleby i marcepany? Czasu niema, powiadam ci, — nikt czasu niema!... Co? mówisz, że niedawno jeszcze był ten ktoś, kto, jak ci się zdawało, miał dla ciebie trochę czasu i serca! Był? — Więc odszedł także? Bardzo rozsądnie uczynił. Spojrz do jak pięknego ogrodu w tej chwili wchodzi!...

*

...Bo daremnie jest się autorką bardzo słynną, daremnie w sercu panuje miłość dla piśmiennictwa i idei różnych, Ojczyzny nadewszystko — zostaje wśród tego wszystkiego szerokie miejsce na wielkie rany. Tylko o tych, które mam w sobie, mówić nie mogę. Mnie nie wolno. Nikt też o życiu serdecznem mojem nie wie nic.

*

Każdy zawód w przyjaźni albo w miłości, oprócz rany serdecznej, sprawia coś z upokorzenia, którego doświadcza człowiek wyrzucony za okno lub wypchnięty za drzwi.

*

Człowiek jest nurkiem szukającym pereł na dnie gorżkiego morza. Czy znajdzie perłę, albo nie znajdzie, pytanie, — lecz że nabierze pełne usta gorżkiej wody, niewątpliwe.

ELIZA ORZESZKOWA.

Konstantego Gaszyńskiego „Jaksjada”

(Komentarz).

Życiorys. — Konstanty Gaszyński, urodz. r. 1809. w Jeziorach w Czerskiem (Król. Pol.). Początki nauk odebrał w domu, następnie liceum i uniwersytet (wydz. prawn.) w Warszawie. Już w liceum dał się poznać jako poeta; w r. 1826. pierwszy utwór drukowany pt: „Wiersz na zgon St. Staszica“. W r. 1830. redaguje z L. Zienkowiczem „Pamiętnik dla płci pięknej.“ Na ławach szkolnych zawarł przyjaźń z Z. Krasińskim, której dowody dał w znanym wystąpieniu w obronie Zygmunta i później. W r. 1830. wydaje powieść p. t.: „Dwaj Śreniawici“. Bierze udział w powstaniu listopadowem; członek gwardyi honorowej, z akademików złożonej; członek komitetu redakcyi „Dziennika gwardyi honorowej“; członek Towarzystwa patryotycznego. Po rozwiązaniu gwardyi wstępuje do saperów i z Giełgudem rusza na Litwę. Z Rohlandem przechodzi do Prus, zkąd po wielumiesięcznej niewoli udaje się na emigracyę. Po krótkim, dwurazowym pobycie w Paryżu i w Brukselli osiada w Aix en Provence gdzie wiele pisze po polsku i po francuzku, wierszem i prozą; jakiś czas redaguje „Memorial d'Aix“, potem wyjeżdża do Paryża. Odtąd włóczy się po świecie, przebywa po miejscach kąpielowych, lecząc się na reumatyzm czyteż na wyschnięcie mlecza pacierzowego; odbył podróż artystyczną po Włoszech, wreszcie pod koniec życia wraca do Aix, dokąd często po opuszczeniu go zaglądał, i tu umiera w r. 1866. —

Jaksjada. Krytyka literacka, lubiąca klasyfikować poetów na większych i mniejszych, przyznała Gaszyńskiemu trzeciorzędne miejsce wśród poetów emigracyjnych. Nie odmawia mu się talentu a wierszom jego melodyjności, czasem i pierwiastku lirycznego, ale zaprzecza się twórczości jego głębokich myśli, silnych uczuć i bogatej wyobraźni. Jest to poeta sympatyczny, nie wymagający pracy myślowej przy czytaniu, miękki, o naturze kobiecej, żyjący wspomnieniami, nie zdolny do stworzenia nowego życia, ale dobry Polak zdolny rymotwórca i stylista, zkąd wiersze jego nierzadko można spotkać po „imionnikach“ i „sztambuchach“ panieńskich z zeszłego wieku.

Już w liceum znany był Gaszyński jako „wieszcz“, którego utwory drukowały nawet „Rozmaitości“ (Dod. do koresp. Warsz.), a któremu profesor literatury polskiej przepowiadał laury poetyckie. Przyjaźń z Z. Krasińskim

wprowadziła go na literackie salony generała, gdzie zbierali się co soboty po wykładzie L. Osińskiego warszawscy Arbitri Elegantiae Polonae dla swobodnej pogawędki o sprawach literackich. Były to czasy wschodzącego romantyzmu. Klasycy nie uważali romantyzmu za jakiś bunt literacki przeciw wszechwładnie panującym regułom „dobrego smaku", przeciwnie — zdawali sobie sprawę z tego, że romantyzm jest koniecznością historyczną i że klasycyzm ustąpić musi (gazeta koresp. 1816, Nr. 63. Dod. Recenzya „Hamleta" przez Iksa), a jeśli występowali przeciw romantyzmowi, to tylko przeciw przedstawicielom jego „minorum gentium", urągającym czystości języka, prawidłowości wersyfikacyi i rozsądkowi. (List K. Koźmiana do Odyńca — Bibl. Warsz. 1867. P. I.). Do walki tej przymieszał się i pierwiastek osobisty, który nadał jej charakter namiętny, polemiczny i bezwzględny. Walka ta odbywała się w dwojaki sposób: w czasopismach i na salonach Winc. hr. Krasińskiego. — U generała zbierali się nietylko klasycy ale i romantycy, np. Odyniec, który kruszył kopie w obronie Mickiewicza, a wreszcie i obojętni, np. Brodziński. Bywał tu i płodny natenczas poeta Kajetan Jaksa Marcinkowski, tłómacz „Wiersza o krytyce" Pope'a, autor „Zabaw wierszem dla płci pięknej" i wielu innych. Był to typ pieczeniarza, który dla dobrego obiadu pozwalał z siebie i żarty stroić, figura zarozumiała i pyszna z powodu swego „talentu" poetyckiego, płodna niepomiernie, stawiająca siebie na pierwszem miejscu w polskiej literaturze, a w istocie pozbawiona nietylko talentu ale i rozsądku. Stał się też jednem z dań na literackich obiadach generała. Swojem zachowaniem mimowoli wyzywał każdego do drwienia z niego, to też drwił każdy, a Marcinkowski, choć widział to, kiwał tylko ręką, mrucząc „głupstwo" i zmiatał z półmisków. Prawdziwe orgie dowcipu na temat Marcinkowskiego zaczęły się z chwilą przyjazdu do Warszawy G. Olizara, krajana pana Jaksy. Olizar, obładowany anegdotami o Marcinkowskim, raczył niemi gości generała. Zabrał się do Marcinkowskiego i Morawski, słynny ze swego dowcipu i facecyj. Posypał się szereg paszkwilów na Marcinkowskiego. Paszkwile te kazał generał wydrukować pod wspólnym tytułem „N i e s n a s k i P a r n a s u" 1818 — 1821. (Jest to druk niezmiernie rzadki, gdyż odbito go tylko w 12 egz. Jeden z nich znajduje się w Bibl. ord. Krasińskich w Warszawie). W r. 1823. opuścił Marcinkowski Warszawę, ale jeszcze nieraz do niej przyjeżdżał, przyczem nie pomijał nigdy domu hr. Krasińskiego, sprawiając swem ukazaniem się wielką radość biesiadnikom generała. W r. 1827. ugościł Marcinkowskiego „Jaksjadą" jeden z najnowszych nabytków salonów literackich — Konstanty Gaszyński, który powoli wyrabiał sobie sławę poetycką.

Utwór ten zachował się w autografie w Bibl. ord. Krasińskich w Warsz. pod l. ~~26996~~., zkąd go za łaskawem poparciem prof. Kallenbacha otrzymałem. Jest to mała broszurka w 16. str. licz. 44.

Za autorstwem Gaszyńskiego przemawia świadectwo F. X. Dmochowskiego (Wspomnienia 1806—30) i St. Koźmiana (Żywot i pisma K. Gaszyńskiego.[1])

Tytuł tej broszurki każe domyślać się przedmiotu, związanego z osobą Kajetana Jaksy Marcinkowskiego — i tak jest rzeczywiście. Jaksa, dotknięty paszkwilami, postanawia za radą sławy zemścić się ostrą satyrą na swych przeciwnikach. — Niestety piekło staje mu na przeszkodzie, pozbawiwszy

go weny poetyckiej, a choć Jowisz przychodzi mu w pomoc, jednak i tu nierozwaga wytrąciła mu dar „gromochlasty" z dłoni. Wreszcie Apollo wynagradza go za tyle niepowodzeń weną romantyczną. Fabuła zręcznie utkana, z natury już humorystyczna, pomieszanie wyobrażeń klasycznych z nowoczesnemi, forma epicka, pierwiastek dramatyczny, doskonała plastyka, naturalny humor, czasem zaprawiony solą attycką, subtelne ironizowanie Ballad Sonetów Mickiewicza — oto właściwości „Jaksjady" w ogólności.

Gaszyński obrał za bezpośredni przedmiot swego poematu humorystycznego Jaksę Marcinkowskiego, ale pośrednio zależało mu i na ośmieszeniu „nieszczęśliwych" wyrażeń i przenośni Mickiewicza. Poniżenie romantyzmu do osoby Jaksy, który, będąc ostatnim z klasyków, staje się romantykiem, choć przedtem był wrogiem romantyzmu, — ironiczne wycieczki przeciw geniuszom litewskim, różność w sposobie traktowania wieszczów litewskich i Jaksy przez Apolina i wiele aluzyj do utworów Mickiewicza — stwierdza ten utajony, polemiczny charakter „Jaksjady".

Pomysł opiania Jaksy w poemacie epickim nieoryginalny. G. Olizar w niedokończonym poemacie „Jaxjada" opisał Jaksę na sposób Wirgilowski. Wiele konceptów, epitetów, obrazów pożyczył Gaszyński ze wspomnianych „Niesnasków Parnasu".

Z zastrzeżeniem można tu postawić pytanie, czy poeta nie chciał przypadkiem ośmieszyć i klasycyzmu, mówiąc o „chudej, wynędzniałej i suchoty cierpiącej" wenie Jaksy? Byłaby zatem „Jaksjada" mieczem obosiecznym.

Talent humorystyczno-komiczny był właściwością Gaszyńskiego i przejawił się w twórczości jego niejednokrotnie, jak np. w „Waryacie z potrzeby" kom.), w „Dniu 8 września 1831", w „Grze i karciarzach", w „Wyścigach konnych", a wreszcie pod koniec życia (1856) w koronie jego twórczości — „Sielance młodości".

UWAGI. Z autografem „Jaksjady" oprawiony jest fragment 3-ej Pieśni „Jaksjady" G. Olizara, co wykazuje i różnica pisma i „Jaksjada" Olizara, wydrukowana w „Niesnaskach Parnasu". Kopia „Jaksjady" Gaszyńskiego znajduje się w Bibliotece Dzikowskiej, przypisana G. Olizarowi. Inicyały na karcie tytułowej K. G. O. rozwiązał ktoś po kopiście imieniem i nazwiskiem Gustawa Olizara, — co się nie zgadza z inicyałem K. Pomyłkę tę sprowadziła „Jaksjada" G. Olizara, o której wspomina Koźmian w swych „wspomnieniach." Zapewne ktoś, opierając się na tej autentycznej zresztą wzmiance Koźmiana dopisał O i rozwiązał G. O. w wyżej przedstawiony sposób.

Rkp. Dzikowski i manuskrypt z bibl. Krasińskich nie wykazują żadnych istotnych różnic. Różnice są tylko formalne: i tak rkp. Dzik. opuszcza 2 razy po 2 wiersze, kilka razy kopista źle odczytał oryginał i ztąd nieporozumienie; pozatem zgodność między obydwoma rękopisami.

[ ] oznacza dopisek wydawcy.

Lwów czerwiec 1910.

LESŁAW PLACZEK.

JAKSJADA

POEMA W SZEŚCIU PIEŚNIACH

...ridentem dicere verum
quid vetat?...
Horatius Sat. I. L. I.

PRZEZ
K. G.
W WARSZAWIE
1827.

JAKSJADY PIEŚŃ PIERWSZA

TREŚĆ:

Sen Jaksy — Sława wyrzuca mu gnuśność i zachęca, aby się pomścił nad tymi, którzy z niego żarty stroją — Jaksa się budzi i zemstę poprzysięga.

Tu dormis Brute.

Już noc skrzydły posępnemi
Połowę świata odziała;
Wszystko umilkło na ziemi,
Spoczęła natura cała;
Cichość po ulicach miasta,
Wiatr tylko świszczał... szeleścił,
Już wybiła i dwunasta,
Wszystkich Morfej snem już pieścił;
Nie spał przecież jeden człowiek,
Nie usnął wieszcz nieśmiertelny,
Myśl mu sen płoszyła z powiek,
Nie spał Jaksa... Jaksa dzielny.
Geniusz jego twórczy, śmiały,
Wzniósł go w krainę marzenia,
Tam pośród nadludzkiej chwały
Boskiego szukał natchnienia.

Lecz znużony przez czas długi,
Widząc że już ogień gasnął,
Przewrócił się na bok drugi
I wśród wieszczych myśli zasnął. —
Tu dopiero sen uroczy,
Tutaj marzenia przyjemne
Przedstawiały mu przed oczy
Widoki coraz odmienne.
Ujrzał Parnasu wybrzeża,
Widział zblizka Apollina,
Jak go uznawał za syna
I pasował na rycerza.
Jak piękny traf mu się zdarzał,
Dawno do tego już wzdychał;
I gdyby kto był uważał,
Pewnie się przez sen uśmiechał.
Lecz dłużej miłym obrazem
Morfej go łudzić nie raczył,
Zniknął sen, z nim szczęście razem;
I pośród nowego obłędu
Sławę przy sobie obaczył,
Jak, przejęta gniewem cała,
Tak się do niego ozwała.
„Ty śpisz, Jakso, śpisz spokojnie,
„Kiedy krocie nieprzyjaciół
„Na ciebie powstaje zbrojnie,
„Wszyscy szydzą jak z urzędu.
„A najbardziej ten generał,
„Na godności swojej wsparty,
„Wszystkie laury, coś nazbierał,
„Śmie obracać w śmiech i żarty.
„Takżeś się w gnuśności zaciął,
„Że cię nic już nie obchodzi,
„Że dasz z siebie wzorki stroić?
„Niech się twe męztwo odrodzi.
„Czyż ich nie zdołasz rozbroić?
„Czyż na świecie jesteś zerem,
„Małejżeś się chwały dobił;
„Wszak przewielebnym orderem
„Sławny cię Miechów ozdobił,

„Wszakże cię już Polska cała
„Drugim Bielawskim nazwała.
„Czyliż nie jesteś nareszcie
„Płockiej szkoły urzędnikiem;
„Na jedno skinienie twoje
„Drżą strwożone żaków roje;
„Gdzie się ukażesz na mieście,
„Czyto lato, czyto zima,
„Każdy z głowy czapkę zdéjma,
„A ty nie zdejmiesz przed nikiem!
„Małeż to jeszcze zaszczyty,
„Jakże możesz się narażać?
„Żółtym jedwabiem wyszyty,
„Dozwolisz mundur znieważać!
„Lecz na cóż więcej zachęty.
„Przecież Jacek... świeć mu Panie!
„Jacek w pracy nie ugięty,
„Który za dzieł setne tomy
„Na wieki sławnym zostanie,
„Geniuszkom wydał wojnę,
„Na dowcipki rzucił gromy,
„Wszędzie serce stawił zbrojne,
„Wszystkim sowicie zapłacił,
„Wszystkich srogim biczem chłostał,
„A choć sam nim w końcu dostał,
„Jednak odwagi nie stracił. —
„A ty masz gnuśnieć. — O zgrozo!
„Ty masz cierpieć żartów tyle?
„Wszakże już wierszem i prozą
„Piszą na ciebie paszkwile. —
„Masz powody żalu szczére
„Naród, na ciebie zawzięty,
„Palnij więc ostrą satyrę,
„Aby im poszła aż w pięty. —
„Lecz, jeśli będziesz nieśmiały,
„Nazwę cię tchórzem i płaksą;
„Wszakżeś stworzony do chwały,
„Pomnij, żeś zrodził się Jaksą."
Znikła, mówiąc te wyrazy,
Jaksa się ze snu ocucił,

Kichnął z zapału dwa razy
I kołdrę na ziemię zrzucił.
Już też i wóz słońca złoty
Wszędzie dzień rozjaśniał miły,
Gwar ludu i kół turkoty
Wszystkich już ze snu zbudziły. —
Był to właśnie dzień niedzielny,
Wszędzie więcej ruchu było;
Wstał i nasz Bohater dzielny
I wspomniał, co mu się śniło...
Wspomniał i krzyknął z zapałem:
„Krzywdy mojej nie daruję,
„Prawda... zbyt długo cierpiałem...
„Dziś śmiało z każdym się zmierzę,
„Każdy zemstę mą poczuje!
„Wszak i Jowisz chwilę zasnął,
„(Jak to czytałem w Homerze)
„Ale skoro się ocucił,
„Nie jednym piorunem trzasnął,
„Tysiące gromów wyrzucił,
„Tak się okropnie zasapał. —
„Ja, choć tak górnie nie sięgam,
„Przecież równy czując zapał,
„Zemstę... zemstę poprzysięgam.“ —
  Rzekł i palnął pięścią z góry,
Spadł kałamarz ze stolika;
W niezmiernej papierów ciżbie
Wyleciała wierszów plika,
A po literackiej izbie,
Po gołych ścianach odbity,
Rozszedł się odgłos ponury. —
Nie tak się Achill rozgniewał,
Kiedy po Patrokla śmierci
Porwał oręż, krew przelewał
I Trojan rąbał na ćwierci,
Wszędzie postrach rozpościerał.
Mniejszym był i gniew Ajaksa,
Gdy o zbroję i zaszczyty
Z chytrym Ulissem się spierał. —
Tak się rozjędyczył Jaksa! —

JAKSJADY PIEŚŃ DRUGA.

TREŚĆ:

Niezgoda wzbudza piekło przeciw Jaksie — Belzebub wysyła Mefistofila do Płocka — ten śpiącemu Jaksie wykrada wenę poetycką i wraca z nią do piekła.

Livoredax tibi cuncta negat.
Lucanus Phar. L. I.

Jakże w życiu przeszkód wiele,
Jak zmienne ludzkie nadzieje,
Jak często płacze w niedzielę,
Kto się wesół w piątek śmieje.
Los z nami igra zacięcie,
Co człek zacznie, zniszczą fata,
I im większe przedsięwzięcie,
Tam los większe figle płata. —
I któżby mógł myśleć o tem,
Że i z Jaksą igrać zacznie,
Nowym go zmartwi kłopotem
I wszystko skręci opacznie.
Zamiast dać radę pomocną —
Tak niestety — bo choć Jaksę
Niebianie lubili mocno
I wielką kładli nań taksę,
Przecież cała czartów tłuszcza,
Których skamieniałej duszy
Żadne nieszczęście nie wzruszy,
Bo litości nie dopuszcza;
Zamiast z nieszczęść oswobodzić
Sprzysięgła się Jaksie szkodzić.
Niezgoda ta jędza wściekła,
Której tylko zawiść miła,
Wleciała w podwoje piekła,
Wszystko swym jadem wzruszyła
I do Belzebuba rzekła:
„Wy tu w piekle nic nie wiecie,
„Co się tam dzieje na świecie,
„Słuchaj, rycerz znamienity,
„Znany wśród całej Warszawy,
„Rycerz, co w ciemię nie bity,
„Wysokiej dobił się sławy;
„Lecz, że chwałę miał na względzie,
„Nie uszedł ludzkich języków,

„Dziś właśnie w głowie układa
„Satyry ostrej osnowę;
„Ta wszystkich zbije na głowę,
„Duncyadą drugą będzie. —
„Daję w zakład moje życie,
„Sam tytuł już jest nielada,
„Bo „Pistolet na zabicie
„Wszystkich moich przeciwników"
„Pewnie przez dzieło tak sławne
„Oklask całej Polski zyska,
„Lecz nie wiesz jego nazwiska.
„Masz do niego gniewy dawne. —
„On godność twoją znieważył,
„Wart po uszy jęczeć w smole;
„Ten to sam jest, co się ważył,
„Zdjęty myślą niepojętą,
„Przestąpić śmiałości karby,
„Chciał wykraść Księżnę zaklętą
„I wielkie zagarnąć skarby. —
„Chciał was wyprowadzić w pole,
„Chciał oszukać ród czartowski
„Ten sam Jaksa Marcinkowski!
„Mścić się nad nim jest dziś pora,
„Zrób mu figiel — to jest pierwszy,
„To najlepszy zemsty sposób,
„Aby nie mógł pisać wierszy,
„Wszystko do tego przysposób:
„(A chociaż to jest nieładnie)
„Poślij posła dziś z wieczora,
„Niech śpiącemu wenę skradnie." —
Rzekła — i nie wyszła chwila,
Piekielny minęła taras.
Belzebub gdy się dowiedział,
Zawołał Mefistofila,
Wszystko dobrze rozpowiedział
I kazał mu ruszać zaraz, —
Przydając z groźną postawą:
„Wiem, że z ciebie biegus tęgi,
„Spraw się gracko, wracaj żwawo,
„Inaczej... koza i cięgi!"

Na tak ważne odwiedziny
Biegł nasz poseł bez spoczynku
I w niecałe pół godziny
Ujrzał się na płockim rynku.
Jeszcze słońce nie wschodziło,
Spytać się kogo nie było;
Wszędzie nocy cień ponury
Po wszystkich poglądał domach,
Aż ujrzał poetę, który
Wydał pisma we dwuch tomach. [1])
Więc mu się skłoni uprzejmie,
Choć nieznajomego wita,
Grzecznie z głowy czapkę zdejmie
I z uniżonością spyta:
„Przebacz mej śmiałości panie,
„Ale zapewne jegomość
„Masz z sławnym Jaksą znajomość,
„Chciej wskazać jego mieszkanie."
„Ach owszem, owszem (odpowie)
„Znamy się będzie rok trzeci,
„Przecież to my towarzysze,
„Bo trzeba wiedzieć waszeci,
„Że toż i ja wiersze piszę. —
„Od Płocka aż do Parnasu
„Przez gorliwość nieustanną
„Udeptana przez nas ścieżka. —
„Lecz żądałeś przewodnika;
„Patrz, w tym domu Jaksa mieszka.
„Żegnam cię, bo nie mam czasu,
„Aurora musis amica,
„Idę na przechadzkę ranną." —
Mefistofil podziękował,
Czule rękę wieszcza ścisnął
I do Jaksy powędrował. —
Szparką do stancyi się wcisnął,
Lecz go wielki strach zdejmował.
Blizko przyjść się nie odważył,
Chodził z wielkim ambarasem,
Bał się biedny, by się czasem
Miechowskim krzyżem nie sparzył. —

Lecz dyabeł źle sobie wnosił,
Gdyż przez skromność (co ja chwalę)
Jaksa go nigdy nie nosił
Chyba w wielką jaką galę.
Lecz po długiem się wahaniu
Mefistofil z męztwem całym
Stanął przy wieszcza posłaniu.
I choć zrazu był nieśmiałym,
Tak się nareszcie rozruchał,
Trudów i pracy nie szczędził,
Póty chuchał, póty dmuchał,
Aż wenę z Jaksy wypędził. —
Wyszła z niego wena sławna,
Ale wena wynędzniała,
Suchoty cierpiała zdawna,
Na słabych nogach się chwiała. —
Jaksa nigdy nie folgował,
Ledwie biednej nie zamęczył,
I w dzień i w nocy rymował,
Wszystkie jej siły wycieńczył.
Mefistofil, widząc jaśnie,
Że mu jeszcze może zaśnie
Lub ustanie pośród drogi,
Ulitował się niebogi
I do kieszeni ją schował. —
Potem tak się wyniósł ślicznie,
Wzniósłszy się w górę, jak piórko,
Alias mówiąc romantycznie,
Ot! czmychnął od klucza dziurką!

JAKSJADY PIEŚŃ TRZECIA.

TREŚĆ:

Jaksa, ogołocony z weny, jednego wiersza skleić nie może — a pozbawiony pomocy przyjaciół, już sobie chce odebrać życie, gdy Merkur, przysłany od Apolla, wstrzymuje świętokradzką rękę naszego Bohatera.

....moriamur...
Una salus victis nullam sperare salutem.
Virg. Aeneid. L. II.

Ocknął się Jaksa z uśpienia,
Lecz z jakąż metamorfozą,

Jakoś lekszym się już zdawał,
Uczuł, że wszystko się zmienia,
Nie poetycznie już wstawał,
Już i kawę wypił prozą.
Nic przecież na to nie zważa,
Bo nigdy cios niebezpieczny
Wielkiego męża nie zraża. —
A choć los przeczuwa sprzeczny,
Choć czuje, że jakaś zdrada,
Jednak do pisania wierszy
Przy swym stoliku zasiada.
Usiadł — i napisał pierwszy,
Lecz gdy rymu szukać zacznie,
Choć go miłość własna łechce,
Każda myśl idzie opacznie
I z drugą skleić się nie chce.
Lub choć dalej pisze śmiało,
Gdy chce *czarno* idzie *biało*,
I znów gardząc myślą marną,
Gdy chce *biało* idzie *czarno*.
Darmo siedzi, darmo myśli,
Co napisze, to przekreśli. —
Już i piór zgryzł półtuzina,
Już i dla wzniesienia ducha
Pół butelki wypił wina,
Muza jednak go nie słucha.
Na Pegaza siąść był gotów,
Nie miał go u siebie przecie,
Gdyż go pożyczył poecie,
Co wówczas pisał *Mokotów*.
Wiedząc jednak, że w Lublinie
Z pisania zgryźliwych satyr
Wybranowski płodny słynie,
Tam się udał nasz Bohatyr.
Lecz od kogo (jak powiada
Starożytne nam przysłowie)
Pan Bóg zwróci swoje chęci,
Z jednych nieszczęść w drugie wpada,
Przeciw niemu wszyscy święci.
A gdy się zmiesza w zapale,

Wszystko mu się kręci w głowie,
Jak przed laty w trybunale.
I na Jaksę gdy się zaciął,
Tak go ciągle los uciskał;
Opuszczony od przyjaciół
I w Lublinie nic nie zyskał.
Bo i nasz Juwenal srogi
Do poezyi chęć już stracił
I Parnasu rzucił progi,
Skoro mu się Pegaz schwacił. —
Muzo! Któraś Jaksie nieraz
Ukazała postać miłą,
Twym duchem natchnij mnie teraz
I nadludzką uzbrój siłą,
Bym godnym rymem opisał,
Jak wśród takiej tarapaty
Nasz się Jaksa gracko spisał,
Nie chcąc drogiej przeżyć straty.
Tak Katon w chwili ostatniej,
Gdy Rzymowi los zawzięty
Srogie jarzmo zapowiadał,
Nie mógł przeżyć hańby bratniej
I w stałości nieugięty
Z rozpaczy śmierć sobie zadał,
Lecz przed tą ofiarą gniewną,
Nim się z Charonem przywitał,
By poznać przyszłość niepewną
Platona księgę odczytał.
Tak i Jaksa rozsrożony,
Chcąc się wyrwać z nieszczęść toni,
W niedostatku innej broni
Porwał za nóż wyostrzony. —
Lecz nim spełnił dzieło krwawe,
Raz jeszcze odczytał Rzeki,
Które miały jego sławę
W najpóźniejsze przesłać wieki.
I skończywszy rzecze smutnie:
„Żegnam cię, piękna naturo,
„Martwy dziś dla mnie obrazie,
„I was żegnam dźwięczne lutnie,

„Bądź zdrowa Parnasu góro,
„Bądź mi zdrów i ty Pegazie!
„Niech was pożegna ta mowa
„Przyjaciele i szyderce;
„Ach i ty mi bywaj zdrowa,
„Dla której biło me serce.“
A wzniósłszy oczy do góry,
Jużby się krwią własną zmazał,
Gdyby nie poseł Merkury,
Który się nagle ukazał
I tak doń mówić zaczyna:
„Adjutancie Apollina!
„Cóżto, czyś wasan oszalał
„Lub też winem rozum zalał,
„Że za drobnostkę tak małą
„Chcesz sobie odbierać życie,
„Co ma być Ojczyzny chwałą
„I Bogom zrównać w zaszczycie?
„Jaksa niebian ulubieniec,
„Kawaler Muzom tak luby,
„Wtenczas własnej szuka zguby,
„Gdy mu Feb już splata wieniec
„I pewną pomoc przyrzeka.
„Daję ci słowo honoru,
„Z chlubą wyjdziesz z tego sporu,
„Pogromisz zawistnych wrogów,
„Ciebie chwała, ich wstyd czeka,
„Zaufaj opiece Bogów.
„Wkrótce o wszystkiem się dowiész
„I dziś powiem ci otwarcie,
„Że zwołuje radę Jowisz,
„Na której Febus ma prosić
„O prędkie dla ciebie wsparcie;
„Czyliż ci na tem nie dosyć?“
  Widząc pomoc niebios ręki,
Jaksa z uniesienia krzyknął
I chciał czułe składać dzięki,
Gdy nadludzki poseł zniknął! —

JAKSJADY PIEŚŃ CZWARTA.

TREŚĆ:

Na zebranej radzie Bogów, Jowisz zapytuje się o ich zdanie względem dania wsparcia Jaksie — Morfej zaprzecza jej — Wulkan chce zdanie jego popierać, lecz na wstawienie się Junony i Wenery, Jowisz pożycza Jaksie swego pioruna, który Merkur mu zanosi.

Conciliumque vocat, tenuit mora nulla vocatos.
Ovidius Met. L. I.

Na rozkaz zbiegli się pędem
I śród wyzłacanej sali
Na krzesłach zasiedli rzędem
Bogi, Bożki i t. d.
Jowisz na wyniosłym tronie,
Po prawej Neptun się mieści,
Wulkan na lewej siadł stronie
I z piękną żoną się pieści.
Wenus zalotna i pusta
Od ust natrętnego męża
Różane oddala usta,
Lecz wstręt ten go nie zwycięża,
Mówi: „patrz na mnie wesoło,
„W lubych pieszczotach się nie leń.“
A Bogi śmieją się wkoło
I mówią: „to czysty jeleń!
„Niech teraz cierpi za karę,
„Czem chciał zostać, to i został,
„I na swoje lata stare
„Od żonulki rogów dostał.“
Dalej piękny Kupidynek,
Płochej matki godny synek,
Który, gdy ostrym swym grotem
W pierś śmiertelnika ugodzi,
Poi rozkoszą, lecz potem
Srogich cierpień nie osłodzi. —
Dalej Apollo zasiada,
Dalej Westa i Pallada;
Siedział i Morfej ponury
I Mars wśród kartaczów śmiałek,
A nareszcie pan Merkury
Stał z laską jako Marszałek. —

Wszystko się już zgromadziło,
Junony tylko nie było. —
Czekając na niebios panią,
Jowisz, nim myśl swą objawił,
Gdy próżno wyglądał na nią,
Z nudów piorunem się bawił.
I wszyscy jakoś w złym sosie,
Jak gdyby wzięli po nosie,
W milczeniu siedzieli smutni;
Apollo tylko czasami
Na złoconej brzęknął lutni,
Wulkan ustał z karesami,
Lecz Momus w śmiesznej postawie
Koncepta prawił wesoło
I Bogów drzymiących prawie
Tabaczką częstował wkoło,
Nieznający, co się smucić,
Wszystkim chciał humor powrócić.
Wtem się podwoje otwarły
I najmodniej wystrojona
Ukazała się Junona;
Ogon niosły za nią karły,
Jej twarzyczkę pełną wdzięku
Czarna muszka ozdabiała,
Szal turecki w lewem ręku,
Lorynetę w prawem miała.
Jowisz rzecze: „Moja rybko,
„Moja precyjozo droga,
„Ach! pośpieszaj do nas szybko,
„Cóż cię trzymało dla Boga!
„Za długoś się coś stroiła,
„Nie pamiętasz widzę na nas;
„Lecz tak ci dziś wszystko składnie,
„Tak ci w tym czepeczku ładnie,
„Żebym zjadł cię moja miła,
„Boś mi słodsza nad ananas."
„Ach! mon cher (Juno odpowie),
„U ciebie zawsze pstro w głowie;
„Czyż nie wiesz, co mnie zatrudnia?
„Wszakże nowego poety

„Jeszcze wczoraj od południa
„Czytam a czytam sonety,
„Choć ich nie mogę zrozumieć,
„Przecież na tyle piękności
„Trudno, trudno się nie zdumieć; —
„Ażem płakała z radości
„I z wielkiego uniesienia,
„Czytając tkliwe te pienia.“
„Cóż to jest (Jowisz zawołał),
„Zaraza aż tu dostała,
„Któżby to przewidzieć zdołał,
„Żebyś i ty oszalała.“
„Fe, mężu, zawsześ niezgodny,
„W *Kuryerze* czytałeś przecie,
„Że to oznacza ton modny,
„Gdy na modnej toalecie
„Leży egzemplarz sonetów. —
„A ja znowu nad poetów,
„Nad teatra i zabawy
„Przekładam mody ustawy;
„I gdybyś ty żyjąc w zgodzie,
„Urządzał tam sobie burze,
„I z szmermelów robiąc grzmoty,
„Świat cały strachem przenikał,
„A do mnie nosa nie wtykał,
„To i na *Literaturze*
„Byłabym każdej soboty,
„Bo i to jest dzisiaj w modzie!“
„Cała moda, to nie szkodzi,
„Bo nauczy i zabawi
„I możny żyzny plon zrodzi,
„Gdy w płci pięknej gust naprawi. —
„Lecz dość już, ważniejsze rzeczy
„Poruczono mojej pieczy.
„Zajmij kochanie to krzesło,
„Wy zaś słuchajcie, niebianie,
„Oby to nasze zebranie
„Dobro dla świata przyniesło! —
  Rzekł — siadła przy nim Junona,
Cała sala uciszona,

Każdy wesół i ochoczy
Pragnie słyszeć rzeczy nowe,
Każdy w króla wlepił oczy;
On tak swoją zaczął mowę:
„Smutek ogarnął mą duszę,
„Gdy wieść aż do mnie doniosła,
„Że tak w ludziach złość już wzrosła,
„Że się na nich gniewać muszę. —
„A szczególniej wśród Warszawy
„Tak się niektórzy spiknęli,
„Że dla swej pustej zabawy
„Jednego na fundusz wzięli. —
„Biedny człowiek, mojem zdaniem,
„Radbym dopomódz mu szczerze,
„Feb mi nawet mówił za niém.
„Jego słowom mocno wierzę.
„To człowiek uczony, słyszę,
„Erudyt, głowa nie lada,
„Po łacinie płynnie gada,
„A nawet i wiersze pisze,
„A jeszcze Jaksą się zowie.
„Jakże sądzicie Bogowie!“
Tu zaczęła się narada,
Każdy zajęty poetą,
Jeden z drugim cicho gada,
Gdy Morfeusz krzyknął: „veto!
„Jak wam się to może zdawać,
„Lecz ja pierwszy zdanie wnoszę,
„A nawet Jowisza proszę,
„By mu pomocy nie dawać!
„Tak, Morfej wsparcia odmawia!
„O! mam ja z Jaksą na pieńku,
„On mnie władzy mej pozbawia,
„Nawet może pomaleńku
„Zuchwały tron mój osiędzie
„I snu bogiem kiedyś będzie! —
„Ho, ho, on już nie jednego
„Uśpił pięknym wierszem swoim. —
„Lecz Bóstwa władzy swej strzegą,
„Dziś go z tej mocy rozbroim“.

Po takiej mowie zuchwałej
Zewsząd okrzyki powstały,
Już Feb gniewem zapalony,
O głos Merkurego prosił,
Już i Wulkan zamyślony,
Na swem szczudle się podnosił,
Gdy Wenus, przeczuwszy snadnie,
Że niezmiękczon jego losem,
Mąż na Jaksę z gniewem wpadnie,
Chcąc mu zrobić na przekorę,
Pieszczonym wyrzekła głosem:
„Ja w opiekę Jaksę biorę.“ —
I niepomna męża groźby,
Nuż więc do Jowisza w prośby.
Przyczyniła się Junona
I całusa Jowisz dostał
I już cała rzecz skończona
I Jaksa zbawionym został.
Z piorunem dla niego danym
Merkur galopem pośpieszył,
A darem tak niespodzianym
Tak się nasz Jaksa ucieszył,
Że, czy żył, nawet nie wiedział,
Przytomność utracił bowiem
I ledwie, że odpowiedział:
„Co czuję po śmierci powiem
„Bo cała śmiertelnych mowa
„Stosownego niema słowa.“

JAKSJADY PIEŚŃ PIĄTA.

TREŚĆ:

Jaksa widząc zgromadzonych nieprzyjaciół, zapomina przestróg Merkurego i, gołą ręką porwawszy piorun, parzy się okropnie. — Na krzyk jego przybiegają Muzy, pieszczotami otrzeźwiają ulubieńca swego i oznajmiają mu wolę Feba, aby nazajutrz jechał na Parnas.

Quod licet Jovi non licet bovi.

Wówczas, gdy jeszcze na ziemi
Panowały wieki złote,
A pomiędzy śmiertelnemi

Czczono niewinność i cnotę,
Za świętym bóstwa wyrokiem
Rozwaga z niebios zstąpiła
I każdym śmiertelnych krokiem,
Każdą ich sprawą rządziła. —
Lecz przeszły te błogie lata,
Zepsucie wszystkich przenikło,
Znikła niewinność ze świata,
Uczucie honoru znikło;
Prawda zgasiła pochodnie,
Znikły cnoty — a wraz z niemi
Rozwaga uszła złej ziemi. —
Wtenczas zrodziły się zbrodnie
I wnet ohydne istoty
Zastąpiły miejsce cnoty. —
Bezczelność z miedzianem czołem,
Podłość i brzydka intryga,
Co ciągle zasługę ściga,
Goniąca za szczęścia kołem. —
Podstępy, zbrodnię szkaradną,
Pochlebstwa podłe rzemiosło,
Ujrzał świat nieszczerość zdradną
I matactwo w ludziach wzrosło. —
A gnuśność i prędkość śmiała
Rozwagi postać przybrała.
Odtąd ten popęd jedyny
Ludzkiemi zarządza czyny. —
Ileż ciągłych nieszczęść przecie
Prędkość zdziałała na świecie! —
Przez prędkość ojciec Makary
Wczoraj się winem zakrztusił
I bez wsparcia siostry Klary
Byłby się pewnie udusił. —
Przez prędkość pani hrabina,
Jadąc na teatr z pośpiechem,
Nawet nos uróżowała;
I ztąd parter trząsł się śmiechem,
Gdy się w loży ukazała,
I dzisiaj pośpiech przeklina! —
Przez prędkość Aryst, w puściznie

Pragnąc zostawić ojczyźnie
Po sobie pamięć niestartą,
Napisał głupstwo in quarto.
Za prędkość i zuch i płaksa,
O! nieraz srodze przypłacił.
Przez prędkość — nawet i Jaksa
O włos co życia nie stracił!
Bo, gdy się oręża dorwał,
Widząc zgromadzonych wrogów,
Niepomny przestrogi Bogów,
Gołą ręką piorun porwał.
Lecz go jeszcze prędzej rzucił
I z bolu tak mocno wrzasnął,
Że aż się Jowisz ocucił,
Co po lulce chwilę zasnął.
Wenus kichnęła i zbladła,
Junona spazmów dostała,
Febowi peruka spadła
I wstrząsła się ziemia cała. —
Tak na krzyk Marsa przed wieki
Zadrżała Troja i Greki!
Wtem Jaksa, zmartwion swym losem,
Gdy mu srodze spuchła łapa,
Zaczął litościwym głosem
Wzywać wsparcia Eskulapa.
Lecz jakiż widok uroczy
Przedstawił mu się przed oczy. —
W liczbie dziesięciu zebrane
Biegną ku niemu dziewice,
Lekką zasłoną odziane,
Twarz ich piękna, świeże lice
Zdobił uśmiech, a włos złoty,
Utrefiony w wonne sploty,
Na białe spływał ramiona.
Nóżka lekka i pieszczona,
Pierś śnieżna, na wpół odkryta,
Kibić w szczupły pas ujęta
I żywe czarne oczęta,
Gdzie się gnieździ miłość skryta
I zkąd Amorek zuchwały

Łuk napina, rzuca strzały. —
Jaksa tak lubym obrazem
Zajęty, odżył pomału
I, patrząc na wszystkie razem,
Aż się obliznął z zapału.
Wtem jedna, wybiegłszy z koła,
Widząc potomka Ajaksa,
Na towarzyszki zawołała:
„To Jaksa, siostry, to Jaksa.“
Wszystkie więc śpieszą do niego,
A kiedy przy nich był blizki,
Na szyję wieszcza biednego
Tkliwe zarzucą uściski,
Z godnym naśladowcą Jacka
Każda się pieści i cacka. —
Jaksa wśród takich rozkoszy
O swej ręce ani wspomniał.
Każda rozkosz smutek płoszy
Jaksa i bolu zapomniał. —
A chcąc za pieszczoty lube
Wdzięczną wyrazić podziękę
I dać swej grzeczności próbę,
Każdą pocałował w rękę. —
A potem, pojrzawszy na nie,
Jak mógł z miną romansową,
Rzekł im: „Najśliczniejsze panie,
„Coście me siły młodzieńcze
„Odżywiły siłą nową,
„Ach! jakże się wam odwdzięczę?
„Gdyby nie losy niestałe,
„Co mnie dręczą bez przyczyny,
„Wyrżnąłbym wam na pochwałę
„Z pięćset wierszy w pół godziny.
„Lecz dziś znów mię ciosy nowe...“
Tu łzy przerwały mu mowę.
Na smutny los Jaksy tkliwe
Rzekły: „Ulubieńcze Feba,
„Twych oświadczeń nam nie trzeba,
„Poznaj w nas Muzy życzliwe,
„Które cię w kolebce jeszcze

„W słowiańskie wliczyły wieszcze. —
„Każda z nas twą wartość czuje;
„A wiedzieć ci jeszcze trzeba,
„Że tu biegniem z woli Feba.
„Słuchaj! coć przez nas zwiastuje. —
„Przebyłeś ciąg nieszczęść cały,
„Dziś się zaczną dni pogodne,
„Godne twych zasług, twej chwały,
„Geniuszu twego godne.
„Porzuć tę ponurą postać,
„Jutro szczęśliwym masz zostać. —
„Opuść to siedlisko nędzy
„I wzniósłszy się z ziemskich dolin,
„Śpiesz się na Parnas coprędzej,
„Kędy cię wzywa Apolin.
„Tam droższą nad życia cenę
„Jutro odzyskasz twą wenę.
„Lecz twe pojęcia za ciasne,
„Gdyż ci wprzód wiedzieć potrzeba,
„Co to jest: dnia okno jasne!
„Co to jest: poezya nieba.
„Co się stało lampą światów
„I co jest muzyką kwiatów. —
„Doszedłszy więc po kolei,
„Co znaczy każdy Hieroglif,
„Nie trać miny i nadziei,
„Jutro cię wzniesie Hipogryf." —

JAKSJADY PIEŚŃ SZÓSTA.

TREŚĆ:

Jaksa staje w Parnasie — Feb pokazuje mu cudowne gaje poezyi i w miejscu dawnej weny ofiaruje mu wenę Romantyczną — Jaksa zostaje Romantykiem i uradowany wraca do domu.

Utere sorte tua.
Virg. Aeneid. L. XII.

W Arioście Orland szalony,
Gdy stracony rozum gonił,
Na Hipogryfie wzniesiony,
Przeleciał niebios błękity,
Na księżycu go dogonił,

Gdzie był pod szklanką ukryty. —
Stracił rozum wraz z kochanką,
Los srodze biedaka skropił,
Lecz, że go szukał pod szklanką,
Pewnie go w szklance utopił.
Gdy się Orland tak rozhukał,
Czemuż i Jaksa nie może?
A ja się nawet założę,
Że znajdzie to, czego szukał. —
Trza się śpieszyć w takim razie,
Więc na Orlanda Pegazie
Jaksa na wzór Donkiszota
W parnasowe wjechał wrota. —
I zaraz się anonsuje,
Że Apolla wizytuje.
Więc Merkur prosi, by siedział,
Czekając na Wielmożnego;
A gdy się Febus dowiedział,
Natychmiast wyszedł do niego.
Dumną ministra miał postać,
Z postawy patrzył na pana
I tak piękną miał urodę,
Że Jaksa padł na kolana.
Lecz Feb, głaszcząc go pod brodę:
„Wstań, bądź dobrej myśli (rzecze)
„Nil desperandum, mój bracie;
„Co się zwlecze, nie uciecze,
„Myślę o W-pana stracie,
„Musisz nagrodzonym zostać.
„Lecz, nie chcąc gadać rozwlekle,
„Powiem: że za żadne ceny
„Nie odzyskasz własnej weny,
„Gdyż się udusiła w piekle. —
„Jednakże nie smuć się rzewnie,
„Cierpliwość nieszczęść hamulec,
„Trzeba przeznaczeniu uledz
„A na tem nie stracisz pewnie. —
„Nie tyś pierwszy nieszczęść doznał.
„Pójdź więc za mną bez bojaźni,
„Chcę ci okazać te dziwy,

„Które tylko dowcip żywy
„Okazuje wyobraźni,
„Lecz których śmiertelne oko
„Nigdy nie widziało jeszcze;
„I jedynie, abyś poznał,
„Jak ciebie cenię wysoko,
„Te cuda dziś ci obwieszczę. —
„Nie dostąpił nikt tej łaski
„Tylko Jaksa i Bielawski!“
Skończył — i gdy na podziękę
Jaksa na koncept się sadził,
Febus, wziąwszy go za rękę,
Do ogrodu wyprowadził.
W kąt ogrody Mokotowa,
Których wdzięki wieszcz podwajał,
Niech się Zofiówka schowa,
O której Trębecki bajał.
A mnie się nawet wydaje,
Że w kąt i Armidy gaje,
Których urocze mamidła,
Których powab, których siła
Zdradnie Rynalda zwabiła
W rozkoszne miłości sidła.
Wy, od starożytnych ludów.
Ogrody w Ninusa mieście,
Do siedmiu liczone cudów,
Niczem zapewne jesteście
W porównaniu z tym ogrodem,
Który w piękności bogaty,
Obszernym dziwiąc obwodem,
Zdał się być Raju obrazem. —
Tam natura z sztuką razem,
Nie pragnąca działać sprzecznie,
Woniące rozsiała kwiaty,
Z liściem ozdobnym w szkarłaty,
I drzewa zielone wiecznie. —
I te strumyki błądzące
Po dolinach i po łące —
I w cienistej drzew uchronie
Chłodne wietrzyku powiewy

I na drżących listków łonie
Nieuczone ptasząt śpiewy.
Kogóż ten widok nie wzruszy. —
Wieczna świeżość, wieczna wiosna
Jaśnieje blaskiem wokoło;
Tam i natura radosna,
Wiankiem z róż zdobiąca czoło,
Zda się uśmiechać wesoło
Do czuć umiejącej duszy.
I Jaksa, tem omamiony,
Gdy pojrzał na wszystkie strony,
Przejął go powab uroczy
I wśród tysiąca omamień
Otworzył gębę i oczy
I stanął wryty jak kamień!
Widząc, że go popłoch złapał,
Feb, chcąc w nim ożywić zapał:
„Nie bój się, kiedy cię wiedę,
„Bojaźnią nie trwoż się skrytą,
„Jakso! (zawołał) ne cede,
„Sed contra audentior ito!
„Rozpierzchnione zgromadź zmysły,
„Pojrzyj w tę stronę radośnie;
„Promienie chwały ci błysły,
„Ten laur dla ciebie rośnie. —
„Febus o wszystkich pamięta,
„Słyszy swych dzieci modlitwy,
„Patrz — fura laurów nacięta,
„Dziś ją posyłam do Litwy [2]).
„Tam dla wierszy i dla prozy
„Nigdy słońce nie zachodzi.
„Co chwila geniusz się rodzi,
„Za którym wszyscy szaleją.
„A choć zwykłą pór koleją
„Długo u nich trwają mrozy,
„Przecież im mruczą strumyki,
„Przecież im łąki się śmieją,
„Przecież im wyją puszczyki,
„Przecież namazy im wieją!
„I suche szeleszczą grusze

„I liście szepcą i dzwonią
„I w okna łopocą dusze
„I Rusałki im się gonią.
„Do tamtych poetów rzeszy
„Niech twoja Muza pośpieszy,
„Gdy wkrótce cieszyć się będziesz
„Z posiadania weny nowej,
„Weny młodziuchnej i ślicznej,
„Wolnej, arcy-poetycznej.
„A chociaż weny bez głowy,
„Przecież weny Romantycznej. —
„Z nią to na wronym Pegazie,
„Gdzie fantazya będzie wiodła,
„Możesz lecić w każdym razie
„Bez uzdeczki i bez siodła. —
„Patrz — robię dla ciebie tyle,
„Lecz gdy tę łaskę posiędziesz,
„Obudź echa modnym krzykiem
„I daj mi verbum nobile,
„Że zostaniesz Romantykiem.
„Przysiąż mi jeszcze niezwłocznie,
„Że się z wszystkimi pogodzisz
„I że twoja zemsta spocznie,
„Skoro dziś się oswobodzisz
„Z długich aż nadto kłopotów."
Jaksa do wszystkiego gotów,
Przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy księżyca blasku,
Że nie przełamie przysięgi.
„Dosyć na tem, Feb zawoła,
„Wierzę ci na płockie słowo,
„Zacznij więc zawód na nowo,
„Masz wenę — ona wydoła
„Gorącemu zapałowi. —
„Niech się twa chwała odnowi;
„Zgaś swym blaskiem światło słońca,
„Dosięgnij ostatniej mety,
„Rymuj Ballady bez końca
„I nowe napisz Sonety!"

Gdy odebrał, co postradał,
Jaksa w zbytecznym zapędzie
Z radości się nie posiadał,
Że znów na Pegaza wsiędzie
I, ukłoniwszy się nizko,
Opuścił niebian siedlisko.

KONIEC PIEŚNI SZÓSTEJ I CAŁEJ JAKSJADY.

D. 25 lipca.

PRZYPISY AUTORA.

1) P. II. 85 w. August Zdziarski.

2) P. VI. 114 w. Bynajmniej się to nie ściąga do prozy Śniadeckich; lecz bardziej do niektórych dzieł, prozą świeżo wydanych a szczególniej do tłómaczenia Historyi Kajdanowa, gdzie tak język polski pokaleczony.

PRZYPISY WYDAWCY.

P. I. w 12. Jaksa dzielny. — Epitet nadany Jaksie przez Fr. Morawskiego w „Podróży na Parnas", (Niesnaski Parnasu) z powodu którego Jaksa strasznie się oburzał. (K. Koźmian: Pamiętniki t. III. 340—1).

P. I. w. 60. Płockiej szkoły urzędnikiem. — Na wstawienie się K. Koźmiana i innych został Marcinkowski mianowany płockim inspektorem z warunkiem niedrukowania wierszy.

P. I. w 72. Przecież Jacek. — Jacek Przybylski (1756—1819) znany ze swej płodności i skłonności do dziwotworów językowych.

P. I. w 86. Piszą na ciebie paszkwile. — Prawdopodobnie paszkwilów tych więcej było, niż umieszczono w „Niesnaskach".

P. II. w. 159. Niezgoda. — Podobną rolę odgrywa Niezgoda w 1-ej Pieśni „Jaksjady" G. Olizara, podburzając przeciw Jaksie Wenerę, której Jaksa nie chce służyć.

P. II. w. 189—193. Odnosi się to do ballady „Ordynackie", ułożonej na Jaksę przez Dom. Lisieckiego. Jaksa chciał wykraść księżniczkę, strzeżoną przez dyabła, którego nasz bohater uśpił czytaniem swego „Gorsetu"; zamiar wykradzenia nie powiódł się, bo Jaksa gadatliwością swą zbudził dyabła, który za karę kazał osiąść Jaksie w ruinach lubelskich. (Dmochowski: Wspomnienia 1806—30. 369—72).

P. II. w 280 Alluzya do „Pani Twardowskiej" Mickiewicza.

P. III. w 341—350. Scena z „Katona" Addisona.

P. III. w 356. Rzeki polskie, poema, pomniki sławy narodowej opiewające, napisane roku 1821 przez Kaj. Jaksę Marcinkowskiego. Warsz. 1826.

P. IV. Narady Bogów analogiczne do narad Olimpian w 2-ej Pieśni „Jaksjady" G. Olizara.

P. IV. w. 451—504. Obyczajowy obrazek z ówczesnej Warszawy.

P. IV. w. 498. Sobotnie wykłady o literaturze L. Osińskiego, na które i publiczność uczęszczała.

P. IV. w. 503. I możny żyzny plon zrodzi; — w Rkp. Dzik. I może i t. d.

P. IV. w 531. Jaksa o łacinie nie wiele miał pojęcia. Odę Horacego „ad Corvinum" uważał za utwór. K. Koźmiana; lectum massicum tłómaczył przez łóżko massive, a prisci przez pryszcze. (K. Koźmian: Pamiętniki t. III. 347).

P. V. Cały początek do w. 32. jest echem żelaznego okresu z Metamorfoz Ovidego.

P. V. w. 670. Wywód genealogiczno-etymologiczny Jaksy od Ajaksa spotykamy w „Ordynackiem" D. Lisieckiego.

P. V. w. 723—726. Aluzye do przenośni w Sonetach Mickiewicza.

P. VI. w. 851—857. Aluzye do przenośni Mickiewicza.

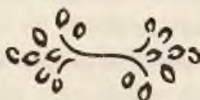
P. VI. w. 882—885. Aluzye do „Świtezianki".

K. Koźmian w Pamiętnikach t. III. poświęca cały rozdział K. Jaksie Marcinkowskiemu (331—354), gdzie znajduje się również karykatura Jaksy przez J. Sokołowskiego.

UWAGI PO ZAMKNIĘCIU NUMERU.

Komunikat „O dzieła sztuki" zredagowany i większą częścią podpisów opatrzony już w czerwcu b. r. miał się pojawić w poprzednim numerze *Lamusa*. Z przyczyny jednakże, iż nie wszystkie podpisy na czas udało się nam zebrać, odłożyliśmy go do numeru bieżącego, w tem przekonaniu, że tekst jego zawsze równie doniosłe i trwałe mieć będzie znaczenie. Musimy na tem miejscu zaznaczyć, iż podpisy osób z pod innych zaborów odnoszą się do komunikatu z wyłączeniem apostrofy do posłów sejmowych.

Omyłki druku zesz. poprzedniego (VI-go): Str. 187 przypis nr. 1 ma być zamieniony z przypisem nr. 3.—Str. 190 w. 14 od dołu ma być nie *prer* tylko *przez*,—w. 13 od dołu nie potrzebne *i*,— w. 9 od dołu zamiast *1793* ma być *1791*,—str. 190 przy słowach ...*w Suchej* ma być przypis *Sprawozd. K...... T. VIII. str. CCLXIII i nast.*, — na str. 196 po słowie *naukowemu* dodać *nieznane.*



LAMUS

JESIEŃ 1910
ZESZYT ÓSMY
T. II. Z. 4.



L'AVTOMNE.

Je me vante que ſur la terre,
Je fais multiplier le fruit,
Qui par les Arbres est produit,
Et que le Laboureur reſſerre.

Qu'Apollon garde ſa Maiſtreſse:
Je n'enuie point ſon Amour
Puis que Bacchus me fait la cour.
Et que Pomone me careſse

J. Falck fecit

le Blond le jeune excud demeurant ſur le pont N. Dame a l'enſeigne du Pelican. Auec Priuileac du Roy.

TREŚĆ ZESZYTU ÓSMEGO.

Część pierwsza — Dzisiaj:

Część druga — Wczoraj:

Ilustracye:

Treść szczegółowa rocznika 1910 „Lamusa“, jakoteż przypomnienie treści rocznika 1909 umieszczono przy końcu tekstu.

Lamus wychodzi cztery razy do roku w zeszytach objętości łącznej około 40 arkuszy druku. Każdy zeszyt zawiera kilka plansz jedno- lub wielobarwnych. Prenumerata wynosi rocznie: w Galicyi K. 12·—, w Wielkiem Księztwie Poznańskiem M. 10·50, w Królestwie Polskiem R. 5·—. Cena każdego zeszytu oddzielnie K. 4·—, M. 3·40, R. 1·60.

Rocznik trzeci „Lamusa“ wychodzić będzie w sześciu zeszytach do roku. (Zapowiedź na końcu tekstu). Prenumerata na rocznik III. wynosi K 20.

REDAKTOR: MICHAŁ PAWLIKOWSKI, LWÓW, SENATORSKA L. 4. * WŁASNOŚĆ REDAKCYI.

NAKŁADEM A. ALTENBERGA I J. MORTKOWICZA * SKŁADY GŁÓWNE: ALTENBERG LWÓW. CENTNERSZWER WARSZAWA.

Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

Część pierwsza — Dzisiaj.

W cieniu miecza.

FALANGA TRAGICZNA.

I.

Nam, którym codzień białą skroń całuje duma,
A oddal tajna dała źrenice jastrzębie,
Bratem jest bój zdobywczy, a siostrą śmierć-kuma.

Nadzy, miecz niesiem w dłoni, bo tarcze na dębie
Zawiesiliśmy świętym, wraz z wiecznymi śluby,
Że będziem znali jeno dal, szczyty i głębie.

Włos bez hełmu nam stroi dąb w zielone chluby.
Z mieczami w prawej, w szereg wiążem się w pochody,
W lewych dzierżąc prawice braci za przeguby.

Prócz własnej krwi czerwonej niemasz nam nagrody
I niema zadowoleń nam z czynów tysięcy
I nie cieszą nas żadne zwycięskie zawody:

Bo najmniej, co nam wolno uczynić, jest: Więcej!

II.

Skoro brat nowy wstąpi w nasz bitewny szereg,
Przynosi tarczę z sobą, którą jego ręka
Sama wykuła w spiżu bez skaz i usterek.

A jako że niegodzien wroga, kto się lęka,
Budzim brata w noc ze snu, cisnąwszy w tarcz krzemień,
Że kruszec gromkiem echem, jak twardy grzmot, szczęka.

Brat zaś, li miecz chwyciwszy, bez trwogi oniemień,
Bez zwłoki mknie, rzucając tarcz tkniętą z omacka:
Bo wprzód mu odwiązaliśmy u tarczy rzemień.

I krzykiem budzim wroga, aby nie znienacka
We śnie nań spaść, lecz dumnie, otwarcie, wśród jawy.
Gdyż im sławniej się broni moc wroga junacka,

Tem piękniej też pracuje i dla naszej sławy.

III.

Świat i my: wzniosła zdobycz i śmiali zaborce!
Tę świetną zaoraliśmy sobie dzielnicę,
Z wolą i dumą w pługu: wołami w tej orce.

Lecz jeśli zakreśliliśmy sobie granice,
To jeno by je ciągle przekraczać zuchwale,
Lecąc duchem nad gwiazdy i snów tajemnice:

Dla czystej, pięknie dobrej walki, nie ku chwale
Której czar nawet serca tchórzów k'czynom mami.
Czynów naszych nikt nie śmie ryć dłutem na skale.

Sławą darzyć się możem jeno w sobie, sami,
Gardząc marną posągu żądzą i oklasku.
Nie wymawiamy nigdy swych imion ustami.

W nocy jeno nam wolno pisać je na piasku.

IV.

Nie w zasługę idziemy! Sędziwa zasługa
Nie podźwiga już miecza, co dał młode czyny.
Dla żagli nie stworzona przystań, lecz żegluga.

Nie po zdobycz! Szlachetny bój nam cel jedyny.
Kto żądzą łupu śmiały, jest dla nas przedajny,
Lub kogo pewny wynik gna w bój, czy wawrzyny.

Idziem na nieodpłatny i na śmierciodajny
Szał walki, trzaskać wraże oporów przyłbice,
Bo nawet nie po Prawdę, choć ku Prawdzie tajnej.

Bezkorzystni, jak szczyty i jak błyskawice,
Oddajem za nią śmierci ziemską ciał ulepę:
Choć wiemy, że i orły prosto w słońca lice

Patrzeć mogą dopiero, gdy stare i ślepe.

V.

Bym nie łudził się, co mnie czeka nieodzownie
Za życia bohaterski szał w wiecznym rozpędzie,
Chowam, jak bracia moi, kielich, głaz i głownię.

Kroczę z nimi nad morze w pochodu obrzędzie,
Gdzie, kruż nalawszy winem, mówię dłoni: „Wylej!“
Rozrzutne, jak ten puhar, życie moje będzie.

Potem ochrzciwszy kamień imieniem swem, milej
Brzmiącem niegdyś mej matce, niż śpiew, jak z cięciwy
W toń rzucam go. Dać wszystko, wziąć nic: mój przywilej.

I zatknąwszy na brzegu głownię, w żar ją żywy
Rozpalam u fal skraju tańczących z szelestem.
W nocy morze ją zgasi szumnymi przypływy,

A rano martwy węgiel powie mi, czem jestem.

VI.

Gdy po dniu twardym błysną ciche gwiazdy w złocie,
A piersi się westchnieniem głębokiem rozszerzą,
Snów poddawać nie wolno nam szczęścia tęsknocie.

Nic dla nas! Nas godziny żadne nie sprzymierzą
Z miłowaniem przesłodkiem, jako miód w pasiece.
By pomnieć to, dzierżymy w ustach różę świeżą:

Niby ów pocałunek, którego kobiece
Usta nigdy nie złożą na krwawej, jak róża,
Ranie w piersi płonącej w przedśmiertnych chwil spiece.

I kiedy w noc wiosenną, co myśli odurza
Winem marzenia, czoła płoną gwiazd ekstazą:
Dłoń nasza, której szczęścia nie znaczona kruża,

Ciśnie do skroni miecza zimnego żelazo.

VII.

Niecierpliwego serca nieukojny wrzątek
Budzi nas świtem: okiem wodzimy dokoła
Szukając, kędy czynu nowego początek.

Bo powietrzem płuc naszych trudy i mozoła
I wiecznie nam wysiłku i prześcigów trzeba
Z ucieczką szczytów w błękit i z skrzydłem sokoła.

Z niebezpiecznego jeno umiemy żyć chleba,
Wieczyście niegotowi i sobie wyprzedni,
Jako dojrzewająca jest młodość efeba.

Pniem się wzwyż po granitach i po gołoledni
Lub dłonie nam od wioseł twardnieją modzelą.
Nie znamy wczasu. Każdy nam dzień jest powszedni.

Dzielnym śmierć jest dopiero świętem i niedzielą.

VIII.

Iżby życie waleczne, które jest jedynem,
Było nam droższe, niźli najsłodsza biesiada:
Zaprawiamy je myślą o śmierci, jak winem.

Za nami, idącymi ku słońcu, cień pada
I kładzie się na ziemię, jak i my polężem.
Cudne to upomnienie słoneczne i rada:

Że niema dnia dla męża, kiedy nie był mężem
I mieczem nie wykuwał go w walki gorącu.
Jeno tak blasku chwały bez cienia dosiężem.

Tem bujniej żyć chce w walce, kto myśli o końcu.
A im dzielniej go bitwy święty żar rozpali,
Tem młodszy i piękniejszy straci swój cień w słońcu,

Gdy śmierć w południu życia na wznak go powali.

IX.

Najwyższy był z nas czołem brat, który padł wczora
Na wznak rozkrzyżowawszy szeroko ramiona,
Jakby w uścisk chciał gwiezdne wziąć niebo wieczora.

Młodych kędziorów pełne, fijołkowe grona
Ocieniały mu czoło, mędrsze od czół braci,
Jako od świtu głębszy jest wieczór, co kona.

I gdyśmy go żegnali, skłoniwszy postaci,
Ust jego, co nam słowa mówiły najmędrsze,
Nie tknęliśmy, jak czyni brat, gdy brata traci;

Ani czoła, co snami sięgało w nieb wnętrze,
Wsparte o gwiazdy lśniące iskrami złotemi.
Całowaliśmy stopy mu, od czoła świętsze,

Bowiem się opierały na najświętszej ziemi.

X.

Gdy brat nam padnie w boju, gałęźmi oliwy
Nieranne z tyłu ciało skrywamy, gdzie padło,
By nie patrzył na martwą śmierć krąg słońca żywy.

Potem, zwłoki spowiwszy w białe prześcieradło,
Niesiem je ciemną nocą do najdalszej groty,
By jutro i wspomnienie miejsca nie odgadło.

I wzniesiony stos zlawszy winem starej cnoty,
Ubrawszy trupa kwieciem, rozpalamy smolną
Pochodnią, odwróciwszy twarze, pożar złoty.

I odtąd już nam, żywym, odwiedzać nie wolno
Ani pamiątać grobu. Jeno cyprys świeży,
Zasadzony przed brata przystanią padolną,

Wskazuje słońcu cieniem swym, gdzie brat nasz leży.

PRÓBA SILNYCH

I my, nim w bój wylecim, na kształt rojów pszczelich,
Po miód śmierci na kwiecia krwawego kobierce,
Idziemy nad brzeg morza, na fale w rozterce
Spokojnem patrzeć okiem, na spienioną biel ich.

I wsparci na płomiennych mieczach archanielich,
Snów ogromnych i ogni słonecznych wydzierce,
Zapraszamy na ucztę nasze dzielne serce,
By w ręce Morza wypić złoty wina kielich.

Ale jest wino nasze straszne i okrutne!
Nie jak to, co podnietą oszałamia smutne
Serca w niebezpieczeństwie przepaści i zguby.

I trzeba mieć dlań głowę tęgą, wielkiej próby,
Bo przed walką o cudy wśród gróz i przerażeń
Otrzeźwia, odbierając czar ułud i marzeń.

LEOPOLD STAFF.

Ofiarnicy.

Jefte, syn Emanuelowy, ocknął się z drzemki, podniósł bezładnie rozburzoną głowę i oczyma, pełnemi jeszcze snu, wodził nieprzytomnie po izbie, łagodnie jasnej od błękitnych odbić czystego nieba i złotawych refleksów zieleni sadu zalanego upalnem słońcem letniego popołudnia. Trzepocąc sennie powiekami, błądził spojrzeniem po czysto obielonych ścianach, lecz po chwili znów głowa opadła mu gnuśnie na posłanie. Wtopionego w półsenną jawę kołysały przytulnie gospodarskie gdakania kur, zmieszane z kochliwem gruchaniem gołębi. Niekiedy od pobliskich winnic przywiewał wiatr przytłumione głosy pracujących najemników, a od pastwisk beczenie kóz i owiec, i głuche, przeciągłe ryki bydła. Za oknem, w sadzie, szeleściły słodko liście oliwek, drzew cytrynowych, granatów i fig, wstrząsanych lekkim podmuchem od Libanu, czasem spadający owoc jabłoni uderzył głucho o miękką ziemię.

Drzemiący zawarł twardo powieki, jak gdyby pragnął znowuż zapaść w sen; przed zamkniętemi oczyma migały mu szare, okolnym dniem przejaśnione plamy i przeganiały precz senność. Zwlókł się tedy ciężko z rozkopanego posłania i, usiadłszy na ławie, zatopił twarz w dłoniach. Lecz każde włókno rozprężało się w nim ku gwałtownemu wybuchowi, jak zgięta w dłoniach stal. Zaciął szczęki i porwał się dziko, a na grube usta spłynął mu gorzki grymas bezsilności, wraz z wymyślnie brutalną klątwą, którą cisnął nagle krótkim, gardłowym bulkotem.

Wyszedł z izby i, stając w progu, patrzył tępo przed siebie: w słońcu drżały złotem prześwietlone plamki roju komarów, a na środku dziedzińca pstra gromada kur, skupiona bezładnie wokół rozsypanych ziaren kukurydzy i owsa, pilnie i z pośpiechem tłukła dziobami w ziemię, walcząc niekiedy ze sobą w zawistnem łakomstwie wśród krótkich, wrogich pokrzyków. Zmie-

szane z niemi krzątały się czerwononogie, schludne gołębie i przelewnie niezdarne kaczki, a z dala od gromady drobiu ostrożnie i chyłkiem poskakiwała ku jadłu hałaśliwa banda wróbli. Za podworcem wgłębiał się sad, ciężki od soczystej i cierpkiej nadziei bogatego zbioru; gięły się pod brzemieniem dojrzewających owoców splątane gałęzie niskich drzew, których pnie świeciły resztkami wapna, spłukanego już w części wilgocią.

Jefte, z utkwionemi przed siebie nieruchomo oczyma, z ociągliwem zapamiętaniem jasnowidza, ruszył ku ostrokołowi. Z świstem skrzydeł wzbił się płochliwy obłok gołębi i wróbli, a potem opadł płynnie na dachy chaty, obory i stodoły. Jefte doszedł do kamiennego płotu, okalającego obejście, i patrzył na spalone trawy pastwiska, ubielonego stadami żerujących gęsi i barwnemi plamami przeżuwających w słońcu krów. Gdzieś nad parowem postrumiennym dymiło bezświetlne w blaskach słońca ognisko; na lewo rozciągały się karne szyki winnic, a w prawo orne pola, żółte od dojrzewającego owsa i ściernisk po zżętej pszenicy: stamtąd dolatał uszu Jeftego dźwięczny brzęk kos i zgodny śpiew pełni, nucony przez żniwiarzy, upojonych rozumnie pewnym i na duchu podnoszącym rytmem wspólnej pracy. Jefte dłonią przysłonił od blasku zmrużone oczy i patrzył tam długo wytężonym wzrokiem; a potem, oderwawszy spojrzenie od pilnej gromady żniwiarzy, zawisł oczyma w bezkresnej dali gościńca, wysadzanego strzępiastymi wiechciami akacyi. Po chwili bezruchu machnął beznadziejnie ręką i zawrócił ku dziedzińcowi. Siadł w cieniu na klocu do rąbania drewien, oparł się plecami o ścianę chaty, wyciągnął nogi daleko przed siebie i, splótłszy piegowate dłonie na karku, wplątał się oczyma w głąb sadu. Męczyły go myśli owiane mętem. Dziwiło go teraz to, o czem już wiedział przedtem. Nie sen, nie sen! Niczego mu oczy nie skłamały! — Oparł łokcie na kolanach, a palce wtopił w rozburzone włosy z jakiemś dzikiem łakomstwem. Omotała go znów bezduszna tępota: niewidzącemi oczyma wpatrzył się w udeptaną gładko ziemię podworca, kołysząc się rytmicznie na chwiejnym klocu; niekiedy jakby łuska opadała mu z oczu, zaostrzał wzrok ku widzeniu i wtedy rozgarniał stopami sypki miał suchego pyłu, by znów bosemi piętami zasuć ciemniejsze wilgocią wnętrze, które był obnażył.

Z kuchni doszedł go cichy śpiew niewieści, zgrzytliwy i starczo zadyszany:

— Pójdziesz ze mną z Libanu, o oblubienico,
Spojrzysz z góry Amana, z wierzchu góry Sanir
I Hermon, ze lwich jaskiń i z gór lampartowych,
Ujęłaś bowiem serce moje, siostro smagła.

Małe, bure oczki zmgliły mu się mlecznem bielmem złości; zaciąwszy szczęki z twardą zawziętością, rzucił się niecierpliwie, aż kloc pod nim zachybotał wstrząśniony.

— Wilczyco, czy was zęby bolą? — syknął szyderczo, odwracając się gniewnie ku oknu kuchennemu, w którem po chwili ukazała się zwiędła i bezkrwista twarz starej służebnicy, Rebeki. Ręce chude, żylaste i tłuste od pomyj, ocierała w brudną ścierkę i uśmiechała się przytem tępo, pokazując dwa żółte zęby, sterczące sieroco w bladem dziąśle.

— Gniewasz się, Jefte? — zapytała gderliwie przymilającym się głosem oszukańczej znachorki. — Nie wiedziałam, synu, że tu siedzisz i możesz słyszeć śpiewkę wyczerpanej do dna studni, co wspomina swą wodę, — dodała z błędnym wyrazem mrocznej, więziennej niemal pustki w wypłowiałych oczach. — Śpiewałam sobie, bo... bo tak jakoś lżej... Krzyknij w głęboką studnię, a także ona sobie zakrzyknie. Inaczej smutno...

— A któż to w was krzyknął? — zakpił złośliwie.

Łokciami o wnękę okna się oparła i nachyliła na Jeftem.

— Wspomnienie, synku, wspomnienie. Nie zawsze było, jak jest. Była wiosna, i lato, i jesień... A w zimie, kiedy niema nic prócz tego, co jest... w zimie zawsze miło zaśpiewać sobie to, co się przy żniwie śpiewało: wtedy i słońce wróci myślom, i noc parna, i kwiaty polne, i sad umajony...

Jej oczy wypłowiałe i mętne, jak powietrzne bańki na zgniłych bagniskach, zdawały się patrzeć gdzieś niezmiernie daleko, a kąty sinych, wąskich warg uniosły się w uśmiechu bladym, jak kwiat zwarzony przymrozkiem, w uśmiechu, który mówił, że niedarmo oczy błądzą tam, dokąd się już wraca tylko opowieścią lub snem. Długą chwilę trwała z tym dalekowidzącym uśmiechem na ustach; a potem, jakby opowiadała sobie, zaczęła znowuż głosem jednostajnym i miarowym:

— Był młody i silny. Oczy miał czarne i czarne włosy...

— A gdyby rude miał włosy?! — zachichotał Jefte złym głosem, potrząsając mierzwą miedzianej czupryny.

Lecz Rebeka, jakby go nie słyszała zgoła, ciągnęła dalej:

— A potem, po długiej słodyczy... potem poszedł sobie precz, — zakończyła nagle szeptem ledwie słyszalnym.

Jefte porwał się dziko.

— A ona poszła bez słodyczy nawet! — zaprzeczył gwałtownie, rzuciwszy się ku Rebece z groźnie wzniesioną pięścią. — Poszła, bo

rude miał włosy, a brat miał czarne włosy i tłuste policzki! Poszłaś, to chybaj, plucho, gdzie tam chcesz, i legaj w słomie, z kim chcesz! Ty będziesz brzuch nosić, a nie ja, ani on. Ale jego to ja — —!

Zachłysnął się przekleństwem twardem, jak głaz, i dysząc ciężko, pobladły zatoczył się pod ścianę. Pięście i szczęki ścięły mu się kurczowo, głowę zalał wściekły udar krwi wzburzonej, a w oczach jęły mu tańczyć żółte i czerwone plamy, jak w słońcu ten rój komarów. Chwilę wyziewał z siebie złość i zwolna gasł.

— Suka! — wyksztusił przez zwarte zęby i ciężko osunął się na kloc. Znów palce zatopił we włosach i w bolesnem poczuciu niemocy wgniatał aż do bólu pięście w oczodoły, z lubością wsłuchiwał się w przyspieszony rytm krwi w pulsach i raz poraz spluwał dla ulgi daleko na środek dziedzińca.

— Jefte! — usłyszał nad sobą głos Rebeki.

Wzruszył ramionami kilkakrotnie i nie odpowiedział.

— Jefte! — powtórzyła kobieta z wyrzutem.

Każdy muskuł naprężył mu się, jak cięciwa niechybnego łuku i cały wydał się sobie drapieżcem, co czyha chytrze na ofiarę, wyzywającą go z dziecięcą niemal nieświadomością zasadzki.

— Nie sierdź się, synku, nie sierdź — zaczęła znów głosem drażniąco dobrotliwym, pełnym roztropnej perswazyi. — Wszystko znieść trzeba na tym świecie... I od wszystkich. A lepiej jest, synku, od swojego, niż od cudzego. A kogoż masz bliższego, niż...

— Starszy jestem! — przerwał chrapliwie, uderzając się butnie w piersi.

Nagle spojrzał na kobietę oczyma jakby innemi, z tem zdumieniem oddalenia, płynącego z poczucia wyższości z powodu krytej tajemnicy.

— A zresztą... zresztą skąd wy...? — zapytał z szerokim gestem zdziwienia.

Uśmiechnęła się pobłażliwie i domyślnie zmrużyła wypłowiałe oczy:

— Wiem, dziecko, wiem wszystko — pokiwała głową. — Ho, ho, stara jestem, niedowidzam, ale widzę, synku, widzę, co się wkoło dzieje. Niewidzące oczy wglądają głębiej, bo są starsze — dodała, z powagą wznosząc oczy i palec w niebo.

Lecz Jefte skoczył do niej, porwał ją za ramię i przechylił ku sobie przez otwarte okno.

— Gadaj, co wiesz! — zacharczał groźnie, wpatrując się błędnie w jej twarz bezkrwistą i zmarszczoną.

Z lękiem chciała się wyrwać i cofnąć w głąb, lecz, jak kleszcze, wrzynały się palce jego w jej rękę.

— Gadaj, co wiesz! — wrzasnął przeraźliwie i posiniał na twarzy od złości, jak bez.

— Józef ci Sarę wziął — wyszeptała przerażona.

— A! — ryknął gniewnie i targnął Rebeką wściekle, aż piersią padła na oparcie okna.

— Oszalałeś?! — jęknęła starka, podnosząc się i patrząc nań oczyma bezlitośnie osmaganej suki.

Rozcierała obolałe ramię i mruczała coś niewyraźnie pod nosem.

— Gdybym była twym ojcem, łebbym ci ukręciła, ty...

— No co? — porwał się ku niej wyzywająco.

Chwilę mierzyła go nienawistnym wzrokiem.

— Ty, ty... znajdo! — wykształtusiła wreszcie w spazmie dotkliwej bezsilności. — Tak, tak, znajdaś, wiedz! Na miedzym ojcowej cię znalazła — krzyczała, przysiadłszy, i raz poraz wskazując nań krzywym, chudym palcem wiedźmy.

Oszołomiony cofnął się, uszom nie wierząc. W oczach zakotłował mu mętny wir. Zachwiał się i oparł o ścianę, by nie upaść. Jak nieprzytomny mrugał powiekami i zdawał się nic nie rozumieć. Lecz nagle potarł sobie dłonią czoło, a w uszach zabrzmiało mu posłyszane słowo w jakiemś nieznanem dotąd znaczeniu i powadze: Znajda! Z opętańczym wrzaskiem, w którym była i cała nagłość i groza niespodzianej nowości, cała ta bezlitosna celność nieomylnego ciosu, i płacz gniewu, i ryk wściekłości, i konwulsyjny skowyt poczucia własnej niemocy, — rzucił się na oślep przed siebie, z pięściami złożonemi w ciężki młot, powolny pewnej ręce kowala-mocarza.

Kobieta odskoczyła w głąb izby z nieludzkim krzykiem śmiertelnego strachu:

— Zabije! Ratujcie! Boże!

Jefte rzucił się za nią, lecz wtem na progu ochłonął, a szał spadł zeń nagle, jak woda spływa z członków, odjętych falom rzecznym. Stanął i pochylił głowę. Z za węgła domu nagle wyszedłszy, ukazał się Józef. Był od brata wyższy i silniejszy; twarz, zaczerwieniona od pośpiechu pyszniła się pełnią zdrowia, a ciemne oczy błyszczały żywo z pod czarnych łuków brwi. Pośpiesznie podszedł pod okno kuchenne i, w milczeniu skinąwszy Jeftemu głową na powitanie, zawołał do wnętrza:

— Rebeko, daj mi jeść! Ale wartko, bo czekają mnie.

Odgarnął z czoła bujne kędzierze i pot otarł z pod oczu, nabiegłych krwią od zmęczenia.

— Ty skąd? — zapytał cicho Jefte, nie podnosząc nań oczu.

— Ode żniwa, — odrzekł zapytany, nie odwracając się i niecierpliwie bębnił palcami o ścianę.

Bracia milczeli. Józef dreptał w miejscu, wodząc żarłocznie oczyma za krzątającą się w kuchni służebną i powtarzał wciąż pod nosem:

— Prędzej, prędzej...

Chciwie porwał jadło, podane mu przez okno, i łakomie utopił w niem zęby zdrowe i białe. W ciszy słychać było tylko stłumione chrupanie jedzącego i ciężkie dyszenie Jeftego, który wodził za bratem nieufnie schmurzonemi oczyma i przygryzał wargi.

— Wracasz do żniwa? — zapytał znów po chwili, spoglądając na Józefa z popod brwi.

— Nie, — odrzekł ten krótko ustami pełnemi jadła i, żując pośpiesznie, pochylił się, by poprawić przed drogą sandał.

Nagle zwrócił do brata szybko głowę i, poprawiając omackiem rzemyk, zagadnął badawczo:

— Dlaczego pytasz?

Jefte wzruszył obojętnie ramionami, lecz oczyma uchodził przed spojrzeniem brata.

— Pytam, — rzekł z prostotą — bo dziwi mnie, żeś odszedł żniwiarzy, by zjeść, skoro już wkrótce wszyscy wrócą na wieczerzę.

— Głodny byłem, — odpowiedział Józef, zwracając się znów pilnie do ciżem.

— Widzę.

— Ano więc.

Umilkli, spozierając ukradkiem na siebie.

— Pewno później wrócisz... — zaczął znowuż Jefte po chwili, kreśląc na piasku patykiem nieudolne koło.

A gdy Józef nic nie odpowiadał, dodał:

— Razem ze żniwiarzami? Czy czekać ciebie z wieczerzą?

— Nie czekajcie, bo nie wiem, co wypaść może, — odrzekł Józef z wysiłkiem nisko nad ziemią pochylony.

— Pewno, nigdy wiedzieć nie można: to tu, to tam, to ten, to owa...

Kij prysnął w ręce Jeftego na dwie części.

— A czasem i poczekać przyjdzie dłużej, niż się człowiek spodziewał, — dorzucił, bawiąc się w zakłopotaniu ułomkiem, co mu w ręce został.

Józef wglądnął uważnie w małe, bure oczki brata i nagle roześmiał się głośno.

— Czemu się śmiejesz? — schmurzył się Jefte i końcem języka zwilżył suche, zwisłe wargi.

— Czemu? — powtórzył wesoło Józef, zabierając się do drogi. — Bo raduję się, że kogoś obaczę. Pozdrów ode mnie żniwiarzy! — dodał, śląc bratu pożegnanie lekceważącym ruchem dłoni.

— A skłoń się ode mnie Sarze! — odciął Jefte, blednąc jeszcze bardziej, lecz siląc się na uśmiech.

— Dzięki, nie zapomnę! — odkrzyknął z dala Józef i wśród śmiechu raz jeszcze odwrócił się do brata.

Potem ruszył żwawo drogą i oddalał się szybko. Długą chwilę patrzył za nim Jefte, z zastygłym na trupio-bladej twarzy przyśmiechem podstępnej uprzejmości, który zwolna jął się roztapiać, aż wreszcie spłynął dwoma beznadziejnie głębokiemi bruzdami, zsączającemi się od kątów ust ku brodzie. Małe jego oczy zwężyły się jakby i zmatowiały, a wargi, załamane płaczliwie, poczęły drżeć, podrywane nagłymi skurczami. Znów dłonie zwinęły się w pięść, twardą i zemściwą, jak młot powolny pewnej dłoni kowala-mocarza; znów szczęki zwarły się na głucho, a nozdrza rozdęły chciwie od szybkiego oddechu.

— Poczekajcie, poczekajcie! — zgrzytnął gniewnie i pogroził pięścią pyłowi, opadającemu zwolna po śladach Józefa.

Ostatni skrawek czerwonego słońca usunął się cicho za widnokrąg, krwawiąc jeno jeszcze czoła nielicznych obłoków, rozsianych po niebie, jak owce, znieruchomiałe w drodze. Mleczne opary wzniosły się z pól, wynurzyły się z jaru postrumiennego i ociągliwie sunęły wilgotnym tumanem ku winnicom. Z brzękiem lśniących kos wracali od żniwa najemnicy, powolni i twardzi, postępując poważnie zgodnym i rozumnie pewnym krokiem ludzi, nawykłych do wspólnej pracy. Za nimi, wzbijając chmury pyłu, kroczyły dostojnie ociężałe krowy, niepokojone kolejno natrętnemi napaściami jurnych, rozpragnionych byczków; wznosząc głowy, porykiwały niekiedy tęsknie, jakby żegnały gasnący dzień, co rozlewał się jeszcze krwawymi ostatkami na zachodzie.

— Ho! - ho! - ho! — pokrzykiwały pastuchy, uśmierzając batami gwałtowne zabiegi miłosne zalotnych lekkoduchów.

Wśród kurzu przebiegła stłoczona lękliwie gromada owiec pod baczną strażą pilnych psów, które po zwartych grzbietach potulnego stada, jak po ziemi, przebiegały, by surowo karcić niesfornie rozbrykane buntownice.

Szedł błękitny zmrok, szedł od wschodu, jakby był dniem; w ciemne masy zlewał plamy krzewów i korony drzew, wysuwał się sennie z głębokich zaułów i bezświetlnych wnętrzy, zatapiał się w wysokich trawach, czołgał się gnuśnie po ziemi, jak dym.

Oparty o niski mur, patrzył Jefte zmartwiałemi oczyma w niebo, rozkrwawione, jak nigdy niegojąca się rana. Skostniała tępota zapamiętania znieruchomiła go, a wnętrzem jego przewiewał smutek głuchy, jak stępot kroków po zbutwiałych liściach w leśnym ostępie. Niekiedy owiewał go rozszlochany podmuch żalu, oplatała go cicha i łagodna tęskność, a w źrenicach zawisały łzy niewypłakane. Światami leciał ku kochaniu sercem, z którego wewnętrznym płaczem przelewał się nadmiar bólu, ustami ku ustom straconym, ku tym oczom, jak chabry i warkoczom, jak noc. Kolebała go cicha muzyka żałości, wygnania i opuszczenia, boleściwa muzyka, płacząca bezskargliwym smętkiem i niemocą, której nie wygra nic, jeno drzewa jesienne i bolejące serce. Szedłby bez końca działem pastewnym, skrajem oliwnego gaju, po zarosłych kretowiskach, a potem jarem postrumiennym, hen, ku Libanu górom błękitniejącym na widnokręgu, i nuciłby sobie bezsłownie, co dzwonki jąkają owcze, co drzewa śpiewają cmentarne, co świegocą święte jaskółki przed burzą: pieśń u dziecięcej kolebki i lament u trumny, śpiew do kochania i rozłąki. Nuciłby z cicha sobie i myślom swoim, jak się szepce modlitwę, i szedłby powoli, zapatrzony w wiotką trawę, gnącą się pod stopami, kijem ścinałby wysokie szczyty chwastów, niekiedy zagwizdałby sobie szeroko hasło pastusze — i szedłby, szedł, długo, bez końca, byle dalej, byle jak najdalej stąd, za las... za zręby stoków... hen — hen...

W oczach zamigotały mu łzy litości nad sobą: widzi się sam wśród niegościnnej pustaci, na posłudze u ludzi cudzych i złych. Biją, nogą kopią, urągają, krzywdzą... Zniesie, zniesie wszystko pokornie i cicho, jak podły pies. Nawet się nie poskarży, jeno w nocy popłacze sobie wśród mroku nad dolą swoją sobaczą... Albo... albo rękę wyciągnie pod arkadami marmurowej bóżnicy, przynożnym pożebrze skowytem i przecież może wpadnie mu do garści nędzny grosz, choćby nawet oplwany obelgą pogardliwej litości. O, zniesie, zniesie, zniesie i skomleć potrafi, jak pod progiem pies obity i przepędzony precz na słotę! Zapytają ludzie: „Gdzie Jefte się zapodział?“ — O, daleko jest-ci Jefte, daleko! W świat wywędrował ludziom złym na urągowisko i poniewierkę, żebrze psim jękiem o suchy kęs chleba... — Wziął sobie Józef Sarę, z nią szczęście i wiosnę, a on, znajda bezdomny, pod arkadami marmurowej świątyni, z ręką wyciągniętą błagalnie, głodny, siny i porzucony...

— Jefte, czemu ty płaczesz? Jefte!...

Ocknął się i, zawściągnąwszy oczy z wędrówki marzenia, zobaczył

rozumną, spaloną słońcem twarz ojca. Nieznacznie otarł oczy dłonią, wyprostował się żwawo i, siląc się na swobodę, rzekł:

— Ej, nic!

Uchodząc oczyma przed badawczem spojrzeniem ojca, wykonał drżącymi palcami szereg dzikich ruchów, jakby się bronił przed napaściami roju os oszalałych i natarczywych, i raz poraz powtarzał zdławionym głosem:

— Nic, nic, nic!

Stary Emanuel pogładził biały i wełnisty obłok brody, odgarnął za uszy włosy siwe, aż do ramiom spadające, i kilkakrotnie z niedowierzaniem pokiwał głową czcigodną.

— Czemu się, ojcze, dziwujesz? — zapytał Jefte, podnosząc na ojca płochliwe spojrzenie.

Ten wzruszył ramionami.

— Ja?... Ja się już niczemu nie dziwię, synu — odrzekł z pobłażliwym uśmiechem. — Zbyt stary na to jestem i doświadczony. Nie dziwuje się, kto wie.

Odważnie utkwił Jefte swe małe, bure oczki w oczach ojca.

— A ja się dziwuję przeto właśnie, iż wiem — szepnął drżącym głosem. — A tak, tak, dziwuję się, bo wiem.

— Cóż takiego wiesz, że się dziwisz?

— Dziwię się, ojcze, żeś schował przed znajdą prawdę — wyrzekł szybko z żarliwym wyrzutem, przytakując głową namiętnie. — Dziwię się i pytam: poco? poco? poco?...

Wstrząsał gwałtownie rękoma przed oczyma ojca, rozwarłszy szeroko powieki. Nagle ręce opadły mu bezwładnie wzdłuż ciała, a głowa pochyliła się na piersi.

— Gdybym był wiedział wpierw, mniej ostrym ciosem zaszyłby się nóż w serce — wyrzekł cichym głosem skargi.

— Skąd wiesz? — zawołał ojciec, cofając się zdumiony. — Kto ci nabajał? — poprawił się zaraz.

— Zaszczekała mi dziś o tem wilczyca!

Ojciec postąpił ku niemu, ujął go łagodnie za przegub dłoni i wstrząsnął przyjaźnie jego ręką.

— Synu... — zaczął wzruszonym szeptem.

Lecz Jefte wyrwał dłoń z ręki starca i przerwał surowo:

— Nie jestem twym synem!

— Jefte, do kogo masz żal? — ciągnął dalej ojciec. — Czym ci dał, choćby nawet w gniewie, powód do domysłu? Czym dla ciebie był inny, niż dla twego brata?

— Nie mam brata! — zawołał Jefte jeszcze gwałtowniej. — Nie miałem go nigdy! Nikogo nie mam, nikogo! Słyszysz, ojcze? Nikogo! Jestem tylko wyrodnym synem wyrodnej swej matki, co już pewno dawno nie żyje. Więcej nikt, nikt!

— Jefte, co tobie?...

Przyskoczył gwałtownie do ojca, wpił w jego ramię palce, jak szpony, i, dysząc, jął syczeć mu w ucho głuchym, gorącym szeptem:

— Skowycze mi całe serce i wyje pod chłostą! Łbem walić o ścianę, drzeć pazurami ziemię, szarpać zębami i krzyczeć, krzyczeć aż do skonania!... Wszyscy tak samo chodzą, jak wczoraj chodzili i przedwczoraj; przyśmiechują się do siebie i płodzą dzieci; pogodą się trapią, plotą wieńce dożynek i bajki dla dzieci; chodzą, skaczą, przytupują sobie do opętańczego tańca i nie wiedzą... oni, ojcze, nie wiedzą, że tu pęka jedno serce ludzkie! Litości! Miłosierdzia! Jedno tylko serce mam w piersi, to jedyne, kochające serce! Gdy pęknie i stanie, pokazując ostatnią godzinę... Boże bezlitośny i zły! kroplą po kropli sączyć się będzie czas dalej w zegarze żywota innych i nikt nie wspomni o tym... — Krzyczy mi coś w głębi wołaniem zbłąkanego: „Oszukali! Na bezdroże wywiedli! Nic nie uratuje!“ Skradli, co miałem najumiłowańszego i ostawili samego, jak topielca w nocy na dnie wezbranej rzeki! W górze woda, błądzę rękami: woda. A w górze, niezmierzenie już daleko, toczy się życie dalej niewstrzymanym potopem: żyją w słońcu, ktoś śmieje się gwiazdom, księżycowi ktoś płacze, ktoś się rodzi, ktoś morduje człowieka, a pijane gardła śmiechem wtórują urodzinom i konaniu. Życie, życie!... I tylko ja jeden, sam, czarną otoczony nocą i miękką tonią. Usuwa się ziemia pod stopami, dusi w gardle wrzask: „Ja także chcę żyć! Ja także chcę żyć!“ Lecz coś jednym zamachem wtłacza mi mój krzyk znowuż w krtań: — Nie wolno! — „Dziewczynę chcę mieć ku miłowaniu!“ — Nie wolno! Inny ci ją weźmie. — Czemu? czemu? czemu, na Boga, nie wolno mi mieć ani matki, ani ojca, ani brata? Nic! nic! Ta myśl wierci, jak świder, iglicą się wpija w tępą głuchość i dławiącem przejmuje zdumieniem: dlaczego mnie jednemu nie wolno mieć własnego ukochania, mieć go?! Nie znałem matki, nie miałem ojca, ni brata — i tę mi też skradli!! Uciekajcie! nie zbliżajcie się, bo kąsam, bom się wściekł i kąsam!

Zatchnął się i zaszedł od rozdzierającego łkania i krzyku.

— Jefte! Co tobie? Nic nie rozumiem!

— Ja sam nie rozumiem, ojcze. Sączy mi się z serca jad: zatruje sobą każde dobro. Ciężkie mam chmury w sobie: zasują sobą każde

słońce! Ja dziś najgorszy z ludzi, bo chcę się mścić, chcę drapać, kąsać, szarpać! Chowajcie przede mną wszystko żelazo, bo każdy błysk jego przypomni mi mą krzywdę!

Rozszalał się w uniesieniu i gorzał wszystek dzikim żarem rozpętanej w pustyni nawałnicy. Oczy płonęły mu niesamowitą łuną wewnętrznego pożaru, który gorącymi płomieniami słów buchał, jak lawa i głazy z rozpalonego wnętrza ziemi.

— Kto ci zawinił, synu? Przeciw komu dyszesz? Kto wzniecił w tobie pioruny? Synu, — zawołał ojciec uroczyście — stara dłoń cię wspomoże, przysięgam! Powiedz wszystko ojcu, powiedz wszystko, a pójdzie z tobą przeciw niemu.

Przeraził się Jefte i serce mu stanęło.

— Ojcze, tobie nie wolno! — przerwał, odtrącając go dziko od siebie.

— Synu, klnę się, że napuszczę jadem nóż i wpiję go w piersi twego krzywdziciela.

— Nie-nie-nie-nie-nie-nie!! — zaprzeczył gwałtownie, zatykając uszy. — Nie przysięgaj, ojcze, na Boga, nie przysięgaj, bo tobie nie wolno! Tobie nie wolno! Nie wiesz, coś powiedział! Cichaj, cichaj, święte gwiazdy na nas patrzą!...

Z nabożną trwogą wzniósł oczy ku niebu i spojrzeniem zdawał się o przebaczenie modlić gwiazdom, tym milczącym szpiegom ponocnych myśli, słów i uczynków. Skulił się lękliwie pod brzemieniem świadomości swej winy i głowę zakrył dłońmi, jakby ją chronić chciał przed niechybnym gromem kary.

— Chodźmy stąd — szepnął, pociągając ojca. — To miejsce snadź kusi. Każ jutro okadzić je świętem kadzeniem.

Zgasł potulnie i złamał się cały przerażeniem sobą. Raz poraz z niepokojem spozierał na ojca i drżał struchlałem sercem na myśl o grozie bliży starczego synobójcy.

— Tyle słów nierozważnych, tyle słów... — szeptał zdławionym głosem i napół nieprzytomnie przecierał dłonią czoło. — Ciężką obarczyłem się winą i nieprzebaczalną.

— Ofiarę jutro złożysz Panu i odpuszczone ci będzie — pocieszał ojciec.

— Tak, tak, pójdę z Józefem złożyć jutro ofiarę — pochwycił skwapliwie. — Zaraz o świcie... Może Pan odwróci swoją gniewną karę... Zaraz o świcie, by dnia nie poczynać z ciężarem winy na barkach.

Uczuł słodką ulgę oczyszczenia, a przedziwna błogość niemowlęcej

niemal czystości napełniła serce jego ufną pogodą. Pragnąłby potrzebujących obdarzać, przebaczać winowajcom, przycisnąć do serca świat cały i mówić mu słowa dobre, kojące, braterskie.

Wracali zwolna ku chacie pustym dziedzińcem. Z za długich i wąskich pasem mgły przeglądał księżyc wschodzący, a z daleka pohukiwały trąby pastuchów-wartowników.

Weszli do izby, oświetlonej mrugliwymi płomieniami świec zatkniętych w siedmioramienny świecznik i siedli naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy z łagodnem pobłażaniem i ufną nadzieją.

— Tak, zaraz o świcie pójdę z Józefem złożyć ofiarę — mówił Jefte głosem przyciszonym, mrużąc w zamyśleniu oczy. — A potem, gdy wrócę, z najemnikami pójdę ku żniwu, za rzekę, doglądnę pasieki, o południu nakarmię gołębie Józefa. Potem znów zajdę do żniwiarzy, wrócę wieczorem do podoju...

Przechylił głowę przez poręcz ławy i marzył o dniu jutrzejszym i o sobie, zapobiegliwym i przewidującym; wywoływał obrazy jasne i słoneczne, które minioną rozmowę z ojcem zacierały zwolna swym szczęsnym i beztroskliwym rytmem pogodnego życia w wielkodusznem zapomnieniu krzywd, we wzniosłem przebaczeniu i wśród boskiego spokoju zbożnej serca zgody w obliczu Pana. Rzeczy drobne i kochane, święte i małoznaczne, jak pokorne mrówki, śpiewały w nim podniebny hymn uwielbienia, w którym zespalały się szmery chybotanych liści, pobrzęki pszczół i kos żniwiarzy, pohukiwania pastuchów i wilgotne wonie nadrzecznych pustek. Uświęcał swą miłością i podnosił do tajemniczo wielkiego znaczenia wszystko to, co dotąd, jako nikłe i nieważne, omijał obojętnie i niedbale; oplatał teraz siecią tkliwie łagodnych uczuć każdą drobnostkę, każde źdźbło, kwiat każdy. I sam rozkołysał się dobrocią, pobłażaniem i przywiązaniem gorącem do samego siebie, wydał się sobie jedną z tych rzeczy świętych, dobrych, godnych wielkiego miłowania i czułej tkliwości.

Ktoś nagle zakołatał do drzwi pewną ręką. Jefte drgnął. Uderzenia powtórzyły się w szybkiem następstwie. Były niecierpliwe, gwałtowne i żartobliwie niepokojące. Poznał Jefte wesołą pustotę dobywającego się i widział już jego oblicze zadowolone, upojone dosytem, dumne przechwałką łatwego zwycięstwa. Wtapiał się czuciem w swobodną od ugaszonego żaru pewność zdobywcy i z najgłębszych den jego istoty znów wzniósł się mgławym obłokiem gryzący i duszny opar zawiści; oplatał go znów i usuwał się przygnębiającym ciężarem na ciemię, przygniatał do ziemi i krew rozbudzał na nowo. A gdy Jefte przypomniał swój przed chwilą sen o dobroci, wydał mu się on nagle

obcy i daleki. Zdało mu się, że w tym wzlocie uczucia wyczerpał w sobie ostatek tkliwości ciepłej, dobrotliwego przebaczenia i tego wszystkiego, co ludzkie. Próbował znów wznieść swoje serce, zatrute nagle jadem mściwości, ku uczuciom miękkim i dziecięcym, lecz wydało mu się ono jak głaz, z którego, chcąc go dźwignąć, zdzierał jeno do reszty i niepowrotnie ostatki miękkiego mchu. Opadła jego dobroć jak bezwładnie zwisają ramiona, które się już nigdy podnieść nie mają, jak strudzone śmiertelnie lotem skrzydła.

Ojciec otworzył podwoje i w progu, w widmowem świetle chwiejnych płomieni, stanął wyniosły zdobywca.

— Przywiodłem wam gościa, — rzekł i, cofnąwszy się w cień, popchnął przed siebie czerstwego starca, odzianego w nędzne łachmany. — Wędrowiec o nocleg prosi. Spotkałem go u przełazu, — dodał, wchodząc za przybyszem.

— Pokój temu domowi i błogosławieństwo Pana Zastępów, — rzekł uroczyście nędzarz.

— Witamy gościa w zagrodzie Emanuela, syna Sofarowego, — powiedział ojciec.

— Masma Łazarzowy opiece Pana oddaje uprzejmych gospodarzy, — odrzekł przybysz.

Postawił w kącie wysoki kij pielgrzymi, brzegiem nędznej skóry wielbłądziej, która zwieszała się z grzbietu, otrzepał pył z postrzępionych sandałów i skłonił się nisko.

— Powiedz, Jefte, starej Rebece, że gościa na wieczerzę mieć będziemy, — rzekł ojciec.

— Bóg spłać!

Stary Emanuel posadził gościa za stołem i zapytał:

— Skąd idziecie i dokąd wola?

— Chodzę wszędzie, i tu tedy przyszedłem, — odpowiedział Masma i włożył w usta kęs chleba.

Prócz chleba zresztą niczego tknąć nie chciał. Popijał wodą i, wodząc wokół trzeźwemi oczyma, zdawał się spojrzeniem zazierać do serca. Lecz oczy te nie były złe. Były jeno zimne i doświadczone, oczy, dla których niema tajemnic ni niespodzianek.

A potem, gdy otarł kąty ust grzbietem kościstej dłoni i rozsiadł się wygodnie na ławie, jął prawić o lądach i morzach, które poznał w latach całożyciowej włóczęgi; z wyższością wszechwiedzenia mówił o ludziach, którzy są, i o tych, których już niema; o duszach, które nie szukając, odnalazły siebie i są dostojne niewątpieniem i sobą władztwem, i o tych, co szukają, a znajdą siebie w dzień śmierci...

— Jam z tych drugich, bo moim udziałem życia droga wieczysta. Zszedłem świat cały: od Gazy do Damaszku, od Gebal do Hebron, od Akko do Kir Moab. Ja zawsze w drodze, mieszkaniec dróg. Nic mnie nie boli, bo wiem, że drogą zawsze gdzieś dojdę i zawsze coś znajdę, co, zrodzone z ognia i walki długiego szukania, nierównie bogatsze i szacowniejsze będzie od tego, co się w dłoń samo wsunęło, nieszukane. Nigdy nie traci, kto szuka, bo częstokroć ten, kto znalazł, z sił opada, jako że wierzy, iż ma już wszystko w dłoni; i sądząc, że znalazł już wszystko, traci to, czego jeszcze nie znalazł. A ten, kto bezustanku szuka, nie stracił jeszcze nic, bowiem wszystko jeszcze może znaleźć. Kto osiadł na polu szczodrzeńca, stracił łan pszenicy; kto zajął się zbiorem owoców oliwki, stracił całe niezmierne bogactwo winobrania. I gdyby każdy, idąc swoją drogą i znajdując, mówił sobie: „Dalej“, nie zabijałby człowiek człowieka, bo wszyscy ciągle szukając, nie zazdrościliby sobie dorobku znalezienia. Kto osiadł na polu szczodrzeńca, zawidzi bratu, który przeto zajął łan pszenicy, jako że później od pierwszego powiedział sobie: „Oto mam“. Lecz najlepiej spocząć dopiero w dzień śmierci, bo plon wtedy najbogatszy — plon całego życia. Życie jest szukaniem. I wie się nie przeto, że się umiera, lecz przeto się umiera, że się już wie. Dalsze życie jest bezowocne, skoro nie spodziewam się już niczego. — A ja, Masma Łazarzowy, nic nie wiem i nic nie mam, bo ciągle idę tam, gdzie już nie można powiedzieć: „Dalej!“

— Nie, Masmo! — zawołał Józef. — Najbogatszy ten, który po drodze zagarnia wszystko, co się trafi: czy to pole szczodrzeńca, czy to łan pszenicy, — i zaśmiał się, spoglądając bokiem na Jeftego.

— Tracisz czas w drodze, zatrzymując się przy rzeczach, które cię mało wzbogacą.

— A któż wiedzieć może, czy to, co na końcu drogi zdobędę, będzie warte tego, cobym po drodze sobie w sakwę nazbierał?

Masma rzucił ramionami i rozłożył ręce.

— Synu, a któż wiedzieć może, czy łan pszenicy nie zjałowieje?

— Wzbogacę wydajność gleby, nawiózłszy gnoju.

Podniósł się Masma i, wznosząc palec do góry, rzekł z półuśmiechem zwycięstwa:

— Wzbogacisz dorobek sobą samym.

I usiadł znów poważny, wodząc wokół doświadczonemi oczyma. — Jefte łakomie pochłaniał te słowa zgmatwane i bogate, jak gałęzie owocowego drzewa i, szukając wyjścia dla tego ekstatycznego skłębu widmowych zwidzisk, miotał się sercem w bezsilności i niemocy. Nie-

kiedy zatracał siebie, stając się wszystek żądzą chciwego schłonięcia tych myśli nasyconych i niepożywnych, jak rozpalony piasek. Oczami nad miarę rozszerzonemi błądził kędyś bardzo daleko i dziwił się, że jeno czasami ze zwichrzonego tumanu, jak jasnowidzenie, wychyliło się ku niemu coś tak bliskiego, iż, zdawałoby się, rękę tylko trzeba przed siebie wyciągnąć, by dosięgnąć celu, — a razem tak coś dalekiego, że ramiona opadały mu bezwładnie, a do oczu cisnęły się łzy bezsilne. Błądził poomacku, naoślep rzucał się łapczywie zdrowym głodem ku obrazom wyrazistszym, co odbijały nęcąco z chaotycznego bezładu i zdawał się je powtarzać szeptem i językiem przyciskać do zwartych zębów, by mu się snadź nie wymknęły podstępnie. Patrząc na Józefa, czuł jedno: by żyć, trzeba iść swoją drogą. Ma ktoś łan pszenicy, czy dziewczynę kochaną... nic to! „Dalej!" — Lecz potem znowuż mijały go obojętne, odrzucające niekiedy larwy słów, mijały zimne, wyniosłe, niedostępne. Wtedy migały mu upiornie w oczach chwiejne, czerwone płomienie kopcących świec, których dym czarny rozciągał się w długi, męcząco nieprzerwany pochód widmowych mar, przeginających lubieżnie swe potwornie szpetne cielska; z mocą brały się za przeguby rąk, w zawrotnem kolisku zataczały jakiś szalony pląs powietrzny, krótki i dziki, jak wrzask opętańca, i z szyderczym, przeraźliwym chichotem wybiegały sznurem nieprzerwanym przez otwarte okno, precz w noc. — Znagła ocknął się, drżąc wszystek, jak łachman na wietrze. I znów tylko chybotały płomienie kopcących świec, podrygując kurczowo, jak potworne karły.

Wracał zwolna myślą do życia z zapamiętania nieprzytomnego: siedział na zaszczytnem miejscu trzeźwy, mądry koczownik i mówił głosem przytłumionym, jakby dochodzącym do uszu Jeftego z dna grobu:

— ...O, czemuż ludzie nie pilnują swej własnej, sobie przeznaczonej drogi i czemu dobro życia zatruli złem współzawodnictw i waśni?! Czemu nie mówią: „Dalej!" w siebie zapatrzeni, lecz spozierający z ukosa i z zawiścią na przestrzeń, dzielącą ich od innych?! Nie stąd-że rodzi się zbrodnia, nie tu ma początek pierwszy oczu błysk krwawy i ściśniętych pięści obuch pogroźny?... Czemu ludzie nie są na innych ślepi?! — Pierwsza krew polała się z zemsty. Pierwszy świst obucha w powietrzu wszczęła dłoń współzawodnika — o łaskę Pana... Stanęli dwaj bracia u swych ołtarzy, by ofiarować: Kain złożył na stosie z owocu ziemi, Abel zasię zabił owieczkę ofiarną. Podżegli suchy chrust, nagromadzony na ołtarzach, bracia zwaśnieni, lecz Pan, chcąc dać świadectwo swej przychylności dla sprawiedliwego Abla, a gniewu na złego Kaina, przyjął mile Ablową ofiarę, a Kainową

precz odrzucił ze wzgardą, dym ścieląc po ziemi. I wtedy zawrzał odrzucony gniewem przeciwko bratu swemu i ciosem potężnym obucha zabił go!

— Znam to — przerwał Józef, rozparty ufnie na ławie. — Nie poszłoż im o dziewczynę?

Stary włóczęga spojrzał Józefowi uważnie w oczy i nagle roześmiał się wesoło, rozkładając szeroko ramiona:

— Wilk zawsze myśli o owcy, a głodny o chlebie!

Krew uderzyła Jeftemu do głowy, czoło pokryło się kroplistym potem, a żyłami jęły przebiegać mroźne wiewy. Opadł ciężko na ławę i całym ciężarem skołatanej rozpaczy runął w namiętny szamot rozterki. Był jak drzewo, otrząsające się z próchna...

Z zapartym oddechem wsłuchiwał się w śmiertelne rzężenie konającego, w jęk rozpaczliwie błagalny, dochodzący go gdzieś z bezedna: „Bracie, nie daj mi umrzeć!“ Mrowie dreszczu wstrząsnęło całem ciałem skrycie knującego, przed którego oczyma wykwitał zwolna krwawy kwiat utęsknionej zemsty. Bezustanku wracały mu przed oczy brudne plamy krwi, skrzepłej na rozpłatanem ciemieniu i obuch, skąpany w posoce. Dał się bezwładnie unieść wirowi, bezpamiętny, wpatrzony jeno uporczywie w siebie: widział się zimnym i bezlitośnie obojętnym na błagalne wołanie pomocy; niewzruszonym się widział, stojącym z posągową surowością, ze skrwawioną maczugą w kurczowo zaciśniętej pięści; widział się mitycznym mścicielem-zwycięzcą, tryumfującym nad zimnym zewłokiem wroga. I zdało mu się, że olbrzymieje, że wyrasta dumną głową pod niebo, że ramiona pęcznieją mu niepożytą mocą, a uda krzepną w potężne kolumny z granitu. Stał się wyniosłym dla niewidzialnych oczu, olśnionych jego czarem boskiej niedostępności orlego gniazda nad zawrotną przepaścią. Był sobie, jak dziw rozpętanego orkanu, jak cudo grozy rozhukanych koni. Czuł się upojony sobą i oczarowany: sam sobie drogowskaz i cel, sam sobie bodziec i wykon. — „Bracie, nie daj mi umrzeć!“ Lecz zimny mściciel-zwycięzca wskazując na swój ołtarz ofiarny, rzecze: „Odrzucił z owocu ziemi. Niechaj tedy zginie ten, na którego wejrzał!“ Był zdumiony i ogłuszony tą świętą niemal prostotą nagłego jasnowidzenia, co oślepiająco jasną błyskawicą rozświeciło mu noc poczucia miażdżącej krzywdy i lękliwego wahania.

Z założonemi na piersiach rękoma wpił się urągliwem wyzwaniem w zamglone sennością oczy brata, a pogardliwym uśmiechem litował się jego gnuśności.

Podniósł się i rzekł:

— Pójdę przyładzić na jutro żertwę. Złożę Panu z owocu ziemi.

* * *

Z podworca doszedł uszu Jeftego piskliwy, obłudnie przymilający się głos „wilczycy“, dziarskie gaworzenie kur i szelest rozsypywanych ziaren.

— Tiu-tiu-tiu-tiu-tiu-tiu...

Zachrypłym głosem zapiał kur, gdzieś odpowiedziała mu krótka i niezdarna próba dorastającego pisklęcia. Jefte zwlókł się z posłania i przetarł oczy. Z chaotycznego skłębu sennych marzeń, jak z mlecznej toni, wyprysnęła znagła jasna myśl przypomnienia:

— Dziś!

Otrząsnął się ze złudy, jak ptak z porannej rosy i z twardą zaciętością niezłomnego postanowienia obciągnął na sobie odzież, znieładzoną wśród niespokojnego snu.

Czuł jasno i nieugięcie. Zaciął szczęki. Znów widział się olbrzymem, dosięgającym głową niebios, o ramionach napęczniałych niepożytą mocą, o udach skrzepłych w potężne kolumny z granitu. Płomienny żar wewnętrzny rozpalał mu policzki, a myśl ustawiczna o niezłomności postanowienia hartowała i zwielokrotniała jego zaciętość. Dla zajętego jedną myślą świat okolny stał się czemś niepotrzebnem zgoła i stapiał się w jeden niedorzeczny obraz rzeczy zbytecznej, istniejącej jeszcze tylko z przyzwyczajenia: sad, stojący nieruchomo w świeżej przymgle wczesnego, bezsłonecznego jeszcze poranka, perłowo-modre niebo, prześwietlone ukrytem jakiemś srebrem, rośne trawy, omotane jeszcze pajęczemi nićmi roztapiającego się zwolna mroku, — całe to hałaśliwie czerstwe poczynanie się dnia wydało się Jeftemu podrzędną śmiesznostką znudzonego starca, co nie umie wyrzec się zajęć, do których przywykł. Jefte sam czuł się ośrodkiem niedającym się usunąć, biegunem nieodwołalnym, około którego całe dziś miało się owinąć, jak nić na kołowrotku obracającym się z dziką szybkością około swej osi. Czuł się ważny postanowieniem swem groźnem i koniecznem, czuł się jakby boskim posłannikiem, oczekiwanym długo zwiastunem czynu, dławiącego dech w gardle i upojnego razem, jak niespodziane połączenie cielesne w niepewności schrony nawiedzanej licznie. Dzień ten wydał mu się dniem nieubłaganie koniecznym, jakby od dawna przeznaczonym i przewidzianym w wyrokach boskich, dniem niemal świątecznym. Cała szara dal dnia wczorajszego i przedwczorajszego gubiła się przed jego oczyma, otulona mgłą jednostajności, zlewała się w głuchą nicość. Dopiero dziś, to dziś jakieś inne, straszne i utęsknione, wyraźne i jasne, jak tarcza słoneczna, wybijało się oślepiającem światłem swego przeznaczenia. Z tej mlecznej toni życia nieważkiego, przeżytych dni nic nieznaczących, ach,

nie przeżytych nawet, lecz jeno przebytych, z szarości bezsilnych targań i miotań się bolesnych, dzień ten wykwitał, przejaśniony olśniewającym blaskiem.

Jefte krzątał się starannie około stroju: nabrawszy w usta wody, zlał strugą dłonie i obmył twarz, gładko przyczesał włosy i przywdział odświętną odzież. Gotów do drogi, usiadł na ławie. Trząsł się wszystek. Lecz nie troskał się tą drżączką, bo zdało mu się, że cała fatalność dnia wstającego jest swoją nieodwołalnością niemal święta, nie dopuszczająca wahań, ni wtórnych postanowień; że ostatecznej pieczęci nie zdoła nic, ani nikt przełamać, on sam nawet; że bieg tych przedziwnych swą nowością wydarzeń pójdzie niezmiennie wytyczonym już raz szlakiem, chociażby nawet wzdrygała się wola, a ramię osłabło w połowie drogi. Już widział czyn spełniony, już żył nim raz podczas Masmowej opowieści, gdy zatracił siebie, a stał się jeno srożącym Kainem, co ma pomścić na bracie odrzucenie przez Pana ofiary; gdy wtopił się wszystek w Kainowe czucie dumy i godności potarganej w strzępy, w rozpacz poniżenia, gruźlącą serce odrzuconego wzgardliwie przez Pana Zastępów. Ten dym, ścielący się po rośnej trawie, czołgający się nisko, jak kopnięty nogą pies, ten dym ofiarny, pokorny i nieśmiały, niegodnie upokorzony i miażdżąco schłostany pogardliwym szydem, — stał się dla Jeftego podnietą drogowskazu, łechcącym bodźcem odwetu. — I teraz nie był już bratem, nienawidzącym brata dla odjętej podstępnie dziewczyny, a stał się ofiarnikiem odepchniętym wyniośle, mszczącym poniżenia na ofiarniku, którego objatę Pan mile przyjął. W głowie jego dzwonem w bezkres rozkołysanym krzyczała jedna myśl, pieniąca burzliwie krew: „Odrzucił ofiarę z owocu ziemi! Niechaj tedy zginie ten, na którego wejrzał!“ Jefte gorzał i w zanadrze wsunął nóż.

Nagle piorunem złamała go druzgocąca wątpliwość: „A jeśli... jeśli... nie odrzuci?!“

Ścierpł wszystek od grozy możliwości niespełnienia zamysłu, którym już żył, którego już wolą dokonał. Zbladł jeszcze bardziej, pot zimny oblał mu ciało, a na oczy padło mleczne bielmo, jak spadającemu w przepaść górską. Chwycił się za głowę i zatoczył, jak pijany.

— Nie, nie, nie, to niemożliwe... — wyjąkał drżącemi usty.

Struchlałego nawiedziły rozpaczne zwidzenia: przed oczyma jego rozciągała się beznadziejnie szara dal dnia jutrzejszego i pojutrzejszego, gubiła się w mgle jednostajności, zlewała w głuchą nicość. Dalej znowuż mleczna toń życia nieważkiego, dni bladych i nic nieznaczą-

cych, które należy znów przebyć wśród szarości bezsilnych targań i miotań się beznadziejnych.

— Nie! nie! nie! nie! To niemożliwe!

Skulił się i zmalał pod brzemieniem rozterki, jak pod ciężarem niezmiernego głazu. Tarzał się rozpacznie po ziemi i gryzł palce. Lecz nagle podniósł się na ręce, odgarnął z czoła kosmyki zlepionych włosów, potem wstał gwałtownie i butnie uniósł głowę; małe, bure oczy błysnęły mu żmijowymi językami gromów, a szczęki wykrzywiły się zacięciem nieustępliwej stanowczości.

— Musi odrzucić, musi! Cisnę mu w twarz bluźnierstwo świętokradcze, plunę mu w ślepia jadem szyderstwa, lekceważenia, pogardy!... Spalę mu w ofiarę trzewia zdechłej suki, lub cuchnące łachmany żebracze! Musi odrzucić, musi!

Piana wystąpiła mu na wargi, a całe ciało drżało, jakby z zimna, Wąż krzywdy świszczał mu w uszach. Kusząca i groźna ponęta bluźnierczego świętokradztwa kusiła go jak przepaść, gnała go przed siebie i smagała rozpalonymi biczami. A na usta spływała modlitewna prośba do jakichś bóstw, wyższych od Pana: „Oby odrzucił mą ofiarę! Oby odrzucił!“

— Jefte, czyś już gotów?

Jefte nabrał tchu w piersi i odrzekł wolno:

— Tak, już'em gotów.

Porwał swą codzienną odzież w drżące ręce i wywijał nią w powietrzu, jak wojennym znakiem na gruzach zdobytego miasta.

— Dam mu ją, a sobie złagodzę nową odświętną. Tak, dam mu ją.

Pędem skierował się ku stodole, gdzie spał koczownik. Odchylił ciężkie drzwi i wszedł w mroczne wnętrze.

— Masmo Łazarzowy, śpisz?

Na szczycie stogu słomy ukazała się ascetyczna twarz włóczęgi.

— Już dzień? — zapytał głosem chrapliwym i gnuśnym od snu, przeciągając ramiona. — Ano, trzeba mi w drogę!...

Zagarnął zmierzwione włosy za uszy i zsunął się z kopicy.

— Zanim jednak ruszycie, przewdziejcie tę oto szatę, którą przeze mnie ojciec wam przysyła.

Masma spojrzał na ofiarowaną mu odzież i pokręcił głową.

— Szatę? — powtórzył i skrzywił się, wzruszając ramionami. — Ej, nie! Mam starą, a ta mi do grobu wystarczy. Trzydzieści już lat ją noszę: żal się rozstać...

Badał i przewracał odzież, podaną mu przez Jeftego, patrzył w nią

pod światło i nagle z podziwem podciągnął siwe brwi aż gdzieś do połowy czoła:

— Godna szatka: nawet nie dziurawa!

Podniósł na Jeftego żywo oczy i zaśmiał się zcicha.

— Nieprawdaż? Godna królewskiego dziecka: nawet nie dziurawa!

Chwilę jeszcze przewracał ją na wszystkie strony, a wreszcie, oddając ją z powrotem, potrząsnął głową:

— Nie, to nie dla mnie — rzekł.

Cofając rękę, wzbraniał się darzyciel przyjąć znowu szatę z rąk starego włóczęgi i gwałtownie napierał:

— Weźcie, Masma, musicie wziąć, nie godzi się odrzucać podarku.

— Wziąć? — zastanawiał się koczownik. — Ha, wziąłbym ją nawet, ale... poco mi jej?...

— Wdziejecie ją.

Masma wpatrzył się weń wątpiącemi oczyma.

— A cóż zrobię ze starą?

— Ostawicie starą dla mnie.

Oczy włóczęgi błysnęły tajonym śmiechem.

— Poco? — zdumiał się głośno.

— By... bym miał po was pamiątkę — wyjąkał Jefte, patrząc w ziemię.

Chciałby jednym zamachem wywikłać się już raz z tych sieci. Był gniewny na siebie, że żarliwym naporem dawał możność snucia domysłów.

— Niech i tak będzie — powiedział obdarowany, jasno spoglądając na darzyciela.

Przewdział odzież i ostawił Jeftemu swój przegniły, cuchnący potem łachman. Znajda porwał radośnie te strzępy, przyciskając je do piersi, jak skarb najcenniejszy, rzucił się w ciemny kąt stodoły i wsunął zdobycz w worek z ofiarną pszenicą.

— Hej, Jefte! — zawołał z podworca ojciec. — Śpiesz, Józef już czeka!

Pośpiesznie porwał wołany na ramiona wór ofiarnej pszenicy i wyszedł ze stodoły; a za nim wolnym krokiem postępował koczownik ze zmarszczoną namysłem twarzą.

Na dziedzińcu stał już Józef z ofiarną owieczką na barkach. Jeftemu mocno serce biło, gdy ojciec, kładąc dłonie na głowach odchodzących ofiarników, rzekł uroczyście:

— Oby Pan wejrzał na was i ofiary wasze!

„Oby odrzucił moją! Oby odrzucił!“ modlił się cicho knujący.

Ucałowali ręce ojcowskie, poważni i milczący.

— A wy? — zwrócił się Emanuel do Masmy. — Już dalej w drogę?

Schmurzony namysłem włóczęga skinął głową w milczeniu.

— Tedy Bóg prowadź! — powiedział ojciec, wsuwając mu w zanadrze kawał chleba.

— Dziękuję za szatę. Syn dał! — przypomniał Masma.

— Zedrzyjcie w zdrowiu! — życzył Emanuel, odprowadzając gościa i synów do wrót. — Już pewno nigdy się nie zobaczymy.

Koczownik przystanął i, wskazując kijem drogę wysadzaną strzępiastymi wiechciami akacyi, rzekł:

— Nigdy się nie cofam.

Znów ruszył i, śląc oczy w bezkres, dodał zcicha:

— Jeno dalej, dalej, przed siebie...

Jego oczy doświadczone i schmurzone teraz namysłem, hardo patrzyły i wysoko.

— Z Bogiem! — zawołał ojciec, przystając u przełazu, i chwiał w powietrzu ku odchodzącym ręką drżącą i żylastą.

— Żegnajcie! — odkrzyknęli prócz Jeftego.

Ten milczał, czując ciężar w sobie. Dyszał ciężko pod brzemieniem wora ofiarnej pszenicy i męczących myśli. Zdrętwiałe nogi poruszały się, jak kłody. W ustach czuł cierpką czczość, jak posmak miedzi.

— Wy dokąd? — zagadnął po chwili włóczęga.

— Na leśnej polanie mamy swe ołtarze — rzekł Józef, przystając. — Wy drogą?

— Dla mnie i bezdroże jest drogą, gdy niem idę — powiedział, nie patrząc na Jeftego.

— Tedy żegnajcie; tędy nam droga.

Bracia skręcili w leśną drożynę. Józef szedł przodem pewnym krokiem, a za nim, skulony pod ciężarem, wlókł się zwolna Jefte. Nic nie mówili do siebie. Chrzęścił suchy łom pod ich stopami, skąpanemi w wilgotnej od rosy trawie, niekiedy płaczliwie skarżyła się owca, znieruchomiona na barkach Józefa, lub zaszumiały poważnie szczyty sosen, ożywione wiatrem. Gdzieś w dymnym fiolecie leśnego wnętrza tłukł się dzięcioł i gruchały dzikie gołębie.

Jefte patrzył uporczywie na swe stopy, migające przed jego oczyma w miarowym chodzie, i za każdym krokiem czuł głuche w czaszce dudnienie. Chciałby był przymknąć znużone oczy i wytchnąć, lecz droga wydłużała się w nieskończoność. Z wysiłkiem nadążał za nieznużonym bratem, a każdy przyśpiech jego dolewał kroplę goryczy do kielicha nienawiści, po brzegi już napełnionego.

Wyszli wreszcie na polanę, gdzie widniały dwa kamienne ołtarze ofiarne; każdy podszedł do swego i złożyli na ziemi ciężary. Jefte rozprostował grzbiet i wodził wokół oczyma jakby zupełnie innemi, podczas gdy Józef szybkim ruchem noża rozpłatał gardziel beczącej owcy. Na widok dymiącej się krwi, rozdął Jefte chciwie nozdrza i namacał nóż, ukryty w zanadrzu.

Ruszyli w gąszcz po chrust. Jefte tułał się od drzewa do drzewa, z jakimś dzikim niemal pośpiechem, składając suchy łom na lewem ramieniu. Nagle zabrzmiały mu w uszach słowa starego koczownika: „Dla mnie i bezdroże jest drogą, gdy niem idę.“ — Stanął. Czemu stary Masma to powiedział? Czyżby się domyślał? Lecz czemu pragnąłby go jeszcze pobudzić?

— Dla mnie i bezdroże jest drogą... — powtórzył Jefte pół-głosem. A po chwili znów dodał słowa dziwnego starca: — Nigdy się nie cofam...

I dotykalnie niemal zjawiła mu się surowa i rozumna twarz włóczęgi, jego oczy trzeźwe i doświadczone, spozierające w głąb serca.

— Jefte! — zawołał Józef rubasznie z polany. — Czyś się powiesił na suchej gałęzi?...

Ocknął się, a szyd skrzepił go i zaciął. Syknął wściekłością i znów uczuł się olbrzymem, dosięgającym głową niebios, o ramionach napęczniałych niepożytą mocą, a udach skrzepłych w potężne kolumny z granitu. „Odrzucił ofiarę z owocu ziemi! Niechaj tedy zginie ten, na którego wejrzał!“

Twardym i stanowczym krokiem wyszedł na polanę: Józef już podpalał żertwę, złożoną na stosie. Jefte wpatrzył się bez tchu w prosty pień dymu, wznoszący się z Józefowej ofiary i poraz drugi namacał nóż, ukryty w zanadrzu.

— Przyjął... — szepnął i otwartemi usty wchłonął łakomie powietrze woniejące żywicą.

Zgarnął chrust na ołtarz i, zasłoniwszy sobą stos, wydobył z wora cuchnący łachman żebraczy, przysuł go warstwą pszenicznego ziarna i wtedy znów ciężko westchnął, niby pod ciężarem klątwy nieodwołalnej konieczności: „Stało się!...“

Ręce opadły mu bezwładnie wzdłuż ciała, a w głowie huczały dzwony, rozkołysane w nieskończoność, waliły spiżem serc w obolałą czaszkę i dudniły w uszach głuchym pomrukiem przestrogi: „Nie ofiaruj! Nie ofiaruj!“

Jak nieprzytomny, drżącymi palcami skrzesał ogień i słyszał, jak całe okole, wiekowe drzewa, strumienie leśne i leśne strachy ponocne rozkrzy-

czały się tysiącami grzmiących głosów: „Nie ofiaruj! Nie ofiaruj!“ Lecz od den najgłębszych jego istoty odpowiedział głos surowy: „Nigdy się nie cofam!“

Zatrzeszczał zapalony chrust. W czarnych kłębach dymu, snującego się chytrze między suchemi gałązkami przeświecały niekiedy krwawe błyski ukrytego płomienia, które znowuż przygasały. Nagle buchnął jasny ogień, okrążał łom zdradliwie płochliwymi językami, zagarniał zachłannie przestrzenie coraz większe, czasem z podstępnem udaniem cofał się, zaczajał chyłkiem w gąszczu zamotanych gałęzi i wypadał silniejszy, tarzał się, jakby wśród rozkosznych bólów, syczał, wysysając tajemne soki, aż wreszcie rozpętał się nieokiełznaną, wszechwładną mocą żywiołu.

Odstąpił Jefte wstecz i z zapartym oddechem śledził dym wznoszący się z ołtarza. Zatchnął się w oczekiwaniu. Nagle oczy zaszły mu mgłą, głowę owiał mętny tuman ogłuszenia; cofnął się i, ze zdumieniem rozprężając skostniałe ramiona, całą pięścią rzucił w niebo krzyk przeraźliwy:

— Przyjął! Jednak przyjął!

Ze stosu wyrastał ku niebu prosty słup dymu.

Zatoczył się bluźnierca ze śmiechem, potrząsając szyderczo dłonią ku błękitowi:

— Niedobrze tam już snadź, niedobrze! Wszystko bierzesz na swą chwałę, byle kadzidło, byle dym, o, niewybredny!

Trząsł się wszystek ubezwładniającym spazmem śmiechu.

Z leśnego gąszcza nagle wynurzył się stary włóczęga.

— Przyjął, starcze, przyjął Pan twe łachmany w ofierze! — zawołał doń Jefte, zanosząc się od śmiechu.

Twarz starca pogodna była, rozjaśniona uśmiechem dobrym i pobłażliwym.

— Nie łachmany moje, lecz twoją ofiarę, — rzekł spokojnie. — Chcąc bluźnić, synu, ofiarowałeś. A kto królowi w myśli jeno złorzeczy, kornie głową kłoniąc, ten strachem hołd jego mocy składa.

— Lecz łachmany, starcze! Cuchnące łachmany! — zawołał Jefte, patrząc rozszerzonemi nieprzytomnie oczyma. — Czemu nie strzelił we mnie gromem, ani nie zawołał: „Jefte, cóżeś uczynił?!“ Czemu na znak gniewu nie rozścielił dymu po trawie?...

— Święty ogień łachmany oczyścił, a Pan przyjął oczyszczone — mimo twą wolę.

Zachwiał się Jefte i, przylgnąwszy plecyma do pnia drzewa, tarł dłonią czoło. „Co teraz tedy, co teraz?“ wołał w nim bezradny

skowyt rozpaczy. I znowuż przed oczyma przyjętego niespodzianie ofiarnika rozciągnęła się beznadziejnie szara dal dnia jutrzejszego i pojutrzejszego... głucha nicość bladych dni... Boże! Boże!... Wróci do domu z pochylonem czołem, jak winowajca — bezwinny. — Nie, wróg musi umrzeć!

Podniósł oczy i ujrzał brata, stojącego w cichem bezprzeczuciu przed swym ołtarzem, z twarzą ukrytą w dłoniach, i pogrążonego w modlitwie. Nie miał siły... „Pan przyjął!" Wszystkie władze jego, zbyt długo spiętrzone w groźny słup gniewu, zwiotczały, opadły, rozlały się, jak woda.

Lecz znowuż szarpnął nim piekielny ból i zajęczało w uszach straszne pytanie: „Co teraz?!" Padł bezwładnie na ziemię i zawył krwawym szlochem, wgniatając w policzki zaciśnięte pięście. „Co teraz, co teraz?!" — Jednak nic nie widział. Szarość, szarość bez kresu i dojmujący ból — i wstyd!... A!

Znagła targnął się, jakby rwąc krępujące go więzy i dzikim ruchem wyrwał nóż z zanadrza. I odtrącając starca grozą obłąkanych oczu, stanął hardo, z twarzą wzniesioną w niebo.

— Przyjąłeś te strzępy, przyjąłbyś padlinę zdechłej suki... to przyjmiesz i ścierwo bluźniercy! — zawołał dzikim, chrapliwym śmiechem szaleńca i wtłoczył sobie nóż w serce krótkim, lecz mocnym zamachem.

Krwią zbroczony padł martwy u stóp ołtarza.

JAN STRZEMIĘ.

Z cyklu „Chwile“.

I. ANI TY DUSZY SWEJ NIE RZUCISZ PSOM.

Ani ty duszy swej nie rzucisz psom,
Ani ja blasków twoich nie zapomnę...
Chociażby jakieś nieszczęście ogromne
Wkroczyło z tobą w ten pusty mój dom,
Jabym cię schwycił za te ręce obie
I miłościwie przygarnął ku sobie,
Szepnąwszy tylko: „Nie pierwszy to grom“!

Nie mam zwyczaju obliczać się z tem,
Co świat nam powie lub zarządzą nieba,
Przeto niczego lękać się nie trzeba,
Lecz powtarzając, iż życie jest snem,
Czekać spokojnie, aż życie się prześni,
Bez względu na to, czy później czy wcześniej
I czy też dobrem będzie albo złem.

Jest za i przeciw — któżby wątpił? Któż?
Ani ja dzisiaj ani ty ni człowiek
Cudzy, któremu noc nie zwarła powiek
Na dnia różnicę... Przecież tylko tchórz
Rad jest te nędzne gwichty kłaść na szale,
Tłomacząc sobie, że istnieją fale,
Tnące się wzajem na głębinach mórz.

Dławi cię krzyk ten — mówisz? Krzyk ten zdław
I krwi wezbranie w swej piersi zastanów.
Spieszącej brzegiem rozpalonych łanów
Ku czystym wodom, niech ci powie staw,
Któremu burza lustra nie rozsadza,
Że przejdzie mimo nas złowroga władza,
Dzierżąca berło nienawistnych praw.

A gdyby chciała urągać i nam —
Czelność się zawsze panoszy i wszędzie —,
Jest czem opłacić przekupne jej sędzie:
I ty masz dosyć i ja dosyć mam
Dumy czy pychy — dwa równe walory,
Jeżeli zdeptać trzeba nazbyt skory,
Mimo miedzianych stóp zbyt skrzętny kłam.

Podaj prawicę i wejdź ze mną w dom,
W którym się życie nie kryje w osłony
Tych albo tamtych względów. Niestrwożony
Pożarem dachu, gdyby go wszczął grom,
Ani ja swego nie ukorzę wnętrza,
Ani ty, ranna jutrznio przenajświętsza,
Swej jasnej duszy nie porzucisz psom.

Nie od dziś śmieję się — i ty się śmiej! —,
Słysząc, jak ludzie szlachetni i zdrowi
Lubią bliźniemu prawić człowiekowi,
Że się w tragiczny zagrzebuje lej,
Że, nie chcąc folgi dać przezornej radzie,
Sam się z oczami zamkniętemi kładzie
W statek bez steru, bez wioseł i rej.

Vogue la galère!... Lecz to nie jest ton
Pękniętej struny!... Nie topielców hasło,
Lekceważące słońce, gdy już zgasło
Ponad rafami! Nie rozpacz to łon,
Które wywróżyć miały wielkie szczęście,
A którym dzisiaj wygrażają pięście,
Gdyż z wróżb ich wyrósł wprost przeciwny plon.

Vogue la galère!... Nie żaden to cud
Krzyczeć tak śmiało, gdy morze spokojne
Fal swych na straszną nie gotuje wojnę;
Gdy mewa, siadłszy na okrętu przód,
Ufnie spogląda w oblicze żeglarzy,
A reszta stada w błękitach się waży,
Wspólną tworzących głębię z głębią wód.

Bo dziś przecudny otacza mnie dzień,
Jakgdyby stworzon, ażeby na wieki
Przeczyła dusza blizkiej czy dalekiej
Groźbie pomroków. Zapatrzony weń,
Czuję, jak słodko wdziera się do serca
I za i przeciw wszelakie uśmierca
Od łąk płynący powiew wonnych tchnień.

Wszystko dziś wszystkim przebaczyć bym rad,
Jeśli cokolwiek przebaczać należy
Ludziom, co przecież są bez win. Na wieży,
Zda mi się, jestem strzelistej i świat
Płynnem się srebrem u stóp mych rozściela
W rozfalowaniu radosnem! Wesela
Obraz, jakiegom nie widział od lat.

I ty się raduj! Tobie ja ten złom
Greckiego słupa zawdzięczam, tę ciszę,
Co tutaj liśćmi wierzbowymi pisze
Znaki, zaledwie dosłyszalne, tchom
Podobne cichym twej słonecznej duszy,
Która niewczesny krzyk w sobie zagłuszy
I której rzucać nie godzi się psom!

Drzwi me otwarte, zamiecion mój próg,
Na stole złote czekają owoce,
W dzbanie z kryształu blask wina migoce
I precz odgania widma mrocznych trwóg;
Do wnętrza izby zagląda, ciekawy
Tej w moim domu niezwykłej zabawy,
Pan, na syryndze grywający bóg.

Pod białą ścianą rozpalił się ślaz,
Rozpłomieniły się piwonie duże,
Na bezkolczastych krzach rozbłysły róże;
Rąk nieskaleczysz, gdy się do tych kras
Zabierać zechcesz, zapachów spragniona,
W których się kąpie królewska korona
Życia, co umie tak nas witać, nas!

O świcie blizki rozegra się łan
Głosem przepiórek, lub w sąsiednim lesie
Wieści o zorzach wstających rozniesie
Rychła kukułka; a gdy zmilknie Pan,
Lubiący słońce południa, mądrości
Święty ptak, sowa, śród zmierzchów zagości,
Dreszcz tajemniczy śląc do naszych ścian.

Przeto się gotuj do drogi, a zważ,
Abyś przybyła w mój ogród, nim jeszcze
Listopadowe zaczną padać deszcze,
Nim zima puści szron, swą przednią straż,
Zanim me grzędy z purpury i złota
W szarość lodową oblecze martwota,
Prześladowczyni ziół i wróg ten nasz.

A gdyby w drodze opadły cię znów
Głuche wątpienia, co ponoć się zrosły
Z wieczystym rdzeniem twej duszy wyniosłej,
Odpędź tę sforę, pamiętna mych słów,
Że ogień z wodą nie zawrze przymierza,
Lecz serce z sercem, gdy cios w nie uderza,
Odeprzeć zdoła i tysiączny huf.

Że gdyby nawet wraz z tobą w mój dom
Jakieś nieszczęście wkroczyło ogromne,
Jeszcze ja blasków twoich nie zapomnę!
Nie! nie! szepnąwszy: „nie pierwszy to grom!"
Jeszcze pochwycę cię za ręce obie
I miłościwie przygarnę ku sobie
I ty swej duszy nie porzucisz psom!...

II. GRÓD TAJEMNICZY.

Zamykam oczy
I oto widzę, jak się z wód przezroczy,
Z cichych, głębokich wód
Biały wychyla gród.

Widzę, jak mury,
Z srebrnego ciosane granitu,
Gubią się w taflach błękitu
U góry
I dołem...
Jak w nich podwójnem swem czołem
Uwięzły wieże,
Ciemnawą
Przecięte linją zwierciadła
Nad ławą
Dachów i kopuł i arkad i bram
Z złocistej miedzi...

Wielką ja ciszę znam,
Lecz takiej ciszy, co gdzieś tu usiadła
I siedzi,
Niewidna oku,
I strzeże
Tych ciężkich, zawartych wrótni,
Nigdy ja do tej nie słyszałem pory.
Snać smutni,
Jak zmory,
Własnego bojący się kroku,
Mieszkają ludzie w tem mieście...

Lat dwieście
Albo i trzysta lat
Mógłby pochłonąć rojny, gwarny świat,
A, zda się,
W tym rojnym i gwarnym czasie
Nikt by się tutaj nie uśmiechnął jeszcze.
Nawet cyprysy,
Porastające ten pagórek łysy,

Wsparty o pował granitowych ścian,
Nigdy snać dotąd nie popadły w dreszcze,
Jak czarne, olbrzymie igły,
Ten kształt ich śmigły,
Znieruchomiony,
Tnie nieboskłony.

Nieśmiało,
Chociaż ni sługa nikomu
Ni pan,
O swoje państwo strwożony,
By się przypadkiem w proch nie rozsypało,
Zanim do domu
Wrócićby mógł,
Stukam w miedziane wierzeje
Od strony
Rozległych dróg:
Stuk! stuk! stuk!...

Dziwnie się dzieje
W tej schroni
Mych snów...
Wiem:
Nie młota-m
Głośnego użył, lecz dłoni,
Cichszej od ciszy, co goni
Blaski po toni,
Nietkniętej
Najlżejszych powiewów tchem...
Nikt się nie spytał „a kto tam?“
I „po co? mów!“
Nie spadło na moją głowę,
Lecz jak odmęty
Głębokich mórz,
Jak dwie olbrzymie cichej wody masy,
Rozstąpiły się dwie wrotnie spiżowe...
Któż je rozdzielił? Któż
Zmysłom je rozwarł mych uszu i ócz:
Nie zgrzytnął w zamku klucz,
Nie zaskrzypiały zawiasy,

Nie zjawił się żaden stróż,
Coby mnie wwiódł
W ten biały gród.

Przez cuda tych bram,
Przez ten złocisty spiż,
W którym, jak w lustrze klisz,
Nieba odbija się krąg
I woda i bezmiar łąk
Nadbrzeżnych,
Wszedłem do miasta
Sam
I chodzę,
Oczom puściwszy wodze.
Co chwila wyrasta
Gmach,
W słonecznych, śnieżnych
Skąpany skrach.
Naokół
Jeden za drugim cokuł
I balkon i gzems i szczyt,
Z białych ciosane płyt,
W białym rzeźbione marmurze...
Szerokie, duże
Ulice, place
Co chwila z przed oczu tracę,
Albowiem nowy co chwila
Świat się wychyla
Przedemną —
Wspaniały,
Kamienny świat!
Pracą wzajemną
Tysiące go lat
Budowały...

Gdy przed mojemi zamkniętemi oczy
Wyłaniał się z głębin przezroczy
Ten gród,
Niewielkim kastelem się zdał,
W głaźny ujętym wał,

Wystrzelający z wód.
A teraz mi rósł
W coraz to większy, ogromniejszy cud,
W coraz to szerszem rozwijał się kole.
Jak gdyby wszystkie miał rozsadzić tamy,
Coraz to dłuższe od bramy do bramy
Wycinał drogi —
Nieznany popędzał go mus...
W tem mieście, rozległem,
Jak niekiełzanej wyobraźni pole.
Zgromadzającej swe plony
Na jawie czy w snach,
Przez dzień czy miesiąc, przez rok czy też wiek,
Dopiero później spostrzegłem,
Zdumiony,
Iż żaden nie minął mnie wóz,
Żaden niespotkał mnie człek.
Najpierw ogarnął mnie strach,
Czułem dłoń trwogi
Na sobie,
Jak gdybym nagle stał przy jakimś grobie;
Zdawało mi się, że w oczy mi błyska
Jakowaś biel cmentarzyska,
Że w tem widzeniu skrawem
Kamiennych pomników stos
W nieziemskim się pali
Pożarze.
Ale niebawem
Chciwy, radosny, wesoły
W wnętrzu się mojem ozwał głos,
Że te kościoły,
W które mnie losy
Zawiodły,
Ślą jakieś dotąd niesłyszane modły
W niebiosy;
Że w sali,
Którą nieznani dla mnie zbudowali
Mocarze,
Nad nowem prawem
W płomiennej mowie

Płomienni rajcują rajcowie;
Że w kuźni,
Co swym ogromem
Źrenicom mym bluźni,
A w której nagle okna mi rozbłysły,
Śród niepojętej roboty
Tysiączne padają młoty,
Że tylko me zmysły
W swojem kalectwie widomem
Ani nie widzą ni słyszą,
Jakie potęgi dyszą
W tym grodzie...

A może to jedna z złud,
Któremi człek się tumani,
Do niezmierzonej przystani
Po wielkiej płynący wodzie,
Z której, jak cudów cud,
Biały wyrasta gród?

Zamknął się za mną cichy ciężar bram;
Nad taflą zwierciadła
Cisza usiadła,
Największa z tych, które znam,
I siedzi
I strzeże złocistej ich miedzi —
Strzeże zamczyska,
Co błyska,
Biały, przedziwny gmach,
Co z wód przezroczy
Przed zamkniętemi wychyla oczy
W białych, przedziwnych snach...

* * *

JAN KASPROWICZ.

From a polish forest.

Come and wander in the forest, wander deep and wander far
Till we reach the inmost stillness where the silver shadows are:
Where upon green moss the lichens and the scented needles fall,
Where the wind sings in the tree-tops and no worldly voices call:
Squirrels rock among the branches, ferns and toad-stools deck the way,
Come and wander, come and wander on this dark and silent day!

When the moon shows, elves will meet us, burning with a wild blue light,
While their unseen music holds us wonder-stricken in the night:
All the toad-stools will be glowing, pale the hare-bell lantern's flame
While in golden chariots riding we forget the way we came:
There's a palace in the hollow where princesses laugh and sing,
While eternal childhood dances in the heart's unending spring...

Come! my feet shall wear glass slippers and your hand shall hold my hand
Even though midnight ring, too loyal not to know and understand:
Come! for we must face the dragon, armed with our enchanted sword,
And the prison door shall open to the magic of a word:
O the fairies are not dead yet, I can hear their voices still,
Come and find them, come and find them, in the forest on the hill!

LAURENCE ALMA TADEMA.

Z POLSKIEGO BORU (PRZEKŁAD).

Chodź, pójdziemy w bór głęboki, chodź, daleko pójdziem w bór,
Tam, gdzie srebrne drzemią cienie, przenajgłębszej ciszy wtór;
Gdzie na miękkość mchów zielonych opadają igły z drzew,
Gdzie nie słychać ludzkich głosów, tylko wiatru słychać śpiew,
Gdzie wiewiórki skaczą miękko, gdzie muchomor pełen kras,
Gdzie zaściela paproć drogę, w mroczny, cichy pójdziem czas.

W blask miesięczny, z ogniem w oczach płynie k'nam rusałek tłum;
Niewidzialna ich kapela tak nas więzi, śród tych dum
Tak się palą muchomory, taki żar na dzwonki padł,
Że siedzącym w złotym wozie znikł nam drogi naszej ślad:
Głos zaklętej brzmi królewnej, czarodziejski tu jej gród,
W sercu wiecznej tu młodości nieskończony kwitnie cud.

Chodź w trzewiczkach pójdę szklanych, dłoń ma spocznie w dłoni twej,
Mrok północy nas ogarnie, ty świadomość żywą miej,
Że miecz dzierżąc czarodziejski zwyciężymy smoczy chów,
Że kaźń bramy swe otworzy na zaklęcie naszych słów!
O, nie zmarły jeszcze baśnie, ja ich cichy słyszę gwar:
Chodź ich szukać w bór ten górski, chodź powitać tu ich czar!

Laurence Alma Tadema.
Z angielskiego przełożył Jan Kasprowicz.

Füger, Lampi, Grassi

w galeryi obrazów hr. Dzieduszyckich we Lwowie.

Chlubnie i powszechnie znany jest piękny zbiór dzieł największych mistrzów naszego malarstwa w pałacu byłego Marszałka kraju ś. p. Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, nieodżałowanego opiekuna naszej sztuki, protektora artystów, tudzież założyciela i fundatora słynnego Muzeum etnograficzno-przyrodniczego.

Grottger, Matejko, Jul. Kossak, Michałowski, Rodakowski, stary Rejchan, Franciszek i Bruno Tepa, Loeffler, Lange, Chojnicki, Grassi i inni, oto największe i wielkie nazwiska naszego malarstwa z jakiemi się w tym jakościowo i ilościowo bogatym zbiorze spotykamy.

Jako nowa zasługa zaszczytnie w dziejach naszych zapisanego, rodu Dzieduszyckich przybywa dla Lwowa, urządzona staraniem i znacznym kosztem Małżonki ś. p. Marszałka, Alfonsyny hr. Dzieduszyckiej, wspaniała instytucya kulturalna.

Jest to, od roku już uporządkowana, nadzwyczaj umiejętnie, tudzież z wielkiem znawstwem i ze smakiem zebrana, okazała kolekcya obrazów (przeszło 400 sztuk) dawnych mistrzów, pradziada obecnej właścicielki, wybitnego męża stanu, prezesa stanów galic., posła do Napoleona I., tajnego radcy austr., kawal. ord. Orła Białego, św. Stanisława, franc. Legii Honor. itd. itd. Ignacego hr. Miączyńskiego, zmarłego w zagadkowy sposób we Wiedniu dnia 25 października 1809 r. W zeszytach następnych podamy w krótkości historyę powstania, oraz omówimy najcelniejsze dzieła pięknej tej galeryi [1]). Na razie zajmiemy się tylko obrazami wymienionych w nagłówku malarzy; są one bowiem najściślej złączone z osobą pierwotnego fundatora galeryi hr. Mią-

[1]) Galerya jest otwarta dla zwiedzających bezpłatnie co niedzieli od godz. 11—2 popoł. w inne dnie za zgłoszeniem się w Zarządzie Biblioteki Poturzyckiej od 10—1. Kurkowa 17. Katalog w przygotowaniu; obrazy są oznaczone kartkami.

czyńskiego, oraz z rodem Dzieduszyckich, a zarazem są też drogiemi wspomnieniami, najważniejszych i wielkich, chociaż nieszczęśliwych chwil, porozbiorowych naszych dziejów.

W czasie krzewienia się idei i rozkwitu romantyki, która wszędzie i we wszystkiem szukała ideału i dążyła do doskonałości, a osiągała tylko uniwersalność wszelkiej wiedzy, i ujednolicanie, zespalanie płodów ludzkiego ducha — przeobrażała się też zwolna na wewnątrz i zewnątrz wiedeńska akademia sztuk pięknych.

Po czasach wyłącznego hołdowania i absolutnego poddania się wpływom sztuki włoskiej, głównie szkoły bolońskiej, za pierwszego jej kierownika Piotra Strudla de Strudendorff w latach od 1692 do 1714 i po miękkich rządach Antwerpczyka z rodu, a Francuza z wykształcenia i zapatrywań, Jakóba van Schuppena (1650—1751) zaczęło się zwolna panowanie klasycyzmu, romantyzmu i haseł narodowych, kolejno pod dyrektorami: Unterbergerem (1695—1758), Trogerem (1698—1777), Meytensem (1695—1770) i Sambachem.

Wielki, nieprzebierający w środkach reformator Józef II., który nienawidził zresztą wyższych zakładów naukowych, zamieniając uniwersytety na t. zw. „wyższe licea“, miał jednak należyte zrozumienie dla sztuk pięknych, miłował je nawet, cenił i dbał szczerze o dobro wiedeńskiej akademii. W roku 1783 powołuje do Wiednia na zastępcę dyrektora akademii malarskiej, był nim mierny malarz, Franc. Kaspar Sambach (1715—95), — głośnego już wówczas malarza, którego starano się też zaangażować do Petersburga, — Henryka Fryderyka Fügera (1751—1818).

Füger jest nieodrodnym, a wybitnym człowiekiem swej epoki. Sztuka jego składa się z dwóch głównych, zasadniczych pierwiastków, których nazwy: Winckelmann i romantyzm. Nie przestawał on jednak być klasykiem, nawet w dziełach o pewnych cechach romantyzmu.

Przy końcu XVIII. i z pocz. XIX. wieku, ścierały się ze sobą w dziedzinie sztuk plastycznych rozmaite prądy, o różnej sile natężenia i mniej lub więcej wybitnym wpływie. — Jedni widzieli jedyne zbawienie w naśladowaniu dzieł włoskiego odrodzenia, drudzy szukali tego samego w świecie staroklasycznym, inni znowu uznawali za ostateczny cel sztuki jak najwierniejsze kopiowanie natury, jeszcze inni chcieli osiągnąć to samo przez ascezę religijną. Wszyscy razem zaś dążyli szczerze do ideału doskonałości. Ale myśląc ciągle nad receptą na doskonałość, zapominali o sobie samych i nie rozumieli, nie oceniali należycie dwóch genialnych swych nauczycieli i interpretatorów wielkiej sztuki: Winckelmanna i Wackenrodera. Nie rozumiał dobrze

nauki Winckelmanna i nie dorósł jej malarskim swym talentem, ani też inwencyą, najbliższy i najserdeczniejszy jego przyjaciel, bardzo przez współczesnych przeceniony Antoni Rafael Mengs (1728—79).

Wielkie zaś, wiecznie żywe, prawdziwe, zapalne i przepiękne słowa Wackenrodera (Herzensergiessungen) przebrzmiały bez należnego im hołdu i bez szczerego przejęcia się niemi, mimo uduchowionej swej mocy, mimo zaświatowego czaru i powabu. Chcąc koniecznie ująć w stałą formę i skodyfikować reguły piękna gubiono się w mętnem, a bezowocnem doktrynerstwie. Jedyny wyjątek stanowiła Anglia już z Hogarthem (1697—1764), Gainsborough'em (1727—88) i Reynoldsem (1723—92) na czele. Tam myślano trzeźwo i rozumnie, podczas gdy na kontynencie europejskim mimo trzeźwych również i mądrych słów wielkich apostołów sztuki, Winckelmanna, Wackenrodera, Goethego i Schillera szukano ciągle jakiegoś jednego wielkiego a nowego słońca. Rafael (Santi), Leonardo, Michał Anioł, Correggio, Rubens i Rembrandt oto owe słońca małe jeszcze, z których usiłowano koniecznie zrobić jedno słońce wspólne, jako ogniskową wszelkich ideałów i doskonałości. O jednem tylko zapomniano, że elementy przetwarzać i tworzyć nowe, może tylko sam Stwórca, lecz chyba nigdy — człowiek.

Człowiek jest tylko środkiem, jest tym objektem, jedynie materyą i narzędziem w którem i przez które przejawia się i ucieleśnia owa niepojęta, bezkreśna pramoc twórcza, którą Bogiem zowiemy. Twórczość ludzka jest tylko atomem ducha bożego; nie ma tedy mocy rozdzielania i łączenia atomów innych w nowe pierwiastki doskonałości. Klasycyści, klasycy i romantycy malarstwa miast skupiać swe duchy i dawać potężne, ożywcze całości własnych organizacyi duchowych, gubili się i wyniszczali swe siły w poszukiwaniach i wynajdywaniach co raz to nowych, a rzekomo lepszych idei i ideałów, niepomnąc, że największym i najtrwalszym ideałem, to przedewszystkiem własny, skupiony w sobie, silny, a twórczy duch. Zapomniano, że twórczość prawdziwa wychodzi z głębin wnętrza duszy, lecz nigdy z samego tylko świata zewnętrznego. Piękno zewnętrzne, zarówno czystej przyrody, jakoteż gotowych już dzieł ludzkich musi być najzupełniej przetopione i rozłożone znowu na pierwiastki w szczerym a silnym ogniu duchowym, jeśli ma się narodzić nieskazitelnem, w pojęciu człowieka, pięknem nowem, którego istota jest zawsze ta sama i niezmieniona, czy tkwi ona w dziele twórcy muzyka, poety i architekta, czy też malarza i rzeźbiarza.

Winckelmann nauczał, że koniecznie jakaś idea powinna być pun-

ktem wyjścia dla twórczego artysty. Piękno stawiał on wyżej ponad prawdę realną, spokój ponad wzruszenie i akcyę, bo majestatycznym spokojem i dostojnym gestem raczej, niż ruchem odznaczają się arcydzieła sztuki greckiej. Zaczem tkwi ono nie w otaczającym nas świecie realnym, lecz w formie i kształtach, które ani do wyobrażeń szczególnej jakiejś osoby, ani też do wyrażenia stanu duszy wcale się nie nadają. Jest to t. zw. winckelmanowskie „nienasycone pragnienie piękna“, — jest jakoby określeniem samej jego istoty, prapierwiastku samego w sobie. Oto jedno z najpierwszych haseł: „piękno dla piękna“ — „sztuka dla sztuki“.

Nie natura sama, jako taka, może już być pięknem skończonem i doskonałem. Wprawdzie jest w niej piękno, lecz tylko to niższe, realne, rzeczowe, niejako dotykalne, bo podpadające pod zmysły. Prócz tego jest jeszcze piękno inne, wyższe, wznioślejsze, przeczyste piękno ducha ludzkiego, poczęte bez form i kształtów świata zewnętrznego, które je tylko skalać i zniszczyć mogą. A więc nie posąg człowieka wymodelowany wiernie z żywego wzoru, lecz pewnego rodzaju przetworzenie, przekomponowanie go według upodobań twórczego ducha, a nie samych tylko oczu, może zbliżyć się do owego nigdy nieosiągnionego ideału piękna prawdziwego, leżącego poza naturą i wogóle poza możliwością wykonania go i ucieleśnienia.

Do osiągnięcia podobnego piękna dążyli artyści greccy. Dlatego też posągi ich są rzadko portretami ludzi, a są zwykle uplastycznieniem ich własnych artystycznych przeżyć i pojęć piękna oderwanego, pozazmysłowego, duchowego. Rzecz jasna, że Winckelmann, ani wśród najbliższego swego otoczenia, ani wogóle w Europie całej, nieposiadającej wówczas, żadnego równego mu duchem, geniusza na polu sztuk plastycznych, nie znalazł godnego interpretatora i plastyka wielkich myśli swoich. „Nienasycone te pragnienia“ były zresztą i są zawsze nieziszczalne, niemożliwe do urzeczywistnienia zapomocą sztuk plastycznych. Może je zadowolić chyba tylko muzyka i w mniejszej już części — poezya.

Podobne hasła głosił też i Lessing, twierdząc, że zadaniem sztuki jest przedstawić z całą swobodą piękno dla niego samego, a nie dla jakiegoś nauczania i umoralniania, gdyż ono samo kształci serce i uszlachetnia sposób myślenia.

Przewodnią myślą romantyków było również uszlachetnianie całego otaczającego nas świata realnego, szukanie we wszystkiem piękna i wysubtelnianie uczuć, słowem, ich zasadą był „idealny realizm“.

„Duch i natura to jedno“, mówił Novalis. Wszystkie te nurtujące

wówczas prądy czysto duchowe i ścierające się wielkie hasła wyrządzały wśród adeptów sztuki dość wielkie szkody i spustoszenia. Niejeden bowiem nietylko średniej miary, ale i prawdziwie uzdolniony, urodzony artysta, byłby się inaczej rozwinął i dosięgnął może wyżyn Parnasu, gdyby nie był musiał, uniesiony prądem czasu, wdrapywać się na niemożliwe do osiągnięcia szczyty i stawać często nad zawrotnemi przepaściami. Wszyscy bowiem stawali na rozdrożach wielkich haseł i dążeń, a tylko bardzo nieliczni zdołali po wielu latach błądzenia i szukania odnaleźć drogę właściwą, wiodącą w głąb własnej duszy i tam, a nie gdzieindziej, nie w samych tylko stworzonych już podnietach zewnętrznych — szukać natchnienia i mocy twórczej.

Na takiem rozdrożu, zaraz w początkach swej młodości znalazł się też, późniejszy nauczyciel obu Lampich, i pośrednio Grassiego: malarzy nadw. Stanisława Augusta, dyrektor akademii wiedeńskiej H. F. Füger.

Po krótkiem studyowaniu prawa przerzuca się na pole malarstwa, udając się na naukę do dyrektora akademii w Stuttgarcie Mikołaja Guibala, Lotaryńczyka z rodu, jednego z przyjaciół i najwybitniejszych uczniów Raf. Mengsa. Chłonie więc z całym zapałem młodzieńczej duszy wszystkie nauki i przykazania winckelmannowsko-klasycznego piękna. Maluje przy tem bardzo mierne i sztywne, pierwsze swe portrety i miniatury, które wcale jeszcze nie zapowiadały późniejszego, tak znakomitego portrecisty. Po przestudyowaniu za pośrednictwem Guibala zasad malarskich Mengsa, którego stawiano wówczas wyżej nad Rafaela Santi (Don José Nicolas de Azara) i nazywano go najsławniejszym i najzasłużeńszym malarzem Europy (Cean Bermudez) — udał się Füger na dwa lata do Drezna. Tam zapoznał się ze zjawiskową, przesubtelnioną i przeczuloną organizacyą psychiczną nieziemskiego Wackenrodera, a tem samem wszedł w drugi świat wielkich myśli i górnych zasad — romantyki. Bujając myślą w niebiańskich, rozświetlonych światach przepięknych marzeń Wackenrodera, studyuje w galeryi drezdeńskiej dzieła Włochów, głównie szkoły bolońskiej: Carraccich i Domenicchina. Ztąd udaje się na dalszą naukę do dyrektora akademii w Lipsku, Oesera — lipskiego Mengsa, jakby go nazwać można.

Jedzie następnie na krótki pobyt do akademii wiedeńskiej. Uzyskuje tam od cesarzowej Maryi Teresy wielkie stypendyum na wyjazd do Włoch i udaje się wprost do Rzymu, gdzie przebywa pełnych osiem lat. Z początkiem roku 1782 wyjeżdża do Neapolu, zkąd, jak nadmieniłem już, powołał go Józef II w rok później tj. w r. 1783

na zastępcę dyrektora akademii wiedeńskiej; w r. 1795, po śmierci Sambacha, został jej dyrektorem. Po dziesięcioletnich, pełnych chwały rządach w akademii, którą wzniósł do nieznanych przedtem wyżyn i po wykształceniu całego zastępu dzielnych artystów składa w r. 1806 urząd kierownika, by objąć stanowisko dyrektora Belwederu, właściwie istniejącej tam znanej galeryi obrazów. Na nowem tem zaszczytnem stanowisku pozostał już do swej śmierci tj. do r. 1818.

Füger nie był wyobraźnią stwarzającą nowe, własne światy, ale niezwykle subtelną, wytworną, czułą i wykwintną miał duszę, znakomicie przystosowaną do dworskości i woniejącego, upudrowanego, miękkiego życia 2 połowy XVIII w. Elegancyą i wdziękiem był romantykiem, zachowując jednak zawsze klasyczny spokój i powagę.

Cechy te znajdujemy na wszystkich dziełach Fügera, które z biegiem czasu niejako uświadamiają się, wyrabiają i stają się nietylko środkiem, lecz też ostatecznym celem jego pojęć piękna i sztuki. Owo tzw. włoskie „sfumato", tj. najdelikatniej rozpływające się światła i cienie przy równoczesnem zatarciu wszelkich ostrych i widocznych konturów doprowadził on, wzorując się oczywiście na Leonardzie tj. właściwie na szkole medyolańskiej, tudzież na Correggiu — do niebywałej wprost perfekcyi,—nawet do przesady. Gdyby nie jego rysunek, nie zawsze poprawny i nie przeciętność, jeżeli już nie banalność tematów oraz kompozycyi, mógłby był Füger zostać jednym z największych, genialnym artystą swego czasu, większym i lepszym od pośredniego swego, a tak bardzo przechwalonego nauczyciela, Rafaela Mengsa.

Zaszkodziły mu jednak jego zawsze przepiększone t. zw. obrazy „historyjne" (Historienbilder), tj. biblijne, mitologiczne, alegoryczne i batalistyczne, które zaczął tworzyć po objęciu posady w akademii wiedeńskiej, tudzież brak sił do wyzwolenia się z akademizmu, oraz z wszechwładnego klasycyzmu. Najbardziej popularnem i najsłynniejszem w Europie dziełem literackiem była wówczas przełożona na język francuski i angielski „Messyada" Klopstocka. Füger lubując się w dziełach Klopstocka i podzielając jego zapatrywania na sztukę, tworzy cały cykl olejnych, niewielkich obrazków malowanych na kredowym papierze, ilustrujących jego „Messyadę". Całość (20 sztuk) znajdująca się w wiedeńskiej akademii jest pod względem kompozycyi wcale mierna, chociaż niezła w rysunku i dobrze malowana, mimo błędów perspektywicznych. Kolorytem i sposobem rozłożenia światłocienia przypomina zaś bardzo hiszp. malarza Zurbarana (1598—1662), zwłaszcza Nr. 1030 i 31. Wpływy hiszpańskie przeszły na Fügera za pośrednictwem szkoły Mengsa, który przebywał przez 15 lat (1761—75),

jako malarz nadworny w Madrycie, hołdując tam głównie sztuce Murilla, której ślady odnajdujemy w niektórych jego portretach i obrazach religijnych.

Piękny obraz olejny Fügera malowany również na papierze i pod wpływem dzieł Zurbarana, przedstawiający św. Brunona, klęczącego w grocie przy modlitwie (106X77 ctm.) posiada galerya hr. Miączyńskiego (Dzieduszyckich). Jest to obraz z epoki późniejszej, wiedeńskiej, kiedy zarzuca on już owe zbyt rozpływające się mdławe, przesłodzone tony i kontury (Magdalena — Wiedeń), a zaczyna być bardziej samym sobą tj. dzielnym i rzetelnym malarzem, jakim jest zwykle w przepysznych swoich portretach. Nawiasowo należy tu wspomnieć, że galerya jest w posiadaniu jeszcze jednego a może i dwóch innych wielkich obrazów religijnych, bardzo zbliżonych do pędzla Fügera. Rzecz ta wymaga jednak dalszych studyów i badań, które jeżeli potwierdzą przypuszczenia, w takim razie mielibyśmy we Lwowie, prócz jednego z najlepszych, najpiękniejszych portretów (o czem niżej) i wymienionego św. Brunona jeszcze dwa bez wątpienia najdojrzalsze i wspaniałe jego obrazy religijne.

Z dniem każdym niemal zdobywa dziś Füger — w siedem lat przed stuletnią rocznicą swej śmierci, — ogromną, a zasłużoną sławę znakomitego portrecisty. I gdyby był wyłącznie ten tylko rodzaj malarstwa uprawiał, byłby go niewątpliwie do nieprześcignionej doprowadził doskonałości. Wielką już sławę współczesną*) zrobiły mu portrety:Józefa II, arcyks. Elżbiety; Karoliny królowej Neapolu, generała Laudona, hr. Rzewuskiej w otoczeniu jej dzieci, oraz scena z życia rodzinnego Maryi Teresy (w skarbcu ces. zamku).

Kiedy w pierwszych dwóch dziesiątkach lat XIX wieku srożyła się nad starą Windoboną gwałtowna burza fantastycznych rojeń — napoleońskiego geniuszu i „romantycznych“ jego przedsięwzięć, podbicia i zawojowania całego globu, wtedy pracował też gorączkowo, bez wytchnienia i... dyrektor wiedeńskiej akademii sztuk pięknych. Najwybitniejsi, dyplomaci, politycy, najwyżsi arystokraci, wodzowie i monarchowie znachodzili na tyle czasu przy całym ogromie swych zajęć i czynności, by zagościć do pracowni głośnego z „kunsztu“ i wytworności dyrektora akademii i Belwederu. Nikt nie chciał ominąć sposobności, by upamiętnić sobie własnym portretem ważną chwilę dzie-

---

*) Portreiy Fügera rytowali: J. J. L. Billwiller (autoportret), V. G. Kininger 1819 E. Pfeiffer 1791 i in. Wiedeńska akad. sztuk piękn. nagradzała w ubiegł. stuleciu najlepsze prace swych uczniów złotym medalem im. Fügera („gold Füger-Medaille“). „Ztschr. f. bild. Kunst“. Tom XIII. str. 31.

ją swego pobytu w starej rezydencyi Habsburgów. Ciężko zwłaszcza musiał Füger pracować w czasie zaczętego 22 września 1814, a ukończonego 9 czerwca 1815 roku „kongresu wiedeńskiego“, na którym było obecnych czterech obcych monarchów (Rosyi, Prus, Bawaryi i Würtembergii), tudzież 450 dyplomatów.

Ale i przedtem już podczas „pokoju wiedeńskiego“ w roku 1809 niewiele mniej musiał mieć „roboty“. Ważyły się wówczas we Wiedniu i nasze sprawy; chodziło o rozszerzenie i ustalenie zarówno granic, jakoteż władzy i politycznych wpływów z jednej strony Księstwa Warszawskiego z drugiej zaś Galicyi. Mężami stanu zabiegającymi o te sprawy byli wybitni nasi, ówcześni politycy i dyplomaci: Ignacy hr. Potocki i Ignacy hr. Miączyński, potomek w prostej lini, wielkiego hetmana i ulubionego przez Jana III, wodza Atanazego Miączyńskiego, który przyczynił się był bardzo do zwycięztwa pod Wiedniem (1683). Jakby na ironię losów jego potomek zginął skrytobójczą śmiercią, (prawdopodobnie mord polityczny) w tym samym Wiedniu, bronionym niegdyś przez wielkiego swego przodka, dnia 25 października 1809 r. w sile wieku, bo 49 roku życia (ur. 7 lipca 1760 r.). I w tym właśnie roku, może nawet bezpośrednio przed tragicznym swym zgonem, jakby przeczuwając jego zbliżanie się, i jakby pragnąc pozostawić potomności dobrą swą podobiznę, portretował się Miączyński u najznakomitszego wiedeńskiego portrecisty dworu i najwyższych dygnitarzy.

Portret ten, malowany olejno na płótnie (112 × 88·5 ctm.) podpisany i oznaczony datą 1809 świadczy najlepiej jakie i czyje wpływy miał już 58 letni wówczas Füger za sobą i jak po mistrzowsku umiał je opanować, a raczej wznieść się ponad nie i dać siebie samego, jako syntezę długoletnich swych doświadczeń i przejść artystycznych. Są tu jeszcze resztki owego dawniej przesadnego, mdławego „sfumato“, są ślady szkoły Mengsa i Francuzów, jest klasyczne dostojeństwo Winckelmana i lekki subtelny powiew górnych lotów romantyki, a nadewszystkiem góruje już ogromna rutyna wielkiego malarza — artysty. Zresztą w tym wypadku niezbyt trudne miał Füger zadanie, bo wszystkie te wybitne cechy współczesnej kultury, miał już gotowe, ucieleśnione w wytwornej postaci swego modela.

Wiedział zapewne, że ma przed sobą nietylko człowieka wielkich zalet i zdolności lecz także zapalonego miłośnika i szczerego znawcę sztuki. Dlatego też portret ten malowany widocznie z wielkim zapałem wypadł pod każdym względem tak świetnie i wspaniale.

Całe ułożenie niepozbawione pewnej dekoratywności i niby jeszcze

konwencyonalne, jest jednak zupełnie naturalne, swobodne i pełne dworskiej dystynkcyi zarazem. Rysunek całości zupełnie poprawny, a ułożenie na murze lewej ręki, trzymającej mały zwój papieru, oraz jej skrócenie jest oddane wprost znakomicie; prawa ręka oparta na kłębie. Przepyszna jest też głowa i uduchowiony wyraz twarzy. Gdybyśmy nawet nie znali historyi tego magnata o szerokim a zarazem artystycznym geście życia — drugi Stanisław August —, który całą niemal swą fortunę poświęcił dla sprawy polskiej, dla naszej kultury i dla sztuki — musielibyśmy się tego domyślać, patrząc na tę klasycznie piękną i klasycznie wytworną, postać Miączyńskiego na portrecie Fügera. Subtelna, a na rzeczy piękne i wielkie bardzo snać czuła dusza, szlachetna duma i wyniosłość niezwykłego człowieka, oraz jakaś łagodność, jakiś prawdziwie wielkopański gest, tudzież męski wdzięk i urok przemawia z całej pogodnej twarzy, z pięknie zakrojonych ust i z wiele mówiących, zwróconych w lewo, a patrzących na widza oczu. Włosy niezbyt długie, siwiejące zaczesane gładko w tył, czoło wyniosłe, nos orli zgrabny, twarz gładko wygolona. Do całości dostraja się też znakomicie koloryt i śmiała, ogromnie wprawna technika malarska. Strój cały, t. j. frak, kamizelka i nieco widoczne pantalony jasnopurpurowe, aksamitne z jasnemi światłami; pierś przepasana szeroką, jedwabną wstęgą niebieską orderu Orła Białego; dość wysoka szyja owinięta szczelnie białą chustką z małym koronkowym żabotem, poniżej zwisają ułożone na niebieskiej wstędze dwa ordery, obok na piersi lewej, widoczne nieco, dwa inne ordery: krzyż i gwiazda. Tło stanowi jasne niebieskawo-zielonawe niebo z złotawym odcieniem, pokryte lekkiemi, podobnemi w kolorycie, lecz ciemniejszemi, szarawemi obłokami. Poniżej na lewo widok w dal: na balustradę, i grupy gęstych, kopulastych szczytów drzew na których tle unoszą się niezbyt wyraźnie malowane, duże, białe ptaki.

Portret ten jest niezaprzeczenie jednem z najpiękniejszych i najdojrzalszych dzieł, malowanych w ostatniej epoce życia i twórczości Fügera. Okazał on się tu mistrzem w całem tego słowa znaczeniu.

Drugi podobny portret, jego pędzla, malowany również we Wiedniu w r. 1808, przedstawiający Jana Jacka hr. Tarnowskiego znajduje się w galeryi obrazów w Dzikowie. Z tych mniej więcej czasów pochodzi też zapewne podobny w kompozycyi i w całem wykonaniu piękny portret rosyjskiego księcia Mikołaja Youssoupowa, znajdujący się w zbiorze Prachowa w Petersburgu, reprodukowany w VI tomie publikacyi rosyjsko-franc. „Le tresors d'art en Russie", („Chudożestwenyja sokrowyszcza Rossii"... i. t. d.)

Z portretem naszym łączy się dalej portret ojca artysty znajdujący się w galeryi akad. sztuk p. we Wiedniu Nr. 1025, tudzież portret żony, oraz obrazy pod Nr. 2, 3, 4 i 6 w galeryi ces. Najwięcej jego dzieł posiada wiedeńska akademia, bo wraz z wspomnianym cyklem „Messyady“: 51 sztuk. A niewątpliwą jest rzeczą, że i w posiadaniu polskiem odnajdzie się niejeden jeszcze cenny portret, lub obraz jego pędzla który dziś, bądź wcale nie jest znany, bądź też podobnie jak przepiękny portret hr. Miączyńskiego, — który uchodził dotąd za dzieło Lampiego ojca, — uchodzi za dzieło innego artysty. Albowiem techniki malarskie Fügera i Lampiego star., oraz częściowo młodsz., jakoteż innych jego uczniów i naśladowców np. Dornera (Augsburg Nr. 228) są tak do siebie zbliżone, że niejednokrotnie trudno je rozróżnić i pod tym względem, przy dalszych dokładnych badaniach, niejedna jeszcze nastąpić może zmiana denominacyi. Wymieniając obrazy Fügera, znajdujące się w polskiem posiadaniu, należy też wspomnieć o niezwykle interesującem jego dziele historyczno-alegor., przedstawiającem: „Sąd marszałka Małachowskiego“, na które zwrócił mi uwagę p. dr. Z. Batowski. Dzieło to znajdujące się u Jerz. ks. Lubomirskiego w Rozwadowie, wymienione w „Katal. wyst. obrazów — serya I. 1908“ prof. Dr. Jerzego hr. Mycielskiego, może uda się nam później podać w reprodukcyi. Portret jego pędzla, przedstawiający ks. Maryę z Czartoryskich Wirttemberską, posiada Muz. Czartoryskich w Krakowie.

Specyalną właściwością galeryi hr. Miączyńskiego, świadczącą o wielkiej jego wiedzy i o umiejętnem zbieraniu obrazów, jest to, iż starał się najwidoczniej pozyskać zawsze dzieła nauczyciela i ucznia tej samej pracowni czy szkoły. Podobnie ma się rzecz i w tym wypadku. Mając wspaniały portret i jeden, a może i trzy? obrazy głośnego, słynnego malarza Fügera zakupił też obraz jednego z wybitniejszych jego uczniów Jana Babtysty Lampiego młod. (syna) 1775—1837), przedstawiający popiersie amora. Jan Lampi jun. kształcił się wraz z młodszym swym bratem Franciszkiem, (1783 — 1852) zmarłym w Warszawie, spolonizowanym wiedeńczykiem, u Fügera, tudzież u swego ojca Jana Baptysty starsz. (1751—1830). Podobnie jak ojciec i Füger był on głównie portrecistą. Portrety jego są bardzo zbliżone całym swym wyglądem do podobnych dzieł obu nauczycieli: są jednak bardziej sztywne, konwencyonalne i wygładzone. Takim jest też obraz, a właściwie portet jakiejś kobiecej piękności przebranej za amora i to typowego amora z pierwszych lat XIX wieku.

Jest to malowidło olejne na płótnie (76×61·5 ctm.) przedstawiające w owalu młode dziewczę, — nieco mniej niż półpostać natur.

wielk. —, zwrócone w stronę prawą (od widza) z odwróconą ku widzowi i lekko w tył przechyloną głową o bujnych falistych, ciemnokasztanowatych włosach. Prawe ramię i prawa część piersi, umyślnie niekobiecej, obnażona; opadającą ciemnoniebieską szatę przytrzymuje, przechodzący skośnie przez pierś, wąski rzemyk na którym wisi w tyle, na plecach kołczan ze strzałami. Z poza głowy wystaje, nad kołczanem koniec łuku, który amor zdaje się przytrzymywać z przodu dotykając ledwie swej piersi delikatnym, charakterystycznym, pełnym szyku i elegancyi ruchem lewej ręki. Tuż nad tą ręką umieścił artysta na neutralnem, ciemno-zielonem tle pełny swój podpis: „Johann Babtist Edler von Lampi pinxit Anno 806". Tak podpisywał się też zwykle i Lampi ojciec, cały jednak sposób malowania owego amora oraz kolorystyka przemawia za Janem, synem; tem bardziej, że obraz nasz jest w całości wykonania bardzo zbliżony do portretu Canovy w wiedeńskiej akademii (Nr. 295) malowanego przez Lampiego młodszego.

Ma wszystkie jego charakterystyczne cechy, głównie ów, ciemny, odznaczający go od ojca i od Fügera, niejako swój własny koloryt. I tu widzimy jeszcze (fotogr.) wybitne reminiscencye leonardowsko-correggiowskiego światłocienia i całego ułożenia postaci, przepiększonej jednak klasycznemi i romantycznemi doktrynami swej epoki. Więc niby klasyczna poza i spokój przy słodkim rozanielonym wyrazie twarzy, co wszystko razem czyni z figlarnego i ruchliwego amorka jakimby być powinien, bardzo poważną, spokojnie i z anielską cierpliwością pozującą młodą dzieweczkę, czy też faktycznie dziewczęco-pięknego chłopaczka; — może nawet zamówiony przez hr. Miączyńskiego portret kogoś z jego blizkich.

Przy tem wszystkiem obraz jest bardzo dobrze narysowany i mimo przesadne wygładzenie, — co czyni go łudząco podobnym do oleodruku, — z wielką wprawą namalowany; także w tonach mimo dość twarde znowu światła jest wcale udatnie, nawet ze smakiem zharmonizowany.

Całość zatem, wcale miłą i niepozbawioną wdzięku, biorąc ze stanowiska epoki, musimy nazwać nietylko dziełem dobrem i pięknem, lecz wprost doskonałem, świadczącem o wielkiem już wyrobieniu i niepospolitem uzdolnieniu malarskiem Lampiego młodsz., który bawił również (jak ojciec i brat) jakiś czas w Warszawie na dworze króla-estety, Stanisława-Augusta.

Pośrednio łączy się z galeryą hr. Miączyńskiego — portret Kościuszki, malowany przez Józefa Grassiego (1757 — 1838), należący już do cennego zbioru obrazów polskich ś. p. Marszałka Włodzimierza hr.

Dzieduszyckiego; łączy się węzłami i tradycyami rodzinnemi oraz tem, iż pochodzi z tej samej, wiedeńskiej szkoły — Fügera tudzież z tych samych czasów, ostatnich walk i zabiegów o całość rozpadającej się ojczyzny.

Grassi, Wiedeńczyk z rodu i wykształcenia artystycznego, a jak Lampiowie, Włoch z pochodzenia, był wychowankiem akademii wiedeńskiej. Po objęciu w niej wicedyrektury przez Fügera w r. 1783 był już 26 letnim, dumnym na swą sztukę młodzieńcem. To też w latach następnych był raczej jego współzawodnikiem i pośrednim tylko odbiorcą jego wpływów, a nie uczniem bezpośrednim. Wpływy te zresztą nie były zbyt silne i wybitne, bo Grassi inną, niby własną kroczył drogą. Przedewszystkiem był malarzem kobiecego wdzięku i uroku; słynął jako znakomity portrecista kobiet, podkreślając zawsze w ich twarzach te rysy i znamiona, które czyniły je najbardziej ujmującemi i miłemi. Oczy jego kobiet zawsze duże, podłużne wyrażają zwykle jakąś zadumę i sentyment, twarze zaś przy subtelnych, przedelikaconych rysach mają zwykle wyraz z lekka melancholijny. Nie posługuje się przy tem, ową tak bardzo dla Fügera charakterystyczną, często ckliwą manierą rozpływających się zbyt miękko cieni i znikających konturów. Technika jego jest zwykła, gładka przy doborze, choć nieco silnych i kontrastowych, lecz zawsze zharmonizowanych barw, przez co zbliżał się też trochę, w odróżnieniu od ojca i Fügera — do techniki Rembrandta i szkoły rzymskiej.

Poprzedzonego głośną już sławą, zaprosił go Stanisław August ok. r. 1790 na swój dwór do Warszawy, prawdopodobnie na miejsce Lampiego, ojca, który wyjechał był na dłuższy pobyt do Petersburga. Grassi maluje tam cały szereg (Ossolińskiej, Lubomirskiej, Kossowskiej, Jabłonowskiej itd.) pięknych portretów i obrazów, a przy tem tak bardzo zapala się dla naszej sprawy i przejmuje się naszą niedolą, iż mimo utraty w czasie zamieszek całego swego mienia (5000 zł. czerw.), chociaż sam Niemiec z urodzenia, zaciąga się jako podoficer gwardyi do szeregów i broni Warszawy przed najazdem Prusaków w r. 1794. Kościuszko miał go wówczas osobiście wybawić z wielkiego niebezpieczeństwa. Po upadku Ojczyzny wraca na krótki czas do Wiednia, a stamtąd udaje się ok. r. 1800 na posadę profesora akademii mal. do Drezna, gdzie z przerwą sześciu lat, (1816—21) kiedy bawił w Rzymie, pozostaje aż do śmierci (1838).

Przebywając w Warszawie namalował też Grassi kilka portretów Kościuszki; najwcześniejszy w r. 1792, znajdujący się obecnie w Gołuchowie, przedstawia naszego bohatera w całej postaci, w zbroi pod

drzewem, w chwili kiedy obciera chusteczką szablę. Z portretu tego polecił Kościuszko Grassiemu sporządzić kopię w popiersiu, którą ofiarował następnie w upominku dzielnemu swemu adjutantowi z pod Racławic (4 kwietnia) i z pod Szczekocin (6 czerwca 1794 r.) Wawrzyńcowi Marcinowi hr. Dzieduszyckiemu. Portret ten uważa p. M. Gumowski w dziełku swem pt.: „Portrety Kościuszki" za zaginiony, pisząc dosłownie na str. 12: „sam Grassi powtórzył ten portret, tylko ale w popiersiu... Portret ten miał się znajdować w zbiorze Dzieduszyckich. Tymczasem z bardzo poważnych ust słyszałem, że obecnie go tam niema i że nikt nie wie gdzie się znajdować może." Otóż tak źle nie jest, gdyż portret ten podajemy właśnie w reprodukcyi wraz z ramą, na której czytamy wyrazy: „Tadeusz Kościuszko Waleryanowi Dzieduszyckiemu". A znajduje się on stale i w wielkiem poszanowaniu, — chociaż bardzo już wybladły i popękany — w pałacu J. Eksc. Włodzimierzowej hr. Dzieduszyckiej we Lwowie.

Rama, tudzież umieszczony na niej napis (dedykacya) nie są już niestety oryginalne. Rama pierwotna była tak bardzo zniszczona, że najbliższa już rodzina Wawrzyńca musiała zastąpić ją nową, wzorowaną mniej więcej na tamtej, przyczem pozłotnik popełnił błąd, wypisując słowo „Waleryanowi" zamiast „Loranowi", („Laurent"). Tak bowiem nazywano wówczas z francuzka, w rodzinie i w kołach znajomych hr. Wawrzyńca.

Po upadku powstania, ostatni z adjutantów, wielkich wodzów polskich, zabrawszy, jako ostatnią pamiątkę po walce za wolność, portret ukochanego swego naczelnika przeniósł się w zaciszne strony rodzinne[1]).

Portret Kościuszki przeszedł ze zmienioną już ramą, do zbioru Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego od prawnuczek hr. Wawrzyńca.

Jak widzimy z reprodukcyi nie jest on podobny do znanych nam rysów twarzy bohatera z pod Racławic. Natomiast jest tu ów łagodny sentyment, jakiś cichy smutek, rzewność i melancholia, jaka cechuje kobiece portrety Grassiego, oraz wszystkie owe charakterystyczne znamiona stylu epoki, jaka go wydała.

Zresztą nie ze względów na podobieństwo rysów, portret ten jest drogą i cenną, narodową pamiątką polską.

JÓZEF PIOTROWSKI.

---

[1]) W r. 1795 pojął za małżonkę Anastazyę, hrabiankę Mierównę, córkę Jana i Maryanny hr. Tarnowskiej, a osiadłszy na dobrach Jabłonowa i Semenowa, zasłynął niebawem, jako znakomity agronom, pomolog i botanik. Słynne ogrody i odpowiednio urządzone zakłady jabłonowskie „doprowadził do niebywałej doskonałości", jak wyrażał się o nim znakomity znawca, Stanisław hr. Wodzicki, ówcz. prezes Rzeczp. Krak. („Kronika domowa Dzieduszyckich" str. 404) Wawrzyniec hr. Dzieduszycki zmarł we Lwowie dnia 19 paźdz. 1836 r. pozostawiając dwóch synów i dwie córki.

Nowe książki.

IGNACY PADEREWSKI: O SZOPENIE — LWÓW, TOWARZYSTWO WYDAWNICZE, 1911.

...„Zaco wy mnie tak gościcie, — zaco tak hojnemi darzycie mnie słowy?... ...Czy zato, że jak inni pcham pod górę skromną swoją taczkę?... Czy zato że na ołtarzu Ojczyzny złożyłem moją skromną, synowską ofiarę?... Są między nami godniejsi, zasłużeńsi... i zapewne każdy niemniej miłuje Polskę odemnie, — tylko we mnie się to jakoś dziwnie głośno odezwało“...

Kiedy minął czas wielkich uniesień romantycznych, kiedy słowa tylko zostały te same, a duch, który je stwarzał uleciał niepostrzeżenie, — i byliśmy często świadkami i twórcami neoromantycznego frazesu, aby się zeń otrząść potem z uczuciem pustki i pogardy dla własnych słów, wtedy faza następna naszego wewnętrznego rozwoju przyniosła nam obok rozumnej, pozytywnej refleksyi, zło większe, niż wszystko inne: Wstyd uczucia! Pomogła nam w tem niemiecka ironia romantyczna i Heine. — Odtąd nie słowa jęliśmy brać za frazes, ale uczucie, i gasząc namiętnie wszystką nieprawdę naszych fałszywych entuzyazmów, zaczęliśmy z nią razem gasić i prawdę nam najdroższą, nasz ogień wewnętrzny — zaczęliśmy świętą rzecz: Ojczyznę, nakrywać błazeńską czapką! — Gdzie tli w nas czucie jeszcze i kult dla tej świętej rzeczy, tam chowa się nieśmiałe w piersi, ale poza zagrodę ust wyjrzeć nieśmie, zajaśnieć zwycięzko nie potrafi. Bo aby złamać ciężką zaporę nawyknień całego pokolenia, aby skruszyć nieufność do słuchaczy, aby uwierzyć w ich zrozumienie, musi wyjść z serca wierzącego, z duszy gorącej i wielkiej, jak te dusze dawne, aby jak czucie tych dawnych stać się „rewelatorem słów“ i budzić za ich pomocą nowe uczucia i nowe czyny.

Toteż kiedy się ono zkądeś w tej powszechnej ciszy i w tym mroku smutnym tak dziwnie głośno odezwało, obróciły się w tę stronę oczy wielu ludzi, jak ludzi którzy oddawna czekali na objawienie... i już niemal wierzyć przestali, że doczekają. I naraz przed ten areopag dusz, gdzie jedni kosy kują a drudzy odprawiają kabaret, wszedł nastrój uroczysty i niewidziany, wszystkie czapki z głów spadły, nawet te, które i w kościele zwykły nie schodzić z głowy. I chociaż nie wszyscy dorośliśmy do tego nastroju, chociaż po

dawnemu poskromić — bywało — chcieliśmy uczucia starannie zdumiewając się nad „wymową“ Paderewskiego, choć znaleźli się i tacy co przed sztandarem nawet noszący „kaduceus Polski“... jedną z najuroczystszych chwil (po przemówieniu Paderewskiego na bankiecie w Kole) pożegnali trywialnym kupletem operetkowym, ziarno jednak, które plon wyda obfity, zostało rzucone. Przyszedł ktoś, kto przerósł nas wszystkich, kto w sercach naszych część Polski obudził i ogniem nas wewnętrznym pozarażał.

O jednem z największych dzieł jego... mam pisać recenzyę... słów brakuje... Oby tej książeczki małej nie brakło w żadnym domu polskim, niech niesie wszędzie, jaknajszerzej tę pożądaną zarazę.

M. P.

NADESŁANE DO REDAKCYI.

Jan Kucharzewski: Maurycy Mochnacki (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1910). *O pomnikowem tem dziele zamieścimy obszerniejsze sprawozdanie.*

Romuald Minkiewicz: Lucyan, dramat współczesny i przyszłych pokoleń, pięć aktów z prologiem (Warszawa, E. Wende i sp., 1911).

Romuald Minkiewicz: Nad morzem mojem, księga tęsknoty. (Warszawa, 1911. E. Wende i sp.)

Roman Kreczmar: Poezye. (Warszawa, 1911. Centnerszwer i sp.) *Młoda jakaś pieśń, a uwagi godna i gorętszego słowa. W mroku czczych a pełnych pozy elukubracyi jaśnieje czystym blaskiem poważnej i szczerej prawdy, książka ta niebogata na ilość, ale bogata w jakość. Mimo reminiscencyi pewnych, od których jednak nikt prawie dziś nie jest wolny, przegląda z kart jej samodzielne odczucie i rozmach i ton szlachetnej refleksyi.*

Walenty Zieliński: Królewskim szlakiem (Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff).

Józef Mirski: Ahaswer (nakł. L. Chmielewskiego, Lwów).

Dr. Józef Kretz: Stanisława Wyspiańskiego Akropolis, jako dramat świadomości narodowej. (1910).

Benedykt Hertz: Bajki i Satyry (Warszawa, 1911, skład gł. w księgarni Centnerszwera).

Dr. Tadeusz Grabowski: Filozofia Juliusza Słowackiego (Wyd. Tow. Filozoficznego w Krakowie Nr 1), *stron 131*

Adam Szymański: Lew Tołtoj, istota jego działalności (Kraków, nakładem autora, 1911).

Wacław Berent: Ozimina, powieść. (Nakł. Jakóba Mortkowicza, 1911).

Henryk Zbierzchowski: Pająk i inne nowele (Lwów, Tow. Wyd. 1911).

Władysław Kozicki: Wolne Duchy, dramat karnawałowy w trzech aktach. (Lwów, 1911. Tow. Wydawnicze).

Robert Browning: Pippa przechodzi, poemat dramatyczny. Z ang. przeł. Jan Kasprowicz (Tow. Wydawnicze, Lwów, 1910).

Katalogi wystaw retrospektywnych Tow. Zachęty sztuk Pięknych.

Wystawa dzieł Jana Piotra Norblina, skatalogowana przez Zygmunta Batowskiego. Warszawa, październik-listopad 1910. *Zasługą dra Batowskiego jest stworzenie doskonałego typu katalogów wystaw monograficznych przez ułożenie szablonu dla wystaw retrospektywnych „Zachęty“. Rozgląd jasny, zrozumiały i wygodny, a dotychczas nigdzie niestosowany powinien na zawsze służyć za wzór.*

Wystawa dzieł Aleksandra Orłowskiego, skatalogowana przez Władysława Tatarkiewicza. Warszawa, listopad 1910. *Przedmowa dra Tatarkiewicza, zwięzła, cała na trzech stronach zawarta, w sposobie ujęcia jest prawdziwem arcydziełem.*

*

Miesięcznik literacki i artystyczny. Pismo poświęcone literaturze i sztuce pod redakcyą Dra J. H. Retingera.

Przegląd Narodowy. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym i naukowym, społecznym, literackim i artystycznym; pod kierownictwem Zygmunta Balickiego. (Red. Jerzy Gościcki).

Przegląd polski. *Miesięcznik artyst. literacki i naukowy wychodzący w Krakowie pod. red. prof. Jerzego hr. Mycielskiego.*

La Nouvelle Revue Française. Revue mensuelle de litérature et de critique. (Comité de direction J. Copeau, A. Ruyters, J. Schlumberger).

Museion. Miesięcznik poświęcony literaturze i sztuce. Wychodzi w Paryżu i Krakowie pod redakcyą Władysława Kościelskiego i Ludwika Hier. Morstina.

Les Marches de l'Est. Revue mensuelle illustrée (Recueil de littérature, d'art et d' histoire) *prawie każdy zeszyt zawiera kronikę polską.*

Przewodnik Antykwarski. Dwutygodnik dla bibliofilów i zbieraczów poświęcony bibliografii oraz miłośnictwu książek i zabytków sztuki i kultury. (Warszawa — Mokotowska 54). *B. cenne i jedyne w swoim rodzaju pismo.*

Część druga — Wczoraj.

Fragmenty korespondencyi artystów polskich z Franciszkiem Tepą.

W spuściźnie po Franciszku Tepie (ur. 1828, zm. 1889), przechowała się także, dzięki pietyzmowi bratowej artysty, p. Tekli Teppowej, obfita jego korespondencya, jaką prowadził z kolegami swymi po rylcu, pędzlu i dłucie, oraz z Lucyanem Siemieńskim, Władysławem Mickiewiczem, przyjacielem swym Józefem Grelińskim i w. i.

Pożółkłe te karty wiele zawierają szczegółów, ważnych nie tylko dla biografii Fr. Tepy, lub autorów tych listów, ale i w ogóle, dla historyi sztuki polskiej w tej dobie, kiedy artyści polscy zmagać się musieli z wszelkiemi trudnościami na każdym kroku. Wieje z tych listów dawnych szczery zapał i ukochanie sztuki. Energia, którą przeciwności potęgują jeszcze, wiara w powodzenie, ułatwiająca kroczenie przebojem po spadzistej, kolcami najeżonej drodze ku pięknu, wspólna wreszcie bieda, łączyły tych pierwszych nieledwie bojowników odradzającej się na nowo sztuki polskiej węzłem serdecznym, nierozerwalnym.

Ówczesne środowisko doskonale malują zwłaszcza listy Wojciecha Gersona, jednego z najlepszych, najdroższych przyjaciół Tepy. Z tego też względu umieszczam je na początku, razem, a potem dopiero daję wybór listów innych, ułożonych również w porządku chronologicznym.

Z bogatego materyału podaję tylko listy artystów polskich, gdyż te największy dla każdego przedstawiają interes i ogólniejsze mają znaczenie. Pisownię zmieniam na dzisiejszą, interpunkcyę odpowiednio uzupełniam, a wszelkie własne objaśnienia podaję w klamrach, albo w przypiskach, kilka miejsc, które do druku się nie nadają, jako natury ściśle prywatnej, opuszczam, zaznaczając je klamrą i kropkami [. .].

Dodaję wreszcie, dla łatwiejszego zrozumienia niektórych listów, że Tepa, urodzony we Lwowie, po studyach u J. Maszkowskiego (wspólnie z J. Kossakiem), w Wiedniu u Waldmüllera i w Monachium u Kaulbacha, odbył w r. 1852. i 1853. podróż na Wschód z Adamem hr. Potockim, poczem od r. 1855. bawił w Paryżu, gdzie studyował u Cognieta, a w r. 1861. wrócił na stałe do Lwowa, gdzie też umarł w grudniu 1889. roku.

I.

Warszawa d. 6 Lipca 1858. r.

Kochany Franciszku!

Od paru miesięcy zbieram się odpisać Ci na list Twój ostatni; nie będę Ci się tłumaczył, dlaczego do tej chwili nie odpisałem, powiem Ci tylko, że w tym czasie udało nam się tutaj urządzić wystawę, która z czasem, jeżeli Pan Bóg da, będzie się mogła na jakieś akcyjne towarzystwo zamienić; od trzech dni otwarta jest dla publiczności — zwiedzającej ją, jak dotąd, dosyć licznie (opłata wnijścia złp. 1.) chociaż nie więcej, jak 90 sztuk obrazów i kilka rzeźb tylko, posiadamy; mamy nadzieję, że nam ciągle przybywać będzie, jeżeli mianowicie, kochani Koledzy z daleka i z blizka nie polenią się nam coś nadesłać — proś tam z łaski swojej wszystkich Kolegów — Straszyńskiego, Budkowskiego, Leona[1]) — zbierzcie się razem, dołóż też i Ty co i przyszlijcie — do tego czasu jeszcze, ponieważ nie wiemy, jak będziemy wychodzili z funduszami, prosiemy, żeby każdy zechciał swoim kosztem nadsyłać pod adresem: Wystawa Krajowa Sztuk Pięknych w W a r s z a w i e. Musieliście tam zapewne w dziennikach Warszawskich czytać już uwiadomienie o tem i zaproszenie do wszystkich Kolegów z o ś c i e n n y c h k r a j ó w, co ma znaczyć Galicyanów, Krakowiaków, Poznańczyków, Szlązaków — Litwinów — i tych co za granicą bawią — cenzura nie pozwoliła na inne wyrażenie — w Gazecie Warszaw. też był krótki przegląd Wystawy; będzie później dłuższy pewnie. — Nie posyłamy ani Wam ani innym malarzom, każdemu z osobna, drukowanych zaproszeń, jak to robi Towarzystwo Krakowskie — bo nie mamy na to funduszów

[1]) Malarze: Gustaw Daniel Budkowski (1813†1884), Leonard Straszyński (1828—1879) i Leon Kapliński (1826—1873) bawili wówczas wraz z Tepą w Paryżu.

jeszcze, nie mniej jednak serdecznie, choć zbiorowo, zapraszamy was. — Tyle co do spraw publicznych, co do prywatnych zaś — to: [. . . . .]; zapomniałeś jednak prawie zupełnie o mnie — bo już i o fotografiach z wachlarza, obiecanych, wcale w ostatnim liście wzmianki niema; oj Franciszku, sądziłem, żem sobie u Ciebie na lepszą pamięć zasłużył? Co Józef porabia, czy jeszcze w Paryżu jest — czytałem w Czasie o jego kopii czy ją też sprzedał? Dziękuję mu za te kilka serdecznych słów które w Twoim liście do mnie napisał — gdyby więcej było ludzi z taką chęcią tłumaczenia wszystkiego dobrze i widzenia samego dobrego we mnie, jak on, tobym prędko w śmiertelną chorobę zarozumiałości mógł wpaść, umysł ma szlachetny, ale że gibki, do każdego pojęcia łatwo się naginający więc go lada płomyk błędny uwodzi i zapala [Tu brak pół kartki, wyciętej . . . . .] i gdyby nie znaczne wykształcenie, jakie posiada, jest bardzo blizkim przesady i przeto nienaturalności — uściśnij go odemnie, jeżeli jest jeszcze z Tobą, jeżeli zaś nie, napisz do niego, żem nie zapomniał go. Pozdrów tam w Aiyence kolegów, jeżeli jeszcze bywacie, mianowicie Budkowskiego, do którego też napiszę z osobna — i Sztycharza Szretera[1]), jeżeli go zobaczysz, któremu interesu zrobić tu żadną miarą nie mogłem. Jeżeli będziesz miał jaką chwilę, odpisz mi, czy przyszlecie co na wystawę i jak tam interesa stoją — ten odcinek bądź łaskaw odesłać podług adresu — bywaj mi zdrów, a o przyjaciołach pamiętaj.

Wojciech Gerson.
Ulica Miodowa 495.

Sypniewski i Pillati[2]) kłaniają Ci się, piszę na koszt i proszę Cię o wzajemność — bo to najkrótszy i najlepszy sposób.

Zapomniałem Ci napisać dwa artykuły wystawy które, koniecznie wiedzieć powinieneś: naprzód, że wystawa bierze od sprzedaży obrazów 5 od sta, drugie, że kopii nie przyjmuje, tylko oryginalne obrazy artystów.

Wybacz mi, że Ci przypominam — ale zdaje mi się, że i Budkows. wziąłeś na nasz rachunek.

W. G.

---

[1]) A. L. Szretter, uczeń Antoniego Oleszczyńskiego (1794—1879), znanego sztycharza i akwaforcisty.

[2]) Feliks Sypniewski, malarz historyczny, Henryk Pillati (1832—1894), malarz historyczny i rodzajowy, uczeń Kaulbacha w Monachium, gdzie i Tepa poprzednio (od r. 1849 do 1852, z przerwami) studyował.

II.

Warszawa d. 31 sierpnia 1858. r.

Kochany Franciszku!

Przykro mi, że muszę zacząć od zbicia Twojej dziwnej pretensyi do mnie, czy do nas, nie wiem do kogo? żeśmy ukrywali przed Tobą robienie rysunków do dzieł P. Adama Mickiewicza — a któż ukrywał? tracisz widzę pamięć, nie było co ukrywać, bo nie było nic pewnego, kto i co będzie robił — kiedym był w Paryżu nie wiedziałem, że ja będę co robił do tych dzieł. Lesser[1]) miał robić wszystko, dopiero w Warszawie ustąpił mi trzy rysunki do P. Tadeusza — jeden Kostrzewskiemu[2]) a teraz dopiero w tych dniach ostatni Pilatiemu, resztę sam zrobił — czy Ci nie wstyd urojonemi podejrzeniami, jak błotem przyjaciela obrzucać.

Obrazy Twoje doszły tu w jak najlepszym stanie i są już wystawione; ten basza[3]), czy jak tam, w profilu, co to był na paryskiej wystawie, bez szkła jest, więc go tu w sukienkę ubrać kazałem. Chcesz, żebym Ci moje zdanie otwarte powiedział i szczere, łatwo mi to przyjdzie, bo innego nie umiem, chybabym zamilczał — otóż powiem Ci, że mi się bardzo podobał co do tonu ogólnego i głowa też jego i ubiór cały (mówię o olejnym), pod względem malowania i charakteru, tylko ręce niedbale narysowane i namalowane, i tamta figura na drugim planie — kobieta czy coś — mógłbyś do rąk jakiego dziada wziąć, już gdzie, ale w Paryżu modelów nie brak — u nas to co innego, jest ich ze czworo, a i ci nie przychodzą na zamówione godziny, trzeba płacić drogo i jeszcze prosić się, żeby przychodzili. — Powiadasz, że między wami bieda, i u nas nie lepiej — twardo idzie — kuje się jak można — to tylko szczęście, że się to od młodości do trudnego kawałka chleba przywykło, bo inaczej ciężar byłby nie do podźwignienia. — Ale co mnie smuci, Franciszku, to Twoja czarna pieczątka, a listy nie smutne, co to znaczy, czy dla igraszki pieczętujesz się tak żałobnie? A przyszlij mi też kiedy obiecane fotografie, przecież one w liście się pomieszczą złożone w kilkoro, dawno na nie i niecierpliwie oczekuję — koszta z chęcią poniosę — pytasz się, czy mój głos znaczy co u dyrektora towarzystwa — my towarzystwa

---

[1]) Aleksander Lesser 1814—1884.
[2]) Franciszek Kostrzewski, ur. 1826, żyje w Warszawie.
[3]) Marek Botzaris, powstaniec grecki.

nie mamy, wystawę tylko — a co się na niej sprzeda, za to Panu Bogu dziękujemy, a pieniądze artystom oddajemy. Dyrektora też nie mamy — komitet przyjmuje, — lub odrzuca, jeżeli coś bardzo złego, a na to głos mój niepotrzebny — bo twoje rzeczy bardzo mile były przyjęte. Leon [Kapliński] też przysłał głowę tego młodego człowieka, wiesz, co to w sposobie Velazqueza malowana — bardzo ładna — Lessera złośliwości się nie bój — toć nie on jeden jest w Warszawie i w naszym komitecie, mamy i starszych, osiwiałych w pracy i życiu poczciwem i serdecznej pracy i nauczaniu czynem i przykładem własnego życia — od tych sądu złośliwego obawiać się nie możesz — ani Ty, ani nikt inny. Straszyński przysłał kilka aquarelli — szkoda, że nie co większego — co Budkowski porabia, pisałem do niego, nie odpisuje mi, czy już nie mieszka na rue de Donai? do Kossaka bym też napisał, żeby co przysłał, ale zapomniałem numer jego, czy 38 czy 39 na Vanneau — odpisując nie zapomnij o tym numerze — a gdzie też Józef w Krakowie mieszka, radbym i do Niego kiedy parę słów napisać, gdybym wiedział jego adres. — Zapewne licząc na to, że my mamy towarzystwo Szt. Pięk: na akcyach (tak jak w Krakowie) przysłałeś swoje obrazy na koszt wystawy. — Przyjęła wystawa zapłacenie na siebie, z warunkiem, że po sprzedaniu obrazu koszt poniesiony, a wynoszący 94 złote, będzie sobie miała zwrócony; nie możemy do dziś dnia jeszcze ponosić kosztów przesyłki, bo cały nasz dochód stanowią złotówki za bilety wnijścia — jeżelibyśmy przyszli do towarzystwa akcyjnego, to nie prędzej jak za parę miesięcy nastąpić może. A ciekawybym też był tego drugiego wachlarza, jak też skomponowany — narysuj choćby w liście, jak wygląda i co na nim jest — do sztycharza Antoniego [Oleszczyńskiego] list dołączam — znajomych i kolegów, Kossaka, Budkowskiego i wszystkich innych pozdrów odemnie i powiedz Im, że Ich mam w żywej i wiernej pamięci takimi, jakimi dla mnie byli.

Wojciech Gerson.

Ulica Miodowa No 495.

Schönfeldowi, jeżeli się z Nim zobaczysz, pozdrowienie moje oświadcz — podziękuj za przesyłkę, która mnie w całości doskonale doszła i zapewnij Go moim imieniem, że Tytus pamięta o nim, a nawet kto wie, czy za parę miesięcy nie wybierze się do Paryża.

Wojciech.

III.

Warszawa d. 20 Października 1858. r.

Kochany Franciszku!

Lubisz, widzę, i umiesz długie listy pisywać i często, czem mnie stawiasz w tem przykrem położeniu, że zawsze na dwa odpisywać muszę — zawstydzasz mnie w lenistwie i nieumiejętności rozpisywania się przewlekle — żądasz, żebym o sobie pisał, cóż Ci o sobie powiedzieć mogę? niechby raczej sąsiedzi (jak to mówią) o mnie świadczyli. Zdrów jestem, niewiele pracuję, od kilku miesięcy, to jest od samego prawie powrotu z Paryża, nie mogę się do niczego porządnego zabrać — drobne różne rzeczy kuję — aby codzienne wydatki opędzić. — Zaraz po powrocie, jak to już raz pisałem Ci, nająłem mieszkanie drogie, to mi wszystkie prawie dochody zjada — że chociaż ciągle pracuję, nie mogę się opędzić do tego czasu dawnym długom i nieraz nowy zaciągnąć wypada — i to też pisałem wam, że się w owej dużej pracowni mojej koledzy zbierali i rysowali przez trzy miesiące — lato przerwało tę pracę, teraz zaczniemy znów da Pan Bóg przy wieczornem świetle w przyszłym tygodniu. — Wystawa idzie swoim torem — dosyć jest w obrazy obfita, publiczność nieleniwie ją zwiedza — tak, że się nam koszta opłacą zapewne; na kupujących tylko nam zbywa — co małe obrazki, to się sprzedają od czasu do czasu, ale o większe nie bardzo się zgłaszają — najwięcej to publiczność trzy zera straszą — dwa, choć z grubą liczbą na początku, przemknąć się mogą, byle nie 3!

Nazwisko tego pana, co Ci o naszej wystawie opowiadał, niewyraźnie napisałeś — ale coś nieznane i niepodobne do warszawskiego — co do tych cudzoziemców, którzy tu wystawę założyli, to zdaje mi się, że my się mamy do nich jak drzewo które z korzenia na tej ziemi wyrosło, do zagranicznego, mającego się dopiero aklimatyzować i korzenie zapuszczającego, możemy przeto cierpliwie lata całe czekać, jak już czekamy dziesiątki lat — i lata i dziesiątki lat nas nie zniechęcą podobno, i z toru nie wysadzą, bo spekulacyi nie zakładamy na publiczności — o wielkie i nagłe zyski nam nie idzie — owszem, chętnie każdy swój czas poświęca dla dogodności kolegów i pracy nie żałuje we wspólnym interesie sztuki i publiczności. —

Pytasz się, czy się puliczność zajmuje sztuką? zajmuje się, o ile umie — na tem zajęciu przecież zakładamy przyszłość naszego zgromadzenia, na które jeżeli władze pozwolą, koło nowego roku wypu-

ścimy akcye — i mamy nadzieję, że nie będziemy mieli przyczyny narzekać na obojętność ogółu naszego — który ma więcej dobrych chęci, niż pieniędzy.

Fotografia z obrazu Klimkowicza wielką mi sprawiła przyjemność — widziałem oryginał u niego przed samym wyjazdem — żałuję, że nie mam mu co posłać w odwecie — ale z moich obrazków fotografie się nie udają zupełnie, uściśnij go ode mnie serdecznie — to człowiek gruntownej poczciwości — czy on długo jeszcze zamierza bawić w Paryżu? może się spotykacie w atelier Cogniet'a — jeżeli nie — proś Klimkowicza, niech Severaków odemnie też pozdrowi. — Co Budkowski porabia? czy wrócił już — co się tam dzieje z mojemi fotografiami, które u niego zostawiłem, [. . . . .] pisałem do niego na rue de Donai 15., ale mi nie odpisał — daj mu z łaski swojej mój adres, może kiedy znajdzie wolną chwilę — wszystkim znajomym braterskie uściski

przesyłam
Wojciech [Gerson].
Ulica Miodowa l. 495.

Już trzeci raz powtarzasz w liście, że im prędzej twoje obrazki tu się sprzedadzą, tem prędzej będziesz mógł oddać wizytę Panu Bohdanowi, [. . . . .].

W. G.

IV.

Warszawa d. l. Lutego 1859.

Kochany Franciszku!

Mówisz, żem się zamknął jak trapista, radbym się jeszcze bardziej zamknąć, bo właśnie życie moje otworem stoi dla wszystkich i dlatego to, że tu blizko tak jestem silnie zajęty, pisać wiele nie mogę — dodaj do tego jeszcze i moje lenistwo do pisania — nie zapomniałem ja o nikim z Was tam znajomych — ale cóż mam pisać, ani ja Wam w waszych kłopotach ulgi i pociechy przynieść nie mogę, ani wy mnie nawzajem — cokolwiek bądź się tedy pisze — to po największej części marne, próżne androny, bez celu i skutku, dlatego chyba tylko, żebyśmy nie zapomnieli wzajemnie adresów swoich. — Wiesz na jakiem stanowisku u nas w kraju sztuka stoi, duchowego znaczenia zupełnie niema — jest rzemiosłem zbytkowem, tolerowanem dlatego chyba tylko,

że oświecone narody zachodu przywykło się nałogowo małpować — cóż chcesz, abyśmy mieli do pisania o sztuce, albo o sobie, skoro się jest ledwie z łaski cierpianem a szkodliwem krajowi indywiduum. Myślemy my tutaj nad zawiązaniem Towarzystwa w sposobie Krakowskiego; projekt dawno wygotowany — od trzech miesięcy podany władzom do potwierdzenia, ale jakoś im niepilno, więc nie mamy pewności, czy koło Ś-go Jana będziemy mogli rozpocząć czynności nasze — daj to Boże! Twoje obrazki Zakrzewski zabrał do Kijowa, obadwa co były na wystawie — za jeden (za Baszę, aquarella) posłał Ci na ręce brata swego Walentego, który jest w Paryżu, Wexel na sto Franków, olejny ma nadzieję sprzedać w Kijowie. Kossaka konie pojechały też do Kijowa. Do Krakowa zamierzamy stąd co posłać, ale kto i co, tego jeszcze nie wiemy — wkrótce musi to nastąpić, bo tylko do 15 Lutego podobno przyjmują — a 1. marca otwierają wystawę. Za obrazki Twoje zapłaciliśmy tylko drogę od Krakowa do Warszawy — co wystawie zwrócić zobowiązał się Zakrzewski po sprzedaniu obrazów. Wystawa nasza dobrze się trzyma — teraz mamy kilkanaście projektów konkursowych na kościół, który się ma w Warszawie stawiać może w tym jeszcze roku. Obrazy ciągle przepływają — jedne przybywają, inne ubywają — niewiele się jednak przedaje — mianowicie, co nad tysiąc złotych ceną przechodzi, to kilka miesięcy stać może. Lesser był w Monachium na tych uroczystościach, wrócił od miesiąca. — Z wystawy starożytności w Krakowie Baier (ten sam, co robił te fotografie moje, co Budkowski ma) zrobił sto kart. — Zbiór bardzo zajmujący — Budkowski pisał do mnie przed parą miesiącami, nie odpisywałem mu, bo nie mogłem dołączyć długu mego — ale cóż robić. — Do tego czasu nie mogę jeszcze tego uskutecznić — więc wstyd mi nawet odzywać się do niego kilku słowy w odpowiedzi — lepszy zawsze czyn, niż słowo; Szrettera uściskaj odemnie — Klimkowicza pozdrów — Pana Leonarda[1]) też — Leona[2]) — jak też Kossakowi idzie olejne malowanie naturalnej wielkości? to ciekawa rzecz. — Broszurę o Sztuce odebrałem i składam dzięki Cypryanowi[3]). Dolinę Kowieńską, a raczej całą tę okolicę, znam bardzo dobrze i będę się starał narysować Ci ją, jest bardzo zajmującą, bo Kowno leży na samem połączeniu się Wilji z Niemnem, ma ruinę zamku, kilka starych kościołów. Cymbały, to jest prosta czworograniasta skrzynka, głęboka

---

[1]) Straszyńskiego.
[2]) Kaplińskiego.
[3]) Norwidowi.

na niespełna dwa cale, w niej ponaciągane metalowe struny, w które się uderza pałeczkami drewnianemi, zakończonemi korkowemi kulkami. Skrzynka może mieć łokieć długości, a pół szerokości, może półtora łokcia długości, ale nie więcej. [Tu naszkicowane cymbały].

Pillati i Sypniewski pracują dosyć, poszlą pewnie każdy co na Krak. wystawę. Józef do mnie nie pisał, ale Raczyński ze Lwowa już dwa razy — żąda, żeby mu się o aquarelle od kolegów wystarać — jeszczem mu nie odpisał. — Kręcę się w mojem kółku, jak mogę, dla chleba powszedniego, byle jakie drobiazgi — bazgrzę — wieczorami koledzy do mnie przychodzą, rysujemy z natury i na tem życie spływa niepostrzeżenie, a jednak leniwo i szorstko — że się gorycz łyka, więc człek do gadaniny nieskory — wybacz — że z tym nowym rokiem nic Ci słodszego do podziału z resztą braci nie przesyłam. Dzielę to, czem mam, i co mi najdroższe: moje bóle. —

Wojciech Gerson.

V.

Warszawa dnia 6 Września 1859.

Kochany Franciszku!

Dowiedziałem się w tych dniach od Janickiego, że za dwa tygodnie wyjeżdżasz z Paryża; nie chciałbym — żebyś wyjechał, nie odebrawszy tej niespodzianki odemnie — bo pewnie myślisz, że ja już zapomniałem o Tobie, a to tylko ociężałość nieznośna do pisania. — Mam ja w pamięci wszystkich, czym komu jaką duchową, czy materyalną przysługę obowiązany, niełatwo to z umysłu wylata i z serca — ale jak to wiesz — człowiek w tem chudopacholskiem położeniu to wciąż goni, to za myślami, które mu codzienna na chleb praca przerywa, to znów pegaza wstrzymywać musi wędzidłem z żelaznych potrzeb i konieczności — więc w tym młynie to i pisać ochota nie bierze, bo ciągle jedno w życiu prywatnem, a w publicznem wystąpieniu, o obrazach, to trzeba już zostawić pole zębom krytyków, żeby się miała w co ich żółć obracać, bo inaczej, toby może chorowali na wątrobę.

Masz podobno do kraju wrócić, obiecujesz zawsze przyjechać do Warszawy — zróbże Nam tę przyjemność przecie — a sądzę że i dla Ciebie to z przykrością nie będzie — a tymczasem będę Cię prosił o małą przysługę: w tej samej kopercie idzie list do Pana Leonarda [Straszyńskiego] wiem, że dawniej mieszkał na Gai (!) de Betune na

wyspie Ś-go Ludwika, ostatni dom podobno numer 29 — otóż zrób tę grzeczność dla mnie i oddaj mu ten list, albo daj komu, żeby Go oddał z pewnością — o to głównie chodzi, bo to interes Pana Leonarda. — Jeżeliś łaskaw, a nie gniewasz się na mnie, żem Ci na ostatni list Twój nie odpisał i aż dopiero z pożegnaniem Paryża Twojem kilka słów Ci posyłam, to napisz parę wyrazów pod adresem Wystawy Krajowej Sztuk Pięknych, bo w tym samym domu i na tem samem piętrze mieszkam, gdzie wystawa, Krakowskie — Przedmieście — No. 11. Co robi Budkowski, czy mieszka jeszcze na rue de Donai, 15. bądź łaskaw i to mi donieś, bo chciałbym się jemu jednak z długu wypłacić i nawzajem odebrać od niego fotografie starożytności — on pewnie także niezadowolony ze mnie, żem mu nie odpisał, ale cóż miałem zrobić, trzeba było, albo dług odesłać, albo na próżno papieru nie psuć — a jako żywo, okoliczności wcale nieróżowe — zamiast żeby coraz lepiej, to co coraz trudniej idzie i mnożą się ciężary, aż głowa trzeszczy — jedyna nadzieja nasza, to w Warszawie w Towarzystwie Przyjaciół Szt. Piękn., które, mamy nadzieję, że z końcem tego roku będziemy mogli na dobre zawiązać, że już i pozwolenie Rządowe otrzymamy. Pozdrów tam z łaski Swojej i uściskaj wszystkich, o których wiesz, że im może być miłe moje serdeczne uściśnienie. — Klimkowicza, jeżeli go jeszcze spotykasz etc. — etc. — bywajcie mi zdrowi, o Budkowskim nie zapomnij — i Jego też uścisnąć — serdeczne pozdrowienie i uściśnienie Antoniemu Sztycharzowi[1]) i Tobie nareszcie od szczerze Cię miłującego

Wojtka Gersona.

VI.

Warszawa d. 26 Czerwca 1860. r.

Kochany Franciszku!

Z obrazów Twoich żaden jeszcze do tego czasu nie nadszedł z Krakowa, a Kraszewski się o nie dopytuje — może je w Krakowie sprzedano. O apoteozę[2]) tuszem, którą tu mamy, bardzo konkurują, ale się wszystkim zbyt drogą wydaje. Jeden z tych właśnie amatorów proponował, czy byś Ty nie pozwolił zrobić z tego rysunku fotografii, których najmniej dziesięć po 40 złp. rozsprzedać obiecuje, a tak

[1]) Oleszczyńskiemu.
[2]) Mowa o obrazie Tepy, przedstawiającym Apoteozę Mickiewicza, malowanym w r. 1859.

miałbyś i rysunek i wartość jego z osobna w kieszeni — jeżelibyś się zdecydował na tę propozycyę, napisz, a ja każę zrobić fotografię i zajmę się rozsprzedażą — sądzę, że na dzisiejsze czasy rzecz jest wcale nie do odrzucenia — jeżeli możesz, pospiesz się z odpowiedzią. Co tam Budkowski porabia i moje fotografie starożytności — czasy są tak ciężkie, że do tego czasu nie mogę się zebrać na te 50 franków, które mu jestem winien — uściśnij go odemnie. — Musiałeś zapewne poznać tam dwóch tutejszych artystów, z których jeden rzeźbiarz Święcki, jeszcze na Wielkanoc z Warszawy wyjechał, a drugi Szermentowski[1]), pejzażysta, przed dwoma prawie miesiącami. Co oni tam porabiają, jak korzystają z paryskich galeryi i zbiorów, jak im się podoba to, co widzą. Jeżeli się poznałeś ze Święckim — zaprowadź go do Luwru, do zbioru rzeźb staro-francuskich i zarekomenduj mu odemnie parę pomników grobowych z francuskiego piaskowego kamienia, to są te, o których mu tutaj jeszcze mówiłem, że bardzo są stosownym wzorem dla polskiego rzeźbiarza, jako obrobienie piaskowca, zrób to przez miłość dla sztuki, bo ten Święcki, to bardzo zdolny rzeźbiarz, — są tam też doskonałe wzory piaskowcowego rzeźbiarstwa z 14 wieku w Musée Cluny, w sali Termów rzymskich — jest to cały szereg posągów świętych, które w roku 1789 z Notre-Dame de Paris strącono na ziemię; głowy więc ani ręki żaden posąg nie ma, ale draperye są nieporównanej piękności. U nas tu nic nowego nie słychać, spodziewamy się zatwierdzenia Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych we wrześniu tego jeszcze roku, do tego czasu jednak jeszcze wegetujemy, jak możemy. Co Kossak porabia, czy się do nas nie wybiera? tak tu coś mówią, ale zdania są rozmaite, widać że i on niezdecydowany. Straszyńskiego dwa obrazy mamy tu na wystawie: Stanisława Augusta w pracowni Bacciarellego i Zygmunta Augusta z Barbarą, kiedy ich Kmitowie przepraszają — pod względem malowania to bardzo ładne obrazy, skończone starannie i bez pretensyi, tylko ludzie, szczególnie jako postacie historyczne, nie tak pojęte, jakby się spodziewać należało po tak wytrawnym z innych względów artyście. Antoniemu sztycharzowi serdeczne uściśnienia przesyłam, od siebie i od Henryka, wszystkim znajomym, którzy mnie jeszcze pamiętają, braterskie pozdrowienie — co się z Józefem dzieje, gdzie się teraz obraca, czy też elipsy naszego planetarnego krążenia po Bożym świecie spotkają się jeszcze kiedy ze sobą. — Czy nie słyszałeś

---

[1]) Wojciech Święcki, rzeźbiarz i Józef Szermętowski (1833—1876) pejzażysta, cieszący się później wielkiem uznaniem w Paryżu.

co o Pawlikowskim[1]) czy jest w Medyce? Chciałbym pisać do Niego, bo jest tu do nabycia bardzo ładny zbiór własnoręcznych rysunków polskich artystów po zmarłym jednym artyście — możeby mu się przydał? Jeżeli Ci czasu i ochoty starczy, odpisz mi.

Ściskam Cię serdecznie
Wojciech Gerson.

W lokalu Wystawy Krajowej Sztuk Pięknych.

VII.

[1860?]

[Urywek z listu, zachowany na wyciętej ćwiartce].

Weź się ostro do pracy, bo tu wszyscy (nie tylko familia, bo ta z przychylności i dobrego serca) ale i inni ludzie obmawiają Cię, że próżnujesz, że mniej pracujesz, niż dawniej; wszyscy wyglądają od Ciebie jakiegoś większego obrazu; ci, co Cię dawniej chwalili, dziś wątpią o Tobie; zawstydź ich — ale weź się z pokorą, bez dumy, do studjów, w jakiem atelier i licz czas pracy nie na dnie, ale na miesiące a bodaj na lata, a nie miej sobie tego za poświęcenie — a staraj się o książki, któreby Ci kluczem do duszy ludzkiej być mogły. Nie bierz mi za złe tego, co mówię, bo radzę z serca — bom się przestraszył, kiedym posłyszał od Krakowa aż do Lwowa, co o Tobie mówią — Ci, co może dawniej schlebiali Twojej miłości własnej, a dziś się dziwą, że te pochlebstwa odniosły skutek, ukołysały, a raczej rozmarzyły i rozbujały Twoją wyobraźnię i nie dadzą jej się w Tobie skoncentrować. — Widziałem też u Wł[odzimierza] Dzieduszy[ckiego], portrety Goszcz[yńskiego], Bohd[ana Zaleskiego] i Lenart[owicza], nie wiem, które z nich były pierwszemi, a które późniejszemi, ale Bohd. wydał mi się być niepodobnym, Goszcz. trochę, a obadwa bez porówna. . . . . [tu brak dalszego ciągu wskutek obcięcia, poczem następuje ustęp końcowy . . . .] Czy nie masz zamiaru wrócić do Lwowa, ja myślę, że gdybyś teraz, to jest pod lato, a choćby i w zimie wrócił do kraju, a zaczął co tak z krajowych typów robić, z obyczajów miejscowych, toby było i dla Ciebie bardzo zajmujące i na funduszach mogłoby Cię podreperować, a przy tem jest to jeszcze dobra droga od mniejszych rzeczy do większych,

---

[1]) Mieczysławie.

od wzajemnego stosunku ludzi do siebie, których spotykamy w życiu, do obrazów powieściowych lub historycznych, jeżeli sobie przypominasz wystawę Delarocha, ona może służyć jako potwierdzenie tego, co mówię, o ile znam historyę Ary Schefera, ten szedł podobną drogą, a zaszedł do najwyższych szczytów historycznego i religijnego tworzenia. — Zdziwisz się zapewne, że tak długi list napisałem, rzadko mi się to zdarza — nie zawsze też mam o czem pisać, ale skoro tylko mam przedmiot, nie żałuję papieru i czasu. Ta apoteoza, którą tu przysłałeś, mniej mi się podobała, niż poprzedzająca, czemu Tadeusz i Zosia tak w kącie schowani. Kompozycya-by zyskała, gdyby główna figura była otoczona większą ilością postaci i na tej rozmaitości bardzoby zyskać mogła; czemu zrobiłeś tę zmianę, nie rozumiem; bywaj mi zdrów a pamiętaj o mnie, a odpisuj

Wojtek [Gerson].

VIII.

Warszawa d. 21 Grudnia 1860. r.
Ulica Miodowa Nr. 495 (nowy 3).

Kochany Franusiu!

Nie odpisałem Ci zaraz na list Twój dla ważnej przyczyny, że fundusz, jaki Ci posłać miałem, nie był zgromadzony, starałem się jednak, aby to mogło być przed Nowym Rokiem; posyłam Ci więc wexel na 120 franków z których połowa wpłynęła ze sprzedaży fotografii z apoteozy, druga zaś od Zakrzewskiego za akwarelę, u niego też wexel wziąłem. Co do Hetmanów, tych możesz zrobić ołówkiem nawet, jeżeli portret niedokładny a brzydki, to kontur lekko podcieniowany dać mi może dosyć dokładne o nim wyobrażenie. Któryby zaś był dobrze malowany i z charakterem, tobym sobie życzył mieć z niego dokładną kopię, ale w każdym razie czarną tylko, nie kolorową. Przez ten czas ważna nam się nowina stała w sztuce: zostało zatwierdzone nasze Towarzystwo sztuk pięknych, o które przez dwa lata staraliśmy się — od nowego roku rozpocznie już na dobre swoje czynności — dotychczas tylko rozprzedaż akcyi, pierwsza wystawa nie będzie zapewne prędzej, jak w grudniu przyszłego roku.

Musieliście zapewne czytać w Warszawskich dziennikach i ustawę Towarzystwa i rezultat pierwszych wyborów do komitetu, nie jest to jeszcze alfa i omega dążeń do postawienia sztuki na właściwem jej stanowisku, ale krok w każdym razie znów jeden naprzód na tej drodze. Za parę dni Towarzystwo ma objąć wystawę naszą wraz

z obrazami, a ponieważ o jeden salonik się skurczy i obrazy, które nie są do nabycia, zechce może oddać właścicielom, tedybym Cię prosił, abyś mi napisał, co zrobić z Bozarysem; zapewne trzeba będzie odesłać go Siemieńskiemu, aby go na miejsce przeznaczenia wyprawił. Kossak na dobre myśli w Warszawie osiąść, najął już mieszkanie, ale przedtem jeszcze, właśnie wczoraj, pojechał przez Kraków do Lwowa podobno.

Tęskno Ci, piszesz, do kraju, o wierzę—więc nie czekając długo, przyjedź — chciałbyś jeszcze jedną wielką wystawę zobaczyć — jest Ci czego pozazdrościć, w tym kraju można się dużo nauczyć — a nadewszystko jak pracować i z młodych lat korzystać, póki służą, póki najmozolniejsze studyowanie jeszcze przyjemność sprawia. Ale i u nas przy pracy można postępować, mamy tego dowody naokoło siebie — jednym z nich Sypniewski które[go] każdy nowy obrazek lepszy jest od poprzedzającego. Kossak parę akwareli tu wystawił, znać w nich postęp, ale szkoda, że to zawsze tylko akwarele, przy jego kompozytorskim talencie zdałaby się też i potężniejsza technika. Co Budkowski robi, pewnie coś na Paryską wystawę przygotowywa; musi ładnie malować, bo to jest także jeden z tych artystów, co powoli, ale bez przerwy, do doskonałości zdążają i ani chwili zatrzymania się, ani kroku w tył zrobionego w nim nie dojrzysz. Zresztą nic u nas nowego nie ma, ja tylko oto od roku już, jak do ciężkiego zaprzągnąłem się jarzma, jestem nauczycielem rysunków w publicznym zakładzie — mam, prawda, pensyę stałą i jak do pracy niewielkiej dość odpowiednią, ale też i stale co dzień dwie popołudniowe godziny na belferce tracić muszę — nie złe i to, że jakiś stały jest dochód, bo choć o najpierwsze potrzeby człowiek jest spokojny.

Kazałeś mi ucałować piękne a poczciwe Warszawianki — tyle, żem się oblizał, — pokazywałem znajomym moim Pannom list Twój — ucieszyły się, że tak daleko sława ich sięga, że aż nieznajomi im hołdy składają, na tem się też tymczasem skończyło, właśnie dla tego, że czcigodne — że poczciwe. Coś zawsze jednakowym jesteś wielbicielem płci długowłosej i jak rycerz średniowieczny możebyś za nieznaną a wielbioną Krasawicę gotów kopię kruszyć — lub na turnieju kości sobie rozbijać. „Tyle szczęścia, co człek prześni — tyle życia, co jest w pieśni!...“

Chciałbym Ci co napisać o sobie, ale niestety nie mam co; samemi drobnemi zajęty jestem pracami, o których wspominać nie warto, a chociaż zabieram się teraz do czegoś większego, to z tem nie prędko będzie koniec, a wtedy dopiero będę mógł mówić, że zro-

biłem, jak się już ulęgnie i gotowe będzie, aby ludzkim oczom pokazać. — Co też Ty robisz, pytałem się Ciebie w poprzednim liście o ten Egipski duży obraz — nie odpisałeś mi, czy go kończysz i w jakim jest stanie; robisz też co na tegoroczną krakowską wystawę — ja myślę pejzaż jaki posłać. Budkowskiemu, Antoniemu, Święckiemu i Szermętowskiemu serdeczne uściśnienia przesyłam i życzenia wszelkich powodzeń przy nadchodzącym Nowym Roku —

Twój przyjaciel
Wojtek [Gerson].

IX.

Warszawa dnia 30 października 1869.

Kochany Franku!

Przyjemnie mi jest, że mam sposobność kilkoma słowy odezwać się do Ciebie; wolałbym, żeby wiadomość o obrazach Twoich była zupełniej wystarczającą, gdy jednak na teraz inną być nie może, przyjmij ją tak życzliwie, jak Ci ją podaję, z tem zastrzeżeniem, że jeślibyś podług wskazówek, które Ci tu podam, odszukać nie mógł Bozarisa Twego, gotów jestem jeszcze usilniej go poszukiwać. Otóż co do Apoteozy, tę dla P. Kr.[1]) odebrał do rąk własnych umocowany Jego w roku jeszcze 1861 czy 1862 pod dniem 29 Maja, zaś co do Bozarisa, został odesłany koleją Warszawsko-Wiedeńską w roku 1865 pod datą 3 Sierpnia, nie mogłem jednak doszukać się do tego czasu, na czyje ręce, prawdopodobnie do Krakowa, do tamtejszej Dyrekcyi Towarzystwa Sztuk Pięknych lub do P. Lucjana Siemieńskiego; było to uczynione, jeżeli mię pamięć nie zawodzi, na naglące Twoje żądanie; Kustosz naszej Wystawy nie mógł na razie dać mi dokładnego objaśnienia, do kogo ta paka była adresowana, jeżelibyś więc przez korespondencyę z Dyrekcyą Krak. Tow. nie doszukał się obrazu swego, chciej mi odpisać, ja zaś ze swej strony postaram się za pośrednictwem Komissanta rozpocząć poszukiwanie paki Twojej, jakkolwiek nie taję przed Tobą trudności, które pociągnąć musi za sobą sam czas ubiegły od daty odesłania obrazu Twego z naszej wystawy. Tomasz Malinowski, za pośrednictwem którego wiadomość o Tobie, kochany Franku, otrzymałem, mile bardzo wspomina wspólny Wasz pobyt u wód Karlsbadzkich, z czego widzę, że

---

[1]) Kraszewskiego.

jesteś zawsze tymsamym kochanym, serdecznym, towarzyszem, ujmującym serce każdego, z kim Cię losy skojarzą, z Jego ust też dowiedziałem się, że Tobie, jako jednemu z członków Dyrekcyi Towarzystwa Szt. Pięk. we Lwowie, winienem część tej życzliwości, z jaką pracę moją zeszłoroczną na premium Wasze obraliście. Cieszę się, że obraz ten wróci jeszcze do pracowni mojej, że zatem będę mógł usterki, jakie w nim widzę, poprawić; miałem z nim duże trudności do zwalczenia: pomrokę kończącej się nocy i odblask pierwszych promieni różowego wschodu słońca, co na obrazie, mającym się utrzymać w surowości i spokoju, jakiego wymaga historyczny przedmiot, nie jest tak łatwo do pogodzenia w szczęśliwy sposób, jakby się na pozór wydawać mogło; że jednak w szkicu kolorowym mam ten efekt daleko udatniej wykonanym, zatem spodziewam się, że i w obrazie, po pewnym, nadewszystko, czasie niewidzenia go, będę mógł do niego barwy moje dociągnąć. Zmartwiło mnie to, żeś aż u wód Karlsbadzkich pomocy w zdrowiu szukać musiał, wyobrażam sobie, jak Ci musiało być ciężkiem kilkotygodniowe wstrzymanie się od ulubionego zajęcia, tem bardziej, że mi Tomasz opowiadał o pokusie do pracy, jaką Ci nastręczała cudnej piękności czarnobrewa.

Musiałeś pewnie do tego czasu już wynagrodzić sobie stracony czas dla sztuki, usilną pracą po przyjściu do zdrowia. Praca jest także dobrym środkiem hygienicznym, a urozmaicenie onej najlepszą rozrywką; tej zasady trzymam się od dawna, a przeplatając chlebodajne roboty pracą dla sztuki, nie czuję zniechęcenia ani do jednej, ani do drugich i w zdrowiu trzymam się jako tako.— Zechciej przyjąć serdeczne moje pozdrowienie i zapewnienie prawdziwej życzliwości kochającego Cię

Wojtka [Gersona].

Adres mój albo: na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem w Warszawie,
albo: Ulica Bracka Nr. 1583.

[Dalej przypisek:]

Kochany Panie Franciszku!

Nie mogłem wcześniej zająć się Twym interesem, bo po powrocie do Kraju odesłano mi bardzo chorego chłopca, musiałem więc przez dwa tygodnie przeszło, być ciągle przy nim, aby uchronić go od śmierci, wybacz więc kochany Panie Franciszku, że chociaż tak późno odbierasz niniejszą korespondencyę, lecz lepiej niż nigdy. — Panna Buchowska opowiadała mi dużo o Tobie, polecając bezprzestannie

Twój interes, nie wiem jednak, jak tam czas spędzaliście z sobą, ale myślę że dosyć przyjemnie, bo to niezła dziewczyna. — Rychter obecnie bawi w Warszawie, widziałem się z nim dwa razy, jest zdrów, i nie nudzi, widać mu wody pomogły, jak również i mnie, czy też Tobie dobrze zrobiły, może podług przyrzeczenia, przysłania swej fotografii, zechcesz i o tem mnie zawiadomić. A obecnie przysyłając Ci serdeczne uściśnienia i ucałowania, zostaję zawsze życzliwym przyjacielem

T. Malinowski.

X.

Warszawa dnia 26 Marca 1870. r.

Kochany Franku!

Zrobiłeś mi Twoim listem nieprzemijającą przyjemność, oto trzy miesiące już prawie minęły od daty onego, a czuję to równie mocno, jakbym go dopiero co otrzymał, nie dlatego to jednak doświadczenia, uczuć moich przyjaznych dla Ciebie, teraz dopiero odpisuję; przyczyną opóźnienia, jedną z najgłówniejszych, jest to, że do tej pory jeszcze oczekuję na obraz mój z Monachium. Pisałeś mi, że w styczniu go odbiorę, przeczekałem więc styczeń i luty, aby Cię równocześnie zawiadomić o odebraniu i o tem, jak podług mego zdania litografia się udała, nie mogąc się jednak doczekać, piszę, zostawiając podzielenie się z Tobą tem, co tej sprawy dotyczeć będzie, przyszłemu listowi. Druga sprawa Twoja, dotycząca obrazu Botzarisa, szczęśliwie się wyjaśniła, znalazł się tam, dokąd odesłaliśmy go z Warszawy, zapewne do tego czasu już Ci go Towarzystwo Krakowskie zwróciło. — Wiadomość tę mam od Towarzysza M., który aż sam zgłosił się do mnie po przysłane przez Ciebie fotografie Twoje, powiedziałem mu zaraz po otrzymaniu, że je mam, alem się nie spieszył z oddaniem, ulegając przyjemności, jaką mi widok Ciebie, jakim jesteś dziś, sprawiał, a gdyby nie miały tak stanowczo oznaczonego przeznaczenia, byłbym z pewnością jedną dla siebie zatrzymał. Wcale nie znać na fotografii, żebyś potrzebował aż wodnej kuracyi w Karlsbadzie używać; porównywałem ją z dawniejszą, paryską, a nawet to naoczne sprawdzenie różnicy nie wykazało mi, prócz tej, że poza Twoja dzisiejsza bardziej artystyczna.

Na tegoroczną wystawę Waszą poszlę zapewne dwa obrazki moje, jeden będący własnością prywatną (a tu mam wątpliwość, czy wła-

ściciel pozwoli) historyczny, a drugi rodzajowy, który właśnie kończę i mam nadzieję na termin się z nim jeszcze zgłosić; przesyłkę tańszą wyrobiłem na naszej kolei żelaznej, więc też dwa posłać lub odebrać w każdym razie łatwiej — spodziewam się, że i Wy też korzystać z tego będziecie i częściej naszą wystawę swojemi pracami zasilać zechciecie. Nadewszystko ciekawy jestem Twoich, kochany Franku, olejnych obrazów, tak dawno już nic nie widziałem; na wystawie powszechnej 1867 miałeś tylko akwarele, nie mogę z nich mieć najmniejszego pojęcia, w jakim kierunku dzisiaj idziesz pod względem pomysłów obrazowych i kolorytu. Jeżeliby Ci przyszła ochota lub myśl szczęśliwa pisania do mnie, chciej to zrobić po zobaczeniu obrazków, które teraz Wam poszlę — o poprzedzającym ogólnie mi tylko napisałeś że sympatyczny, zdanie to Twoje serdeczne, jako człowieka, ale co artysta obok tego mówi? na co się Twoje estetyczne poczucie oburza, a co pochwala?—z czem się zgadza, a w czem jest z mojem sprzeczne? oto są pytania dla mnie żywotne, mam nadzieję, że odpowiedź na nie znajdziesz w Twem poczuciu, a że ja w odpowiedzi znajdę choć trochę z tego Twojego dzisiejszego wyrobienia w sztuce, którego owoców tak dawno już nie widziałem.

Przyjm serdeczne uściśnienia braterskie

Twego Wojtka [Gersona].

Adres mój: Ulica Bracka Nr. 1583.

[Na tem kończą się listy W. Gersona.]

XI.

Warszawa 7-go Maja 1854.

Drogi Franciszku! Twoje przypomnienie się, niezmiernie mnie ucieszyło;—ale dziwi mnie, jak Ty mnie zapytywać możesz, czy ja zapomniał? Czyż można zapomnąć chwile spędzone we Lwowie razem, spacery na Wysoki Zamek,—posiedzenia artystyczne i u mnie i u Ciebie, kiedy to się malowało miniatury! — Mój Boże! wszystko minęło, a ludzie Ci sami, myśl tażsama; miejsca zostały — a reszta przeszła jak sen. A we Wiedniu? czyż to nie dałem Panu Dobr. na pamięć dla kolegi z albumu mego cztery woły? — więc z tego sądź, że kiedy pamiętam woły i chłopa, co batożek kręci, to na Franka poczciwego, artystę kochanego nigdy nie tylko że nie zapomniałem, ale nie zapominam i zapomnąć nie mogę.

Pro secundo: okoliczności miały nas zbliżyć; ale przeklęte moje przeznaczenie, że zupełnie co innego się dzieje, jak to, co sobie za-

myślam, i wtenczas nie dało mi uskutecznić tego, na com się cieszył naprzód.—Wracając z Wiednia, wracałem z Panem hr. Adamem P. [Potockim], przypadkiem, jadąc do Warszawy; koniecznie chciał mnie wziąść na Wschód z sobą; obiecałem mu, dał mi dwa termina — i nic z tego wszystkiego. — Tam bylibyśmy się zobaczyli. — Do Paryża już wiesz od kiedy jadę? — po Kijowach, Moskwach, Petersburgach siedziałem po kilka miesięcy, [w] Warszawie siedzę już drugi roczek nieuroku; — a Paryż? — na łasce Pana Zygmunta Rodakowskiego, któren mi w połowie Marca jeszcze obiecał od samego Pana Namiestnika Gołuchowskiego przysłać paszport — a tymczasem już połowa Maja blizka — oj tak mój kochany — nieszczęśliwy ten Paryż, nie wiem dlaczego dla mnie tylko? — a teraz właśnie mógłbym jechać!

Co się tyczy naszej poczciwej kochanki, która nas nigdy nie opuszcza, nam się nigdy nie sprzeniewierza, nawet swoim kosztem dosyć porządnie utrzymuje, wstęp między porządnych ludzi i kredyt wyrabia! — poczciwej i pięknej sztuki! — co się tyczy tej, muszę ci donieść, że nigdy o niej nie zapomniałem, i tak, jak dla córek Ewy bywałem ślepo wierny i bywam niestety — tak tem bardziej o Niej pamiętam. — Pracuję ciągle i staram się o ile możności robić postępy i Bogu dzięki lizie to jakoś, jest i doświadczenia trochę i wprawy i fantazyi nie brak — tylko — tylko — Ty wiesz co? — Tyś artysta, Ty mnie zrozumiesz, tego brak, że: nim się skończy jakie smarowidło, to jeszcze jako tako człowiek się cieszy, że może będzie coś lepszego, tym czasem zamiast finis coronat opus, — clapsit gloria mundi! — immer der alte Nazi (!) — Pomimo tego pracuję ciągle, — do olejnego zabieram się, maluję parę dni i rzucam, bo nie mam sposobu wykręcić się od akwareli, które robię na łokcie długości i szerokości; — tak Panie Dobr. — a Ty wiesz, że to potu czoła kosztuje zasmarować największego Wattmana, jaki egzystuje, dać temu kolor, czystość i siłę; — wszystkie obstalunki akwarelą, dla tego, że rzadkość i moda; — Mego rodzaju zawsze się trzymam, to jest: Portrety amazonek i sarmatów konno, — sceny z powieści naszych, gdzie konie, — sceny z historyi, polowania, — i tym podobne, co doskonale płacą, i ciągle mam obstalunki; — ostatnia akwarela już skończona i w środę oddana, bitwa pod Żółtemi Wodami, gdzie zginął Stefan Potocki, za czasów Władysława IV. — bardzo tu się podobała nie tylko amatorom i znawcom, ale i artyści tutejsi, którzy, jak wszędzie niestety, kochają się jak psy z kotami, oddają dużo pochwał, może niezasłużonych, ale cóż robić? — przyszlę wam fotografię z obrazu zdjętą, to wy tam swoje powiecie; — długa na dwa blizko łokcie i półtora szeroka, — grup

głównych, robiących całość, z grupą środkową, gdzie figuruje Potocki, spadający z konia: pięć; — samych figur dwadzieścia, koni osiem, nie licząc w to głów ludzkich i końskich, rąk, nóg, zadków i półdupków, nosów na kopy; — fatalnie się biją, to sobie muszę przyznać, aż trzeszczy wszystko; widać, że o życie idzie i to ludzi znakomitych i odważnych! — o reszcie nie mogę pisać, bo-byś mógł myśleć, żem już zgłupiał na starość. — Dosyć, że starałem się, przez kilka miesięcy, pracując powoli z namysłem; — i dosyć mi się udało pomimo trudności. — Teraz zacznę dla Pana Hr. Włodzimierza [Dzieduszyckiego] polowanie, z Dzieduszyckimi żyjącymi i nieboszczykami niestety; — rozpisałem, czyli raczej rozgadałem się z Tobą i może Cię już nudzę, ale daruj, bo tak mi jakoś miło z Tobą pobaraszkować, że jeszcze z kilka arkuszy byłoby za mało! — Dla tego do końca spieszę — a nadal zostawiam sobie przyjemność. — A teraz ad rem.

[Na tem kończy się pierwszy arkusz listowego papieru, formatu 4-o; reszty brak].

[Juliusz Kossak].

XII.

24. Grudnia 856.

Bardzo żałuję, żem nie był w domu przed wczoraj i tym sposobem stracił Pańską wizytę.

Posyłam Panu miniaturkę, z prośbą, żeby ją pan jak najprędzej zrobił; Osoba do której należy kopia, zgadza się z ceną 150 fs.

Polecam się pamięci Pańskiej
Henryk Rodakowski.

XIII.

7. Avril.

Szanowny Panie Tepa!

Spodziewając się, iż Maska i Medalion nie są mu już potrzebne — upraszam o łaskawe mi ich odesłanie.

Wdzięczny bardzo będę za akuratność, gdyż czas już wziąć się do ostatecznego ukończenia mojej pracy, a chciałbym, i potrzeba nawet, zacząć od głowy.

Proszę przyjąć zapewnienie mego szacunku
sługa
Władysław Oleszczyński.

Avenue Ste Marie du Roule
2. ter.

XIV.

Paryż dnia 18 Grudnia 1861.
76. r. N. D. des Champs.

Kochany Franciszku

Otrzymałem Twój list z 24. Listop. i bardzo Ci zań jestem wdzięczny — dziękuję Tobie serdecznie za to, żeś pamiętał o moich interesach. — Otóż i ja nie zapomniałem o Tobie:

Poszedłem do Michała z prośbą, którąś dla niego podpisał; listu zaś, który do niego pisałeś, nie oddałem mu (gdyż takie miałem czucie), a tylko powtórzyłem mu Twoje słowa, które do mnie mówiłeś w Twojem mieszkaniu, manifestując Twoje uczucia, wskutek których powziąłeś myśl zrobienia mu tej ofiary — otóż Michał to uczcił i z wdzięcznością dar Twój przyjął.

Byłem później u Goreckich; bardzo mię tam mile przyjęto i proszono o podziękowanie Tobie — zastałem tam także i p. Helenę, która niezbyt dawno z kraju wróciła, zrobiła się taka panna wspaniała, żem ją prawie nie poznał — wiele mi z kraju opowiadała, a po kilku chwilach serdecznego przyjęcia, prosiły mię uprzejmie, abym ich dom we środy odwiedzał, z czego, jak się spodziewasz, nie omieszkam korzystać.

A teraz Ci powiem o rzeczy niezbyt przyjemnej: Zaniosłem jeden exemplarz Lit.[1]) Gałęzowskiemu — powiedział mi, że gdyby nie podpis, toby prawie nie poznał, tak w tym portrecie nie znalazł jego wyrazu i rysów; Januszkiewicz mówi toż samo, inni mówią, że podobny — jednakże to wszystko bardzo mi szyki popsuło, bo w Paryżu dotąd jeszcze ani jednego nie sprzedałem, pomimo, żem zniżył na 3fr. cenę.

Pisał mi z Krakowa Baumgardten, odpowiedziałem mu, ale dotąd jeszcze mi nic nie odpisał — Wild wcale się nie zgłosił, może później.

Tymczasem u mnie jak zwyczajnie; zrobiłem portret P. Różyckiego, z którego wszyscy powszechnie są kontenci, ja sam jestem też dość zadowolniony, wkrótce będę go litografował.

Żegnam Cię tymczasem kochany Franciszku, życząc Ci z duszy dobrego powodzenia i polecając się Twej pamięci i przyjaźni,

Twój
Julian [Mackiewicz].

---

[1]) Litografii, wykonanej przez Mackiewicza z portretu Lelewela, którego Tepa portretował w r. 1859 w Brukseli, a następnie powtórnie, z początkiem roku 1861.

XV.

Poznań dnia 20 września 1870.
Hotel Bazar.

Kochany Kolego!

Dnia wczorajszego wróciłem ze wsi, gdzie na parę tygodni wyjeżdżałem — po przybyciu więc dopiero otrzymałem Twój list z d. 6 września — naprzód dziękuję Ci za życzliwą pamięć i uprzejmość w sztuce załatwienia mego interesu we Lwowie — a obowiązanym Ci będę, jeżeli takowy zechcesz ułatwić — gdyż pomimo, iż otrzymałem list od Łozińskiego, że Wild przyrzekł niesprzedane egzemplarze odesłać i pieniądze za te, których będzie brakować do par 50-ciu — dotąd jednakże ani pieniędzy, ani przesyłki nie odbieram, jednocześnie więc z tym listem posyłam znowu pismo do Wilda, aby raz chciał mi zwrócić to, co w przekonaniu za obowiązek uważać powinien. — Czy to będzie skutkować nareszcie, nie wiem. — Zawsze proszę Cię ze Swej strony, chciej to poprzeć. — U Was nie lepiej jak tutaj — smutno pomyśleć nad lekceważeniem cudzej własności — wchodzące nawet w zakres niepoczciwości — przysłałeś tu Twą piękną pracę, na odpowiedzialność Komitetu — któren wziął się nie do swoich rzeczy — niedotrzymując zobowiązań — gdyż już kilka takich wezwań od kolegów miałem — pościągali obrazy i już nie troszczą się o ich odesłanie — trudno się od tych Panów co dowiedzieć — jeden odsyła do Anaasza (!) drugi do Kaifasza — wszyscy ręce umywają — taka też historya z Twojemi żydami — wszystkie obrazy umieszczone są na tutejszem kółku Towarzyskiem — jest między niemi i Twój zawieszony w sali balowej — gdyż nie sprzedano żadnego — myślę jednak, że jeżeli nie masz pewności sprzedania go w Krakowie lub Lwowie, to może lepiej zostawić go tu jeszcze parę miesięcy, gdyż w porze zimowej bywają tu w tej sali liczne zgromadzenia obywateli, może więc znaleźć amatora — w każdym razie obowiązuję Ci go wydobyć z tej niewoli Egipskiej i przesłać — jeżeli zaś zgadzasz [się] na pozostawienie, to donieś mi o cenie — a sam chętnie pośredniczyć będę w wyszukaniu nabywcy.

Dziwisz się zapewne skąd tu przywędrowałem — oto tak, jakoby liść jesiennym wiatrem na pustkowia zagnany — wyjechałem z Paryża, aby po kilku latach odetchnąć naszem powietrzem — tymczasem wypadki wojenne zatrzymały mnie tu dłużej nad zamiar, a dziś zupełnie odcięty jestem od Paryża — jeżeli się tam źle skończy, nie będzie po

co powracać, bo któż tam każe sobie portrety malować — być więc może, iż — przedsięwezmę starania o pozwolenie powrotu do Warszawy — bo mi się już rzeczywiście ta włóczęga po obczyznach sprzykrzyła.

Otóż i wszystko, co Ci donieść mogę, tu smutno bardzo — bo zwycięzka wrzawa niemile do ucha wpada — wolę więc zakończyć na serdecznem pozdrowieniu i polecam się życzliwej Twej pamięci.

T. Maleszewski[1]).

P. S. Gdyby jakiś księgarz we Lwowie chciał zakupić wszystkie owe 50 par za 150 guldenów, z warunkiem, że pieniądze natychmiast mi tu do Poznania nadeszle, tobym je odstąpił; w sprzedaży księgarskiej Wizerunki te są dotąd po 5 guldenów para — tak więc zaledwie koszta wykładu pragnąłbym otrzymać.

XVI.

Bordeaux, rue de l'Arsenal, 32.

Kochany Franciszku.

Od trzech miesięcy, jak już przesiaduję w Bordeaux, wyczekując, aby powrócić do Paryża, jeżeli bomby oszczędzą atelier i pozostawione tam ruchomości — będąc w Poznaniu, doszły mnie posłuchy, że wystawa Lwowska ma być zupełnie zamkniętą. — Nie wiem, czy to prawda; mając do przesłania obrazek, chciałbym na pewno wiedzieć. Potem polecam Twej życzliwej pamięci myśl, podaną komitetowi Lwowskiemu: Zakupna portretu olejnego Bogdana Zalewskiego, znajdującego się teraz na wystawie Krakowskiej — sądzę, żeby dobrze zostały przyjęte przez Akcyonaryuszy Ziemi ukraińskiej premia portretu waszego Wieszcza — piszę na niepewne, bo może nie jesteś we Lwowie — próbuję jednakże — nie wątpiąc o Twej życzliwej pamięci i Koleżeńskiem poparciu —

ściskam Ci dłoń serdecznie

T. Maleszewski.

d. 28 stycznia 1871.

Od Łozińskiego za sprzedane exemplarze owego wydawnictwa nic nie otrzymałem.

---

[1]) Tytus Maleszewski (1829—1898), malarz rodzajowy, a głównie portrecista, który rozpowszechnił zapomocą litografii liczne wizerunki polskie, jak Chopina, Moniuszki Skargi, Kochanowskiego, Mickiewicza, Sobieskiego, Czarneckiego. Kształcił się w latach 1855—1858 równocześnie z Tepą u Leona Cognieta w Paryżu.

XVII.

Szanowny Panie,
Łaskawy Kolego!

Właśnie co wracam ze sesyi naszego Zgromadzenia Profesorów — była tam mowa o przedstawieniu kandydatów na opuszczoną posadę Profesora Krajowidoków, a myśl nasza zwróciła się ku Tobie, Panie. Nikt podobno godniej nie reprezentuje sztuki, nikt więcej nie kwalifikuje się na przewodziciela młodzieży na wyżyny sztuki, to też, o ile sądzimy, że zrobiłbyś Pan tę ofiarę dla dobra kraju, to jednak — jednak, nie śmiem powiedzieć, ale wielkiego wynagrodzenia spodziewać się niemożna. Namiestnictwo żąda postawienia spiesznie kandydatów, czyby nam wolno było i imię znakomite Kolegi położyć, skoro doniosę, że pensya była niezbyt zachęcająca, bo około 600 fl., ale też i zajęcie niewielkie, bo uczyć sześć godzin tygodniowo młodzieży kilku z dojrzałych i przygotowanych, głównie rysunek i akwarela ze wzorów i trochę natury w lecie.

Jeżeli, Panie, chciałbyś przynajmniej położyć swe imię na liście przedstawionych, jużbyś nam przysługę wyrządził, a nie przeczę, że powoli namyśliłbyś się Pan na przyjęcie. Dwa miesiące feryi — Koleżeństwo artystyczne z Matejką i drugimi, piękne okolice miasta — świat przeszłości pod ręką, czyż nie są zachętą do przyjęcia, jeżeli Bóg da, że Ministeryum zgodzi się na propozycye nasze. Wszakże Namiestnik, który w szczególnej łasce ma dobro szkoły naszej, jak to często opowiadał — niemało przyczynić się może, aby szkoła zyskała taką podporę w Osobie Pańskiej.

Wprawdzie dziwnym zbiegiem okoliczności narzuca nam ni stąd ni z owąd Rada Szkolna swego kandydata, ale szkoła, która przez lat tyle chwalebnie wydawała dobrych artystów, nie może przystać na wprowadzenie doń człowieka bez wykształcenia i znajomości traktowania pejzażu.

Prośbę moją w krótkości powtarzam: racz mi Szanowny Pan odwrotną pocztą odpisać, czy zgadzasz się Pan na proponowanie Pana przez Zgromadzenie Profes. Wysokiemu Ministeryum na posadę Profesora Krajowidoków w szkole naszej.

Oczekujemy z niecierpliwością odpowiedzi na tę wiadomość, która mi poleconą została przez Zgromadzenie Profesorów, iżbym zapytał.

Zostaję z poważaniem
sługa
W. Łuszczkiewicz.

[Kraków] 26/11.872.

XVIII.

Panie Franciszku,
Szanowny Kolego!

Mea culpa, wyznam szczerze, że nie odpisałem natychmiast na łaskawy list szanownego Kolegi, ale wszystko to miało, jak powiadają, racyą. Sprawa posady w naszej szkole, to rzecz z tysiąca nocy i jedna[!], to rzecz dramatyczna, w której udział brało wielu, niewiedząc że ich ciągnie na pasku jedna okrutna zemsta! upersonifikowana w postaci proroka Eliasza!! Jakże można mi było połapać się i coś rzeczywistego odpisać. Dziś, kiedy wszystkie nadzieje nasze dla szkoły sparaliżowane zostały, kiedy nadzieja koleżeństwa z takim Tepą ominięta, niech mi będzie wolno po raz pierwszy o rzeczy brudnej mówić, a patrzę koło siebie, czy kto nie stoi za mną, kiedy to piszę i nie gorszy się, że cnotliwy dotąd Łuszczkiewicz o takich brudach pisze. Robię to dlatego, żeby się wytłómaczyć, co znaczyło, aby i S. Pan zdecydował się był szybko.

Zacznę ab ovo.

Historya szkoły sztuk pięknych w Krakowie poczyna się od roku 1818 — od tego czasu do 1830 kłócił się Prof. Peszka z Prof. Brodowskim — od tego czasu kłócił się Stattler z Głowackim — Bizański z Brodowskim[1]). Od roku 1852 nikt się nie kłócił, bom arrogował sobie dyrekcyę moralną, i choć młody, umiałem pracować. Od 1852, do dziś, wychodzili z tej szkoły młodzi artyści, bo była zgoda, a kierunek zwrócony był do tego, aby uczniów nie bawić igraszkami, ale seryo, jak to kochany Pan, coś szkołę poznał, sam twierdził. Powiem, że przy ubóstwie, to co się zrobiło, sumiennie wyznać muszę — mojej pracy dzieło, najmniej Rządu, który o tę szkołę nie dbał i dotąd jak widać mało dba, a tu Matejko głośno pisze po dziennikach, że tylko u nas się uczył.

Otóż w owe czasy, kiedy Tepa był sędzią co do wysłania ucznia za granicę, niejaki Pan [. . . . . .], Kochany uczeń, odsunięty przez S. Pana, powziął zemstę gwałtowną do Swego Profesora — zemsta ta urosła przez odsunięcie Papy [. . . . . .] od restauracyi Ołtarza W. Stwosza, a rosnąc coraz bardziej przemieniała się w listy anonymy, rozrzucane po kraju — w artykuły — w denuncyacye anonyma do Namiestnictwa, na nutę, że Łuszczkiewicz nie mniej, ni

---

[1]) Józef Peszka (1767—1831), Józef Brodowski (ur. ok. 1775, zm. 1853), Jan Nepomucen Bizański (1804—1878) Wojciech Korneli Stattler (1880—1875), Jan Nepomucen Głowacki (1802—1847), profesorowie krakowskiej szkoły sztuk pięknych.

więcej, tylko złodziej. Każde nowe uznanie mych zasług — każda praca moja, podnosiła zaciętość rodu [. . . . . .] tak, żem się odsuwać musiał od wielu usług, byle nie drażnić żmii. Tyle co do stosunków z temi figurami, a teraz akt drugi, pod tytułem: Zemsta.

Był w szkole naszej niejaki P. Dembowski, który dawną tradycyą będąc Z Profesora[!] Rysunku w Gimnazyum, miał obowiązek uczyć Krajowidoków. Dużo gadający człowiek o swych poświęceniach, że za darmo uczy, o tem kilka razy na tydzień mówił — a uczył głupio przez lat 8, nikogo nie wykształcił, a młodzież bałamuciła się, bawiąc się, a uczyć poważnie niechcąc. Jako kierownik, kilku wyjątkowo zdolnych uczniów, przestrzegłem, że się bawią, a wiek upływa, że źle studyują, że lekceważą, bo wolno było kopiować to zielono, co było na wzorze czerwone — wiesz Pan co to niedouczonych nauczyć sposobiku, a grunt ominąć. Doniosło się to do Dembowskiego i umyślił pomścić się na mnie. Opuścił Gimnazyum, a więc i nas, bo został w Realce Profesorem, wtedy wyrzekł: wychodzę, ale wpakuję żmiję za kark Łuszczkiewiczowi. Znajduje się pomoc w Radzie Szkolnej — ta mianuje [. . . . . .], który o pejzażu ani śnił, — który zaledwie farę skończył — szkoły naszej nikt się nie pyta. — Ponieważ w nominacyi jego do Gimnazyum wspomniano o obowiązku uczenia u nas, przeto zgłasza się, ale cóż, kiedy w tej chwili odbieramy Namiestnictwa żądanie, abyśmy postawili kandydatów na posadę Prof. Krajowidoków, gdyż Namiestnictwo łączy się ze zdaniem Korporacyi, iżby te posady rozłączyć. Wtedy czekając próżno na odpowiedź od Sz. Pana, podaliśmy Kossaka, że zaś ten później umyślił się na: nie, przeto była mowa na seryo o Tobie Panie.

Tymczasem wszelkie pisanie szkoły do Ministeryum zostało skręcone przy pomocy dobrych przyjaciół z Rady Szkolnej — wczoraj przyszedł ukaz wprowadzenia [. . . . . .] na złość i upokorzenie moje — na krzywdę i smutek uczniów, którzy jak cały świat, wiedzą, co to za sztuka. I my mamy mieć autonomię! chyba, żeby szewcy o sztuce decydowali.

Zawsze Twój, Panie,
W. Łuszczkiewicz.

Daruj Sz. Pan, że, choć sine ira et studyo mu przedstawiam, wydaje się być nie do uwierzenia — czyż nie godziło się jednak Panom Referentom mieć więcej miłości dla sprawy sztuki w kraju, czyż nie godziło się być ostrożniejszym?

[Kraków] 2/1 873.

XIX.

Dnia 27. Sierpnia 1880.

Szanowny Kolego!

Pociesza mnie to bardzo, że interesujesz się pracami mojemi, że oko Twoje, dusza, niezaciemnione zostały tym realnym kierunkiem, jaki się dzisiaj objawia w sztuce. Gdzie figura w obrazie, aby tylko dobrze zmodelowana podług natury, już jest dostateczną, aby obraz stanowiła. — Porzucili wszystkie bogate treścią i myślą temata. — W głowach ich i sercu jakaś zimnota. Imaginacya przygnieciona sprawą codzienną, dusze bez egzaltacyi. — Chęć zysku przeważa we wszystkiem. — Ta choroba wszystkich ogarnęła — rozprawiają wszędzie o sztuce w ogóle, a ledwie tysiączny coś nabywa. — To, co widzisz w moich pracach, jest to zabytkiem czasów po-Mickiewiczowskich. — Jak mogłem wywiązałem się w moim Konradzie, któren się Wam podobno podobał. — Miałem wiadomość od Fabiańskich, że podobno pragniecie go nabyć i reprodukować. Scena ta z Konrada przez nikogo tu w obrazie nie była traktowaną, oprócz przezemnie, a zatem z korzyścią dla Towarzystwa waszego przypadnie. — Tylko nie wymagajcie, abym wiele spuścił z ceny. — Zresztą zadecydujcie, co ostatecznie dać możecie — abym wiedział, jak postąpić. — Będąc na wsi odebrałem tę wiadomość od Fabiańskich, odpisałem pobieżnie na ręce Towarzystwa Sztuk waszego — dość pobieżnie. — Odpowiedź z waszej strony będzie mnie szukać i już nie znajdzie, bo jestem obecnie w Warszawie. Pospieszam zatem i proszę, abyście mi dali odpowiedź, adresując do Warszawy, Ulica „Chmielna" Nr. 5-ty. Dziwię się, że ktoś z amatorów nie zajął się „Toastem", ten obraz przecież pokaźny, starannie opracowany, przy prostocie swojej ma pewien powab i obyczaje nasze uwydatnia — i nie jest tak drogi. — Ale to już do Ciebie, Panie Franciszku, nie należy, Twoje dobre chęci są już objawione, a daj Boże, abyśmy zawsze zobopólnie byli z siebie zadowoleni i stosunek nasz koleżeństwa podtrzymali, o ile się da.

Całuję cię serdecznie i będę się starał, aby do Was tak kiedyś przyjechać. Gdzie bawią obecnie Fabiańscy, nie wiem napewno, ukłony im zasyłam.

F. Sypniewski.

Ulica Chmielna Nr. 5 w Warszawie.

XX.

Busk 28/8, 881.

Mój zacny i kochany Kolego!

Pisałem do Ciebie na początku b. m., a nie otrzymawszy odpowiedzi łaskawej z Twej strony, ośmielam się drugi raz nadużyć Twojej cierpliwości. — Zapewne jeszcze nie wykończyłeś Akwareli do Album — i to zapewne wstrzymuje Cię od nadesłania mi wiadomości, co się stało z moim obrazem — Cierpiącym Chrystusem? — któren Twojej łaskawej powierzyłem opiece. — Drugi teraz nadesłałem obraz „Wesele ruskie w okolicy Buska" — przesłałem go na ręce P. Hawranka, dlatego, że mi ram do niego potrzeba. — Proszę Cię, bądź łaskaw, zobacz go i umieść na Wystawie.

Ja tych wszystkich Panów nie znam, dlatego Ciebie mój poczciwy i zacny Kolego proszę, abyś był łaskawym przewodniczyć i popierać moją sprawę, za co może Bóg dobry da, że Ci się odwdzięczę. — Oczekując Twojej odpowiedzi — Ściskam Cię z całego serca po Koleżeńsku,

Konrad v. d. Coghen.

XXI.

Stwierdzam niniejszem że:

znajdując się w czwartek 19. Października b. r. w pracowni Pana Franciszka Tepy, artysty malarza, zastałem obraz Jego (akwarela — portret ś. p. ojca autora) powracający z wystawy w Przemyślu, a który w tejże chwili został był rozpakowanym, w najokropniejszym stanie zniszczenia.

Szkło grube szlifowane, pokrywające jedną całą szybą obraz, znalazło się stłuczonem, wskutek czego obraz został gęsto porysowany i cięty, mianowicie:

1) przy zewnętrznym kąciku i pod jaskinią prawego oka dwa[!] szramy;

2) na nosie długi rys;

3) na czole kilka cięć;

4) koło brody również, tudzież niemało popsutych miejsc na tle i ubraniu.

Widziawszy tenże sam obraz poprzednio u Pana Tepy, jakoteż na samej wystawie w Przemyślu, w stanie zupełnie nienaruszonym, łatwo mi było osądzić — stan uszkodzenia po jego powrocie z wy-

stawy; — Przyczynę zniszczenia należy szukać w złym i niestosownym sposobie opakowania onegoż obrazu przy odsyłce; śruby przytrzymujące wieko do paki, zostały wbijane młotkiem, co, zważywszy, że w pace znajdował się obraz pokryty szkłem, jest nie do pojęcia, i nie do uniewinnienia. Specymen tych młotkiem wbijanych śrub widziałem.

Nie mogę również nie wspomnieć, że rama i złocone passepartout, w wielu miejscach poniszczone, i że akwarela niechybnieby poszła była w kawałki, gdyby nie okoliczność, że papier jest przylepionym na desce.

Jestem gotów w każdej chwili potwierdzić to wszystko ustnem zeznaniem.

Paweł Merwart
artysta malarz[1]).

Lwów, dnia 19-go Października 1882.

XXII.

Paris. 13 Avenue Trochot.

Piątek 17. 11. 82.

Kochany mój mistrzu!

Spodziewam się, że Cię ten list zastanie przy dobrem zdrowiu i wesołym humorze.

Mój humor trochę zwichnięty; poniosłem stratę znaczną w fotografiach, szkicach i rysunkach, gdyż w Bruxelli skradziono mi kuferek, w ostatniej chwili wyjazdu. Drugą jeszcze mam przykrość: w czasie mej podróży nie doglądnięto czasu, i wysyłki do Rzymu zastałem w mej pracowni: więc przepadło, bo już termin minął. — Szczęście, że dużo mając do roboty, niewiele mam czasu myśleć o tem.

Jak ci się rama podobała: pojmujesz że niecierpliwy jestem dowiedzieć się o tem, czym się z gustem i ekonomią z zadania wywiązał.

Espérons que tout est pour le mieux, i że — szczęśliwszy odemnie — mogłeś na czas odesłać obrazy do Rzymu.

---

[1]) Poświadczenie to, spisane na zwykłym papierze listowym, przechowywał Tepa wraz z resztą korespondencyi. Jakkolwiek więc to do korespondencyi, ściśle wziąwszy, nie należy, umieszczam i tę pamiątkę po Merwarcie, zwłaszcza, że zawiera ciekawą wiadomość, dotyczącą chef d'oeuvre'u F. Tepy, tj. portretu ojca (obecnie w posiadaniu Michała Hr. Baworowskiego w Sorocku).

Czy jest co nowego we Lwowie, jak Ci zdrowie służy, i jak się wiedzie przyjaciołom, wszystko to są pytania, na które z przyjacielską niecierpliwością oczekuję miłej odpowiedzi.

Pozdrów łaskawie odemnie wspólnych przyjaciół, i przyjm Kochany mój mistrzu, serdeczny uścisk od wiernego

przyjaciela.

Paweł Merwart.

Hrabstwu Dzieduszyckim proszę przedłożyć wyrazy czci i poważania; straconą akwarelę drugi raz muszę zrobić — i zrobię.

XXIII.

Wien, den 24/12, 1883.

Hochverehrter Freund!

Verzeihen Sie, dass ich so lange versäumte, Ihren werthen Brief zu beantworten — doch bin ich so sehr in Anspruch genommen, dass es mir fast unmöglich war den Herrn Hofrath Exner aufzusuchen. Neulich sah ich das Bild; es ist unstreitig ein echter Lampi, doch ist dieser Meister überhaupt von zu geringer Bedeutung, als dass irgend [ein] Museum oder... Sammler nach solchem Besitze strebten.

Ihre freundliche Glückwünsche zu Weihnachten u. zum Neujahr auf das herzlichste erwiedernd, verbleibe ich Ihr stets aufrichtig ergebener

D. Penther[1]).

[Przekład].

Wiedeń, dnia 24/12, 1883.

Wielce Szanowny Przyjacielu!

Wybacz Pan, że tak długo zwlekałem z odpowiedzią na cenny list Pański — ale byłem tak bardzo zajęty, iż niepodobieństwem prawie było dla mnie odszukać radcę dworu Exnera. Świeżo widziałem obraz; jest to bezsprzecznie autentyczny Lampi, lecz malarz

---

[1]) Daniel Penther (ur. we Lwowie 1837, zm. w Wiedniu 1887), portrecista, był w Wiedniu od r. 1881 kustoszem i konserwatorem Galeryi obrazów w Akademii Sztuk Pięknych. Słynął jako restaurator obrazów.

[mistrz] ten jest wogóle zbyt małego znaczenia, aby muzeum jakie lub... zbieracze ubiegali się o jego posiadanie.

Odwzajemniając się najserdeczniej za Pańskie uprzejme życzenia szczęścia z powodu świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku, zostaję Pańskim szczerze zawsze oddanym

D. Penther.

* * *

Podał do druku Mieczysław Treter.

Z korespondencyi Norblina.

(Listy Norblina, ks. A. Czartoryskiego, Kościuszki, Płońskiego, J. Krasińskiego).

Dwa najważniejsze listy J. P. Norblina ogłosił z archiwaliów domowych ks. Radziwiłłów w Nieborowie prof. Dr. Jerzy hr. Mycielski w Sprawozdaniach Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce (wydawn. Akad. Umiej.) Kraków 1900, T. VI, str. XCVII—XCVIII. Jest w nich mowa o jednym z głównych dzieł malarskich artysty, o suficie w Arkadyi pod Nieborowem i o pracach w Powązkach.

Listy mieszczące się w niniejszym zbiorku mogą być również ciekawe, gdyż zawierają także wzmianki o pracach artysty, nie powstałych co prawda w najdojrzalszej epoce twórczości, lecz należących do charakterystycznych jego utworów, częścią nieznanych. Pochodzą przeważnie z trzeciego okresu życia Norblina, po osiedleniu się we Francyi, stwierdzają ciągłość związków artysty z krajem naszym, szczególnie żywo utrzymywanych z domem ks. Czartoryskich, są wyrazem szczerego przywiązania do Polski i wzajemnej, pozostawionej po sobie sympatyi. O ile zaś odnoszą się tylko do stosunków życia rodzinnego Norblina w późniejszym wieku, lub spraw ściśle prywatnych, nie przestają budzić ciekawości z innych powodów. Listy Kościuszki, jeden pisany do żony artysty, drugi do niego samego, są interesującym rysem wpływu, jaki Kościuszko wywierał na współczesnych, wówczas gdy przestał brać udział w życiu publicznem, list zaś Michała Płońskiego do Norblina jest pierwszym dotychczas okazem korespondencyi tego znakomitego rysownika i rytownika, rzadkością wyjątkową, a oprócz tego, łącznie z odpowiedzią Norblina, maluje stosunek osobisty obydwóch artystów. Wreszcie ostatni, list Józefa Krasińskiego, taksamo nieobojętny ze względu na osobę korespondującego, potrąca znowu o prace Norblina i wprowadza w związek z nim jeszcze jedno nazwisko artystyczne, godne pamięci — Jakóba Sokołowskiego.

Wszystkie listy z wyjątkiem oznaczonych numerami I, II i IV są własnością prawnuka artysty po kądzieli p. Leona Gaucher'a, komendanta batalionu szaserów w Stenay we Francyi (dep. Meuse), który z niezrównaną uprzejmością pozwolił zrobić z nich odpisy celem ogłoszenia. Za to niechaj przyjmie z tego miejsca wyrazy najszczerszej podzięki.

W papierach rodzinnych, odziedziczonych przez p. Gauchera, mieszczą się jeszcze trzy listy niejakiego Poirsenot'a, księdza, nauczyciela języka francuskiego u Czartoryskich, pisane z Puław do Norblina w latach 1807 i 1808. O nich wystarczy tylko wspomnieć, bo dotyczą wyłącznie spraw

rodziny Norblina, mianowicie jego córki zamężnej Schatzfaierowej. Razem z tem dochowały się jeszcze w tem samem posiadaniu urywki korespondencyi drugiej żony Norblina od brata kupca w Wilnie z lat 1815—1824, oraz parę dokumentów jej i jej dzieci, które też mogą pozostać nieogłoszone.

List oznaczony numerem IV pochodzi z archiwum rodzinnego ks. Czartoryskich w Krakowie, gdzie się znajduje w rękopisie Nr. 23 wraz z dwoma innymi listami Norblina, datowanymi „Paris le 25 Decembre 1817" i „Paris le 1 Janvier 1819", nie zawierającymi jednak nic więcej jak tylko życzenia noworoczne, przesłane ks. Adamowi Czartoryskiemu, Generałowi Ziem Podolskich. Możność zrobienia wypisu z powyższego fascykułu zawdzięczam uprzejmemu pośrednictwu p. Bolesława Biskupskiego.

Dwa listy na czele umieszczone weszły do niniejszego zbioru drogą pośrednią — z rysunków. Norblin miał zwyczaj szkicować na wszystkiem co mu pod rękę wpadło, na świstkach, na czystej stronie listu, koperty, druku, aktu, rachunków, wypracowania kaligraficznego swych dzieci i t. p. Na odwrotnych stronach szkiców w albumie rysunków w Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie Nr. 386, spotyka się pismo różnych osób z nim korespondujących, czyta się urywki listu Jeuffroy z Opola 9 lipca 1795 (karta 19), najniezawodniej owego R.-V. Jeuffroy (* 1749 † 1826) gliptyka, pracującego przez pewien czas w Polsce dla Stanisława Augusta, a także autora jednego z portretów Norblina — urywki listu pisanego około r. 1804 z Pałacu Błękitnego przez Szymanowskiego, zapewne bratanka poety Józefa, (k. 49), — fragment listu adresowanego do Norblina do Paryża przez jakąś niewiadomą osobę z koła przyjaciół Aleksandra Orłowskiego (k. 51) — a tak samo w albumie rysunków Norblina w zbiorze ks. Witolda Czartoryskiego w Gołuchowie, kryje się początek listu od któregoś z ks. Poniatowskich z roku mniejwięcej 1795 (k. 42) i inne.

Mając odpisywać na listy Norblin wyrabiał często koncept na czystej stronie rysunku, lub też nie przebierając w papierze, rzucał szkice na niezapisanej stronie brulionów. Tym to okolicznościom zawdzięczamy dochowanie się listów Nr I i II. Pierwszy z nich mieści się w albumie „Maîtres polonais" w Gołuchowie na odwrocie szkicu sepią 24×34 cm., wyobrażającym scenę wojenną z roku 1794, drugi dwukrotnie w albumie Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, raz na rysunku przedstawiającym obozowisko żołnierskie (k. 33), powtórnie na odwrotnej stronie sąsiedniego rysunku z datą 1795, przedstawiającego wymarsz wojska z armatami.

Z wyjątkiem obydwóch listów do Norblinowej (Nry VI i VII) pisanych po polsku, wszystkie inne są francuskie. Formą wyróżnia się korzystniej tylko list Krasińskiego i to w przeciwstawieniu do reszty. Wykwintny artysta Norblin razi niezręcznością słowa i lekceważeniem formy literackiej. Pióro jego cechuje nadto osobliwa swoboda pisowni. Jeszcze niepoprawniejszą jest ortografia Płońskiego przy lichej francuszczyźnie.

Podając ściśle, bez zmian żadnych tekst każdego z listów, dołączam do francuskich przekład polski, ile możności wierny.

ZYGMUNT BATOWSKI.

I. — NORBLIN DO PRZYJACIELA W PARYŻU.

[Brulion bez adresu, miejsca i daty, z roku około 1795].

Monsieur & Ami.

Je profite de l'Ocasion du valet de chambre de Monsieur Deschorches pour minformer de l'etat de votre Santé et pour vous prier de me rendre un service, depuis 7 ans n'ayant aucune nouvelle, de mes peres meres ni parans ayant ecrit et comme vous savez que tout est intercépté Je madresse à vous en vous priant de faire quelques informations sur mes parens Si vous vouliez bien passer chez un oncle, qui doit s'il est encore en vie demeure a sa maison rue du nouveau marché St. Nicolas des champs au coin de la rue philipeaux quartier dtemple Je ne sais si tous ces noms existent encore, ensuite on dit que les français ne peuvent point rentrer en France mais je crois que cela ne setand qu' aux emigrés moi qui suis depuis 20 ans en Pologne est-ce que la loi setand jusque sur moi je puis en donner temoiage par mes pasports j'aurais des affaires à arranger en France Je vous prirais de me faire reponse sur les moyens que je pourais faire le voyage de france ensuite vous m'avez connu. Je vous prirais de m'écrire et me dire votre facon de penser la dessus. Sil etait

Kochany Panie i Przyjacielu!

Korzystam z okazyi pokojowego Pana Deschorches(?) [1] ażeby się dowiedzieć o stanie Pańskiego zdrowia i ażeby Pana prosić o pewną przysługę. Ponieważ od 7 lat nie mam żadnej wiadomości ani o moich rodzicach ani krewnych, chociaż pisałem, i ponieważ, jak Panu wiadomo, wszystko zostało przejęte w drodze, zwracam się do Pana z prośbą o niektóre informacye o moich krewnych. Gdyby też Pan zechciał zajść do jednego z wujów, który, jeżeli jeszcze żyje, pewnie mieszka w swoim domu przy ulicy nowego targu St. Nicolas des Champs na rogu ulicy Philipeaux, w dzielnicy Temple. Nie wiem, czy wszystkie te nazwy jeszcze istnieją; potem mówią, że Francuzi nie mogą wcale wracać do Francyi, lecz sądzę, że to się odnosi tylko do emigrantów. Czyż prawo miało by się rozciągać aż na mnie, który od 20 lat jestem w Polsce. Mogę to zaświadczyć moimi paszportami. Miałbym pewne sprawy uporządkować we Francyi. Prosiłbym Pana wskazać mi w odpowiedzi, w jaki sposób mógłbym odbyć podróż do Francyi, — na tyle mię Pan poznał. W tym względzie prosiłbym Pana

[1] Może Descorches (Marie Louis Henri, marquis de Ste Croix), minister pełnomocny francuski w Polsce w latach 1791—2.

possible d'avoir un passeport qui peut me parvenir par la Suisse car je prendrai ma routte s'il etait possible par ce chemin ou instruiser moi que je pourais pratiquer pour cette affaire enfin si cela ne se peu, faite le moi savoir par un petit mot par le moyen du valet de chambre de M. D.

o napisanie mi i powiedzenie swego zapatrywania. Gdyby tak mieć paszport, który może dojść do mnie przez Szwajcaryą! zamierzam bowiem obrać drogę tamtędy, jeżeli by to było możliwem, albo niech mi Pan da wskazówki, jak mam chodzić koło tej sprawy, wreszcie jeżeli to być nie może, donieś mi Pan o tem słówkiem przez pokojowego p. D.

[Urywa się na tem, reszta strony niezapisana].

II. — NORBLIN DO KS. ADAMA CZARTORYSKIEGO GEN. ZIEM. POD. (?)

[Brulion bez adresu i bliższej daty, z roku 1795].

Mon prince.

Selon ce que vous m' aves ordonné j'ai fini les deux dessins du trois may et de dix sept Avril. J'ai fait remettre le premier comme vous m' avies dit au Jardin de Saxe a Monsieur le General Kaminiecky et il m'a satisfait. Pour le second il i à un mois et plus qu' il est fini. J'ai passé ches Monsieur Kaminiecky pour lui remettre, ainsi que le premier. Mais il m'a

Mości Książę!

Stosownie do polecenia JOKsięcia skończyłem dwa rysunki Trzeciego Maja[1] i Siedmnastego Kwietnia[2]. Pierwszy odesłałem, jak mi JOKsiążę powiedział, do Ogrodu Saskiego[3], Panu Generałowi Kamienieckiemu[4] i on mi zapłacił. Co się tyczy drugiego to jest już skończony więcej niż od miesiąca. Udałem się do Pana Kamienieckiego, by mu go oddać, tak jak

---

[1] Ogłoszenie Konstytucyi 3-go Maja 1791, rys. sepią. w.: $53^1/_2 \times 76$ cm., podp. *Le 3 Mai 1791* w posiadaniu Zofii hr. Zamoyskiej w Wysocku pod Jarosławiem.

[2] Wybuch powstania w Warszawie 17-go kwietnia 1794, rys. sepią w.: $53^1|_2 \times 75$ cm., podp. *Le 17 Avril 1794* i oznacz. *Norblin f. 1795* — tamże.

[3] Mowa o Pałacu Błękitnym ks. Czartoryskich, graniczącym z Ogrodem Saskim. — Z powodu braku interpunkcyi nie jest wykluczonem również tłómaczenie: „...jak mi JOKsiąże powiedział w Ogrodzie Saskim". Wówczas nie musiałby wchodzić w grę Pałac Błękitny i list odnosiłby się może do ks. Józefa Poniatowskiego.

[4] Ludwik K., z porucznika kapitan pułku pieszego Potockich 1785 r., generał major wojsk koronnych 1794 r. [Boniecki, Herbarz polski IX, 183] na ostatku, w służbie Księstwa Warszawskiego, adjutant ks. Józefa Poniatowskiego.

dit qu' il n'avoit pas d'ordres; et qu' il vous écrirais, mon Prince, pour en avoir. Je ne sais s'il s'est acquité de sa parolle. J'ai été ches lui, et qu' il n'est pas à Varsovie, je prend la libertè de vous ecrire mon Prince, pour que Monsieur le General Kaminiecky selon vos ordres puisse me donner de l'argent, car Mon Prince j'en ai un grand Besoin, excuses moi mon Prince si je vous suis importum mais vous savez la situation on nous sommes.

Varsovie le 18. Agust.

J'ai l'honneur d'etre mon Prince votre tres humble et obeissant serviteur Norblin.

pierwszy, lecz mi powiedział, że nie ma zleceń i że napisze do JOKsięcia po nie. Nie wiem, czy się wywiązał ze swego słowa. Byłem u niego, ale ponieważ niema go w Warszawie, ośmielam się pisać do JOKsięcia, aby Pan Generał Kamieniecki stosownie do polecenia JOKsięcia mógł mi dać pieniądze, ponieważ, Mości Książę, bardzo ich potrzebuję. Niech mi JOKsiążę wybaczy, jeżeli mu się naprzykrzam, lecz JOKsiąże zna położenie, w którem jesteśmy.

Warszawa 18. Sierpnia.

Mam zaszczyt być JOKsięcia najniższym i powolnym sługą

Norblin.

III. — KS. ADAM CZARTORYSKI GEN. ZIEM POD. DO NORBLINA.

3. Juillet 1806. Puławy.

C'est le 2. de Juillet que j'ay reçu mon Cher Norbelin votre lettre du 22. Mars, ce desordre des Postes est une chose vrayment desolante; je ne laisse jamais croitre l'herbe sur le sentier de l'amitié j'aime a vivre dans le souvenir de ceux que j'estime et que j'affectione comme vous; vous me dites mon Cher Norbelin qu'il faut que la chevre broute la ou elle est attachée, tous vos amis tous ceux qui savent apprecier et vos qualités & un talent aussi distingué, seroient bien aise de voir venir la che-

3. Lipca 1806. Puławy.

Dopiero dnia 2. Lipca otrzymałem, Mój Kochany Norblin, Pański list z 22. Marca. Ten nieporządek na pocztach jest prawdziwem utrapieniem. Nie pozwalam nigdy róść trawie na ścieżce przyjaźni, lubię żyć wspomnieniem tych, których szanuję i darzę sympatyą, jak Pana. Mówisz mi Pan, Mój Kochany Norblin, że koza musi tam szczypać trawę, gdzie ją przywiązano. Wszyscy Pańscy przyjaciele, wszyscy ci, którzy umieją cenić i Pańskie zalety i talent równie znakomity, byliby bardzo radzi,

vre rebrouter parmi eux, M[e] Dembowska m'a parlée des vuës de Puławy que vous avez dessinées, et du prix de 300 # Ducats que vous y avez mis; je desire en faire l'acquisition et au cas que cela vous convienne j'attendrai votre reponse, si vous acceptez la proposition vous acheminerez les dessins par la diligence les addressant a Varsovie a M[r] Boczkowski Commissaire du Pr C. a Varsovie au Palais Bleu et le Comptoir de Berneaux vous feroit éscompter les trois cent Ducats, vous me parlez d'un dessein que vous avez entrepris compter vous le mettre en Tableau, resterat'il en dessein, quel sera le prix de l'un ou de l'autre, nous devons etre touchés de l'affection que vous conservez pour notre Nation. Adieu cher Norbelin, je vous embrasse de bien bon Coeur. bien des amitiés a vos Enfants.

gdyby widzieli kozę pasącą się napowrót pomiędzy nimi. Pani Dembowska[1] mówiła mi o widokach Puław[2], któreś Pan wyrysował i o cenie 300 # dukatów, którą Pan na nie naznaczył. Pragnę je nabyć i na wypadek, gdyby się Pan na to godził, będę oczekiwał Pańskiej odpowiedzi. Jeżeli Pan przyjmuje propozycyę, wyszle Pan rysunki dyliżansem do Warszawy pod adresem pana Boczkowskiego, pełnomocnika ks. Czartoryskiego w Warszawie w Pałacu Błękitnym, a kantor Berneaux wypłaci Panu trzysta dukatów. Mówi mi Pan o rysunku, który Pan przedsięwziął zrobić. Zamierza Pan przenieść go w obraz, czy też zostanie rysunkiem? Jaka będzie cena jednego względnie drugiego? Uczucie, jakie Pan zachowujesz dla naszego narodu, musi nas wzruszyć. Bywaj zdrów, Kochany Norblin, ściskam Pana z całego serca. Wyrazy przyjaźni Pańskim dzieciom.

[Bez podpisu i adresu].

IV.—NORBLIN DO KS. ADAMA CZARTORYSKIEGO G. Z. P.

Provins le 7. Decembre 1806.

Monseigneur

Voules vous me permettre en le commencement d'année de vous

Provins 7. Grudnia 1806.

Zechce mi JOKsiąże pozwolić bym na początku roku złożył ży-

[1] Konstancya z Narbuttów, żona Józefa D., b. rotmistrza Kawaleryi narodowej, matka Leona autora pamiętników, wychowanica i przyjaciółka ks. Izabeli Czartoryskiej.

[2] Utwory trudne do zidentyfikowania z podobnemi znanemi kompozycyami Norblina, stanowią prawdopodobnie osobną, nową pracę, poza seryą widoków Puławskich z lat 1802—1804, znajdującą się w Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie.

souhêter tout ce qui peut vous êstre agréable. J'y joint la santé et le contentement de LEsprit et de vouloir toujours me continuer votre bonne facon de penser a mon Egard. Je fere toujours mon possible pour m'en rendre digne. Jai Envoyé selon que vous m'avies marqué les vues de Puław, mais comme je les ais fait partir selon que Votre Altesse m'avais marqué par berlin pour warsovie á Mr Boszkowskij. Je le ai mis a la diligence le 3. Octobre on ne s attendais pas á la guerre et ma foy! je crois quil seront resté dans quelque bureau de Poste si vous ne les aves pas recus jespere pourtant que V. A. les recevra Jai eu l'honneur decrire a Votre Altesse dans l Envelope de M. Boszkowskij. Je ne sais sy ma lettre vous sera parvenue car comme cetais par la prusse la guerre interrompant toutte communication la lettre sera peut-estre perdue cetais pour vous faire savoir que les dessins etoient partis. On dit icy que le Royaume de Pologne va reparaitre sur la scene du monde j'en suis on ne peu plus content pour la Nation Polonoise qui ne meritais pas la defaveur que lui avait fait le Destin. au moins sy elle reprend sa splendeur cela ferá plaisir a tout ce que l'Europe a d'honêstes gens. pensans bien. Cest encore une crise mais que faire! Cest la Matiere qui suis les loix du mouvement et qui donne au commencement de ce siecle

czenia wszystkiego co JOKsięciu może być przyjemne. Do tego dołączam zdrowie i zadowolenie duchowe i prośbę, by JOKsiążę zechciał zawsze zachowywać swoją łaskawą życzliwość względem mnie. Zrobię co w mojej mocy, aby się okazać tego godnym. Posłałem widoki Puław wedle tego jak mi JOKsiążę naznaczył, ale ponieważ wyprawiłem je w drogę wedle tego jak mi Wasza Książęca Mość naznaczył przez Berlin do Warszawy do p. Boczkowskiego. Oddałem je do dyliżansu 3. Października, kiedy nie spodziewano się wojny i zaiste mniemam, że pewnie zalegają gdzieś na poczcie, jeżeli ich JOKsiążę nie otrzymał. Spodziewam się jednak, że W. Ks. Mość je otrzyma. Miałem zaszczyt pisać do Waszej Książęcej Mości w kopercie adresowanej do p. Boczkowskiego. Nie wiem czy mój list doszedł do JOKsięcia, skoro bowiem szło przez Prusy, a wojna przerwała wszelką komunikacyę, może być, że list zginął. Było tam doniesienie JOKsięciu, że rysunki odeszły. — Mówią tutaj, że Królestwo Polskie niebawem zjawi się znowu na widowni świata. Jestem z tego, jak nikt bardziej, zadowolony ze względu na naród Polski, który nie zasługiwał na tę niełaskę losu. Przynajmniej, jeżeli odzyska swą świetność, sprawi to przyjemność wszystkim w Europie uczciwym i dobrze myślącym ludziom. Jestto jeszcze przesilenie, ale cóż

une suitte d'Evénements dont il será parlé — Eternellement ce sont des choses a ne pas croire! cela fait croire à une Justice distributive qui chatie les souverais aussi bien que les individus en attendant on souffre mais il faudra bien que la paix vienne a la fin! Car tout le monde soufre et sur tout le commerce mais quand cela sera finy il faux Esperer que nos enfants seront heureux Je finis en me recommand toujours a votre bon souvenir et suis Monseigneur de Votre Altesse le tres humble et obeissant serviteur

Norblin.

robić! Jestto przedmiot, który stosuje się do praw ruchu i który z początkiem tego wieku sprowadza szereg zdarzeń, o których będzie się mówiło — wiecznie! to są rzeczy nie do uwierzenia! to każe nam wierzyć w jakąś sprawiedliwość rozdzielającą, która karze tak samo panujących, jak i jednostki. Tymczasem cierpi się, ale pokój w końcu musi nastąpić! ponieważ cały świat cierpi a nadewszystko handel. Lecz kiedy to się skończy, spodziewajmy się, że nasze dzieci będą szczęśliwe. Kończę, polecając się zawsze łaskawej pamięci JOKsięcia i pozostaję Mości Książę Waszej Książęcej Mości najniższym i powolnym sługą Norblin.

V. — KS. ADAM CZARTORYSKI, G. Z. P. DO NORBLINA.

le 1. de May 1808. Vienne.

Je serois bien faché mon Cher Norbelin si vous pouviez penser que c'est par oubli ou par négligence que j'ay eté si longtems sans vous ecrire, je vous avoue que cela m'a même fort inquieté, mais des deplacements continuels d'un endroit plus hors de communication sure l'un que l'autre, en ont été l'unique cause. Cette Lettre vous sera remise par le Chef d'Office de mon gendre le Comte Zamoyski, le Sr Marc, un galant homme, & qui aura soin de la reponse que vous luy donnerez,

1. Maja 1808. Wiedeń.

Przykroby mi było bardzo, Mój Kochany Norblin, gdybyś Pan mógł myśleć, że przez zapomnienie lub przez niedbalstwo nie pisałem tak długo do Pana. Wyznaję, że to mię samego wielce niepokoiło, lecz ustawiczne ruszanie się z jednego miejsca w drugie, nadto brak pewnej komunikacyi — i jedno i drugie było tego wyłączną przyczyną. List ten wręczy Panu główny sekretarz mojego zięcia Hrabiego Zamoyskiego Imć Pan Marc, człowiek na miejscu, a który też będzie miał pieczę nad odpowiedzią, jaką mu

envoyez moy le compte de ce que je vous dois que je ferai solder sur l'heure; et le prix du Dessin de la Diete de 88. aynsi que des details sur le tems & les moyens de me le faire parvenir. Adieu mon Cher Norbelin croyez a la certitude de mon Estime & de mon amitié pour vous

A: Czartorijski.

Pan da. Przyszlij mi Pan rachunek tego, co jestem Panu winien, a co zapłacę natychmiast; oraz cenę rysunku Sejmu z 88[1], jako też szczegóły w jakim czasie i w jaki sposób mógłby mi je Pan przysłać. Bywaj zdrów, Mój Kochany Norblin, wierz Pan w pewność mojego szacunku i mojej przyjaźni dla Pana A. Czartoryski.

A Monsieur Monsieur Pierre Norbelin

[Bez miejsca].

VI. — KS. ADAM CZARTORYSKI, G. Z. P. DO MARYANNY Z KOPSCHÓW NORBLINOWEJ, DRUGIEJ ŻONY ARTYSTY.

1. Lipca. 1806 z Puław

List dobrey Polki, i wysmienicie wrodowitym swym Języku pisany odebrałem zukontentowaniem wdzięczen jey jestem za ufność we mnie pokładaną, każdy w naszym kraju radby widział przywiązaną do Narodu swego obywatelkę powracającą do kraju swego zkochanym i szacowanym wnim mężem, czego zycząc zostawam zPrzyjaznią i Szacunkiem WMMPani Szczerze zycżliwym Bratem i sługą

A: X: Czartorijski.

A Madame Madame Norblin a Provins.

VII. — TADEUSZ KOŚCIUSZKO DO TEJŻE.

[Bez miejsca i daty. Pisany albo z Paryża albo z Berville (we Francyi) około 1806].

Madame

Odebrałem dwa listy od niey wiednym żądaniu, podług iey żądania starałem się uczynić iey przysługe. ale znalazłem przeszkody iXięzna nie mozetego uczynić, pozwol pani abym dał iey moie uwagi przychilne iak zawsze dla moich ziomków. prosze tylko z zimno krwią rozwazyc iprzez czas nieiaki. Nayprzod młodo iestes nieszpetno, miłą.

---

[1] Mowa o nieznanym utworze przedstawiającym Sejm Czteroletni [1788 r.].

przyday ieszcze do tego słodycz humory, cierpliwość, aco koniecznie potrzeba do pozycia dobrego a zapewnie zniewolisz serce twego Męza tak ze ty sama dyrygować im możesz winteressach familli iak on przekonanym będzie zePani stara się opowiększenie sposobow do uszczęśliwienia iego i familii waszey. tak zapewne zaufanie iego ziednasz dla siebie ale potrzeba zaniechac kaprysy, lubienie stroiow, kompanie, balow, gdyż miedzy nami mowiąc oiednych twych dzieciach i oswym Męzu myślic powinaś Pani. zgadzam się ze twoy wiek żąda wesołosci, ale zacosz masz odalac od spułkowania twego Męza owszem staray się mu dogadzac wewszystkim i wzłym humorze nawet. gdziesz znaydziesz osobe bez ale, to iest bez wad. widziałem Małzęstwo naykłutliwsze z początku za moią rado iak Dama zaczeła cierpliwością i słodyczą uskramiac imped niepomiarkowany Męza a iakiego ieszcze ze nikt w domu mu dogodzic nie mogł zczasem przysła do tego ze w kazdey okolicznosci radził się iey i zniego anioła zrobiła dla wszytkich. Cierpliwosc iuleganie potrafi ułatwic niepodobne rzeczy. Radze tedy Pani ziednac [u] niego dla siebie zaufanie, iezeli iest skąpym dogodzic mu wtey mierze. i skromno bydz [w] wydatkach, starac się wgospodarstwie waszym bydz czynno i przewidywac żądanie iego — a obaczysz ze zczasem będziecie dobrze i ciebie szczyrze kochac będzie, masz Pani dzieci zaprządnąc się powinas onich iestes Matką czułość dla nich bydz powinna zNatury wielka, niech ieybędzie staraniem pierwszym i z ukontentowaniem widocznym przypodobać się Mężowi i zaspac dzieci na łonie swoim macierzymskim — Nic nierob dla oka drugich, szczęscie twoie zalizy od wnętrznego obchodzenia się. Ze wszystkie Damy wypiętrzone i szukaiące wesołosci wierz mie nakoniec staią sie nieszczęsliwe i wruznych umieraią martwieniach wielkich. wielebym mogł dodac do przekonania obchodzeniasię z cierpliwoscią iak naywiększą z początku ale czasu nie mam bądz zdrowa T Kosciuszko.

à Madame Madame Norblin a Provins a la ville haute
Departement de Seine et Marne.

VIII. — KOŚCIUSZKO DO NORBLINA.

[Bez adresu, miejsca i daty — współczesny z poprzednim.]

Monsieur
Madame votre Epouse arivant à Paris est venue me voir pour

Żona Pańska przybywszy do Paryża odwiedziła mię dla zasięgnięcia porady, jak ma postąpić,

consulter comment elle doit agir pour assurer son sort, si elle va en Pologne. Je lui ai conseiller de rétourner che vous de vous engager a lui donner par écrit une pension que vous lui prometez, sufisante cependant la la nourir et Jéspere que vous comme un home d'honeur fairez toute la justice qu'elle demande. Pardonez moi si je prends qué que part a la reussite pour elle il est naturel de souhaiter à ses Compatriotes agreez ma Consideration avec un Estime

T. Kościuszko

aby zapewnić sobie los, jeżeli uda się do Polski. Radziłem jej, ażeby powróciła do Pana i zobowiązała Pana do dania jej na piśmie pensyi, jaką jej Pan przyrzeka, byleby jednak była wystarczająca do jej wyżywienia. Spodziewam się, że Pan jako człowiek honorowy postąpi zupełnie sprawiedliwie, tak jak się ona domaga. Wybacz Pan jeżeli zajmuję się tem cokolwiek by sprawa się dla niej powiodła, jestto rzeczą naturalną życzyć dobrze swoim ziomkom. Przyjmij Pan moje poważanie z szacunkiem T. Kościuszko.

[Reszta papieru zapisana konceptem odpowiedzi Norblina — list IX.]

IX. — NORBLIN DO KOŚCIUSZKI.

[Brulion na liście Kościuszki; pisany ołówkiem, a poprawiany i uzupełniany atramentem.]

Monsieur.

Jai des ja dit a ma femme ce que je puis lui donner Sy elle ne veux pas rester ou je suis [To wszystko przekreślone, a nad tem napisana poprawka: ma femme ne voulant pas rester ou j'abitte] J'en suis faché le devoir d'une femme est de rester avec son mari Sy elle ne veux pas ce n'est pas moi qui la renvoye Car sy je voulais elle serais bien obligé de rester chez moi et ce n'est que par complaisance pour son caprice que je lui ay accorde de s'en aller apres lui avoir dit ce que je lui donnerais. Je sais quelle me donne des torts mais le plus grand cest de n'avoir

(Już powiedziałem mojej żonie, co ja jej mogę dać. Jeżeli nie chce zostać tam gdzie ja jestem, jest mi to bardzo przykro.) — Ponieważ żona moja nie chce tam zostać gdzie ja mieszkam jest mi to bardzo przykro. Obowiązkiem żony jest zostać przy mężu. Jeżeli ona nie chce, to ja jej nie odsyłam, ponieważ gdybym chciał byłaby zmuszoną zostać u mnie i tylko przez uprzejmość dla jej zachcianki przystałem na to, aby sobie pojechała, powiedziawszy jej, co jej będę dawał. Wiem, że ona wyrządza mi krzywdę, ale największą jest to, że niemam 10000 dukatów dochodu i że sądziłbym,

pas 10000 # de revenú et je [crois przekreślone] croyarais que le mieux qu'elle a afaire Serais de suivre le conseil que vous lui aves donné Je ne ——— Je ne fais pas l'ecrit ce que jai dit je le tiendré et lui feré passer a varsovie la pension que je veux bien lui faire, Jai l'honneur.

iż najlepszą rzeczą dla niej byłoby pójść za radą, którą jej Pan udzielił. Nie daję pisma. To co powiedziałem dotrzymam i przekażę jej do Warszawy pensyą, którą chcę istotnie jej wypłacać. Mam zaszczyt i t. d.

X.—MICHAŁ PŁOŃSKI DO NORBLINA.

Monsieur.

Je vous ecrie dans l'interai de l'argent que je vous doit, le quell je preté de vous etant la seconde foi a Paris le vingt pieces de Cent et un sou, et en liar, qui font la Somme total Cent et un Franc e vingt Liar. Comme dans cet moment je suis en etat de vous le payer, je voudrai savoir par quell moien sur ce l'argent la vous faire parvenir, la deçu je m en adresse a vous et en meme tens je vous ecri la difficulte que je epruvé en ça, que comme je suis in certain de resté ici, e que je ne suis sur si je pourai recevoir de vous en reçu, sur le dit Somme, et que perssome de ma famille ne ce trove a Varsovie a qui je pourai lessez la Comission, j'emrai mieux plus tôt que cela ce pourai arange d'en autre façon, que vous m'en voyez l'adresse a quelquen d'ici de vos amis, ou de vos connaissance, a le quell je pourai remettre le dit Somme cela mais pourai facilité beaucoupe,

Piszę w sprawie pieniędzy, które winienem Panu, które pożyczyłem od Pana będąc za drugim razem w Paryżu, dwadzieścia sztuk po sto *sou*, tyleż po jednem *sou* i po jednym *liardzie*, które czynią sumę ogólną 101 franków i 20 liardów. Ponieważ w tej chwili jestem w możności zapłacić je Panu, chciałbym wiedzieć w jaki sposób pewny posłać Panu te pieniądze. W tym względzie zdaję się na Pana ale równocześnie donoszę o trudnościach, które w tem napotykam, jako że jestem niepewny pozostania tutaj że nie jestem upewniony czy będę mógł odebrać od Pana kwit na rzeczoną sumę i że nikt z mojej rodziny nie znajduje się w Warszawie, komu bym mógł zostawić upoważnienie. Wolałbym raczej, aby to można załatwić w inny sposób, ażeby mi Pan przysłał adres którego z tutejszych swoich przyjaciół albo, znajomych, któremu bym mógł wręczyć rzeczoną sumę. To mo-

la de çu je vous prie de pensé serieusment, et de mais donné de vos nouvelles les plus tôt qu'il vous é possible, sou l'Adresse, a Mr Plonski, loge na Rynku Nowego Miasta między Franciszkanamy y Panną Marią pod No 356. w kamienicy Łapinskiego. je vous salu Plonski

Varsovie le 18 Aprill 1810.

gło by mi bardzo ułatwić. Co się tyczy tej rzeczy, proszę Pana myśleć o tem poważnie i dać mi wiadomość możliwie jak najrychlej pod adresem: Płoński zamieszkały na Rynku Nowego Miasta między Franciszkanamy y Panną Marią pod No 356 w kamienicy Łapinskiego. Pozdrawiam Pana

Płoński.

Warszawa 18. kwietnia 1810.

a Monsieur Norblin le Pere a Paris [bez ulicy]

[Pod spodem na resztce czystego miejsca, brulion odpowiedzi Norblina — list XI.]

XI. -- NORBLIN DO MICHAŁA PŁOŃSKIEGO.

[Brulion, pisany na poprzednim liście.]

repondu le 8 may 1810.

Mon cher Plonsky

Jai recu votre du 18 avril sous le couvert de marcinek comme vous estes dans l'intention de me rendre le peu d'argent que je vous ai prêté, vous n'aves qu'a le remettre au pere de Zieir dont je vous envoye l'adresse vous en prendrés la reconnaissance et vous me l'anvaires dans la reponsse que vous me feres a ce suget et cela será finy Jespere que vous portes bien et que la raison vous est revenüe Songes à profiter d'un proverbe qui dit pierre qui roulle n'amasse jamais mousse Jespere que votre santé est bonne.

odpowiedź dana 8 maja 1810

Mój Kochany Płoński!

Otrzymałem Pański list z 18. kwietnia pod kopertą Marcinka[1] Ponieważ ma Pan zamiar zwrócić mi tych trochę pieniędzy, które Panu pożyczyłem, niech je Pan poprostu odda Ojcu Zieira, którego adres Panu posyłam. Niech Pan weźmie stamtąd potwierdzenie odbioru i niech mi je Pan przyszle w odpowiedzi, którą mi Pan da w tym przedmiocie — i będzie koniec. Spodziewam się że ma się Pan dobrze i że Pan znów wrócił do rozsądku. Pamiętaj Pan korzystać z przysłowia, które mówi: kamień toczący się, nie zbiera nigdy mchu na sobie. Mam nadzieję, że Pańskie zdrowie jest dobre.

[Na odwrotnej stronie rachunki Norblina i szkic piórem głowy kobiecej w czepcu.]

[1] Marcin Norblin syn, muzyk; Płońskiego rówieśnik i współtowarzysz w nauce rysunków zanim się poświęcił muzyce.

XII. — JÓZEF KRASIŃSKI DO NORBLINA.

Varsovie le 28. Mars 1819.

Cher Monsieur Norblin

Vous rapellez Vous encor d'un certain Joseph Krasiński un de Vos elèves a Varsovie, tres mauvais ecolier, paraisseux et ne voulant rien apprendre et maintent marié et Pere de 5 enfants... eh bien c'est lui même qui Vous ecrit. J'ai vu avec un plaisir extrême, Cher Monsieur Norblin, votre charmante collection de costumes Polonois que Vous avez fait paroitre a Paris et que malheuresement il est impossible de trouver a Varsovie. Comme Votre Eleve et bien ancienne connoisence je prends la libertee de Vous en demander un examplaire par l'entremise de qui Vous voudrez a Varsovie a qui je m'empresserai de remettre tout de suite le montant. Jugez combien je dois avoire de confiance dans mon ancient Jnstituteur et ami puisque j'ose Vous envoyer en revange 9. Estampes dessinees et gravees par mon Ami Sokołowski, dont

Warszawa 28. Marca 1819.

Kochany Panie Norblin!

Czy przypomina Pan sobie jeszcze niejakiego Józefa Krasińskiego, jednego z Pańskich uczniów w Warszawie, bardzo lichego ucznia, leniwego i niechcącego się nic uczyć a obecnie żonatego i ojca 5 dzieci, otóż to ten sam, który pisze [1]. Oglądałem z nadzwyczajną przyjemnością, Kochany Panie Norblin, Pański śliczny Zbiór Ubiorów Polskich, który Pan wydał w Paryżu, a z którym niestety niemożliwem jest spotkać się w Warszawie [2]. Jako Pański uczeń i bardzo dawny znajomy, ośmielam się prosić Pana o egzemplarz przez pośrednictwo czyje Pan zechce w Warszawie, której to osobie pospieszę zwrócić natychmiast należytość. Osądź Pan, ile muszę mieć zaufania do mojego dawnego nauczyciela i przyjaciela, skoro odważam się posłać Panu w zamian 9 rycin rysowanych i rytowanych przez mego przyjaciela Sokołowskiego [3], z których 4 przed-

---

[1] Józef Wawrzyniec Krasiński * 1783 † 1845, „obożnic", wojskowy z czasów Księstwa Warszawskiego i adjutant jenerała Kniaziewicza, senator Królestwa Polskiego, znany w literaturze jako autor pierwszego Przewodnika po Polsce [1820 r.], zasłużony miłośnik teatru, tłumacz i pisarz sztuk scenicznych, wydawca „Piasta czyli Pamiętnika technologicznego" 1829—1834, wreszcie autor Pamiętników.

[2] Zbiór wzorowy rozmaitych polskich ubiorów pędzlem znanego malarza Norblin wydanych a przez sławnego Debucourt na miedzi wyrzniętych. Collection de Costumes Polonais, &... Paris, Charles Bance [1817] kart. 5o.

[3] Jakób Sokołowski * 1784 † 1837, rysownik, znany główny z karykatur, amator i samonk, pozostawał w przyjaznych stosunkach z Józefem Krasińskim. Robił dla niego między innemi 2 ryciny do „Zamku na Czorsztynie", przedstawiające aktorów Zdanowicza i Dmuszewskiego w rolach tej opery. Oprócz tego rytował Sokołowski Dmuszewskiego w roli z opery „Jadwiga", oraz Wolskiego i Kudlicza w rolach Tarnowskiego i Boratyńskiego do „Barbary Radziwiłłówny"

4 representent nos principeaux Acteurs en costumes vraiment Polonois, comme les portoient nos Ancêtres et non comme les affublent les théatres de Paris... et 5 qui sont les differents cris de Varsovie faits d'aprés nature... et qui corrigés par Vous et gravées par le même Artiste qui a travaillé a Votre Collection pouront en faire une suite [si vous le trouvez convenable] Etabli a Paris vous devez connoitre quelques Artistes des principeauz Theatres de cettre Capitale voila pourquoi je Vous envois par 4. Examplairs de chaque costume de nos Acteurs affin que Vous ayez la bontee de les leurs distribuer pour que cela puisse [s'il est possible] corriger l'idee des costumes qu'on emploit a Paris dans les Pieces Polonaises ou l'on nous affuble plustot en Persans Turcs Tartars qu'en Polonais. Pardonnez je Vous prie cher Monsieur Norblin la libertée que je prends de Vous importuner par mes prieres et agreez l'assurance du profond Estime et de l'amitié la plus sincere de Votre Ancient Eleve, Ami et serviteur

Joseph Krasiński.

Mon Adresse est Joseph Krasiński Chambellan de S: M: l'Empereur de T: l: R: a Varsovie Rue

stawiają naszych głównych aktorów w ubiorach prawdziwie polskich, jak je nosili nasi przodkowie, a nie jak ich dziwacznie przystrajają teatry paryskie — i 5, które przedstawiają rozmaitych „wołających" [zarobników ulicznych i domokrążców] Warszawskich, robionych z natury, — a które to typy poprawione przez Pana i wyrytowane przez tego samego artystę, który pracował nad Pańskim zbiorem, będą mogły tworzyć ciąg dalszy tegoż — jeżeli Pan to uzna za stosowne. Jako osiadły w Paryżu powinien Pan znać niektórych artystów głównych teatrów tej stolicy, dlatego posyłam Panu po 4 egzemplarze każdego ubioru naszych aktorów, ażeby Pan był tak łaskaw je im porozdawać, by to — w miarę możności — mogło poprawić wyobrażenie o ubiorach, których się używa w Paryżu w sztukach polskich, gdzie nas przebierają raczej za Persów, Turków, Tatarów, niż za Polaków. Wybacz Pan, proszę, Kochany Panie Norblin, śmiałość z jaką Pana nachodzę z mojemi prośbami i przyjmij Pan zapewnienie głębokiego szacunku i najszczerszej przyjaźni od Pańskiego dawnego ucznia, przyjaciela i sługi

Józefa Krasińskiego.

Mój adres jest Józef Krasiński,

Felińskiego. [Rastawiecki, Słownik rytowników polskich str. 269—270]. O czterech z tych rycin jest mowa w liście. Pod 5ma „cris" Sokołowskiego wspomnianymi w dalszym ciągu listy, należy się dorozumieć następujących jego rycin: 1. Katarynkarze, 2. Kołdry, kołderki, 3. Garnki, garnuszki, rynki, 4. Orzechy Włoskie, orzechy, 5. Cebuli, czosnku, koszałki, sieci [Rastawiecki l. c.].

de Masovie No 1352, c'est toujours dans la même maison ou Vous Vous fachiez si souvent contre l'Ecolier paraisseux.

Nous travaillons a la continuation des Cris et costumes que nous vous envairons aussi-tot qu'elles seront sorties si cela peut Vous etre util.

Szambelan J. C. Mci Cesarza Wszech Rosyi w Warszawie, ulica Mazowiecka No 1352, t. j. zawsze w tym samym domu, gdzie się Pan tak często gniewał na leniwego ucznia.

Pracujemy nad dalszym ciągiem domokrążców wywołujących i ubiorów, które Panu poszlemy natychmiast, skoro tylko wyjdą, jeżeli się to może Panu przydać.

Monsieur Monsieur Norblin père à Paris.

Bajki.

I. ZIELONY OSIOŁ.

Jakże często się w życiu taki przykład widzi,
Że głupiec głupią sztuczką stu głupszych zawstydzi!
Neran był sprytnym błaznem z głową rozwichrzoną:
Pomalował raz osła swego na zielono,
A nogi mu cynobrem wytarł aż do brzucha
I takiego po mieście wodził długoucha.
Za nim tłum gapiów snuł się z krzykiem i hałasem,
„Co za dziwo!“ wołając dyszkantem i basem.
„Patrzajcie cud natury!... Na osłów miliony
Ten ma nogi czerwone a tułów zielony!
Przecież to dla przyszłości kronikarz wymowny
Zapisze, że był u nas osioł tak cudowny!“
Podziw nad kolorowym osłem z każdą chwilą wzrasta,
Każdy go chce zobaczyć; tłoczy się pół miasta
Po ulicach i placach, drugie pół w rozmachu
Lezie na drzewa, z okien spogląda i z dachu —
Wszystkich szał ciekawości unosi, rozpala,
By zielonego osła zobaczyć choć z dala, —
Choć kawałek ogona dojrzeć, choćby udo;
O ośle całe miasto mówi: „Cudo! cudo!“
Młodzi pełni zachwytu, podziwienia starzy,
Zielony osioł dzieciom w kołysce się marzy,
Żaden temat nie zdołał nastroić tak wzniośle
Uczuć tłumu, jak wzmianka o zielonym ośle.
Dwie doby wyczekano w tej oślej malignie;
Aliście dnia trzeciego zapał nagle stygnie,
Równie szybko upadła, jak i szybko wzrosła
Ciekawość dla biednego zielonego osła,

Poczęto nawet mówić o „głupiem oślątku"
Co taki podziw, zachwyt budził na początku.
Otóż tak to niestety bywa z każdym tłumem;
Niech się rzecz jaka kłóci z sensem i rozumem,
Niech się w niej jawne głupstwo pod osłoną chowa,
Tłum ją przyjmie z podziwem dlatego, że nowa.
Nie pomogą przestrogi zdrowego rozsądku
Tłum szaleć gotów nawet w zapale z początku,
Ale czas, mistrz nad mistrze i mędrszy od ludzi,
Zapał i zachwyt głupców powoli ostudzi,
Czy chcą, czy nie chcą, muszą rozumu nabywać,
Bo czas ma dar szczególny głupich przekonywać.

II. MŁODY KSIĄŻĘ.

Pewne książątko, w pewnym kraju,
Nie powiem tylko w jakiem mieście,
Dostało raz od swego stryja
Pistolów w podarunku dwieście.
„Użyj ich dobrze!" — stryj mu rzecze;
A młody książę głowę skłonił
I z kiesą pełną złotych krążków
Wesoły w piękny świat pogonił.
Po pewnym czasie wraca znowu, —
Z kieszenią pustą, — tak myślicie?...
„No, jakżeż? — pyta stryj ciekawie,
„Użyłeś złota należycie?..."
Rozradowany książę wstaje
I z dumą na młodzieńczem czole,
Przed stryjem kładzie pełny worek:
„Wszyściutkie, wszystkie me pistole.
„Ani jednego nie straciłem,
Licz stryju!" — chwali się niecnota.
Stryj chmurny wstał, otworzył okno,
Wyrzucił przez nie kiesę złota
I rzekł: „Ucz książę się tej sztuki
„Wydawać pieniądz w dobrym celu, —
„Na to ma władca pełne dłonie,
„By z pełna mógł pomagać wielu!..."

III. NIEŚMIERTELNY AUTOR.

Był pewien autor wielce płodny,
Ogromnie w swoim czasie modny,
O którym prasa wciąż głosiła,
Że jest nieśmiertelności godny!...
Dzień i noc ciągle pisał pono,
Miał wielbicieli liczne grono,
A wziętość taką, że dzieł jego
Aż sześć edycyi rozkupiono.
Poświęcał się poezyi, sztuce,
Belletrystyce i nauce;
Przy dziełach jego portret dano.
(W hiszpańskiej był „allonge“ peruce!...)
Nikt nie śmiał dotknąć go, ni drasnąć,
Za życia wszyscy go wielbili. —
Śmierć mu przy biurku dała zasnąć,
Bo pisał do ostatniej chwili.
Gdy umarł, obok życiorysu
Coś trzy arkusze było spisu
Wszystkich dzieł jego cięższych, lżejszych,
Utworów dłuższych i prac mniejszych.
Po śmierci tego męża sławy,
Chcąc prawdę całą ujrzeć nagą
Ten i ów zaczął go ciekawy
Czytać, lecz z większą już rozwagą.
I patrzcie, pisarz taki słynny,
Co laury zrywał bez przeszkody,
Po zgonie stał się jakiś inny
A wkrótce całkiem wyszedł z mody.
Mówiono o nim, że nieszczery,
Że w myślach płytki i zawiły,
Że oprócz stylu i maniery,
Nie miał ni głębi, ani siły,
Że był bożyszczem swojej chwili,
Że przeceniony, i tam dalej,
Bo go partacze przechwalili,
Zanim go znawcy przeczytali.
Tak sławnym zostać to nie sztuka,
Może wielbionym być pod nieba, —

Tłum małych dusz obroku szuka,
Więc mu obroku sypać trzeba,
I takiej, jakiej żąda strawy
By szybko dojść do marnej sławy!...
Lecz by potomność cię uznała
I wielkość twa nie zaszła chmurą,
Musi twa dusza być nie mała,
Musisz coś więcej mieć, niż... pióro!...

* * *

Z Gellerta przełożył Maryan Gawalewicz.

TREŚĆ ROCZNIKA 1910.

TREŚĆ ZESZYTU PIĄTEGO:

TREŚĆ ZESZYTU SZÓSTEGO:

TREŚĆ ZESZYTU SIÓDMEGO:

TREŚĆ ZESZYTU ÓSMEGO:

Skorowidz imion

(kursywa oznacza osobę, o której tylko mowa).

LAMUS

ROCZNIK ARTYSTYCZNO-LITERACKI.

OD WYDAWNICTWA.

Pod dobrą wróżbą zamknęliśmy przed rokiem pierwszy rocznik „Lamusa“.

Czyśmy wróżbę tę ziścili, i oczekiwaniom czytelników zadośćuczynili, odpowiedzią na to niech będzie treść rocznika drugiego. Nie opuszczali „Lamusa“ najwięksi autorowie polscy, pragnęliśmy w myśl naszego programu, zamieszczać tylko rzeczy najdoskonalsze, dające wyraz prawdziwemu uczuciu i głębokiej refleksyi. Dla części drugiej znaleźliśmy długi, nieznany ciąg listów Grottgera i Wyspiańskiego, nieznaną (w całości) korespondencyę Chopina, nieznane listy Mickiewicza, Kościuszki, urywki listów Orzeszkowej i wielu innych, poemat Gaszyńskiego, odkryliśmy najświetniejszy dokument: list Kopernika do Króla Zygmunta i u nas też położono jedną z pieczęci na aktach bezpodstawnych sporów o jego narodowość. Nie prowadząc stałych kronik dawaliśmy zawsze wyraz najważniejszym zdarzeniom chwili bieżącej: głos nasz w sprawie sprowadzenia zwłok Słowackiego powtórzyła cała prawie prasa polska, zorganizowaliśmy i ogłosili komunikat w sprawie pozbywania się dzieł sztuki, podpisany przez najwybitniejszych przedstawicieli naszej kultury artystycznej i naukowej. Żeśmy nie zaniedbywali sprawy, zdaje nam się że mamy na to dowód w tem, iż pisarze wybitni trwać przy nas raczą, widzimy dowód w poparciu coraz większem czytającej publiczności, i prasy. Nie będziemy tu jak zeszłego roku przytaczać głosów jej o nas, wystarczy wspomnieć, że wszystkie pisma, nawet te, które inne czasem przekonania popierały, wyrażały się o nas z uznaniem, za które składamy im podziękowanie. Artykuły nasze przedrukowywała nieraz in extenso lub w wielkich częściach cała prawie prasa.

Mimo to w warunkach bardzo jeszcze ciężkich zaczynamy trzeci rok wydawnictwa, rozpoczynamy go jednak z wiarą w przyszłość i ufni w nasze siły, z przekonaniem, że dobrej służymy sprawie.

Z powodu nagromadzenia ogromnego materyału, a z drugiej strony dla wygody czytelników „Lamusa“ rocznik trzeci wychodzić będzie nie w czterech, ale w sześciu zeszytach do roku (w maju, w lipcu, we wrześniu, w listo-

padzie, w styczniu i w marcu). Powiększając część artystyczną, dawać będziemy w każdym zeszycie najmniej po sześć reprodukcyi na osobnych tablicach, (z tych jedną heliograwurę, druk kolorowy, lub dzieło grafiki oryginalnej); ilość tych dodatków wzrośnie jednak nieraz do kilkunastu, a czasem kilkudziesięciu sztuk; prócz tego w tekście rozsiane będą gdzieniegdzie klisze kreskowe. Najznakomitsi autorowie częściowo nadesłali już rękopisy, częściowo obiecali swój niezawodny współudział (m. i. Jan Kasprowicz, Ignacy Paderewski, J. Gw. Pawlikowski, W. S. Reymont, Zenon Przesmycki, Adam Szymański, W. Sieroszewski, Leon Piniński, Jerzy Żuławski, Leopold Staff, Maryla Wolska, J. B. Antoniewicz, J. H. Retinger, K. Woźnicki, Laurence Alma Tadema etc. etc.) W części drugiej umieścimy m. i. nieznane utwory Słowackiego objętości około ośmiu arkuszy, listy, pamiętniki, utwory etc. Lenartowicza, Kraszewskiego, Jabłońskiego (pamiętnik o Matejce), Voltaira, Miecz. Pawlikowskiego, i wiele innych nieznanych rękopisów najznakomitszych nieraz autorów polskich i obcych, które bądź mamy w przygotowaniu, bądź to o które czynimy starania.

Taki jest nasz program, oparty na założeniu, któreśmy dwa lata temu wypowiedzieli, a przy którem wytrwać chcemy i wytrwamy.

*

Prenumerata, którą przyjmują wszystkie księgarnie, wynosi na rocznik 1911/12 Koron 20·—.

*

Przypominamy tu prócz treści rocznika 1910 i treść poprzedniego rocznika „Lamusa“:

TREŚĆ ZESZYTU PIERWSZEGO.

TREŚĆ ZESZYTU DRUGIEGO:

Część druga — Wczoraj:

Ilustracye:

TREŚĆ ZESZYTU TRZECIEGO.

Część pierwsza — Dzisiaj:

Część druga — Wczoraj:

Ilustracye:

TREŚĆ ZESZYTU CZWARTEGO.

Część pierwsza — Dzisiaj:

Część druga — Wczoraj:

Ilustracye:

WYSTAWA PODHALAŃSKA

Jak już wiadomo z doniesień dzienników odbędzie się we Lwowie w salach Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych Wystawa Podhalańska. Przedmiotem tej wystawy będą okazy pierwotnej, rodzimej sztuki podhalańskiej, a następnie rozwinięty z nich przemysł artystyczny, znany pod nazwą stylu zakopiańskiego. Wystawa obejmie zatem budownictwo (modele, plany), meblarstwo, sprzęty różnego rodzaju, tkactwo artystyczne (kilimy), hafty artystyczne, wyroby galanteryjne, ceramikę itd.

Ponadto wystawa ta, chcąc przedstawić z jednej strony tło krajobrazowe i etnograficzne, z drugiej dać obraz ruchu artystycznego, rozwijającego się tak intenzywnie w Zakopanem, ruchu, który może mieć duży wpływ na kierunek i rozwój przemysłu artystycznego, a który dziś już może ma pewne indywidualne cechy, obejmie także dział sztuki czystej (malarstwo i rzeźbę) bądźto osiadłych w Zakopanem i okolicy, bądźto szukających tam tematu do swojej twórczości artystów.

Komitet żywi nadzieję, że wystawa ta przyczyni się do spopularyzowania tej sztuki w szerokich warstwach społeczeństwa, a przez to, iż da w przybliżeniu dokładny jej obraz, wywoła tak pożądaną krytykę, która może wpłynąć na przyszły jej rozwój i kierunek.

Komitet zwraca się przeto z gorącą prośbą do wszystkich, którzy są w posiadaniu okazów pierwotnej sztuki rodzimej lub rozwiniętych z niej przedmiotów artystycznych (mebli, sprzętów, naczyń, tkanin itp.) jak i do wytwórców, wreszcie do artystów-malarzy, rzeźbiarzy i architektów o wzięcie udziału w wystawie i zawiadomienie nas jak najrychlej o ilości i jakości rzeczy, które zechcą posłać.

Przesyłki należy adresować do

Komitetu Wystawy Podhalańskiej — Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych - Lwów - ul. Dzieduszyckich L. 1.

Wystawa zostanie otwarta 15-go marca i potrwa do 1-go maja b. r.

Ostateczny termin przesyłek do 1-go maja b. r.

Miejsca na wystawie dla przedmiotów wystawionych są bezpłatne.

Koszta transportu przedmiotów, które nie będą przeznaczone na sprzedaż lub które nie zostaną sprzedane, ponosi tam i z powrotem Komitet.

Od sprzedaży poszczególnych przedmiotów Komitet zastrzega sobie 10%.

Wystawa będzie ubezpieczoną.

PREZYDYUM KOMITETU WYSTAWY:

JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

JAN KASPROWICZ TADEUSZ RUTOWSKI STANISŁAW REYCHAN

ALEKSANDER LISIEWICZ BOLESŁAW WYSŁOUCH.

PORTRETY POLSKIE

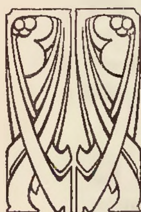
WIEK XVI. — XIX.

WYDANE PRZEZ

MARYĘ z hr. BRANICKICH ks. JERZOWĄ RADZIWIŁŁOWĄ

POD REDAKCYĄ

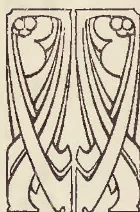
DRA JERZEGO HR. MYCIELSKIEGO, PROF. UNIW. JAGIELL.



TOM I. OBEJMIE 6 ZESZYTÓW PO 10 RYCIN W HELIOGRAWURZE, W FORMACIE FOLIO ORAZ 10 ARK. TEKSTU POLSKIEGO I FRANCUSKIEGO

CENA ZESZYTU W PRENUMERACIE KORON 15.
Z PRZESYŁKĄ KORON 15·80.

OPRÓCZ WYDANIA ZWYCZAJNEGO UKAŻE SIĘ WYDANIE ZBYTKOWNE NA PAPIERZE JAPOŃ- :: :: SKIM W CENIE KORON 30 ZA ZESZYT :: ::



Ikonografia dziejów Polski ostatnich czterech stuleci w najszerszem tego słowa znaczeniu, czyli portrety najznakomitszych osobistości, rolę wybitną w dziejach Kościoła, polityki, wojen, kultury, literatury, sztuki grających, wraz z malarstwem portretowem polskiem i często obcem z Polską związanem — oto treść naszego wydawnictwa, którego coraz naglejszą potrzebę od ćwierci już wieku coraz to dotkliwiej każdy u nas, przeszłość narodową miłujący, odczuwa. Każdy dom, każda rodzina pyta, jak wyglądali naprawdę królowie nasi i królowe, znakomici duchowni i mężowie stanu, wodzowie i rycerze, drobna szlachta i mieszczanie, poeci i uczeni, artyści i niewiasty, znakomite cnotami i wysoką kulturą albo nieraz na całą Europę głośne niezwykłą pięknością.

Na to pytanie wydawnictwo niniejsze pragnie odpowiedzieć. Pragnie ono zapełnić tę wielką lukę w pracy nad dziejami Polski, ma zaś nadzieję zapełnić ją żyjącemi w portretach a z prawdą ściśle zgodnemi postaciami.

Tom pierwszy wydawnictwa w cząstce minimalnej tylko będzie w stanie wyczerpnąć bardzo bogaty materyał, którym ono rozporządza, a który tylko z miesiącem każdym i z zainteresowaniem się publiczności wzrastać będzie, tak, że na kilka tomów z pewnością wystarczy. Możliwość ukazania się dalszych tomów zależeć będzie jedynie od zajęcia, jakie publikacya obudzi. Każdy z 6 zeszytów tomu I-go obejmie zawsze po kilka portretów z każdego z czterech minionych stuleci. Przy zeszycie ostatnim każdego tomu wydanym zostanie spis jego treści, chronologicznie 60 jego tablic ułożyć pozwalający.

Do każdego portretu dodane będzie historyczne objaśnienie, jedną stronę druku wynoszące, na ostatnich naukowych badaniach oparte, a dziejową rolę danej postaci jak najzwięźlej streszczające. Jako dodatek umieszczona będzie krótka wiadomość o samym portrecie, o artyście, który go wykonał, o jego pochodzeniu i obecnym stanie. Objaśnienia te będą miały cechę wybitnie historyczną, w drobnej tylko części artystyczną. Współpracownictwo w tej mierze obiecali nam prócz kilku innych: Prof. Dr. Stanisław hr. Tarnowski, prezes Akademii Umiejętności, Prof. Dr. Szymon Askenazy, Dr. Zdzisław Jachimecki, Dr. Kazimierz Maryan Morawski, Dr. Witold Kamieniecki, Dr. Wł. Konopczyński, Prof. Dr. Wiktor Czermak, Prof. Dr. Wacław Sobieski, Prof. Dr. Wacław Tokarz i t. d. — część zaś artystyczną poda sam naczelny redaktor wydawnictwa, Prof. Dr. Jerzy hr. Mycielski.

Zeszyt I. zawiera następujące portrety: Król Zygmunt I. Królowa Bona Sforza. Król Zygmunt August. Trzy żony króla Zygmunta Augusta. Jerzy Ossoliński. Andrzej Morstin. Izabella Czartoryska. Ks. Józef Poniatowski. Fryderyk Chopin. Adamowa Potocka.

Następne zeszyty zawierać będą między innemi: portrety wszystkich Królów polskich i Królowych od Henryka Walezego począwszy aż do Stanisława Augusta włącznie — Jana Zamojskiego, Michała Kazimierza Paca, Stanisława i Anny Oświęcimów, Tadeusza Kościuszki, Stanisława Małachowskiego, Ignacego Potockiego, ks. Adama Czartoryskiego, ks. Antoniego Radziwiłła, Adama Mickiewicza, Zygmunta Krasińskiego i jego żony Elżbiety, margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, Jana Matejki portret własny, Heleny Modrzejewskiej i t. d. i t. d.



I.



II.



III.



LAMUS


KRAKÓW

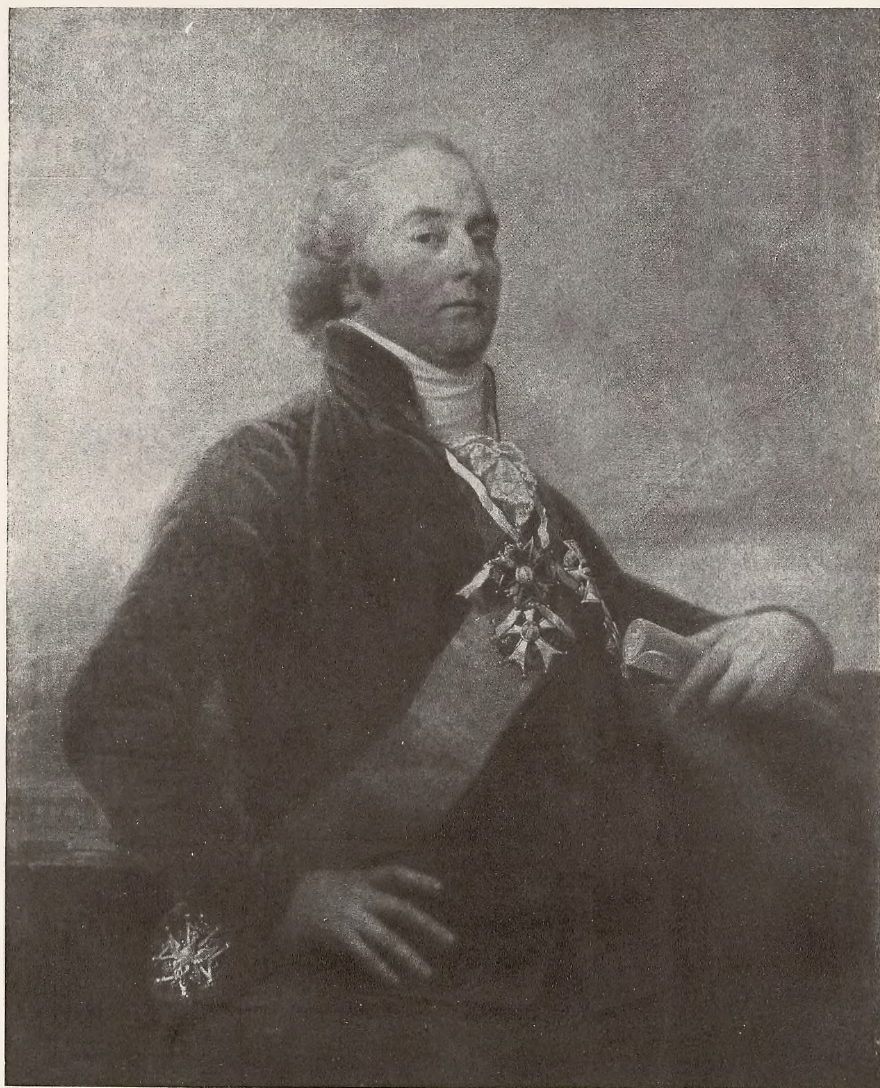




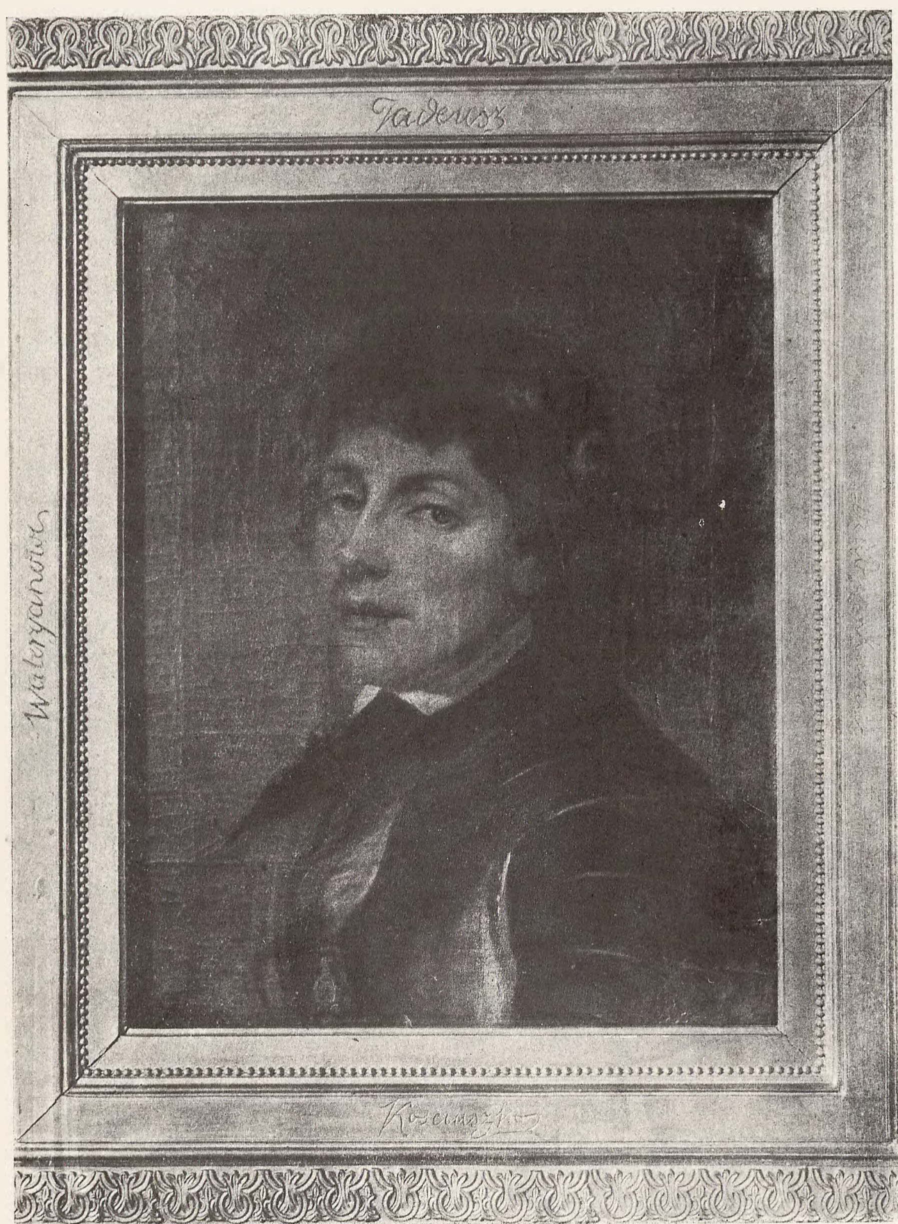
Watteau: Polka.



LAMUS



Füger: Portret Ign. hr. Miączyńskiego
(Galerya Dzieduszyckich)



J. Grassi: Portret Kościuszki
(Galerya Dzieduszyckich)



J. Ch. Lampi: Amor
(Galerya Dzieduszyckich)

Illustrissime et Serenissime princeps, Rex et domine clementissime, post devotionis et humilium
servitiorum debitum, Saepe nos Serenitati vestre iniurias nostras questuros retraxit pudor
quidam noster et maiestas sacri nominis vestri, quod nobis veneratione magis quam
actionibus semper est appellandum, Nunc vero et nostra necessitas et indignitas rei et
ipse etiam vestre Maiestatis honor nos cogit eandem Serenitatem vestram maximis alioqui rebus
detentam querelis et supplicatione nostra molestare, Non enim est obscurum quibus calamitatibus
ex sceleratorum hominum audacia iam integrum septennium sustinuimus, cum alio post alium
nobis exoriente hoste, igne ferro incursionibus latrociniis nos utrique subditi afflicti
ipsi etiam in captivitatem abacti sumus, ita ut ne unam quidem horam edes nostras que apud
campos site illorum patent libidini, tuto incolamus, vix etiam templum dei et
sacra inviolata custodiremus, sestertia que ab aliis precio recepimus, reddere
nobis vix licent impune, Hec mala quibus auctoribus adeo invaluerint, speramus
Maiestati vestre abunde cognitum esse, Nec enim est inexploratum quibus locis predones illi
hactenus foti, ubi in nos armentur, quorsum predam pedemque referunt. Nos hec
patientia interim vicimus qui catholicum ordinem professi ad militiam sumus operatores.
Verum cum in generali conventu Elbingensi nuper placuisset adversus has pestes rei
diminuendas omnibus esse arma sumenda, sed quoque intelligeremus edicto Maiestatis
vestre vetitum esse, non desivimus ab officio, sed primi in tantum scelus fuimus ultores
Nam principio huius mensis cum in terris nostris quidam subditus vestre Maiestatis civis Elbingensis
ab octo latronibus itinere publico appetitus et ~~bonis omnibus~~ et vestra quam [illegible]
bonis etiam omnibus spoliatus esset, burgravius noster mox coacta parva subditorum nostrorum
manu [illegible] latronum vestigia in terras ordinis fere sex miliaribus continuo
itinere insecutus, eos primo quam sub vesperum devenisset in [illegible] quodam nemore
prede dividende intentos invenit, unum ex eis Marchionem nobilem cepit, aliis fuga
elapsis, cum universa preda ac ipsorum predonum equis et armis domum rediit, primo
alienus nobilis cui is locus subest, precio habito [illegible], qui etsi ad id minime
esset [illegible], tamen non ille solum iam se iniuriam passum censebat, quod sibi quoque [illegible]
negocium fortasse cognoscet, sed et commendator in Balga, et ipse cum illustrissimo domino magistro
captum illum latronem cum omni abacta preda ad se in Balgam reduci non postulat modo sed
etiam contendit, quam rem [illegible] dominus noster prefatus Maiestati vestre latius exposuit. Inde iam
latrones ferocius quam antea ceterum in nos exigunt, qui primo civitatibus [illegible]
nunc omnes in nos conversi novis diffidationibus contumeliis et crebris minis nobis
insultant, deinde et a domino magistro nobis periculum et [illegible] adesse prope videmus
adversus quam intendimus modus nobis non est quibus cavendi aut diminuendi est [illegible]
nisi Maiestatis vestre sua ingenita clementia opem ferret, quam ut [illegible] sedemus potius
cum [illegible] causis. tum [illegible] nostris que Maiestati vestre gratissimum cognoscet semper
habent [illegible]. humili igitur obsecratione eandem Maiestatem vestram rogamus
dignetur his pravis conatibus regia prudentia et strenuitate obviare, utrumque et ceteros
nostros subditos in apta defensione fluctuantes consiliis et presidio oportuno protegere, ut tuti
quo possimus et cultum divinum et nos ipsos qui pro felici statu sacri regni vestri orare non
cessamus, sub umbra excelsi nominis vestri melius ~~[illegible]~~ conservare, Offerentes fidelia
servitia nostra et ipsa vota nostra eidem Maiestati vestre quam ut deus noster clementissimus
volumus, ~~[illegible]~~ cupientes nos eidem humiliter esse commendatos. Ex
Warmia xxii mensis July Anno 1516

E. R. Maiestatis vestre

Humiles oratores Capellani
Capitulum Warmiense.